

FREDRIK T.
OLSSON



ŁANCUCH
ZDARZEŃ



Fatalna przepowiednia ukryta w DNA...

FREDRIK T.
OLSSON

ŁAŃCUCH
ZDARZEŃ

Z języka szwedzkiego przełożyła
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

CZEŚĆ I

SYSTEM CZWÓRKOWY

Nic mnie nigdy nie zmusi do pisania dziennika.

Dzieje się. Czas płynie. Życie się zaczyna, trwa i dobiega kresu, i nic z całego tego bezsensu nie stanie się lepsze dlatego, że coś zapiszemy i popatrzymy na to z perspektywy czasu. Pewnego dnia wszystko minie. A gdy ziemia zwali się na drewnianą pokrywą nade mną, nikogo nie będzie obchodziło, co robiłem w któryś marcowy poniedziałek, i nikt nie będzie chciał o tym czytać.

Nic nie zmusi mnie do pisania dziennika.

Poza jedną rzeczą.

Pewnością, że niedługo nie będzie nikogo, kto mógłby go przeczytać.

Wtorek, dwudziesty piąty listopada.

W powietrzu wiruje śnieg.

A w oczach wszystkich jest strach.

Mężczyzna, którego zastrzelili w ciasnym zaułku, umarł za późno.

Był tuż po trzydziestce, ubrany w dżinsy, koszulę i wiatrówkę. Zdecydowanie za lekko jak na tę porę roku. Raczej czysty i dosyć dobrze odżywiony – to mu obiecali i dotrzymali słowa.

Jednak nikt mu nie powiedział, co będzie potem. I oto stał tutaj.

Zatrzymał się między kamiennymi fasadami za starą pocztą, zdyszany, ulotne szare obłoczki unosiły się i rozplýwały w ciemności w rytm jego oddechu. Poczł lekłą panikę, bo krata na końcu krótkiej poprzecznej uliczki była zamknięta. Świadomy ryzyka stał, nie wiedząc, gdzie ma teraz uciekać, podczas gdy za plecami słyszał coraz wyraźniej zbliżające się kroki mężczyzn ubranych w kamizelki odbłaskowe.

Wciąż jeszcze żył, kiedy już kwadrans wcześniej do europejskich gazet dotarła wiadomość, zagubiona w ogromnym potoku depesz – trzy krótkie linijki o martwym mężczyźnie znalezionym w środku Berlina w czwartek o świcie, tuż po czwartej. Nie napisano wprost, że był bezdomny i pod wpływem narkotyków, jednak czytając tę notatkę, takie odnosiło się wrażenie. I o to chodziło. Jeśli chce się uwiarygodnić kłamstwo, trzeba być jak najbliżej prawdy.

Z braku miejsca notatka znajdzie się w porannych wydaniach na końcowej stronie wśród innych nic nieznaczących wiadomości. To jeden z wielu środków ostrożności, prawdopodobnie nawet zbędny. Wyjaśnienie, na wypadek gdyby ktoś postronny zobaczył, jak w ciemności podnoszą czyjeś sztywne ciało, wkładają je do czekającego ambulansu, zatrzaskują tylne drzwi i z przepisowo pulsującym niebieskim światłem na dachu odjeżdżają wśród drobnych kropli deszczu zamieniających się w lód.

Ale nie do szpitala.

Z drugiej strony – w szpitalu i tak nie dałoby się nic zrobić.

W samochodzie siedziało w milczeniu trzech mężczyzn mających nadzieję, że przybyli w samą porę.

Mylili się.

Policjantom wystarczyło kilka sekund, by sforsować piękne dwuskrzydłowe drzwi do mieszkania, wybić szybki w ołowianych ramkach i otworzyć zamek od środka.

Z kratą wewnątrz natomiast męczyli się długo. Była antywłamaniowa i ciężka, i prawdopodobnie strasznie droga; stanowiła jedyną przeszkodę uniemożliwiającą im dostanie się do środka i udzielenie pomocy mężczyźnie w średnim wieku, który zgodnie z informacjami znajdował się w mieszkaniu.

O ile jeszcze żył.

Zgłoszenie odebrano w komisariacie na Norrmalm wczesnym przedpołudniem, upłynęło jednak całkiem sporo czasu, zanim pracownik centrali telefonicznej upewnił się, czy kobieta, która dzwoniła, jest wiarygodna, trzeźwa i nie żartuje. Czy zna tego mężczyznę? Tak, zna. A może mężczyzna przebywa obecnie zupełnie gdzie indziej? Nie, to niemożliwe. Od kiedy nie ma z nim kontaktu? Nie tak długo. Rozmawiała z nim przez telefon wczoraj wieczorem; był cichy i spokojny, mówił o czymś obojętnym. I to ją wystraszyło – kiedy narzekał i marudził, wiedziała, że wszystko z nim w porządku, ale tym razem starał się być pogodny i brzmieć pozytywnie, ona zaś nie umiała powiedzieć dlaczego. Zupełnie jakby coś ukrywał. Gdy następnego dnia rano zadzwoniła do niego, a on nie odbierał, pewność uderzyła ją obuchem w głowę. Tym razem naprawdę to zrobił.

Kobieta wyrażała się precyzyjnie i jasno, i kiedy w końcu pracownik centrali dał się przekonać, zaalarmował zarówno policję, jak i ambulans, po czym przeszedł do następnej rozmowy.

Już pierwszy patrol, który przybył na miejsce, stwierdził, że kobieta rzeczywiście mogła się nie mylić.

Drzwi były zamknięte. Za kolorowymi szybkami rysowała się kratka niczym jakiś rozmyty wzór. A z głębi dochodził odgłos radia, w którym nadawano muzykę klasyczną, pomieszany z szumem wody lejącej się strumieniem do przepelnionej już wanny.

To był bardzo zły znak.

Dwa stopnie niżej na eleganckiej klatce schodowej stała Christina Sandberg, czujnie obserwując przez czarną stalową kratę otaczającą szyb windy każdy najmniejszy ruch przy drzwiach wejściowych do mieszkania należącego kiedyś również do niej.

Deszcz złotych rozżarzonych opiłków padał spod piły ślusarza próbującego sforsować przekłętą zabezpieczającą kratę, której zamontowaniu ona sama długo się przeciwstawiała, dopóki nie zrozumiała, po tamtym wieczorze, gdy wszystko się

odmieniło, że nie ma wyboru i musi ją zaakceptować.

Zainstalowali ją dla własnej ochrony. A dzisiaj on być może przez nią umrze. Gdyby tak potwornie nie paraliżował jej niepokój, byłaby cholernie wściekła.

Za plecami ślusarza stało czterech policjantów przestępujących z nogi na nogę, a za nimi dwóch równie bezradnych ratowników z ambulansu. Na początku wołali do niego: „William” – krzyczeli, „William Sandberg!” – ale nie słysząc odpowiedzi, w końcu zrezygnowali, zamilkli i czekali, aż piła zrobi swoje.

A jedyne, co mogła zrobić Christina, to stać i się przyglądać.

Znalazła się na miejscu jako ostatnia. Wciągnęła na siebie dzinsy i narzuciła kożuszek, zebrała dyskretnie rozjaśnione włosy w koński ogon i popędziła do samochodu, mimo że stał na ulicy, która miała być uprzątnięta dopiero w przyszłym tygodniu, a ona obiecała sobie, że zostawi tam auto aż do weekendu.

Próbowała dodzwonić się do niego kilka razy, najpierw jak tylko wstała z łóżka, później po drodze pod prysznic, a potem znowu, zanim zaczęła suszyć włosy. Następnie zatelefonowała na centralę alarmową, gdzie całą wieczność zajęło jej przekonanie dyżurnego o tym, czego ona była już pewna. Co w głębi ducha przeczuwała, jak tylko się obudziła, co jednak próbowała odepchnąć od siebie w ten sam sposób, w jaki pozbywała się wyrzutów sumienia, które zawsze się w niej odzywały, gdy rozmawiali ze sobą przez telefon.

Właściwie to nienawidziła siebie za to, że nadal utrzymywała z nim kontakt. On przeszedł to trudniej niż ona, co nie znaczy, że jej smutek był mniejszy, on pozwolił sobie na jego przeżywanie, a teraz, mimo dwóch lat wałkowania, dyskusowania i roztrząsania przyczyn, a także zastanawiania się, czy może jednak nie trzeba było, wszystko wydawało się identyczne jak wtedy. Ona dostała wielkiego zaszczytu dźwignania bólu za nich dwoje plus dodatkowej porcji poczucia winy za to, że nie uważała takiego podziału za sprawiedliwy.

Ale życie nie jest sprawiedliwe.

Gdyby było, nie stałaby teraz tutaj.

Wreszcie krata ustąpiła i policjanci wraz z ratownikami wpadli do mieszkania, a później czas przestał istnieć. Ich plecy zniknęły w długim przedpokoju, pustka za nimi ciągnęła się i ciągnęła, i zdawała się nie mieć końca. Po nieznośnej liczbie sekund albo minut czy lat wyłączono muzykę, następnie wodę, a potem zrobiło się całkiem cicho i tak już zostało.

Dopóki w końcu nie pokazali się znowu.

Unikali jej spojrzenia, kiedy manewrowali, pokonując ostre zakręty w przedpokoju, później precyzyjnie się wąskim przejściem obok windy, wykonali szeroki łuk, aby dostać się do schodów, nie uderzając o pokryte malowidłami ściany, a potem zeszli w dół, coraz niżej, szybko, lecz ostrożnie, spokojnie, i pospiesznie.

Christina Sandberg przyłgnęła do stalowej kraty, by zrobić przejście dla noszy, na które czekała karetka na chodniku.

Pod błyszczącą plastikową maską tlenową leżał ten, którego kiedyś nazywała swoim mężem.

William Sandberg właściwie nie chciał umrzeć.

Albo mówiąc precyzyjnie: to nie był jego pierwszy wybór.

Wolałby raczej żyć i mieć się dobrze, wieść znośne życie, nauczyć się nie pamiętać, znaleźć powód, by prać swoje ubranie, budzić się co rano i wkładać je znowu na siebie, wychodzić z domu i robić coś, co ma jakiegokolwiek znaczenie dla kogokolwiek.

Właściwie to nie potrzebował nawet tego wszystkiego. Jedyne, czego naprawdę pragnął, to mieć cokolwiek, co pozwoliłoby mu przestać myśleć o tym, co sprawia ból. Nie udało mu się, a kolejna możliwość na liście to skończenie ze wszystkim.

Ale jak się okazuje, to też nie poszło mu specjalnie dobrze.

– Jak się miewa ciało? – spytała młoda pielęgniarka, podchodząc do łóżka.

Już wpółsiadział w sztywnej wykrochmalonej pościeli, przykryty na staromodny sposób prześcieradłem założonym na górnym końcu żółtej domowej kołdry, zupełnie jakby służba zdrowia wciąż się wzbraniała przed zaakceptowaniem faktu, że wynaleziono poszwy na kołdrę.

Spojrzał na siostrę. Usiłował nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest wymęczony różnymi dolegliwościami wywołanymi przez trucizny, które wciąż jeszcze znajdują się w jego organizmie.

– Gorzej niżby pani chciała – powiedział. – A lepiej niż zamierzałem.

Uśmiechnęła się, co go zdziwiło. Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, jasne włosy i była całkiem ładna. A może tylko na taką wyglądała w łagodnym świetle padającym z okna za jej plecami.

– Chyba tym razem nie wybiła jeszcze pana godzina – stwierdziła. Zwyczajnie, jakby prowadziła z nim pogawędkę o byle czym, co również go zaskoczyło.

– Nic straconego, to nie ostatnia szansa – odparł.

– Słusznie – rzuciła. – Trzeba być optymistą.

Jej uśmiech był perfekcyjnie wyważony: wystarczająco szeroki, by zaznaczyć ironię zawartą w słowach, ale i wystarczająco nieznaczący, by nie zabić upiornego humoru. Nie potrafił wpaść na jakąkolwiek odpowiedź i poczuł, jak ogarnia go nieprzyjemne wrażenie, że rozmowa się skończyła i że to ona wygrała.

Przez kilka minut leżał w milczeniu i obserwował ją, jak pracuje dalej. Przemyślane ruchy, według ustalonego schematu: wymienić kroplówkę, mnóstwo

rzeczy sprawdzić i skorygować, masę skontrolować i zapisać w karcie. Cicha efektywność. Aż w końcu zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem źle nie zrozumiał i może w rzeczywistości ona wcale z nim nie żartowała.

Wreszcie uporała się ze swoimi obowiązkami. Jeszcze starannie wygładziła mu prześcieradło, nie powodując tym żadnej różnicy w jego wyglądzie, i stanęła wyprostowana.

– Tylko niech pan nie robi żadnych głupstw, kiedy mnie nie będzie – rzuciła na koniec. – Dopóki jest pan tutaj, to jedynie zbędna robota i dla pana, i dla nas.

Mrugnęła mu jeszcze przyjaźnie na pożegnanie i wyszła na korytarz, a automatyczny mechanizm nad górną ramą drzwi zrobił swoje i zamknął je za nią.

William leżał w łóżku i czuł się dziwnie nieswojo. Właściwie bez żadnego szczególnego powodu. Po prostu czuł się niezręcznie. Dlaczego? Dlatego że nie obdarzyła go opiekuńczym tonem, na który zareagowałby z irytacją? Czy dlatego, że jej rzeczowe komentarze były tak nieoczekiwane, iż przez moment poczuł się sprowokowany, niemal ubawiony?

Nie.

Musiałoby minąć kilka chwil, zanim zrozumiał.

Przygryzł wargi.

To humor. Dokładnie ten rodzaj humoru.

Dokładnie to powinna była powiedzieć.

Nagle przestał mu dokuczać i nieokreślony szum w jego organizmie – może wynikający z braku soli albo wody, a może z nadmiaru jakiegoś obcego paskudztwa pozostałego po wszystkich proszkach i tabletkach w jego zmęczonym pięćdziesięcioletnim ciele – i kłujący ból po nacięciach, które goiły się pod bandażami na przegubach jego rąk. Dokuczało mu za to co innego. Uczucie, które zawsze, ale to zawsze powracało, trafiało go z podwójną siłą za każdym razem, kiedy pozwalał sobie zapomnieć o tym, co zmusiło go, by pójść wczoraj wieczorem do łazienki i się zdecydować.

Ponieważ nie umiał odczytywać znaków.

Jakkolwiek ironicznie to brzmiało, nie dało się powiedzieć inaczej.

On. On nie potrafił odczytywać.

Niech to szlag.

Powinien był poprosić ją o coś na uspokojenie, kiedy jeszcze się tu kręciła. Albo uśmierającego ból. Czy o valium. Albo najchętniej o kulkę w łeb, jeśli mogłaby mu w ten sposób pomóc – chyba jednak nie mogła.

Znajdował się w tym samym miejscu co wczoraj wieczorem: to przekłete ciągle spadanie w ciemnej rurze, która nie ma końca, to destrukcyjne pragnienie, by przynajmniej dosięgnąć dna, roztrzaskać się wreszcie i uwolnić od wszystkich tych myśli, którym przez cały czas udawało się nad nim panować. Które dawały drobne

jasne chwile nadziei, ale zaraz wracały, wymierzały mu z całej siły policzek i pokazywały, że to one mają władzę, a nie on.

Sięgnął ręką w stronę kabla wiszącego na ścianie. Przyciągnął do siebie cylindryczny przycisk, żeby zadzwonić po pomoc. Miał nadzieję, że tym razem pojawi się inna siostra, bo przejście od sarkazmu i oschłości do proszenia o coś na sen byłoby irytującą porażką. Gdyby jednak w zamian udało mu się zasnąć chociaż na chwilę, mógłby nawet zapłacić taką cenę.

Doszedłszy do takiego wniosku, przycisnął guzik.

Ku jego zaskoczeniu nic nie dało się słyszeć.

Przycisnął znowu i przytrzymał dłużej.

Nadał nic.

Może to wcale nie takie dziwne, tłumaczył sobie. W końcu nie dzwoni przecież do siebie. Wystarczy, że dzwonek odzywa się tam, gdzie siedzą lekarze i robią to, co do nich należy, tak żeby ktoś mógł zareagować i posłać pielęgniarkę, aby się dowiedziała, czego on potrzebuje.

Potem zobaczył lampkę. Czerwoną plastikową osłonkę na ścianie nad samym kontaktem, skąd wystawał przewód. Czy nie powinna przynajmniej się zaświecić? Skoro nie słyszy sygnału, to czy chociaż lampka nie powinna się zapalić jako potwierdzenie, że skutecznie nacisnął?

Nacisnął kolejny raz. I jeszcze raz. Jednak nic się nie wydarzyło.

Był tak przejęty tą wadą systemu alarmowego, że aż lekko podskoczył, kiedy otworzyły się drzwi. Zerknął w ich stronę, próbując się zdecydować, czy ma wybrać atak, czy raczej obronę: zbesztać za to, że lampka jest popsuta, czy przeprosić, że dzwonił tak histerycznie.

Zanim oczy przyzwyczyły się do jaskrawego światła, które wpadło przez drzwi, nie posunął się dalej w swych dywagacjach i obie możliwości zniknęły.

Mężczyzna, który stanął przy jego łóżku, nie był ani lekarzem, ani pielęgniarem. Miał na sobie garnitur, koszulę bez krawata, a na nogach niepasujące do reszty ciężkie trekkingowe buty. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, ale w przypadku mężczyzn z ogolonymi głowami zawsze jest kłopot z określeniem wieku, zwłaszcza gdy sylwetka tak wyraźnie zdradza długotrwałą i intensywny trening. W rzeczywistości mógł mieć więcej. Albo przeciwnie.

– To dla mnie? – spytał William, z braku lepszego pomysłu.

Wskazał głową na kwiaty, które gość w garniturze trzymał w ręku. Mężczyzna zerknął na nie, jakby niemal sam o nich zapomniał. Nie odpowiedział. Uwolnił się od bukietu, kładąc go na dnie umywalki. Posłużył mu tylko do tego, żeby się nie rzucał w oczy w szpitalnym otoczeniu i mógł spokojnie przejść korytarzem, nie zwracając niczyjej uwagi.

– William Sandberg? – spytał.

– Niewiele brakowało... – odparł William. – Ale tak, to ja.

Mężczyzna po prostu stał przed nim, stał w milczeniu i obaj przyglądali się sobie nawzajem. Mierzyli się wzrokiem – przynajmniej można było odnieść takie wrażenie. William raczej nie byłby w stanie stawić jakiegokolwiek oporu, leżąc w łóżku. Cała ta sytuacja była niesłychanie dziwna. William czuł, jak w jego wnętrzu wszystko się napina.

– Szukaliśmy pana – powiedział w końcu mężczyzna.

Co takiego? William usiłował zrozumieć, o czym tamten mówi. Nie mógł sobie przypomnieć, by ktoś się z nim w ostatnim czasie kontaktował, choć z drugiej strony nie miał też pewności, czyby cokolwiek odnotował w pamięci, gdyby jednak tak było.

– Musiałem wiele przemyśleć.

– Zrozumieliśmy to.

My? O co, u diabła, tu chodzi?

William usiadł bardziej wyprostowany, usiłując uśmiechnąć się obojętnie.

– Z przyjemnością bym pana czymś poczęstował, ale okazuje się, że oni tutaj wcale nie są tacy hojni z tą morfiną, jak się spodziewałem...

– Będziemy potrzebowali pana pomocy.

To padło nieoczekiwanie, trochę za szybko, a w głosie mężczyzny pojawiło się coś, co kazało Williamowi na chwilę opuścić gardę. Młody człowiek patrzył na niego wzrokiem z pewnością nadal niewzruszonym, lecz jednocześnie zdradzającym coś jeszcze. Popłoch. A może nawet lęk.

– Sądzę, że mnie pan z kimś pomylił – rzekł William, rozkładając ramiona. Oczywiście, na ile to było możliwe. Przewody kroplówki i kable EKG ograniczały bowiem jego ruchy i służyły jedynie wzmocnieniu tego, co usiłował powiedzieć: William Sandberg nie jest raczej w stanie pomóc komukolwiek w czymkolwiek.

Jednak umięśniony mężczyzna pokręcił głową.

– My wiemy, kim pan jest.

– Jacy „my”?

– Nieważne. Ważny jest pan. I to, co pan potrafi.

Uczucie, jakie przeszło ciało Williama, było i znajome, i zarazem niespodziewane. Takiej właśnie rozmowy oczekiwał dziesięć lat temu albo jeszcze lepiej – dwadzieścia lat temu. Wtedy był gotowy. A dzisiaj?

Mężczyzna stojący w nogach łóżka znakomicie mówił po szwedzku, jednak gdzieś w tle dał się słyszeć obcy akcent. Trudny do wychwycenia, lecz zdecydowanie obecny.

– Skąd pan jest?

Gość spojrzał na niego. Jakby zawiedzionym wzrokiem. Jak gdyby William powinien był wiedzieć, że nie otrzyma odpowiedzi i że pytanie o to jest poniżej jego godności.

– Ze Służby Bezpieczeństwa? Z Ministerstwa Obrony? Z innego państwa?
– Przykro mi. Nie mogę tego powiedzieć.
– W porządku – odparł William. – Wobec tego proszę ich pozdrowić i podziękować za kwiaty.

Oznajmił to zdecydowanym tonem: rozmowa skończona, a by to podkreślić, sięgnął znowu po przewód z alarmowym przyciskiem. Nacisnął kciukiem, trzymał długo, nie odrywając spojrzenia od młodego mężczyzny, jakby chciał mu pokazać, do jakiego stopnia uważa ich rozmowę za zakończoną. Ale i tym razem nikt nie zareagował.

– Gdyby to działało, poznałby pan po lampce – rzucił mężczyzna nieoczekiwanie. William spojrział na niego.

Minęła kolejna chwila, podczas której mierzyli się wzrokiem, oceniając swe siły. William puścił kabel, a ten opadł mu na brzuch, w poprzek żółtej kołdry.

– Mam pięćdziesiąt pięć lat – odezwał się William. – Od wielu lat nie pracuję. Jestem jak twierdza pod Boden, liczyłem się dawno temu, ale dzisiaj tylko stoję i popadam w ruinę.

– Moi szefowie są innego zdania.

– A kim są pańscy szefowie?

Rzucił pytanie z surowością w głosie. Był już zmęczony tą rozmową, chciał dostać swoje tabletki nasenne i zniknąć, a nie bawić się w zimną wojnę z przetrenowanym wilczkiem, który pojawił się kilka dziesięcioleci za późno.

Jednak to ów młodzian zakończył rozmowę jako pierwszy.

– Przykro mi – powtórzył. Westchnął z żalem, po czym przeniósł ciężar ciała na nogę znajdującą się bliżej drzwi i się odwrócił.

Żeby sobie pójść, pomyślał William. Osobliwy koniec osobliwego spotkania.

Lecz kiedy mężczyzna otworzył drzwi na korytarz, ukazało się za nimi dwóch innych osobników czekających, żeby wejść do środka.

Było dziesięć po pierwszej po południu, gdy zespół lekarzy kroczył od sali do sali po rozbrzmiewających echem korytarzach oddziału ratunkowego szpitala Karolinska, aby sprawdzić stan chorych.

Zaliczyli już połowę obchodu bez większych niespodzianek, a kolejnym pacjentem miał być pięćdziesięciopięciolatek, który próbował odebrać sobie życie: zatrucie lekarstwami i rany po podcięciu żył na rękach. Nie było podstaw do dłuższego pobytu na oddziale. Chory otrzymał krew, zarówno po to, by skompensować jej utratę spowodowaną nacięciami, jak i w celu zmniejszenia stężenia substancji, które się w nim znalazły; przywieziono go do szpitala w stanie

niezagrożającym życiu, bo prawdopodobnie przez niedopatrzenie połknął za mało proszków albo był kolejnym z tych, którzy podejmują taką ryzykowną próbę zwrócenia na siebie uwagi bliskich, gdy ci nie chcą ich wysłuchać.

Tak czy siak nie ulegało wątpliwości, że ten pacjent nie musi już długo pozostawać pod opieką szpitala. Doktor Erik Törnell zatrzymał się przed drzwiami, zamknął dziennik, do którego zajrzał, po czym skinął ku swoim kolegom:

– To będzie szybka wizyta.

Pierwsze, co zobaczyli po wejściu do środka, to puste łóżko.

Bukiet kwiatów leżał w umywalce, wazon na stoliku przy łóżku przewrócił się i potłukł, kołdra była ściągnięta na podłogę, a przewód kroplówki zwisał swobodnie ze stelaża.

W łazience też nie znaleźli nikogo. Szuflada w niewielkiej szafce została wyciągnięta i wywrócona do góry nogami, a sama szafka opróżniona ze wszystkich rzeczy, z którymi przyjęto pacjenta.

William Sandberg zniknął.

Po godzinnych poszukiwaniach stwierdzono, że nie ma go na terenie szpitala i że nikt nie wie dlaczego.

Ambulans niebędący ambulansem stał na rozległym polu porośniętym dziko pleniącą się roślinnością – samosiejkami, które uparcie trwały na przekór wszelkim nieświadomym próbom wyłuskania ich z powierzchni ziemi i które raz za razem zapuszczały korzenie w kraterach, dziurach i rozpadlinach. W tej sile życiowej kryła się łagodna ironia, niedostrzegana jednak przez tych, którzy wiedzieli, że ten plac w ogóle istnieje.

Mężczyźni ubrani wcześniej w kamizelki odblaskowe i uniformy sanitariuszy byli już daleko stąd – wykąpani, wyszorowani i spryskani przechodzili przez wszystkie przepisowe procedury bezpieczeństwa.

W ambulansie został tylko bezdomny.

Pozbawili go dotychczasowego życia, co do tego nie było wątpliwości, ale czy nie dali mu też nowego? Lepszego? Kto wie, czy żyłby dłużej – może ulica zawładnęłaby nim już do końca, gdyby został. A tak otrzymał jedzenie, ubranie, dach nad głową. Zajęcie. Ruch. A nawet swego rodzaju edukację.

Tylko nikt nie przewidział przerażenia, którego był zmuszony doświadczyć.

Symptomy.

Kto mógł wiedzieć, że to potrwa tak długo?

– Jest jak jest – powiedział krótko ostrzyżony młody pilot, jakby każda z myśli Connorsa wychodziła przetłumaczona na papierowej taśmie dalekopisu. Siedział z przodu, z obowiązkowymi słuchawkami na uszach, by obaj mogli słyszeć się nawzajem, ale i by odgrodzić się od nieustającego warkotu śmigieł nad nimi.

Connors słyszał jego głos w swoich słuchawkach. Skinął głową. Trudno było zaprzeczyć temu twierdzeniu.

Bezsprzecznie było jak było.

– Kończymy? – spytał pilot.

Zabębnił palcami w konsolę sterowniczą.

Tym razem Connors trochę się ociągał, obaj jednak wiedzieli, że zaraz skinie głową. Bez lornetki widział ambulans jedynie jako błyszczący punkt wśród wczesnej zieleni, ale nie potrafił oderwać od niego wzroku.

Jakby walka z nieuniknionym mogła w czymkolwiek pomóc.

Jakby siedział z rozwiązaniem w jednej ręce i podręcznikiem w drugiej i próbował raz za razem wyliczyć coś zupełnie innego, chociaż wiedział, jaka powinna być odpowiedź.

Kiedy wreszcie dał zgodę, ruch głową był tak dyskretny, że równie dobrze można by go uznać za drgnięcie w wyniku turbulencji, jednak młody i krótko ostrzyżony

mężczyzna zarejestrował go i zrobił, co do niego należało. Odpowiedni drążek trzymał już w dłoni, musiał jedynie nacisnąć guzik.

Kiedy ambulans eksplodował żółtą chmurą, zadanie zostało wykonane.

I nowa generacja dzikiej trawy i polnych kwiatów będzie miała kolejny krater do zdobycia.

Kiedy William Sandberg obudził się po raz drugi tego dnia, w którym właściwie planował nie obudzić się w ogóle, był kilka tysięcy metrów ponad ziemią.

Świadomość, w jakiej sytuacji się znalazł, natychmiast go otrzeźwiła.

Siedział w skórzanym fotelu, miękkim i ciepłym, i dostatecznie wygodnym, by mógł stać w kinie domowym na jakimkolwiek willowym osiedlu na skraju miasta, a za poplamionym oknem z pleksiglasu świeciło prosto na niego płaskie słońce, widoczne ponad białym zwartym pejzażem pierzastych obłoków.

Siedział w samolocie. I miał sen.

Sen jak zwykle jeszcze przez chwilę zlewał się z rzeczywistością, pozbawiony konturów, pozostawiając poczucie niesmaku. William zastanawiał się przez moment, czy nie zrobić tak, jak się nauczył, czyli pozwolić umysłowi wnikać z powrotem w to doznanie i poszukać, co je wywołało. Najczęściej była to ta sama przyczyna. I zazwyczaj zawrócenie tam i budzenie obrazów na nowo tylko wywoływało jeszcze większy niesmak. Lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to najskuteczniejszy sposób otrząśnięcia się z nich.

Tym razem jednak zrezygnował. Zmusił myśli, by pozostały tam, dokąd dotarł, i siedział nieruchomo w obawie, że jego najmniejszy ruch pozwoli odkryć im, że się obudził, i wtedy przyjdą tu, żeby go unieszkodliwić.

Im? Co za im?

Nie miał pojęcia.

Wiedział tylko tyle, że do szpitalnej sali, w której leżał, przyszli trzej mężczyźni w garniturach, że ma potwornie sucho w ustach i że znajduje się w towarzystwie kogoś, kto musi mieć pieniądze.

Nie pierwszy raz siedział w prywatnym dżecie. Ale ten wyglądał na najbardziej elegancki ze wszystkich, jakie do tej pory widział. Jego salonik – bo to był faktycznie nieduży salonik: naprzeciwko fotela, na którym siedział, stał identyczny zamontowany na stałe, między nimi zaś wisiał przymocowany do ściany stół służący jako wspólne miejsce do pracy – oddzielał od reszty samolotu masywny panel. Drzwi z dobrej imitacji drewna wychodziły prawdopodobnie na mniejszy korytarzyk prowadzący wzdłuż lewej strony kadłuba. Przypuszczalnie są zamknięte. Raczej nietrudno byłoby je pokonać, gdyby się uprzeć. Ale z pewnością są zamknięte.

Choć z drugiej strony, zadał sobie pytanie, dlaczego to niby takie pewne?

Przecież nic nie wskazywało na to, że jest więźniem. Pas umiarkowanie napięty wokół jego tułowia był zwyczajnym pasem bezpieczeństwa, a kiedy nacisnął przycisk z boku, rozluźnił się całkowicie i teraz już nic nie zatrzymywało jego ciała na

siedzeniu poza nim samym.

Strumień świeżego powietrza płynął z wentylatora w suficie. Łagodne ciepło słońca padało zza okna. Wczoraj nafaszerował się tabletkami, a dzisiaj siedzi tutaj. Ubrany w szpitalną białą koszulę i bezkształtne spodnie, zatopiony w fotelu, który przypuszczalnie kosztował skromną roczną pensję. Jeśli to miała być śmierć, to trzeba przyznać, że nie brakuje jej osobliwego humoru.

Dziwiło go, że siedzi tutaj. Z drugiej strony czuł swego rodzaju irytację, że go to dziwi. Przez długi okres swego życia był nieustannie gotowy, gotowy na dokładnie coś takiego albo na rzeczy jeszcze gorsze od tego.

Pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego stulecia, kiedy William był trzydziestolatkiem, a świat składał się z dwóch mocarstw w różnych kolorach, bywał wielokrotnie ścigany przez różne pojazdy przez cały Sztokholm. Zatrzymywał wtedy swój samochód i według skomplikowanej marszruty przemierzał centra handlowe i domy towarowe, dokładnie tak, jak go nauczono, i za każdym razem pozbywał się prześladowców. Potem wracał do domu taksówką i prosił jednego z kolegów o przyprowadzenie swojego auta dopiero po kilku dniach, też zgodnie z ustalonymi procedurami. W willi, w której mieszkał, miał zamontowane kamery monitorujące i system alarmowy, niemal niewidoczne i najbardziej zaawansowane technologicznie, mimo to w równych odstępach czasu słyszał nieokreślone kliknięcia w swoim telefonie, a jego sąsiadów osobliwie często odwiedzali sprzedawcy obrazów, którzy po zakończonych niepowodzeniach rundkach jeszcze długo siedzieli w samochodzie, specjalnie zaparkowanym naprzeciwko domu Williama. Po prostu stanowił niezwykle interesujący cel, co było efektem ubocznym jego pracy.

Ale tak działo się wtedy. Wtedy, gdy był aktywny, młody i dobrze się zapowiadał – co, jak zwykł mówić, minęło – w czasach, kiedy jego kwalifikacje należały do wyjątkowych i poszukiwanych. Dzisiaj jest już przestarzały i zbędny. Obecnie zamiast znacznej części jego pracy prawdopodobnie wystarczyłoby kilka ciągów kodu i komputer za cztery tysiące koron z supermarketu.

Otrząsnął się z tych myśli. Przecież to nie tempo rozwoju sprawiło, że został przeniesiony. I żadne zewnętrzne siły nie spowodowały, że w końcu nie chciano go zatrzymać w organizacji i dano mu możliwość wycofania się już około pięćdziesiątki. Sam sobie wykopał dół, wskoczył do niego i kopał dalej. Doskonale to wiedział, ale przez cały czas z nieokreśloną satysfakcją przyglądał się, jak wszystko, co zbudował, obraca się wokół niego w pył.

A teraz oto siedzi tutaj. Ze sztywnymi mięśniami, szorstkim językiem i sznytem na przegubie każdego przedramienia. Na pokładzie supernowoczesnego odrzutowca. Uprawdowany, jak można przypuszczać, przez jakieś siły wojskowe.

Nie było w tym żadnej logiki.

William Sandberg został porwany.

Ale stało się to co najmniej dziesięć lat za późno.

Młody praktykant zwracał równie niewielką uwagę na newsy jak wszyscy inni w redakcji tego przedpołudnia.

Tkwiał przed dużym monitorem i czuł, jak jego senne myśli uciekają od tematu artykułu, nad którym właściwie powinien pracować, więc jak zwykle przerzucił się na długi szereg depezb, udając, że się w nie wczytuje, aby być na bieżąco, podczas gdy tak naprawdę jedyne, co robił, to unikał pracy, ale tak, żeby nie było tego widać.

Usilnie się starał skupić spojrzenie na monitorze. Widział niezmienny potok suchych relacji z agencji informacyjnych z całego świata, krótkie notatki po angielsku o wszystkim, co nie było na tyle ważne, by stało się newsem.

Przeraźliwa nuda. Jednak odrobinę mniejsza niż tysiąc piąty dzień z rzędu próbować podsumować debatę wokół przebudowy Slussen. I mimo że dziesięć na dziesięć tych depezb dało się spokojnie usunąć jednym przyciśnięciem klawisza „backspace”, bo albo news był zbyt drobny czy nieistotny, albo nie stanowił interesującego tematu dla gazety z czysto geograficznego punktu widzenia, to jednak można było twierdzić, że to, co on wykonywał, jest prawdziwą pracą. Gdyby ktoś go spytał, co robi, mógłby spokojnie odpowiedzieć, że czyta depeze. To brzmiało o wiele lepiej niż otwarte przyznanie się, że jest za bardzo skacowany, aby być w stanie pisać.

Tak więc siedział dalej, mając kolejny nieciekawny news przed sobą na ekranie komputera, i trzymał palec środkowy prawej ręki w gotowości na klawiszu „backspace”. W berlińskim zaułku znaleziono martwego bezdomnego mężczyznę; chociaż nie napisano tego wprost, między wierszami można było wyczytać, że ofiara przedawkowała narkotyki albo wypła za dużo i zamarzła we śnie na mrozie. Lokalna informacja i nic ponadto. Jedna z setek, które przewijały mu się przed oczami i z którymi nic nie robił.

Próbował powstrzymać się przed ziewnięciem, ale przegrał.

– Zabalowało się wczoraj?

Usłyszał kobiecy głos. I to blisko. A on miał wciąż otwarte usta.

Niech to szlag.

Po przyjściu specjalnie nie zdjął z głowy bejsbolówki. Ten manewr z jednej strony pozwalał mu się odgrodzić od ludzkich spojrzeń, z drugiej jednak równie skutecznie uniemożliwiał mu widzenie tego, co dzieje się powyżej górnej krawędzi monitora, chyba że uniosłby głowę jeszcze wyżej.

Tym razem tego nie zrobił. Tymczasem ona stała tutaj. Ciekawe jak długo. Na pewno wystarczająco, by zobaczyć, jak on rozdziawia paszczę na całą redakcję.

– Nie, szczególnie – odparł, ściągnając czapkę z głowy i starając się sprawić wrażenie, że miał zamiar to zrobić.

Kobieta nic nie powiedziała, czego zresztą się spodziewał, to jednak sprawiło, że poczuł się jeszcze bardziej niepewnie, czego zresztą także się spodziewał. Christina Sandberg miała co najmniej dwadzieścia lat więcej niż on, ale była atrakcyjna w niemal niewytłumaczalny sposób – ładna, naturalna, irytująco uprzejma. Irytująco nie dlatego, że ta jej uprzejmość była wymuszona czy uciążliwa, tylko dlatego, że on wolałby dopatrzeć się w niej jakiegoś niewybaczalnego mankamentu, który powstrzymałby go przed ustawicznym rzucaniem spojrzeń w jej stronę i równie skutecznie pozwoliłby mu przewyciężyć niemożność sklecenia kilku kompletnych zdań, gdy tylko próbował z nią rozmawiać.

– Już pani ma, wysłałem na pani... – powiedział z nadzieją, że nieznaczny ruch głową uzupełni to, czego nie zdołał z siebie wydusić.

Jednym z jego niepisanych obowiązków stało się przyjmowanie wiadomości podczas jej nieobecności. Kobieta skinęła głową na znak, że zrozumiała informację, po czym ruszyła do swojego gabinetu, przelotnie pozdrawiając po drodze pozostałych pracowników.

Przeszło mu przez myśl, że dzisiaj sprawia wrażenie bardziej przygnębionej niż zwykle. Ale przecież on jej nie zna, a ma dość instynktu samozachowawczego, by wiedzieć, że jego życie nie stanie się bynajmniej prostsze za sprawą nieodwzajemnionej miłości do starszej o dwadzieścia lat i odnoszącej sukcesy szefowej redakcji.

Wrócił do monitora. Do tekstu o martwym bezdomnym znalezionym w Berlinie. Przycisnął klawisz i trzy linijki informacji znalazły się w koszu, po czym omiół zmęczonym wzrokiem kolejną nikogo nieobchodzącą wiadomość.

Christina zamknęła drzwi do swojego gabinetu, powiesiła płaszcz w kolorze kawy na haku obok szklanej ściany i pozwoliła sobie na kilka sekund siedzenia z zamkniętymi oczami. Ktoś mógł ją zobaczyć, ale co z tego. Za kilka minut będzie znowu w najwyższej formie, będzie sypać szybkimi replikami i przejawiać inicjatywę, a pod koniec dnia każdy już zapomni jej przymknięte powieki.

To był ciężki poranek. A nastąpił po ciężkiej nocy, podczas której widziała, jak niosą na noszach jej byłego męża i wkładają do ambulansu. Być może zachowałyby się bardziej po ludzku, gdyby wsiadła do samochodu i pojechała za nim albo spędziła przedpołudnie na wyściełanym krześle w szpitalnym korytarzu w oczekiwaniu, aż on się obudzi, a później przycupnęła na innym wyściełanym krześle przy jego łóżku i rozmawiała, roztrząsała, pytała dlaczego.

Ale Christina długo okazywała ludzkie gesty. Tak długo, że w końcu nie mogła już dłużej, potem zachowywała się po ludzku jeszcze jakiś czas, aż wreszcie miała

dosyć. William był jak auto, którego należało się pozbyć już dawno temu – to jego własne słowa – na które wyrzuca się pieniądze, na które się chucha i dmucha, podczas gdy ono nieodwołalnie przekroczyło pewną granicę i tylko popada w ruinę, psuje się w trzech nowych miejscach na dwa zreperowane. On też nie będzie już nigdy zdrowy, bo nie chce być zdrowy. Utracił wiarę albo ochotę, albo jeszcze co innego, co zmusza ludzi do zrobienia czegoś ze swoim życiem. Niewiele brakowało, a w tym upadku pociągnąłby za sobą Christine, gdyby w końcu nie poczuła, że ma dość, i po prostu nie wyszła z ich mieszkania owego dnia przed dwoma laty.

Od tamtej pory nie była tam ani razu aż do wczoraj. Jasne, że wciąż do niej dzwonił, i za każdym razem, kiedy odbierała, dużo ją to kosztowało, ale mimo wszystko zdołała utrzymać go na dystans i powoli, stopniowo znowu stała się sobą. Co nie znaczy, że żal minął, lecz pozwalał już żyć.

I chciała, żeby tak pozostało. Nie mogła pozwolić, by znowu pociągnął ją za sobą w ciemność. Zamiast więc spędzić dzień w szpitalu, zadzwoniła do redakcji, że przyjdzie dopiero po lunchu.

Kręciła się po mieście niemal przez cztery godziny. Próbowwała odprężyć się w taki sam sposób jak zawsze: wyłączyła telefon, poszła do ogromnej księgarni przy Mäster Samuelsgatan, wybrała stos gazet i magazynów w dziale prasy zagranicznej, chociaż większość z nich mogła przeczytać za darmo w redakcji. Następnie rozsiadła się w barze Grand Hotelu, zamówiła sobie nieprawdopodobnie drogie śniadanie, mimo że rano już jadła, i została tam tak długo, aż w końcu wszystkie te wielkie światowe wydarzenia, o których przeczytała, sprawiły, że jej własne problemy wydały się niewielkie i nieistotne. Gdy uznała, że już wystarczy, nie przejmując się listopadowym chłodem, ruszyła na piechotę przez całe miasto z powrotem do redakcji na Kungsholmen.

Wiedziała, że kara za to dosięgnie ją bardzo szybko. Tysiące pytań od wszystkich współpracowników, rozmowy telefoniczne, które powinna była odbyć, teksty, które powinny być już napisane. Ale teraz była gotowa stawić temu czoło.

Włączyła komórkę. Zaczęła sprawdzać w komputerze swoją wewnętrzną pocztę, podczas gdy aparat logował się na nowo i porozumiewał się z najbliższym masztem, wreszcie pokazał się w sieci i zameldował różnym serwerom, że jest z powrotem.

Ta wiadomość spadła na Christine jak grom z jasnego nieba.

Dokładnie w momencie, gdy rozległo się piknięcie telefonu, by poinformować ją o trzydziestu nieodebranych połączeniach, zobaczyła cztery mejle od praktykanta, w których powiadamiał ją, że dzwonił do niej ze szpitala i prosili, by się z nimi skontaktowała.

Jej współpracownicy mogli nawet nie pamiętać, że Christina Sandberg zaczęła dzień pracy od siedzenia w gabinecie z zamkniętymi oczami, ale na pewno żaden

z nich nie zapomniał, że skończyła go już cztery minuty później. Ruszyła pędem przez biuro ze ściśniętym gardłem i telefonem komórkowym w dłoni.

William pozostał w swoim lotniczym fotelu co najmniej przez dziesięć minut, zanim odważył się ruszyć. Nasłuchiwał jakichkolwiek odgłosów, rozmów, najdrobniejszych znaków, które pomogłyby mu zrozumieć, gdzie się znajduje i w którym towarzystwie.

Nic jednak nie naprowadzało go na żaden trop.

Jedyne, co do niego docierało, to cichy szum silników i pojedyncze trzaski w powłoce maszyny, kiedy zakołysała się po wpadnięciu w dziurę powietrzną, ale nie słyszał niczych głosów, niczych kroków, niczego, co potwierdzałoby, że ktoś jeszcze jest na pokładzie. Co było oczywiste.

Nagle poczuł, że jest głodny. Usiłował ustalić, kiedy ostatni raz coś jadł, ale nie potrafił. Po pierwsze, nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Po drugie, w szpitalu dostał kroplówkę, co przypuszczalnie sprawiło, że głód odezwał się później niż w normalnej sytuacji.

Szkoda. Nie miał pojęcia, która mogła być godzina. Gdyby to wiedział, może byłby w stanie określić, gdzie jest i dokąd zamierzają go zabrać. Kimkolwiek są.

Zerknął na panel oddzielający go od reszty samolotu. Przez ułamek sekundy miał ochotę przycisnąć guzik z wizerunkiem wystylizowanej stewardesy, doszedł jednak do wniosku, że to głupi pomysł, i dał spokój. Zamiast tego podniósł się z fotela – stanął, lekko pochyliwszy plecy, mimo że kabina okazała się wystarczająco wysoka, by mógł się całkiem wyprostować i mieć jeszcze dobre dziesięć centymetrów nad sobą – i po wykonaniu dwóch ostrożnych kroków znalazł się przy drzwiach.

Zawahał się. Rozważał możliwości.

Wysoki standard wyposażenia samolotu sprawiał, że huczenie w tle było znacznie cichsze niż podczas dowolnego lotu pasażerskiego, ale i tak wystarczało, by zagłuszyć jego ruchy. Jeśli więc czekali na niego po drugiej stronie drzwi, raczej wątpliwe, by usłyszeli, że właśnie wstał i się przemieścił. Teoretycznie mógłby zapewnić sobie całkiem niezłą przewagę przez zaskoczenie.

W praktyce efekt zaskoczenia minąłby, zanim on zdążyłby go wykorzystać. Bo ciągle jeszcze nie zdołał dojść do siebie po wszystkich tych środkach, które sobie zaaplikował w czasie ostatniej doby, i daleko mu było do wcześniejszej formy. To, co z pewnością udałoby mu się kilkanaście godzin temu, teraz nie miałyby szansy powodzenia.

Ale tak czy inaczej nie mógł tutaj stać i stać.

Postanowił wyjść. Niezależnie od tego, co go czeka.

Ujął okrągłą klamkę. Zimny metal w dłoni.

Przekreślił. Ostrożnie. Obróciła się swobodnie; po ćwierci obrotu zamek kliknął i drzwi się otworzyły.

Wbrew oczekiwaniu nikt nie stał po drugiej stronie. Żadnej broni, żadnego mrocznego spojrzenia, nikogo, kto by mu powiedział, że ma siedzieć w środku, dopóki go ktoś nie wezwie. Zrobił krok do przodu, zatrzymał się i rozejrzał dokoła. Wzdłuż lewej strony kadłubu samolotu biegł, jak się spodziewał, wąski korytarz. Podłogę szczelnie przykrywał puszysty dywan, który musiał kosztować majątek, ściany z takimi samymi owalnymi okienkami jak tam, gdzie się obudził, były wyłożone ognioodporną sztuczną skórą, a w przedniej części maszyny, zaledwie kilka metrów dalej, korytarz się rozszerzał i przechodził w tradycyjną kabinę z co najmniej dwudziestoma fotelami, równie luksusowymi jak te w jego saloniku, rozmieszczonymi po dwa po obu stronach przejścia.

Jeśli William spodziewał się jakiejś wielkiej reakcji na swoje *entrée*, to musiał pogodzić się z faktem, że się mylił.

Na samym końcu, przy zamkniętych drzwiach do kokpitu, siedziało w fotelach dwóch mężczyzn. Jeden, odwrócony do niego plecami, nawet się nie obejrzał, a ten, który siedział naprzeciwko niego, tylko podniósł wzrok, zauważył, że William przyszedł, i na tym poprzestał.

William rozpoznał go od razu. Garnitur, krótka fryzura, wojskowa powaga na chłopięcej twarzy. Jeden z dwóch, którzy czekali na niego za drzwiami szpitalnej sali. To on trzymał w dłoni coś, co przypominało błyszczące drogie wieczne pióro, i to on wbił mu owo coś w kark z wyraźnym mechanicznym sprężynowym kliknięciem. To był ostatni wniosek, do jakiego doszedł William, zanim obudził się w miejscu, w którym jest teraz.

Mężczyzna od zastrzyku mrugnął do Williama, dając mu sygnał, że został dostrzeżony, po czym obrócił swą wystrzyżoną głowę w prawą stronę. Trio było w komplecie. Za rogiem ścianki oddzielającej salonik, gdzie William przed chwilą się obudził, siedział ten sam młodzian, który rozmawiał z nim w szpitalu. Odłożył gazetę – niemieckojęzyczną, jak William zdążył zauważyć, zanim zniknęła w kieszeni na oparciu przedniego siedzenia – i wstał. Nie sprawiał groźnego wrażenia, ale nie wyglądał też przyjaźnie. Uśmiech na jego ustach był raczej automatyczny, a nie stanowił oznaki ludzkich uczuć.

– Obudził się pan – stwierdził.

William ograniczył się do obojętnego spojrzenia, jakby dla podkreślenia, że odpowiedź wydaje się oczywista. Jeśli nie jest w stanie zwyciężyć ich fizycznie, to przynajmniej może spróbować wygrać z nimi sarkazmem.

Mężczyzna wytoczył się w środkowe przejście i stanął przed Williamem, lekko pochylając swój wytrenowany tors pod sufitem samolotu – miał co najmniej dwa metry wzrostu, imponujący byczy kark i potężną szyję, widoczną spod specjalnie

rozpiętej pod szyją koszuli. William stał nieporuszony, czekał, co się wydarzy. Był przygotowany na dwie możliwości. Albo zaproszą go, by się przysiadł do pozostałych, albo każą mu wrócić do saloniku, zająć tam miejsce i być cicho.

Nic z tych rzeczy.

– Przybory toaletowe są w szafce ściiennej w pana pokoiku – poinformował byczy kark. – Gdyby miał pan ochotę doprowadzić się do porządku.

– W związku z czym? – spytał William.

Mężczyzna nie odpowiedział na pytanie, jakby go w ogóle nie słyszał.

– Łazienka znajduje się z tyłu.

A więc to tak. William skinął głową w podziękowaniu. Atmosfera nadal nie była wroga, ale też i nie serdeczna.

– Domyślam się, że jeśli spytam o cel naszej podróży, nie odpowie mi pan również na to, czy tak? – rzekł William.

– Przykro mi.

– Skoro tak pan twierdzi. Może więc warto byłoby z kimś porozmawiać.

Powiedział to z obojętnym uśmiechem, ale mężczyzna nie wyglądał bynajmniej na ubawionego. Albo rozzłoszczonego. Czy tym bardziej strapionego, mimo wcześniejszych zapewnień. Miał niewzruszone, wyzywające i całkowicie beznamienne spojrzenie.

– Z tyłu? – dopytał William, właściwie wcale nieciekawym. Byczy kark skinął głową w odpowiedzi.

Dotarcie z Kungsholmen z powrotem na Kaptensgatan zajęło Christinie nie więcej niż trzydzieści minut, mimo że popołudniowe godziny szczytu już się zaczęły. Dwukrotnie wymusiła na biednym taksówkarzu przejechanie na czerwonym świetle, a raz on sam z własnej inicjatywy skrócił sobie drogę przez chodnik, i oto stała już po raz drugi dzisiaj przed drzwiami swojego dawnego mieszkania.

Komórkę trzymała w dłoni. Była jeszcze ciepła, bo przez całą drogę przyciskała ją sobie do ucha. Czasami krzyczała, niekiedy cierpliwie tłumaczyła, jakby ci, z którymi rozmawiała, byli dziećmi, a ona rodzicem o nerwach napiętych do granic możliwości.

– Jak, u diabła, można zgubić dorosłego człowieka! – powiedziała za którymś razem, widząc w lusterku wstecznym spojrzenie szofera. – Można zgubić jakąś rzecz! W ostateczności dziecko! Ale nie, do jasnej cholery, pacjenta, który usiłował odebrać sobie życie!

A jednak tak się stało.

Przeszukano cały szpital, zebrano personel, przepytano świadków. Nikt jednak

nie miał zielonego pojęcia, jak, dlaczego ani kiedy William Sandberg zniknął ze szpitala Karolinska. Wciąż sprawdzano nagrania z kamer monitorujących, na których zamontowanie szpital otrzymał zgodę, ale na twardych dyskach, podobnie jak w rzeczywistości, nie znaleziono śladów obecności Williama.

Christinie płonęły policzki, kiedy wyłączyła telefon, i nie miało to nic wspólnego z temperaturą baterii. Kipiała ze wzburzenia. Świat jest pełen idiotów. Taksówkarz był jednym z nich, ale mimo to zaokrągliła należność za kurs – pomyślała, że w końcu zasłużył sobie, ryzykując utratę prawa jazdy – po czym puściła się schodami na górę, przekonana, że jej były mąż znowu spróbował. I równie mocno pewna, że tym razem mu się udało.

Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, kiedy weszła do mieszkania należącego kiedyś do niej, to wyraz twarzy policjanta w średnim wieku, który wpuścił ją do środka. Jego zarost sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się zdecydować, czy jest prawdziwą brodą, czy tylko wyjątkowo niedbale ogolonym zarostem, a pośród tych wszystkich sterczących kłaków otwierały się usta jakby łapczywie chwytające powietrze albo szukające słów – lub jedno i drugie. Ale podczas gdy one nadal czekały na odpowiednie frazy, oczy powiedziały już znacznie więcej. „Jest nam strasznie przykro. Ale mamy złe wiadomości”.

– Czy on nie żyje? – spytała.

To pytanie wymknęło się jej tak nagle, że zaskoczyło ją samą. Czy nie należało raczej spytać: „Jak on się czuje?”. Albo przynajmniej: „Czy on żyje?”. Jednak w głębi ducha miała tak ogromną pewność, co się stało, że nie dostrzegła żadnej innej możliwości.

Tym bardziej się zdziwiła, gdy w końcu policjant rzucił:

– Nie wiemy.

– Nie wiecie? – powtórzyła.

Kiedy nie odpowiedział, zapytała:

– Czy on jest tutaj?

Nie odezwał się. Zasepiony obserwował własne stopy. Za jego plecami ujrzała kręcących się po mieszkaniu innych policjantów, ale nie zauważyła żadnych pojedynczych błysków flesza.

Mężczyzna zawahał się. Jego kolejne pytanie było niezręczne, jednak musiał je zadać.

– Czy w państwa związku były problemy?

– Rozstaliśmy się dwa lata temu. To chyba jest wystarczający problem.

Usta pośród zarostu nie wiedziały, czy mają się uśmiechnąć na to gorzkie stwierdzenie, czy wyrazić współczucie, więc zrobiły, co najlepsze w tej sytuacji – dalej łapczywie chwytaly powietrze.

– Gdzie on jest? – spytała ponownie.

Policjant przesunął się na bok i wskazał głową, by weszła do środka.

– Sądźmy, że zdecydował się prysnąć.

Minęło kilka sekund, zanim zdołała pojąć, co on powiedział. Prysnąć?

Paroma szybkimi krokami przeszła we wskazanym kierunku: minęła długi ciąg kuchennych szafek, potem pokój dzienny, bibliotekę. Dokładnie tę samą trasę pokonywała w niezliczone poranki w swym poprzednim życiu, owinięta tylko w płaszcz kąpielowy albo ręcznik, a czasami zupełnie bez niczego, szczęśliwie nieświadoma tego, że kiedyś będzie pospiesznie przemierzać te same kąty, aby wyjaśnić policjantom w gabinecie Williama, że mężczyzna, który nie chce żyć, raczej nie zadowolony się „pryśnięciem”.

Gdy weszła do pokoju, stanęła jak wryta.

Spotkała spojrzenia dwóch funkcjonariuszy sterczących przy jego biurku – niewykluczone, że to technicy, nie miała pewności. Rozejrzała się. Nie była tutaj od chwili, kiedy z Williamem zdecydowali się na separację, ale tak samo jak oni wiedziała od razu, że czegoś brakuje. A mówiąc dokładnie: brakuje wszystkiego.

Wzdłuż ściany na prawo od drzwi biegł długi blat biurka, umieszczony pod oknem z widokiem na dachy i kominy Östermalmu, na niewielkie wykusze i tarasy na dachach z meblami ogrodowymi kosztującymi trzy razy więcej, niż były warte. Na prawo od biurka stała głęboka szafa serwerowa, a w niej stelaż na twarde dyski i komputery połączone kablami z centralnym routerem w środku.

Mówiąc dokładnie: to wszystko powinno znajdować się w szafie.

Tymczasem była pusta, podobnie jak całe biurko. Pożółkłe plamy wskazywały miejsce po nóżkach dwóch dużych płaskich monitorów, które stały tam jeszcze niedawno. Na ścianie po obu stronach okna widniały półki, gdzie William przechowywał swoje segregatory i opasłe książki na temat statystyki, kodów, chaosu i innych rzeczy, o które przestała go pytać już dawno, dawno temu. One również ziały pustką. Uprzątnięte ze wszystkiego.

Pokręciła głową. Zdecydowanie. To było nieme „nie”.

Policjanci spojrzeli na nią, czekając, aż im wyjaśni, co o tym sądzi.

– Włamanie – powiedziała.

Dwaj technicy nie odezwali się ani słowem, tylko popatrzyli na siebie, jakby wiedzieli więcej niż ona.

– On nie prysnął – rzekła. W jej głosie brzmiała nuta desperacji, doskonale ją słyszała. Odczekała chwilę, jakby dla podkreślenia, że to wprost niepojęte, iż nie wyciągnęli takiego samego wniosku sami. – On nie miałby gdzie prysnąć i nie istnieje nic takiego, co by go dokądkolwiek pchało, rozmawiałam z nim wczoraj przez cały wieczór! Dlaczego ktoś taki miałby gdzieś zniknąć?

Mężczyźni nadal się nie odezwali, tylko zerknęli na nią ze współczuciem, po czym wymienili spojrzenia z kimś za jej plecami. Z policjantem z zarostem. Nie

słyszała, aby wszedł za nią, a teraz stał tutaj i poruszał ustami jak wyrzucona na brzeg ryba, podczas gdy wszyscy czekali, by coś powiedział.

– Nie wiemy *dlaczego* – rzekł, jakby sam fakt nie podlegał już dyskusji. Następnie skinął głową, co miało znaczyć: „Proszę za mną”.

Pozwoliła, by poprowadził ją przez mieszkanie, które знаła lepiej od niego, aż do ich sypialni. Nic się tu nie zmieniło, ten sam zapach ścian, podłogi oraz obić, i zanim zdążyła się przed tym obronić, zawładnęły nią wspomnienia, których nawet nie była świadoma. Jak sprzedali willę. Jak przeprowadzili się do miasta, bo wydawało im się, że tu im będzie lepiej. Jak w końcu odzyskali życie dla siebie, jedynie oni dwoje.

Gdyby tylko wtedy wiedzieli.

Sypialnia była posprzątana, łóżko pościelone, policjant wszedł do środka i obejrzał się, aby sprawdzić, czy ona idzie za nim. Przystanął przed ich dawną garderobą. Rozsunął duże drzwi i spojrzał na nią wymownie.

Rzeczywiście, słowa okazały się zbędne.

Garderoba stała pusta.

Marynarki i garnitury Williama, starannie wyprasowane koszule, dosłownie wszystko zniknęło. Zostały puste półki po bieliźnie, po butach. Wyglądało na to, że oni mają rację. Sęk jednak w tym, że ona wiedziała, iż jest inaczej.

– Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu mój były mąż próbował odebrać sobie życie – powiedziała. – Naprawdę uważacie, że teraz tak po prostu spakował swoje manatki i gdzieś sobie wyjechał?

– Według informacji sąsiada z naprzeciwka około dwunastej dwóch pracowników z firmy przeprowadzkowej Stockholms Stadsbud wynosiło z mieszkania kartony.

– Ze Stockholms Stadsbud albo w koszulach z napisem Stockholms Stadsbud?

– Co pani ma na myśli?

Pozostawiła jego pytanie bez odpowiedzi. Jeśli nic mu nie powie, może sam zacznie jej szukać. Lepiej zmusić kogoś do samodzielnego myślenia, niż serwować mu gotowe rozwiązanie. Zwłaszcza gdy w gruncie rzeczy nie ma się żadnego.

Odwróciła się więc i opuściła sypialnię.

Obeszła całe mieszkanie. Kuchnia, jadalnia, pokój gościnny – przeklęty pokój gościnny, minęła go zdecydowanym krokiem, starając się nie myśleć – i przekroczyła próg salonu. Mieszkanie było zadbane, niemal pedantycznie, nadal świadczyło o wyrafinowanym smaku ich obojga. Były mąż niewiele w nim zmienił po jej wyprowadzce i gdyby go tak dobrze nie знаła, pewnie by się dziwiła, że zdołał utrzymać je w stanie, w jakim je teraz zastała, nie dopuściwszy do tego, żeby podupadało wraz z nim.

Ale ona doskonale wiedziała, że on taki właśnie jest. Porządek z chaosu. Schemat i logika. Tylko w ten sposób potrafił żyć; kiedy wszystko inne wkoło niego się waliło,

on tutaj znajdował schronienie. Człowiek nie przestaje być pedantem, nawet gdy wszystko się rozpada. Wręcz przeciwnie.

Na koniec znalazła się z powrotem w jego pokoju do pracy. Obaj technicy dołączyli do nieogolonego w innej części mieszkania, toteż stała tutaj teraz zupełnie sama i patrzyła na przedmioty, których już tu nie było.

Komputery.

Książki.

Drogi czarny notes, który kochał i którego jednocześnie nienawidził, i nigdy nie mógł się zdobyć na to, żeby go używać, z jednej strony dlatego, że symbolizował piękne wspomnienie, a z drugiej ponieważ nie chciał o nim pamiętać.

Jakby to była wina notesu, że istnieją wspomnienia. Jakby William chciał zakonserwować to, co jasne, zapominając o tym, co było potem. Jakby wszystko, co zdarzyło się później, mogło nigdy nie mieć miejsca, jeśli tylko nie będzie się grzebać we wspomnieniach.

Musiała mocno potrząsnąć głową i skierować spojrzenie za okno, aby uwolnić się od tych myśli.

Czaiły się tuż-tuż, wiedziała o tym.

Wszystkie uczucia, myśli i zaniechania. Których on się dopuścił i z którymi ona nauczyła się żyć.

Skupiła się na obecnej sytuacji.

To zupełnie nieprawdopodobne.

Nieprawdopodobne, żeby tak po prostu zniknął.

Znała go. Wiedziała, że nie miał gdzie się wybrać. A poza tym z jakiego powodu opuszczałby jedyne miejsce, w którym wciąż czuł się bezpiecznie? A komputery? Po co miałby je ze sobą zabierać?

Nic się nie zgadzało.

Czuła to już za pierwszym razem, kiedy weszła do tego pokoju.

Czegoś brakowało.

Nie umiała jednak za nic w świecie powiedzieć czego. Stała długo, usiłując zrozumieć, czy to tylko naturalne następstwo faktu, że nie była w tym mieszkaniu przez ostatnie lata, czy też jej podświadomość odkryła coś, czego ona sama jeszcze nie rozumiała.

Zamknęła oczy, próbowała wyobrazić sobie pokój tak, jak wyglądał wtedy. Przepelnione, ale pedantycznie uporządkowane półki. Teczki, papiery, pióra, które kochał – był jedyną osobą, jaką znała, mogącą spędzać godziny wśród regałów z piórami w jednym sklepie papierniczym za drugim – wszystko w równych rządkach i starannie poukładane. A teraz to zniknęło. Wszystko. Co jeszcze? Co poza tym powinno być tu znajdować, czego ona już nie pamięta?

Podeszła do biurka. Wyrzała przez okno. Odwróciła się. Spojrzała na pokój

z innej perspektywy.

I nagle stanęła jak wryta.

No jasne.

Nie chodziło o to, czego brakuje.

Chodziło o to, czego powinno brakować.

Przybory toaletowe w niewielkiej szafce zaskoczyły Williama w stopniu, jakiego nigdy by się nie spodziewał.

Nie dlatego, żeby były szczególnie wyjątkowe same w sobie. Po prostu to były jego własne przybory.

Ujrzał czarną nylonową kosmetyczkę, którą zawsze miał przy sobie w podróży, a przynajmniej wtedy, kiedy jeszcze nieustannie wyjeżdżał, a cała jej zawartość pochodziła z jego własnej łazienki, począwszy od golarki przez szczoteczkę do zębów aż po płyn po goleniu.

Na cienkim wieszaku wisiała jedna z jego marynarek, pod nią jedna z jego koszul, a poniżej jedno z jego dżinsów. Na podłodze stały brązowe buty – wprowadzić nie te, które sam by wybrał, ale też jego własne – a obok leżała zwinięta w kłębek para z jego licznych skarpetek i starannie złożona bielizna.

Wszystko to pochodziło z jego mieszkania.

Zamiast podrzucić mu standardowy zestaw byle jakich akcesoriów toaletowych, sprowadzić typowe ubranie z domu towarowego gdzieś po drodze i kazać mu się tym zadowolić, oni dostali się do jego mieszkania i zabrali jego osobiste rzeczy.

To sporo mówiło.

Po pierwsze, znaczyło, że dokądkolwiek teraz zmierzają, chyba pozostaną tam długo.

Ale jednocześnie wynikało z tego, że chcieli, aby czuł się komfortowo. Czyli jest dla nich ważny. Bez względu na to, z jakiego powodu go uprowadzili, zależało im na tym, aby czuł się jak w domu, a nawet by miał wrażenie, że jest ich gościem.

W takich warunkach da się wytrzymać, pomyślał.

Zwłaszcza że nie miał innego wyboru.

Spojrzał na pozbawione twarzy wydanie własnej powłoki cielesnej na wieszaku. Ściągnął z siebie szpitalną koszulę, włożył swoje ubranie i boso przeciął korytarzyk.

Łazienka była świeża i nadspodziewanie obszerna jak na samolot. Co jednak nie przeszkadzało, by uznać ją za niesłychanie małą jak na łazienkę. Przejście przez wszystkie normalne czynności składające się na poranną toaletę wymagało niemałego wysiłku.

William Sandberg nie żałował sobie czasu. Ogolił się, umył cały tors, nawet pochylił głowę nad białą umywalką wyglądającą jak z marmuru – on jednak nie dał się oszukać – dwukrotnie polał sobie włosy szamponem tylko po to, by poczuć, jak woda zimnym strumieniem oblewa całą jego głowę.

To było miłe doznanie. Zupełnie go zaskoczyło.

Upajał się nim przez kilka chwil, zdając sobie sprawę, że niezależnie od tego, co go czeka, powinien być trzeźwy i przytomny.

Stał tak, gdy nagle poczuł, że zatkały mu się uszy.

Czyżby spadali?

Kciukiem i palcem wskazującym zacisnął sobie skrzydełka nosa, starając się wyrównać ciśnienie. W tym momencie usłyszał także w huku silników ten obniżony ton, który mógł oznaczać tylko jedno, a chwilę potem stwierdził, że prawie już go nie słyszy, i zacisnął nos jeszcze raz.

Czekał. To mogła być zmiana kursu, nowa wysokość; w takiej sytuacji powinni za moment znowu wyrównać, uszy zaraz się przyzwyczają do innego ciśnienia i wróci wcześniejsza monotonna i dudniąca cisza.

Jednak samolot wciąż się obniżał. Skręcił, skorygował kurs. Na krótką chwilę wyrównał, ale potem opadał znowu. William odczuwał lekkie ssanie w dołku za każdym razem, gdy obniżanie się maszyny igrało z siłą grawitacji, czyniąc nacisk ciała na podłogę w miejscu, w którym stał, nieco lżejszym. Nie było wątpliwości. Przygotowywali się do lądowania.

Tylko gdzie?

Kiedy się obudził, słońce mówiło mu, że lecą na wschód. Być może na południowy wschód, wszystko zależało od tego, która w rzeczywistości była godzina i gdzie naprawdę znajdowało się słońce. Tak czy inaczej trudno to uznać za wiarygodną wskazówkę. Ponieważ nie ma żadnej gwarancji, że cały czas trzymali ten sam kurs.

Wcale nie łatwiej było ocenić, jak długo już lecą. Słońce znajdowało się dosyć wysoko, kiedy ocknął się w szpitalu, mogła być jedenasta przed południem albo dwunasta. Później go uspili, przewieźli na lotnisko. Bromma? Arlanda? Żadne inne nie były już używane. Swoją drogą jak można przetransportować na pokład nieprzytomnego mężczyznę, nie wzbudzając zainteresowania personelu naziemnego? Jeśli jednak przyjąć, że samolot stał już gotowy i czekał, i wszystkie papiery zostały załatwione, mogli znaleźć się w powietrzu najszybciej godzinę później.

To dość mocno przybliżone wyliczenie, lecz dawało mu przynajmniej jako taką orientację. Słońce wciąż znajdowało się w górze. Co oznaczało, że nie mogli być w powietrzu dłużej niż dwie, trzy godziny. Niewątpliwie krócej, jeśli lecieli na wschód, ku wieczorowi, a dłużej, jeżeli zmierzali na zachód, jednak wszystkie te

kalkulacje miały tak szeroki margines błędu, że można by go pokryć asfaltem i wykorzystać jako drogę w ruchu lokalnym. Mimo to uznał, że w całej tej sytuacji owa różnica jest nieistotna.

Skoncentrował się zatem na różnych możliwościach. Doszedł do wniosku, że istnieją dwie. Albo znajdują się gdzieś nad południową Europą, albo nad Rosją. Bądź gdzieś między nimi.

Jego myśli zatrzymały się na jednym z tych miejsc.

Rosja?

Taka odpowiedź byłaby oczywista *wtedy*. Ale dzisiaj?

Jaka w tym logika?

Jednak z drugiej strony – zwrócił sam sobie uwagę – czy jest jakakolwiek logika w tym, co właśnie mu się przytrafiło? I dlaczego jemu? Dlaczego teraz? Jaką on może mieć dziś wartość i dla kogo? Otrząsnął się z tych myśli. Zasuwał z powrotem zamek błyskawiczny w swojej kosmetyczce. Stopniowo powinien uzyskać odpowiedzi na te pytania.

Ostatnie spojrzenie w lustro.

Wyglądał stosunkowo świeżo jak na kogoś, kto miał być trupem.

Otworzył drzwi łazienki.

Mężczyźni w garniturach już na niego czekali.

Stali w przejściu tuż przy drzwiach. Za oknem wzdłuż kadłuba mignęło szare pasmo chmur, niewielkie krople wilgoci przesuwają się po pleksiglasowej szybie.

– Domyślam się, że powinienem zająć miejsce i zapiąć pasy? – powiedział William. Uśmiechnął się grzecznie, nie licząc jednak na to, że ów skromny komitet zgromadził się tu tylko z tego powodu. I rzeczywiście: byczy kark odwrócił się w bok, jakby torując drogę swoim dwóm kolegom:

– Proszę o wybaczenie – rzekł. – Tak będzie łatwiej dla wszystkich.

William zrozumiał.

I po raz drugi zobaczył, jak wystrzyżony robi krok w jego stronę z charakterystycznym wiecznym piórem w dłoni. Sekundę później syntetyczna mieszanka rozeszła się po ciele Williama Sandberga, spowolniła jego pracę, wyłączyła je i sprawiła, że wszelkie otaczające go odgłosy pochodzące z luksusowej maszyny zniknęły w tunelu nieprzeniknionej czerni.

Christina Sandberg załatwiła to krótko. Najpierw za pomocą aparatu w telefonie udokumentowała każdy kąt pokoju do pracy, następnie wcisnęła policjantom swoją wizytówkę i oznajmiła im, co miała do powiedzenia, bez odrobiny wahania w głosie.

Zanim którykolwiek z nich zdążył zaprotestować czy zadać dodatkowe pytania, pospiesznie wyszła z mieszkania, pozostawiając ich ze zgłoszeniem.

William Sandberg został uprowadzony, a biorąc pod uwagę jego życiorys, można było uznać za więcej niż pewne, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Kilka chwil później echo jej obcasów stukających o kamienne stopnie, a potem o posadzkę sieni ucichło w ciężkich drzwiach prowadzących na ulicę. Miała to być jej ostatnia wizyta w mieszkaniu przy Kaptensgatan.

Janine Charlotta Haynes przyłgnęła do kamiennej ściany z sercem bijącym tak mocno, że aż się bała, że ktoś je usłyszy.

Zamknęła oczy. Skupiła się na tym, by oddychać najciszej jak tylko potrafiła, by nie szurać nogami o podłogę i nie dopuścić do tego, aby gruba koperta, którą wetknęła sobie w majtki, ocierała się o ubranie i wywoływała jakikolwiek szelest.

Nie słyszała teraz dwóch mężczyzn. Wiedziała jednak, że są zaledwie metr od niej.

A może jest ich trzech, nie miała pewności. W momencie, gdy usłyszała echo ich głosów rozchodzące się w szybie spiralnych schodów, zatrzymała się raptownie, rozejrzała za jakąś kryjówką i rzuciła w prowadzący nie wiadomo dokąd mały korytarzyk. Był nieoświetlony. Janine przywarła mocno do ściany, gdy tylko się zorientowała, że tamci wchodzą na to samo piętro, po czym zatrzymują się niemal przy niej, tyle że po drugiej stronie wąskiej niszy w murze.

Stali tam teraz, tak cicho i spokojnie jak ona. Mogła mieć jedynie nadzieję, że jej nie słyszą. Nie potrafiłaby wyjaśnić, co tu robi. W gruncie rzeczy w środku nocy.

Biegła.

I teraz za to płaciła.

Biegła najszybciej jak potrafiła, bosą, żeby nie robić nawet najmniejszego hałasu na kamiennych korytarzach, śmiertelnie przerażona, ale jednocześnie świadoma tego, że być może to jej jedyna szansa.

A teraz stała tutaj, organizm domagał się tlenu, ona zaś robiła wszystko, by zwalczyć ten odruch.

Oni nie mogą jej usłyszeć.

Stała całkowicie nieruchomo.

Słuchała bicia własnego serca.

I wtedy, w tej ciszy, jeden z nich się odezwał.

Głos rozległ się tak blisko, że można było odnieść wrażenie, iż zwraca się wprost do niej, ona zaś już, już miała zaczerpnąć powietrza, jednak w ostatniej chwili się powstrzymała i jeszcze mocniej przyłgnęła do muru. Próbowwała wsłuchać się w ich słowa. Skupić się na zrozumieniu, co mówią.

Wychwytywała pojedyncze wyrazy. Bezpieczeństwo?

Niech to szlag. Jej francuski był do niczego. Uczyła się go przez dwa semestry w szkole średniej, ale przyjęła sobie za punkt honoru przykładać się do nauki najmniej jak się da, mimo że nauczycielka ostrzegała ją, że pewnego dnia będzie tego żałować. I oto teraz Janine stała w tym kamiennym korytarzu, boleśnie świadoma, że

kobieta miała rację.

Znowu. *Securité*. Czy chodzi o nią?

Ponownie przymknęła oczy. Gdyby ktoś nagle się zorientował, że zniknął plastikowy prostokąt, który ona trzyma w kieszeni, to najgorsze, co mogłoby się teraz zdarzyć. To jej jedyne wyjście, jedyny ratunek, zacisnęła więc mocniej palce na nim, jakby to miało coś zmienić.

Nie mogą jej tu znaleźć.

Nikt nie wie, gdzie jest. Jeśli ci tutaj postanowią ją zabić, nic ich przed tym nie powstrzyma i nikt się o tym nie dowie. Bo prawdopodobnie nie ma już nikogo, kto by jej jeszcze szukał.

Odegnęła tę myśl.

On nigdy nie przestanie.

A może jednak?

Wmawiała sobie, że jest inaczej. To było pół roku, które wywróciło jej życie do góry nogami. Nie wiedziała, dla kogo pracuje ani po co, ani czy to, co robi, jest moralne czy też paskudne albo może nie do końca określone.

Wiedziała jedynie tyle, że musi to opowiedzieć.

I że on jest jedyną szansą.

I że ci tutaj nie mogą jej usłyszeć.

Po czterech minutach, które dla niej trwały całą wieczność, jeden z rozmawiających mężczyzn nagle uciszył drugiego.

Od ciszy, jaka zapanowała, jej ciało przeszył dreszcz, strach o metalicznym posmaku podszedł jej do gardła. Czyżby ją usłyszeli? Czy straciła nad sobą kontrolę i zaczęła oddychać za szybko? Czy oni już wiedzą, że ona tu stoi?

Wstrzymała oddech. Odliczała.

Raz. Dwa. Trzy.

Płuca płonęły, ale ona się nie poddawała.

Cztery. Pięć.

I w końcu: jakiś hałas.

Nadlatywał helikopter...

Nie, to tylko donośny warkot jakiegoś samochodu, ale dał jej szansę na zaczerpnięcie powietrza. Dokładnie w chwili, gdy nabrała tchu, jeden z mężczyzn znowu się odezwał. Przyłumionym głosem rzucał prosto przed siebie krótkie potwierdzające słowa. Głównie mówił ten, kto go wezwał przez słuchawkę w uchu.

Okay. D'accord. Bien.

Rozmowa się skończyła. Mężczyzna ruszył z miejsca. Rozległ się odgłos zdecydowanych kroków oddalających się korytarzem, ich echo stopniowo ucichło i w końcu całkiem zamarło.

Poszli sobie, omijając niszę, w której stała.

W porządku, powiedziała do siebie. Teraz.

Odepchnęła się od ściany, wyskoczyła na korytarz niczym pływak zawracający po odbiciu się od brzegu basenu, i kazała swym nagim stopom nieść się najszybciej jak potrafiły. Czuła kłujący ból w piętach za każdym razem, gdy nieubłagane uderzały o kamienną posadzkę; najważniejsze jednak, że znowu zmierzała do celu, a jeśli chciała do niego dotrzeć, musiała się spieszyć. Zacisnąwszy zęby, ignorowała więc sygnały wysyłane przez własne ciało i biegła dalej w tym samym kierunku co wcześniej.

Minęła klatkę schodową. Skręciła w korytarz po prawej. Następna klatka schodowa. Nowy korytarz, drugie schody. Ciężkie drewniane drzwi otwierały się same. Za każdym razem wyjmowała z kieszeni plastikowy prostokącik, przykładając go do puszki przy klamce i słyszała lekki szum, kiedy zamek ustępował, umożliwiając jej wejście do środka. I za każdym razem uważnie wsłuchiwała się w ciszę, a upewniwszy się, że jest sama, biegła dalej.

Niżej, jeszcze niżej, dwa poziomy w dół. Tu panowała wilgoć. Prawdopodobnie to podziemny poziom. Żadnych okien ani lufcików, niczego, co mogłoby wskazywać, że na zewnątrz w ogóle istnieje jakiś świat. Poczucie zamknięcia w więzieniu stało się w tym miejscu jeszcze silniejsze.

Znalazła się tu, na dole, dopiero trzeci raz. Ze wszystkich sił starała się przypomnieć sobie ze szczegółami drogę i dzięki temu była przygotowana na każdą przeszkodę, zanim ta się pojawiła. Każdy załom muru, każde drzwi, każde schody. Biegła przez korytarze, każdy jej krok, każde uderzenie jej miękkich stóp o kamienne podłoże wywoływało głuchy odgłos. Nie zwolniła tempa, zanim nie dotarła do celu.

Pomieszczenie za niezamkniętymi drzwiami wyglądało jak pokój wartownika. A mówiąc dokładnie: jakby kiedyś nim było. Za szybą stało biurko, ściany wypełniały drewniane skrzynki na listy, a pod jedną z nich piętrzył się stos pudeł.

Od czasu, kiedy była tutaj ostatni raz, zaszły prawie niezauważalne zmiany. Zniknęły stare sterty papierów, przybyły za to inne, kubki z zaschniętymi resztkami kawy zastąpiono świeżymi. To pomieszczenie wyglądało na używane. Nie śmiała w to wierzyć, ale taka była prawda.

Weszła do środka. Wyciągnęła grubą kopertę zza spodni. Wetknęła ją w jeden ze stosów podobnych kopert na stole. I równie bezszelestnie, jak się tu dostała, odwróciła się i pospiesznie wyszła na korytarz, po czym pobiegła z powrotem dokładnie tą samą drogą.

To wszystko mogło się udać albo nie. Koperta była zaadresowana do nieistniejącej osoby. A jej zawartość miała wyglądać dla każdego na list miłosny.

Dla każdego z wyjątkiem jednej jedynej osoby.

Wymyślenie, w jaki sposób przekazać wiadomość, zajęło jej pół roku. Gdy bezgłośnie przemykała z powrotem przez korytarze, zaciskała pięści w nadziei, że w końcu jej się udało.

I że nie jest za późno.

W tej samej chwili, gdy William rozsunął ciężkie zasłony, zrozumiał, że się mylił.

Pomieszczenie, w którym się obudził, było klasyczne, ponure i niesłychanie stare. Posadzkę stanowiły duże kamienne płyty wydeptane przez stopy przemierzające je w tę i z powrotem w ciągu stuleci. Niektóre z nich popękały wskutek wahań temperatury lub ruchu podłoża, podobnie jak ściany pokryte malowanymi ręcznie tapetami, lekko zbrązowiałymi pod wpływem czasu i wilgoci, mimo to wciąż imponującymi bogactwem detali, oddzielonymi od podłogi metrowej wysokości boazerią. Pod sufitem wieńczyły je masywne belki pomalowane na ciemnoszaro, jak wszystkie inne drewniane detale w całym pokoju.

Gdyby nie był w pełni świadomy tego, co przyniosła mu ostatnia doba, mógłby sobie wmówić, że oto zafundował sobie drogi weekend na zamku – ciężkie pięknie rzeźbione drewniane łóżce, w którym się obudził, nad nim kunsztownie udrapowana wytworna tkanina, gobelin na ścianie za wezłowiem.

Nakryta serwetą taca na składanym stojaku z chromowanymi nóżkami pochodziła natomiast z kompletnie innej epoki. Oferowała nienaganny zestaw śniadaniowy: sery, dżemy i pieczywo w otoczeniu owoców, których nie znał nawet z nazwy, a które mimo to najwyraźniej istniały. Żadne ze szkoleń i doświadczeń, przez jakie dane mu było przejść podczas zawodowego życia, mających go nauczyć, jak postępować podczas uprowadzenia przez obce siły i przetrwać w niewoli, nie przygotowało go na ryzyko spożycia luksusowego śniadania w zamkowym otoczeniu.

William podniósł się z łóżka, minął tacę z jedzeniem, nie tknąwszy go nawet, chociaż żołądek wyraźnie sygnalizował, że już najwyższa pora coś przelknąć, i skierował się prosto w stronę grubych zasłon i światła przesączającego się po bokach.

Kiedy odsłonił okno, stanął jak wryty. Częściowo ze zdziwienia. Był tak pewny, że jest w Rosji, iż musiało upłynąć kilka chwil, zanim się pogodził z tym, co zobaczył. Oprócz tego widok za szybą gęsto poprzecinaną szprosami nikogo nie mógł pozostawić obojętnym.

Dokładnie pod jego pokojem – kilka kondygnacji poniżej – dramatycznie stromo opadało w dół porośnięte trawą wzniesienie, aż po pojedyncze ściany skalne, poprzecinane tu i ówdzie wijącym się murem z kamieni, sięgającym w dole jasnoniebieskiego górskiego jeziora. Naokoło i naprzeciwko rozciągało się jeszcze więcej trawiastych wzniesień, tworzących gigantyczną czarę ciszy i spokoju. A wszystko to wyglądało jak tysiąc puzzli rozłożonych na czyimś stole.

Polecieli zatem bardziej na południe niż na wschód. Tak się rzecz miała. Te góry to Alpy, pewnie gdzieś między Francją na zachodzie a Austrią lub Słowenią na wschodzie. Za żadne skarby nie potrafił jednak pojąć, dlaczego on się tu znajduje.

– Mr Sandberg.

Głos był wyraźny i donośny, zabrzmiał ostro w tym surowym pomieszczeniu, każąc mu się natychmiast odwrócić. Kilka kroków od drzwi stał mężczyzna, który właśnie wypowiedział jego nazwisko bardziej jako stwierdzenie niż pytanie. William w ogóle nie słyszał, jak tamten wszedł.

– Proszę nam wybaczyć, że skazaliśmy pana na spanie w koszuli. Ale przewożenie człowieka w piżamie przez odprawę celną zawsze rodzi mnóstwo pytań.

Był w wieku Williama, miał siwe, bardzo zadbane włosy, a w jego spojrzeniu dawało się dostrzec łagodny spokój, niejako kontrastujący ze sztywno wykrochmaloną jasnoniebieską koszulą munduru. Mówił brytyjskim angielskim; chociaż William nie był do końca pewny, odnosił jednak wrażenie, że w niektórych samogłoskach pobrzmiwały naleciałości dialektu klasy robotniczej.

William skinął uprzejmie głową. Na wszelki wypadek.

– A o jakiej odprawie celnej mówimy?

Mężczyzna uśmiechnął się, przyjaźnie i szczerze, lecz nie udzielił odpowiedzi. Wyjaśnił jedynie:

– Reszta pańskiej garderoby jest w przechowalni.

– I nie otrzymam tamtych ubrań, dopóki waszym zdaniem się nie wyśpię?

Mężczyzna znów się uśmiechnął. Nie złowrogo – nie demonstrując swojej władzy – tylko przepraszająco.

– Jesteśmy już u celu – oznajmił.

– Nie chciałbym być nudny... – powiedział William, unosząc wysoko brwi, aby podkreślić, że pytanie już padło, ale nie udzielono na nie odpowiedzi.

Mężczyzna skinął głową. Doskonale je słyszał, lecz nie zamierzał odpowiedzieć.

– Sugerowałbym, aby pan coś zjadł. Spał pan osiemnaście godzin, a o ile wiem, zanim to wszystko się wydarzyło, również pan nie jadł.

– Może skuszę się na jedną kanapkę... – oznajmił William, nie ruszając się z miejsca. Jego postawa sugerowała drugą część zdania: – ...jak pan sobie pójdzie.

– Doskonale – odparł mężczyzna. – Wstąpię po pana za pół godziny. Wtedy dowie się pan więcej.

Odwrócił się, zrobił kilka kroków w kierunku drzwi i je otworzył. Nie były zamknięte na klucz, odnotował William. Nie zauważył także żadnych innych środków ostrożności, dokładnie jak w samolocie. Ktoś dokładał starań, aby czuł się tutaj jak mile widziany gość, a on wciąż nie mógł się nadziwić dlaczego. Kto to jest? I do czego on może się im przydać?

– Przepraszam – odezwał się William.

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę. O co chodzi?

– Jestem William Sandberg.

Jego wyciągnięta ręka zawisała w powietrzu między nimi w oczekiwaniu na uścisk dłoni i prezentację. Mężczyzna obrzucił go spojrzeniem. Następnie ujął dłoń Williama – był to raczej umiarkowany uścisk niż kordialne potrząśnięcie – i spojrzał mu w oczy, dając jasno do zrozumienia, że nie zamierza ukrywać przed nim swego nazwiska.

– Ależ oczywiście – rzekł. – Przepraszam pana.

Po czym dodał:

– Connors. Generał Connors.

Generał Connors miał imię, jednak w jego życiu istniało mnóstwo rzeczy, które mu przeszkadzały. Jedną z nich było właśnie imię.

Dorastał w niewielkim miasteczku na zachodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii, w środowisku robotniczym, gdzie poziom bezrobocia i przestępczości ani nie odbiegał od normy, ani nie był kwestionowany przez nikogo, kto by się liczył, a raczej stał się naturalną częścią codzienności i życia w ogóle. Moralność i zepsucie przeplatały się ze sobą i trudno było je odróżnić, ale dopóki nie brakowało jedzenia i starczało na zapłacenie czynszu, niewiele zaprzętało sobie głowę zastanawianiem się nad tym stanem rzeczy.

Dla Connorsa było to najgorsze dzieciństwo, jakie można sobie wyobrazić. Bardzo wczesnie zrozumiał dwie rzeczy: po pierwsze, najważniejsze jest posiadanie umiejętności nawiązywania społecznych kontaktów, po drugie, jemu kompletnie ich brakowało.

Connors zawsze pozostawał krok za innymi. Nie znosił, jak wokół niego zmieniały się porządki, jak ktoś, kto był królem sąsiedztwa, w jednej chwili stawał się kozłem ofiarnym, i jak przyjaciele czy koledzy odwracali się od siebie szybciej, niż człowiek był w stanie zauważyć, że może do tego dojść. Jeszcze na długo przed rozpoczęciem szkoły zaczął się usuwać na bok, robił wszystko, żeby unikać kumpli, gangów i grup nacisku. Przez długie lata był wykluczony i wytykany, oskarżany o homoseksualizm, co oczywiście uważano za znacznie poważniejszą zbrodnię niż większe i mniejsze kradzieże, których dopuszczali się jego rówieśnicy.

Ale jeszcze gorszym przestępstwem było to, że Connors lubił szkołę. Rozumiał matematykę nawet wtedy, gdy stała się abstrakcyjna i dziwna, i chociaż domyślał się, że to niewiele znaczy, wkrótce miał znacznie rozleglejszą wiedzę niż jego nauczyciele. Uwielbiał reguły, wzory logiczne i kiedy coś wynikało z czegoś. A gdy

jego koledzy pobili go bez powodu na szkolnym boisku, sprawili jedynie, że pokochał to jeszcze bardziej.

Gdy w wieku szesnastu lat po raz pierwszy zetknął się z armią, doszedł do wniosku, że właśnie ona może zapewnić mu porządek, za którym tęsknił. Nie dość, że wszyscy mają w niej swoje wyraźnie określone stopnie, to jeszcze każdy nosi je zaznaczone na ubraniu, w tyłu miejscach, na ile to tylko możliwe, ale by nie wyglądało to śmiesznie. Wszelkie zmiany można było przewidzieć, zwłaszcza awanse: nie istniało ryzyko, że człowiek wstanie rano i usłyszy plotkę, że major taki a taki został nowym dowódcą pułku i że jego kompani poświęcili całą noc na znęcanie się nad poprzednim dowódcą za coś, co zrobił jego brat, tak że aż się sfajdał w spodnie.

Connors znalazł swój dom.

I po raz pierwszy w życiu, kiedy budził się co rano, czuł się dobrze.

Wojsko okazało się doskonałym miejscem dla jego rozwoju. Stał się mistrzem w stosowaniu wszystkich reguł i wzorów, jakie istniały, i wyciąganiu z tego korzyści, i bardzo szybko zaczął je udoskonalać, a także tworzyć nowe. W wieku niecałych trzydziestu lat był nie tylko synem robotniczym bez imienia, ale jednym z najważniejszych strategów brytyjskiej armii – ekspertem od scenariuszy siania zamętu i chaosu, a potem od tworzenia prawideł, jak zapanować nad tym bezładem. Nadzorował szkolenia cywili, opracowywał zbiory instrukcji kryzysowych i stał się osobą, którą każdy chciał mieć pod ręką, kiedy się paliło – począwszy od instytucji władzy po organizacje wojskowe, jednostki gospodarcze i na Bóg wie kim jeszcze skończywszy.

Mówiąc wprost, Connors nauczył się wyprowadzać ład z chaosu. Kiedy to czy tamto się waliło, dzwoniło po niego.

Tak było wtedy.

A teraz siedział nad scenariuszem, jakiego nikt wcześniej nie wymyślił.

Po raz pierwszy od dawna znów był dzieckiem.

W głębi ducha śmiertelnie się bał.

Przyłożył niebieski plastikowy prostokąt do puszki przy drzwiach i poczekał, aż z sykiem się rozsunięły.

Przeszedł przez szeroki korytarz z surowego betonu i blachy w kierunku holu o niskim tłumiącym dźwięki stropie, gdzie stały proste fotele w bezosobowym niebieskim kolorze, po czym zbliżył się do dwuskrzydłowych drzwi w jednej z krótszych ścian. Ponownie przyłożył plastikowy prostokąt. Kolejne syknięcie.

Pomieszczenie za drzwiami było okrągłe. Pośrodku stał duży, również okrągły stół konferencyjny, puste krzesła i butelki wody przygotowane na spotkania, które prawie nigdy się już nie odbywały.

Na jedynej prostej ścianie wisiały jeden przy drugim gigantyczne monitory ledowe. Oślepiały każdego, kto wchodził tu prosto ze starszej części obiektu, toteż Connors zmrużył oczy na widok migających cyfr. Przed ekranami stał mężczyzna w ciemnym mundurze. Nie obrócił się, ani kiedy Connors wszedł do środka, ani gdy kroczył dalej po wykładzinie. Trwał w miejscu i patrzył na przesuwane się znaki, dopóki Connors nie zatrzymał się tuż przy nim.

– Wiemy, w jaki sposób trafił do Berlina – powiedział wreszcie.

Franquin oderwał wzrok od monitorów i spojrzał na Connorsa. Widać było, że nie spał od wielu dni.

– Ukradł ciężarówkę ze stacji benzynowej. Znalaziono ją opróżnioną z paliwa na przedmieściach Innsbrucka, została zarekwirowana i zabezpieczona. Naoczni świadkowie mówią, że stamtąd zabrał się autostopem czerwoną toyotą RAV4.

– Gdzie ona jest?

Cisza wystarczyła za odpowiedź. Nie wiedzieli.

– Zaczyna się – rzekł Connors. – Czy tak?

Franquin się nie odezwał. Gdy w końcu otworzył usta, w jego tonie nie było już wahania, niepokój pokryło zdecydowanie. Istniała tylko jedna droga – do przodu.

– Czy on już tu jest? – spytał.

– W swoim pokoju.

– Jak się czuje?

– Przeżyje.

Franquin skinął głową. To dobrze – oznaczał jego gest. Jeśli w ogóle istnieje jakiś ratunek, on jest jedyną osobą, która może go znaleźć. Byli zbyt blisko, żeby nie zdążyć. Znowu.

– Co mu powiemy? – spytał jeszcze Connors.

Nastąpiła pauza. Po czym Franquin się odezwał:

– Dokładnie to samo, co powiedzieliśmy jej.

Następnie odwrócił się plecami do Connorsa.

Spotkanie dobiegło końca.

Po czterdziestu minutach generał Connors znów wszedł do pokoju Williama. Temu ostatniemu wystarczyło czasu na zjedzenie, wykonanie wszystkich porannych czynności i przebranie się w tweedową marynarkę oraz wełniane spodnie. Świadomie nie założył krawata: nie miał pojęcia, co go czeka, a chciał wyglądać dostatecznie poważnie, aby sprawiać wrażenie równorzędnego partnera. Poza tym wolał nie być podejrzewany, że próbuje komukolwiek zaimponować. I tak znajdował się w fatalnej sytuacji, nie zamierzał więc podkreślać tego strojem grzecznego ucznia. Poza tym przecież, do cholery, nie wiadomo, czy nie planują znowu go uśpić.

Zaczęli rozmawiać zaraz po wyjściu z pokoju Williama.

– Wiem, że ma pan pytania – odezwał się Connors. – Proszę je zadać, postaram się na nie odpowiedzieć.

Ta propozycja wcale go nie zaskoczyła. Chodziło o utrudnienie mu śledzenia drogi, którą szli, i zapamiętania, do których schodów prowadzi ten czy tamten z licznych korytarzy. Rozmowa doskonale odwraca uwagę. A Connors i tak odpowie jedynie na to, na co zechce, tyle że będzie używał jak najwięcej słów, żeby zyskać na czasie. William dobrze to wiedział, z czego Connors również zdawał sobie sprawę.

– Proszę zacząć od wyjaśnienia, gdzie jestem – powiedział William.

– Powiedzmy, że w Liechtensteinie – odparł Connors.

– Powiedzmy?

– Nie mogę podać panu dokładnego adresu. Ale chyba nie zamierza pan zamawiać tu od razu pizzy.

Uśmiechnął się nieznacznie. Przepraszająco, jakby chciał zachęcić Williama do zadawania dalszych pytań. William podjął grę, ale jednocześnie nie szczędził wysiłku, by obserwować drogę i zapamiętywać korytarze, którymi Connors wiódł go przez budynek.

– Kto mnie tu sprowadził?

– Wkrótce się pan tego dowie.

– A po co tu jestem?

– Tego też dowie się pan niebawem.

– A czy jest jakieś pytanie, na które mi pan odpowie?

Connors znów się uśmiechnął. Tym razem jednak szczerze. Jakby absurdalność tej rozmowy była dla niego równie oczywista jak dla Williama, jakby czuł się niemal niezręcznie z tego powodu, że nie ma nic sensownego do powiedzenia.

William dostrzegł to i skinął głową ze zrozumieniem. No cóż. Zatem seria pytań dobiegła końca. Od tej chwili kontynuowali spacer w ciszy.

Przebywali w zamku bez wątpienia imponujących rozmiarów. Mijali korytarz za korytarzem, schodzili coraz niżej po wąskich schodach i wciąż natrafiali na kolejny. Przez cały czas trudno było się oprzeć wrażeniu, że przemieszczają się jakimiś bocznymi przejściami, po strefie dla personelu – że Connors celowo zdecydował się poprowadzić go tą drogą – podczas gdy główna część twierdzy znajduje się gdzieś w głębi.

Posadzkę wszędzie tworzyły gigantyczne kamienne płyty, wydeptane przez stulecia przez stopy tych, którzy po nich chodzili. Ciemne ściany gdzieniegdzie pokrywały tapety albo gobeliny, które tak wypływały od światła lub pociemniały od wilgoci, że zmieniły się w niemal jednobarwne poszarzałe tkaniny. Wszystko to było imponujące i piękne, a zarazem mało praktyczne i przerażające.

– Mam jeszcze jedno pytanie – odezwał się William.

Connors odwrócił się w jego stronę. Właśnie dotarli do połowy kolejnych kamiennych schodów – generał szedł przodem, William za nim, obaj z pochyłymi głowami, aby nie zawadzić o strop.

– Uważa pan, że powinienem się bać?

Pytanie zaskoczyło Connorsa. Spojrzał Williamowi w oczy, nie wiedząc, czy ten mówi poważnie, czy tylko się z nim bawi. Stał tak przez chwilę w ciemności, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale w końcu zmienił zdanie i się odwrócił. Ostatnie stopnie prowadzące na kolejną kondygnację pokonywali w milczeniu.

W końcu dotarli do holu – niezbyt rozległego, ale niewiarygodnie wysokiego. Przez liczne nieduże okna umieszczone pod stropem wlewało się do środka słoneczne światło. Zanim William się do niego przyzwyczaił, musiał zmrużyć oczy. Z drugiej strony do holu przylegały schody, znacznie bardziej reprezentacyjne niż te, którymi przyszli, a w głębi znajdowały się wysokie i ciężkie dwuskrzydłowe drzwi z masywnego pociemniałego drewna.

Connors podszedł do nich i się zatrzymał.

Rzucił długie spojrzenie na Williama, jakby nie mógł się zdecydować na odpowiedź.

– Nie mnie – odparł w końcu. – Nie nas.

– A czego?

Przez ułamek sekundy William nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Connors mu współczuje. Albo że przynajmniej żałuje, że sytuacja jest taka, a nie inna. Jakby on sam w żadnym razie nie chciał robić tego wszystkiego, jakby był zmuszony do porywania ludzi ze szpitala i przewożenia ich uspiionych samolotem w odległy zakątek Europy.

Connors nie odpowiedział na pytanie.

– Wszystko, czego pan się dziś dowie, jest ściśle strzeżoną tajemnicą –

powiedział. Jego głos brzmiał teraz rzeczowo i oficjalnie. – Pewnych rzeczy nie możemy panu pod żadnym pozorem wyjawiać. Inne zdradzimy tylko częściowo.

– Znajduję się w dajmy-na-to-Liechtensteinie. Zabraliście mi telefon. Więc czego się boicie? Komu miałbym to powtórzyć?

– Niektóre z informacji, które posiadamy, nigdy nie mogą wyjść na jaw. W żadnych okolicznościach. Absolutnie.

– Czy to znaczy, że pozwolicie mi wrócić do domu?

Connors się zawahał. A kiedy już się odezwał, w jego głosie znowu zabrzmiała szczerść.

– Liczę na to z całego serca, że nadejdzie taki dzień, w którym *ktokolwiek* z nas będzie mógł wrócić do domu.

Młody praktykant stojący naprzeciw Christiny był mało rozgarnięty i miewał trudności z wysławianiem się, ale akurat w tym momencie tylko nim mogła się posłużyć. Musiała wierzyć, że mimo wszystko uda mu się wywiązać z zadania.

W jednej chwili za wszelką cenę unikał jej spojrzenia, zupełnie jakby był w niej zakochany mimo różnicy wieku wynoszącej dwadzieścia lat, a w następnej starał się mimo wszystko włączyć do rozmowy, wyduszając z siebie fragmenty zdań w przypadkowej kolejności. Nie potrafiła powiedzieć, co budzi w niej większy niesmak.

Z cierpliwością i opanowaniem na wszelki wypadek podsumowała wszystko jeszcze raz. Miał skontaktować się ze szpitalem, z sąsiadami Williama i w końcu ze Stockholms Stadsbud, aby potwierdzić to, co Christina właściwie już wiedziała – że ta firma przeprowadzkowa nie otrzymała żadnego zlecenia spod adresu Williama i że jego dobrowolna wyprowadzka była mistyfikacją.

Leo Björk rozpromieniony zanotował wszystko powtórnie. Ale ani razu nie pisał nawet słowem o tym, o czym wiedzieli oboje – że polecenie nie ma nic wspólnego z ich pracą redakcyjną, tylko wynika z całkiem prywatnego niepokoju o bliską osobę, która nagle nie wiadomo gdzie przepadła. Być może, analizowali w milczeniu, zniknięcie Williama Sandberga to wierzchołek góry lodowej, element skandalu ze sfery polityki, bezpieczeństwa narodowego albo incydent związany z nową zimną wojną i w konsekwencji zrodzi się z tego coś nadającego się do druku, aby praca, jaką teraz wykonują, nie poszła na marne. Były wojskowy specjalista do spraw kryptografii znika wraz z całym swoim ekwipunkiem i zgromadzoną wiedzą. To mogłoby być świetne wprowadzenie do serii artykułów o jakiejś tajemniczej obcej i groźnej sile.

Jednak Leo nie potrzebował żadnego uzasadnienia.

Nie miał interesu w tym, by cokolwiek kwestionować, w rzeczywistości odebrał swoje zadanie jako krok do przodu, a niczego bardziej nie pragnął, niż wreszcie ruszyć z miejsca i pokazać, jak jest skuteczny i uzdolniony. To będzie praca wymagająca od niego inicjatywy i dociekliwości, dająca mu możliwość samodzielnego myślenia, wyszukiwania osób do wywiadów, znajdowania własnych dróg i sposobów, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Poza tym to szansa bycia blisko Christiny Sandberg, co ku jego własnej irytacji bardziej go kręciło niż same względy zawodowe.

Leo Björk zamknął notes i podniósł się z miejsca.

Christina patrzyła za nim długo przez szybę oddzielającą jej boks od reszty redakcji. Nie miała czasu, by w niego wątpić.

Wyjęła swój telefon komórkowy i odszukała nazwisko osoby, o której nie myślała już co najmniej od roku.

Ciężkie drzwi otworzyły się, odsłaniając gigantycznych rozmiarów salę. William nie zdołał się opanować i zatrzymał się w pół kroku.

Pomieszczenie miało co najmniej sześć metrów wysokości. Potężne kamienne filary biegły wzdłuż ścian i wysoko w górze skłaniały się ku sobie, niczym korona pod sklepieniem. Jedną ze ścian rozjaśniał blask niskiego jesiennego słońca padający z wysmukłych okien o różnokolorowych szybach, które rzucały nieregularne plamy światła, sprawiając, że wszystko wydawało się jasne i ciemne zarazem, a po przeciwnej stronie nikle promienie spotykały się z żarem bijącym od otwartego kominka, tak dużego jak mniejszy pokój w mieszkaniu Williama. Pośrodku komnaty wisiał niezwykle żyrandol, a pod nim stał podłużny stół z masywnego ciemnego drewna poprzecinanego głębokimi bruzdami i szczelinami, przy którym obrzydliwie bogaci książęta wieki temu jadaliby ze swymi gośćmi przesadnie wystawne wieczerze.

Obraz byłby kompletny, gdyby na stole leżało pieczone dzikie prosię, podane na gigantycznej cynowej tacy, a wokoło stały cynowe puchary z winem. Tymczasem William zobaczył na nim samotny przedłużacz listwowy, od niego biegł szarobiałą kabel podłączony do laptopa stojącego w końcu stołu w odległości co najmniej dziesięciu metrów od drzwi, przez które właśnie wszedł wraz z Connorem. Za komputerem siedział mężczyzna w ciemnym mundurze.

– Franquin – odezwał się Connors.

Mężczyzna skinął głową w odpowiedzi, po czym się podniósł. Był nieco starszy od Connorsa. Miał twarz zahartowaną w różnych rodzajach klimatu, poruszał się powoli, niemal z wysiłkiem. Zatrzymał się kilka kroków od nich. Żadnego uścisku

dłoni. Przedstawił się jako generał Maurice Franquin i uprzejmie przywitał Williama. Ten nie wiedział, czy ma podziękować, czy też powiedzieć coś pogardliwego, więc nie odezwał się wcale.

– Musiałbym poświęcić mnóstwo czasu, żeby przeprosić pana za sposób, w jaki tu pana sprowadziliśmy. Dlatego nie zamierzam tego robić.

William milczał i czekał, tymczasem Franquin podszedł bliżej i gestem zaprosił go, aby usiadł.

– Nie wiem, co powiedział panu Connors.

– Rzekłbym raczej, że włożył ogromnie dużo energii w to, aby nie powiedzieć niczego.

Franquin skinął głową. Niewykluczone, że na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. Ale nie można też wykluczyć, że to tylko jedna z bruzd niewłaściwie się ułożyła.

– Otrzyma pan skróconą wersję – rzekł.

– Każda wersja będzie mile widziana.

– Sprowadziliśmy pana tutaj, ponieważ potrzebne są nam pańskie umiejętności.

– Tyle się domyśliłem.

– Wiemy, że dosyć się pan wyróżniał w swojej dziedzinie. A właśnie stanęliśmy w obliczu problemu, z którym my sami nie potrafimy sobie poradzić.

– „My”, czyli kto?

– Możemy określić się jako jednostka pośrednicząca.

– Między?

– To zależy. Generalnie między dwudziestoma różnymi krajami – okresowo bywa ich nawet więcej – począwszy od Europy po USA, Amerykę Południową i Japonię, jednak to nie ma żadnego znaczenia. Działamy w interesie wszystkich narodów, ale bez ich współdziałania. Jesteśmy finansowani ze specjalnych funduszy, o których przeznaczeniu wiedzą tylko nieliczni.

William rzucił na niego krótkie spojrzenie. To mogła być prawda. Wyjaśniałoby to cały przebieg akcji i możliwość swobodnego wywiezienia go samolotem ze Szwecji.

Ale jednocześnie nadal niewiele wiedział.

– A jak nazywa się ten organ?

Franquin pokręcił głową.

– Nas nie ma. Więc nie potrzebujemy żadnej nazwy.

– Działacie pod egidą ONZ?

– Są w ONZ ludzie, którzy nas znają. Pojedyncze jednostki, dwie albo trzy osoby.

Ponieważ jednak oficjalnie nie istniejemy, nikomu też oficjalnie nie podlegamy. – Przerwał na wystarczająco długą chwilę, by podkreślić, że wypowiedziane przez niego słowa w gruncie rzeczy oznaczają potwierdzenie, a potem milczał jeszcze

przez moment, aby zwrócić uwagę, że to jest indywidualna interpretacja Williama. – Proszę nas uważać za jednostkę autonomiczną. Pracującą na rzecz bezpieczeństwa wszystkich narodów.

William przeniósł wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Usiłował ocenić stopień wiarygodności tego, co obaj mówili. Chciał się w tym rozeznąć. Z jednej strony słyszał od nich rzeczy, które brzmiały nawet rozsądnie, ale równocześnie cała ta sytuacja wydawała się tak absurdalna i przedziwna, że nie potrafił się z nią pogodzić. Miejsce. Sposób, w jaki się tu znalazł. Wszystko.

Przymknął oczy. Skupił się.

Co mogło być tak groźne, ważne i zarazem tak tajemnicze, że aż zbudowano całą organizację, żeby nad tym zapanować, a na dodatek nie dopuszczano nikogo do tej wiedzy?

– Chodzi o ochronę przed czym? – odezwał się wreszcie.

To było najwyraźniej dobre pytanie, bo Franquin skinął ku Connorsowi. Twoja kolej.

Generał zrobił kilka kroków.

– Udało się nam... – zaczął, ale niemal natychmiast przerwał. Przerwał na moment, aby dobrać najwłaściwsze słowo, takie, które mówiłoby wystarczająco dużo i zarazem niewiele.

– Udało się nam przechwycić sekwencje kodów.

Takie stwierdzenie rodziło tysiące pytań. William wybrał jedno.

– Przechwycić w jaki sposób?

– To mniej istotne. Ważne, że w tej sekwencji kodów zawarta jest informacja. Dobrze ukryta, zaszyfrowana za pomocą niesłychanie skomplikowanego klucza – albo mówiąc dokładniej: kluczy. *Pluralis*. Kluczy, które odwołują się do wcześniejszych kluczy, a tamte z kolei opierają się na jeszcze innych, i to w taki sposób, że niemal niemożliwe jest ich odczytanie.

William pokiwał głową. Poczul, jak mimo woli budzi się w nim ciekawość. To jest dokładnie jego działka, dokładnie tym kiedyś się zajmował, właśnie tego rodzaju wyzwania uwielbiał. Znajdować skomplikowane, złożone schematy, które zawsze leżały u podstaw, niezależnie od tego, jak bardzo niemożliwe się to wydawało. Wypróbowywać i zmieniać kombinacje, i sprawdzać, czy dają jakiś rezultat. Matematyka w połączeniu z intuicją łamała niemal wszystkie kody. Niewiele rzeczy potrafiło przepełnić go taką euforią jak znalezienie wzoru i odkrycie, że coś, co w jednej chwili jest jedynie zbiorem liter na papierze, zmienia postać i ma określone oblicze – jak w krzyżówce, gdy ta jedna magiczna litera trafia w odpowiednie miejsce i daje rozwiązanie hasła.

Drobna część Williama Sandberga poczuła się jak mały chłopiec w gwiazdkowy wieczór.

Ale reszta pozostawała nadal pięćdziesięcioletnim mężczyzną wprowadzonym ze szpitala wbrew jego woli.

– Jakie jest źródło? – spytał. Zdawał sobie sprawę, że to tylko inny wariant pytania, które przed chwilą zadał. Lecz ta informacja miała niezwykle istotne znaczenie. Różne kody mają różną formę, a jeśli ma im pomóc, musi koniecznie to wiedzieć, wcześniej czy później.

– Tego nie możemy wyjawić – oznajmił Connors.

– Czy to jest tekst, czy sygnały radiowe, czy dane elektroniczne?

– Nie możemy tego zdradzić.

– Więc co możecie powiedzieć? Czy jest w ogóle coś takiego?

Spostrzegł, że podniósł głos. Od razu tego pożałował. Zdawał sobie sprawę, że nie on dyktuje tu warunki, spróbował więc naprawić swój błąd ironicznym uśmiechem:

– Przepraszam. Uważam tylko, że sto razy łatwiej jest uzyskać pomoc, jeśli zdradzi się, na czym ta pomoc ma polegać.

Znowu ostro. Ale mógł sobie pozwolić na taką uszczypliwość, dopóki panował nad sytuacją i nie dał się im złamać. Na chwilę stracił panowanie nad sobą, teraz jednak spojrzawszy na obu mężczyzn wzrokiem pełnym pobłażliwości, jakby mówił: czy nie jesteśmy za starzy na takie gierki?

W porządku. Connors zerknął na Franquina, a ten skinął głową.

Wrócił na swoje miejsce przy przeciwległym końcu stołu, przysunął do siebie komputer, uderzył palcem wskazującym w jeden z klawiszy.

– Proszę – rzucił.

W następnej chwili zrobiło się tak jasno, jakby ktoś włączył przed nimi światła ciężarówki.

Ponad ich głowami rozpały się cztery silne reflektory. Drobiny kurzu wirowały w powietrzu niczym lekkie jak piórka cyrkowe artystki rozjaśnione w ciemności, zanim blask dotarł do wszystkich czterech ścian naokoło.

Wchodząc do sali, William nie zauważył wideoprojektorów zamontowanych w stropie powyżej ciężkiego żyrandola z kutego żelaza i oblanego stearyną. Teraz zatrzeszczały, jakby w reakcji na ruch palca Franquina. Rzuciły wyraziste światło na wyblakłe tapety na przestrzeni kilku metrów bezpośrednio pod stropem, dokładnie tam, gdzie nie docierało światło słoneczne i gdzie do tej chwili zalegała bezsensowna ciemność. Całą salę opasywało pasmo wyświetlanych informacji, płynnie emitowanych w jedną całość z poszczególnych projektorów; dane przetaczały się ze ściany na ścianę.

Cyfry.

Niekończące się ciągi cyfr.

Pędziły, szereg za szeregiem, przemieszczały się do góry, wypychane nowymi od

dołu, a każdy rząd cyfr, który osiągnął najwyższy punkt ściany, był spychany o jedną kolumnę na bok, w ramy obrazu z następnego projektora, wędrował do góry i znowu był spychany, aż w końcu znikał na dobre. Jednocześnie odbywało się jeszcze coś innego. Cyfry zmieniały kolory, były brane w ramki i tak oznakowane przemieszczały się na własne miejsce wraz z innymi wybranymi w ten sam sposób. Cyfry czerwone same trafiały na odpowiednie miejsce w rzędzie, podczas gdy czarne śmigły tylko w szaleńczym pędzie.

William doskonale wiedział, na co patrzy. Gdzieś w zamku mieściło się wiele komputerów, znacznie większych, droższych i efektywniejszych niż należące do Franquina przenośne urządzenie w aluminiowej obudowie. To, co pokazywało się na ekranach, obrazowało sposób, w jaki próbowano przekopać się przez serię szyfrów, o których wspomniał Connors – szukali wzorów, logiki i kluczy, aby z dżungli nic niemówiących numerków wydobyć ukryte przesłanie.

Sądząc po ilości danych, był to nieprzebrany las.

– O ilu kodach mówimy? – spytał William.

– Jest ich całkiem sporo.

– A skąd pochodzą?

– Już pan o to pytał.

– Nadal jestem ogromnie ciekawy.

– Przykro mi.

William westchnął. Znowu to absurdalne błędne koło. Zupełnie mu się to nie podobało.

– A jeśli jednak pomogę wam złamać kod, to co wtedy? Czy pozwolicie mi przeczytać to, co napiszę, czy będę musiał się zastrzelić, jeśli coś zobaczę?

W spojrzeniach, którymi go obrzucono, nie było uznania ani dla jego słów, ani przepełnionego gorczą humoru. Ich oczy zdawały się mówić: jeśli o nas chodzi, możesz wyzionąć ducha, kiedy będziesz gotowy, a my już dalej sobie poradzimy.

– Komu coś grozi? – zadał inne pytanie.

– Nie możemy tego powiedzieć.

– A czy możecie powiedzieć, kto jest zagrożeniem?

– Nie musi pan tego wiedzieć.

– To co, u diabła, wolno mi wiedzieć? – W jego głosie znowu pojawił się ostry ton.

– Przywozicie mnie tutaj wbrew mojej woli. Żądacie, żebym uczestniczył w robocie, o której nic mi nie mówicie. Dajcie mi więc choć jeden powód, dla którego miałbym wam pomagać. Jeden. Proszę.

– Bo nie ma pan innego wyboru.

Nie chciał podnosić głosu. Prawie mu się udało. Oddychał przez nos, zacisnął zęby, żeby wrócić do równowagi. I zaczął od nowa, wypowiadając słowa cicho, z tłumionym gniewem.

– To ważki argument – rzekł. – Robota robocie nierówna.

Nie odpowiedzieli.

– Możecie zmusić ludzi, żeby dla was pracowali. Jasne, że możecie. Możecie chłostą zmusić człowieka, żeby dźwigał dla was ciężary albo rzucał kamienie, albo kazać przesunąć całą tę budowlę o kilka metrów na zachód, wystarczy tylko odpowiednio mocno bić, a każdego da się nakłonić do wszystkiego. Poza jedną rzeczą. Poza myśleniem. Strasznie trudno będzie zmusić mnie do wyliczenia czegokolwiek, jeśli tego nie zechcę. – A potem, niższym tonem, zakończył: – Czyli jednak, u diabła, mam wybór. Zawsze jest jakiś wybór.

– Proszę nam opowiedzieć o pańskiej próbie samobójczej – odezwał się Franquin.

Tego William się nie spodziewał. To potwornie bezczelne.

– Szuka pan rady? – spytał.

Franquin nie odezwał się.

– Jeśli zależy panu na skutecznych wskazówkach, powinien pan spytać kogo innego. Mnie niespecjalnie się udało.

– Dlaczego? – dodał tylko Franquin. I nic więcej.

– Jeśli będę miał ochotę na terapię, to sobie za nią zapłacę. Wielkie dzięki.

– Mogę przesłać panu fakturę, jeśli pan woli.

Okej. Ta wymiana zdań prowadziła donikąd. William zmierzył Franquina wzrokiem, podniósł ręce do góry na znak, że jeśli o niego chodzi, nie ma ochoty na dalszy ciąg. Oczywiście to była tylko gra, bo zdawał sobie sprawę, że nie on tu decyduje, ale w ten sposób przynajmniej pokazał, co o tym sądzi. Zwrócił się w stronę Connorsa, patrząc na niego wyzywająco – wychodzimy.

– Nie potrafił pan żyć ze świadomością, że kogoś pan nie uratował – rzucił Franquin za jego plecami.

Po tych słowach przeszył go dreszcz.

– Pan nic o mnie nie wie...

– Przeciwnie – przerwał mu Franquin. – Śmiem twierdzić, że wiemy więcej niż pan sam.

Wstał zza stołu. Zrobił kilka kroków.

W jego ruchach dało się dostrzec z trudem powstrzymaną irytację, nie był zainteresowany roztrząsaniem motywów Sandberga; potrzebowali tego człowieka do pracy, toteż każda minuta spędzona w tej sali była poświęcona niewłaściwej sprawie.

– Dorastał pan z lutownicą w ręku. Był pan w szkole cudownym dzieckiem, geniuszem matematycznym i odmieńcem, który potrafił łączyć małe elektroniczne elementy na długo przedtem, nim pańscy koledzy nauczyli się czytać. W szkole złożył pan radio koledze i przed opuszczeniem gimnazjum dorobił się pan trzech

własnych patentów. Znalazł pan firmę, która zaoferowała się opłacić panu całe studia uniwersyteckie, mógł pan wykorzystać swoją wiedzę i być bogaty jak nie wiadomo kto. Wiedział pan o tym.

William wzruszył ramionami. I co z tego?

– Pan jednak wybrał armię.

– Dobrze mi płacono.

Franquin pokręcił głową.

– Lepiej by pan zarabiał w cywilu, doskonale pan wie. Ale trwała zimna wojna. Wykorzystał pan swoją wiedzę dla czegoś, w co pan wierzył. Ratował pan ludzi. Tak, to właśnie pan robił i z tego powodu pan został. Bo niezależnie od tego, jak bardzo pan sobie wmawia, że interesują pana cyfry, technika i wzory, w rzeczywistości nic nie znaczy dla pana więcej niż ocalanie innych ludzi.

William patrzył w bok. To odruchowa reakcja osoby zdającej sobie sprawę, że ten drugi ma rację.

Uwielbiał rozwiązywanie problemów, budowanie konstrukcji, matematykę, a dzięki pracy w wojsku miał możliwość zajmowania się tym na co dzień i z tego powodu pozostał w armii. Franquin się nie mylił. Wielką nagrodą była dla niego świadomość, że robi coś ważnego. To on rozszyfrowywał informacje o zagrożeniu szwedzkich interesów i poszczególnych osób i niejedną raz biegł szarymi korytarzami, stukając półbutami o posadzkę wyłożoną linoleum, z pilnymi przepisnymi na czysto depeuszami na temat planowanych akcji i zamachów. Trzydzieści lat później to wszystko wydawało się kompletnie obce, wtedy jednak było codziennością. I za każdym razem, kiedy nagle zmieniano komuś trasę podróży albo przerywano czyjeś przemówienie, za każdym razem, gdy ktoś był gdzie indziej, niż miał się znajdować, tylko dzięki temu że William wykonał swoją robotę, wiedział, dlaczego z tego nie zrezygnował.

Lecz jeśli nawet Franquin miał rację, i tak nie odgrywało to żadnej roli. Nie tu, nie teraz. William nie zamierzał pomagać żadnej organizacji, dopóki się nie dowie, czemu ona służy.

– Ogromnie mi przykro – powiedział tonem, który zdradzał, że w istocie jest daleki od tego. – Jednak zupełnie nie rozumiem, co z tym wszystkim może mieć wspólnego moja córka, moja rodzina czy moja kariera.

Franquin pokiwał głową.

– Oczywiście nie możemy pana zmusić do pracy dla nas, panie Sandberg. Skoro pan odmawia... Ale...

Zrobił pauzę i całkiem zwyczajnie wzruszył ramionami.

– ...ale pan nie powie „nie”. Bo zaryzykuje pan życie...

Zatrzymał się, przez chwilę szukał słów, lecz żadne mu się nie nasunęły.

Sekunda ciszy. Dwie sekundy.

William podniósł wzrok. Po raz pierwszy od rozpoczęcia tego spotkania coś jakby zaczęło przedzierać się na powierzchnię. Za pustynnym krajobrazem, jakim była twarz Franquina, krył się niepokój. Oczywiście mógł być to równie dobrze udawany, wyreżyserowany element kampanii przekonywania, lecz kiedy William uważnie się przyjrzał, nie potrafił pozbyć się odczucia, że ten mężczyzna rzeczywiście się czegoś boi.

– No, czyje? – spytał William.

Brak odpowiedzi.

– Czyje życie ryzykuję?

Franquin spojrział porozumiewawczo na Connorsa, a potem ponownie skierował wzrok na Williama. Odchrząknął.

– Niewyobrażalnie dużej liczby ludzi, panie Sandberg.

I na tym skończył.

Usiadł znowu.

William nie wiedział, co zrobić. Pociągali za właściwe sznurki, rozmawiali z nim odpowiednio powściągliwie, obudzili w nim ciekawość i zaangażowanie, i to go irytowało.

Opuścił gardę.

– A co się może stać z tymi ludźmi? – spytał jeszcze.

Cisza.

– Co mam dla was zrobić?

Franquin siedział całkiem nieruchomo tak długo, że William wręcz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie umarł, ale wtedy właśnie przysunął się do komputera i wskazał głową na ściany. Kazał mu patrzeć.

I William to uczynił, podczas gdy obrazy wyświetlane przed nim stopniowo zmieniały postać.

W ciągu kilku sekund większość z szeregu cyfr pobladła, wtopiła się w tło i wreszcie zniknęła. Widoczne pozostały tylko pojedyncze pary, które przybliżyły się do siebie i zostały przesunięte na skraj obrazu. Jednocześnie jakby pomniejszono obraz, robiąc miejsce dla jeszcze dłuższych ciągów cyfr, potem kolejnych, ale coraz mniejszych i mniejszych. Przez cały czas cyfry wygasaly w tle, jakby wycierane czyjąś niewidzialną dłonią, podczas gdy inne łączyły się w pary, były umieszczane w rosnącym zbiorze w rogu i rozrastały się na całą stronę, a w końcu zamieniały w jedyneki i zera.

William zauważył, że wstrzymał oddech.

Już niemal domyślał się wzoru ukrytego wśród jedynek i zer, ale dopiero wtedy, kiedy każda cyfra została zastąpiona przez kombinację czarnych albo białych kwadracików i umieszczona we wzorze wypełnionych lub niewypełnionych pikseli, obraz ukazywał się z całą wyrazistością.

To, co William zobaczył przed sobą, pasowało do jakiegoś muzeum. Ewentualnie do uniwersytetu, centrum badawczego czy czegośkolwiek w tym rodzaju, ale nie do tego miejsca. Nie pasowało do ponadtysiącletniego zamkowego muru gdzieś-dajmy-na-to-w-Liechtensteinie, a już na pewno nie do tych poważnych mężczyzn w wojskowych mundurach przekonanych, że mają do czynienia z ważnym przekazem, który właśnie udało się rozszyfrować.

Obraz, w który William Sandberg uparcie się wpatrywał, składał się z setek symboli, kresek i linii starannie ułożonych w rzędach tworzących nieczytelne pionowe kolumny.

– Wie pan, co to jest? – spytał Franquin.

William potaknął.

Pismo klinowe.

Widział je tylko w książkach. Jedną z najstarszych odmian pisma – znaki odciśnięte na glinianych tabliczkach – pokazywano często w telewizyjnych programach historycznych. Teraz ściany wokół niego pokrywały ich czarno-białe pikselizowane wersje, pędziły po powierzchni muru, jakby miały do przekazania niesłychanie ważną wiadomość, której nie można było zrozumieć.

William stał i patrzył na te prastare teksty. Obaj mężczyźni dawali mu tyle czasu, ile potrzebował.

Wreszcie oderwał oczy od obrazów na ścianach.

– Nie rozumiem – oznajmił.

Nikt nic nie odpowiedział. Ale to bynajmniej nie było pytanie.

– To przechwyciliście?

– To materiał zbiorczy – wyjaśnił Connors. – Trochę to trwało.

– Czy wiecie, gdzie to jest?

– My wiemy. Panu niepotrzebna ta wiedza.

William posłał Franquinowi zmęczone spojrzenie, ale nie miał siły się z nim sprzeczać. To, czego nie mógł pojąć, dotyczyło czegoś bardziej zasadniczego.

– Sądzę, że zaszła pomyłka. Źle oceniliście moje umiejętności.

W odpowiedzi otrzymał uśmiech. Uśmiech pobłażania.

– Ja zajmuję się liczbami. Nie jestem egiptologiem.

– Sumerologiem – poprawił go Connors. – Te znaki pochodzą z sumeryjskiego. –

Po czym dodał: – Doskonale wiemy, jaka jest pańska specjalność. Mamy innych, którzy przetłumaczą nam te znaki.

– Więc po co ja tu jestem?

Pytanie było jak najbardziej uprawnione. Ale widocznie znowu nie na tyle, żeby ktokolwiek pofatygował się mu na nie odpowiedzieć.

– Skoro już udało się wam wydobyć to z cyfr – doprecyzował. – Skoro złamaliście kod. Czego jeszcze możecie chcieć ode mnie?

W końcu Franquin odchrząknął.

Powiódł wzrokiem po ścianie od góry do dołu, potem zatrzymał spojrzenie na Williamie, niewzruszone, spokojne. A kiedy się odezwał, jego głos brzmiał niezwykle poważnie.

– Panie Sandberg, mamy mało czasu.

I uzupełnił:

– Potrzebujemy pomocy w zakodowaniu odpowiedzi.

Kiedy Christina weszła do ciepłej kawiarni przy Rörstrandsgatan i zaczęła szukać wzrokiem Palmgrena, on stał już przy stoliku i wyciągał do niej ramiona.

Zobaczył ją przez szybę i wiedział, że zaraz wejdzie do środka z takim samym niewzruszonym wyrazem twarzy jak podczas ich ostatnich spotkań. Ale i wtedy, i teraz zdawał sobie sprawę, że przepelnia ją mnóstwo uczuć.

Pozwoliła, by wziął ją w objęcia, zanim cokolwiek do siebie powiedzieli. Wyswobodziła się z jego uścisku trochę zbyt szybko, obawiała się jednak, że może zacząć płakać, a tego nie chciała. Nie spojrzawszy mu w oczy, gdy skinieniem głowy odpowiedziała na jego „cześć”.

– Masz na coś ochotę? – spytał. Głównie po to, by chociaż przez chwilę zajęła myśli czymś innym. Aby jej emocje opadły, zanim zaczną rozmawiać na poważnie.

Zaprzeczyła. Powiesiła swój kawowy płaszcz na oparciu krzesła, usiadła naprzeciwko. Czekwała, aby odezwał się pierwszy.

– Oczywiście miałaś rację. Ale pewnie już to wiesz.

Potaknęła. Lars-Erik Palmgren był przyjacielem rodziny, od kiedy sięgała pamięcią, i nie przestał nim być również po rozstaniu – neutralne oparcie dla nich obojga, jedyny z ich wspólnych przyjaciół, który nie czuł potrzeby opowiadania się po czyjejkolwiek stronie. Może była to postawa nabyta, element dyplomacji, jakiej nauczył się podczas wielu lat pracy w sztabie sił obronnych. Albo po prostu taki był z natury. Nie miało to znaczenia – niezależnie od motywacji pozostawał niezastąpionym wsparciem zarówno dla niej, jak i dla Williama, mimo że drogi ich obojga już dawno się rozeszły. Bywało, że dopadały ją wyrzuty sumienia, gdy długo się nie słyszeli. Ale z drugiej strony odczuwała potrzebę zamknięcia swego starego życia, aby móc iść dalej, i domyślała się, że on to rozumie. Pod wieloma względami był najrozsądniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

– Wiedziałaś, że on zamierza to zrobić? – spytała po dłuższej pauzie.

Pokręcił głową.

– Ty też nie – powiedział zdecydowanie i rzeczowo, jakby za jej pytaniem kryła się sugestia, że kto jak kto, ale ona powinna była to wiedzieć. – Przeczuwałaś to wcześniej, jednak za każdym razem się myliłaś. Zgadza się? Nawet jeśli człowiek się obawia, że coś może się stać, nie oznacza to jeszcze, że da się przewidzieć, którego dnia faktycznie do czegoś takiego dojdzie.

Wzruszyła ramionami. Wiedział, że cokolwiek teraz powie, i tak nic to nie da. Jej poczucie winy, że nie przeszkodziła i nie zapobiegła, nie zniknie niezależnie od tego, czy jest racjonalne, czy nie, i jego słowa niewiele tu pomogą.

– Jest jak jest – rzucił, chcąc wyrwać ją z zamyślenia. – Tego teraz nie mogłaś przewidzieć ani ty, ani on.

Rozłożył szeroko dłonie, jakby chcąc zobrazować, co znaczy „tego teraz”: zniknięcie Williama, jego komputerów i segregatorów, teczek i fachowej literatury. Opowiedziała mu wszystko przez telefon, a on nagle przyznał jej rację: jej były mąż nie zniknął z własnej woli. Nie miał powodu. Palmgren wciąż dobrze go znał i wiedział, że takiemu człowiekowi jak William Sandberg nie przyszedłby nagle do głowy szalony pomysł, żeby przepaść nie wiadomo gdzie bez wieści. Sandberg nie należał do ludzi, którzy w ogóle miewają szalone pomysły.

– Więc co sądzisz? – spytała.

– Zastanawiałem się nad tym – odpowiedział Palmgren. – Ale nie potrafię zrozumieć.

– Mów jaśniej – poprosiła.

– Zastrzegam, że mogą istnieć rzeczy, o których nie wiem. Jestem na emeryturze. Jeśli w ostatnich latach zdarzyło się coś rewolucyjnego, to ja nie jestem na bieżąco.

– Przecież wiedziałbyś z mediów.

Uśmiechnął się.

– Z całym szacunkiem, ale wy też nie wiecie wszystkiego.

W porządku. Odpowiedziała mu uśmiechem, dając znak ręką, by mówił dalej.

– Jednak bardzo trudno mi sobie wyobrazić, żeby w tak krótkim czasie sytuacja w sferze międzynarodowego bezpieczeństwa mogła zmienić się aż tak radykalnie. Nie potrafię pojąć, kto mógłby mieć interes – albo odpowiednie środki – by wprowadzić eksperta kryptografii. Jak pilna musiałaby być to potrzeba. Chodzi o jakiś naród? – Pokręcił głową, jakby sam sobie odpowiadał. – Sytuacja polityczna raczej na to nie wskazuje. Narody współpracują ze sobą. Gdyby jakiemuś obcemu państwu zależało na szwedzkiej technice kryptograficznej, toby się do nas zwróciło i poprosiło o wsparcie.

– Czyli jakaś organizacja? – spytała.

– Terrorysty? – odpowiedział pytaniem.

– Na przykład.

Spojrzał na nią. Wzruszyła ramionami.

– Czy ja wiem? Może.

– Ale dlaczego mieliby wybrać akurat Williama? Dlaczego nie kogoś, kto nadal jest czynny zawodowo? Kto nie jest tak skupionym na sobie dupkiem, żeby uważać, że wystarczy położyć się w wannie i wyzionąć ducha, a problemy same się rozwiążą.

Znowu spojrzał na nią. Ona wcale tak nie myślała, zdawał sobie z tego sprawę.

– Bo William jest najlepszy.

Potaknęła. Już spokojniejsza.

– Wiesz to ty i wiem to ja – rzekła. – Ale kto jeszcze? I to mający mniejsze niż my rozeznanie w szwedzkiej armii. Jeśli to żadna organizacja wojskowa, to w takim razie kto?

Przez dłuższą chwilę nic nie mówili. Unikali spojrzeń kelnerki, która sprzątała naczynia z sąsiedniego stolika; bezceremonialnie długich spojrzeń mających Christinie zwrócić uwagę, że znajduje się w kawiarni, a nie w poczekalni publicznej, i że to nie jest w porządku tak po prostu sobie siedzieć i nic nie zamawiać.

Gdy znowu zostali sami, Christina pochyliła się ku niemu.

– Czy masz jeszcze kontakty?

– To znaczy? – spytał.

– Chodzi mi o to, co robił William. Zanim się wycofał. Kto robi to dzisiaj?

– Nie wiem.

– Ale ktoś to robi.

– Tak przypuszczam.

Christina skinęła głową. Położyła dłonie na stole i spojrzała Palmgrenowi w oczy.

– Jeśli istnieje ktoś zainteresowany umiejętnościami Williama – obojętne, czy to jakaś grupa, organizacja, czy naród, frakcja polityczna albo samotny zwolennik teorii spiskowych z domku na wsi – jeśli więc istnieje ktoś taki...

Zawiesiła głos i nie dopowiedziała do końca swojej myśli. Palmgren, spotkawszy jej spojrzenie, od razu się domyślił, do czego zmierza.

– Jeśli istnieje ktoś taki... – powtórzył za nią – to następca Williama prawdopodobnie to wie.

Christina nie dodała nic więcej. Czekwała. Czekwała, aż on powie to, co w tej sytuacji należało powiedzieć.

– Zobaczę, czy uda mi się z nim skontaktować.

Uczucie wdzięczności, które ją przepełniło, sprawiło, że musiała opuścić wzrok i przełknąć wzbierające łzy. Żałowała, że nie ma przed sobą filiżanki kawy, aby móc zatrzymać na niej spojrzenie, albo czegokolwiek innego, byle tylko w tym momencie nie patrzeć Palmgrenowi w oczy.

Wyciągnął przed siebie ręce. Ujął jej dłonie. Pochylił się do przodu, jakby próbował za wszelką cenę zatrzymać na sobie jej wzrok, mimo że ona tego nie chciała.

– Będzie dobrze – powiedział. – Obiecuję ci, że będzie dobrze.

Ciepło jego dłoni zaskoczyło ją; kiedy poczuła łzy na policzkach, stwierdziła, że pierwszy raz od czasu, kiedy William zniknął, pozwoliła sobie na płacz.

W końcu podniosła wzrok. W jej spojrzeniu była wdzięczność.

Chociaż oboje wiedzieli, że tak naprawdę żadne z nich nie może niczego obiecać, nie powiedzieli tego głośno.

Już drugi raz tego samego dnia William był prowadzony przez niekończące się zamkowe korytarze. Tym razem Connors w ogóle się nie odzywał. Pozostawił Williama z jego myślami, dawał mu czas, aby się pozbierał, poza tym obaj byli świadomi tego, że ostatnia godzina dostarczyła aż nadto atrakcji, by William poświęcał teraz swoją uwagę topografii.

Szli w milczeniu aż do momentu, gdy minęli drzwi pokoju, w którym dzisiejszego ranka William się obudził. W głębi tego samego korytarza znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Connors otworzył je – te również nie były zamknięte na klucz – i zaprosił Williama gestem do środka.

– Pański pokój do pracy. Proszę powiedzieć, jeśli tylko będzie panu czegoś brakować.

William rozejrzał się wkoło. Całkiem niezły jak na pokój do pracy. Leżał po tej samej stronie co jego sypialnia i rozciągał się z niego równie olśniewający widok. Cztery ogromne okna wychodziły na górskie jezioro. Pod boczną ścianą stał długi stół wypełniony monitorami i komputerami, nie brakowało na nim nawet długopisów i papieru, a fotel też wyglądał na całkiem wygodny.

Jakby wszedł do własnego gabinetu w pierwszym dniu pracy.

I to nie najgorzej wyposażonego gabinetu.

– Poznaje pan? – rzucił Connors.

– Słucham?

Pytanie wydawało się całkowicie absurdalne, więc William spojrzał na niego pytającym wzrokiem. Na twarzy Connorsa pojawił się nieznaczny uśmiech, a gdy z niej nie zniknął, William zwrócił się znowu w stronę pokoju.

Minęła chwila, zanim zdał sobie sprawę, że rzeczywiście to miejsce nie jest mu obce.

I kolejna, zanim zrozumiał dlaczego.

To były jego własne komputery. Zostały ustawione w dokładnie taki sam sposób jak w jego mieszkaniu: monitory, stacje robocze i specjalnie zbudowane moduły z procesorami, które sam zaprojektował i zamówił w największej tajemnicy. Na półce powyżej monitorów dostrzegł własną literaturę, segregatory, wszystko, co miał w swoim pokoju do pracy, i czego – przypuszczalnie – mógłby potrzebować, by pracować tutaj.

Ale dopiero gdy po raz trzeci powiódł wzrokiem po stole, zauważył, że jedna rzecz się nie zgadza. Podszedł bliżej w stronę biurka, do szarozielonej sześciennej skrzynki z grubej stalowej blachy. Stała na samym brzegu, obok innych.

To nie mogło być to. To niemożliwe.

Położył na niej dłoń. Przesunął palce po zimnej powierzchni. Obrócił skrzynkę,

odstłonił rzędy kontaktów i przełączników, poprzewiercanych i zamontowanych w lśniącej płycie stanowiącej tylną ściankę. Całość wyglądała na urządzenie własnej roboty z lat osiemdziesiątych.

– Skąd to macie? – spytał.

– Zarekwirowaliśmy.

– Zarekwirowaliście?

William spojrzął na Connorsa. Czegoś takiego nie można było kupić w żadnym sklepie. Co więcej: nie wystarczyło też włamać się byle gdzie, żeby to wykraść. Takich rzeczy nie znajdowało się ot tak, po prostu, a jeśli już, to chroniły je nadzwyczajne zabezpieczenia, alarmy i prawdopodobnie grube ściany z betonu, przez które można było się przedrzeć wyłącznie pod warunkiem, że zdobyło się niezliczoną ilość podpisów na niezliczonej ilości dokumentów.

Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Bo to on sam zbudował to urządzenie.

Zaczął nad nim pracować wiosną 1992 roku i doskonalił je przez dwa kolejne lata. Była to zasadnicza część supertajnego projektu badawczego, wykorzystywana potem przez siedem lat, a później przechowywana w podziemnym magazynie jako starannie strzeżona tajemnica. Każdy z poszczególnych elementów tego urządzenia był już mocno przestarzały, jednak stojąca teraz przed nim na stole maszyna wciąż nadawała się do jednego jedyne zadania. Prawdopodobnie nadal stanowiła najbardziej efektywny instrument do odczytywania zakodowanych informacji.

Nazywała się Sara. Od innej Sary, którą znał.

– Mamy trochę kontaktów – rzekł Connors w odpowiedzi na jego pytanie.

– No tak – powiedział William. – Widzę.

Usiłował stłumić emocje, ale oczywiście na próżno. To tylko maszyna, próbował sobie perswadować, lecz jednocześnie część tego, co kiedyś usiłował wyprzeć z pamięci albo przynajmniej zlekceważyć. A teraz oto przypomniano mu o tym wszystkim, niespodziewanie i w dodatku w tak brutalny sposób.

Spojrzął na Connorsa i skinął głową.

Dziękuję – mówił jego gest, jeśli nawet on sam nie chciał się do tego przyznać.

Connors stał nieruchomo, przyglądając się Williamowi Sandbergowi przez kilka kolejnych minut, patrzył, jak tamten przechyla się za maszyny, sprawdza wtyczki, przewody i czy wszystko jest podłączone jak trzeba. W końcu poczuł się zbędny, postanowił więc nie przeszkadzać i odwrócił się, zamierzając wyjść.

W chwili gdy otworzył drzwi, usłyszał głos Williama za swoimi plecami.

– Connors?

Zatrzymał się. William Sandberg stał obok komputerów z powagą w oczach dotąd u niego niewidzianą. Po raz pierwszy generał naprawdę zrozumiał, że oto ma

przed sobą człowieka, który zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu próbował odebrać sobie życie.

Ironiczne spojrzenie zniknęło. Jego miejsce zajęło coś zupełnie innego, rodzaj głębokiego humanizmu, którego Connors w ogóle się nie spodziewał, choć może powinien; na chwilę ogarnęła go tkliwość, miał ochotę podejść do tego człowieka, otoczyć go ramieniem i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Ale jeśli istniało coś, czego on, Connors, nie był pewien, to właśnie tego, czy naprawdę będzie dobrze. Więc jedynie kiwnął głową w odpowiedzi.

William zaczerpnął powietrza.

– Widzę tylko jeden jedyny powód, dla którego ONZ miałyby powołać tajną paramilitarną organizację pod własnymi auspicjami.

Aha. Connors stał w miejscu. Nic nie mówił, czekał na dalszy ciąg.

– Jeśli pojawi się konkretne, powszechne zagrożenie dla jakiegoś kraju albo jeśli coś będzie groziło nam wszystkim i powstanie obawa, że nie da się tego uniknąć. No i z lęku przed konsekwencjami w przypadku, gdyby taka informacja dotarła do opinii publicznej.

Jeżeli na twarzy Connorsa widniał uśmiech w chwili, gdy się odwrócił, to teraz zniknął z niej bez śladu. Generał stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w Williamie i nawet nie mrugnął powieką.

Nie odezwał się ani słowem. Swej odpowiedzi nie mógł wyrazić bardziej wymownie niż właśnie w ten sposób.

Żaden z nich nic już nie powiedział.

Następnie Connors obrócił się na pięcie i opuścił pokój.

Było już dawno po północy, gdy Christina wróciła do redakcji. W ręku trzymała szeleszczącą reklamówkę z Seven Eleven z bezbarwnym gotowym makaronem zapakowanym w równie bezbarwne kartonowe pudełko. Na razie nie była głodna, ale wiedziała, że potem na pewno będzie. Wstawi je później do biurowej mikrofalówki – wolała nie myśleć, który raz z rzędu będą podgrzewane te jej świderki – po czym skubnie odrobinę, a resztę zostawi na biurku, żeby nad ranem serwis sprzątający wyniósł prawie pełen karton razem z koszem na śmieci. Miała nadzieję, że ona do tej pory zdąży już pójść do domu.

Przebywanie w nocy w biurze stanowiło szczególne doznanie. Tempo było wolniejsze, ci, którzy pracowali, robili to w ciszy, nieprzerwany hałas telefonicznych dzwonek zlewających się w jeden długi dysonansowy koncert ucichł, a zastąpił go przytłumiony szum wentylatorów, komputerów i lamp jarzeniowych. Dla tych, którzy nie mieli ochoty iść do domu, żeby oglądać siebie w lustrze, redakcja

wydawała się świetnym azylem. Tu człowiek nie był sam, a jedyna społeczna interakcja, w jakiej musiał uczestniczyć, sprowadzała się do zmęczonego skinięcia głową kolegom mijanym po drodze do własnego biurka. Właśnie czegoś takiego Christina potrzebowała tego wieczoru.

Przynajmniej zwykle tak to wyglądało.

Jednak przy biurku tuż przed szklaną ścianą jej boks lampka rzucała snop ciepłego światła na uruchomiony komputer oraz na samotną czapkę z daszkiem leżącą na kołonośniku obok.

Leo jeszcze tu jest. Zanim zdążyła się rozejrzeć, żeby ustalić, gdzie on się podziewa, odgłos przewróconego kubka, który właśnie dobiegł z kuchni, wdarł się w senny szum i kazał Christinie się odwrócić.

Stał przy długim blacie pośrodku aneksu kuchennego, mocno skupiony na rozkładaniu gigantycznego stosu papierowych ręczników, tak by jasnobrażowe kałuże z mleka i kawy nie rozlały się na podłogę. Podchodząc bliżej, przyglądała mu się w milczeniu. Niezdecydowana, czy ma się z tego wszystkiego śmiać, czy też powinna czuć się zaniepokojona, że ma takiego pomocnika do dyspozycji.

– Jeszcze tu jesteś? – spytała w końcu.

Leo podniósł wzrok. Nie słyszał, jak przyszła. Ograniczył się do rozłożenia rąk jako potwierdzenia, że owszem, to on.

W drodze powrotnej te same ręce sięgnęły po kubek. Przewrócił się na bok, a Leo, zakławszy pod nosem, znowu chwycił rolkę papieru, rozwinął kolejne pasmo i od nowa przystąpił do gorączkowej pracy, aby powstrzymać spływające strużki przed ścieknięciem poza blat.

– No dobrze – odezwała się wreszcie. – Skoro już tu jesteście.

Wstawiła karton z makaronem do mikrofalówki i ją uruchomiła. Następnie oparłszy się o rząd kuchennych szafek, szybko zrelacjonowała spotkanie z Palmgrenem, ich wspólne rozważania, kto i dlaczego, wspomniała też o jego obietnicy, że spróbuje się zorientować, czy służba bezpieczeństwa może mieć pojęcie, co się wydarzyło.

Nie było specjalnie dużo do opowiadania, toteż zanim mikrofalówka się wyłączyła, Christina zamilkła. Spojrzała na Leo, dając mu do zrozumienia, że teraz jego kolej na sprawozdanie. On jedynie skinął głową. Nabrał powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, nie znalazł jednak słów i odwrócił się w stronę ekspresu do kawy, żeby go napełnić.

Nie ulegało wątpliwości, że będzie musiała wszystko z niego wyciągać.

– A ty? Czego się dowiedziałeś?

Popatrzył na nią ze współczuciem. Ułożył sobie zdania w myślach, zanim zaczął mówić.

– Niezbyt dużo – rzekł. – Rozmawiałem ze Stockholms Stadsbud, no i nie,

mówią, że tam nie byli. No tam, wie pani. Pod adresem Williama. Ale sąsiedzi są pewni, że widzieli logo Stadsbud na bluzach.

– O jakiej porze to było?

– Nikt nie chce się przyznać, jak bardzo ma oko na sąsiadów. Najpierw nikt nic nie wie, potem próbuje naokoło. Ale jakoś tak w porze lunchu.

Christina kiwnęła głową.

– A kiedy zniknął ze szpitala?

– Ostatni raz widziano go o jedenastej. Nic więcej nie wiadomo.

Nastąpiła krótka pauza, po czym Leo ciągnął:

– Nagrania z kamer monitorujących są na policji. Ale nikt się nie spodziewa, że tam się coś znajdzie. No wie pani. Szpital. Ochrona danych i takie tam. Jest tych kamer jedynie kilka, a jak się wie, którędy iść, to praktycznie można poruszać się prawie wszędzie i, że tak powiem, nie wpaść. W ogóle.

Tego, co po chwili powiedział, w ogóle się nie spodziewała.

– Sam spróbowałem iść trochę zygakiem. I po paru razach już wiedziałem którędy najlepiej. To wcale nie jest trudne.

– Byłeś tam?

– Przecież miałem z nimi porozmawiać.

Jasne, tak się umawiali. Czy właściwie to nie trochę dziwne, może powinna była pojechać tam sama – telefon to przydatne urządzenie, owszem, ale nic się tak nie sprawdza jak spojrzenie ludziom w oczy podczas rozmowy.

W głębi ducha spodziewała się, że on wybierze najprostszą drogę. A kiedy się okazało, że nie poszedł na skróty, bardzo się ucieszyła, że się pomyliła.

– Po prostu nie wiedziałam, że zamierzasz się tam wybrać – wyjaśniła.

– Miałem niedaleko – odparł. – Byłem na Strandvägen, potem poszedłem do Stadsbud w Vasastan, czyli szpital jest prawie po drodze do domu.

No proszę, proszę. Christina nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Wobec tego dlaczego jesteś teraz tutaj?

Chłopak spojrzał na nią.

W jej głosie pojawił się ciepły ton, taki, którego do tej pory nie znał, dlatego Leo musiał za wszelką cenę skupić się na czymś innym, żeby się nie zaczerwienić.

– Pomyślałem... sobie... że... – odpowiedział. Oczywiście doskonale wiedział, że te strzępy brzmią jak wypowiedź idioty, ale wołał już to, niż wyglądać na niego.

Znowu zapadła cisza.

– Kiedy ostatni raz patrzyłeś na zegarek? – spytała.

Wzruszył ramionami. Wiedział, że jest późno. Istniał jednak powód, dla którego wrócił do redakcji. Rzuciwszy okiem na swoje biurko, Leo przez krótką chwilę zmagił się sam ze sobą.

Chciałby móc powiedzieć.

Jednak na razie wolał się powstrzymać. Bo mógł się mylić.

Powtórnie wzruszył ramionami, mimo że dokładnie wiedział, która jest godzina.

– Idź do domu – rzuciła.

– Chciałbym jeszcze trochę zostać – odrzekł.

Spojrzała na niego.

Niewykluczone, że to było pierwsze zdanie bez zacinania się i powtarzania od początku, które słyszała z jego ust, na dodatek wypowiedział je z takim opanowaniem i stanowczością, że aż się zdziwiła. Znowu nie mogła się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć.

– Co takiego? – spytał.

– Nic, nic. Jestem zmęczona. I ty pewnie też.

To prawda, ale on starał się nie dać tego po sobie poznać.

– Weź taksówkę – zaproponowała. – I przynieś mi jutro rachunek.

Wyciągnęła rękę i zabrała mu kubek z kawą.

Był nieporadnym młodym człowiekiem, lecz nie ulegało wątpliwości, że ma większy potencjał, niż sądziła. I nie chciała, by ten potencjał się zmarnował.

– Bądź jutro dopiero o ósmej trzydzieści – rzuciła jeszcze. – Nie chcę, żebyś mi tu jutro siedział i ziewał.

Posłała mu krótkie spojrzenie, które mówiło, że nie dopuszcza żadnego sprzeciwu. Następnie wyjęła makaron z kuchenki i ruszyła do swojego oszklonego boksu.

Miał już na sobie kurtkę i czapkę, kiedy podszedł do boksu Christiny niepewnym krokiem. Stał przed drzwiami, oparł się tułowiem o ścianę, spłaszczywszy swoją puchówkę po drugiej stronie szyby tak bardzo, że wyglądała jak poduszka powietrzna po zderzeniu się z oknem.

Podniosła na niego wzrok, odczekała, aby kilkakrotnie ułożył sobie w głowie to, co ma do powiedzenia.

– Dlaczego jest pani taka pewna? – spytał w końcu. – Że on nie, no, wie pani. Nie z własnej woli?

To uzasadnione pytanie. I chociaż nie była przekonana, czy powinna wtajemniczać go we wszystkie sprawy z przeszłości, którą najchętniej wolałaby odepchnąć od siebie i o której pragnęła zapomnieć, to jednocześnie nie potrafiła znaleźć żadnego powodu, by mu nie powiedzieć.

– Wszystko zostało spakowane – wyjaśniła wreszcie. – Zabrał ze sobą komputery. Ubrania. Nawet szczoteczkę do zębów. Wszystko.

Jego oczy patrzyły na nią pytającym wzrokiem. No i?

Christina wyjęła swój telefon komórkowy i wyszukała w nim zdjęcie.

Przedstawiało pokój do pracy Williama, zrobiła ich kilka tamtego ranka. Stuknęła parę razy palcem w wyświetlacz, aby powiększyć jedną ze ścian.

Całą powierzchnię zapełniała kompozycja ram, od blatu biurka aż po skraj tapety, gdzie zaczynała się sztukateria. Ramki wypełniały fotografie. Wszędzie ta sama twarz – młoda kobieta w różnych sytuacjach: uśmiechająca się do obiektywu, gdzieś w pozowanym ujęciu, czasami złapana w ruchu. Na niektórych zdjęciach była młodsza, może w wieku piętnastu lat, na innych wyglądała już na starszą.

Ale na żadnym nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– Kto to jest? – spytał.

– Sara – odparła. – Była naszą córką.

Dobrze usłyszał. Była. Nie odezwał się ani słowem.

– Gdyby sam pakował swoje rzeczy, te fotografie nie wisiłyby tam teraz.

Wyłączyła telefon i odłożyła go na biurko. Na jej twarzy pojawił się melancholijny uśmiech. W końcu rzuciła:

– Naprawdę, Leo. Idź do domu i się prześpij.

Okej. Jeszcze przez chwilę stał w milczeniu. Wreszcie niemo skinął głową na pożegnanie, uwolnił szybę od swojej rozplaszczonej puchówki i ruszył w kierunku windy na drugim końcu piętra.

Christina została w swoim boksie. Spojrzała na rozgrzane pudełko z bezbarwnym makaronem. Nie otworzywszy go nawet, wyrzuciła je do kosza, włączyła komputer i usiłowała skupić się na właściwej pracy.

William Sandberg siedział w pokoju do pracy długo po północy, aż do chwili, gdy ochroniarz, który stał na straży po drugiej stronie drzwi, poczuł się na tyle zaniepokojony, że uprzejmie, ale zdecydowanie zapukał i zasugerował pójście choć na krótko spać.

William zgodził się posłusznie. Poprosił, aby pozwolono mu zabrać ze sobą kilka wydruków i pisaków do tablicy magnetycznej. Ochroniarz spojrział na niego zmęczonym wzrokiem, ale nie widział powodu, by nie przystać na jego prośbę. Znalazłszy się z powrotem w swoim pokoju, William wykorzystał jako tablicę lustro w łazience i pracował do drugiej, dopóki nie skończyły się owoce ze śniadania.

Kiedy obudził się pięć godzin później, drugiego poranka w niewoli, był pełen energii i zapału, jakich już dawno u siebie nie pamiętał.

Nikt nie pukał do drzwi. Nie dzwonił żaden budzik, nikt mu nie mówił, że pora wstać, a mimo to już o siódmej usiadł na brzegu łóżka, w pełni przytomny, od razu gotowy do rozpoczęcia pracy w miejscu, gdzie wczoraj skończył.

Przez chwilę pozwolił myślom płynąć swobodnie, następnie poszedł do łazienki i wziął nieprzyzwoicie długi ciepły prysznic, podczas gdy myśli dalej biegły gdzieś swoim torem.

Potem wyciągnął się na posadzce w łazience, zaskakując tym samego siebie.

Załozył ręce za głowę. Postawił stopy, ugiął kolana. I uniósł tułów do góry, wykonując pierwsze brzuszki od nie wiadomo jak dawna.

Ćwiczenie okazało się o wiele cięższe, niż pamiętał.

Widział, jak skóra na brzuchu układa się w znacznie bardziej miękkie fałdy niż kiedyś, a z każdą sekundą, gdy usiłował utrzymać tułów nad podłogą, męczył się coraz bardziej, jednak kiedy opadł na plecy, naliczywszy dwadzieścia udanych powtórzeń – przynajmniej przy odrobinie dobrej woli – przepełniało go mimo wszystko poczucie sukcesu. Z wysiłku wszystko go paliło. Nie dałby rady już ani razu. Jednak to oznaczało, że w jego ciele wciąż jeszcze są mięśnie i że nadal dobrze wie, jak się pracuje. I to go cieszyło. Trzeba tylko je ćwiczyć.

Dokładnie tak samo jak wszystko inne. Wystarczy ćwiczyć.

Gdy brał prysznic, ktoś wszedł do pokoju i zostawił na tacy obok łóżka śniadanie. Było równie obfite i kolorowe jak dzień wcześniej, ale on zadowolił się jedynie filiżanką kawy i owocem, woląc skupić się na dwóch gazetach, które także leżały na tacy. Wczorajsza data. Mimo wszystko nie mógł oprzeć się uczuciu podziwu.

To były szwedzkie gazety, obie.

Przebiegł wzrokiem po stronach tytułowych, nie zatrzymując się na niczym

dłużej. Wziął do ręki jeden z dzienników, przewrócił kilka kolejnych stron i otworzył na informacjach lokalnych ze Sztokholmu.

Sprawdził kolumnę za kolumną. Dokładnie. Jedną po drugiej.

Następnie odłożył gazetę, sięgnął po konkurencyjną i zrobił to samo.

W niej też niczego nie znalazł.

Złożył dzienniki z powrotem i zostawił na tacy z pierwszymi stronami na wierzchu. Jego opiekunowie nie musieli wiedzieć, czego szukał.

Nigdzie nie znajdowała się nawet najmniejsza wzmianka na temat jego zniknięcia i chociaż zrobiło mu się trochę przykro, nie czuł się zaskoczony. Jediną osobą, która odnotuje ten fakt, będzie Christina. Był jednak przekonany, że ci, co go uprowadzili, zadbali także o odpowiedni scenariusz, tak aby nie wzbudzał niczych wątpliwości. Niezależnie od tego, co ona sądzi o jego zniknięciu, nie wyglądało ono na nic, co zasługiwałoby na miejsce w gazecie.

Tym większa motywacja, pomyślał.

Żeby zrobić to, co zamierzał.

Kiedy Connors dziesięć po ósmej zapukał do drzwi, by sprawdzić, czy William może już przystąpić do pracy, on był ubrany i od dawna gotowy.

Nie mógł się doczekać tego dnia.

Miał plan.

I bardzo starannie unikał zdradzenia go Connorsowi.

Upłynęło niemal osiemnaście godzin od chwili, gdy Connors zostawił go w jego nowym pokoju do pracy, i teraz William nie był już tak dobrej myśli.

Długo stał pośrodku pomieszczenia, samotnie i w milczeniu, patrząc na tę nieogarnioną masę niezrozumiałych informacji wiszących na ścianach wokół niego. Niemal całą powierzchnię jednej, od podłogi po strop, pokrywały arkusze z wypisanymi ciągami cyfr, a na sąsiedniej widniały wydruki tekstu napisanego prawdopodobnie sumeryjskim pismem klinowym, mogącego być jednak Bóg wie czym, wyglądające jak po partacku przyklejona tapeta w czarno-białe graficzne wzory.

Wisiały w grupach, setki kartek brzeg przy brzegu, tu i ówdzie z niewielkim odstępem oddzielających jedną grupę od drugiej, jakby dla pokazania, że w tym miejscu ciągłość została przerwana i że cyfry oraz informacje znajdujące się wcześniej pomiędzy nimi usunięto jako nieinteresujące.

Było tego obezwładniająco dużo.

I nie sposób było się domyślić, od którego końca zacząć.

Oprócz tego istniały rzeczy, o których w ogóle nie mówiono, i właśnie one

niepokoiły go najbardziej.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie on pierwszy znalazł się na tym boisku. Ktoś zajmował się tym samym materiałem już przed nim, wykonał pierwszą robotę, odczytując niekończące się ciągi cyfr wiszące wokół niego, łamiąc klucz umożliwiający przełożenie ich na nowe cyfry, a potem przekształcając je na długie wiązki pikseli z sumeryjskim tekstem.

Ale co to oznaczało?

Że ktoś inny rozpoczął jego zadanie, lecz nie wykonał go do końca? Z jakiego powodu? Kto to? I w takim razie: gdzie ta osoba podziewa się obecnie?

Pokręcił głową.

Potrzebne jest napisanie odpowiedzi. Odpowiedzi na informację, której nie wolno mu przeczytać. Wielkie dzięki.

Bo rzecz jasna to nie ułatwiało mu sprawy. Ciągi cyfr, które tu wisały, zdołali wprawdzie przetłumaczyć, nie było to jednak wcale równoznaczne ze znalezieniem uniwersalnego klucza – nadal brakowało metody zaszyfrowania informacji, brakowało logicznej i doskonałej formuły lub wręcz zestawu formuł, które umożliwiłyby w każdej chwili zakodowanie nowej informacji i określiłyby jak, dlaczego i które zmienne powinny się w niej znaleźć i jaką powinny mieć wartość.

To nieskończenie skomplikowany proces. Dla kształtu formuły mogło mieć znaczenie wiele niewiadomych, na przykład w którym miejscu długiej sekwencji umieszczony jest zaszyfrowany tekst albo jakie inne teksty znajdują się poza nim w sekwencji czy też dlaczego akurat tam, a nie w całkiem innych sekwencjach, o których nawet nie wiedział, jak miałyby wyglądać. A to jeszcze bardziej pogłębiało jego frustrację, no bo jeśli nikt nie chciał mu powiedzieć, skąd pochodzi materiał, to jakim cudem on może mieć pojęcie, gdzie powinien zacząć?

Zaklął głośno.

Usiłował odegnać od siebie te myśli.

Powrócić do równowagi. Zapoznać się ze wszystkim, wyrobić sobie ogólny pogląd, sprawdzić, jakie wnioski mógłby wyciągnąć z tego, co widzi.

Stanął przed wydrukami.

Zaczął od tyłu.

Ściana z pismem klinowym.

Nie mówiła mu nic, jak się zresztą spodziewał. Równie dobrze mogłaby być pokryta rysunkami dzieci, bezsensownymi bazgrołami. Jednak jest inaczej. Te symbole są tak naładowane treścią i ważne, że narody świata uznały, iż muszą powołać całą organizację, aby coś z tym zrobić. A kimże on jest, by się temu sprzeciwiać?

Z odległości kilku kroków teksty wyglądały tak, jakby strona za stroną stanowiły jeden nieprzerwany ciąg, jednak gdy William stanął bliżej, dostrzegł, że każda jest

obwiedziona cienką ramką, jakby była odrębną całością, pojedynczym elementem w ogromnej mozaice stron formatu A4.

Każda taka strona stanowiła oddzielną matrycę z ukrytą w pikselach swoją częścią informacji.

Dwadzieścia trzy piksele na szerokość, siedemdziesiąt trzy na wysokość.

W sumie tysiąc sześćset siedemdziesiąt dziewięć punktów składających się na rząd sumeryjskich kresek i symboli, niemówiących mu zupełnie nic.

W porządku.

Na ścianie obok wisiały kartki z ciągami cyfr, i teraz dla odmiany ustawił się przed nią.

Na każdej stronie znajdowały się dwa pola cyfr. Na górnej połowie arkusza cyfry były w kolorze czarnym, na dolnej – w czerwonym, tuż obok siebie, bez odstępów. Litera C i P wyjaśniały mu, z czym ma do czynienia.

Cipher i Plaintext.

Czarne to C. Zaszifrowany kod. To, co przechwycili.

A czerwone to P. Rozszyfrowany materiał. Cyfry, które przedstawiały wszystkie te wiązki pikseli składające się na pismo klinowe na sąsiedniej ścianie.

Do tego momentu żadnych niespodzianek.

Jego uwagę zwróciło jednak to, że sekwencje były zbudowane z czterech cyfr.

Nie odnotował tego, gdy te same ciągi pędziły jak szalone jako obrazy rzucane z projektorów w dużej sali konferencyjnej, ale kiedy się nad tym zastanowił, uznał, że tak właśnie musi być.

Cztery.

Nie dwie, jak w zdygitalizowanych szeregach jedynek i zer. Nie dziesięć, jak w starym zwykłym systemie. Ciągi przed nim składały się z cyfr od zera do trzech.

System czwórkowy.

W gruncie rzeczy nie było w tym nic rewolucyjnego. Oczywiście zetknął się już z czymś takim. Nie przypominał sobie jednak, aby kiedykolwiek ktoś praktycznie zastosował ten system, co najwyżej służył on jako anegdotyczny eksperyment myślowy, jako przykład, że można wyjść od każdej bazy. Programiści korzystają z szesnastu elementów. Babilończycy stosowali sześćdziesiąt. Ale komu, u licha, przyszło do głowy, żeby użyć czterech? I dlaczego? Nie mógł się nadziwić, że natknął się na coś takiego.

Lecz jeśli coś na koniec ma być zamienione na czarne i białe piksele, to jaki sens magazynować to w cyfrach od zera do trzech?

Pokręcił głową.

Żaden.

Jego zadanie nie polegało na przełożeniu czerwonych, odkodowanych cyfr na pismo klinowe ze ściany obok. To zrobił już ktoś inny, a jeszcze ktoś inny – o ile

dobrze zrozumiał – przełożył pismo klinowe na coś współcześnie zrozumiałego, ale nikt nie chciał mu powiedzieć, co w nim było – jakby to nie odgrywało żadnej roli.

Jedynie, na czym on miał się skupić, to odkrycie relacji, pasa transmisyjnego prowadzącego od czarnych cyfr do czerwonych, a potem ustalenie, jak nowe cholerne czerwone cyfry mogą być przełożone na nowe cholerne czarne. Ku swemu niezadowoleniu zauważył, że bardzo go to stresuje. Całe to przedsięwzięcie wydawało się nie do wykonania, dlatego właściwie miał ochotę splunąć na to wszystko i sobie stąd pójść.

Przez moment kątem oka zerkał na biurko.

Segregatory. Komputery.

Powinien dać radę, ale nie miał pewności.

W segregatorach znajdzie pewnie wyliczenia i wnioski swojego poprzednika, powinien się z nimi zapoznać i znaleźć prostszy sposób. Było to nieprawdopodobnie nęące i jednocześnie ryzykowne.

Wiedział bowiem, że jeśli ktoś wyliczył jakiś klucz, który działa tylko w jedną stronę, to znaczy, że jest on niekompletny albo wręcz wadliwy. William nie chciał wpaść w taką samą pułapkę. Nie chciał przyjąć sposobu myślenia, którym nie umiałby sterować, zaakceptować czegoś tylko dlatego, że wygląda dobrze na papierze zapisanym przez kogoś innego.

Musi zacząć od nowa. Bez wstępnych założeń. Bez żadnych pomocy.

Tak. Bez komputerów.

Bo jeśli on nie wie, to komputery tym bardziej.

Jeżeli nadal będzie poruszał się po omacku, komputery tylko zaciemnią mu obraz i w ogóle straci rozeznanie. Istnieje jedyny sposób, aby przybliżyć się do materiału. Papier i długopis. Pisać i wyliczać ręcznie. Poczuć kod w sobie, tak jak zwykle to robił.

Ale to było dawno temu.

Stał dalej, przesuwając wzrokiem w tę i z powrotem po szeregach cyfr, usiłował jakoś się ku nim przebić, lecz nie miał pojęcia, jak to zrobić. Poczucie klaustrofobicznego zamknięcia przeszło jego ciało, sprawiło, że zabrakło mu tchu, z każdą sekundą narastała obawa, nie, to było już przekonanie... Poczuł, jak mokra koszula na plecach przykleja mu się coraz bardziej do skóry.

Utracił to.

Już nie potrafił.

W końcu cisnął papiery i długopisy na bok, w skrajnej desperacji zrzucił segregatory na podłogę, otworzył drzwi i wypadł na korytarz. Potrzebował zmiany otoczenia. Spojrzeć na coś świeżego. Pomyśleć o czymś innym.

Pierwsze, co ukazało się jego oczom, to postać ochroniarza w jasnoszarym

mundurze. Nowa twarz, żaden z mężczyzn znajomych mu z samolotu; stał na szeroko rozstawionych nogach zaledwie kilka metrów od jego drzwi ze znudzonym spojrzeniem muzealnego strażnika w powszedni dzień poza sezonem.

– Mogę w czymś pomóc – rzucił.

To nie było pytanie. Głos wskazywał jednoznacznie, że mężczyzna nie jest ani trochę zainteresowany niesieniem pomocy. On był tam po to, aby przeszkodzić Williamowi w udaniu się w jakiekolwiek miejsce, w które pójść nie powinien.

William wyjaśnił, że potrzebuje odrobiny ruchu.

– Może pan przechadzać się w tę i z powrotem tutaj – odparł ochroniarz.

– Mogę też równie dobrze przestać pracować – powiedział William. – Muszę pospacerować, żeby móc myśleć, a jestem tutaj właśnie po to, żeby myśleć. Więc niech pan wybiera.

Ich spojrzenia zwały się na chwilę. Było oczywiste, że ochroniarz otrzymał ściśle polecenia: prawdopodobnie miał zarówno zatrzymać Williama jak najdłużej w jego pokoju, jak i zapewnić mu dobry nastrój – i właśnie w tym momencie w mężczyźnie toczyła się intensywna walka, które z nich jest ważniejsze.

W końcu gwałtownie kiwnął głową. Zachował powagę w spojrzeniu, chociaż obaj wiedzieli, że to William wyszedł zwycięsko z tego pojedynku.

– Ale proszę nie robić żadnych głupstw – ostrzegł.

William uśmiechnął się oszczędnie. Chętnie przyjąłby parę pomysłów na zrobienie czegoś głupiego w sytuacji, gdy jest się zamkniętym w grubych kamiennych murach. Postanowił jednak tego nie mówić i też kiwnął głową – ochroniarz musiał sam rozstrzygnąć, czy ten gest znaczy tyle co „dziękuję”, czy „pocałuj mnie w dupę”, czy też coś pomiędzy – po czym ruszył korytarzem.

Nie miał wiele miejsca na spacer.

Powietrze w tym miejscu tak samo zalatywało wilgocią jak w pokoju do pracy, a ściany składały się z identycznych niekończących się rzędów kamieni ułożonych jeden na drugim.

Ale przynajmniej mógł odpocząć od wszystkich tych cyfr i wydruków; pozwolił więc oczom przeskakiwać ze ścian na posadzkę i z powrotem, liczyć kamienie i szukać wzorów w konstrukcji muru nie dlatego, że jest to ważne, tylko dla odprężenia, zajęcia umysłu czymś, co jest kompletnie nieistotne i proste.

Jednak myśli nie potrafiły się wyłączyć.

Tysiąc sześćset siedemdziesiąt dziewięć.

Dwadzieścia trzy razy siedemdziesiąt trzy.

Najbardziej irytowało go to, że tę wielkość skądś znał, i w głębi ducha wiedział, że powinien pamiętać skąd. Niezależnie jednak od tego, na jak dalekie wyprawy odkrywcze wysyłał do archiwum pamięci swe myśli, i tak za każdym razem wracały bez niczego, co wywoływało w nim narastającą irytację i frustrację. Wreszcie uznał,

że nie ma sensu dalsze prowadzenie tych rozważań.

Na samym końcu korytarz skręcał w prawo, a za nim otwierały się kolejne wąskie korytarze biegnące w różnych kierunkach. Wybrał taki, którym jeszcze nie szedł, gdy Connors prowadził go wczoraj na spotkanie i gdy z niego wracali. Idąc, dalej liczył kamienie, po cichu i spokojnie, ale z narastającym z każdym krokiem skupieniem, większym nawet niżby się spodziewał.

Przede wszystkim stwierdził, że nie widać tu żadnych kamer. Zastanawiające. Mogło to znaczyć, że albo ich rzeczywiście nie ma, co byłoby raczej dziwne, albo że zostały tak dobrze ukryte w grubych murach, że nie sposób ich dostrzec. Co wydawało się jeszcze większą głupotą. Bo kamery spełniają swoją rolę, kiedy są widoczne i działają odstraszająco.

Ale teraz to nieistotne.

Postanowił przyjąć założenie, że są zamontowane wszędzie.

Drugie, co go uderzyło, to fakt, że dostał szansę. Ochroniarz zostawił go samego, aby mógł zrobić rekonesans na własną rękę, i prawdopodobnie nawet się nie spodziewał, że on właśnie go robi – pewnie dlatego, że William pierwotnie wcale nie miał takiego zamiaru. Naprawdę chciał jedynie się rozruszać. Ale kiedy już się tu znalazł, uznał, że powinien to jakoś wykorzystać.

Szedł dalej.

Cicho.

Tyle że teraz to nie była już tylko przechadzka.

Teraz skupiał się na utrwaleniu w pamięci trasy, na zapamiętaniu, które korytarze dokąd prowadzą i jak wyglądają, postanowił też, że po tym spacerze muszą nastąpić kolejne, tak by mógł zbadać tyle przejść, ile się da.

Wreszcie dotarł do samego końca drogi. Korytarz przed nim zamykały duże drewniane drzwi, obok których widniała skrzyneczka niemogąca być niczym innym jak tylko czytnikiem elektronicznych kart-kłuczy. Czerwona dioda świeciła słabo pod górną krawędzią puszki, wyjaśniając, że drzwi są i pozostaną zamknięte, dopóki odpowiednia karta zbliżeniowa nie przekona jej do ich otworzenia.

William przyjrzał się im przez chwilę. Następnie uznał, że jest poza zasięgiem wzroku ochroniarza już wystarczająco długo i że pora wracać, zanim ktoś zacznie się niepokoić, gdzie się podziewa.

Idąc z powrotem do swojego korytarza, sformułował dwa cele na własny użytek.

Pierwszy to być zawsze przed tamtymi.

Nie jeden krok, nie dwa, ale najwięcej jak to możliwe.

Zrobić wszystko, aby odkryć strukturę i logikę klucza do kodu i przez cały czas informować o swoich sukcesach Connorsa, ale w umiarkowanym tempie. Powinni wiedzieć, że robi swoje, lecz jednocześnie będzie musiał się starać, żeby wciąż wiedzieć więcej od nich. Co prawda nie bardzo sobie wyobrażał, do czego mógłby to

wykorzystać, nie miał jednak wątpliwości, że zawsze lepiej jest być z przodu.

Ale naprawdę ważny był drugi cel.

Cokolwiek miałyby się wydarzyć, musi znaleźć sposób, żeby się stąd wydostać.

Kiedy następnego ranka Connors zostawił go samego w dużym pokoju do pracy, William przystąpił do powierzonego mu zadania z zupełnie nową energią.

Nocne zapiski na lustrze w łazience wprawdzie nie pomogły mu specjalnie w odkryciu czegoś nowego, ale skłoniły do myślenia. Wydeptał sobie ścieżki, po których już dawno nie chodził, zmusił samego siebie do szukania powiązań oraz schematów, a jeśli nawet nie przyniosło to na razie szczególnych profitów, to przynajmniej wiedział, że to niezbędny warunek, aby mu się w końcu powiodło.

Po raz drugi zaczął wędrować od ściany do ściany, w tę i z powrotem między cyframi a obrazkami, kolumnami i rzędami, szukał związku, czegoś znajomego, zatrzymywał się, zmieniał miejsce i zaczynał od nowa. Zapisywał na papierze, na samoprzylepnych kartkach, które rozwieszał na ścianie, w różnych kolorach reprezentujących określony rodzaj równań, koncepcji czy myśli, i stopniowo, stopniowo dochodził do wniosku, że znane mu z dawnych lat poczucie wraca. Poczucie, że jest na swoim miejscu. Dla człowieka, który jeszcze dwa dni temu próbował ze sobą skończyć, euforia była mocnym słowem. Ale gdyby chciał precyzyjnie nazwać własne doznanie, to właśnie coś takiego odczuwał.

Po dwóch godzinach pracy odłożył długopisy.

Pora na drugą część zadania.

Tę, którą sam sobie wyznaczył.

Tym razem ochroniarz był zdecydowanie bardziej przychylny. William oznajmił mu, że chce się przespacerować, po czym usłyszał to samo upomnienie i ruszył przed siebie.

Identyczna taktyka co wczoraj. Spokojne, miarowe kroki. Przechadzka na pozór bez celu. Tymczasem rejestrował wszystko, co mijał, starał się zapamiętać i dodać do mapy w swoim umyśle. Wybierał drogi, którymi jeszcze nie szedł, metodycznie i starannie, żeby nie zapomnieć, które zostały mu jeszcze do odkrycia, aż w końcu zmęczył się i postanowił wrócić do swojego pokoju.

Jeszcze tylko jeden korytarz, pomyślał.

I odbił w bok.

Jeszcze tylko jeden korytarz i wróć.

Ale tymczasem stanął przed wyborem.

Dostrzegł to w tym samym momencie, gdy wyszedł zza rogu.

Na samym końcu korytarza, kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył identyczne drzwi jak te, które zagroziły mu drogę podczas przechadzki dzień wcześniej. Duże, ciężkie, drewniane. Żeliwne zawiasy. I blaszana puszka na ścianie z boku.

Ale była jedna różnica.

Dioda w puszcze świeciła na zielono.

Ktoś właśnie wszedł do środka, drzwi się przymknęły, lecz zapadka w zamku nie znalazła się na swoim miejscu, a dyskretne brzęczenie mówiło, że można jeszcze przejść.

William stał nieruchomo. Wstrzymał oddech.

Powinien? Czy lepiej nie?

To była szansa. Ale szansa, której nie chciał, nie teraz, jeszcze nie.

Wolałby wiedzieć więcej. Wolałby zdążyć zrozumieć, na co liczy, wolałby wybadać więcej dróg, może nawet poczekać do chwili, kiedy go zaprowadzą na spotkanie w częściach zamku, których jeszcze nie widział, wszystko po to, aby mieć więcej możliwości wydostania się stąd i więcej do opowiadania, kiedy już uda mu się uciec.

Nie było czasu na myślenie.

Nadarzyła mu się okazja, jaka być może już nigdy się nie powtórzy; dioda w zamku wciąż jeszcze mrugała przed nim na zielono, ale na pewno nie będzie tak świecić bez końca.

Zawahał się. A potem ruszył.

Kierował nim bardziej impuls niż świadoma decyzja: rzucił się do przodu, kilkoma susami przemierzył kilkadziesiąt metrów, które dzieliły go od drzwi, cały czas wyobrażając sobie, że dioda zaraz błysnie czerwonym światłem, co jednak nie nastąpiło. I kilka sekund później dopadł drzwi, popchnął je i prześliznął się przez nie, po czym puścił najszybciej jak mógł, żeby przypadkiem nie zdążył się włączyć żaden alarm i nie zdradził, że były otwarte dłużej niż powinny.

Za jego plecami drewniane skrzydło ciężko zapadło z powrotem w ościeżnicy. I niemal natychmiast usłyszał brzęczenie, kiedy bolec w zamku się obrócił, zielona dioda zgasła, a zapaliła się czerwona.

Dopiero teraz zaczął się zastanawiać.

I zrozumiał, że kompletnie upadł na głowę.

Stał nieruchomo, oddychał najciszej jak potrafił. Ktoś przekroczył próg tych drzwi tuż przed nim, wystarczyło pomyśleć, żeby dojść do wniosku, że tamta osoba nie może być daleko.

Nowy korytarz, niemal identyczny jak ten, z którego przyszedł – ta sama kamienna posadzka, te same kamienne ściany – daleko przed nim kończył się wąską niszą z małym oknem. Być może stamtąd prowadziły schody w różnych kierunkach. Nie potrafił tego dojrzeć z miejsca, w którym stał.

Panowała całkowita cisza, która budziła w nim niepokój.

Wolałby słyszeć gdzieś czyjeś kroki, jakikolwiek znak życia odbijający się coraz słabszym echem i wreszcie milknący całkowicie, tak by mógł się przynajmniej domyślić, dokąd osoba, która przeszła przez drzwi, się udała.

Skoro panowała cisza, nie mógł wykluczyć, że tamten ktoś jest wciąż blisko.

A wtedy on musiałby mu się niezłe tłumaczyć.

Stał bez ruchu tak długo, że niemal stracił rozeznanie, ile to mogło trwać. W końcu doszedł do wniosku, że właściwie nie ma nic do stracenia. Już i tak wdarł się w zakazany rejon. Jedyne, co mógł zrobić, to iść dalej, spróbować wywęszyć ile się da, zanim go znajdą, i mieć nadzieję, że będzie mógł to potem wykorzystać. Kto wie, czy już nie zaczęli go szukać.

Ruszył przed siebie. Również tutaj nie widział żadnych kamer, był jednak przekonany, że gdzieś są. Znowu kroczył swobodnie i jakby od niechcienia, podczas gdy oczy pilnie wszystko rejestrowały.

Minął jeden łuk w sklepieniu. I jeszcze jeden. Ciasne przejście z boku, niskie i niczym nieoświetlone, zamykały na końcu ciężkie drzwi, których nie zdołałby sforsować, choćby bardzo się starał. Dodał je w pamięci jako kolejny element swojej mapy i ruszył w stronę niszy. Miał nadzieję, że to jakaś klatka schodowa, coś, co zaprowadzi go dalej, może do wyjścia, może w miejsce, skąd będzie mógł się przedostać gdzieś indziej.

Zawahał się.

Czyjeś niespieszne kroki.

Jakby ktoś uciekał w zwolnionym tempie.

A potem się zatrzymał.

Cholera jasna.

Kroki.

Rozejrzał się. Echo dochodzące gdzieś daleko z przodu świadczyło o tym, że ma rację. Nisza przed nim rzeczywiście prowadziła do jakichś schodów. Zła wiadomość była taka, że odgłos kroków stawał się coraz intensywniejszy.

Rozejrzał się. Czuł przyspieszony puls.

Jego jedyną drogę odwrotu stanowiły drewniane drzwi z czerwoną diodą. A może mógłby rzucić się w któryś z bocznych korytarzy i liczyć na to, że nie zostanie zauważony? Lecz gdyby go tam znaleźli, od razu wyglądałoby to na ucieczkę, a nie chciał, żeby tak myśleli. Alternatywą było pozostanie w miejscu i tłumaczenie się, że się zgubił.

Ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie wydawało się nęcące.

A głosy były coraz bliżej.

William nie zdążył się zdecydować.

W momencie, kiedy poczuł dotyk jakiegoś materiału na swojej twarzy, przypomniał sobie, że już wcześniej wciskali mu coś takiego w usta; chciał jeszcze krzyknąć, ale stwierdził, że brakuje mu i siły, i powietrza.

Mężczyzna, który przeszedł za nią przez drzwi, stał w miejscu tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy wciąż jeszcze tam jest.

Janine, przyciśnięta do kamiennej ściany w ciemnym korytarzu, oddychała bezgłośnie i w duchu przeklinała samą siebie.

Nie wiedziała, że ktoś depta jej po piętach, i to ją irytowało. Okazała się nieostrożna. Długo wszystko układało się aż nazbyt dobrze, toczyło zbyt łatwo i w końcu chyba uwierzyła, że jest przebieglejsza od wszystkich innych, za co została ukarana. Ktoś szedł krok w krok za nią i teraz pewnie tam stoi i czeka.

Czy na pewno? To dlaczego nic się nie dzieje?

Już zaczęła przekonywać samą siebie, że się pomyliła. Że niepotrzebnie się chowa, że ma jakąś paranoję, powinna się otrząsnąć i zaraz wrócić do swojego pokoju. Już, już miała to zrobić, gdy znowu usłyszała kroki.

Niespieszne.

Dziwny rytm.

Jakby ktoś spacerował.

Nie było w tym za grosz logiki. Tutaj są tylko dwa rodzaje ludzi: jeden to ochroniarze i personel, a drugi – ona sama, kroki, które słyszała, brzmiały natomiast tak, jakby należały do jakiegoś zwiedzającego albo do kogoś, kto po prostu sobie szedł, a taka kategoria ludzi nie istnieje w tym miejscu.

Zanim mężczyzna znalazł się na wysokości zagłębienia, w którym stała, zrozumiała, że nie jest ochroniarzem. Kiedy minął ją spacerowym krokiem, przez moment nie pojmowała, co tak naprawdę widzi, lecz zaraz uświadomiła sobie, że to może oznaczać tylko jedno, ale było już za późno, aby cokolwiek zrobić.

Ona usłyszała ich pierwsza.

Chwilę później on także.

Zatrzymał się nagle, zaledwie kilka metrów przed nią, nasłuchiwał tak samo jak ona. Kroki, daleko stąd. Ochroniarze idący na górę.

Zawahała się. Mogłaby pozwolić, żeby go znaleźli. Może nawet byłoby to dla niej najlepsze rozwiązanie. Bo jeśli go stąd zabrali, wtedy ona miałaby czyste pole dla siebie.

Być może.

Ale nie dała rady.

Przecież na to czekała.

Jednym ruchem ściągnęła z siebie T-shirt.

Najważniejsze, żeby nie krzyknął. Trzeba to zrobić szybko i cicho, i nie można wyrzucić mu żadnej krzywdy, bo do niczego nie będzie się nadawał.

Chociaż William Sandberg nie miał już podkoszulka wciśniętego w usta, był zbyt zdziwiony, by cokolwiek powiedzieć.

Młoda kobieta pochylona nad nim nie miała więcej niż trzydzieści lat. Ciemne włosy zebrane do tyłu w koński ogon, na nogach cienkie czarne dresowe spodnie, stopy bose. Ciało wysportowane. Jej skórę ciasno opinała czarna koszulka na ramiączkach, idealnie dostosowując się do linii i załamania ciała, jakby ktoś ją na niej namalował.

Zrobiła ręką gest nakazujący milczenie, to samo poleciła mu wzrokiem, ani na sekundę nie odrywając go od niego, podczas gdy ochroniarze minęli ich, zatrzymali się przed drzwiami, przez które oboje niedawno przeszli, otworzyli je swoimi kartami i zniknęli za nimi.

Czekali, wstrzymując oddech, aż drzwi zamkną się z głuchym łoskotem i ustanie brzęczenie w zamku.

Kiedy już to nastąpiło, kobieta się odezwała:

– Mamy ze sobą do pogadania.

Na ulicach Amsterdamu nadal wirowały różowe płatki przekwitających japońskich wiśni, kiedy Janine Charlotta Haynes po raz pierwszy spotkała się z mężczyzną o byczym karku.

Była wiosna. Bezwietrznie, wystarczająco ciepło na spacer, ale wciąż jeszcze rześko. To mógł być cudowny wieczór.

Taki przynajmniej był plan. W rzeczywistości Janine już czuła się zirytowana, a przecież dopiero minął kwadrans po ósmej. Wystrojona, na ile pozwolił jej skromny budżet, siedziała w niewielkiej dzielnicowej knajpce, mimo że stolik został zarezerwowany dopiero na dziewiątą. Miała nadzieję, że zdążą wypić po kieliszku wina przy barze, popatrzą sobie na ludzi i poudają, że ranią siebie nawzajem tymi dziecinnymi, przeintelektualizowanymi gierkami słownymi, które stały się dla nich rodzajem zabawy towarzyskiej. Byli w tym tak dobrzy, że dopiero po wielu miesiącach ich znajomi zorientowali się, że są parą. Powszechnie sądzono, że prędzej by się pozabijali, gdyby tylko mieli taką możliwość.

Stolik był zarezerwowany na to samo nazwisko co zawsze. I jak zwykle musiała się opanować, żeby się nie roześmiać, kiedy zgłosiła się do menedżera sali.

– Nazwisko? – spytał.

– Emanuel Sphynx – odpowiedziała. – Przez duże x.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok. Czuł drzenie w jej głosie, gdy usiłowała zdławić śmiech, ale nie potrafił się domyślić, o co chodzi. Może sobie z niego żartuje. Nie przyjął jednak tego do wiadomości, tylko uśmiechnął się uprzejmie i postanowił nie zgłębiać problemu.

– Mam informację dla pani – oznajmił, po czym wyjął z zeszytu rezerwacji karteczkę, przeczytał ją i w końcu spojrział do góry: – Pan Sphynx spóźni się piętnaście minut.

Podał jej kartkę. Z namaszczeniem, ceremonialnym ruchem, jakby ten świstek papieru był czymś, co ona zechce zachować sobie na pamiątkę i wkleić do dziennika czy powiesić na ścianie obok starych kartek bożonarodzeniowych. Poczucie zawodu już odbijało się w jej oczach. Wewnętrzny śmiech, który jeszcze chwilę temu zdawało się słyszeć, ucichł, a ona syknęła krótko, że będzie czekać przy barze, i wmaszerowała do ciemnego lokalu.

I czekała w nim teraz. Z komórką w dłoni beznamiętnie przeglądała strony, żeby nie sprawiać wrażenia samotnej; przed nią stał opróżniony w połowie kieliszek białego wina. Ale równie dobrze mógłby to być sos berneński, bo zupełnie nie czuła smaku.

Emanuel Sphynx przyszedł na świat rok temu, oboje śmiali się wtedy jak dzieci, ale dziś nie wydawało się to już ani odrobinę zabawne. Janine i Albert siedzieli wtedy na jakimś potwornie nudnym seminarium. Ukradkiem wypili po dwa kieliszki wina do obiadu, i to pomogło. Popołudnie było już znacznie weselsze.

Z tamtego seminarium pozostało jej w głowie jedynie wspomnienie, jak przesuwali między sobą w tę i z powrotem kołonoratnik, chichocząc jak uczniaki, jak za każdym razem zapisywali w nim wymyślone przezwisko i jakieś absurdalne skróty zaczerpnięte ze słów wykładowcy. Pamiętała, że pod każdym względem był to udany dzień. Wieczorem poszła do niego do domu i o ile dobrze pamięta, od tamtej pory spędzili osobno tylko cztery noce.

To wszystko wydarzyło się dokładnie rok temu. Dzisiaj Emanuel Sphynx kończył rok. Rocznicą Janine i Alberta.

A on się spóźniał. Niech szlag trafi Europejczyków.

Kwadrans znaczył co najmniej godzinę albo i dłużej; komórka już ją znudziła, z serwetki ułożyła na barze pomięte nie wiadomo co i nie miała wiele więcej do roboty. Nie znosiła siedzieć sama w miejscach, które były stworzone dla towarzystwa. Nie dlatego, żeby nie umiała się sobą zająć. Wręcz przeciwnie. Tylko wolała to robić u siebie.

Kiedy ubrany w garnitur mężczyzna przysiadł na wysokim barowym stolku obok niej, nie poprawiło to sytuacji.

Był w jej wieku. Miał wysportowaną sylwetkę, co dało się zauważyć nawet przez grubą tweedową marynarkę. Odpięta pod brodą biała koszula okalała imponująco solidną szyję. On miał chęć pokonwersować, ona nie.

– Jestem zajęta – powiedziała.

– Widzę – odparł, wiedząc, że to nieprawda. – Co to? Łabędź?

Wskazał na zmiętą serwetkę na barze. Wyglądała na cokolwiek, ale na pewno nie na łabędzia.

– Powiem jaśniej: gdybym była singielką, może bym kontynuowała.

– Niech pani tak na mnie nie patrzy. W niczym pani nie przeszkodziłem.

Spojrzała na niego. Czy to żart, czy on jest po prostu bezczelny?

Twarz miał poważną, nieporuszoną i opanowaną, jakby powiedział dokładnie to, czego oczekiwał. Ale w jego spojrzeniu krył się słaby ogień, którego przynajmniej tak wytrenowane oko jak Janine nie mogło nie zauważyć, a to znaczyło tylko jedno: ten gość docenił jej cięty język. Dla niego to była gra i właśnie odbił piłkę, równie podkreconą jak jej, teraz znowu kolej na nią.

– I dlatego usiadł pan tutaj – odezwała się. – Żeby powiedzieć, że nie jest pan zainteresowany.

– O, nie. To zwykle zostawiam sobie na drugą randkę.

Zaskoczył ją. Podniosła na niego wzrok, aby sprawdzić, czy na pewno grają w tę

samą grę – siedział spokojnie i czekał na jej spojrzenie. Niech to szlag. W chwili gdy ich oczy się spotkały, zrozumiała, że właśnie odniósł nad nią zwycięstwo.

Nie wiedziała, co powiedzieć. I to ją wkurzało. Równie mocno jak fakt, że jest tym wkurzona.

– Roger – rzekł, wyciągając do niej rękę.

– Janine – odparła i podała mu swoją. Miał duże silne dłonie. Rozpoznała brytyjski akcent, ale nie potrafiła określić, z jakiego regionu. Irytowało ją, że na to też zwróciła uwagę.

– Nie, wcale nie dlatego. Głównie z tego powodu, że jest tu pani jedyną osobą, która mówi w dającym się zrozumieć języku.

– Chciałabym móc powiedzieć to samo.

Teraz to on zaniemówił. Uśmiechnął się, niechętnie, ale szczerze, ona zaś sięgnęła po swój kieliszek i przyznała sobie punkt, w pełni świadoma, że mecz dopiero się zaczął.

Kiedy czterdzieści pięć minut później weszła do damskiej toalety i zobaczyła się w lustrze, ogarnęło ją niebotyczne poczucie winy. Uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się od niechcenia, jakby lekko wstawiona, i – co gorsza – odkryła, że ma zaskakująco mocno zaróżowione policzki. Było jej przyjemnie. Nie, dobrze się bawiła. Śmiała się i całkiem chętnie rozmawiała, jednak gdzieś w głębi ducha czuła, że to nie w porządku. Albert powinien pojawić się za jakieś pół godziny albo za godzinę, a ona sobie tutaj stoi i się szczerzy, i jednocześnie nie może się doczekać, żeby wrócić do tego wesołego mężczyzny z rozbudowanymi mięśniami i brytyjskim akcentem. Niech to szlag.

Niezdarnie wygrzebała komórkę z torebki, znalazła numer Alberta. Nowy esemes.

„Kocham cię”, napisała. „Widzimy się wkrótce”.

To było wręcz boleśnie ewidentne. Poczucie winy aż biło z tej wiadomości. Skasowała ją całą i zaczęła od nowa.

„Prowadzę o dwa i pół kieliszka białego. Jeśli nie będzie cię za kwadrans, prysnę z wysportowanym Anglikiem”.

Tak lepiej. Wysłała esemesa. Ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, powstrzymała się przed poprawieniem sobie włosów – nie teraz, nie dla Anglika, może później – i odwróciła się, żeby wyjść z powrotem do restauracji.

Ku jej zdziwieniu zaraz natknęła się na niego.

Garderobę przed toaletami pozostawiono bez dozoru. Tysiąc myśli zdążyło przemknąć jej przez głowę. Może mu się znudziło i chciał iść do domu, może będzie próbował zabrać ją ze sobą albo też wepchnie ją między płaszcze w nadziei na miłe obmacywanko wśród mieszaniny zapachów wszystkich tych lekkich nakryć wierzchnich, które znalazły się tu wiosennego wieczoru.

W tej samej chwili, gdy przygoda z wyobraźni stała się rzeczywistością w restauracyjnej garderobie, powab całej sytuacji zamienił się w coś przeciwnego. W jednakowym stopniu pewna jego zamiarów, jak i braku zainteresowania nimi ze swojej strony zrobiła unik, aby prześlizgnąć się koło niego, wybiegła w przejście między rzędami miękkich kurtek, ale on zagroził jej drogę i położył rękę na ramieniu. Janine gorączkowo szukając w myślach ciętego komentarza, z sekundy na sekundę coraz bardziej trzeźwa i przytomna – nagle stanęła jak wryta.

Ukłuł ją czymś w kark.

Spojrzała mu w oczy. Już się nie uśmiechał. I dokładnie w momencie, gdy wreszcie znalazła jakąś ripostę, usta odmówiły jej posłuszeństwa.

Trzydzieści pięć minut później otworzyły się szklane drzwi i młody człowiek o nazwisku Albert van Dijk podszedł do pulpitu menedżera sali, chcąc wiedzieć, czy czeka na niego kobieta, która pytała o Emanuela Sphynxa.

Ale ani Janine, ani mężczyzny o byczym karku nie było już w Amsterdamie.

Wysportowany Brytyjczyk podający się za Rogera nie wiedział, co skłoniło go do działania. Miał wrażenie, że coś jest nie w porządku, i dlatego podszedł do ciężkich drzwi jej pokoju i zapukał.

W głowie ułożył już sobie przeprosiny. Wprawdzie nie musiał się tłumaczyć, dlaczego chce ją mieć na oku – jest przecież szefem jednostki ochroniarzy, a ona, jak wiadomo, pozostaje pod nadzorem – jednak zgodnie z poleceniem, jakie wszyscy dostali, goście mieli nie czuć się jak więźniowie, jeżeli nie było to absolutnie konieczne.

Martin Rodriguez – tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko – całkowicie się z tym zgadzał. Działanie Organizacji zależało od woli ich gości do robienia tego, co im powierzono. Jeśli nie będą dobrze traktowani, istniało ryzyko, że odmówią współpracy. Albo jeszcze gorzej: dostarczą fałszywych danych w przekonaniu, że Organizacja uosabia zło i w związku z tym każda próba sabotowania jej jest godna pochwały.

Tak więc należą się przeprosiny z jego strony. Zdawało mu się, że słyszał jej krzyk, dlatego zapukał do niej, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Czekał.

Minęło już ponad pół roku od czasu, kiedy ją tu sprowadził. Czasami próbował sobie wmówić, że mężczyzna, z którym miała się wtedy spotkać, jest właściwie świnią i że on tylko wyświadczył jej przysługę. Jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że to nieprawda. Zrobili przecież staranny wywiad i dokładnie wiedzieli,

kim ona jest. Jej związek był irytująco udany, i to on okazał się świnia, a nie kto inny: porwał ją, nie wyjaśniając dlaczego. Niezależnie od tego, co miało stać się ze światem, trudno uznać za sprawiedliwe, że płaciła za to Janine Charlotta Haynes.

Ale nie ma sprawiedliwości, pomyślał.

On jest tylko małym trybikiem w całej maszynierii, ale wie, że to, co zrobił, było właściwe.

Kiedy Martin Rodriguez w końcu otworzył drzwi, wszystkie jego dotychczasowe myśli pierzchły.

Pokój okazał się pusty, mimo że nie widział, aby wychodziła.

Dziesięć sekund później ogłosił alarm przez radio, po czym – zgodnie z przewidywaniami – rozpętało się piekło.

Kilkaset metrów dalej William poczuł na twarzy chłodne orzeźwiające powietrze, zupełnie jakby w ciepłą i parną noc odwrócił puchową poduszkę na drugą stronę. Było później, niż myślał. Zrobiło się już ciemno. I nie miał bladego pojęcia, co go czeka.

Zszedł za młodą kobietą po kamiennych schodach, minął wraz z nią korytarze i przeciął wąskie przesmyki, kilka razy znalazł się w miejscach znanych mu ze spaceru z Connorem, ale najczęściej w ogóle się nie orientował, gdzie jest, tylko polegał ślepo na niej i na niebieskim plastikowym prostokącie, który umożliwiał im przejście przez ciężkie zamknięte drzwi.

Na koniec poprowadziła go znowu w górę po kręconych schodach wijących się tak stromo, że miał wrażenie, iż wchodzi na czubek wieży. Kiedy jednak otworzyła niskie drzwi, znaleźli się na zewnątrz, na dużym kamiennym tarasie.

Już wcześniej zrozumiał, że zamek, w którym są zamknięci, jest ogromny, ale dopiero teraz zdał sobie do końca sprawę, jak imponująco gigantyczny jest naprawdę. Fasada budowli ciągnęła się daleko w obie strony, łamała się i uskakiwała, tworząc wykusze i załomy, a taras rozpościerał się na całej jej długości, biegł wzdłuż ścian i kończył się nie wiadomo gdzie. Kamienny murek stanowił jedyną przeszkodę oddzielającą ich od krajobrazu wokół. Odległość do dna doliny i ciemniejącego alpejskiego jeziora wydawała się stąd nieskończona.

Stwierdził, że jeśli ta kobieta zamierza go zabić, to wybrała doskonałe miejsce. Fizycznie nie miałby z nią szans, bo była wysportowana i szybka, a on nie.

Jednak odsunął tę myśl od siebie. Wyglądało bowiem na to, że uratowała go przed ochroniarzami. Należy więc założyć, że dzieli ten sam los co on, czyli jest współwięźniem.

– Nazywam się Janine – powiedziała, prostując się. – Janine Haynes.

Ciągle jeszcze nie mogła złapać tchu po intensywnym marszobiegu, ale jej głos był stanowczy, a czujne spojrzenie przytomne i przenikliwe.

– Nie wiem, ile mamy czasu. Nie mam pojęcia, gdzie nas mogą podsłuchać albo podejrzeć, ale wiem na pewno, że pan i ja nie powinniśmy się spotkać. I gdyby oni wiedzieli, że my tutaj, to...

Urwała.

– ...aż boję się pomyśleć, co by zrobili.

– Jacy oni? – spytał William.

– Przypuszczam, że panu powiedzieli to samo co mnie. Organizacja powołana do życia przez ONZ. Może to prawda, a może nie. To nieistotne. Liczy się tylko tyle, że okłamali mnie i że będą okłamywać też pana, i że musimy się stąd wydostać.

William spojrzał na nią.

– Okłamali w jakiej sprawie?

– Widział pan te teksty, tak?

Zawahał się.

– Ten stary klucz? To pani go rozszyfrowała?

Dopiero po chwili kobieta zrozumiała, co on ma na myśli. Pokręciła głową.

– Nie znam się na kodach. To nie ja.

– Więc kim pani jest? I co pani tu robi?

– Od siódmego kwietnia byłam na studium doktoranckim na uniwersytecie w Amsterdamie. Robiłam doktorat z archeologii.

A więc to tak.

– Pismo klinowe – rzucił tylko.

– Czyli widział pan te teksty?

Zabrzmiało to jak pytanie, ale było stwierdzeniem. Podobnie jak jego słowa wypowiedziane wcześniej.

– Robili wszystko, żebym nic nie zrozumiała – mówiła dalej. – Dostałam je w złej kolejności. Dostałam też teksty, które pochodziły z innego źródła. I nikt mi nie wyjaśnił, co to jest, a ja nie byłam w stanie nawet myśleć, bo nie wiedziałam, ani gdzie jestem, ani dlaczego, ani w ogóle...

Podniosła głos, ale zaraz się uspokoiła i rozejrzała wokół. Żadnych odgłosów poza szumem przyrody.

– Jak długo tu pani jest? – spytał.

Zawahała się. Nie wiedziała, czy jeszcze mają czas. Ale w końcu skinęła głową i postanowiła opowiedzieć mu w skrócie. O swoich artykułach publikowanych już podczas studiów w Seattle. O stypendiach na prowadzenie prac nad starożytnymi pismami obrazkowymi. O przeniesieniu się do Europy w celu prowadzenia badań, o życiu w Amsterdamie, który kochała, o swoim mieszkaniu z kotem i ze

starodawnym żeliwnym balkonem oraz z widokiem na mały most, o tym, jak później zaległa ciemność, a kiedy się obudziła, znajdowała się tutaj. Od tamtej pory minęło już siedem miesięcy.

– A pan jak się tu znalazł? – spytała.

Pokiwał głową.

– Podobnie – odparł. Z tą różnicą oczywiście, że on nie przepada za swoim życiem i że ma uczulenie na koty. Ale o tym wołał akurat teraz nie wspominać.

– Słyszałam, jak pan przyleciał – powiedziała. – Słyszałam helikopter. Wiedziałam, że będzie jeszcze ktoś nowy.

– Jak to ktoś nowy?

Próbowała wyjaśnić mu bliżej. Jednak okazało się to zbyt skomplikowane, nie miała pojęcia, od czego powinna zacząć ani ile mają czasu. Kręciła głową, usiłując uporządkować własne myśli. Jeśli chciała zdążyć powiedzieć mu wszystko, co wie, powinna zacząć od właściwego końca.

William doprecyzował swoje pytanie.

– Dlaczego ja tu jestem?

Spojrzała mu prosto w oczy. Tak łatwiej odpowiedzieć.

– Dlatego, że kobieta, która była tu przed panem, zniknęła.

Zwykle na wpół senny ochroniarz stojący przed pokojem do pracy Williama już dawno tak szybko nie otrzeźwiał. Biegał po korytarzach, przyspieszając kroku za każdym zakrętem, za którym nie znajdował swojego podopiecznego.

Nic nie rozumiał. Minęło zaledwie kilka minut, kiedy dostał sygnał, że dziewczyna, ta ładniutka amerykańska badaczka, zniknęła, i od razu pomyślał, że pewnie Rodriguez gdzieś sobie polazł.

A teraz on sam latał jak kot z pęcherzem i pojmował jeszcze mniej. Wyglądało na to, że ten jego stary dziwak też zniknął, że przedostał się przez pozamykane drzwi, przeszedł przez nie bez karty magnetycznej i nie włączając alarmu. Wydawało się to niemożliwe, a jednak tak się stało. Ochroniarz zaklął głośno, po raz kolejny biegł korytarzami, które już sprawdził, wciąż trzymając się coraz słabszej nadziei, że nie będzie musiał zameldować, iż jego obiekt także gdzieś przepadł.

Kiedy Franquin zadzwonił do niego z pytaniem, gdzie podziwia się Sandberg, zrozumiał, że nie ma już na co liczyć.

Kilka wilgotnych kondygnacji pod ziemią Evelyn Keyes rozpoczęła już

przeszukiwanie dostępnego materiału zgodnie z procedurami, które sama kiedyś bez specjalnego entuzjazmu współtworzyła.

Na ścianie przed nią rzędy ekranów pokazywały obrazy z kamer monitorujących. Przewijała nagrania ze wszystkich korytarzy, sprawdzała każde ujęcie, aby nie przegapić najmniejszego podejrzanego ruchu.

Choć z góry wiedziała, że niczego nie znajdzie. W zamku jest za mało kamer, a te, które są, znajdują się na ogół w niewłaściwych miejscach. Była wściekła, i miała rację. Bo jaki sens powierzać komukolwiek kierowanie systemem bezpieczeństwa, który nie działa?

Zwracała na to uwagę nie raz i nie dwa, ale nic się nie zmieniło. Ostrzegала przed katastrofą na długo, zanim doszło do niej po raz pierwszy, a mimo to niczego nie zrobiono. Teraz sytuacja się powtórzyła, panował chaos, wszyscy zachodzili w głowę, jak mogło do czegoś takiego dojść.

Mogło, bo nie zatkali dziury.

Mogło, bo system nie został dostosowany do tego, co się odbywało w tej budowlu przez ostatnie lata, mogło, bo dostępna infrastruktura nie służyła do nadzorowania więźniów, tylko do zabezpieczenia zamku przed wtargnięciem do niego niepowołanych osób.

Mogło do tego dojść, ponieważ nikt nie chciał wyłożyć pieniędzy na bezpieczeństwo. Jakby nadal istniało cokolwiek, na co warto oszczędzać.

– Mów, co widzisz – odezwał się Franquin za jej plecami.

Powiedział to tak szybko, że jego słowa zdawały się składać wyłącznie ze spółgłosek. Dłonie mimowolnie ścisnęły oparcie jej krzesła, pełne napięcia oczy przeskakiwały z ekranu na ekran w nadziei, że Keyes wie coś, czego on sam nie potrafił dostrzec.

Ale ona w ogóle się nie odezwała. Rzuciła tylko ku niemu zimne spojrzenie, wskazując głową na monitory. Również dla niego problem stał się w tym momencie całkiem jasny.

Na piętrach ponad nimi ochroniarze ganiłi w tę i z powrotem po korytarzach, aby sprawdzić, czy Haynes albo Sandberg nie przeniknęli w magiczny sposób do ich sektorów. Jednak tutaj, na dole, tylko od czasu do czasu mignął ktoś na ekranie, ponieważ powierzchnia do sprawdzenia wynosiła tysiące metrów kwadratowych, a kamer była garstka. Szansa, że coś zobaczą, wydawała się minimalna.

– Tak czy siak nie uda im się stąd wydostać – powiedział.

Dostrzegł jej spojrzenie. Wobec tego dodał:

– Wprowadziliśmy ulepszenia od tamtej pory.

Doskonale widział, że powstrzymała się przed komentarzem. Nie musiała nic mówić. W głębi ducha przyznawał jej rację. Powinni byli rozbudować system bezpieczeństwa. Ale kiedy? I tak ścigali się już z czasem. Jak więc mieliby się skupiać

na czymś, co nie posunęłoby projektu do przodu?

Teraz pozostała im jedynie nadzieja, że tamtych dwoje nie spowoduje katastrofy, zanim nie złapią ich ochroniarze. Gdzieś przecież muszą być, a wydostanie się stąd jest rzeczywiście niemożliwe. Co do tego Franquin się nie mylił. A jednak w jego słuchawce co rusz rozlegały się trzaski, po czym ochroniarze jeden po drugim meldowali, że ich sektor jest pusty. Że żadne z drzwi nie są otwarte. I że mimo to ich gości nigdzie nie ma. Wyglądało na to, że rozplynęli się w powietrzu.

Franquin przymknął oczy.

Nie chciał wyjść na złego proroka.

Wszystko wskazywało na to, że będzie źle, ale on nie chciał tego zaakceptować. Musiało istnieć coś, co przeoczyli. Jakiś sposób, żeby znowu zaprowadzić porządek i by wszystko wróciło na swoje miejsce. Żadna walka nie jest bezsensowna, wbrew temu, co się może wydawać.

Jeśli się myli, to nic nie ma najmniejszego sensu...

Nie zdążył doprowadzić tej myśli do końca.

– Franquin?

Uniósł powieki. Keyes patrzyła na niego z takim ożywieniem, że natychmiast zareagował.

– Helena Watkins – powiedziała.

Nie zrozumiał. Wskazała głową na monitor na wprost. Niekończąca się pionowa tabela zajmowała cały ekran: cyfry, zapisy godzin i znowu kolejne cyfry. Dopiero po chwili zorientował się, co to jest.

Rejestr logowań kart zbliżeniowych. Która karta otworzyła które drzwi i kiedy.

– Co z Heleną Watkins? – spytał, obawiając się, że już zna odpowiedź.

– Przemieszcza się.

W słuchawkach wszystkich ochroniarzy w całym zamku rozbrzmiał głos Evelyn Keyes. Zwolnili, zatrzymali się, słuchali. Czekali, co powie Franquin.

Przez chwilę zalegała cisza. Przedłużała się.

– Jak to: przemieszcza się? – spytał w końcu. Spokojnie. Z opanowaniem. Bez cienia powątpiewania w to, co usłyszał.

– Tylko dzisiaj przeszła przez siedmioro drzwi.

Kiedy ta odpowiedź padła z ust Keyes, Rodriguez od razu zrozumiał, co się stało. Nic nie powiedział. Stał nieruchomo, czekał na głos Franquina. Wiedział, że zaraz się odezwie.

– Niech to diabli – Franquin rzucił w końcu przez radio.

I to wystarczyło. Rodriguez wyjął broń z kabury; był szefem sekcji

bezpieczeństwa, więc powinien teraz przejąć inicjatywę. Mocniej przycisnął słuchawkę do ucha:

– Przez które drzwi przeszła na końcu?

Janine Charlotta Haynes pracowała za kamiennymi murami od kilku tygodni, gdy pierwszy raz spotkała Helenę Watkins.

To były ciężkie tygodnie. Janine się załamała. Przestała jeść, nie dawała rady pracować, i w końcu szefostwo postanowiło sprowadzić Watkins do pomocy i jako moralne wsparcie dla niej.

Zadziało. Nie od razu, lecz Helena była dobrym słuchaczem, no i miała za sobą co najmniej dwadzieścia lat więcej niż ona doświadczeń życiowych. Janine wciąż mówiła, paplała, roztrząsała, i chociaż Watkins nie potrafiła udzielić jej odpowiedzi, dlaczego są tu, gdzie są, i robią to, co robią, Janine stopniowo zaczęła na nowo dostrzegać sens istnienia.

Spojrzała na Williama.

– Ale nie potrzebowałam dużo czasu, żeby zrozumieć, że ona jest jedną z nich – opowiadała dalej. – Helena nie była więźniem jak ja. Wiedziała rzeczy, o których nie chciała mówić albo może nie mogła, kto to wie. Mimo wszystko potrzebowałam jej, ona przywróciła mnie do życia, aż w końcu po prostu robiłam swoje i nie zadawałam jej pytań, kiedy mnie o to prosiła. Zaprzyjaźniłyśmy się. Nie na równych prawach. Ale stałyśmy się przyjaciółkami.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Pytanie wręcz wisiało w powietrzu, ona jednak czekała, by William je wypowiedział.

– I co się stało?

– Helena się bała – odparła, spoglądając na Williama. – Kiedyś w środku nocy przyszła do mnie. A dokładniej: zatrzymała się pod moimi drzwiami. Powiedziała, żebym jej nie otwierała i nie wpuszczała do środka, więc stałyśmy po obu stronach. Wtedy mnie ostrzegła...

Janine przerwała, pokręciła głową. Nie było sensu opowiadać wszystkiego, zwłaszcza że ona sama również niewiele z tego rozumiała.

– Potem zniknęła. Ponad tydzień później.

– I teraz ja mam ją zastąpić?

– Była matematyczką. Pracowała nad kodami.

Powiedziała to wprost i bez ogródek, czekała na jego reakcję. William pokiwał głową. Czyli masz rację, miał oznaczać jego gest. Jestem tu po to, żeby ją zastąpić.

Czuł, jak ucieka z niego część energii. Może za nim jest już kolejka, może tamci są zdecydowani jego też kimś zastąpić, jeśli nie da im tego, czego potrzebują.

– O co im chodzi? – spytał w końcu.

– Nie wiem. Najpierw poznałam tylko pismo klinowe. Pomyślałam sobie, że może to jakieś historyczne znalezisko, sensacja archeologiczna, coś, co wywróciłoby historię ludzkości do góry nogami, coś wyjątkowego, godnego ukrycia i trzymania w tajemnicy, i Bóg wie co jeszcze. – Wzruszyła ramionami. – Jednak to niemożliwe, żeby Helena była ze mną tak blisko i żebym ja jednocześnie nie potrafiła dodać sobie dwóch do dwóch. Już sama nie wiem. A może ona właśnie chciała, żeby tak się stało.

– A co takiego rozumiałaś?

Chwila milczenia. Następnie Janine wsunęła rękę do kieszeni na biodrze, wyciągnęła złożony kawałek papieru, rozprostowała go. Podała mu.

Spojrzał na kartkę. Była cała pokryta pismem klinowym.

– Przykro mi – rzekł. – Ale nic mi to nie mówi.

Kiedy otworzyła usta, było już za późno, by zdążyła mu odpowiedzieć.

Może to ciemność sprawiała, że czuli się bezpieczni. A może tylko świadomość, że dzięki temu, iż są razem i mają z kim porozmawiać, mogą stanąć naprzeciw siebie z tymi samymi pytaniami i identycznym niepokojem i podzielić się ze sobą swoimi myślami, które cały czas krążyły po głowie i zadręczały, jak to zawsze bywa, gdy nie da się ich wypowiedzieć.

Ale może ochroniarze poruszali się po wąskich krętych schodach za grubymi drewnianymi drzwiami w głębi w absolutnej ciszy, wręcz bezszelestnie.

William i Janine wciąż stali wciśnięci w wąską niszę, nie widząc drzwi, gdy ciszę przecięło charakterystyczne brzęczenie zamka.

– Masz lęk wysokości? – spytała.

Nie czekała na odpowiedź – zanim William zdążył zareagować, znowu objęła go ramieniem i teraz pociągnęła za sobą wzdłuż skraju tarasu, jak najdalej od drzwi, mijając wykusze i występy fasady. William szedł za nią, bojąc się, że taras niedługo się skończy i wtedy jej pytanie stanie się jak najbardziej uzasadnione. Jej bose stopy dotykały podłoża w niemal niesłyszalnym rytmie, on też usiłował utrzymać to samo tempo, starał się iść na palcach, żeby wywoływać jak najmniejszy hałas, gdy tymczasem poniżej murku rozpościerała się przepaść, przerażająco głęboka niezależnie od tego, jak daleko się przesunęli.

Nagle, bez ostrzeżenia, zatrzymała się. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Dwie kondygnacje niżej jest okno. Patrz na mnie i rób dokładnie to co ja.

Sekundę później zawisła na brzegu tarasu.

William zdążył pomyśleć, że ona zaraz zginie.

Ale nic się nie stało.

Po chwili zrozumiał, że Janine chyba nie pierwszy raz schodzi tą drogą. Bo ani przez chwilę nie szukała niczego, na czym mogłaby się oprzeć czy zaczepić dłonie,

zręcznie i z wprawą wykorzystywała wystające kamienie i szczeliny między nimi, by opuścić się piętro niżej, aż do wąskiego gzymsu biegnącego wzdłuż ściany. Tam, w połowie drogi do wskazanego okna, przystanęła.

Skinęła na niego. Twoja kolej.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że wciąż nie odpowiedział na jej pytanie i że ona nie była specjalnie zainteresowana jego odpowiedzią.

Gdyby była, na pewno by potwierdził. Bo niezależnie od swoich samobójczych zamiarów nie miał najmniejszej ochoty runąć w przepaść.

Jednocześnie coraz bliżej słyszał szuranie butów po powierzchni tarasu.

A kiedy dostrzegł stożki światła latarek ochroniarzy błędzące po kamiennej posadzce za rogiem, który przed chwilą minęli, uznał, że ta wysokość nie jest znowu wcale taka niebezpieczna.

Kiedy William wślizgnął się przez okno z szybami w ołowianych ramkach dwa piętra niżej, tak buzowała w nim adrenalina, że nawet gdyby runął na sam dół, nie wiadomo, czyby to zauważył.

Jego ciało było w pełni gotowe na śmierć.

Próbował zapamiętać tych kilka kroków, które sprowadziły Janine aż do występu muru; sprawiały wrażenie niezmiernie prostych, jednak on nie oglądał żadnego toru przeszkód od wielu lat, a schodzenia po murze nie ułatwiała w tym przypadku ani pionowa ściana opadająca głęboko w dół, ani odgłosy zbliżających się po tarasie ochroniarzy. Kilkakrotnie osunęła mu się ręka i walczył ze spoconymi dłońmi oraz z nadgarstkami, które pod opatrunkami wciąż go piekły, na szczęście zdołał się złapać w ostatniej sekundzie i w końcu wylądował na wąskim cokole obok Janine.

Teraz pozostało najtrudniejsze: musieli zejść pod ten występ w murze. Pod nim będą niewidoczni z góry, ale jeszcze niżej nie znajdą już nic, na czym w razie czego mogliby się zatrzymać – czekała ich tylko pionowa ściana i swobodny upadek.

Nie było jednak czasu na wahanie.

Janine opuściła się niżej, dając mu znak, żeby zrobił to samo, on zaś z drżącymi rękami wykonywał to, co mówiła; ruszył, wymacując palcami zagłębienia i szczeliny wskazane mu przez nią. Było zimno, ale koszulę miał mokrą od potu. Za każdym razem, gdy osuwała mu się jedna dłoń albo stopa i jego sparaliżowane paniką ciało kołysało się w wahadłowym ruchu nad przepaścią, dopóki ta sama dłoń czy stopa nie natrafiła na następne przypadkowe wybawienie, w głębi ducha składał wszelkie możliwe śluby i błagał o wybaczenie, byle tylko zszedł cały i zdrowy.

Kiedy wreszcie zobaczył wyciągniętą rękę Janine, chwycił ją, dał się wciągnąć do niszy w murze, w której siedziała skulona, i przycupnął obok niej, przywierając szczelnie do szyby za ich plecami, jakby najmniejszy ruch nadal groził mu runięciem w dół.

Popatrzyła na niego. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Kiedy mieszkałam w Nevadzie, trochę się wspinałam i brałam udział w zawodach. Wspominałam o tym?

– Zabierajmy się stąd – rzucił tylko.

Otoczyła go przyjaźnie ramieniem.

– Czy masz tę kartkę, którą ci dałam?

Choć bał się ruszyć, nieśmiało sięgnął do kieszeni spodni, aby oddać jej złożony na pół skrawek papieru z pismem klinowym. Wzięła go od niego, wsunęła w szparę wzdłuż brzegu szyby do środka i otworzyła cienki haczyk po drugiej stronie.

Sekundę później William spuścił nogi z głębokiej niszy okiennej i zeskoczył na posadzkę w długim holu. Gdy Janine, zamknąwszy okno za nimi, też zeskoczyła na dół, wskazując od razu na oświetlone lampami jarzeniowymi przejście, on przypomniał sobie swoje śluby sprzed kilku chwil, mając nadzieję, że jednak da się je potem renegecować.

Korytarz, przez który teraz szybko szli, wyglądał inaczej niż wcześniejsze.

William kompletnie stracił orientację, nie miał pojęcia, czy znajduje się poniżej czy powyżej swojego piętra, ale jedno wiedział na pewno: tę część zamku wykorzystywano do czegoś innego niż tę, w której go przetrzymywano. Po obu stronach korytarza o zimnej metalowej posadzce, oświetlonego jarzeniówkami pod sufitem, ciągnął się rząd dużych zniszczonych drzwi obitych blachą zielonego koloru jak w latach pięćdziesiątych. Na dobrą sprawę mogłoby tak być w każdym miejscu na świecie w jakiejś budowli, której nadano ten nieprzyjazny wystrój dwadzieścia do sześćdziesięciu lat temu.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Janine była wcześniej także tutaj.

Szła szybkim, zdecydowanym krokiem, a on nie mógł się nadziwić jej zmysłowi orientacji. W niewiadomy sposób zdobyła kartę zbliżeniową – musi pamiętać, żeby ją spytać, jak to zrobiła – i na pewno wyznaczyła sobie ten sam cel co on: stopniowo poznać rozkład całego zamku, wszystkie słabe punkty i niedostatki systemu bezpieczeństwa, żeby z czasem spróbować się stąd wydostać.

Cel, który właśnie był zagrożony. Wszczęto alarm. Ścigali ich ochroniarze i raczej trudno liczyć na to, że nadarzy im się jeszcze kiedyś taka szansa, niezależnie od tego, co się z nimi stanie, gdy zostaną złapani – *jeśli* zostaną złapani, poprawił się szybko.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, burozielone jak pozostałe, obite ciężką, grubą blachą. Obok nich też widniała przykręcona do ściany puszka elektronicznego zamka.

Ale tym razem dioda nie chciała zamrugać na zielono. Kiedy Janine przyłożyła plastikowy prostokąt do urządzenia, tak samo jak wiele razy po drodze na taras, natrafiła tylko na protestacyjne kliknięcie. Przenikliwy ton oznajmiający, że coś jest nie tak.

Spróbowała ponownie. To samo. I jeszcze raz.

Dobrze wiedziała, co to znaczy.

Mimo to nie dawała za wygraną. Próbowała raz za razem.

Aż w końcu opuściła ręce i się odwróciła.

Spotkała spojrzenie Williama.

– Mają nas.

Kilka poziomów niżej Keyes omal nie przegapiła trzech zaznaczonych na czerwono kółek, które przemieszczały się w dół na monitorze przed jej oczami.

Zaledwie kilka minut wcześniej ustawiła program w taki sposób, aby ostrzegł ją natychmiast, gdy tylko karta Watkins zostanie przyłożona do któregoś z czytników. Toteż kiedy Janine próbowała właśnie otworzyć drzwi na korytarz, punkty czasowe zostały zarejestrowane i od razu zaznaczone migającą czerwienią, aby dało się je zauważyć na ekranie.

Tymczasem Keyes prowadziła zażartą dyskusję z Franquinem.

Nie mogła się powstrzymać.

Powiedziała głośno to, co wiedzieli wszyscy: że ich system jest łataniną wersji o różnym pochodzeniu i nie można nim skutecznie sterować, że kamer jest za mało i nie ma ich tam, gdzie być powinny. Aż w końcu Franquin wrzasnął w odpowiedzi, że nie pora teraz na dyskusje na ten temat.

Tymczasem rząderek Janine przesunął się w dół ekranu.

Centymetr po centymetrze, coraz niżej w długiej kolumnie, w miarę jak inne karty otwierały inne zamki i wypełniały cyferkami ekran od góry.

Niemal w momencie, gdy czerwony rząderek miał już zniknąć z monitora, Keyes odwróciła się i zauważyła czerwone pola na samym dole. I w tej samej chwili kłótnia się urwała.

Przede wszystkim natychmiast zaalarmowała ochroniarzy.

Sekundę później zorientowała się, przez które drzwi tamtych dwoje próbowało się przedostać.

Kiedy podniosła mikrofon i ogłosiła alarm po raz drugi, w jej głosie było przerażenie.

Gdy odgłos biegnących nóg rozszedł się echem po drugiej stronie metalowych drzwi, nie dało się określić, jak są daleko. Nie ulegało jedynie wątpliwości, że jest ich więcej niż jedna para i że Janine i William za kilka sekund staną oko w oko z tymi samymi ochroniarzami, przed którymi uciekali, narażając się na śmierć.

Stali w zamkniętym korytarzu. Za rogiem, po przeciwległej stronie, znajdowało się kilkoro drzwi do jednakowych małych pomieszczeń bez okien; może to były stare magazyny albo cele więzienne czy też mieszkania personelu bądź jeszcze co innego. Tak czy siak to ślepe uliczki. Janine знаła je i wiedziała aż nadto dobrze, że nie przejdą z nich dalej.

Za ich plecami było okno prowadzące z powrotem donikąd. Przed nimi stalowe drzwi, które odmawiały im dostępu. Koniec.

William rozejrzał się wokoło.

Z trzech złych rozwiązań wystarczy tylko wybrać to najmniej fatalne.

– Co jest w tych pomieszczeniach? – spytał.

– Nic – odparła.

– Można się w nich zamknąć od środka?

Nie potrafiła na to odpowiedzieć.

Nie wiedział, na co liczył, ale nie mogli tak tutaj stać. Chwycił ją, odciągnął od zablokowanych drzwi, za którymi szybkie kroki rozlegały się coraz bliżej.

Teraz ona była przerażona i pozwoliła mu przejąć dowodzenie. Ciągnięta przez niego, nie spuszczała z oka zamka. Za chwilę dioda zmieni kolor, ochroniarze znajdą ich i wszystko, czego udało się jej dokonać przez ostatnie miesiące, przepadnie.

Była zupełnie zobojętniała, kiedy William otworzył pierwsze drzwi z brzegu.

Wepchnął ją do środka.

I w tym samym momencie, gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi, czerwona dioda zamrugła na zielono.

Kiedy już później William zadał sobie pytanie, co spodziewał się znaleźć w środku, nie umiał na nie odpowiedzieć. Może dlatego, że w ogóle niczego sobie nie wyobrażał. Choć bardziej prawdopodobne wydawało się wyjaśnienie, że czegokolwiek by oczekiwał, to i tak byłoby to niczym w obliczu tego, co naprawdę tam zastał.

Jedynie gruba szyba z pleksiglasu uniemożliwiała kobiecie dosięgnięcie ich. Niczym niewidzialna przeszkoda zatrzymała jej rękę. Donośne pacnięcie sprawiło, że William i Janine wzdrygnęli się, obrócili na pięcie i spotkali jej oczy po drugiej stronie centymetrowej przejrzystej ściany.

Mogła mieć około pięćdziesiątki, a może trochę mniej, trudno było ocenić ze względu na stan, w jakim się znajdowała. Poszarzała skóra błyszczała od potu, na wpół przymknięte oczy walczyły desperacko o zachowanie przytomności, włosy kleiły się do czoła w mokrych, cienkich strąkach.

Leżała w szklanej skrzyni, w czymś w rodzaju inkubatora dla dorosłych, pośrodku pomieszczenia pozbawionego okien, oświetlona cienkimi, niewielkimi jarzeniówkami, zupełnie jakby ktoś położył ją spać w zapomnianym terrarium.

Dłoń wciąż trzymała na szybie. Prawie nie oddychała.

Siła ciężkości wreszcie przejęła kontrolę i cienkie palce osunęły się znowu na materac. Czerwone ślady jako jedyne potwierdzały próbę nawiązania kontaktu, pionowe smugi opisywały drogę, którą dłoń ześlizgnęła się w dół, z powrotem na swoje miejsce na posłaniu, by spocząć bezwładnie na poplamionym krwią i przeпоconym prześcieradle.

– Helena.

To imię wymówiła Janine. Choć wypowiedziała je zaledwie odrobinę głośniejszym niż

szeptem, przeszło ciszę równie ostro jak głośne pacnięcie o szybę sprzed chwili. William się obrócił i spojrział na Janine, która stała jak wryta. Wlepiała oczy w akwarium przed sobą. Już się nie odzywała, tylko cały czas kręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Cisza trwała długo, aż wreszcie kobieta zmusiła się, aby przekręcić głowę, i utkwiała zmęczony wzrok w Janine.

– Uciekaj – powiedziała z nieopisanym wysiłkiem, prawie bezgłośnie. To było ledwie poruszenie ustami, krótkie tchnięcie albo i to nie.

– Co oni z tobą zrobili?

Kobieta przymknęła oczy. Nie zostało jej wiele czasu.

– Uciekaj – powtórzyła. I dodała: – Natychmiast.

Wypowiedziała to, nie otwierając oczu. Leżała. Zupełnie nieruchoma.

– Helena? – rzuciła Janine słabym głosem. Brak odpowiedzi. – Helena!

Żadnej reakcji.

Helena nie otworzyła oczu.

Ani kiedy Janine zaczęła stukać w szybę, coraz mocniej, aby zwrócić na siebie uwagę. Ani gdy wybuchła płaczem i odwróciła się plecami, by nie patrzeć.

Ani sekundę później, gdy drzwi na korytarz wyleciały w powietrze. Otoczyło ich sześciu mężczyzn, zachowując odpowiednią odległość. Cienkie jednorazowe rękawiczki ścisnęły automatyczną broń, białe maseczki ochronne wrzeszczały na nich. Kazały im się nie ruszać.

Koniec ucieczki.

William i Janine stali w miejscu. Robili, co im kazano. Tkwiąc pośrodku pomieszczenia, pozwolili ochroniarzom zasypać się pytaniami: gdzie byli, którędy szli, co widzieli i czego dotyczyli, a za każdym razem, kiedy choćby drgnęli albo spojrzeli na siebie, wymierzone w nich automatyczne karabiny podnosiły się z łoskotem wyżej, przypominając, że najmniejsza próba oporu może się skończyć czymś znacznie gorszym.

W końcu ochroniarze zaczęli się wycofywać, z bronią wciąż wycelowaną w dwoje więźniów. Nadal trzymali się w stosownej odległości. Skinęli na nich, aby wyszli i ruszyli korytarzem, a potem przeszli przez grube drzwi, które wcześniej zagroziły im drogę.

Bez słowa sprzeciwu Janine i William wykonali wszystko, co im kazano.

Opuścili pomieszczenie.

Stalowe drzwi zatrzasnęły się z powrotem za nimi w uszkodzonej futrynie.

Za szybą z pleksiglasu wciąż leżała kobieta o nazwisku Helena Watkins, która przed chwilą przestała oddychać.

Gdyby Franquin popatrzył na wprost, ujrzałby w szybie tuż przed sobą odbicie własnej twarzy. Dostrzegłby niepokój w spojrzeniu i zmarszczki wokół ust, które stawały się tym głębsze, im bardziej się martwił: bruzdy w pooranym już krajobrazie, prostopadłe do zwartej kreski, jaką stanowiły jego wargi.

Ale Franquin miał co innego do roboty niż myślenie o swoim wyglądzie. Obiekt jego zainteresowania znajdował się znacznie dalej, po drugiej stronie szyby zabezpieczającej, w samym środku obszernego i intensywnie oświetlonego pomieszczenia.

Szyba miała ponad centymetr grubości. Potem była próżnia, a za nią następna szyba identycznej grubości jak pierwsza, z takiego samego hartowanego szkła o najwyższej wytrzymałości, zdolnego znieść największy napór. Wykonano ją ze szkła kwarcowego, takiego jak stosowane w statkach kosmicznych. Wchodzenie i wychodzenie z pomieszczenia po drugiej stronie odbywało się przez służbę powietrzną skonstruowaną także na specjalne zamówienie przez poddostawcę NASA.

Mimo to, pomyślał Franquin, nie udało im się zachować pełnej izolacji.

Przesunął wzrokiem po długich rzędach łóżek. Wolał nie znać liczby ciał w różnych stadiach zmagania się ze śmiercią w nieopisanych mękach. Wolał nie wiedzieć, ilu nadal żyje, a ilu jest już na granicy śmierci.

Przecież on ich uratował, wmawiał sobie.

Większość otrzymała możliwość znośniejszego życia – ciepło, wikt, bezpieczeństwo i motywację intelektualną; wielu z nich już dawno by nie było na tym świecie, gdyby nie leżeli teraz tutaj. To, przez co teraz przechodzili, stanowiło cenę, którą zdecydowali się zapłacić. Może nie znali konsekwencji, z całą pewnością nie w pełni, ale wyboru dokonali sami. I podczas gdy oczy Franquina wędrowały dalej po poplamionych prześcieradłach, on walczył z poczuciem niesmaku z takim samym przekonaniem jak zawsze. Albo przynajmniej z dużą wprawą próbował je przywołać i zmusić do zagłuszenia irytujących wyrzutów sumienia, które niekiedy próbowały go dręczyć.

Czasami coś ma większą wartość niż czyste sumienie.

Jeśli chce się ocalić świat, trzeba poświęcić jednostki.

To była jego mantra. Powtarzał ją sobie tak długo, aż w nią uwierzył.

W końcu zatrzymał spojrzenie. Kobieta, która po drugiej stronie szyby szła powoli między łózkami, dobrze знаła jego oczy; popatrzyła na niego zza zaparowanego plastikowego wizjera. Była ubrana w gruby, całkowicie przylegający

do ciała strój z białego tworzywa przypominającego gumę, i oddychała przez aparat tlenowy. Miała pusty wzrok, niemal zupełnie obojętny, ale Franquin wiedział, że on patrzy tak samo. To jedyny sposób, aby wytrzymać.

Kobieta przystanąła przy jednym z łóżek w głębi. Pościel była czysta, męczyzna, który w niej leżał – uśpiony, na plecach – miał jedynie cień kiełkującego zarostu na twarzy. Z odległości wciąż wyglądał na zdrowego. I Franquin w głębi ducha miał nadzieję, że tak jest naprawdę.

Nie ze względu na tego mężczyznę. Ani na siebie.

Tylko ze względu na wszystkich innych.

Kobieta nadal stała przy łóżku. Wykonywała te same czynności co przy pozostałych, które minęła. Odczytała wskaźniki aparatury znajdującej się obok. Praca serca, temperatura ciała, zużycie tlenu. Uniosła kódrę i spojrzała na ciało. Dotknęła skóry, szukała znaków, przesuwiała gumowe rękawiczki w poszukiwaniu zmian. A Franquin czekał. Dawał jej czas.

Wreszcie podniosła głowę i znowu na niego spojrzała.

W chwili gdy spotkał jej wzrok, poczuł, jak opuszcza go nadzieja.

Ochroniarze, którzy przejęli ich na drugim końcu korytarza, mieli na twarzach maski ściśle przylegające do ust i nosa, kurtki i spodnie z szeleszczącego sztucznego tworzywa, dokładnie dopasowane na każdym szwie, a na rękach gumowe rękawiczki – unikali jednak dotykania nimi Janine i Williama, ponaglając ich wyłącznie za pomocą słownych poleceń i gestów.

Przeszli przez służbę powietrzną i znaleźli się w lodowatym pomieszczeniu.

Jarzeniówki pod sufitem. Ściany i podłoga wyłożone blachą.

To mogłaby być rzeźnia. Albo kostnica. Wyżłobienia w posadzce zbiegały się w jednym rogu i kończyły kratką ściekową. Jedyne wyposażenie stanowił system rur przypominających zraszacze ogrodowe, z których kilka prowadziło do kranów na jednej ze ścian.

William słyszał obok siebie oddech Janine. Spojrzał na nią. Utkwiła wzrok w ścianie na wprost. Wpatrywała się w nią pustymi oczami i wyraźnie starała się zapanować nad emocjami, które w niej szalały.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest wystraszona.

W odróżnieniu od niego ona do tej pory przez nic podobnego nie przeszła. Nie doświadczyła symulowanych przesłuchań czy uwięzienia ani nie odbyła długich i wyczerpujących szkoleń z zakresu katastrof i teraz nie ma pojęcia, co ich czeka i dlaczego.

Chciałby jej coś powiedzieć. Ale nie było takich słów, które mogłyby pomóc,

dlatego jedyne, co powinni teraz robić, to słuchać poleceń ochroniarzy, starać się im nie przeciwstawić i przekonać się, co będzie dalej. Toteż William poszedł w ślady Janine i zacisnął zęby.

Kazano im stanąć pośrodku. Stanęli.

Czekali. Słyszeli, jak mężczyźni za ich plecami cofnęli się pod ścianę przy wejściu. I wtedy kazano im się rozebrać.

Janine stała jak zmrożona. Wahala się. William zaczął pierwszy.

Porozpinał guziki, zrzucił ubranie na podłogę, po nim to samo zrobiła Janine. Stali teraz nadzy blisko siebie, ze wzrokiem skierowanym na wprost, aby nie czynić sytuacji jeszcze bardziej nieznośną.

Rozkazano im podejść do ściany. Oprzeć ręce na stalowej powierzchni. Plecami do mężczyzn. Usłyszeli odgłos gumowego węża ciągniętego po posadzce.

– Zamknąć usta i oczy i starać się nie oddychać – powiedział któryś, a potem ich plecy eksplodowały bólem.

Strumień wody, którym ich smagnięto, był paląco gorący, a ciśnienie tak silne, że William o mało nie stracił równowagi; kłujący ból pełznął od głowy w dół wraz z zalewającą ich cieczą, która spływała po ciele na posadzkę.

Cieczą. Bo to nie była woda. Zalaływało alkoholem i chlorem, może jodem i czymś jeszcze, ale cokolwiek to było, miało wyjątkowo silne stężenie. Dopiero kiedy strumień przesunął się na nogi, William odważył się zaczerpnąć powietrza, lekko uchylić powieki i spojrzeć na środek odkażający ściekający mu po łydkach. Ów płyn wirował w palących kręgach wokół jego stóp, mijał stopy Janine i płynął po posadzce, aż w końcu znikał w grubej warstwie piany o ostrym zapachu, gęstej i białej, na brzegach brązowej od jodu, wyglądającej jak wielka przypalona beza tańcząca nad kratką ściekową.

Mężczyźni kazali im się odwrócić. Kiedy strumień tej samej cieczy smagnął go od góry, a ból rozszedł się po klatce piersiowej, William zacisnął powieki tak mocno, że nie był pewien, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła je otworzyć.

Wszystko trwało kilka minut, potem kazano im przejść do następnego pomieszczenia.

Szli gęsiego. Najpierw Janine, William za nią. Nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na jej plecy – ciemnoczerwone od środka dezynfekującego – były doskonale wytrenowane, każdy mięsień wyraźnie zarysowywał się jak na rycinie w anatomicznym atlasie. Po chwili zmusił się, by oderwać od niej spojrzenie i skierować je dalej, do wnętrza pomieszczenia przed nimi. Przyszło mu do głowy, że skoro ona jest tu już od siedmiu miesięcy, to musiała kontynuować treningi – ciekawe, czy robiła to po kryjomu w swoim pokoju, czy też zależało na tym tej organizacji bez nazwy.

Pomieszczenie, do którego weszli, nie sprawiało bardziej przyjaznego wrażenia

niż poprzednie. Ściany wyłożono ceramicznymi płytkami, przy jednej z nich z sufitu wychodziły rury zakończone dużymi, skierowanymi do dołu prysznicami. Wokół każdego prysznica wisiała przypominająca tubę zasłona z cienkiego przejrzystego tworzywa mieszcząca człowieka, zamykana od zewnątrz na suwak i połączona na obu końcach z sufitem i posadzką takim samym przejrzystym plastikiem.

Polecono im wejść do tub. Kazano umyć się płynem z pojemników znajdujących się w środku. Włosy, każda najdrobniejsza fałdka skóry oraz wszystkie załamania i otwory, które prawdopodobnie nigdy dotąd nie widziały mydła, teraz miały być wyszorowane, wymyte i wyszczotkowane. Miękkie zasadowe mydło działało kojąco. Jednak wygojenie tak podrażnionej skóry wymagało kilku dni, dlatego każda kropla spadająca z prysznica kłuła niczym czubek dobrze zaostzonego ołówka.

William spłukał z siebie resztki mydła; stał dalej pod lejącą się wodą i przedłużał tę kąpiel, jakby nie śmiał liczyć na to, że niebezpieczeństwo minęło.

Wciąż miał przed oczami obraz kobiety w szklanej skrzyni.

Czym oni zostali zarażeni?

Wąglikiem? Ebołą?

I o czym Janine chciała mu opowiedzieć, ale nie zdążyła? Kim ona jest, co odkryła i co to oznacza dla niego?

Zerknął w jej stronę.

Spotkał jej oczy utkwione prosto w nim.

Stała i patrzyła na niego, on zaś w pierwszym odruchu usiłował uciec przed jej wzrokiem, zaczął błędzić spojrzeniem po ścianie, udając niewinnego, jakby kafelki na niej były niezwykle interesujące i znacznie bardziej go ciekawiły niż studiowanie nagiej kobiety pod prysznicem tuż obok.

Jednak w jej spojrzeniu kryło się coś dziwnego. Całe jej ciało było zwrócone do ściany na wprost, sygnalizowało, że jest zajęte czym innym, ale oczy nie odrywały się od jego oczu, z premedytacją przewiercały go niemal na wylot, a to skłoniło go do zadania sobie pytania, jak długo ona już tak stoi. Jakby wręcz świadomie próbowała sprawić, aby to poczuł, zmusić go, by na nią spojrzął.

Popatrzył na nią.

Dyskretnie, z boku, nie przerywając mycia.

Nadal stała nieruchomo. Nie spuszczała z niego wzroku. Głowa lekko pochylona, aby ochroniarze nie widzieli jej twarzy. Ale za pomocą oczu mówiła tym intensywniej.

Ściana.

Zdaje się, że to chciała powiedzieć.

Ściana przed nią.

William zerknął w tamtą stronę, nie wiedząc, co konkretnie ma na myśli. Widział jedynie kafelki. Kafelki i pionowe rury, nic poza tym.

Znów popatrzył na nią, uniósł brwi, niemal niezauważalnie. *O co ci chodzi?* Ona jeszcze raz przeniosła spojrzenie na ścianę. Tam. Wyteż wzrok. *Idź za moim wzrokiem.* Tam.

Nie pojmował. Szukał znowu. Co ona zobaczyła?

Próbował zrozumieć.

Któryś z ochroniarzy poruszył się za ich plecami. Musieli uważać.

Oboje zaczęli patrzeć pustym wzrokiem przed siebie, dalej splukując swe ciała ciepłą wodą, ciekawi, czy zauważono ich niemą rozmowę.

Ochroniarz podszedł bliżej, zapukał całą dłonią w plastikową tubę Janine, dając znać, żeby zakręciła wodę. Rozsunął zamek jednym pociągnięciem, podał jej ręcznik i kazał wytrzeć się do sucha, zanim wyjdzie.

Wykonała polecenie.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na Williama, ale on już się odwrócił.

Usiłowała mu coś przekazać, jednak na próżno, a teraz nie wiadomo, co się z nią stanie.

Może na wszystko jest już za późno.

Może straciła swoją szansę.

Katastrofa jest coraz bliżej, a jej nic nie udało się zrobić.

Opuściła prysznic i zostawiła swe przesłanie za sobą.

Dopiero gdy ochroniarze wyprowadzili Janine, William zobaczył, o co jej chodziło.

Na zaparowanej powierzchni jej palce napisały cztery litery. Krótka informacja już prawie zniknęła, w miarę jak nowa fala pary pokrywała miejsce, gdzie jej skóra nakreśliła kreski między drobnymi kropelkami wody.

AGCT.

To wszystko.

Popatrzył za nią, ale ona była już odwrócona do niego plecami. Narzuciwszy na nią grube ręczniki, ochroniarze wyprowadzali ją z pomieszczenia, wciąż nie dotykając jej choćby palcem; skierowali się przez drzwi w prawo, do korytarza.

Przez moment ich spojrzenia jednak się spotkały.

Za krótko, aby móc sobie coś przekazać; William zauważył strach w jej oczach, a potem w ogóle zniknęła mu z pola widzenia i ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nią. Nie bała się jednak o to, co się z nią teraz stanie. To lęk, że nie zobaczył tego, co napisała.

Lecz on zobaczył. Tylko nie rozumiał, co miała na myśli.

AGCT.

Adenina, guanina, cytozyna, tymina.

Tyle wiedział.

Ale co dalej?

Przymknął oczy. Podczas gdy ciepła woda splukiwała jego ciało, on zmusił umysł do wysiłku.

Kwasy nukleinowe z kodu genetycznego. Cztery cegiełki DNA. Nie mogła mieć niczego innego na myśli. Tylko dlaczego je tu wypisała, dlaczego zależało jej na tym, żeby to zobaczył?

Usiłował się skupić. Starał się nie myśleć o strachu i o tym, czym ewentualnie zostali zarażeni, próbował wyprzeć obrazy, które widział.

Chora kobieta. Objęta kwarantanną.

DNA.

Jakiś wirus?

O tym Janine próbowała mu powiedzieć?

Mutacja genetyczna? A jeśli tak, to w jakim celu?

Przerwali mu ochroniarze, którzy wrócili po niego.

Zatrzymali się przed jego plastikową tubą, kazali mu zakręcić wodę, dokładnie się wytrzeć przed wyjściem na zewnątrz, tak samo jak Janine.

Powaga w ich oczach przeraziła go. Byli wystraszeni. A kiedy go prowadzili, w ciasno przylegających maseczkach na nosach i na ustach, w gumowych rękawiczkach, żeby nie dotykać jego ciała, nie tylko zimno na korytarzu sprawiło, że zaczął nieopanowanie dygotać.

Nadal panowała całkowita cisza, gdy drzwi za plecami Franquina lekko się uchyliły i do środka wszedł Connors. Franquin nie podniósł na niego wzroku. Po pierwsze, poznał go po krokach, po drugie, nie był pewien, czy jego spojrzenie jest tak obojętne i opanowane, jak sobie życzył. Jakby to była tajemnica, że oni też mają uczucia, wszyscy co do jednego. Jakby niewygodne, nie, niehumanitarne decyzje podejmowali ze wzruszeniem ramion i nigdy nie oglądali się za siebie.

Connors stanął obok niego. Popatrzył przez szybę, on również. Stali bez ruchu, dwaj milczący mężczyźni w mundurach, wsłuchani w szum wentylatorów, uparcie trzymający się myśli, że dopóki nie będą o tym mówić, dopóty nie będzie to prawdą.

Za szybą leżały całe rzędy konających ludzi; pojękiwali cicho, samotni i nieprzytomni, w oczekiwaniu, by przestać istnieć. Pielęgniarka zakończyła swoje powinności i opuściła salę dużo wcześniej. Franquin uprzytomnił sobie, że nie wie, jak długo już tu stoi.

– Tak? – odezwał się wreszcie.

– Chciałem tylko, żebyś wiedział. Koniec.

– Watkins?

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Franquin wciąż wpatrywał się w salę

za szybą.

– Zawiadomiliśmy jej rodzinę – dodał Connors. – Umarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku w laboratorium.

Franquin skinął głową. W pewnym sensie to nie kłamstwo. Może nie cała prawda, ale i nie do końca kłamstwo.

– A nasi przyjaciele?

– Wiemy, gdzie się poruszali. Raczej nic na to nie wskazuje, że są zakażeni.

– Ale pobrano próbki?

– Tak. Jutro będziemy mieć pewność.

Stali jeszcze tak przez chwilę, patrzyli na łóżka z bezimiennymi ludźmi. W końcu Connors uznał, że jest tu już wystarczająco długo, i skierował się w stronę drzwi, żeby wyjść.

Wcześniej jednak odwrócił się jeszcze raz. Nie poruszyli pewnej kwestii, a Connors wiedział, że to ważna informacja. Ominął wzrokiem Franquina i spojrzał w stronę gładko ogolonego mężczyzny na łóżku daleko w głębi – spał spokojnie, żadnych oznak choroby. Na pozór. Bo wewnątrz niego toczyła się niepowstrzymana walka i mężczyzna był już bliski przegranej.

– To byłaby duża niespodzianka, gdyby jej się udało – powiedział Franquin.

– Mieć nadzieję to nasza praca – odparł Connors.

Nie musieli mówić nic więcej.

Connors stał jeszcze chwilę, zanim znowu skierował się do wyjścia.

Watkins się pomyliła. A mężczyzna pod prześcieradłem stanowił dowód na to.

Jedyna nadzieja, jaka im pozostała, to William Sandberg.

Connors wolałby mieć lepsze perspektywy.

Nicolai Richter wjeżdżał swoją czerwoną toyotą RAV4 na jedną z dróg odchodzących od krajowej A9 i był mocno zirytowany z dwóch powodów. Po pierwsze, panował cholernie duży ruch, który zmuszał go do ciągłego manewrowania między pasami, wciskania się w minimalne luki, nieustannego dodawania gazu albo hamowania i godzenia się z widokiem wyprostowanego środkowego palca innych kierowców, byle tylko mógł się stamtąd jak najszybciej wydostać. Był już spóźniony, potrzebował więc pustej drogi i chyba jakiegoś cudu, żeby zdążyć na czas.

To jeden powód.

Drugi był taki, że strasznie swędziały go plecy.

Nie lekko i powierzchownie, kiedy ulgę sprawia potarcie się o oparcie fotela, przynajmniej do chwili, gdy dojedzie się na miejsce, wysiądzie i podrapie jak należy.

Tylko intensywnie i niemiłosiernie. Swędziało go tak mocno i głęboko, że mózg

nie potrafił się zdecydować, czy to swędzenie, czy ból, więc gdy zygżakiem pokonywał poranny ruch ze stanowczo zbyt dużą prędkością, jedną rękę trzymał na kierownicy, a drugą wepchnął sobie z tyłu za kołnierzyk, rozluźniwszy wcześniej krawat, i paznokciami przemierzał skórę na plecach, aby w końcu jakoś zaradzić temu swędzeniu, zanim dostanie od niego szału.

Nie pomogło.

Wręcz przeciwnie – za każdym razem, gdy paznokcie dotknęły skóry, swędziało go jeszcze bardziej. Więc drapał się znowu, mocno, coraz mocniej, miał wrażenie, jakby skóra fałdowała się pod palcami i robiła cieplejsza. Ponieważ świerzbie nie ustawało, on też nie przestawał drapać.

Po obu stronach śmigały auta, gdy przerzuczał się z jednego pasa na drugi między powolnymi tępakami, którzy omijali go łukiem.

Nie był w najlepszym nastroju. Już od kilku dni.

A to wszystko z powodu Yvonne. Jeszcze zanim się spotkali, wiedział, że ona raczej nie jest w jego typie, toteż gdy tylko usiedli w tamtej restauracji w Innsbrucku w zeszły wtorek i zaczęli niby ze sobą konwersować, od pierwszej chwili żałował, że się z nią umówił. To jej wina, że zaczęli się ze sobą kłócić. To ona oświadczyła, że jest bezwzględny i pozbawiony uczuć. Gdyby tego nie powiedziała, on nie zabrałby tamtego bezdomnego ze stacji benzynowej i nie wiózłby go całą drogę aż do Berlina, a gdyby tego nie zrobił, nikt nie kaszlałby na niego, bez przerwy, kilometr za kilometrem.

No i teraz jest tutaj, a powinien być gdzie indziej.

Obiecał to bezdomnemu i samego siebie za to nienawidził – po pierwsze, że dał się namówić, a po drugie, że rzeczywiście zamierzał dotrzymać obietnicy, chociaż właściwie powinien być już w Hadze. Mimo to nadłożył drogi do Amsterdamu, tylko po to, aby spróbować przekazać wiadomość komuś, kogo nawet nie bardzo wiedział jak znaleźć, i to też oczywiście była wina Yvonne.

Nicolai Richter ma w sobie dokładnie tyle samo empatii co każdy. Strasznie go korciło, żeby jej to wszystko opowiedzieć. Gdyby tylko łaskawie zechciała odebrać od niego telefon.

Zadzwoił do niej, ale go zignorowała. On tymczasem jest teraz w Amsterdamie, czuje się rozpalony i do niczego i nie ma ani cienia wątpliwości, że to przez tego włóczęgę. A tym samym przez nią. Gdyby tylko podniosła słuchawkę, z przyjemnością poinformowałby ją także o tym.

Właśnie skręcił w prawo na długą estakadę nad ośmiopasmową autostradą, kiedy zwrócił uwagę na swoją koszulę. W miejscu, gdzie wystawała spod marynarki powyżej spodni i dokładnie tam, gdzie pas bezpieczeństwa wchodził w zamek, jego biała markowa koszula była cała mokra i czerwona. Od krwi. Od mnóstwa krwi.

Wyjął rękę z za kołnierzyka, odchylił połę marynarki i wstrzymał oddech. Krwawił tak mocno, że wewnętrzna strona marynarki zupełnie pociemniała, a koszula przykleiła się do ciała od pachy aż po pasek spodni. Boże drogi, co się dzieje?

Te sekundy nieuwagi wystarczyły.

Najpierw usłyszał huk.

Huk blachy uderzonej o blachę, po chwili szkło, pisk, hamowanie opon.

Potem szarpnęło całym ciałem, kiedy prędkość spadła z dziewięćdziesięciu kilometrów do pięćdziesięciu, z jaką poruszał się samochód przed nim, dopóki on w niego nie wjechał.

A później trwające ułamki sekund migawki, których miał się nigdy nie pozbyć. Obrazy, które miały go prześladować przez dwadzieścia sekund życia, jakie mu pozostały.

Powgniatane czarne bmw tańczyło przed nim w kółko, niewyraźne, niemal niewidoczne po drugiej stronie ręki, którą się drapał. Palce przed oczami ociekały na czerwono nim samym. Bo to nie była tylko krew, ale i skóra, i ciało, porowate i gąbczaste, jego własne plecy, które się rozkładały, i teraz on miał je w dłoni, jakby zdrapał warstwę bitej śmietany z tortu, ale jednocześnie w ogóle nic go nie bolało, tylko wciąż swędziało, mocno i nie do wytrzymania. A kiedy znowu zobaczył, jak bmw kręci się jak bąk i blokuje drogę przed nim niczym czarna ściana stodoły, jego mózg pomyślał jedynie, że musi się podrapać, tylko jeszcze trochę, i uwolnić od tej piekielnej męki, która go wykańcza.

Lewa ręka Nicolaia Richtera działała natomiast odruchowo. Przekręciła kierownicę w prawo, na ile tylko była w stanie bez wsparcia prawej, co spowodowało, że samochód wpadł w poślizg, wystrzelił jak z katapulty w kierunku stojącego w poprzek drogi bmw, podczas gdy silnik wył na najwyższych obrotach, a opony obracały się w miejscu na asfalcie, gotowe rwać do przodu zgodnie z rozkazem wydanym przez pedał gazu. Naokoło panował chaos. Auta stawały dęba, robiły nagle zwroty, byle tylko uniknąć blaszanego tornada pośrodku drogi, wirującego jak mechaniczna kula śnieżna. Zdawało się, że po każdym takim korkociągu zostawał coraz większy stos blachy na jezdni, przez co gigantyczny karambol się powiększał.

Nicolai był świadkiem tego wszystkiego poprzez własne palce.

Widział szkło, które posypało się wokół niego, kiedy ciężarówka trafiła od tyłu w jego bagażnik. Czuł wstrząsy, kiedy opony desperacko walczyły o przyczepienie się do asfaltu. Dostrzegał kątem oka samochody hamujące w poprzek i skręcające tak nagle, że aż czarny dym wydobywał się spod przednich kół, kiedy zaryły się w asfalcie.

I to swędzenie.

Swędzenie, które przesłaniało wszystko.

Swędzenie, którego musiał, po prostu musiał się pozbyć.

Samochód Nicolaia znajdował się niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do kierunku jazdy, gdy koła w końcu zatrzymały się na asfalcie, ale wtedy auto jakby nie wiadomo skąd nabrało impetu od nowa. Bez najmniejszego ostrzeżenia wyzwoliło się ze stosu, wyrwało z tej piramidy, jakby nie chciało już dłużej uczestniczyć w całym tym zamieszaniu, wystrzeliło niemal pionowo znad drogi, w bok, prosto w powietrze.

Barierka była z betonu i grubych stalowych słupków, ale mimo wszystko nie wytrzymała.

Toyota Nicolaia Richtera wytraciła jedynie część prędkości, kiedy wzbiła się ponad nią, zrobiła woltę w powietrzu i poszybowała z estakady niczym gigantyczny liść w dół, ku jezdni poniżej, gdzie wylądowała na dachu przed samochodami pędzącymi trasą A9 w kierunku zachodnim.

Już nie swędziało.

Kiedy Nicolai Richter stał się uczestnikiem drugiego tego dnia seryjnego karambolu, odbijany i masakrowany przez samochody, które nie miały szansy wyhamować, nie żył już wskutek upadku.

Gdy przez pozostałą część dnia serwisy informacyjne prześcigały się w relacjach o makabrycznym wypadku w okolicy Badhoevedorp w Amsterdamie, ani jeden z dziennikarzy nie zdawał sobie sprawy z tego, co było w tej historii najbardziej makabryczne.

Że zmasakrowane ciało Nicolaia Richtera przewieziono ambulansem na sygnale do szpitala Slotervaart, zaledwie osiem kilometrów od miejsca zdarzenia. I że został tam uznany za zmarłego przez zespół lekarzy, którzy rzucili się od razu ratować inne ofiary tego samego wypadku.

William leżał na pościeli na swoim łóżku ze wzrokiem utkwionym w suficie i zastanawiał się, czy to wszystko nie oznacza, że jednak jest bliski śmierci.

Jeszcze kilka dni temu właśnie to było jego celem. Ale w miarę jak pobierali od niego coraz więcej próbek i wykonywali coraz więcej badań, podczas gdy on tkwił bezradny na łóżku, zawinięty w warstwy ręczników i otoczony przez ludzi w strojach ochronnych, coraz bardziej dochodził do przekonania, że wcale mu się tak nie spieszy do umierania.

Był wczesny ranek. Słabe światło dnia sączyło się już do środka przez cienkie firanki. A William Sandberg w ogóle nie spał.

Miał głowę pełną pytań.

Co się teraz stanie?

Na co został narażony?

Co tamta umierająca kobieta ma wspólnego z jego kodami, jaki może być związek między jego pracą a jakąś zaraźliwą chorobą i w ogóle tym wszystkim, co widział albo co mu opowiadano?

Jednocześnie dobrze pamiętał to, co usłyszał od Janine.

Że pomieszali materiały, które jej dali, z całą pewnością świadomie próbując ją dezorientować, aby nie mogła zrozumieć, nad czym pracuje.

Na razie nie jest w stanie ułożyć układanki z elementów, które ma do dyspozycji. Jeszcze nie. I nie zrobi tego dopóty, dopóki nie będzie pewien wszystkiego, co wie, i nie ustali, co do niej nie należy.

Zamknął oczy. Starał się nie myśleć o tym, na co nie mógł mieć wpływu. Ale przecież musi być jakieś wyjście. Skupił się, próbował skoncentrować na tym, w czym zawsze był dobry. Na analizie i zrozumieniu. Na znalezieniu schematów, logiki i w efekcie rozwiązania problemu.

AGCT. Po co ona to napisała?

Siłą woli przeniósł się w wyobraźni do swojego pokoju pracy, w którym siedział zaledwie kilka godzin wcześniej, skupił się i starał się przypomnieć sobie, ile tylko zdoła. Pismo klinowe na ścianach. Ciągi cyfr, rzędy zer, jedynek, dwójek i trójek, które zostały przeniesione, poprzerastawiane i przełożone na niezliczone piksele, a te z kolei złożyły się na te wszystkie znaczki.

Dlaczego? Skąd?

Dwadzieścia trzy razy siedemdziesiąt trzy?

Za każdym razem, kiedy usiłował przybliżyć się do tych cyfr, jego myśli stawiały opór, jakby próbowały mu powiedzieć, że nie da się niczego wyjaśnić, dopóki nie

będzie miał całego obrazu. Dopóki się nie dowie, skąd one pochodzą, gdzie zostały odkryte określone sekwencje i przez jakie medium.

No jasne.

Przez jakie medium.

Po jego ciele rozeszło się dobrze mu znane uczucie, jakby ciepłe uklucie satysfakcji. Rozpoznał je od razu. To było to oszałamiające doznanie płynące ze zrozumienia.

Usiadł na łóżku, zanim zdążył doprowadzić myśl do końca, popatrzył przed siebie bez celu, wędrując wzrokiem po pokoju o rozmytych konturach. Nie w poszukiwaniu jakiegoś konkretnego obiektu dla oczu, ale w poszukiwaniu własnych myśli. Czuł, jak w jego wnętrzu szaleją adrenalina i endorfiny, gorączkowo analizował w myślach wszystko, co wie, jeszcze raz, i od nowa, starając się zatrzymać tę ulotną ideę, nie dać jej ulecieć, żeby sprawdzić, czy jest słuszna.

Była.

Nie mogło być inaczej.

System czwórkowy.

Palmgren siedział już przy stoliku.

Nie tknął jeszcze swojej kawy, mimo że czekał już na pewno od kwadransa. Nic nie mówiąc, przyglądał się, jak Christina mocuje się ze swoim płaszczem, wyciąga torebkę z jednego z rękawów, wiesza ją na krześle i w końcu siada.

Miał zatroskane spojrzenie.

– Skontaktowałem się z nimi – powiedział wreszcie.

Christina skinęła głową. Oznaczało to i podziękowanie, i potwierdzenie, że go słucha, choć nadal była w połowie skoncentrowana na tym, aby zająć miejsce naprzeciw niego, nie uroniwszy ani kropli z kubka z kupioną przed chwilą latte.

– Zakres zadań Williama już nie istnieje – kontynuował. – Nikt nie przejął po nim pałeczki, przynajmniej nie dosłownie. Ale...

Rozłożył kartkę, która miała wspierać jego pamięć, chociaż wiedział, że to zbędne.

– Dotarłem do pewnej kobiety. Livii Eek. Myślę, że dzisiaj może mieć ze trzydziestkę, może trzydzieści pięć lat. Pracowała już za moich czasów jako asystentka, tymczasem teraz przejęła sporą część tego, co robił William.

– Rozumiem.

– Powtarzam: część. Nie wszystko. Bo trzeba pamiętać, że wiele z tego, czym się wtedy zajmowaliśmy, zagrożenie, które nam towarzyszyło, dzisiaj już nie istnieje.

Christina nie wiedziała, co ma na to powiedzieć, więc skupiła się na zawartości

kubka i nie odzywała się wcale.

– To była niezwykle dziwna rozmowa – rzekł. – To, o co chciałem ją spytać, zahaczało o wszystkie aktualne tajemnice z zakresu bezpieczeństwa, toteż Livia Eek nie mogła mi podać żadnych szczegółów ani odpowiedzieć wprost. Ale wyraziła żal z powodu tego, co się stało. Znała Williama, ona też. I prosiła, żebym ci przekazał, że jest jej bardzo przykro.

Christina wzruszyła ramionami. No bo co mogła jej pomóc świadomość, że jakiejś trzydziestoletniej kryptoanalitik jest przykro.

– Ale w najważniejszych kwestiach potwierdziła wszystko, co mówiłem. Nie potrafi sobie wyobrazić, by w obecnych czasach istniała jakaś organizacja mająca potrzebę, a tym bardziej środki, by zrobić coś takiego. I o ile ona się orientuje, nie zauważono żadnego ruchu ani w Internecie, ani nigdzie indziej, który by wskazywał, że na coś podobnego się zanoszą.

– A gdyby jednak słyszała o czymś? To przyznałaby się do tego?

Palmgren domyślał się, co Christina ma na myśli. Skąd on mógł to wiedzieć? Mimo to zdecydował się kiwnąć twierdząco głową w odpowiedzi.

– Rozmawialiśmy całkiem długo. Ona rozumie twoją sytuację. Obiecała, że spróbuje się czegoś dowiedzieć i odezwie się, jeśli ktoś inny będzie miał coś więcej do powiedzenia niż ona.

– No i? – spytała Christina.

Palmgren siedział przez chwilę w milczeniu.

Aż w końcu sytuacja zaczęła się robić niezręczna.

Wciąż badawczo patrzył na Christinę.

– Czy William rozmawiał z tobą kiedykolwiek o komputerze, który konstruował?

– Nigdy nie rozmawialiśmy o pracy. A przynajmniej o jego pracy.

Palmgren nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu.

– Nadal jesteś ogromnie lojalna – rzekł. W jego głosie kryła się ironia, ale ciepła i przyjazna, nie wroga.

– Powiem ci tak – zaczęła – byli ludzie, którzy zakradali się do ogrodu, którzy podsłuchiwali nasze telefony – co prawda nigdy tego nie udowodniliśmy – i bywały też okresy, że na ulicy pod oknami stały furgonetki, które zniknęły dopiero, kiedy pojawiała się policja i parkowała obok. Nie chciałam rozmawiać o jego pracy.

W porządku, pokiwał głową Palmgren.

– William stał na czele niewielkiej, ściśle tajnej grupy. Wie o niej zaledwie kilka osób. Skonstruował maszynę przeznaczoną do łamania niesłychanie zaawansowanych kodów, najlepszą, jaka wtedy mogła być dostępna, przynajmniej o ile było nam wiadomo. Pytanie, czy ona wciąż nie jest najlepsza. Scientific Assistant for Reconstructional Arithmetics.

Minęła chwila. Kiedy Christina się uśmiechnęła, sama się zdziwiła. Nie swoim

uśmiechem, ale tym, że miała ściśnięte gardło.

– To łobuz – rzekła, ale z największą czułością, jaką można sobie wyobrazić. – Nazwał ją Sara.

Palmgren potaknął. Pochylił się ku niej i przytłumionym głosem mówił dalej:

– Jak wspomniałem, nikt nie wiedział, że taki komputer istnieje. Nikt poza tą grupą roboczą, no i oczywiście poza osobami dużo wyżej, które przyznały pieniądze na prace konstrukcyjne albo podjęły tę strategiczną decyzję. Sama wiesz, jak to działa.

Skinęła głową.

– No i?

– Livia Eek nie oddzwoniła. Ale... trzy godziny po naszej rozmowie... Nie pytaj kto, nie pytaj dlaczego... Trzy godziny później dostaję połączenie z zastrzeżonego numeru.

Christina zauważyła, że Palmgren wstrzymał oddech.

Ledwie zauważalny ruch głową. No, mów.

– Mężczyzna. Nie chciał się przedstawić, powiedział tylko, że należał do tej samej jednostki. Na wstępie zastrzegł, że nie zamierza odpowiadać na żadne pytania. I że się rozłączy, kiedy skończy. Więc rzucam się do szuflady w biurku po magnetofon... ale kiedy ja czegoś takiego używałem? Jedyne, co znalazłem, to pióro i długopis, więc słucham przez dwie minuty, jak on mówi, a kiedy już odłożył słuchawkę, widzę, że nic a nic nie zapisałem.

– Co powiedział? – spytała Christina, jakby Palmgren nie zmierzał do tego, by zdać jej kompletną relację.

– Sara zniknęła.

– Co masz na myśli?

– Komputer.

– Skradziono go?

– Według tego mężczyzny nie.

Palmgren nabrał powietrza.

– Dwa tygodnie wcześniej odezwano się ze sztabu głównego sił bezpieczeństwa z pytaniem rozpoznawczym. A właściwie z pytaniem kontrolnym. Dowiadywano się o wyposażenie i materiały, próbując wywołać wrażenie, jakby chodziło o inwentaryzację istniejących zasobów, taką trochę nieformalną, poza procedurami. A jedną z rzeczy, o które pytano, była Sara.

Christina słuchała uważnie. Zapomniała o swojej kawie i teraz koncentrowała się wyłącznie na tym, aby nie uronić nic ze słów Palmgrena, którego niski głos zlewał się z kawiarnianą muzyką w tle.

Bezimienny mężczyzna stał się czujny, kiedy usłyszał to pytanie.

Sara nie była ujęta w żadnych oficjalnych rejestrach. Nikt więc nie powinien

dzwonić po to, aby sprawdzać, czy stoi tam, gdzie powinna. Chyba że ów ktoś wiedział, że Sara istnieje, a skoro tak, to wiedział też, jakie jest jej przeznaczenie, a wszystko to oznaczało, że na coś się zanosi.

Trzy dni później mężczyzna przeprowadził swoją własną inwentaryzację.

Sary nie było już w magazynie.

Ktoś wyniósł ją mimo zabezpieczeń, żelaznych drzwi i ciężkich podziemnych wind, a w systemie monitorującym nie zarejestrowano żadnego wejścia ani wyjścia. Nie odnotowano logowań w tej strefie, mimo to Sara przestała istnieć, zgodnie zresztą z oficjalną wersją, według której nigdy jej nie było.

Na chwilę zaległa cisza.

– Kto? – spytała Christina. – Kto ją zabrał?

– Nie wiem. On też nie.

– Sztab generalny?

– Kiedy pomija się oficjalną drogę? W dziesięciu przypadkach na dziesięć wtedy, gdy oficjalna droga jest niedopuszczalna.

Christina wypuściła powietrze przez nos i zamyśliła się.

– To znaczy, że oni się mylą? – odezwała się wreszcie. – Ty się mylisz i oni się mylą. Coś się jednak kroi. I nawet jeśli ty nie wiesz i nie wie tego następcą Williama, to w sztabie generalnym ktoś musi wiedzieć, prawda? Coś się będzie działo, na coś się zanosi. I siły bezpieczeństwa to wiedzą, ale trzymają w tajemnicy.

Palmgren znowu pokręcił głową.

– Ja na pewno nie wiem.

– Ale ktoś wie.

Christina zaczęła od nowa.

– Skoro mówisz, że siły bezpieczeństwa w taki czy inny sposób wyraziły zgodę na to, żeby komuś wypożyczyć komputer Williama – albo go sprzedać czy przekazać, czy też jeszcze co innego – to ta osoba musi także wiedzieć, kto ma Williama.

Milczenie Palmgrena było jednoznaczne z potwierdzeniem.

– A komu pozwolono by na coś takiego?

Palmgren spojrzał na nią przeciągle.

– Komu pozwolono by wypożyczyć taki supertajny komputer?

Znowu cisza.

W końcu Palmgren odpowiedział:

– Nikomu.

Christina siedziała przy kawiarnianym stoliku jeszcze długo po odejściu Palmgrena, analizowała to, co od niego usłyszała, i starała się zrozumieć, co to znaczy.

Najbardziej niepokoiło ją, że on się bał.

Jeszcze dwa dni wcześniej był tak samo zaangażowany jak ona.

Ale coś się zmieniło.

Kiedy poprosiła go teraz, aby powtórnie skontaktował się z następczynią Williama, odmówił, oznajmiając, że nie może już jej pomóc.

Dla niej to tylko wypożyczony komputer, ale dla Palmgrena coś niesłychanego. To wszystko było dla niego wystarczająco przerażające i niewytłumaczalne, by uzasadniało w jego oczach uchylenie się od pomocy przyjacielowi, co z kolei mogło znaczyć jedynie tyle, że zniknięcie Williama ma związek z czymś wielkim, tajnym, może o zasięgu międzynarodowym, i bardzo, bardzo interesującym.

To przestała już być jedynie sprawa osobista.

Chodziło o tajemnice wojskowe i uprowadzanie ludzi za zgodą dowództwa sił bezpieczeństwa, a z dziennikarskiego punktu widzenia pachniało tu skandalem i wysokimi nakładami, nie ulega więc wątpliwości, że Christina powinna zmusić swoich szefów, aby udostępniła jej odpowiednie zasoby dla śledzenia tej sprawy.

Wyjęła komórkę.

Wyłączyła ją, wchodząc do kawiarni, czyli co najmniej godzinę temu, i gdy teraz uruchomiła telefon, zobaczyła, że ma cztery nieodebrane połączenia.

Wszystkie od Leo.

Oddzwoniła do niego bezzwłocznie. Czekwała, podczas gdy on w tym samym momencie pewnie nerwowo przekopywał swoje kieszenie. Spodziewała się, że jeśli ma w nich taki sam porządek, jaki zdawał się mieć w głowie, to prawdopodobnie zaraz zostanie przełączona na pocztę głosową i będzie musiała wybrać jego numer jeszcze raz.

Odebrał po trzecim sygnale.

Sądząc po odgłosach w tle, znajdował się poza domem.

Był zadyszany i mówił szybko.

– Musimy się spotkać – rzucił. – Musimy się spotkać zaraz.

William stał przed umywalką w swojej łazience. W ręku trzymał pisak do tablicy magnetycznej, oddychał z rozgorączkowaniem, czuł, jak jego myśli wciąż się kłębią, niespokojne, ujadające jak psy myśliwskie, które dopadły swoją ofiarę i teraz nie wiedzą, co mają zrobić.

Jakby bały się uwierzyć, na co natrafiły.

Jakby on sam nie umiał zaakceptować, na co wpadł.

Patrzył na łazienkowe lustro na wprost siebie. Na długie szeregi cyfr, które napisał poprzedniej nocy. Po lewej stronie zakodowana sekwencja, a obok chaotyczne mrowie równań i strzałek świadczące o usilnej próbie wywiedzenia z nich sekwencji tekstu po prawej.

A po drugiej stronie czerwonych kresek on patrzący sobie samemu prosto w oczy.

Skóra rozpalona do czerwoności po szorowaniu.

Włosy, które schły powoli.

Ale zaskoczyło go spojrzenie. Skupione oczy, energia, radość, jakich już dawno sobie nie przypominał.

To zakrawało na ironię i wcale mu się nie podobało. Może zaraził się śmiertelnym wirusem. Kiedy tak stał i patrzył na siebie, nie mógł pozbyć się poczucia, że nie do końca jest zdrowy.

Potrząsnął głową. Nie chciał, aby tamte myśli mu uciekły. Nie bez wysiłku oderwał więc wzrok od swojego odbicia w lustrze i skupił się na notatkach.

Musiał to zobaczyć. Czarno na białym. Zdjął skuwkę z pisaka, powiódł spojrzeniem w tę i z powrotem po rzędach cyfr.

Wytarł wszystkie zera. Zastąpił je literą A.

To samo zrobił z jedynkami i zastąpił literą G.

Dwójki i trójki zastąpił literami C i T, w końcu nie została już ani jedna cyfra do zamiany.

Miał to teraz przed sobą.

Było to równie oczywiste jak proste, ale on musiał to zobaczyć właśnie w takiej postaci, zwizualizowane, konkretne i tuż przed własnym nosem.

Na lustrze widniał długi chaotyczny ciąg liter A, G, C i T.

Sekwencja DNA.

To o to chodziło. O tym próbowała mu opowiedzieć.

Kod, który dostał i który miał złamać, dotarł do nich zamknięty w jakiejś formie DNA.

Wirusa? Na to wyglądało. Śmiertelnego, zakaźnego wirusa.

To jakiś obłąd.

Spojrzał sobie w oczy poprzez wszystkie te litery. Czy to nie szaleństwo? Ktoś miałby napisać sumeryjski tekst, przekształcić go na piksele i następnie zamknąć w zakodowanej postaci w materiale genetycznym wirusa?

Po co ktoś miałby to robić?

I kto?

Tak, to istne szaleństwo.

Sięgnął po ręcznik, wytarł to, co zapisał, dokładnie, żeby nic nie zostało, żeby nikt nie zobaczył, do czego doszedł. Wrzucił ręcznik do wanny, oparł czoło o ścianę wyłożoną kafelkami, mając nadzieję, że chłód lśniącej glazury zmusi mózg do mądrzejszych myśli.

Chciałby porozmawiać z Janine.

Miał tysiące pytań, na które odpowiedzi nawet się nie domyślał, kiedy stali tam,

na tarasie, i nagle uświadomił sobie, że nie wie, dokąd ją zabrali. Może tak jak on siedzi teraz w swoim pokoju – zakładał, że podobnym – i może tak jak on czeka, żeby się dowiedzieć, czy została zarażona, czy nie.

Jednak coraz bardziej prawdopodobne wydawało się to, że ona jest zupełnie gdzie indziej. Może ją przesłuchują. Albo jeszcze gorzej. Może robią wszystko, żeby wydostać z niej to, co mu powiedziała i na co nie powinna wpaść, może zmuszają ją metodami całkowicie niedozwolonymi, o których poza grubymi kamiennymi murami i tak nikt się nie dowie. Może to samo czeka także jego. Może wie już za dużo, a ona jeszcze więcej. I może z tego powodu zniknął jego poprzednik. Niewykluczone, że jego i Janine spotka to samo.

Od początku.

Skupił się.

Przesunął czołem po kafelkach, w lewo, w prawo, próbował ostudzić swoje myśli.

Teksty, powiedziała.

Dostała sumeryjskie teksty do przetłumaczenia, dali jej także inne, fragmentaryczne, poza tym otrzymała je w złej kolejności, chcieli ją w ten sposób zmylić. Ona jednak mimo wszystko coś rozumiała.

Co?

Zaczął jeszcze raz.

Co on wie? Po kolei.

Tekst. W języku martwym od tysięcy lat.

Okej.

Który ktoś zdigitalizował w czarne i białe matryce.

Okej. Matryce ukryte w zakodowanym systemie czwórkowym.

Które później...

Zaraz.

Tu się zatrzymał.

Oddychał, nie wiadomo dlaczego, z trudem łapiąc powietrze.

Ogarnęło go to samo uczucie – już drugi raz tego ranka. Jakby oblewała go fala nagłego oświecenia, przyprawiające o zawrót głowy przeświadczenie, że coś odkrył, chociaż to coś było cały czas widoczne, zupełnie jak wtedy, gdy ktoś próbuje sobie przypomnieć nazwisko konkretnego aktora, no, tego, który był mężem tamtej, która w tamtym filmie... i wreszcie wpada na nie, kiedy przestaje o nim myśleć. To właśnie takie uczucie.

Matryce.

Nic innego.

Stał nieruchomo, z twarzą wciąż przyciśniętą do kafelków, z zamkniętymi oczami, aby pochwycić tę myśl, zanim znowu umknie.

I nagle zrozumiał. To, co widział wcześniej, to była struktura w obrazach

zamkniętych w pikselach. Wydawało się to równie szalone jak oczywiste.

Prawie w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że zadanie, jakie mu zlecono, jest bardziej nieprawdopodobne niż kiedykolwiek mógłby sobie wyobrazić.

– Gratuluje.

Głos, który rozległ się z tyłu, sprawił, że William obrócił się wystraszony, próbując jednocześnie ustalić, jak długo stoi z głową przytkniętą do zimnej ściany i jak długo jest obserwowany, nic o tym nie wiedząc.

To Connors. W nonszalanckiej postawie, oparty o otwarte drzwi, z dłońmi na klamce i twarzą przy drewnianej ramie. Wyglądał niemal jak kumpel. Zwyczajnie i całkiem swobodnie. I chociaż już samo to wydawało się osobliwe, jednak co innego zwróciło uwagę Williama.

Connors miał na sobie mundur.

I nic więcej. Żadnego stroju ochronnego, żadnej maski, żadnych rękawiczek. Tylko mundur.

– Nie jest pan zarażony – poinformował.

– Cieszę się – odparł William. I dodał: – A czym dokładnie?

Connors się uśmiechnął. Nie odpowiedział.

– Jak ona się czuje?

– Podobnie jak pan. Odpoczywa, ale ma się dobrze. Zależało nam na tym, abyście ze sobą nie rozmawiali.

– Zauważyliśmy.

Chwila ciszy.

– A o czym nie wolno nam rozmawiać?

Connors stał w milczeniu przez kilka kolejnych sekund. Przymknął oczy, jakby dawał sobie ostatnią szansę na zmianę decyzji, którą już właściwie podjął. I wreszcie powiedział:

– Jakie pan ma doświadczenie z materiałami o poufnym charakterze?

– Sądzę, że pan wie.

Connors skinął głową. Oczywiście, że wie. Przecież znają jego życiorys i nie mają powodu, by mu nie wierzyć.

Ale niezależnie od tego, z jak wrażliwymi informacjami William Sandberg miał do czynienia w swym życiu, nie były one nawet w przybliżeniu tak wrażliwe jak ta, którą miał wkrótce osiąść.

– Proszę mi powiedzieć.

Connors pokręcił głową.

– Pora już, żebyście się wszyscy spotkali – powiedział.

Po czym odsunął się od drzwi i dał Williamowi do zrozumienia, że ma pójść za nim.

William Sandberg skończył dopiero piętnaście lat, kiedy pierwszy raz usłyszał o przesłaniu z Arecibo. Nie przeszkadzało mu to jednak mieć własny pogląd na ten temat. Według niego był to najbardziej zwariowany projekt podjęty w imieniu nauki, jaki człowiek kiedykolwiek zrealizował.

Z największego radioteleskopu na świecie, zbudowanego w imieniu owej nauki w Arecibo w Portoryko w celu obserwacji gwiazd i dokładniejszego poznania wszechświata, praw fizyki i Bóg wie czego jeszcze, szesnastego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku wyemitowano w kosmos wiadomość radiową, aby poinformować potencjalne obce cywilizacje, że istniejemy.

Już to było dziwne.

Jako dziesięciolatek William Sandberg był umiarkowanie zakochany w swoich sąsiadach. To, że akurat przez przypadek dzieliło się z kimś ścianę czy przycinało ten sam żywoplot po przeciwległych stronach, nie oznaczało jeszcze przyjaźni. Sąsiedzi to ludzie, którzy albo przeszkadzają, albo chcą trajkotać o byle czym, albo wyrażają opinie o rzeczach, na których w ogóle się nie znają. Biorąc to pod uwagę, uważał za zupełnie niepojęte, że naukowcy chcą nawiązać kontakt z jakimiś ewentualnymi sąsiadami z kosmosu, o których nawet nie wiedzieli, jacy są i jak mogą zareagować. Czy nie byłoby rozsądniej dalej żyć w spokoju każdy u siebie?

William tak uważał.

Ale nie to przede wszystkim zirytowało młodego Sandberga.

Najbardziej poruszyła go sama wiadomość.

William miał okazję przestudiować ją szczegółowo w jednym z wielu popularnonaukowych czasopism, których całe stosy leżały w jego chłopięcym pokoju – uporządkowane według roczników i dat i skatalogowane w specjalnym zeszycie, aby szybko można było znaleźć poszukiwany artykuł. Jego pierwszą myślą po lekturze było, że naukowcy chyba napalili się czegoś wyjątkowo nieodpowiedniego na śniadanie.

Informacja, którą ludzkość zdecydowała się wysłać w kosmos, była obrazkiem.

Mówiąc dokładnie, zbiorem niesłychanie surowych pikseli, czarnych albo białych, w których była zawarta wiadomość o tym, jacy my, ludzie, jesteśmy, jak jesteśmy zbudowani i gdzie można nas znaleźć.

Miały pokazać. Jeśli odczytało się je właściwie.

A to wymagało całkiem sporej wiedzy.

Po pierwsze, odbierająca tę wiadomość biedna istota pozaziemska musiała w ogóle wpaść na pomysł, aby zapisać te odebrane impulsy jako zbiór punktów albo

niepunktów, tak żeby one zgodnie z zamierzeniem nadawców rzeczywiście przybrały postać pikseli. Poza tym musiałyby potrafić zrozumieć, co ów obraz przedstawia. A to nie było wcale takie oczywiste. Już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku William widział grę telewizyjną bardziej skomplikowaną niż ta zagadka.

Jednak najbardziej pocieszne było to, jak naukowcy mogli pomyśleć, że nasi przypuszczalni towarzysze z kosmosu dadzą sobie radę z przełożeniem tej informacji na obraz.

Istniał bowiem tylko jeden sposób, aby to zrobić.

Trzeba było podzielić odebrane bity na siedemdziesiąt trzy wiersze.

Nie na siedemdziesiąt dwa. Nie na siedemdziesiąt cztery. Nie na jedenaście czy na milion, czy na nie wiadomo ile, tylko właśnie na siedemdziesiąt trzy. Po tym podziale każdy wiersz zawierał dwadzieścia trzy znaki od lewej do prawej i dopiero wtedy dawało się zobaczyć to, o co nam chodziło. Jakikolwiek inny sposób podziału nie pozwalał niczego zrozumieć.

Ale Boże drogi, czy miały to pojąć wszystkie formy życia oparte na węglu w całym wszechświecie? Że niespodziewana wiadomość z jakiejś obcej planety ma być właśnie tak podzielona?

Prawdopodobnie tak rozumowali naukowcy. I dlatego zadowoleni z siebie wysłali pozdrowienie w pustą przestrzeń. A potem usiedli i czekali na odpowiedź, która – o ile Williamowi wiadomo – nigdy nie nadeszła.

O tym rozmyślał William Sandberg, kiedy szedł przez gigantyczną serwerownię, labirynt najnowszej techniki ukryty głęboko w ziemi pod ogromnym średniowiecznym zamkiem.

Szedł pod dawnymi kamiennymi przejściami, które prowadziły go do niewyobrażalnie rozległego zespołu nowszych pomieszczeń i korytarzy o ścianach wyłożonych blachą i betonowych podłogach. I gdy tak kroczył wciąż przed siebie, zastanawiał się, jak duży może być cały ten kompleks. Wdychał suche, odpowiednio schłodzone powietrze, które chroniło komputery przed przegrzaniem, maszerował, starając się dotrzymać kroku Connorsowi i dwóm ochroniarzom, którzy do nich dołączyli i szli po jego obu stronach. Starał się zrozumieć, co próbowały mu powiedzieć jego własne myśli.

Wiedział, że rozpoznał strukturę.

Dwadzieścia trzy piksele na szerokość. Siedemdziesiąt trzy na wysokość.

Właśnie tak.

Sumeryjskie teksty ukryte w kodach miały dokładnie taką samą budowę jak wiadomość wysłana przez ludzi w kosmos czterdzieści lat temu.

Automatycznie rozsuwane drzwi po drugiej stronie serwerowni prowadziły do centrum monitorującego, za którym znajdowały się stalowe drzwi do kolejnego korytarza, a za nim niezliczone rzędy następnych drzwi, zakamarków i podestów, wszystko z blachy, aluminium i szkła. Tu i ówdzie góra przypominała o sobie, wdzierając się w konstrukcję – jakby ktoś wlał masę skalną w ściany i zostawił, aby zastygła.

Kompleks był niewątpliwie ogromny. William nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale odnosił wrażenie, że wszystko jest już na tyle zużyte, że mogło służyć od wielu dziesięcioleci. Architektura retrofuturystyczna na granicy stylu wschodnioeuropejskiego, coś w rodzaju zalatującego Stasi preludium przyszłości, miała być co do joty taka sama jak w komiksach – z latającymi pojazdami i srebrzystymi strojami. Nie umiał powiedzieć, czy to przerażające, czy tylko naiwne.

Ale wszystko to mówiło, że organizacja jest duża. I ten przekaz przebiegał się zewsząd z godną podziwu jednoznacznością.

Jednocześnie budził pytania.

Wśród wszystkich tych drzwi, centrów monitorujących oraz mlecznych szyb w salkach konferencyjnych i pomieszczeniach biurowych jedno rzucało się w oczy – brak ludzi. Przez całą drogę, od chwili, kiedy zostawili za sobą ostatnie ciężkie drewniane drzwi i stary zamek, widzieli – William szybko policzył w myślach – najwyżej trzydzieści, czterdzieści osób. Kompleksy, które mijali, były przeznaczone dla co najmniej dwudziestokrotnie większej liczby pracowników. Więc gdzie oni się podziewają?

William Sandberg zachował te pytania dla siebie. Doszli właśnie do podziemnego foyer, obszernego, pozbawionego okien pomieszczenia z wydzielonymi miejscami do czekania – z lotniczymi prostymi fotelami i sofami oraz wysokimi stolikami na jednej nodze do szybkich rozmów podczas przerw między wielkimi spotkaniami albo głosowaniami. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżali się do audytorium. W głębi foyer dostrzegł dwoje otwartych metalowych drzwi. Nie zatrzymując się, skierowali się w ich stronę.

Choć sala konferencyjna, w której po raz pierwszy spotkał Franquina, była imponująco duża, to jednak nie równała się z tą, do której właśnie weszli. W samym centrum królował ogromny okrągły stół z otworem pośrodku i z co najmniej trzydziestoma miejscami naokoło. Z tyłu wisiało w szeregu ze dwadzieścia wyłączonych dużych monitorów, a po bokach stały rzędy na stałe zamontowanych krzeseł, na których prawdopodobnie zajmowali miejsce niżsi w hierarchii szefowie lub decydenci i przysłuchiwali się raportom i dyskusjom prowadzonym przez kierownictwo przy stole.

Wszystko to przypominało raczej niewielki parlament niż salę konferencyjną. William szybko doszedł do wniosku, że nie znalazł się tu bynajmniej przez przypadek. Był pod wrażeniem i poczuł się wyjątkowo mały; zrozumiał, że to oni mają przewagę, nie on.

Został poprowadzony do stołu.

Zajął miejsce w jednym z dwóch obitych niebieskim aksamitem siedzisk będących czymś pośrednim między zwykłym krzesłem a fotelem klubowym.

Po jego obu stronach siedziało około piętnastu mężczyzn w mundurach, pozostałe miejsca ziały pustką. Jediną osobą, którą znał poza Connorem, był Franquin.

– Czy nie jest pan przypadkiem trochę zbyt dojrzały, żeby wałęsać się po nocach? – spytał.

– Najwyraźniej nie jestem na tyle dojrzały, abyście powiedzieli mi prawdę.

Franquin uniósł brwi i pokręcił głową.

– Był pan kiedyś w podobnej sytuacji jak ja, prawda?

– Nigdy nikogo nie uprowadziłem i nie zmuszałem, by dla mnie pracował, jeśli to miał pan na myśli.

– Zajmował się pan materiałami uznawanymi za ściśle tajne – kontynuował Franquin, puściwszy sarkastyczną uwagę mimo uszu. – Pracował pan z zespołem, który nie miał obrazu całości, i zlecał pan swoim współpracownikom tylko fragmenty różnych zadań. W tym nie ma chyba nic dziwnego.

– Dwie różnice – odparł William. – Nigdy nie mówiłem żadnemu ze współpracowników, że to, nad czym pracuje i co dostał, jest całą prawdą.

– Daliśmy panu bardzo wyraźnie do zrozumienia, że nie powiedzieliśmy wszystkiego. Panu się to nie podoba, lecz to nie znaczy, że twierdziliśmy co innego.

Franquin miał oczywiście rację. William odpowiedział ruchem głowy, ni to potaknięciem, ni to zaprzeczeniem, pozostawiającym pole do interpretacji.

– A druga różnica? – spytał Franquin.

– Zawsze dopuszczałem swoich współpracowników do informacji, których potrzebowali, aby mogli wykonywać swoje zadania.

Franquin pokręcił głową. Nie z niechęcią, ale z wyrozumiałością, jakby miał pewność, że William już wie, tylko nie chce się do tego przyznać.

– Jeden z najważniejszych instrumentów ma pan chyba przy sobie, Sandberg? Wie pan, o czym mówię, prawda? – Brak odpowiedzi. – Świeże spojrzenie.

William prychnął.

– Wolałbym, aby mi ufano.

– A my wolimy mieć stuprocentową pewność. Na naszym miejscu zachowywałby się pan tak samo. Otrzymał pan to, czego pan potrzebował, ani mniej, ani więcej.

– Więc po co tu siedzimy?

Minęła chwila, zanim Franquin znowu się odezwał.

– Co powiedziała panu panna Haynes?

William spojrział na Franquina. A więc to o to chodzi? Chcą wyciągnąć od niego, do jakich informacji już dotarł, i dopilnować, aby nie dowiedział się niczego więcej?

– Wiele nie zdążyła. Przyszli ochroniarze i musieliśmy uciekać. A potem znaleźli nas u tej kobiety w inkubatorze, która chyba nie czuła się najlepiej.

Nie potrafił do końca określić dlaczego, ale przez krótką chwilę odniósł wrażenie, że ma nad nimi przewagę. Nie orientowali się, ile on już wie. Idąc za tą myślą, próbował sobie wyobrazić, jak mógłby wykorzystać to maksymalnie efektywnie. Po krótkiej chwili zdecydował się przejąć inicjatywę:

– A może zapomnielibyśmy na chwilę o naszym podziale na role? Wykazaliście się sporą determinacją, żeby mnie tu ściągnąć. I bardzo wam zależy, żebym coś dla was zrobił. To jedyne, co wiem.

Chwila milczenia. Głównie dla większego efektu.

– I jeszcze to, że wszystko, co mi przekazaliście, nie trzyma się kupy.

– Czyżby? – rzucił Franquin. – Proszę bliżej.

William spojrział na niego.

– Proszę nam wyjaśnić, co nie trzyma się kupy.

William zawahał się. Miał w ręku słabe karty, a nie chciał przegrać tego rozdania. Jednak nic nie zyska, jeśli czegoś nie poświęci.

– Arecibo – rzucił wreszcie.

W sali zaległa cisza. William powiódł wzrokiem po wszystkich, nie potrafił jednak stwierdzić, czy owo milczenie oznacza, że powiedział coś istotnego.

– Miasto w Portoryko – rzekł Franquin, co oznaczało, że ma kontynuować.

– Tak, miasto w Portoryko. Z radioteleskopem, który czterdzieści lat temu wysłał informację w kosmos. Informację składającą się z tysiąca sześciuset siedemdziesięciu dziewięciu bitów. Dwadzieścia trzy razy siedemdziesiąt trzy. Dokładnie tyle samo co w tekstach zapisanych pismem klinowym, nad którymi każecie nam pracować.

Nie otrzymał żadnego potwierdzenia z sali. Ale dostrzegł u słuchaczy zainteresowanie, co mogło być dobrym znakiem.

– I jaki wniosek wynika z tego dla pana?

– Nie wiem. Że nigdy się nie poddamy?

– Słucham?

William pokręcił głową.

– Możecie mnie uważać za ignoranta, ale sądzę, że to było niesłychane zarozumiałstwo z naszej strony, żeby tak czterdzieści lat temu stanąć i zawołać w kosmos, i wierzyć, że jeśli nawet ktoś to usłyszy, ktoś przechwyci tę wiadomość, to będzie wiedział, jak ją odczytać.

Franquin spojrział na Connorsa, a William odniósł wrażenie, że przez ułamek sekundy w jego oczach pojawił się cień uśmiechu. Kiedy on zerknął na Connorsa, oczy generała też się uśmiechały. Jakby ci dwaj mężczyźni mieli w rękach dodatkowy element układanki, którego William wciąż jeszcze nie odkrył.

– A co skłania pana do przekonania, że to my wołaliśmy? – spytał.

William nie miał pojęcia, co on ma na myśli.

Po chwili już wiedział, i rozumiał jeszcze mniej.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– My odpowiadaliśmy – wyjaśnił Connors.

William poczuł, jak przeszedł go dreszcz, kiedy zdał sobie sprawę, że Connors mówi poważnie.

– Nonsens – bąknął.

Nie powiedział tego z przekonaniem. To mogła być prawda. Pomijając fakt, że taka hipoteza brzmiała bezgranicznie nieprawdopodobnie, była jednak bardziej logiczna niż przeciwna.

Nie istniał bowiem żaden wytłumaczalny powód, dlaczego naukowcy zdecydowali się zbudować swoje przesłanie w taki, a nie inny sposób, żaden, choćby najmniejszy, poza jednym – że ktoś inny próbował rozmawiać z nimi jako pierwszy w identyczny sposób.

Pokręcił głową. Czy on naprawdę siedzi w jednej sali z piętnastoma poważnymi mężczyznami utrzymującymi, że kod, który ma za zadanie złamać, dotarł do nich z kosmosu? I że wiadomość, którą ma teraz napisać, będzie odpowiedzią, jaką ludzkość musi odesłać z powrotem?

Zamknął oczy, potarł sobie twarz, starał się dojść do siebie.

To się nie zgadza. Ciągle brakowało jednej rzeczy.

– W takim razie – zaczął – gdzie w tym wszystkim jest wirus?

Mężczyźni wkoło stołu skierowali na niego spojrzenia. Ale nie zdziwione, tylko pytające, piętnaście par oczu prosiło go, aby wyjaśnił, dlaczego mówi o wirusie.

– Kwarantanna. Kobieta, którą widzieliśmy, ta w szklanej skrzyni. To chyba wirus, tak czy nie? I to z niego pochodzą teksty.

– Dlaczego pan tak twierdzi? – spytał Franquin.

– System czwórkowy. Komu przyszłoby do głowy, żeby zakodować coś jako system czwórkowy?

Słyszał desperację we własnym głosie, zawiedziony tym, że nie udało mu się zatrzymać tego dla siebie. Ale ta rozmowa zaczęła go już irytować. Naokoło niego siedziało piętnaście uniformów dysponujących pełną wiedzą, zdecydowanych nie podsuwać mu niczego.

Nikt nic nie mówił. Wszyscy tylko czekali, aby William sam odpowiedział na własne pytania.

– Jest tylko jedno sensowne wyjaśnienie – rzekł wreszcie. – Nikt nie koduje niczego w systemie czwórkowym, jeśli nie wymaga tego sam nośnik. A mnie przychodzi do głowy tylko jedno takie medium.

– DNA – rzucił Franquin. – Taki jest pański wniosek?

– Pytałem, skąd pochodzą kody, ale wy odmówiliście odpowiedzi. To jest jedyna rozsądna odpowiedź: teksty pochodzą z materiału genetycznego. Ktoś skomunikował się z nami, przysłał nam wirusa z zakodowaną informacją, a teraz kolej na nas, żeby odesłać odpowiedź. Nie widzę innego wytłumaczenia. Jedyne pytanie, jakie mam: kto to?

Niewielka przewaga, jaką odczuwał, zniknęła. Znowu był krok za nimi. Jakby ta rozmowa poprowadziła go w odwrotnym kierunku niż zamierzał pójść, jakby podczas niej nie nadążał decydować, tropem których myśli ma iść, i nagle nieoczekiwanie dla samego siebie formułował nowe wnioski, wypowiadając je na głos. A te wnioski wcale mu się nie podobały.

Gdzieś z tyłu głowy kołatała się myśl, która domagała się zauważenia. Postanowił jednak ją zignorować. To ślepy tor, wmawiał sobie.

Connors spojrział na niego.

Jakby dokładnie wiedział, co Williamowi chodzi po głowie.

– Pan już wie, jaka jest odpowiedź – stwierdził. – Nie mylę się, prawda?

William zaprzeczył.

– Skąd pana zdaniem pochodzą teksty?

Zawahał się.

– Przykro mi – powiedział.

– Proszę spróbować.

– Nie. Mam mętlik w głowie. W tym momencie...

Kończąca z tyłu myśl wciąż nie dawała za wygraną.

– ...w tym momencie znajduję tylko jeden sposób interpretacji. Wręcz niewyobrażalny.

– Wszystko jest niewyobrażalne, dopóki się na to nie wpadnie po raz pierwszy.

Cisza. William przymknął oczy. Postarał się ostatni raz umieścić wszystkie zmienne na miejscu, mając nadzieję, że pokażą się od logicznej strony. Ale jakkolwiek żonglował myślami, wciąż produkowały te same, kompletnie absurdalne rezultaty.

– Proszę powiedzieć.

Zaczerpnął powietrza. Starannie dobierał słowa.

– Biorąc pod uwagę to, co usłyszałem, i wnioski, jakie wyciągnąłem, a także na podstawie wszystkiego, co widziałem i co teraz mówicie, nie potrafię wyjaśnić tego inaczej niż...

Kolejna pauza. To szaleństwo, ale nie miał wyboru.

– ...że trafiliście na wirusa.

Czekał na protesty. Nie nastąpiły.

– Jak i gdzie – nie wiem. Natrafiliście na niego gdzieś tutaj, w jakiś sposób. I z jakiegoś powodu doszliście do wniosku, że ten wirus... – Rany boskie. Niełatwo było to powiedzieć: – ...że on nie pochodzi z naszej planety.

Spojrzał na nich. Próbował wyczytać cokolwiek z ich twarzy, ale żadna nie wyrażała niczego. Nikt go nie powstrzymał i nie wyśmiał, nikt nie stwierdził, że w jego słowach kryje się obłąd.

Wahał się. Lecz skoro powiedział już tak dużo, to równie dobrze mógł doprowadzić swoje rozważania do końca.

– Po dokładniejszym przeanalizowaniu wirusa odkryto, że w jego DNA zakodowana jest informacja. I teraz my – wy – próbujemy wydobyć zaszyfrowany klucz, żeby móc im odpowiedzieć. Im – kimkolwiek oni są.

Skończył, ale w sali nadal panowała cisza. Poruszył się na krześle, czuł, że powinien się wytłumaczyć.

– To czyste szaleństwo, wiem, ale przedstawione wyjaśnienie uwzględnia wszystkie czynniki. Wiadomość z Arecibo mogła być nieudaną próbą nawiązania z nimi kontaktu, była prawidłowo podzielona, ale nie było wiadomo, jak ją zakodować. No a teraz mamy tutaj zaraźliwego wirusa i informację, na którą wciąż musimy odpowiedzieć, ale nie wiemy jak.

Kolejna chwila ciszy. Wiatraki, które mieszały powietrze gdzieś w głębi labiryntu rur wentylacyjnych, nie ustawały w swoim powolnym ruchu, jakby miksowały sok wieloowocowy w kawiarni. To jedyny odgłos, jaki dał się słyszeć.

– Wiem, że to szaleństwo – powtórzył. – Przykro mi, jeśli was zawiodłem. Z przyjemnością wysłucham, jak brzmi właściwe rozwiązanie, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

W końcu Connors odchrząknął tuż obok niego.

– Niestety w tym wcale nie ma szaleństwa.

William obejrzał się na niego.

– Słucham?

– Pańska konkluzja nie jest ani trochę głupia. Tylko błędna.

Przerwał. Zawahał się, jakby to, co zamierzał wyjawic, można było opowiedzieć wyłącznie z niesłychaną ostrożnością.

– Wirus istnieje. Tu ma pan całkowitą rację. Ale... to my go sfabrykowaliśmy.

– My?

– Tak.

– Co znaczy „my”?

– Nie my obecni tutaj, ale nasi koledzy. Badacze, których nie ma już na tym świecie.

William pokiwał głową. Nietrudno było zgadnąć dlaczego. Zwłaszcza gdy widziało się tamtą kobietę w akwarium.

– Coś poszło nie tak? – spytał.

– Owszem. Coś poszło nie tak. Wirus nie działał tak, jak się spodziewaliśmy. Jeszcze trzydzieści lat temu pracowało tutaj około ośmiuset osób. Dzisiaj jest nas pięćdziesięcioro. Nikt z nas nie uczestniczył w tamtych pracach. Musieliśmy zacząć od zera.

Nie powiedział nic więcej. Czekał na Williama. Teraz jego kolej, żeby znowu pomyśleć.

– I w tym wirusie – zaczął William powoli, jakby sprawdzał każde swoje słowo – w wirusie, który tu stworzono, umieszczono zakodowany tekst.

Connors pokiwał głową, ale z dość dużą powściągliwością.

– Tak. To prawda.

W jego tonie kryło się niewypowiedziane „ale”, jednak niczego już nie dodał.

– I ten tekst był ułożony przez nas?

– Odpowiedź brzmi: tak. – Ten sam ton: „ale”.

– Wobec tego nie rozumiem – rzekł William. – Jeśli my sami napisaliśmy kod, to dlaczego, u diabła, potrzebujecie mnie, żeby go złamać?

Connors zwrócił na niego spojrzenie. Ukośne pochylenie głowy, uprzejma pantomima, by dać Williamowi do zrozumienia, że nadal nie zadaje właściwych pytań.

– Dlatego, panie Sandberg, że rozmawiamy o dwóch różnych rzeczach. Bo to nie ten kod jest naszym problemem.

– Znowu nie pojmuję – przyznał William.

Zaległa cisza. W oczach Connorsa pojawiła się niepewność; potoczył wzrokiem wkoło stołu, jakby chciał uzyskać potwierdzenie, że wolno mu wykonać następny krok. Opowiedzieć resztę. Nikt nie miał zastrzeżeń, więc ciągnął dalej. Spojrzał na Williama.

– Ta sekwencja, którą pan bada – kontynuował – ten kod, do którego ma pan znaleźć klucz...

William kiwnął głową.

– Tak?

Długa pauza, a potem:

– ...on nie pochodzi z wirusa.

Leo stał pochylony nad komputerem przy swoim biurku, bębnił w klawiaturę i jednocześnie pilnie śledził to, co pokazywało się na ekranie.

– Nie wiedziałem – powiedział. Ciągle nie mógł złapać tchu, ale bardziej z rozgorączkowania niż z fizycznego wysiłku, i tylko zerkał na nią nerwowo, jakby nie chciał ani na sekundę odrywać wzroku od monitora, jakby wszystko zależało od tego, czy odpowiednio szybko zrobi to, na czym jest skupiony. – Żeby to tylko było... Sama pani wie, jak to czasami bywa z mózgiem, kiedy...

Christina stała pochylona nad nim, ciągle jeszcze w płaszczu, ze wzrokiem utkwionym w dużym monitorze Leo.

To strasznie ważne, żeby sama to zobaczyła najszybciej jak się da, dlatego niemal jej rozkazał natychmiast wziąć taksówkę i wrócić do redakcji.

On. Rozkazał jej. Powinna była się zirytować, ale nie potrafiła, jedynie się zaniepokoiła. Szybko wyszła z kawiarni, zatrzymała taksówkę i przyjechała.

Coś znalazł i koniecznie chciał jej to pokazać. Kiedy zapłaciła taksówkarzowi i weszła przez szklane drzwi do siedziby gazety, przemknęło jej przez głowę, że prawdopodobnie to, na co wpadł, wcale nie jest takie ważne, jak myślał, i że w związku z tym ich spotkanie może okazać się uciążliwe, bzdurne i trochę niezręczne dla nich obojga.

Leo czekał już na nią przed drzwiami windy. Miał na sobie kurtkę, czyli pewnie także pojawił się dopiero niedawno. W tym momencie przemknęło jej przez głowę, że on prawdopodobnie jest wolny. Przyszedł tu z własnej woli, mimo że wcale nie musiał. Uznała, że jeśli nawet się pomylił, to i tak nie ma nic złego w jego zaangażowaniu.

Szedł obok niej przez całe biuro, stawiał tak długie kroki, że z trudem za nim nadążała. Opowiadał, że siedział przy domowym komputerze całą noc, zalogował się na swoim redakcyjnym koncie i przekopał się przez stare depesze z ostatniego półrocza. Wiedział, że wcześniej coś zobaczył, że w tym zalewie informacji znajdowało się coś, na co w pierwszej chwili nie zareagował, ale co teraz mogło mieć znaczenie dla ich sprawy.

Stojąc przy swoim redakcyjnym komputerze, szybko cofał się do właściwej daty. Szukał depeszy, która powinna była tam być.

– Miałem rację. Wiedziałem, że miałem rację.

Spojrzał na Christinę. Przekręcił monitor nieco w prawo, jakby chciał ułatwić jej czytanie, choć przecież stała tuż obok niego.

– Miałem rację.

Wskazał palcem.

Otworzył na ekranie depezę Reutera napisaną po angielsku. Krótka, sucha notatka o jakiejś błąhostce.

Amsterdam, 24 kwietnia.

Tytuł: „Brak śladów po zaginionej studentce”.

Christina przebiegła wzrokiem cały tekst. Z wprawą wychwytywała tylko najważniejsze słowa, żeby wyrobić sobie obraz całości i zdecydować, czy jest w tym coś interesującego.

Żadnych śladów – zaniepokojony chłopak – dobrowolne zniknięcie – policja uważa sprawę za zamkniętą.

I to wszystko.

– Czy nie?

Niezupełnie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie za bardzo rozumiała, które z jego słów potwierdzić. Wciąż powtarzał, że miał rację, ale szczerze mówiąc, wyglądało na to, że nie do końca.

Jeszcze raz pobieżnie przeczytała notatkę.

Chodziło o czyjeś zaginięcie. Ale ileż to osób przepada bez wieści każdego roku? Tu była mowa o młodej osobie, przypadek sprzed pół roku i zdarzył się w Holandii – może Leo widział jakiś związek z ulotnieniem się Williama, ale ona go nie dostrzegała. Z wyjątkiem jednego szczegółu: partner nie chciał uwierzyć, że jego dziewczyna zniknęła z własnej woli. Poza tym nie widziała żadnego podobieństwa.

Zerknęła na Leo. Uśmiechnęła się, aby ukryć swój sceptycyzm. Niesłuchanie miło z jego strony, że się do tego dokopał, ale to odkrycie na nic im się nie przyda.

Zorientował się, co ona myśli na ten temat.

I wcale nie wyglądał na zdziwionego. Wręcz przeciwnie.

– Zanim pani coś powie... – zaczął. – Trochę poszperałem w Google.

No proszę. Christina przyjrzała mu się uważnie.

– Zaginiona studentka. Nazwisko: Janine Charlotta Haynes. Przyjechała do Amsterdamu cztery lata temu na stypendium, wyjątkowo prestiżowe, jak zdążyłem się zorientować. Najpierw zakuwała w Seattle, gdzie wszyscy składali jej hołdy, taka była utalentowana.

Przekręcił monitor w swoją stronę, żeby teraz on mógł lepiej widzieć.

– Chwileczkę – powiedział. – Jej praca magisterska.

Zamknął długą listę depeż, zszedł kursorem między ikonki różnych programów i otworzył okienko poczty elektronicznej. Na samej górze był mejl przesłany przez niego samego. Z załącznikiem.

– *Power of the internets* – powiedział, chyba głównie po to, aby przerwać ciszę. Po czym kliknął w ikonkę załącznika.

Christina wyprostowała się, sięgnęła po krzesło i usiadła blisko monitora.

Poczuła na sobie spojrzenie Leo, świadoma, że zmiana jej nastawienia musiała mu się spodobać. Uznała, że był tego wart. Wszelkie wątpliwości, jakie żywiła co do jego osoby, zniknęły; braki społeczne nie mają nic wspólnego z intelektualnym potencjałem, i irytowało ją, że nie potrafiła tego dostrzec wcześniej.

Na ekranie przed nią widniał zeskanowany dokument. Niemal stustronicowy, jak wynikało z informacji na dolnym pasku. Leo przewinął niżej stronę tytułową, aby angielski tytuł znalazł się na środku ekranu; wypełniał samo centrum od brzegu do brzegu: „Odwieczne poszukiwanie sensu. Studium na temat kodów i przesłań ukrytych w tekstach prehistorycznych”.

– Czym zajmował się pani mąż? – spytał Leo. – Przedtem.

Podniosła na niego wzrok. Miał pewne spojrzenie, jakby do tego stopnia zagłębił się w swoich poszukiwaniach i tak się w nie zaangażował, że zupełnie zapomniał o powątpiewaniu w samego siebie. Nie był już zagubionym i niepewnym młodym człowiekiem. Po prostu przez przypadek zapomniał, że taki jest.

Zapytał nie dlatego, że nie wiedział. Zadał pytanie, żeby podkreślić, że idzie w dobrym kierunku. Ona zaś kiwnęła głową, jakby chciała powiedzieć, że równie dobrze to mógł być zbieg okoliczności, i odezwała się:

– Może skontaktowalibyśmy się z tym jej chłopakiem?

Leo popatrzył na nią.

Nie uśmiechał się. Wręcz przeciwnie. Był poważny i opanowany.

Był dumny.

Kiwnął głową.

I podał jej zwitek papieru z nazwiskiem i numerem telefonu.

– Zostawiłem mu już wiadomość.

Jasnożółta samoprzylepna kartka z numerem telefonu do jakiejś szwedzkiej gazety była tylko jednym z co najmniej dwudziestu podobnych świstków, które wylądowały pod grubą teczką ciśniętą przez Alberta van Dijka na biurko.

Był zmęczony.

Nie, nie zmęczony, kompletnie wypompowany.

Opadł ciężko na swoje twarde biurowe krzesło, zsunął się z siedzenia tak daleko do przodu, że podłokietniki sięgały mu pod pachy i przetarł sobie twarz dłońmi usianymi kreskami po pisaku do tablicy magnetycznej.

Prowadzenie wykładów zżerało siły. Ale zdawał sobie sprawę, że musi to robić, wiedział, że energia i adrenalina, które czerpał, gdy tak stał na katedrze i przykuwał uwagę całej sali, gdy dostosowywał na bieżąco scenariusz wykładu do pytań stawianych przez studentów albo do chwilowych impulsów podpowiadających mu

merytoryczne dygresje, wiedział, że to wszystko utrzymuje go na powierzchni. Męczyło go to, ale paradoksalnie pozwalało mu też wziąć się w garść. Na krótkie momenty czyniło go wręcz zadowolonym albo przynajmniej prawie zadowolonym.

Ból był niejako podwójny. Minęło już ponad pół roku i poczucie, że wspomnienie po niej zaczyna blednąć i się rozmywać, odkładało się nową warstwą smutku na ciągłej tęsknocie.

Przecież ona musi gdzieś być. Był o tym przekonany.

Gdzieś czeka na niego, a on nie chciał jej zapomnieć, nie chciał przejść nad tym do porządku dziennego, przynajmniej dopóki istnieje szansa, że mógłby coś zrobić, aby pomóc jej wrócić.

Jakby nie spróbował już wszystkiego.

Odegnął te myśli i skoncentrował się na obecnej chwili.

Za oknem życie toczyło się dalej, dzisiaj tak samo jak każdego innego dnia; studenci rozmawiali ze sobą, głośno dyskutowali, biegli przez rozbrzmiewający echem wewnętrzny dziedziniec, zmierzając gdzieś, gdzie powinni być już od dziesięciu minut. Kiedyś lubił tu przesiadywać. Przysłuchiwać się pogawędkom, wędrować wzrokiem po półkach w gabinecie, od czasu do czasu zatrzymać spojrzenie na grzbiecie którejś z licznych książek, które pozostały po poprzednim użytkowniku tego pokoju.

Już od dawna nie sprawiało mu to przyjemności. Rzeczywistość jakby się wycofała, przesłonięta filtrem nieprzeniknionej szarości, on zaś przestał być obecny, niezależnie od tego, gdzie się znajdował.

Prawdopodobnie właśnie z tego powodu nie zauważył korpulentnego młodego mężczyzny, który stał w drzwiach i patrzył na niego.

Albert poprawił się na krześle, zanim zdążył pomyśleć, dlaczego to robi. Usiadł wyprostowany, jakby to on miał obowiązek okazać respekt swojemu asystentowi, a nie odwrotnie.

Cisza, jaka zapanowała, była niezręczna dla nich obu.

– Chciałem tylko powiedzieć, że odebrałem kilka telefonów – odezwał się w końcu tłścioch.

Wskazał na biurko, na grubą teczkę, która leżała na żółtych karteczkach. Skończył już dwadzieścia lat, ale wyglądał na nastolatka. Prawdopodobnie nigdy nie miałby okazji zobaczyć, jak uniwersytet wygląda od środka, gdyby nie dostał tej pracy.

– Widziałem – odparł Albert. – Załatwię je po kolei.

– Wolałem się tylko upewnić, czy pan widział.

– Jeszcze coś?

Niezupełnie. Asystent się zawahał, ale pomyślał w końcu, że to może poczekać, i pokręcił głową. Uśmiechnąwszy się nieznacznie, wycofał się z pokoju.

Albert przymknął oczy.

– Tak. Jedna sprawa.

Głos asystenta brzmiał równie wyraźnie i blisko jak przed chwilą. Albert uniósł więc powieki i stwierdził, że ten mały irytujący człowieczek zawrócił i tkwi znowu dokładnie w tym samym miejscu co dziesięć sekund temu.

– Już nie puka się do drzwi?

– Były otwarte – odrzekł asystent.

– Bo ich pan nie zamknął.

– Nie teraz. Wcześniej. Zwykle pan zamyka, jeśli pan nie chce, aby panu przeszkadzać.

Albert szukał w głowie odpowiedzi, ale uznał, że nie ma sensu dyskutować. Dał znak ręką, aby ten młokos w końcu wydusił z siebie, co zamierza.

– Czy wie pan, kto pracował tu przed panem?

Co to znowu za dziwne pytanie.

– Słucham?

Asystent pokręcił głową. Trzymał w ręku wyściełaną kopertę. Poczł się zakłopotany, że w ogóle zaczął tę rozmowę, za późno jednak się zorientował, że to nie jest rzecz, o którą powinno się pytać szefa instytutu, ale dosyć kiepsko znał się na takich zwyczajach, a ponieważ potrzebował tej informacji, więc musiał kogoś spytać. W końcu to nie jego wina, że trafił mu się przełożony z humorami i wiecznie przygnębiony, który nie chciał zaakceptować faktu, że zostawiła go dziewczyna.

– Nic takiego – powiedział. – To widocznie pomyłka, bo nikt taki tu nie pracuje. Nie wiedziałem, co mam z tym zrobić.

– W porządku – rzekł Albert. – Proszę zanieść na portiernię. Oni już to przekażą właściwej osobie albo odeślą do nadawcy. Nie mamy obowiązku zajmować się szukaniem ludzi, którzy nie pracują na naszym wydziale.

Chłopak skinął głową. Dziękui. Odwrócił się na pięcie po raz drugi.

Albert nadal siedział na krześle i przyglądał się, jak asystent wychodzi z jego pokoju i kładzie kopertę do koszyka na swoim biurku naprzeciwko. Krzątał się bez przerwy. Wykonywał swoje obowiązki.

Przeszkadzał.

Albert zerknął na zegarek. Za wcześnie na lunch, ale to nie miało znaczenia.

Potrzebował zostać sam. Wszystko jedno gdzie, byle tylko mógł w spokoju zająć się własnymi myślami. A ten list mógł być równie dobrym pretekstem jak każdy inny.

Wstał z miejsca, przeszedł przez drzwi.

– Wiesz co? Oddam to po drodze.

Asystent spojrział na niego pytającym wzrokiem, ale on nawet nie próbował mu niczego wyjaśnić. Po prostu sięgnął po kopertę, nadal zdecydowany poszukać sobie

jakiegoś cichego kąta w bibliotece czy w kafeterii albo może na dworze, jeśli nie jest zbyt zimno, po czym ruszył w kierunku klatki schodowej.

Dopiero wtedy zobaczył, kim jest adresat.

Minął w biegu portiernię. Ani myślał zostawiać na niej list, w ogóle nie miał w głowie nic poza tym, by wyjść jak najszybciej przez wysokie drewniane drzwi na jesienne powietrze i znaleźć się w jasnym świetle, aby móc zobaczyć dokładnie.

Zatrzymał się na schodach. Rozerwał brzeg grubej koperty palcem wskazującym. Drżał z podniecenia, nie poczuł nawet, kiedy sztywny żółty papier przeciął mu skórę do krwi.

Na liście widniał stempel automatycznej maszyny stemplującej. Żadnej nazwy firmy. Brak nadawcy. Ale na jednym brzegu dostrzegł „Berno” – data była wczorajsza.

Adresat: University of Amsterdam.

Do rąk: Emanuel Sphynx.

Powstrzymywał łzy, starał się panować nad sobą i nad swoim głosem, gdy wybierał numer policji, a potem czekał, aż ktoś odbierze.

– Chcę rozmawiać z sekcją zajmującą się osobami zaginionymi.

Mniej więcej dziesięć lat temu William znalazł się w samolocie, który o mało nie runął na ziemię. Przez trzy minuty, które dla niego trwały całą wieczność, maszyna wojskowa, w której siedział, straciła kontrolę i spadała w dół z zatrważającą prędkością; silniki na zewnątrz ryczały, papiery, gazety i kubki po kawie fruwały w powietrzu w swobodnym locie ku ziemi wraz z nim.

Nie był w stanie nic zrobić. Strach mieszał się z przyprawiającym o zawrót głowy poczuciem nieważkości, czuł, jak wszystkie jego organy wewnętrzne odrywają się od swoich miejsc, a przez cały ten czas jego mózg mówił mu w popłochu, że zaraz, już za chwilę to się skończy, że strach minie, za moment wszystko wróci do równowagi i jego ciało znowu odzyska oparcie.

Jednak co rusz zmuszony był przyznać, że wcale się na to nie zanosi. Myśli splątały się w niekończący się wir przerażenia i paniki pomieszanych z nadzieją na powrót do normalności, który nie następował, a później groza stała się jeszcze większa, kiedy mózg, chcąc nie chcąc, skonstatował, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę, tu i teraz, że spada i nie ma szansy się uratować.

Trzy minuty. Potem wcisnęło go w fotel, gdy maszynie udało się przerwać lot w dół, zwiększyć moc ryczących z desperacją odrzutowych silników i wynieść ich z powrotem do góry, prosto w niskie chmury, podczas gdy za oknem rysował się czerwony masyw górski, widomy znak, jak już było blisko.

Później się dowiedział, że od śmierci dzieliły ich zaledwie sekundy.

Przez całe tygodnie uczył się spać od nowa.

Nie potrafił pozbyć się uczucia strachu i powracającego przekonania, że i tak nic nie stało się lepsze.

To, czego William Sandberg doznawał, stojąc na tarasie, pod wieloma względami przypominało tamte minuty w samolocie. A już prawie mu się udało zapomnieć, co wtedy przeżywał. Teraz oto znalazł się w samym środku strumienia myśli i reakcji, które działały według tego samego schematu, a towarzyszyła im ta sama otępiająca kombinacja poczucia bycia gdzie indziej i bezwzględnej rzeczywistości, to samo wahanie raz w jedną, raz w drugą stronę, między niedowierzaniem a paniką.

Więc wstał i wybiegł z pokoju.

Rzucił się w futurystyczne przejścia wybijane blachą, popędził w górę po kilkusetletnich kamiennych schodach, ku temu oszałamiająco pięknemu widokowi, ku bezimiennym górcom wokoło, ku lekko pofalowanemu jezioru w dole. Potrzebował powietrza, tak mu się zdawało, potrzebował nieba. Jednak nic mu nie

pomogło. Stał tam, wysoko, całkowicie nieruchomy, zaczerpnął powietrza, usiłował zapanować nad myślami, a już za moment biegał jak szalony wzdłuż długiego muru wokół tarasu, jakby coś mogło się zmienić dzięki temu, że przemieszczał się w przestrzeni.

Jakby mógł uciec od tego, co zrozumiał.

Kto?

To było pytanie, do którego myśli powracały przez cały czas. Jak bumerang, wciąż do tego samego punktu. Kto? Poczucie jak w nocnym koszmarze, że zaraz się obudzi, jeszcze nie teraz, ale wkrótce, jednak każde wkrótce stawało się teraz, w którym nic się nie zmieniało. I w końcu nie sposób było stać w miejscu, więc przemieszczał się do następnego punktu, następnego i następnego, błędził wzrokiem po krajobrazie w desperackiej nadziei, że może gdzieś tam znajduje się odpowiedź.

Kto?

Po dłuższej chwili zorientował się, że Connors przyszedł za nim na górę; stał i patrzył na niego, nic nie mówiąc. *Znowu*. Co jest z tymi ludźmi tutaj, że tak po prostu stają i obserwują innych?

Trudno było powiedzieć, jak długo Connors już tam tkwi, William nie wiedział nawet, ile czasu on sam jest na tarasie. Był mokry od wilgoci w powietrzu, a może od potu. Mówiąc szczerze, nie spodziewał się, że coś może do tego stopnia nim zawładnąć. Że coś jeszcze w ogóle może na niego tak podziałać.

Jednak tak się stało. Wszystko wokół niego sprowadziło się do jednego, jakby ktoś przewrócił jednym kopnięciem cały jego obraz świata.

– Wiem – rzekł Connors. *Jak się czujesz* – to miał na myśli, lecz nie powiedział tego.

I całą wieczność później dodał:

– Ale można się przyzwyczaić.

William skinął głową. To wszystko, na co mógł się zdobyć.

Na początku inicjatywa w rozmowie należała do niego. Był spokojny i opanowany, czuł się skoncentrowany, ośmielił się nawet sądzić, że w mężczyznach zebranych w sali zaczyna kiełkować ostrożny respekt dla niego.

Ale w końcu go złamali. Pozwolili mu wyłożyć jego najlepszą kartę bez żadnego pożytku. Przejęli inicjatywę.

A potem nastąpił zwrot sytuacji, którego się nie spodziewał.

Przedstawili mu wyjaśnienie.

A on zdał sobie sprawę, że było prawdziwe.

Rozmowa w sali konferencyjnej trwała jeszcze pół godziny, lecz nic istotnego nie zostało już powiedziane. Konwersacja prowadziła w jedną ślepą uliczkę za drugą, każde pytanie kwitowane było unikiem lub pytaniem, co on i Janine Haynes wiedzieli i o czym mówili. Piętnastu ponuraków w mundurach wciąż siedziało cicho, ograniczając swój wkład w spotkanie do wtrącania pojedynczych uwag.

W końcu William stracił cierpliwość.

Ta rozmowa już dawno przestała go bawić, a nie miał wiele do stracenia.

Poza tym był głodny.

– Okej – powiedział głośno ostrym tonem.

Kiedy zaległa cisza, przestał być już taki pewny siebie. Ale tak czy owak osiągnął pożądaną efekt. Doczekał się zainteresowania całej sali.

– A więc – zaczął – wiecie, ile wiem. Niedużo. Jeśli nie chcecie, możecie w to nie wierzyć, możecie dalej zadawać mi pytania, dopóki nie zasnę albo nie umrę, albo Bóg wie co jeszcze. Ale daleko w ten sposób nie zajdziemy. Jest jak jest. I teraz to od was zależy, na co przeznaczymy czas.

– A na co pana zdaniem powinniśmy go przeznaczyć? – spytał Franquin.

– Chciałbym zawrzeć porozumienie. Czy jest to możliwe?

Brak odpowiedzi. Ale raczej się jej nie spodziewał.

– Oferuję wam swoje usługi. Obiecuję, że będę się starał. Nie mogę zagwarantować rezultatu, bo w mojej branży to niemożliwe, jednak obiecuję, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby dotrzeć do klucza do kodu, którego potrzebujecie. Stawiam tylko jeden warunek.

W sali zaległa cisza.

– Chcę wiedzieć, co to jest, czym będę się zajmował.

Wentylatory. Pojedyncze ruchy głowami. Nikt się nie odzywał.

– Co to jest, co mam wyliczyć?

Cisza trwała.

W tym powszechnym milczeniu wyczuwało się ociąganie, wokół stołu wymieniano spojrzenia, jakby kolektywnie podejmowano decyzję.

– Sandberg?

Głos dobiegł z tyłu, i William musiał okręcić się na krześle.

Connors wstał z miejsca. Zwrócił się w jego stronę ze stanowczością i powagą w spojrzeniu. Zaczerpnął powietrza, zatrzymał je w płucach dodatkową chwilę, jakby dla podkreślenia wagi tego, co chciał wyrazić.

Nie pierwszy raz miał opowiedzieć to, co zamierzał. Wykładał to już dwudziestu osobom przed Williamem, większości obecnych teraz w sali. Wszyscy oni spojrzeli teraz na Williama, świadomi, że za chwilę w jego głowie powstaną myśli, jakich nigdy dotąd nie miał, że niebawem ta oto chwila już na zawsze będzie oznaczać dla niego koniec tego, co było *przed*, a pozostałe życie będzie tym, co *po*.

Przed tym i po tym, gdy się dowiedział.

Connors zaczął.

– Jest pan programistą.

William wzruszył ramionami.

– Domorośłym – odpowiedział.

Connors spojrział na niego niemal lekceważąco. To nie było pytanie, tylko wstęp do rozmowy. Wszyscy zgromadzeni świetnie się orientowali w zasługach Williama dla szwedzkich sił bezpieczeństwa. Nikt więc nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że William jest programistą. Nawet jeśli uznać to za efekt uboczny jego pracy jako kryptologa.

Connors pomiął ten wątek. Zbyt odbiegał od tematu rozmowy, by się na nim skupiać.

– A to znaczy, że wie pan, co to są komentarze.

William znowu wzruszył ramionami. Jasne, że wie. Jak każdy, kto choć raz zajmował się programowaniem.

Komentarze są częściami kodu źródłowego niemającymi żadnego wpływu na program i pomijanymi przez komputer. Są czymś w rodzaju notatek wpisanych w tekst do odczytania przez ludzi, a nie przez komputery. Niekiedy po to, aby zapamiętać, do czego służy pewna część programu, niekiedy aby wyjaśnić innym programistom, jak dana sekwencja czy fragment programu funkcjonuje. Albo też, i to nierzadko, bywają drobnymi wewnętrznymi żartami między kolegami programistami.

Mówiąc wprost, komentarze nie wnoszą niczego do kodu. To informacje wtrącone do programu, stworzone przez jego autora.

William dobrze to wszystko wiedział.

– Nie rozumiem.

Connors spojrział na niego.

– Co wie pan o materiale genetycznym człowieka?

– Zdecydowanie mniej.

Generał pokiwał głową. Tego się spodziewał. Znowu zaczerpnął powietrza, aby przystąpić do kolejnego etapu swojego wykładu.

– W każdej pracy naukowej, jaką można dziś znaleźć, w każdym artykule medycznym publikowanym współcześnie, wszędzie można przeczytać jedno: że zidentyfikowaliśmy niecałe dwa procent materiału genetycznego człowieka.

Uniósł wysoko kciuk i palec wskazujący, prawie złączył je ze sobą, żeby zobrazować, o jak znikomej części jest mowa.

– Dwa marne procent możemy wskazać i powiedzieć, że wiemy, jakie pełnią funkcje. A pozostałe dziewięćdziesiąt osiem? Nie mamy dzisiaj pojęcia, do czego służą.

Kolejna pauza, głównie po to, aby William potaknął potwierdzająco, że na razie nadaża za takim wywodu. On nawet go wyprzedzał.

– Śmieciowe DNA – rzucił.

Proszę, proszę! Connors uniósł brwi. To więcej niż wiadomo większości.

W końcu Sandberg czytał fachowe czasopisma, uczestniczył w fachowych debatach. A przynajmniej do czasu, kiedy jeszcze był aktywny.

– Niektórzy tak to nazywają – rzekł Connors z aprobatą. – Chociaż ja preferuję określenie „niekodujące DNA”.

William patrzył na niego pytającym wzrokiem.

– Prawda jest taka – kontynuował generał – że się myliliśmy. Śmieciowe DNA wcale nie jest śmieciowe.

Minęła chwila, zanim William do końca zrozumiał, co powiedział Connors, i niespokojnie poprawił się na krześle. Rozmowa zmierzała w kierunku, którego się nie spodziewał. Nie potrafił już dłużej zmuszać się i udawać, że to go nie interesuje.

Connors od razu to zauważył.

– Nie rozgłaszamy tego wszem wobec. Nie przeczyta pan o tym w bieżących raportach, periodykach czy naukowych publikacjach. Tymczasem już prawie pięćdziesiąt lat temu grupie naukowców udało się odczytać także te pozostałe dziewięćdziesiąt osiem procent.

Na tym na razie skończył.

Patrzył na Williama, czekał, aż na tyle zrozumie to, co przed chwilą usłyszał, by był gotów przyswoić ostatni fragment informacji, który jeszcze pozostał.

Tymczasem William właściwie był już o krok dalej. Connors wyłożył na stół wszystkie elementy układanki, a istnieje tylko jeden sposób, aby je właściwie poskładać. Teraz jedynie rozsądek się temu przeciwstawiał. To nie mogło być prawdą. To nie do pomyślenia, niemożliwe. Na krótką chwilę przymrużył oczy i popatrzył na Connorsa, jakby chciał sprawdzić, czy czegoś nie przegapił, jakby wręcz był przekonany, że źle zrozumiał to, co właśnie usłyszał, i że zaraz wszystko pojmie jak należy, jeśli się postara.

Jednak nie potrafił. Mimo woli pokręcił głową, jakby chciał zasygnalizować, że wyciągnął złe wnioski z rozmowy i potrzebuje pomocy Connorsa.

– I? – spytał.

Connors wciąż czekał.

A potem, ostrożnie akcentując niemal każdą sylabę, powiedział:

– Okazało się, że materiał genetyczny człowieka jest pełen komentarzy.

Kiedy William odwrócił wzrok od głębokiego alpejskiego jeziora, Connors nadal

siedział na skraju murku, ale daleko od niego, bliżej wejścia na taras.

Odsunął się, lecz dalej czekał. Wiedział, że kiedy William przestanie mówić, on będzie mu potrzebny.

Nastał już wieczór. Ukośne promienie słońca chowały się za szczytami gór. Łagodny wiatr wdzierał się we wszelkie szczeliny oraz między włókna cienkiego ubrania i sprawiał, że włoski na skórze stawały dęba w obronie przed lodowatym wieczornym zimnem.

William w ogóle tego nie zauważał.

Ruszył w stronę Connorsa i zatrzymał się przed nim.

– Kody, nad którymi pracujemy...? – spytał w końcu.

Nie znalazł odpowiednich słów, aby dokończyć pytanie, ale generałowi nie było to potrzebne. Skinął głową w odpowiedzi. I powiedział powoli, niemal pedagogicznym tonem:

– Wszystkie informacje, do których pan i Janine dostaliście dostęp, pochodzą z ludzkiego DNA.

Connors odczekał. Wiedział, jakie pytanie zaraz padnie.

Po krótkiej przerwie usłyszał:

– A kto je tam umieścił?

No właśnie.

Teraz Connors pokręcił głową.

Popatrzył w milczeniu na Williama. I odpowiedział:

– To jest pytanie, które zadajemy sobie od pięćdziesięciu lat.

CZEŚĆ II

DŽUMA

Ludzie mówili mi, żebym żył terażniejszością.

Ja co najwyżej parskalem na to śmiechem.

Teraz jest początkiem potem.

To wszystko, co jest, i nie ma nic poza tym.

To faza przejściowa, która niedługo dobiegnie końca i do której nie ma sensu się przywiązywać, dlatego że wcześniej czy później chwila i tak minie; ludzie mogą mówić, co chcą, ale jeśli żyje się w terażniejszości, to nie żyje się przeszłością, a tak robią tylko idioci.

Ja zawsze żyłem w potem.

Jadłem śniadanie, a myślałem o lunchu, kochałem, a myślałem, co będzie później, siedziałem ze szklanką piwa, patrząc na zachód słońca, a myślałem o tym, że jak słońce zajdzie, będę musiał iść do domu. Albo że piwo się skończy i też trzeba będzie wracać. Albo że komuś zrobi się zimno i będzie dokładnie tak samo.

Wcześniej czy później zawsze trzeba wrócić do domu.

Więc jaki jest sens życia chwilą?

Potem nadejdzie tak czy siak. Więc lepiej być przygotowanym.

Dlatego pewnego dnia zdecydowałem, że nie chcę dłużej żyć.

Pragnąłem jedynie tego, żeby potem przyszło najszybciej jak się da.

Poranek, środa, dwudziesty szósty listopada.

Dzisiaj nie jestem już tak pewny.

Dzisiaj nie jestem już tak pewny, że istnieje jakieś potem.

Dzisiaj po raz pierwszy w całym swoim życiu pragnę, bym mógł żyć teraz.

W życiu Connorsa granicę między przed a po wyznaczał nieprzenikniony ołowianoszary deszcz.

Miał za sobą flegmatycznie powolne popołudnie. Przebił się przez złożone w harmonijkę papiery z tasiemcowymi zapisami podsłuchanych rozmów telefonicznych – rozmów między ludźmi, którzy nie mieli sobie nic poufnego do powiedzenia, uwiecznionych najpierw na zwojach taśmy magnetofonowej i przeniesionych potem na papier przez bębniące palce sekretarek siedzących przed świecącymi na zielono ekranami komputerów – za dużym oknem w jego pokoju światło dnia pojawiało się i znikало, i nikt nie dostrzegał różnicy.

Był październik, było zimno, a świat stał się niebezpiecznym miejscem.

W Waszyngtonie rządy sprawował aktor, w Moskwie – szef KGB, a na dużym stole pośrodku gabinetu Connorsa leżały gigantyczne mapy Londynu, Anglii i całych Wysp Brytyjskich, przygotowane do pokrycia ich szeleszczącymi arkuszami folii, aby zaplanować odparcie ataku, który mógł nastąpić w każdym momencie.

Ale to nie polityka i nie pogoda sprawiały, że godziny wlokły się w żółtym tempie.

To było opieszale popołudnie, ponieważ Connors czekał, kiedy wybije godzina szósta.

Wiadomość, którą zastał rano w swojej skrytce, była niezwykła, ale bynajmniej nie sensacyjnie niezwykła. Została napisana na elektrycznej maszynie do pisania i włożona do brązowożółtej standardowej koperty z jego nazwiskiem; brzegi kartki trochę się pogniotły od obracania jej na waleku.

Przede wszystkim brakowało stempla pocztowego. A to mogło znaczyć tylko jedno: list dotarł do niego pocztą wewnętrzną, może nawet wysłano go z jego biura – to jednak wydawało się mało prawdopodobne, bo niezależnie od stopnia poufności całej sprawy każdemu prościej by było przyjść bezpośrednio do niego, zniżyć głos i omówić z nim to czy tamto – a już na pewno z którejś z sekcji wewnątrz organizacji.

Faktem jest, że to go ożywiło. Budynek, w którym siedział, nie był znany większej części całego MI6, a wewnętrzne pismo składające się z jednego krótkiego zdania stanowiło wystarczający powód, aby wywołać dreszczyk emocji i napięcie, których mówiąc szczerze, spodziewał się doznawać częściej, kiedy zgodził się na wstąpienie do służby zaledwie pół roku wcześniej. Coś się wreszcie działo.

Za cztery szósta włożył płaszcz.

Zbiegł na dół po nierównych skrzypiących drewnianych schodach, przeszedł przez dyskretną bramę i ruszył ulicą w stronę budki telefonicznej przed

zamkniętym pubem po przeciwnej stronie Berkeley Square zgodnie z instrukcjami zawartymi w liście.

Stał w niej teraz.

Czekał w chłodzie, podczas gdy skroplona para zsuwała się w dół po szybach i tworzyła przejrzyste linie na wilgotnej powierzchni wewnętrznych ścian ciasnej budki, ścigając się ze strużkami deszczu po drugiej stronie szkła.

Przed sobą miał ciężki zimny telefon.

Wilgoć powoli wdzierała się pod płaszcz.

Sekundnik zegarka na ręce powoli zbliżał się do dwunastej.

Minął ją.

Dziesięć sekund po szóstej. Dwadzieścia. Żadnego sygnału telefonu.

Trzydzieści sekund.

Czuł się nieswojo. Czyżby źle odczytał wiadomość?

Może to jakaś pułapka? Ktoś mógł obserwować go, kiedy wyszedł z bramy, mógł stać w ciemności, a on niczego nie zauważył? Niewykluczone. To mu się nie podobało, zacisnął zęby i zastanowił się nad następnym krokiem. Tak naprawdę skąd pewność, że po drugiej stronie ulicy nie ma kogoś z teleobiektywem, kto właśnie dokumentuje jego wygląd? Może jest gotów pójść za nim, kiedy wreszcie się stąd ruszy? Albo planuje jeszcze coś gorszego.

Nie zdążył doprowadzić myśli do końca, gdy poczuł, że na zewnątrz budki coś się poruszyło, i w tym samym momencie, kiedy się rozejrzał dookoła, za szybą zobaczył twarz.

Mężczyzna wlepił oczy w Connorsa.

Głos był niesłyszalny, przytłumiony przez hałas deszczu i jesiennego wiatru oraz szum wielkiego miasta wdzierający się wszędzie przez obszerne szczeliny, sądząc jednak po ruchach warg, mężczyzna wypowiedział jego nazwisko.

Connors potaknął.

Pomarszczony mężczyzna otworzył drzwi.

Skinął na niego, żeby wyszedł.

Tego Connors się nie spodziewał. Czuł się coraz bardziej nieswojo, ale zrobił, co mu kazano, i opuścił budkę; wieczorny deszcz przecinał zimne jesienne powietrze długimi strugami wyglądającymi jak białe linie w świetle reflektorów czekającego obok czarnego auta z tablicami dyplomatycznymi. Connors miał wrażenie, jakby ktoś narysował węglem jego życie, wszystko było ciemne, pospiesznie naszkicowane i o rozmytych konturach. On zmierzał szybkim krokiem przez deszcz, a obcy mężczyzna podążał cały czas krok za nim, wreszcie znaleźli się na skraju chodnika, a potem w wilgotnym cieple na tylnym siedzeniu samochodu.

Mężczyzna zamknął drzwi.

Przedstawił się jako Franquin.

Skinął na szofera, żeby ruszył, po czym włączyli się w sznur pojazdów, a potem już nic nie było takie samo.

Connorsa powaliło na kilka dni.

To, czego się dowiedział, nie mogło być prawdą.

A jednak było.

Ale dlaczego on – zadawał sobie pytanie – dlaczego to on musiał się tego dowiedzieć?

Jego dzień powszedni składał się z teoretycznych rozmów o teoretycznych scenariuszach, to była rzeczywistość przefiltrowana przez stukot maszyn do pisania i łoskot teleksów. I chociaż oczywiście zdawał sobie sprawę, że poza tym wszystkim istnieje też inna rzeczywistość, że gdzieś daleko jego teoretyczne modele są stale obecną codziennością dyplomatów, armii i agentów wysyłanych do wszelkich możliwych zakątków świata – chociaż to wiedział, to jednak unikał bycia *tam*. On był z daleka, zachował dystans, a to czyniło go błyskotliwym i racjonalnym i pozwalało mu znajdować rozwiązania nieskalane krótkowzrocznością czy paniką albo piekielną dawką adrenaliny.

Jemu to wystarczało. Connors był teoretykiem.

Mimo to wylądował na wystawnym obiedzie w ustronnej salce hotelu Ritz, ozdobionej kryształowymi żyrandolami i ciężkimi kotarami oraz dywanami tak puszystymi, że gdyby zdjął z nóg buty, być może już by ich nie odnalazł. Siedział tam z wykrochmaloną serwetą na kolanach i ustrzelonym ptakiem na talerzu oraz z obcym mężczyzną naprzeciwko, niskim głosem mówiącym rzeczy, których Connors nie potrafił przyjąć obojętnie.

Przesłanie. W ludzkim DNA.

Najpierw odkryto jedynie matrycę, opowiadał, powtarzając się logikę w bezładnym zalewie, podobnie jak odnajduje się zaszyfrowane wiadomości w chaotycznym bełkocie, i to wywołało niesłychaną mobilizację, co w języku informacji oznacza, że poza kilkoma osobami, których wtajemniczenie było konieczne, nikt o niczym nie mógł się dowiedzieć.

Trwała zimna wojna. Pierwszego odkrycia dokonali naukowcy, i to w ciele, które akurat należało do zmarłego brytyjskiego ambasadora. Natychmiast wyciągnięto z tego wnioski, że oto zdemaskowano sposób przesyłania informacji między zagranicznymi agentami, i jakkolwiek mogło się to wydawać nieprawdopodobne i nierealne, po bliższym zastanowieniu się stawało się całkiem logiczne. Bo czy może być bezpieczniejsza metoda przekazania informacji za linię wroga niż ukrycie jej we wnętrzu jednego z nich? Czy może być coś lepszego od wykorzystania wroga do tego, aby był nieświadomym niczego kurierem?

Teoria okazała się jednak błędna.

Te same sekwencje znajdowały się w innych ciałach.

W ciałach nienależących do ambasadorów czy agentów lub osób w jakikolwiek sposób powiązanych ze światową polityką czy międzynarodowymi konfliktami.

W każdej próbce krwi, w każdym człowieku, którego potajemnie poddawano badaniom, w każdym nowym zestawie materiału genetycznego znajdowano ten sam kod.

I w miarę jak eksperci czynili wszystko, by w swoich tajnych badaniach rozszyfrować analizowane sekwencje i zrozumieć, co one znaczą, stawało się coraz bardziej jasne, że są one spotykane wszędzie, dosłownie gdziekolwiek spojrzeć. U Brytyjczyków, u mieszkańców całej Europy, w każdym żywym człowieku na planecie – i nie tylko, bo także w ludziach żyjących kiedyś, począwszy od niedawno zmarłych i przechowywanych w szpitalnych lodówkach, a skończywszy na martwych płodach w pojemnikach z formaliną zamkniętych w ciemnych szafach uniwersyteckich piwnic na całej ziemi.

Ktokolwiek wprowadził ten kod do DNA człowieka, musiał uczynić to dawno temu.

Na tyle dawno, że został on upowszechniony, skopiowany i był przenoszony z pokolenia na pokolenie.

Zaczęto więc w badaniach cofać się w czasie w przekonaniu, że w miarę zagłębiania się w przeszłość owe sekwencje będą zanikać. Że w ten sposób uda się zrekonstruować, jak multiplikowały się przez generacje, i dojść do miejsca oraz punktu w czasie, gdy ów kod został wprowadzony.

Ale kod nie zanikał.

Niezależnie od tego, jak głęboko się cofano, jak odległe cmentarze odwiedzano, jak wiekowe grobowce i piramidy otwierano pod płaszczykiem fikcyjnych badań archeologicznych, rezultat pozostawał niezmienny.

Kod jest odwieczną częścią genetycznego materiału człowieka.

Od kiedy istnieje człowiek, istnieje też kod.

Nie było tylko wyjaśnienia, jak tam trafił.

Kiedy Connors otworzył drzwi wyjątkowo mocno zabezpieczonego wydziału pod ziemią i z zamkowych schodów rozszedł się ten sam stęchły zapach jak każdego ranka przez blisko trzydzieści lat, ogarnęła go melancholia. I smutek, że minęło już tyle czasu, a osiągnęli tak nikłe rezultaty.

Wielkich odkryć dokonano, jeszcze zanim on tu nastał.

Udało się złamać kody.

Za nimi kryły się teksty w piśmie klinowym.

Gdy w końcu przetłumaczono owe zapisy i poznano, co one znaczą, prawda okazała się gorsza, niż sądzono.

Desperacko poszukiwano odpowiedzi.

Wysłano wołanie w kosmos, lecz nikt nie usłyszał.

Może dlatego, że nie posiadano klucza, żeby odpowiednio zakodować odpowiedź? Posłano ją tak po prostu, w zwykłej postaci, z jedynekami na miejscu jedynek i zerami na miejscu zer, ale czy dało się zrobić inaczej, skoro nie wiedziano jak?

A może wcale nie trzeba było wołać w kosmos?

A jeśli nie tam, to gdzie?

Zaczerpnął powietrza, próbował odsunąć od siebie te pytania, chociaż wiedział, że wróca, na pewno wróca, i to za każdym razem bez odpowiedzi, co tylko jeszcze bardziej pogłębiało frustrację.

Bo nic się nie zmieniało.

Bo tak wyglądało jego życie.

I tak już będzie.

Potrząsnął głową, nie chciał myśleć w ten sposób, nie miał jeszcze nawet sześćdziesięciu lat. Zostało mu co najmniej dwadzieścia, może trzydzieści, a przy odrobinie szczęścia nawet czterdzieści lat życia.

Ale gdzie miałby się stąd wynieść?

O czym mógłby marzyć?

On, który wie?

Zmierzając na górę po kamiennych schodach, słyszał własne kroki.

Szedł ciężko, noga za nogą. Jak nigdy dotąd.

Zadał sobie pytanie, czy słusznie zrobił, kiedy dał się przekonać w tamten deszczowy dzień w październiku.

Czy nadal istnieje jakaś szansa powodzenia.

I czy właściwie nie powinni dać Sandbergowi wszystkiego, skoro mu jednak powiedzieli.

Pierwszego ranka, kiedy William Sandberg obudził się z nowym obrazem świata w świadomości, długo stał przy oknie i patrzył przed siebie, zanim zdobył się na to, by czymś się zająć.

Wszystko wydawało się takie jak dotąd, ale pokryte łuską pozoru.

Wszystko, czego do tej pory doświadczał, wszystko, co było standardem, rutyną i oczywistością, wszystko, co robił, widział i odbierał z nieustannie obecnym dystansem, co wydawało się prawdą i rzeczywistością, wczoraj za jednym zamachem zamieniło się w coś innego.

Źle spał dzisiejszej nocy. Wczorajsza rozmowa powracała do niego raz za razem. Próbował analizować poszczególne słowa, niuanse tonu i ruchy głowy w poszukiwaniu czegoś, co może usłyszał, ale czego nie zrozumiał, i będąc jeszcze w krainie między snem a jawą, usiłował wpleść nowe pytania i skierować rozmowę w inne rejony, jednak za każdym razem musiał przyznać, że jego podświadomość nie za bardzo chciała mu odsłonić cokolwiek, czego jeszcze nie wiedział.

To, co od nich usłyszał, po prostu nie było mądre. I uważał, że niemożliwe.

Teraz stał za grubym szkłem, widział, jak pejzaż za oknem załamuje się w nierównej powierzchni szyb, jak gdyby cały świat chciał zaświadczyć, że na niczym z tego wszystkiego, co uważał za oczywiste i pewne, nie można się już oprzeć. W końcu przymknął oczy i pozwolił myślom snuć się dalej.

Znowu powrócił do rozmowy.

Przypomniawszy sobie kobietę z amerykańskim akcentem, Janine, która chciała pokazać mu jakąś kartkę, ale nie zdążyła.

Jednak przede wszystkim myślał o Sarze.

Była ich adoptowaną córką, lecz kiedy ją zobaczyli, od pierwszej chwili uznali za własną. Stała się tak naturalną częścią ich małej rodziny, że on i Christina odbierali całą tę sytuację jako zupełnie zwyczajną, nie dostrzegali w niej nic niezwykłego, a przynajmniej do dnia, kiedy powiedzieli jej prawdę. Wtedy zrozumieli, że dla Sary przez tę jedną wiadomość zmienił się cały świat.

W jednej sekundzie stała się prawie dorosła. Miała piętnaście lat, czyli była wystarczająco dojrzała, aby się dowiedzieć. Piętnastolatka – ubrana w dżinsy, z dużego miasta, kawka, po kryjomu papierosy – a w następnej chwili znowu dziecko, ta sama mała dziewczynka, która wślizgiwała się do nich w nocy do łóżka, kiedy jeszcze mieszkali w domu, która w piżamie, z radością w oczach i z rękami za plecami składała mu życzenia dziesięć lat wcześniej, gdy obchodził trzydzieste szóste czy trzydzieste siódme urodziny, której obraz na zawsze pozostanie w jego

pamięci jako uosobienie czasu, kiedy wszystko było dobrze.

To była ta sama dziewczynka. Starsza, a jednak wcale nie.

Dorośla, ale niewystarczająco.

Kiedy powiedzieli jej przy kuchennym stole, siedząc naprzeciwko niej, z sekundy na sekundę zmienili się w obce istoty, w dwoje wielkich kłamców, którzy wpatrując się w nią, łgali, pocieszali i twierdzili, że ją kochają, a między nimi rozwarła się gigantyczna przepaść nieznanej rzeczywistości, przepaść istniejąca cały czas, której ona nigdy dotąd nie zauważała.

Jej oczy zmieniły kolor. W głębi były wciąż zielone, lecz jednocześnie zaciągnęły się czernią, która miała już nigdy nie zniknąć. Potem wstała zza stołu, nie mówiąc ani słowa, i ta chwila wyryła szeroką linię w poprzek rzeczywistości, linię, której nikt już nie był w stanie przekroczyć.

To był chyba początek. Początek wszystkiego, co miało nastąpić, kula śnieżna puszczona w ruch, która rosła i rosła, aż wreszcie William znalazł się w łazience i leżał nieruchomo w wannie przy muzyce szmerzącej do wtóru ciepłej wody leżącej się z kranu.

Może.

Nigdy nie zrozumiał jej reakcji.

On i Christina czuli się jej rodzicami i dla nich zupełnie nic się nie zmieniło. Dla nich świat pozostał taki sam jak wczoraj, przed tygodniem czy kiedykolwiek wcześniej. Ale dla Sary wszystko się zawaliło.

Stojąc tutaj teraz, William to rozumiał.

To tak, jakby komuś wprost oznajmić, że jego życie tak naprawdę nie należy do niego. Jakby ktoś właśnie się dowiedział, że został wyrwany z jakiejś rzeczywistości, pochodzi zupełnie skądinąd i oto w rezultacie nie wie, kim jest ani skąd jest, ani co ze wszystkiego naokoło niego jest takie, jak mu się wydawało.

Materiał genetyczny człowieka. Pełen informacji.

Jego własny materiał genetyczny i Christiny, i Sary, mimo że nie była ich biologiczną córką, i faceta o byczym karku, i Connorsa, i Franquina, i dzieci w parku, i babci w pobliskim kiosku, i całego świata, to te same zakodowane teksty. Tylko po co?

Przymknął oczy, odwrócił się od okna, usiłował odsunąć od siebie gorączkowe myśli.

Chciał zachować ostrość widzenia, sceptycyzm, niedowierzenie.

Skąd, zadawał sobie pytanie, może wiedzieć, że to prawda?

Skąd wiadomo, że to nie wymysł? Że to nie kłamstwo?

Skąd mógł mieć pewność, że to nie nowa zasłona dymna, żeby przeszkodzić mu w zrozumieniu czegoś zupełnie innego?

Nie mógł mieć takiej pewności. Usiadł z powrotem na łóżku. Próbował na nowo

odtworzyć wczorajszy dzień.

Przed wszystkim nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wciąż nie powiedziano mu wszystkiego. Że ciągle pozostały pytania, na które nie otrzymał odpowiedzi.

Na przykład wirus.

Istnieje wirus, to prawda, tyle mu potwierdzili, i to stworzony przez nich samych, który niedawno zabił kobietę ze szklanej skrzyni. Tylko pytanie: dlaczego?

I co to za wirus?

Do czego był potrzebny?

I jaki to ma związek z pismem klinowym, z kodami, które miał odczytać, z DNA człowieka? Z całym tym zadaniem, dla którego się tu znalazł?

Podniósł się z łóżka. Wziął sobie kilka owoców ze stolika, nalał kolejną filiżankę kawy. W jego toku myślenia są luki, lecz on sam nie potrafi ich wypełnić. Musi się dowiedzieć, co jest w informacjach, musi się dowiedzieć, co one znaczą i czego się obawiano, no i co zamierzano osiągnąć przez to, że pomoże im zakodować odpowiedź.

Luki.

Jest tylko jedna osoba, która mogłaby naprowadzić go na to, jak je wypełnić.

Nie miał co do tego wątpliwości, że oni zrobią wszystko, żeby się z nią nie spotkał.

William właśnie zdążył wziąć prysznic i się ubrać – włożył białą koszulę, świeże dżinsy i lekką, ciemną marynarkę – kiedy jego osobisty ochroniarz otworzył drzwi z wyczuciem czasu zbyt dobrym, by uznać to za zbieg okoliczności. Prawdopodobnie obserwowano go także wewnątrz pokoju.

– Zaraz idę – oznajmił William oschłym tonem, aby zaznaczyć, że wolałby sam odpowiadać za swoje godziny pracy i że nie potrzebuje być eskortowany z jednego pokoju do drugiego każdego ranka przez resztę swojego życia czy jakkolwiek długo zamierzają go tu trzymać. – Znajdę drogę.

Ale ochroniarz potrząsnął głową.

– Connors chce z panem rozmawiać.

I nie ruszał się z miejsca.

William popatrzył na niego przez chwilę. Wypił ostatni łyk kawy i odstawił filiżankę, dając do zrozumienia, że jest gotowy.

On też chętnie porozmawia sobie z Connorem.

Wyszli razem na kamienny korytarz i po chwili zniknęli w zimnej gmatwaninie przejść.

Janine obudziła się, ale niemal w tej samej sekundzie ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie.

Znała je aż nazbyt dobrze i dlatego musiała walczyć z wewnętrznym impulsem, który podpowiadał jej, aby przewróciła się na drugi bok, zasnęła z powrotem, uciekła od tego przekłętą zamku i zostawiła to wszystko.

Zmusiła się jednak i usiadła na brzegu łóżka. Wyprostowała plecy. Byle nie położyć się znowu. Podnieść się i pójść do łazienki. Małymi kroczkami. Myśleć do przodu.

Stała pod prysznicem i odkręciła wodę, najpierw lodowatą, żeby się otrzeźwić, a potem tak gorącą, jak tylko się dało wytrzymać, aż wreszcie ustawiła na normalną przyjemną temperaturę, dzięki której ciało powoli wychodziło z szoku.

Ale nie ona.

Poprzednim razem pomogła jej wyjść z depresji Helena Watkins.

Bez niej nie dałaby sobie rady.

To Helena pozwoliła jej zobaczyć kody, chociaż nie powinna była, to ona opowiedziała o punkcie pocztowym w piwnicy i wsunęła jej kartę zbliżeniową pod drzwi tamtej nocy; Janine nie potrafiła wtedy zrozumieć, co się dzieje, teraz natomiast pojmowała aż za dobrze.

Helena wiedziała za dużo. Nie ma innego wyjaśnienia. Stała wtedy na korytarzu i ostrzegała ją przed rzeczami, których nie dawało się ogarnąć umysłem, mówiła o jakimś planie B, który właściwie nazywał się inaczej, i była rozdrażniona, zestresowana, nie do poznania. Bała się, co zamierza zrobić Organizacja. A teraz już nie żyje i nie pomoże Janine, jeśli ona znowu się załamie.

Nie wolno jej się poddawać.

Powinna być czujna, nieugięta i dalej walczyć.

Oboje ich nakryto, owszem, ale to tylko przejściowa porażka. Wszystko tutaj, wmawiała sobie, jest przejściowe. To jedynie pewna faza w jej życiu, niedługo wróci do Amsterdamu i do Alberta, do jazdy na rowerze pod wiatr i do wszystkiego, co nazywała codziennością i na co może wtedy narzekała, ale czego teraz właśnie brakowało jej bezgranicznie.

O ile się orientowała, jej list jest już w drodze. I ten fakt powinien przepelniać ją nadzieją, więc zmuszała się, by udawać przed sobą, że tak jest. On na pewno zrozumie, co napisała, domyśli się, gdzie się znajduje; a to, co dzieje się z nią teraz, nie ma nic wspólnego z listem.

To była reakcja, ale przejściowa.

Przesłuchiwali ją do godziny drugiej i czuła, że wciąż jeszcze nie skończyli, mimo że przerwali, aby pozwolić jej odpocząć. Nie złamali jej jednak. Mówiła logicznie, wyraźnie i stanowczym tonem, a oni nie są w stanie ustalić, co odkryła, dopóki sama im nie powie.

A tego nie zrobiła.

I to dawało jej przewagę.

Powinna ją wykorzystać, a potem pojawi się Albert i znowu wszystko będzie dobrze.

To jedyne możliwe rozwiązanie. Wszystko musi być znowu dobrze.

Kiedy dziesięć minut później wyszła spod prysznic, zmęczenie minęło.

Małe kroczki.

Pierwszy, który powinna wykonać, to postarać się porozmawiać jeszcze raz z Williamem Sandbergiem.

To była całkiem długa przechadzka.

Ochroniarz prowadził go przez kamienne korytarze, te same, które parę dni temu próbował sam zlustrować, a potem dalej, obok okazałych schodów, które widział z daleka mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu, ale nie zdążył do nich dojść, bo Janine wepchnęła mu szmatę w usta i kazała być cicho.

Następnie otworzyły się przed nimi kolejne korytarze, szerokie, o wysoko sklepionych sufitach, oświetlone żyrandolami z kutego żelaza rozwieszonymi w jednakowych odstępach, i już na długo przedtem, nim się zatrzymali przed ciężkimi drewnianymi drzwiami, zdał sobie sprawę, że zamek musi być jeszcze większy, niż sobie wyobrażał.

Kiedy ochroniarz nacisnął klamkę i dał Williamowi do zrozumienia, że ma wejść do środka, on nie mógł uwolnić się od pytania, *jak* duży.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, było kaplicą kościelną mogącą pomieścić ze sto osób, jeśli nie więcej. Ceglane półokrągłe sklepienie rozpościerało się wysoko nad jego głową, ręcznie malowane i odpadające miejscami freski ciągnęły się na ścianach nad rzędami wysiedzianych drewnianych ławek aż do ołtarza w głębi, skąpanego w przytłumionym świetle padającym od tyłu z ogromnych witrażowych okien zwieńczonych łukami.

Ochroniarz wskazał mu gestem, aby poszedł do przodu. Sam zaczekał w wejściu, aż William znajdzie się w połowie kaplicy, po czym się wycofał i zamknął za sobą ciężkie drzwi z odgłosem, którego echo nie chciało długo zamilknąć.

Na ławce na przedzie siedział Connors. Wzrok miał uniesiony ku kolorowym witrażom i jedynie przelotnie rzucił okiem na Williama, gdy ten usiadł obok niego.

Było to osobliwe miejsce na spotkanie.

Mimo to William rozumiał, dlaczego generał je wybrał.

– Nie jestem wierzący – oznajmił.

– Ja też nie – odparł Connors.

Siedzieli tak przez chwilę. W milczeniu, słuchając jeszcze echa własnych słów błąkających się jako szorstkie szepty pod sklepieniem, dopóki i one nie przycichły i nie zniknęły na dobre.

– Jak minęła noc?

William wzruszył ramionami.

– Łóżko jest tak wygodne, że nie sposób na nim nie zasnąć.

Connors się uśmiechnął. Dobra odpowiedź. Znowu skierował spojrzenie ku barwnemu światłu.

– Nie, nie, nie jestem wierzący – powtórzył. – Jestem myślący.

William nic nie powiedział.

– Jest coś kojącego w tym miejscu. Kiedy pierwszy raz tu przyszedłem, znajdowałem się dokładnie w tym samym punkcie co pan teraz, jakby ktoś zabrał mi wszystko, w co wierzyłem, i potrząsnął tym jak pamiątką w kształcie kuli, którą można kupić na każdym lotnisku świata, ze śniegiem opadającym w środku na Big Bena, Tadź Mahal czy co tam jeszcze. Moje myśli wirowały w kółko jak tamte sztuczne płatki, nie potrafiłem żadnej pochwycić czy choćby śledzić, dokąd biegnie, bo jedna gubiła się w drugiej, i jedyne, co mogłem zrobić, to czekać, aż opadną z powrotem, aż nastanie spokój i będzie można spróbować zrozumieć, co się widzi.

Odwrócił się do Williama, który pokiwał głową. Tak, to prawda. Właśnie w identycznym stanie on znajduje się teraz.

– Przesiadanie tutaj zwykle mi pomagało. Cisza. Bezruch. Światło.

Przerwał na chwilę, po czym dodał:

– I poczucie, że ludzie poszukiwali odpowiedzi we wszystkich epokach. My nie jesteśmy pierwszymi, którzy nie rozumieją.

My.

William odnotował to słowo, ale nic nie powiedział. „My”, jakby byli teraz zespołem, jakby stali przed wspólnym problemem, dysponując jednakowymi przesłankami i jednakową wiedzą. To oczywiście była jedynie pusta gadanina, i dlatego postanowił zareagować.

– Oczywiście macie rację – kontynuował William. – Bywałem w podobnej sytuacji. Kazałem ludziom pracować dla mnie, nie mówiąc im wszystkiego. Dostawali swoją część zadania do wykonania, a moja praca polegała na tym, żeby wszystkie te kawałki złożyć w całość.

W powietrzu wisiało jakieś „ale” i Connors cierpliwie na nie czekał.

– Zastanawiam się tylko, czy nie byłbym bardziej przydatnym idiotą, gdybyście pozwolili mi poznać cel, dla którego tu pracuję.

Generał znowu popatrzył przed siebie, nie spieszył się i pozwalał mijać kolejnym sekundom, prawdopodobnie, żeby zyskać na czasie i zastanowić się, co ma powiedzieć, albo by po prostu odzyskać przewagę i dać Williamowi do zrozumienia,

że to on, generał, kieruje tą rozmową, a nie ktoś inny.

W końcu chyba uznał, że już wystarczy. Odchylił połę marynarki, wyjął kopertę i podał ją Williamowi.

Była to nieduża biała papierowa koperta, standardowej wielkości, zwyczajna, mogąca mieścić wiele rzeczy, począwszy od życzeń świątecznych, a skończywszy na zaproszeniu na ślub. William wziął ją do ręki, świadom, że nie ma w niej ani jednego, ani drugiego.

Jej ciężar go zaskoczył. W środku znajdowała się nie kartka, lecz jakiś przedmiot – płaski i znacznie mniejszy niż koperta; zdawał się przesuwać od brzegu do brzegu, kiedy ją odwrócił i wsunął palec, aby otworzyć niezaklejone skrzydełko.

Jej zawartość znalazła się na jego dłoni.

Niebieski plastikowy prostokąt.

A niech to diabli.

Zbliżeniowa karta magnetyczna.

Spojrzał na Connorsa. Tego się nie spodziewał. Myślał gorączkowo, co ma powiedzieć, nie mógł bowiem pojąć, dlaczego mieliby dać mu właśnie to, bo ten mały prostokątik diametralnie zmieniał jego status, no i co chcieli przez to osiągnąć. Uświadomił sobie, że po raz kolejny potrzęsnęli jego śnieżną kulą. Może właśnie o to im chodziło.

– Chcielibyśmy, by pan czuł – zaczął Connors – że ma pan wszystko, co panu potrzebne, aby nam pomóc. Chcielibyśmy, by pan czuł, że może pan swobodnie zadawać pytania. A my będziemy się starali wesprzeć pana odpowiedziami na tyle, na ile potrafimy.

– Czyli jak bardzo?

– Są pewne granice. Sam pan odkryje, gdzie one przebiegają.

Okej. William skinął głową. Już nic nie powiedział.

Connors zaś nabrał powietrza i zniżył głos. Zanosił się na poważną mowę.

– Nie zamierzam pana stresować. Ale kiedy mówimy, że obawiamy się, co może się wydarzyć, to nie blefujemy. Jest nam potrzebny klucz do kodu. I nie zostało nam wiele czasu.

– Czasu do czego?

– Jak wspominałem, istnieją pewne granice.

William ponownie potaknął. Miał tysiące pytań. A mimo to nie potrafił zadać żadnego.

Może to przez zmęczenie. Lub też jego podświadomość opierała się wszystkiemu. Jakikolwiek był tego powód, nie do końca wiedział, co tak naprawdę go zastanawia. A to najgorsza niewiedza, jaką można sobie wyobrazić.

Jego myśli były zbyt abstrakcyjne, by dało się znaleźć słowa odpowiednie do ich sformułowania, wszystko wydawało się dokładnie tak chwiejne, jak opisywał to

Connors, toteż skoro nawet nie umiał zdefiniować, jakiej odpowiedzi potrzebuje, to nie ma sensu próbować. Jeszcze nie teraz.

Connors przyglądał mu się uważnie. Czekał na pytania, które jednak nie padły.

– Czy jest coś, co chciałby pan wiedzieć w tym momencie? – spytał.

– Kiedy będę mógł się zobaczyć z Janine Haynes?

Pytanie zawisło na chwilę ponad nimi, odpłynęło porwane strumieniem zimnego powietrza między chrześcijańskie symbole pod sufitem i pozostawiło identyczną ciszę, o jakiej mówił Connors, ciszę, która sprawiała, że czas się zatrzymywał i nic się nie liczyło.

To rzeczywiście było kojące.

– Niebawem – odrzekł.

I siedzieli tak przez kilka chwil, upewniając się, czy nie ma już nic innego, co powinno zostać powiedziane, a kiedy nie znaleźli niczego więcej, Connors wyprostował plecy, wstał i minawszy Williama w ławce, skierował się głównym przejściem w stronę wyjścia.

– Jeszcze jedno – rzucił za nim William.

Generał się odwrócił.

– Tak?

– Domyślam się, że ta karta nie pozwoli mi wejść w każde miejsce na zamku?

Connors się uśmiechnął. Był to wesoły uśmiech, szczerą uprzejmość w grze.

– Pan z pewnością nie jest idiotą – rzekł. I dodał: – Ale my też nie.

Po czym ruszył w stronę wysokich drewnianych drzwi, zostawiając Williama samego z obrazem świata, na którego zrozumienie ciągle jeszcze nie był gotów, pośrodku pomieszczenia, gdzie królowała inna wizja.

William wciąż siedział w ławce – nieporuszona czarna sylwetka na tle okna, które powinno było tryskać kolorami, a tymczasem świeciło niczym białe, wybijające się pole na jednym z wielu ekranów w centrum monitorującym, do którego Connors wszedł dwadzieścia minut później. Generał zamknął za sobą ciężkie metalowe drzwi i zajął miejsce obok Franquina.

Obaj ociągali się z rozpoczęciem rozmowy. Jakby sama obecność Williama na ekranie przed nimi oznaczała także, że może ich usłyszeć, jakby każde ich nieprzemyślane słowo czy podniesiony ton pozwoliły mu zrozumieć, że pod powierzchnią czai się konflikt i tylko czeka, by wybuchnąć.

Kiedy w końcu Franquin się odezwał, powiedział cicho i spokojnie:

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Ty wiesz równie dobrze jak ja – odparł Connors.

Franquin nie odpowiedział. Czekał na dalszy ciąg.

– Łapię się ostatniej deski ratunku. Oto co robię.

– Więc mam nadzieję, że wybrałeś właściwą.

Franquin był rozgoryczony. Nie tylko tym, że sytuacja zaczęła im się wymykać spod kontroli, ale także postępowaniem Connorsa, który wybierał własne drogi, własne metody, włączał innych wbrew wszelkim regułom i przepisom, jakie sami stworzyli i przegłosowali. To był błąd i piekielnie źle dobrany moment.

– Ile ona wie?

– Nadal nie są tego pewni – powiedział Connors.

– A jeśli pozwolimy im porównać ze sobą informacje, jakie posiadają? Co się wtedy stanie?

Connors wzruszył ramionami.

– Przecież dopuściliśmy do jej kontaktu z Watkins.

– I co dobrego z tego wyniknęło?

Connors obrzucił go zmęczonym spojrzeniem. Nie miał siły prowadzić znowu tej dyskusji.

– Dlaczego tak się boisz, że oni zrozumieją?

Franquin odwrócił się w jego stronę. Czy to nie jest oczywiste? Odezwał się spokojnym i rzeczowym tonem, robił wszystko, aby ukryć irytację.

– Powiedzmy, że Sandberg się sprawdzi. Powiedzmy, że dawne zasady ciągle coś dla niego znaczą, choć dobrze wiemy, w jakim jest stanie, bo przecież próbował ze sobą skończyć. Ale załóżmy, że potrafi dochować tajemnicy. – Spojrzenie prosto w oczy Connorsa. – Tyle że jest jeszcze Haynes.

– No tak. Ale czy ja cię o to pytałem?

Connors pokręcił głową, jakby sam sobie odpowiadał, i powtórzył również opanowanym tonem:

– Czego się tak boisz?

Franquin się nie odezwał. To retoryczne pytanie, bo przecież Connors doskonale wie, na czym polega niebezpieczeństwo.

– Że ona opowie? O to chodzi? Że ją wypuścimy, a ona wypaple światu, co wiemy?

Franquin wciąż nie odpowiadał. To oczywiste, że właśnie tego się obawiał. Tego i jeszcze paru innych rzeczy, które w konsekwencji by nastąpiły.

– Wobec tego uważam, że boisz się nie o to, co trzeba – rzekł Connors. Po czym uzupełnił: – Jeśli kiedykolwiek ją wypuścimy, to będzie znaczyło, że wszystko minęło. Dlatego ja się tego nie boję.

Franquin westchnął. Pokręcił głową. I wreszcie odpowiedział:

– Dlaczego ja się boję? – powtórzył. – Z jednego jedyne powodu. Dlatego, że nasz największy wróg ma na imię „panika”. I dlatego, że jeśli jest coś, czego chciałbym uniknąć...

- Nie sądzisz, że już trochę na to za późno?
 - Ja nie jestem fatalistą, Connors. A ty?
- Connors milczał.
- Jeśli któryś z nas nim jest, to chyba nie najlepsza pora, aby to ujawniać.

Siedzieli obok siebie. I nic nie mówili.

Zabrnęli w ślepią uliczkę. W ślepią uliczkę, w której już byli i z której jedynym sposobem wydostania się jest milczenie. Omijali się wzrokiem aż do chwili, gdy poczuli, że to przekłete poczucie zablokowania minęło.

- Sandberg dostał klucz – poinformował w końcu Connors.
- Franquin wiedział, co on ma na myśli. Nie ma odwrotu. Będzie co ma być.
- Trzeba tylko mieć nadzieję, że nie zrozumieją, o co chodzi.
 - Może... – rzucił Connors.

Spojrzał na Franquina.

Nie powinien.

Nie mógł jednak się powstrzymać, by nie dodać:

- I to jest chyba jedyna nadzieja, jaką mamy.

Mężczyzna, który siedział samotnie za szybą ciasnej salki konferencyjnej i patrzył przed siebie, znacznie schudł od ostatniego razu.

Wtedy był postawny i wysportowany w sposób, który nie do końca odpowiadał wyobrażeniu, jak powinien wyglądać profesor archeologii, a jego wylęknione i zmęczone oczy jakby na przekór losowi wydawały się też żywe, czujne i pełne energii.

Albert van Dijk postarzał się o dziesięć lat, chociaż od ich ostatniego spotkania minęło zaledwie kilka miesięcy. Miejsce humoru, który wtedy mimo wszystko go nie opuszczał i kazał mu cały czas pokrywać swoje zatroskanie osobliwą autoironią, teraz zajęły wycieńczenie i smutek, a nerwowa ruchliwość, każąca mu siedzieć niespokojnie za stołem po drugiej stronie, wyrażała raczej desperację niż nadzieję.

Inspektor Neijzen z wydziału amsterdamskiej policji w dzielnicy Centrum przyglądał mu się z daleka, czekając jednocześnie, aż automat do kawy wyrzuci z hukiem dwa kubki bezwartościowej uprzejmości niebędącej ani kawą, ani espresso, tylko jakimś byle czym pomiędzy, niedającym nikomu specjalnego zadowolenia.

Ledwie łapał oddech. Co nie było niczym wyjątkowym, ale raczej regułą; przestał się ważyć przy stu czterdziestu ośmiu kilogramach, a sądząc po sygnałach protestu wysyłanych przez kolana i stawy, jego ciężar od tamtej pory zmienił się w równie niewielkim stopniu jak jego nawyki żywieniowe.

Lecz to nie dlatego nie mógł złapać tchu. Po prostu bardzo się spieszył. Był w swoim letnim domku, kiedy zadzwoniła sekretarka i powiedziała, że w salce jest młody mężczyzna i nie chce rozmawiać z nikim innym, tylko z nim.

Czyli van Dijk tkwi tutaj już prawie od piętnastu godzin. Przespał się na tym samym krześle, na którym siedzi teraz i na którym usiadł, kiedy się pojawił na komendzie wczoraj po południu. Sądząc jednak po jego wyglądzie, nie jest wcale pewne, czy spał.

Szkoda mu było tego chłopaka – nic nie mógł na to poradzić, że tak czuje. Wiedział, że nie powinien angażować się osobiście, współczucie w niczym nie pomagało, ale sposób, w jaki ten młody profesor zmagał się z całą tą sytuacją, nie pozwalał mu pozostać obojętnym. Z wrzeszczącymi, rozhisteryzowanymi ludźmi, którzy bez żadnych zahamowań wyrzucali z siebie lęki i pomstowali na policję, władze i dowolne siły boskie, że nic nie zrobiły, nie miał najmniejszego problemu. Albo z takimi, którzy płakali i obwiniali siebie samych, albo nagle milkli, popadali w zadumę i tracili energię, i wyglądali tak, jakby już nie żyli. Takie okazy potrafił

obserwować chłodno i z dystansu, bo przez lata zdążył się nauczyć, że tak się zachowują ludzie w stresie. Cokolwiek ich dotknęło, oczywiście należy im współczuć, ale takie jest życie.

Van Dijk natomiast był rzeczowy. Rzeczowy i zdystansowany. Po prostu dzielny.

Co oczywiście niczego nie zmieniało.

Przepadła bez wieści jego dziewczyna.

Siedem miesięcy temu.

I już się nie pojawił.

– Spał pan trochę? – spytał na wstępie Neijzen, kiedy wcisnął się już w kurczącą się coraz bardziej przestrzeń między krzesłem a biurkiem, po czym sapiąc ciężko, postawił przed młodym mężczyzną jeden z parujących kubków z kawą. Przemknęło mu przez głowę, że właściwie przydałyby mu się oba.

– Od wczoraj? Czy od ostatniego razu, kiedy się widzieliśmy?

Zmęczone spojrzenie. Ironia pozbawiona uśmiechu.

– Przyjechałem najszybciej jak mogłem – powiedział Neijzen, nie ciągnąc tematu.

– Jestem panu wdzięczny – rzekł Albert. I powtórzył znowu: – Chciałem z panem porozmawiać.

Neijzen potaknął. Jego sekretarka jasno dała mu to do zrozumienia. Na miejscu było co najmniej pięciu jego kolegów, którzy mogliby się zająć van Dijkem znacznie szybciej niż on, ale cokolwiek się zdarzyło, widocznie powierzenie tego komu innemu było niemożliwe.

– Proszę mówić – poprosił Neijzen.

Albert odchrząknął. Wyjaśnił, że oczywiście wie, iż policja odłożyła sprawę na półkę. Neijzen wziął głęboki oddech, aby zaoponować, lecz Albert go powstrzymał i ze szczerym spojrzeniem oznajmił, że w pełni rozumie, dlaczego tak uczyniono. Jak długo można kontynuować poszukiwania, jeśli wszystkie znaki wskazują, że ona wyjechała z własnej woli; przecież fakt, że jakiś zraniony facet protestuje i nie chce uwierzyć, iż został porzucony, to za mało.

Zdawał sobie sprawę, że policja nie jest w stanie już nic zrobić. Postanowił trzymać się z boku, nie chciał dawać im okazji, by się nim zmęczyli, był zdecydowany nie kontaktować się z nimi, dopóki nie wydarzy się coś ważnego.

– I właśnie coś takiego się stało? – spytał Neijzen.

Albert potaknął.

– Zawsze mówiłem, że ona zniknęła pod przymusem.

– I my panu wierzyliśmy. Jednak to nic nie pomogło. Cokolwiek pan twierdził, nic nie wskazywało na to, że miał pan rację.

– Wiem – przyznał Albert. – Ale teraz mogę to udowodnić.

Po ostatnim słowie Neijzen się ożywił.

Udowodnić? Naprawdę? Udowodnić?

– A dlaczego pan tak uważa? – spytał.

– Bo wiem, gdzie ona jest.

Neijzen przyjrzał mu się uważnie.

Pochylił się do przodu.

Płyn, który nie był ani kawą, ani espresso, stał nietknięty obok niego tak długo, że w końcu nie nadawał się już do picia.

Janine Charlotta Haynes popatrzyła na niebieski kawałek plastiku w swojej dłoni.

A potem na mężczyznę siedzącego naprzeciwko.

Nie spodziewała się, że go jeszcze zobaczy, więc kiedy jednak do tego doszło, miała w głowie tylko jedną myśl. To test. Jaki, tego nie wiedziała. Nie wątpiła jednak ani przez chwilę, że tak jest.

– Musimy przestać się spotykać w ten sposób – oznajmiła, nawet nie starając się uśmiechnąć.

Mężczyzna o byczym karku, który kiedyś twierdził, że nazywa się Roger, a teraz podawał się za Martina Rodrigueza, a w gruncie rzeczy mógł się nazywać, jak tylko sobie życzył, podniósł na nią wzrok. Niewzruszone spojrzenie, przenikliwe oczy, ale gdzieś w głębi jakby przebłysk czegoś więcej. Współczucia?

Raczej wykluczone, uznała w duchu.

– Domyślam się, że miałaś długą noc – powiedział.

– Taką jak zawsze – odrzekła. Jakby miała trzynaście lat, jakby jedyną bronią, po jaką mogła sięgnąć, było sterowanie tempem rozmowy i jakby zamierzała używać tej broni tak często jak to tylko możliwe.

– Wytrzymasz jeszcze kilka pytań?

– To zależy – odparła. – Czy to ty je będziesz zadawał, czy ja.

– Spróbuj – rzucił.

– Co zrobiliście z Heleną? – spytała.

– Z Watkins?

– Jeśli jest tu więcej Helen, to ja ich nie spotkałam.

Jego uśmiech zniknął, a twarz stała się równie beznamiętna jak ton głosu, i w tym momencie Janine uzmysłowiła sobie, że rozmawiają prawie tak samo jak wtedy, kiedy spotkali się pierwszy raz – identyczna gra, identyczne wybiegi, by raczej odpowiedzieć pytaniem, niż udzielić jakiegokolwiek informacji.

Tyle że teraz nie kryła się za tym żadna przyjemność.

– Była nieostrożna – oznajmił byczy kark.

– Czy to groźba?

- Nie, stwierdzenie.
- A między jednym a drugim jest jakaś różnica?
- Dosyć konkretna.

I na tym skończył. Teraz jej kolej.

Jednak ona nie była zainteresowana, czuła się zmęczona tą grą i pokręciła głową. Chciała w ten sposób dać do zrozumienia, żeby powiedział jej, po co tu przyszedł.

- Mam za zadanie przekazać ci dwie rzeczy. Po pierwsze, poprosić cię, żebyś opowiedziała wszystko, co wiesz.

Nie chciała być niemiła, ale ta prośba ją zirytowała.

- Wiesz co? - zaczęła. - Siedzę tu już od siedmiu miesięcy. Nie robię nic innego, tylko bez przerwy składam sprawozdania z tego, do czego doszłam. A jeśli ty odgrywasz choćby najmniejszą rolę w tym wszystkim... A może jednak nie, może ty masz do roboty wyłącznie sprowadzanie tutaj ludzi i trzymanie ich w zamknięciu... Ale jeżeli mimo wszystko coś tu znaczysz, to wiesz równie dobrze jak ja, że jedyne, czym się zajmuję od czasu, kiedy się tutaj znalazłam, to czytanie, interpretowanie, tłumaczenie i przedstawianie sprawozdań. To, co wiem ja, wiecie także wy. Nie ma w tym nic skomplikowanego.

Zamilkła. Powiedziała to wszystkim podniesionym głosem, słowa płynęły z niej same, były w nich gniew i irytacja, ale także coś jeszcze.

To manewr odwracający uwagę. Nie zdradziła wszystkiego. To, co tylko przeczuwała, wołała zachować dla siebie.

Martin Rodriguez pokręcił głową. On nie o tym mówił.

- Rozmawiałaś z Williamem Sandbergiem.

- Krótko.

- Jak długo?

- Chyba wiecie to lepiej ode mnie. Bo zakładałam, że doskonale się orientujecie, przez które drzwi razem z nim przeszłam i o której godzinie?

Potaknął. To oczywiste.

- Więc jak długo rozmawialiśmy? - spytała.

- Na tarasie byliście niecałe dwanaście minut.

- No widzisz. A ile twoim zdaniem da się powiedzieć w takim czasie?

- Właśnie to mam ustalić.

Spojrzała na niego i demonstracyjnie westchnęła. Nie była ani odrobinę zadowolona z tej rozmowy.

- A numer dwa? - rzuciła. Byle tylko przejść dalej.

- To znaczy?

- Powiedziałeś, że masz dwie rzeczy.

I nic więcej nie dodała, dając mu jasno do zrozumienia, jak ocenia sprawność kogoś, kto gubi się przy liście składającej się z dwóch punktów.

– Po drugie – odezwał się, unosząc głos, aby przejąć kontrolę nad rozmową – po drugie, mam cię zaopatrzyć w to, czego potrzebujesz do swojej pracy.

A to co znowu znaczy? Janine zawahała się. Najpierw klucz. Teraz to.

– Czyli na przykład w co?

– To ja ciebie pytam. Czego ci potrzeba?

– Ale co masz na myśli? Długopisy? Papier? Książki? Internet?

– Internetu nie mogę zaoferować. Ale poza tym – wszystko, czego sobie życzysz.

– Wobec tego – odparła – opowiedz mi, co to są za teksty, które dostałam.

– Przecież wiesz, że nie mogę.

– Więc co obejmuje to „wszystko”, o którym mówisz?

Bezradne westchnięcie i ruch głową wyrażający zniecierpliwienie, że ta rozmowa wciąż jeszcze się nie skończyła.

– Jeśli mam być absolutnie szczery, to wcale mnie to nie cieszyło, że ściągnęliśmy cię tutaj w taki sposób. *Nikt* z nas tutaj się z tego nie cieszy, mogę ci to zagwarantować. Ale znajdujemy się – zrobił pauzę, aby znaleźć odpowiednie sformułowanie – w określonej sytuacji politycznej. I w konsekwencji do niektórych informacji nie możesz mieć dostępu.

– Czyli mam rozwiązać zagadkę, nie znając całego zadania.

– Dostałaś tyle, ile trzeba.

– Poza kontekstem.

– On nie jest interesujący.

Popatrzyła na niego.

Spoglądała długo.

A potem zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

– Dwa pociągi wyjeżdżają z Londynu w kierunku Brighton, jeden o godzinie czternastej, drugi o godzinie czternastej dwadzieścia. Jeden jedzie z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, drugi – stu pięćdziesięciu. Jaka dzieli je odległość o godzinie trzeciej?

To wszystko.

Obrzucił ją pytającym spojrzeniem, spodziewając się dalszego ciągu, ale ona skończyła. I czekała. Wiedziała, że on wreszcie nie wytrzyma i ostatecznie zada pytanie:

– Jak to?

– *Kontekst* – powiedziała. – Co ci przyjdzie z tego wszystkiego bez kontekstu?

Szukał odpowiedzi, ale jeszcze nie przyszła kolej na niego, żeby zabrać głos:

– Jeśli masz tylko abstrakcyjne wartości i nie wiesz, jak je ze sobą połączyć, to nie uda ci się nic rozwiązać, bo nie masz pojęcia *dlaczego*. Właśnie z tego powodu wszystkie podręczniki na świecie podsuwają małe scenariusze: *Wszystko się ze sobą wiąże*. Rozwiązanie wynika z całości.

– Niewątpliwie. Ale tej całości nie możemy dalej...

– Skoro tak – przerwała mu ostrym tonem – skoro nie wolno mi poznać przesłanek, to *jak* mam wykonać zadanie?

Odczekał chwilę.

A potem, jakby to było najbardziej oczywiste na świecie, rzekł:

– Sto dwadzieścia razy jeden minus sto pięćdziesiąt razy czterdzieści podzielić przez sześćdziesiąt.

Spojrzała na niego. Dał sobie radę szybciej, niż sądziła.

Równanie, które mu podsunęła, można było wyliczyć bez problemu.

Cyfry, ale wyrwane z kontekstu.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, ale twoje zadanie nie jest trudniejsze od tego. Kontekst nie ma tu nic do rzeczy. To mogą być Londyn i Brighton, a równie dobrze Ziemia i Księżyc albo dwa ślimaki idące po trawniku. Obraz całości to nie twoja sprawa. Daliśmy ci odpowiednie elementy, a ty masz pomóc nam je złożyć. Z całym szacunkiem.

Obrzucił ją niemal oskarżycielskim spojrzeniem.

– Dwadzieścia – powiedział. – Odpowiedź brzmi: dwadzieścia.

Uniosła jedną brew. Ledwie zauważalnie, lecz on to dostrzegł i zrobiło mu się przykro. Nie chciał jej pouczać, ale w końcu sama go do tego sprowokowała.

– Nie musisz wiedzieć, czy to jest pociąg. Nie musisz wiedzieć, czy chodzi o kilometry, nie musisz też wiedzieć, czy chodzi o odległość. Twoja robota to przeczytać teksty, które ci dajemy, przetłumaczyć je, każdy po kolei, i dać nam rozwiązanie. Niezależnie od kontekstu.

Rozłożył ręce. Zgadza się? Tak czy nie? Rozumiemy się?

Niech ci będzie, odpowiedziała wzruszeniem ramion. Nie mieli już ze sobą o czym rozmawiać.

– Czyli zakładam, że akurat teraz nic więcej nie jest ci potrzebne.

– Przeciwnie – rzekła. – Chcę porozmawiać z Williamem Sandbergiem.

Podniósł na nią wzrok.

Po jego spojrzeniu spodziewała się „nie”.

– Do czego wykorzystasz klucz, to twoja sprawa.

To ją zastanowiło. Próbowwała popatrzeć mu w oczy, nie wiedziała, jak ma interpretować jego słowa. Czy to żart? Ale on wstał i ruszył w stronę masywnych drewnianych drzwi.

Pozwoliła mu iść spokojnie jedną sekundę. I jeszcze jedną.

– Szkopuł w tym... – odezwała się za jego plecami.

Miał już rękę na klamce.

Odwrócił się.

W jej głosie była energia, w spojrzeniu opanowanie, jakby upajała się tą ciszą,

która zawisała w powietrzu, zanim zaczęła mówić dalej. O co znowu chodzi?

– Szkopuł w tym, że odpowiedź brzmi: zero.

O czym ona mówi?

– Z Londynu do Brighton jest dziewięćdziesiąt kilometrów. O godzinie trzeciej oba pociągi byłyby już na miejscu, sprzątaczkę ruszyłyby do roboty i opróżniały kosze, a pasażerowie zmierzaliby do swoich hoteli. Odległość między pociągami wynosi zero.

Zawiesiła głos. Wzrok miała niewzruszony. Upajała się tą chwilą.

– Tak właśnie bywa, jeśli nie uwzględniamy całości. Jeśli patrzymy tylko na detale i nie bierzemy pod uwagę tego, jak one wyglądają w otoczeniu. Wtedy lądujemy w rowie. Niezależnie od tego, za jak niesłychanie mądrych i wyjątkowych się uważamy.

Rodriguez stał w miejscu, nic nie mówiąc.

– Z całym szacunkiem.

Nie uciekała spojrzeniem. Jest ich więźniem, to prawda, lecz nie zamierza pozwolić im myśleć, że są od niej mądrzejsi. Znalazła się tutaj przecież dlatego, że ma wiedzę i umiejętności, których oni nie mają, a skoro nie może zrobić nic innego, to przynajmniej musi im o tym przypominać. To jedyna władza, jaką posiada. I zamierza używać jej tak często, jak tylko się da.

Rodriguez nie powiedział ani słowa.

Minęła sekunda. Dwie.

Kiedy w końcu oderwał od niej wzrok, lekko się uśmiechnął.

– On jest w kaplicy – rzekł. – Mam wrażenie, że nie muszę ci pokazywać, jak tam trafić.

Oddech Neijzena był tak głośny, że zagłuszał nawet hałas kserokopiarki stojącej przed nim, przeciągły szum, kiedy bęben ze skanerem przesuwiał się nad szybką i oświetlał centymetr po centymetrze list rozłożony pod plastikową pokrywą.

Jego dłonie drżały, ale nie od kawy. Kawa stała nadal nietknięta na stole, a naprzeciw niej siedział wciąż – oby tak było – van Dijk. Neijzen miał długą listę spraw do załatwienia, a niecierpliwy narzeczony, który deptałby mu po piętach, to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował.

A więc dziewczyna przysłała list.

Młody mężczyzna opowiedział mu o tym z rozgorączkowaniem bijącym ze zmęczonych oczu. Neijzen ogarnęło współczucie. Wiedział, jak powinien zareagować. Przygotował sobie najbardziej współczujący wyraz twarzy, gotów z lekko przekrzywioną głową rzucić przed siebie to samo, co już tyle razy mówił

osobom w podobnej sytuacji:

– Świat jest pełen chorych ludzi – powinien powiedzieć. – Wszyscy o tym wiemy i nikogo to nie dziwi, ale *skali* – szczególnie zaakcentowałby to słowo – *skali* tego zjawiska nie da się przewidzieć. Nawet nie przypuszczałem, że może być aż taka, dopóki nie zacząłem tu pracować.

Po czym zacząłby opowiadać, ile to razy w czasie swej kariery był zmuszony zniszczyć nadzieje bliskich tylko dlatego, że jakiś idiota przeczytał o ich nieszczęściu w gazecie i przysłał list rzekomo naprowadzający na ślad zaginionej osoby albo wymyślone zeznanie świadka czy wręcz twierdził, że jest tym, kogo oni szukają.

Normalnie powiedziałby coś takiego, a potem byłby zmuszony stwierdzić, że mają tu do czynienia z kolejnym przypadkiem tego rodzaju. Tymczasem jednak spojrzął na żółtą kopertę, którą wręczył mu Albert van Dijk, i okazało się, że tym razem nic nie pasuje do jego standardowej opowieści.

Przede wszystkim od razu zauważył, że koperta została ostemplowana przez cyfrową maszynę frankującą.

I że obok grubych cyfr informujących o cenie i dacie znajdowała się też nazwa miejscowości. Berno. Napisana cienkimi, prostymi literami.

Neijzen wziął list, otworzył go i wyjął trzy gęsto zapisane kartki.

Kobięcy charakter pisma. Albert dał mu znak głową, że ma przeczytać.

Przeczytał. Jeszcze raz. I jeszcze raz.

Albert się nie odzywał. Tylko czekał.

A Neijzen czytał znowu. Po raz czwarty. Uważnie.

– Nie rozumiem – powiedział potem.

Albert był na to przygotowany. On też najpierw w ogóle nic nie zrozumiał. Stał przed wejściem do swojego instytutu na terenie uniwersytetu, czytał list raz za razem od początku do końca i nie pojmował.

Nie ulegało wątpliwości, że list napisała ona. Bo tylko ona mogła go zaadresować do Emanuela Sphynxa. Poznawał jej starannie kreślone litery, takie same, jakie często widział na samoprzylepnych karteczkach odkrywanych w nieoczekiwanych miejscach; ironiczne i zaskakujące zapiski najchętniej zostawiała w jego notesach z wykładami, co powodowało, że stojąc w audytorium pełnym studentów, nagle uśmiechał się jak półgłówek i czuł się wyjątkowo głupio, na co ona właśnie liczyła. W całym liście kryło się wiele odniesień do ich wspólnych przeżyć, nawiązań do tajemnych miejsc, w których byli, do rzeczy, które razem widzieli, i do zatrucia, jakie im się przydarzyło po zjedzeniu suszonej szynki ze sklepu za rogiem, tej, która zalatywała benzyną, ale według starego sprzedawcy tak właśnie powinna była pachnieć.

Oprócz tego nic. Ani słowa o tym, gdzie się znajduje, jak jej szukać, co robi. Tylko że bezgranicznie za nim tęskni. No i ta wyliczanka rzeczy, które razem robili. Trzy

kartki wypełnione starannym charakterem pisma Janine, jedyny list po siedmiu miesiącach milczenia. I nie zawierał niczego poza dawnymi wspomnieniami?

W końcu go olśniło.

– To jest cholernie, wręcz dziecinnie proste – powiedział do Neijzena.

Stał na dziedzińcu uniwersyteckim i czytał list po raz n-ty, aż wreszcie zadał sobie pytanie. Po co to wyliczanie? Miejsc, przedmiotów, potraw i innych rzeczy? I właśnie w tamtym momencie zrozumiał, i zapragnął mocno przytulić Janine.

Sala wykładowa. *Tamten* dzień. Ich dzień.

Siedzieli obok siebie, wymyślali nazwiska i skróty, chichotali i zachowywali się jak dzieci, i wtedy powstał Emanuel Sphynx, który stał się ich częścią.

Skróty. Absurdalne skróty jednego pojęcia za drugim, które wykładowca stojący na katedrze wyrzucał z siebie jak katarynka. To o nich chciała mu przypomnieć i dlatego uszeregowała słowa w ten sposób. Usiadł zatem na kamiennych schodach do swojego instytutu, przeczytał list powtórnie i wyniósł z niego całkiem nową wiadomość, a w głębi ducha poczuł, że kocha Janine jeszcze bardziej.

– Poddaję się – powiedział Neijzen.

– Niech pan weźmie wszystkie rzeczowniki. Wszystkie nazwy, miejsca, rzeczy. Pierwsze litery.

– Żartuje pan?

Albert wzruszył ramionami. Neijzen zaczął czytać od początku. I z minuty na minutę czuł, jak robi się zupełnie pusty w swej stuczterdziestośmiokilowej powłoce, jakby ktoś otworzył całe jego ciało jak szafę i zastąpił wnętrzności zimnym powietrzem.

Jako kod było to przerażająco proste.

Jednak on na to nie wpadł.

W przeciwieństwie do Alberta, któremu udało się wykonać zadanie.

Przeliterował pierwszą stronę dwa razy, aby się zorientować, gdzie ma odgraniczać słowa i zdania. Nie były długie. Ale pełne treści.

– Co... ja... widzę... – wydukał wreszcie.

Albert skinął głową. Dalej.

– Zamek. Jezioro alpejskie. Wysokie góry. Brak śniegu.

Tyle dało się wyczytać z pierwszej strony. Neijzen spojrział na Alberta. Jako informacja miało to niezbyt wielką wartość.

– To może być niemal wszędzie.

Albert pokręcił głową.

– To może być w wielu miejscach, ale na pewno nie wszędzie.

Neijzen potaknął, ale nic nie powiedział. Van Dijk i miał rację, i jej nie miał. Prawdopodobnie istnieją setki albo i więcej zamków położonych nad alpejskimi jeziorami, a gdyby nawet sprawdzić sytuację meteorologiczną i ustalić, które góry

w ich pobliżu nie są jeszcze pokryte śniegiem, to i tak byłoby ich za wiele, aby uzyskać jakiś konkretny kierunek, gdzie mogliby zacząć szukać.

Albert też zdawał sobie z tego sprawę. Ale skinął na niego, aby przeczytał do końca.

– Zostały jeszcze dwie strony.

Okej. Neijzen odwrócił kartkę, przesuwając wzrokiem po tekście, zatrzymując się znowu na wszystkich rzeczownikach. Co jakiś czas unosił palec do góry, nie chciał robić na oryginale żadnych notatek, co utrudniało mu zadanie, lecz zbyt mu zależało na szybkim odszyfrowaniu treści, by tracił czas na wychodzenie z salki i robienie kopii.

– Nazwiska... ja... słyszę... – powiedział w końcu. – Connors. Franquin. Helena Watkins.

– Musimy ich poszukać – rzucił Albert. – Connors, Franquina, Heleny Watkins. Może są w rejestrze przestępców, rejestrze firm, sam nie wiem. To pana zadanie. Ale chyba da się do nich jakoś dotrzeć, prawda?

– Na pewno możemy spróbować – odparł inspektor.

Albert z wdzięcznością kiwnął głową. Czekał, podczas gdy Neijzen odwrócił kolejną stronę.

Zaległa cisza.

Przekaz zawarty na trzeciej kartce był dziwny.

– To... ja... wiem.

Albert potaknął.

Neijzen przeczytał jeszcze raz. I jeszcze raz.

Albert milczał. Czekał. Domyślał się, co sądził Neijzen. I mógł się tylko z nim zgodzić: to nie jest mądre. To wręcz niewyobrażalne, nie do pomyślenia, że właśnie takie słowa są ukryte w liście od kogoś, kogo się znało, nie, kogo się *kochało* i kto właściwie o tej porze powinien był znajdować się w mieszkaniu, a może nawet w łóżku, nie wiadomo dlaczego nie mając zamiaru wstać i wyjść, mimo że się zadzwoniło i powiedziało, która jest godzina. Tak to powinno wyglądać, ale jest inaczej, i choć trudno w to uwierzyć, nie da się tego zmienić.

Neijzen odchrząknął. Niskim głosem odczytał powoli:

– Kody w piśmie klinowym – a po chwili: – DNA. – I jeszcze: – Śmiertelny wirus.

Potem zamilkł.

Jeszcze raz złożył razem ostatnie litery.

Albert już wiedział, co jest na końcu, miał łzy w oczach, kiedy Neijzen spojrział na niego.

Odczytał ostatnie słowa.

– Odszukaj mnie.

Neijzena obowiązywały procedury, których niezwykle skrupulatnie przestrzegał.

Teraz stał przy kserokopiarce i czekał, aż maszyna wypluje pachnący ozonem egzemplarz listu do ciemnoszarego pojemnika tuż przed nim.

Był profesjonalistą. W ciągu wielu lat swojej pracy prowadził rozmaite przypadki zaginięć – ta sprawa niczym nie różni się od innych, wmawiał sobie; nie ma powodu, aby się gorączkować, stresować czy ulegać entuzjazmowi van Dijka.

To on jest tutaj profesjonalistą i to on wie, co trzeba zrobić.

Pochylił się do przodu, splótł dłonie pod brodą i przez chwilę jego krótkie palce zwisały niczym splecione parówki dokładnie w tym miejscu, gdzie powinna była znajdować się szyja, gdyby w jego przypadku głowa nie była bezpośrednim przedłużeniem tułowia. Doskonale wiedział, że nie jest to powabna poza, ale miał to gdzieś.

Wszystko, co powiedział do tej pory, było prawdą od początku do końca.

Ale została mu do oznajmienia jeszcze jedna rzecz i zdawał sobie sprawę, że to będzie kłamstwo.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją znaleźć – oświadczył.

Patrzył przyjaźnie na Alberta, para pełnych empatii oczu w ciebie, które się poddało, skapitulowało, z każdym mijającym dniem było coraz bardziej zmęczone i purpurowe, może dlatego, że nienawidziło tego, czym się stało, i postanowiło ukarać go w ten sposób.

Kilkakrotnie kiwnął głową, aby podkreślić, ile znaczy jego „wszystko”.

Po czym odchylił się do tyłu, gotów się podnieść, z listem i kopertą w ręku.

– Zaraz wracam – powiedział. – Tylko zrobię kopie.

I teraz stał tutaj.

Ciężki oddech.

Niech diabli wezmą jego ciało. Niech diabli wezmą jego kondycję i niech diabli wezmą lekarzy z przychodni, którzy mają rację, ale przede wszystkim niech diabli wezmą Janine Charlotte Haynes i ludzi z tej przeklętej organizacji – nie wiadomo co to za jedni – którym wyraźnie nie udało się przeszkodzić jej w wysłaniu listu, i teraz ich problem wylądował na jego biurku.

Lista kroków do przedsięwzięcia była długa.

W skrytości ducha liczył na to, że Albert van Dijk nie ma pojęcia, jakie to kroki.

Bo to piekielnie by utrudniło jego najbliższe posunięcie.

Wybór stroju zajął Leo piętnaście minut, ale gdy tylko znalazł się na chodniku, od razu pożałował swojej decyzji.

Marynarka.

Włożył marynarkę. Powinien był stuknąć się w głowę czymś ciężkim.

Miał dwadzieścia cztery lata i nigdy nie ubierał się inaczej niż w bejsbolówkę, T-shirt i znoszone džinsy. U podstaw wyboru tego stylu leżała niechęć do prasowania, w konsekwencji czego nie posiadał w swojej szafie niczego, co by wymagało użycia żelazka.

A teraz, wystrojony w marynarkę, wręcz nienawidził samego siebie. Chodziło o to, aby się domyśliła, że zrobił to dla niej. Niewykluczone jednak, że wcale się tego nie domyśli, ale on i tak będzie przekonany, że jest inaczej, i przez to znowu się pogubi, no i w ogóle. Taksówka wyjechała właśnie zza rogu Bondegatan, prawdopodobnie więc zdążyła go już zauważyć. Dlatego chociaż czuł się podle, nie mógł wrócić na górę i się przebrać.

Christina Sandberg zadzwoniła do niego na komórkę kilka minut po piątej rano. Głos miała wyraźny i przytomny – przypuszczalnie była na nogach od dobrych kilkunastu minut albo w ogóle nie spała. Oznajmiła mu, że wstąpi po niego dokładnie za dziesięć szóstą, następnie poinformowała, co powinien zapakować, i zaraz się rozłączyła.

Leo wyskoczył z łóżka, popędził pod prysznic i zanim stanął w kabinie z pianą na głowie, uzmysłowił sobie, że jest już całkiem rozbudzony i na dodatek się spieszy.

Normalnie ubrałby się w te same rzeczy co dzień wcześniej. Włożył jednak świeże džinsy i ciepły T-shirt z długimi rękawami bez żadnych nadruków, a wtedy pojawiło mu się w głowie to pytanie i od tamtego momentu wszystko potoczyło się źle. W co są zwykle ubrani dziennikarze? Dziennikarze, którzy wyjeżdżają za granicę?

Odpowiedź brzmiała: w marynarki.

Trochę się zawahał. Czy on rzeczywiście jest dziennikarzem? Ale po chwili powiedział sobie, że jeśli on sam nie zdobędzie się na to, żeby uważać się za dziennikarza, to na pewno nigdy nim nie zostanie, i dlatego w końcu wybrał marynarkę, no i teraz czuł się raczej jak idiota.

Taksówka zatrzymała się tuż przed nim. Ciche kliknięcie i drzwi otworzyły się same, prawie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – zobaczył Christinę na wpół leżącą na tylnym siedzeniu, więc to ona wyciągnęła rękę, by sięgnąć do klamki, i pchnęła drzwi. Obrzuciła go ostrym spojrzeniem – pospiesz się, zdawała się mówić.

Usiadł obok niej. Auto skręciło w kierunku Folkungagatan, a potem sunęło dalej na północ przez martwy poranek.

Co jakiś czas mijali jedynie taksówki. Tysiące prawie niewidzialnych ziarenek wczesnego śniegu szybowwały pod ulicznymi latarniami przez kilka burzliwych chwil w bladożółtym świetle, po czym znikwały z powrotem w ciemności.

Odgłos opon na zimnym asfalcie. Szum wycieraczek. Silnika.

– Złapała go pani? – spytał.

Christina pokręciła głową.

– Zostawiłam wiadomość jego asystentowi. Zadzwońię jeszcze raz, zanim odlecimy.

– Czyli pani nie wie... że on tam jest... albo czy...

Christina zamknęła oczy.

Bolała ją głowa, od kiedy wróciła z redakcji do domu, i sytuacji bynajmniej nie poprawił fakt, że zdrzemnęła się zaledwie godzinę na kanapie. Ani że obok niej siedzi teraz praktykant i krytykuje jej decyzję, ani że na dodatek musi sama składać sobie w całość strzępy jego zdań, jeśli chce go zrozumieć.

– Ale wiem, że nie mamy Bóg wie ile czasu – powiedziała. – Ta twoja holenderska studentka zniknęła już pół roku temu.

Spojrzał na nią. *Twoja* holenderska studentka? Co to ma niby być? Czy ona dawała mu właśnie kredyt zaufania, aby ją znalazł, czy też próbowała zrzucić z siebie część odpowiedzialności?

– Nie chcę, żeby William musiał czekać tak długo.

I na tym skończyła. Wyglądała przez okno. Wsłuchiwała się w odgłos silnika, podczas gdy taksówka skręciła na Centralbron. Patrzyła na światła Sztokholmu odbijające się za oknem w Riddarfjärden. Jeszcze za wcześnie na lód.

– Mogę coś powiedzieć? – spytał znowu Leo.

Odwróciła się w jego stronę. A czy można cię powstrzymać? – pomyślała.

– Pani nie robi tego dla ciekawego tematu. Pani to robi, bo pani ciągle ma nadzieję, że się wam uda.

Oznajmił to zadziwiająco bezpośrednio i bez nieporadnego szukania słów, bez najmniejszego zająknięcia, na co ona wlepiła w niego oczy. Ból głowy przerodził się w irytację. W irytację z powodu tego, że asystent ma czelność oceniać jej decyzję, wmawiała sobie, a nie dlatego, że udało mu się ją przejrzeć.

– Jesteśmy dziennikarzami – odrzekła. – A dziennikarze zawsze węszą. To byłby wielki zawodowy błąd, stracić taką okazję.

Jasne, jasne, mówiły oczy Leo. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który sprawił, że Christine nie czuła się zbyt komfortowo.

– Nie sądzę jednak, żeby zawodowy obowiązek kazał zakładać coś, czego nie nosiło się przez ostatnie sześć miesięcy.

Od razu wiedziała, do czego zmierzał. Mimo to powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

W dół, w kierunku swoich kolan, ku lewej dłoni spoczywającej na spódnicy.

Ku obrączce.

Tak, założyła ją na palec.

Może ten gówniarz ma rację.

Czy nie mogła podjąć decyzji, nie mieszając go do tego?

– Studia dziennikarskie, pierwszy rok – zaczęła. – Powiedział mi to jeden z moich pierwszych profesorów. I pamiętam to do dziś.

Ciekawe. Leo się nie odzywał, wiedział jednak, że cokolwiek teraz padnie z jej ust, nie będzie to nic miłego, mimo wszystko był świadom, że przyjmie to ze spokojem. I pozwoli jej mieć ostatnie słowo.

– Jeśli masz coś ważnego do powiedzenia, napisz to. – I po krótkiej pauzie dodała: – I nie gadaj tyle.

Odwróciła od niego głowę, wsunęła lewą dłoń pod torebkę i nie odezwała się już ani słowem podczas reszty drogi na lotnisko Arlanda.

Leo obserwował przez okno mijaną okolicę. Uśmiechnął się, lecz starał się za wszelką cenę, aby ona tego nie zauważyła. Złośliwa z niej diablica. Uważał, że to zabawne.

Christina Sandberg też nie mogła się powstrzymać.

Uśmiechnęła się.

Będzie z niego świetny dziennikarz.

Była bardzo zadowolona, że wzięła go ze sobą do Amsterdamu.

William Sandberg siedział w głębi kaplicy, jakby na kogoś czekał.

Słońce przesunęło się w inne miejsce i malowało rzędy ławek różnymi kolorami. William w samym środku tej poświaty wyglądał jak wykładowca na tle nieostrej prezentacji w PowerPointcie.

Być może to wystrój pomieszczenia kazał jej się zatrzymać.

A może poczucie, że znajduje się w części zamku, do której zaledwie kilka dni wcześniej musiała uciekać – cicho, ostrożnie i pod osłoną nocy.

Tak czy inaczej Janine przystanęła tuż za drzwiami i znieruchomiała, mimo że niczego bardziej nie pragnęła, niż zacząć rozmawiać, nerwowo opowiadać, co wie, żeby porównać to z tym, czego on się dowiedział.

Aby zrozumieć, dlaczego się tutaj znaleźli. Albo raczej wymyślić, jak mogliby się stąd wydostać.

Poszła w jego stronę, usiadła po drugiej stronie przejścia, zwrócona ku niemu,

na samym skraju ławki.

– Mówią, że dobrze się czujesz – zaczął William.

– W takim razie nie mogę zaprzeczyć – odparła.

Posłała mu w odpowiedzi coś w rodzaju uśmiechu. Wyglądał na zmęczonego i prawdopodobnie rzeczywiście tak się czuł. Znowu zapadła cisza.

– Musimy się pospieszyć – rzuciła.

Chciała go ponaglić, ale nie stresować. Na którejś kondygnacji tych spiętrzonych kamieni, gdzieś wysoko nad nimi, William miał swój pokój. I właśnie tam, jeśli jest tam wszystko, czego się spodziewała, powinna się znajdować odpowiedź na pytania, nad którymi łamała sobie głowę.

– Co ty wiesz? – spytał.

– Nie jestem pewna, czy wiem w ogóle cokolwiek.

Pokiwał głową. Czyli tak jak on.

Na chwilę zatrzymał w płucach powietrze, był już prawie gotowy do rozmowy, ale zamiast coś powiedzieć, oparł się plecami o tył ławki i spojrzał przez ramię w stronę wyjścia.

Jakby nadal nie czuł się bezpieczny. Jakby się obawiał, że ogromne drzwi mogą otworzyć się gwałtownie w każdej chwili i do środka wtargną ochroniarze z wyciągniętą bronią, wywloką ich stąd, zamkną i będą przesłuchiwać, żeby ustalić, co oboje zdążyli sobie powiedzieć.

Jednak nic takiego się nie stało.

W ogóle nic się nie działo.

Była jedynie cisza, kolory i ich dwoje – żadne z nich nie wiedziało, od czego zacząć.

– AGCT – odezwał się wreszcie.

Zaskoczony zauważył, że się uśmiechnęła.

– Myślałam, że nie zauważyłeś – rzuciła.

– Od jak dawna wiesz?

Zastanowiła się chwilę. Pokręciła głową. We wszystkim, co jej mówili, począwszy od pierwszego dnia, chodziło o to, by przekazać jej jak najmniej informacji.

Ona ma rację. Wiedziała tyle, co nic.

– Jesteś sumerologiem – powiedział. To nie było pytanie, bo przecież doskonale pamiętał, że to jej specjalność, ale od czegoś trzeba zacząć, więc dlaczego by nie od tego.

Potaknęła. To dobry punkt wyjścia. Uporządkowała szybko myśli – chciała przekazać mu wszystko, czego potrzebował, aby zyskał orientację bez zagłębiania się w szczegóły.

Zaczęła od nowa. Od detali, które pominęła podczas ich dwunastu minut wtedy na tarasie.

Obudziła się w fantastycznym łóżku, tak samo jak William. Została zaprowadzona do gigantycznej sali, usłyszała krótkie wprowadzenie na temat organizacji, kodów i pisma klinowego – wszystko odbyło się superszybko: na dzisiaj dziękujemy. Potem pokazali jej pokój do pracy, w którym stały jej własne rzeczy i czekały na nią. Książki, publikacje, komputery i literatura źródłowa, niemal identycznie ustawiona jak na biurku w domu – wraz z nimi znalazła się tutaj, a nikt nie chciał wyjaśnić dlaczego.

Zaczęli od dawania jej krótkich tekstów.

Pojedyncze rzędy pisma klinowego, które miała odczytać, przetłumaczyć i przekazać im efekt swojej pracy.

Faktem jest, że z naukowego punktu widzenia czuła się podekscytowana.

To były najstarsze teksty, jakie kiedykolwiek widziała. Znajdowały się w nich znaki i symbole, na które nigdy dotąd się nie natknęła, całość sprawiała wrażenie nieznanego dialektu albo jakiejś dotąd nieodkrytej językowej odnogi; każdy badacz na świecie uznałby to za naukowy przełom i nie mógłby się powstrzymać przed obwieszczeniem tego całemu światu.

Ale tutaj nikt nie chciał niczego obwieszczać.

I to było niepojęte. Nie, tragiczne. Im więcej nad tym pracowała, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu o niezwykłym i epokowym charakterze odkrycia i tym bardziej rozdzierało jej się serce, że po drugiej stronie tych przytłaczających kamiennych murów nikt nie ma o tym pojęcia.

To nie była nieznana odnoga.

To nie była żadna nowsza odmiana języka sumeryjskiego.

Wręcz przeciwnie.

To było stadium zupełnie początkowe. Teksty, które otrzymywała, okazały się starsze od jakichkolwiek do tej pory znalezionych, nieznane znaki stanowiły prototypy, pierwotne wersje, które dopiero miały być rozwinięte, uproszczone, a niekiedy splecione z innymi lub rozdzielone, miały się zmieniać przez lata ewolucji do postaci spotykanej w najstarszych pismach znanych nauce.

Wszystko wskazywało na to, że ktoś odkrył całkowicie nieznaną cywilizację.

Wcześniejszą od jakiegokolwiek innej.

I Janine nie kryła fascynacji oraz zachwyty, lecz kiedy pytała: co, kiedy, jak i dlaczego, wszyscy ci poważni mężczyźni wokół niej odmawiali odpowiedzi.

William słuchał jej uważnie. Gdy przyszła kolej na niego, zaczął od pytania.

– Czyli twoje zadanie polegało na ustaleniu, co było w tekstach?

Janine potaknęła. Ale jakby z zastrzeżeniem. „Tak” w połowie drogi do „nie”.

– Też tak najpierw myślałam.

William czekał na dalszy ciąg.

– Robili, co mogli, bylebym się tylko nie domyśliła, jaki jest prawdziwy cel mojej

pracy. Teksty, które dostawałam, stanowiły jedynie małe fragmenty dłuższej całości. Dawali mi je nieuporządkowane, nie wszystkie naraz, tylko stopniowo, w równych odstępach czasu, nie wiadomo, czy wyrwane z końca, czy z początku. Niektóre z nich nie były nawet prawdziwe.

William zareagował na to natychmiast.

– Nie były prawdziwe?

– No tak – odparła. – Podrobione.

Wzruszyła ramionami.

– Zajmuję się tym już na tyle długo, że potrafię od razu zauważyć, kiedy ktoś próbuje wyrażać się w języku, który nie jest jego własnym. Mniej więcej podobnie jest z obcym akcentem. Ty jesteś ze Szwecji, Franquin jest Belgiem, Connors – Anglikiem. I niektóre z tamtych tekstów zostały napisane przez osobę żyjącą współcześnie.

– Współczesny profesor Higgins – stwierdził z uśmiechem.

Spojrzała na niego. Nie rozumiała, o czym mówił. William pokręcił głową. Nieważne. Mów dalej.

– Powiedziałam im o tym – rzekła.

– I co się stało?

– Od tamtego momentu moje zadanie się zmieniło. Zaczęli dawać mi krótkie zdania po angielsku, wyrażenia i zwroty, i prosili, żebym przetłumaczyła je na sumeryjski. Większość z tego to były jakieś bzdury. Ale część... – przerwała – ...część znaczyła dokładnie to samo co teksty, które wcześniej przeglądałam.

William przyjrzał się jej uważniej. Natychmiast zrozumiał, co to znaczy.

– Czyli ktoś próbował przetłumaczyć je wcześniej – rzekł. – Ale nie był zadowolony z rezultatu.

Teraz ona przyjrzała się jemu. Miał rację. Właśnie tak było. Nie spodziewała się jednak, że William wpadnie na to tak szybko.

Widząc jej zdziwienie, wyjaśnił:

– Sytuacja podobna do mojej. Ja mam znaleźć klucz do kodu. Bo tym przede mną się nie udało.

– Nie udało się *co*? – spytała.

On był już o krok dalej. Spokojnym głosem odparł:

– Napisanie odpowiedzi.

Powiedział jedynie tyle. Janine spojrzała na niego. Powoli pokręciła głową.

– Odpowiedzi *na co*? – dopytała.

Przez chwilę William siedział w milczeniu.

Prawda jest taka, że nie miał pojęcia. I to mu przeszkadzało. Bo jak odpowiedzieć na tekst zawarty w DNA? Jak odpowiedzieć na wiadomość, jeśli nie wiadomo, kto ją napisał?

O tym nadal nie mówili, teraz był co do tego przekonany, i z każdym nowym pytaniem, które sobie stawiał, nabierał coraz większej pewności.

Zaczął od nowa.

– AGCT – powtórzył. – Co wiesz?

– Tylko to, co usłyszałam od Heleny Watkins. Wróć: co zrozumiałam. Czyli że teksty są ukryte w kodzie genetycznym i że gdzieś znajduje się wirus, wirus, który...

Przerwała. Nie była pewna, gdzie przebiega granica, gdzie kończy się wiedza, a zaczynają spekulacje; znowu podjęła wątek, teraz wolniej, jakby chciała się przysłuchiwać własnym słowom, kiedy je wypowiadała:

– ...który jest wyjątkowo zaraźliwy i prawdopodobnie, chociaż tego nie jestem pewna, *prawdopodobnie* zawiera kody, i... zostanie wykorzystany do czegoś tam. Mogę jedynie zgadywać. To wszystko, co wiem.

Niepokój w jej oczach zaskoczył go.

– Nie mam nawet pojęcia, co to za ludzie, dla których tu pracujemy. Czy pomagamy im w czymś dobrym, czy wręcz przeciwnie.

Czuł się zaskoczony, ponieważ sądził, że ona wie więcej.

A w gruncie rzeczy wiedziała równie mało co on do poprzedniego wieczoru.

I nagle zrozumiał, że to jest teraz jego zadanie: opowiedzieć Janine wszystko, co usłyszał wczoraj od Connorsa. Ma zburzyć jej dotychczasowy obraz świata i zastąpić go nowym, by w jej głowie zrodziły się zaskakujące pytania, na które nie będzie potrafił udzielić odpowiedzi, te same, które odbijały się echem w nim samym i nie pozwoliły mu zmrużyć oka przez większą część nocy.

To jest teraz jego zadanie i powinien wykonać je w tym momencie.

Westchnął głęboko.

Spojrzał jej prosto w oczy. Zniżył głos.

I poprosił o wybaczenie za to, czego za chwilę miała się dowiedzieć.

Janine przyjęła informację z nieskończenie większym opanowaniem niż on dzień wcześniej. Siedziała w ławce ze wzrokiem utkwionym w nim tak uporczywie, że niemal mógł widzieć, jak jej myśli przemieszczają się z miejsca na miejsce i są segregowane niczym skrzynie w magazynie, i jak ona sama czeka, aż zobaczy je wyraźnie, robi wszystko, by nie ulec panice i emocjom oraz temu, przez co William już przeszedł.

Od czasu do czasu zadawała pojedyncze pytania – na niektóre potrafił odpowiedzieć, na inne nie.

– To wszystko, co wiem – powiedział. – A najlepsze jest to, że nawet nie jestem pewny, czy to prawda. Z jednej strony, to trzyma się kupy, ale z drugiej...

Wzruszył ramionami.

Z drugiej strony, czegoś brakuje.

Siedzieli znowu w milczeniu, mijała minuta za minutą.

Kiedy w końcu Janine się odezwała, panowała już nad swoim głosem. Brzmiał rzeczowo. Niemal oficjalnie.

– Ściana Heleny Watkins – powiedziała. – Orientujesz się, gdzie ona jest?

– Przypuszczam, że teraz to jest moja ściana.

Kiwnęła głową. Spojrzała na niego.

– Muszę ją zobaczyć.

W samochodzie, który stał przed wejściem do czynszowej kamienicy, było coś szczególnego i to sprawiło, że Albert van Dijk przystanął po drugiej stronie ulicy.

Czuł się zmęczony. Siedział na biurowym krześle od wczorajszego przedpołudnia, ale był zbyt roztrzęsiony i głowę miał zbyt zajęta myślami, by zdać sobie sprawę, że jego organizm domaga się snu; w końcu zjawił się inspektor Neijzen i teraz, kiedy wreszcie wszystko opowiedział, jakby uszło z niego powietrze.

Oczy niemal same mu się zamykały, jego ciało potrzebowało i odpoczynku, i jedzenia. Pragnął jedynie wrócić do domu i dać mu jedno i drugie, obojętne w jakiej kolejności – pewnie naraz.

A mimo to zwrócił uwagę na ten samochód.

Może dlatego, że stał zaledwie kilka metrów od jego drzwi. W tamtym miejscu nie wolno parkować, wiedział to na pewno, bo tego samego dnia, kiedy się tutaj wprowadził, dostał mandat za wynajętą ciężarówkę, która właśnie tam się zatrzymała z jego meblami – wtedy postanowił, że nie sprawi sobie auta, dopóki będzie mieszkał i pracował w mieście, i nie żałował swojej decyzji.

Może to dlatego.

A może dlatego, że samochód wyglądał, jak wyglądał.

Czarne audi. Kto w jego domu jeździ czarnym audi albo miewa gości, do których ono mogłoby należeć, gości tak ważnych, że samochód postawiono przy samym wejściu na klatkę schodową, prawie na chodniku i ścieżce rowerowej, mimo że tuż za rogiem są o wiele odpowiedniejsze miejsca do zaparkowania.

Albert van Dijk zastanawiał się.

Światło na przejściu zmieniło się na zielone i ludzie wokół niego przechodzili przez ulicę w jedną i w drugą stronę, tłum głów, które co chwilę przesłaniały mu czarne audi przy krawężniku przed jego domem.

Ale on stał dalej. Światło przełączyło się na czerwone.

Sięgnął do kieszeni po komórkę, udawał, że sprawdza wiadomości tekstowe i szuka na murze tablicy z nazwą ulicy, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje, i dlatego ma pełne prawo stać w miejscu, mimo że pojazdy, które przed chwilą zatrzymały się na czerwonym, już przejechały i piesi wokół niego zaczęli przebiegać chyłkiem przez ulicę, nie czekając na odpowiednie światło.

Aha, zdawał się mówić, zerkając na mur za swoimi plecami. Korte Marnixstraat. Aha. Numer dwa.

Grając dalej sam przed sobą tę małą komedię, jednocześnie próbował wypatrzeć więcej szczegółów, które wskazywałyby na to, że z tym samochodem rzeczywiście

jest coś nie tak. Niby wszystko wyglądało normalnie, auto było duże, chyba model dla dyplomatów, ale brakowało tabliczek korpusu dyplomatycznego i przydymionych szyb.

Jedno z przednich kół stało częściowo na chodniku, z oponą rozplaszczoną na krawężniku, krzywo i nieelegancko zaparkowane, jakby ktoś porzucił je w pośpiechu. Komu się aż tak spieszyło, że nie pojechał pięćdziesiąt metrów dalej i nie zatrzymał się w bardziej odpowiednim miejscu? O godzinie wpół do jedenastej przed południem?

Na skraju przejścia przez ulicę znowu zebrało się sporo ludzi. W głębi ducha miał nadzieję, że żaden z jego sąsiadów nie zauważył, że tu sterczy. Prawdopodobnie od razu wyciągnęliby wniosek, że już do końca postradał rozum. I pewnie potraktowaliby go tak, jak zwykle traktuje się osoby bezpowrotnie stracone – zaczęliby przemawiać do niego delikatnie: „Pan mieszka tutaj niedaleko. Poznaję pan tę ładną czerwoną kamienicę? Z białymi oknami? Mamy przeprowadzić pana przez ulicę?”.

Ale nikt do niego nie podszedł, nikt go nie zauważył ani nie próbował mu pomóc. I właśnie gdy powiedział sobie, że jest przewrażliwiony, i już miał zamiar ruszyć na drugą stronę jezdni, wtedy zauważył tych czterech mężczyzn.

Jeden stał za szybą w drzwiach na jego klatce schodowej. Drugi był przy rynnie na granicy z następnym budynkiem, oparty o ciemny mur i z komórką w dłoni, a dwaj kolejni tkwili na przeciwległych rogach ulicy przechodzącej w inne ulice, które gubiły się dalej w chaosie zaułków i wody. Jakby po to, żeby uniemożliwić komuś ucieczkę, przebiegło mu przez głowę. Komuś. Może jemu?

Wszyscy czterej mieli krawaty, garnitury i płaszcze, trochę za lekkie jak na tę porę roku, zwłaszcza jeśli się wiedziało, że trzeba będzie spędzić dzień na dworze. Byli chyba w średnim wieku, w każdym razie starsi od niego, choć nie miał co do tego pewności. Z tej odległości nie mógł zobaczyć ich twarzy, a nie chciał się w nich intensywnie wpatrywać z obawy, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę.

Lecz kiedy ich dostrzegł, przestał wątpić. Cała czwórka była równie mocno zajęta udawaniem, że nic nie robi, jak on sam, a ich niefrasobliwe nonszalanckie spojrzenia były równie czujne jak jego.

Coś tu wyraźnie nie grało.

Czuł się jak paranoik.

Nie miał powodu, by się tak czuć, i wstyd mu było za siebie, ale nie potrafił pozbyć się tej myśli.

Obrócił się do tyłu, porównał adres na murze z wyimaginowanym esemesem w swoim telefonie, udał odpowiednio stonowany wybuch wściekłości i zaczął iść z powrotem ulicą, którą – co za dureń ze mnie! – zapędził się za daleko. Był jedynym przechodniem zmierzającym pod adres, którego nie znał. I jeśli tamci czterej po

drugiej stronie ulicy w ogóle go zauważyli, to na pewno już go odfajkowali i stali dalej, czekając na pojawienie się właściwej osoby.

Tak sądził. Lecz ledwie uszedł kilka metrów, usłyszał kroki obok siebie.

– Albert van Dijk? – spytał czyjś głos.

Garnitur. Krawat.

Numer pięć.

Oczywiście obstawili także tę stronę ulicy.

– My się znamy? – spytał Albert i w tej samej chwili ugryzł się w język. Gdyby nie był Albertem van Dijkiem, prawdopodobnie by zaprzeczył.

– Mamy kilka pytań do pana – rzekł mężczyzna.

– Słucham – odparł Albert.

Kręcenie głową.

– Tam czeka samochód.

Kiedy Janine weszła razem z Williamem do jego pokoju pracy, poczuła się tak, jakby ściągała zasłonę z dzieła sztuki, którego jeszcze nikt nie widział.

Oczywiście nigdy czegoś takiego nie robiła, ale domyślała się, że doznanie może być podobne. Doznanie, kiedy patrzy się na kawałek tkaniny narzuconej na obiekt kryjący się pod nią, wznoszącej się tu i ówdzie na wypukłościach rzeźby, posągu czy czegokolwiek innego, niewyraźne przeczucie, że coś tam jest, ale nie można zobaczyć, co przedstawia.

A teraz płótno zostało usunięte.

Po raz pierwszy Janine zobaczyła całość.

Na jednej ścianie widniały wszystkie kody cyfrowe. Były nadal równie niezrozumiałe jak wtedy, kiedy tańczyły jej przed oczami w dużej sali siedem miesięcy temu, gdy po raz pierwszy przedstawiono jej zadanie. A potem, gdy po kryjomu i w zaufaniu pokazała je Helena Watkins, chcąc albo w ten sposób trochę ją ożywić, albo pomóc im w znalezieniu rozwiązania, bądź jedno i drugie.

Na ścianie obok zobaczyła teksty.

Swoje teksty.

Znała je tak dobrze po siedmiu miesiącach pracy nad nimi, że wystarczyło krótkie spojrzenie na dowolną kartkę, aby mogła powiedzieć, na który ze wszystkich wersów właśnie patrzy.

Wersy.

Tak je nazywała, z braku lepszego określenia. Krótkie, zwarte informacje na pierwszy rzut oka mogące znaczyć cokolwiek. Jednak pochodziły z określonego kontekstu, którego powoli zaczynała się domyślać i który ją przerażał, a teraz

nareszcie będzie miała okazję uzyskać potwierdzenie.

Czy tym kontekstem jest ludzkie DNA?

Jeśli tak, przeraziłaby się jeszcze bardziej.

William przyglądał się jej, jak przesuwa się pod ścianą.

– Co widzisz? – spytał w końcu.

Cichym głosem, żeby jej jak najmniej przeszkadzać.

Ugryzł się w język w tej samej chwili, gdy zamknął usta. Ty idioto, powiedział do siebie, przecież doskonale wiedział, co ona teraz przeżywa.

Znajdowała się w takiej samej sytuacji jak on tysiące razy wcześniej. Nie miała czasu na nic innego, była skupiona wyłącznie na własnych myślach. A nie mogło być nic gorszego niż w takim momencie próbować zakłócić czyjąś koncentrację.

Już się nie odzywał.

Ona też nie.

Zatrzymywała się raz za razem, zwracała głowę w jedną albo w drugą stronę. Potem przyglądała się po kolei grupom kartek, wiodła wzrokiem wers po wersie, przechodziła do następnego zbioru. Mijały minuty. William milczał.

– Czekałam na to – powiedziała w końcu.

– Na co?

– Na *uporządkowanie*.

Cofnęła się. Stała w pewnej odległości, patrzyła na szeregi sumeryjskich znaków, obejmowała wzrokiem całą ścianę. Jakby ta ściana w końcu do niej przemówiła, jakby komunikowała się z nią w taki właśnie sposób, do jakiego William próbował ją zmusić przez ostatnie dni, ale bez powodzenia.

Przez krótką chwilę poczuł się samotny. Ściana była wielkim utworem muzycznym, Janine – nauczycielką gry na pianinie, a on – uczniem, który przyszedł na swoją pierwszą lekcję i widzi jedynie niezrozumiałe kropki na liniach, i pomyślał w duchu, że to nie ma sensu, bo on nigdy nie zrozumie, nigdy nie będzie potrafił czytać tego tak jak ona.

Szybko odegnał tę myśl.

– Co to takiego? – spytał.

Powiodła wzrokiem po wszystkim.

Ostatni raz, żeby się upewnić.

Po czym zatrzymała go na nim.

– To jest to, czego się obawiałam – rzekła.

Nic nie mówił.

Janine przygryzła wargi.

Chciała znaleźć odpowiednie słowa.

Zaczerpnęła powietrza.

– To jest oś czasu.

Albert van Dijk poczuł smak krwi w ustach, ale teraz nie mógł się już zatrzymać.

Nie wiedział, ile osób to widziało, nie wiedział, czy ktoś będzie w stanie potwierdzić, że to jego wina, nie miał czasu, żeby się zatrzymać, bo ryzyko, że dowie się tego bardzo szybko, było za duże, czy chciał, czy nie.

To był impuls.

Miał ułamek sekundy, żeby podjąć decyzję, i nadal nie był pewny, czy postąpił słusznie.

Usłyszał samochód za nimi dużo wcześniej, niż go zobaczył, narastający gwizd diesla wdzierający się w uszy; podświadomie zarejestrował, że zbliża się szybko i dodaje gazu, wyraźnie zamierzając zdążyć przed zmieniającym się światłem na przejściu dla pieszych.

Pierwszy odruch podpowiadał mu, że powinien przyspieszyć kroku. Aby dotrzeć na drugą stronę, zanim zostanie przejechany, zostawić autu wolną drogę przynajmniej przez czysty instynkt samozachowawczy, na co prawdopodobnie właśnie liczył kierowca diesla.

Ale w drugim odruchu uznał, że to jego szansa.

Mężczyzna w garniturze wciąż trzymał go mocno za przedramię, na tyle dyskretnie, by nikt tego nie widział, lecz wystarczająco silnie, aby uniemożliwić Albertowi wyrwanie się i ucieczkę. Jego druga ręka spoczywała w kieszeni płaszcza, przypuszczalnie nadal zaciśnięta na pistolecie, którego kawałek niedawno mu pokazał w celu informacyjnym. Żeby przypadkiem nie przyszło mu do głowy nic głupiego.

Albert przyspieszył więc kroku zgodnie z pierwszą myślą.

Ale tylko na początku. Dla zmylenia. Mężczyzna o zdecydowanym uścisku zrobił to samo, dostosował swoje tempo do Alberta, żeby przekroczyć z nim jezdnię ramieniem w ramię, po drugiej stronie zaś pozostałe garnitury opuściły już swoje pozycje, przygotowując się do spotkania ich przy audi.

Albert wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę.

I zdawał sobie sprawę, że ten jedyny moment będzie ukryty w masie niewłaściwych momentów, a jeśli mu się nie uda, może sam odnieść poważne obrażenia albo też nie stanie się nic poza tym, że jego opiekunowie się zorientują, jak bardzo jest zdesperowany. Szczerze mówiąc, nie wiedział, co gorsze.

Nie miał czasu na wahanie.

Samochód był coraz bliżej.

Coraz wyższe obroty.

Jeszcze bliżej.
I wtedy to zrobił.

Niebieskiemu golfowi nie udało się zatrzymać przed przejściem dla pieszych, a potem było już zdecydowanie za późno.

Wtedy przednia szyba została już roztrzaskana przez ciało mężczyzny, który zmaterializował się przed maską samochodu nie wiadomo skąd, zupełnie jakby zatoczył się do tyłu na jezdni wbrew własnej woli, następnie odbił się od auta i przeturlał do tyłu przez dach z głuchymi pacnięciami o cienką blachę, by wylądować bez oznak życia na czarnych, prostych śladach hamowania, które opony pozostawiły na asfalcie po desperackiej próbie stanięcia w miejscu.

Mężczyzna nie miał szans.

Garnitur, który zaczął dzień świeżo wyprasowany i elegancki, teraz był brudny i umazany błotem, ręce i nogi leżały zgięte pod kątami tak dziwnymi, że niczyje ciało nie ułożyłoby się dobrowolnie w taki sposób, a gdy przechodnie z pobliskich chodników podbiegli z pomocą, ujrzeli martwą twarz i oczy tępo wpatrzone w rosnącą kałużę krwi.

– On go popchnął – powiedziała dwudziestokilkuletnia kobieta.

Pod pachą trzymała podręczniki uniwersyteckie. Śmiertelnie wystraszona tym, co przed chwilą zobaczyła, nie mogąc złapać tchu, rozglądała się po ludziach, których nie знаła.

– On popchnął go pod samochód.

– Kto? – spytał któryś z przechodniów. – Widziała go pani?

Kobieta skinęła głową.

– To chyba był mój profesor archeologii.

Drugi raz w ciągu jednego dnia William poczuł się tak, jakby jego ciało było jakąś pustą w środku skorupą. Stał i patrzył.

Patrzył na kartkę trzymaną w dłoni.

To ona mu ją podała, ten sam skrawek papieru, który pokazała mu wtedy na tarasie, ten z sumeryjskimi znakami. On niczego nie zrozumiał, a ona nie zdążyła wyjaśnić.

Miał go znowu w ręce, a Janine stała przed nim i czekała, żeby coś powiedział.

On jednak nie miał nic do powiedzenia.

Przymknął oczy. Usiłował sterować swoimi myślami, lecz nagle przestał mieć nad nimi kontrolę.

To nie mogła być prawda.

To nie mogła być prawda, ponieważ to niemożliwe.

Nie. Poprawka. To nie mogła być prawda, ponieważ to po prostu...

– Co masz na myśli? – spytał.

To było kilka minut wcześniej, ale czas nic tu nie znaczył.

Wtedy ona jeszcze nie dała mu tej kartki, a on jeszcze miał poczucie względnej równowagi oraz nadzieję, że nie otworzy się już więcej otchłani.

Poczuł się bezradny i spytał ponownie.

– Co masz na myśli z tą osią czasu?

Odpowiedziała. Kalendarz. Rzeka. Schemat.

William pokręcił głową zniecierpliwiony, oświadczył, że doskonale wie, co to jest oś czasu, wielkie dzięki, po chwili jednak poczuł się niezręcznie i przeprosił ją za ten wybuch. Lecz ona go rozumiała. Czowała się równie bezradna.

Wskazała na grupki kartek na ścianach.

Wypisane sumeryjskie wersy.

– Nigdy ich w takiej postaci nie widziałam – wyjaśniła. – Ale sam dobrze wiesz, jak to jest, kiedy człowiek szuka logiki. Jak próbuje sam budować konteksty. Jak zaczyna podejrzewać, że musi istnieć jakaś całość, że dostał jedynie kawałki puzzli, które powinny do siebie pasować i ułożyć się w coś, tyle że nie wiadomo w co, bo nigdy nie widział klucza. Rozumiesz?

Potaknął.

– Najpierw to był tylko eksperyment myślowy. Co się okaże, jak przeczytam to razem z tym? Albo to z tamtym? No wiesz. Jakie wyniknie z tego znaczenie?

Zniżyła głos.

– Po jakimś czasie zauważyłam, że zdecydowanie za dużo wydaje mi się... – zaważała się – ...znane. Jakbym to już gdzieś widziała. I im więcej fragmentów udawało mi się składać, tym bardziej było to widoczne, więc uznałam, że to przypadek, że to *musi* być przypadek.

Zamilkła. Spojrzała na niego. Zamierzała wyjaśnić.

– Trzeba wiedzieć – zaczęła znowu – że sumeryjski był najpierw językiem obrazkowym. Żadnych zdań, żadnej gramatyki, same symbole, układane jeden nad drugim w ten sposób, że reprezentują różne pojęcia i jedno słowo może mieć wiele znaczeń. Czyli zawsze istnieje pewien procent niepewności. Ale nawet uwzględniając tę niepewność...

Jej spojrzenie dopowiedziało resztę: niezależnie od tego, jak bardzo się starała odczytywać teksty w inny sposób, i tak dochodziła do tych samych rezultatów.

– Co ustaliłaś? – spytał.

Janine spojrzała na długie rzędy symboli wokół nich.

Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć.

– Każdy tekst to rodzaj wiersza.

Zawahała się znowu. Spróbowała inaczej.

– Podsumowanie. Nie. Opis.

W jej oczach było widać ogromne skupienie, jakby bardzo zależało jej na tym, by to, co mówi, zapadło w niego głęboko, a on tylko na nią patrzył i dochodził do wniosku, że na razie nic zupełnie w niego nie zapadło.

– Ale czego? – rzucił. – Podsumowanie czego?

I wtedy to powiedziała.

– Decydujących momentów w dziejach ludzkości.

Zapadła cisza. Na długo.

A potem on zrobił się zły, po chwili znowu spokojny, a jeszcze później ogarnęła go frustracja. Bo nie rozumiał, co ona ma na myśli, albo może rozumiał, tylko mu się nie podobało to, co zrozumiał, i poprosił ją, żeby mu wytłumaczyła, więc ona starała się jak mogła.

Podeszła do ściany. Wskazywała i demonstrowała. Zatrzymywała się przy starannie wybranych wersach, pojedynczych liniijkach, które wybijały się ze swoich sekwencji, opowiadała, co oznaczają dane znaki, i jak ona je rozumie.

Trudno było jej zaprzeczyć.

Ludzie, miasto blisko rzeki. Budują. Spiczaste domy, grobowce dla królów.

W grę mogło wchodzić tylko jedno. Piramidy.

Szczury. Choroba. Zaraza, śmierć, szerzy się.

Dżuma.

Księżyc. Trzech mężczyzn, duży statek, długa podróż.

– Chyba nie muszę wyjaśniać ci więcej, prawda?

Podsumowała. A potem czekała.

Jednak on nie chciał jej wierzyć.

To niedorzeczne.

I próbował ją przekonać, że się pomyliła, że chociaż uważała się za osobę otwartą i krytyczną, dokonała określonej interpretacji i na niej się zatrzymała, nieświadomie postanowiła wczytać wydarzenia historyczne w to, co widziała, dokonała projekcji swojej wiedzy na wersy, sądząc, że przeprowadziła analizę w czystej postaci, podczas gdy wcale tak nie było.

Na co ona odkrzyknęła:

– Usiłujesz mi powiedzieć, że siedziałam tu przez siedem miesięcy i nie próbowałam sama kwestionować tego, co robię?

Popatrzył na nią.

Na ułamek sekundy stracił grunt pod nogami, bo dostrzegł w niej coś, na co nie był przygotowany.

Temperament. Temperament, który mógł mu przypominać tylko jedną, jedyną

osobę.

Zmusił się, aby o tym nie myśleć, właśnie sam popełnił błąd, jaki jej zarzucał: przyobekł doznane wrażenie w swoje dawne doświadczenia, tymczasem Janine nie miała nic wspólnego z nią; jedynie w jego myślach było inaczej.

Zaczął ważyć własne słowa.

Oczywiście nie twierdził, że nie jest krytyczna. Ale jemu też się kilkakrotnie zdarzyło, że formułował teorie za wcześnie, a potem robił wszystko, aby dopasować do nich całą resztę – zamiast działać odwrotnie.

– Jesteś tak samo zawiedziona jak ja – powiedział. – Dostaliśmy za zadanie rozwiązanie problemu, ale nie wiemy, jak to zrobić i po co. Szukamy schematów. To nie twoja wina. W tych warunkach nie da się działać inaczej.

– Ja nie szukałam schematów – odrzekła spokojnie. – Ja je znalazłam.

Gwałtownie potrząsnął głową.

A jaka to różnica?

Janine, rozgoryczona, obeszła wkoło pokój, jakby chcąc nabrać siły, by zdołać wyjaśnić to, co wie, a czego on wzbraniał się przyjąć. Znowu podniosła głos.

– Myślisz, że ja też sobie tego nie mówiłam? Myślisz, że mnie też nie wydawało się to dziwne? Myślisz, że nie próbowałam tego odrzucić i uznać za własne wymysły?

Zamilkła na chwilę.

– Ale kiedy weszłam tutaj... i zobaczyłam te teksty rozwieszane dokładnie w takiej kolejności, w jakiej powinny...

Liczyła na to, że on coś wtrąci.

Lecz on się nie odzywał.

Wyjaśniała więc dalej:

– Gdybym odczytała te wersy jako opis historycznych wydarzeń tylko dlatego, że zgadzają się z wiedzą, jaką mam, to w takim razie dlaczego tutaj, na twojej ścianie, są ułożone akurat w takim porządku jak trzeba? Przecież ja dostałam je wszystkie oddzielnie, na osobnych kartkach. I wyciągnęłam te szalone wnioski na podstawie swoich własnych wcześniejszych hipotez. Jakim cudem te wszystkie moje wyrwane z kontekstu fragmenty są tutaj pogrupowane i uporządkowane dokładnie tak, jak według mnie powinny być?

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi.

Odwróciła się w drugą stronę i ruszyła wzdłuż ściany, uderzając powierzchnią dłoni w poszczególne kartki, gdy mijała je powoli.

– Mezopotamia. Piramidy. Trzęsienie ziemi na Rodos. Narodziny Jezusa. Mahometa. Dżuma. Wulkan Tambora.

Między grupami kartek znajdowały się też takie, które mijała, nie zwracając na nie uwagi. Prawdopodobnie robiła przystanki tylko przy największych krokach milowych w dziejach ludzkości, na które składało się także mnóstwo pomniejszych

rozdziałów.

Co pewien czas rzucała na Williama badawcze spojrzenie, aby się upewnić, czy rozumie znaczenie jej słów.

– Pierwsza wojna światowa. Druga. Hiroszima. Katastrofa w Valdivii.

To były dowody na to, że ona ma rację, że miała ją od początku. Widziała po wyrazie twarzy Williama, jak bardzo zмага się ze swoimi wątpliwościami, wciąż nie chce zaakceptować tego, co słyszy, choć wie, że to daremne.

Bardziej przekonujących dowodów nie sposób przedstawić.

Jeśli odczytała teksty właściwie, to właśnie w takiej kolejności powinny być ułożone.

I w takiej miała je teraz przed swoimi oczami.

Znalazła się przy końcu ściany.

Zwolniła kroku.

– Tangshan. Tragedia w Armero. Tsunami na Oceanie Indyjskim.

Odwróciła się do Williama. Zamilkła. Czekwała na niego. No, przedstaw swoje kontrargumenty, jeśli potrafisz, zdawało się mówić jej ciało. Zaprotestuj, powiedz, że się mylę. Jeśli chcesz, mogę zrobić jeszcze jedną taką rundkę przez pokój.

Przez kilka długich sekund oboje stali nieruchomo – Janine nadal z ręką na jednej z kartek, William w drugim końcu pokoju, i mierzyli się wzrokiem.

Bez słowa. Jakby wręcz wstrzymali oddech.

Ciszę przerwała Janine.

– Jeśli zatem wszystko tutaj to jedynie moje podkolorowane teorie... – zaczęła.

William przytknął oczy. Dobrze wiedział, jaki będzie koniec zdania.

– ...to dlaczego teksty są we właściwej kolejności?

– Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji tego, co mówisz? – odezwał się wreszcie.

Potwierdziła ruchem głowy.

Nie była nimi zachwycona. Ale nie da się ich uniknąć.

– O konsekwencjach może być mowa – rzekła – jeśli oni powiedzieli nam prawdę. *Jeżeli* zatem te teksty pochodzą z naszego materiału genetycznego...

Dobrze wiedział.

Ale to musiało zostać głośno powiedziane.

I ona ubrała jego myśli w słowa. Sformułowała to wprost.

– ...to wszystkie te zdarzenia zostały zapisane w naszym DNA na długo przedtem, nim do nich doszło.

W pokoju zaległa cisza.

Patrzyli na siebie nawzajem, prowadząc rozmowę bez słów.

– Jednak nie to najbardziej mnie niepokoi – rzekła w końcu.

Nadal czuła na sobie spojrzenie Williama.

Znowu podała mu tamtą niedużą kartkę.

Tę samą, którą chciała mu pokazać na tarasie niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Ta kartka zaniepokoiła Janine od razu, gdy tylko się zorientowała, co może znaczyć.

A kiedy ujrzała ten pokój, wszystkie wersy, oś czasu – jeszcze bardziej się wystraszyła.

William znowu stał z kartką w dłoni i patrzył na widoczne na niej sumeryjskie znaki.

– Wyjaśnij – powiedział.

Zatem zaczęła.

Mężczyzna nie żył.

I to Albert spowodował jego śmierć.

Właściwie to wcale go nie popchnął, on jedynie wykorzystał siłę jego bezwładności oraz efekt zaskoczenia, i w ten sposób przekroczył granicę, zza której już nigdy nie będzie mógł się cofnąć.

On tylko przystanął, to wszystko. Nieoczekiwanie się zatrzymał.

Mężczyzna w garniturze siłą inercji postąpił krok naprzód, Albert pociągnął go do siebie, wówczas tamten okręcił się o dobre sto osiemdziesiąt stopni wokół niego jak wokół osi, i gdyby miał choćby jeszcze jedną sekundę, prawdopodobnie odzyskałby równowagę, chwyciłby znowu Alberta za ramię, jeszcze mocniej, i zrugałby go, żeby więcej nie próbował robić takich głupot.

Ale mężczyzna nie miał już tej jednej sekundy.

Niebieski golf znajdował się dokładnie w miejscu, w którym według wyliczeń Alberta powinien się znaleźć. Albert poczuł gwałtowne szarpnięcie, kiedy mężczyzna, który jeszcze przed chwilą trzymał go za rękaw, został porwany przez półtonową śmierć na kółkach. Teraz Albert pędził w niskim popołudniowym słońcu przed siebie przez Westerparken – poły jego płaszcz rozwiewały się, myśli kotłowały mu się w głowie i nie dawały spokoju, ale on nie miał teraz czasu, żeby się na nich skupić.

Inspektor Neijzen. Ten łajdak, który stał u jego boku od pierwszego wieczoru, kiedy zniknęła Janine. Który przesiedział razem z nim długie noce, szukał odpowiedzi, sprawdzał zgłoszenia i informował go na bieżąco o wszystkich nowościach, śladach i tropach.

To musiał być on. Inspektor Neijzen nacisnął guzik alarmowy.

Nie było innej możliwości.

Albert van Dijk zatrzymał się przy dużym stawie, zwirową alejkę za jego plecami wypełniały wózki dziecięce, spacerujący emeryci i ludzie spieszący ze spotkania na spotkanie, mógł więc wtopić się w tłum i być jednym z nich.

Nie miał dokąd pójść.

Wyjął telefon komórkowy, znalazł numer do instytutu – zawahał się. To paranoiczne podejrzenie pojawiło się znowu, nie ustępowało. Zmusił się, by zatrzymać spojrzenie na czymś obojętnym i zastanowić się przez chwilę.

Jest przewrażliwiony?

A może to, co przyszło mu do głowy, to prawda – policja w taki lub inny sposób jest zamieszana w zaginięcie Janine. I wie, kto za nim stoi. I to ona zaalarmowała, że pojawił się list. Ta sama policja, której pozwolił przeszukać ich wspólne mieszkanie, którą wpuścił do mansardy zajmowanej przez Janine, zanim się poznali, ta sama, która odwróciła się do niego plecami i oznajmiła, że zrobiono już wszystko co możliwe i że wiele wskazuje na to, iż jego dziewczyna przepadła z własnej woli.

Jeśli więc policja wiedziała, to gdzie przebiega granica?

Kto w takim razie kryje się za zniknięciem Janine?

Do jakiego stopnia są gotowi przeszkodzić mu w dotarciu do prawdy o tym, co się stało, i jakimi dysponują środkami, aby to zrealizować?

Numer jego asystenta świecił się nadal na wyświetlaczu telefonu, Albert powtórzył pod nosem ostatnie cyfry numeru wewnętrznego, raz i drugi, dopóki się nie upewnił, że zapamiętał. Ma paranoję czy nie, jedno nie ulega wątpliwości: nie może już korzystać ze swojej komórki. To samo dotyczy kart kredytowych – gdyby tylko coś kupił, od razu by wiedzieli, gdzie się znajduje, dlatego postanowił znaleźć najbliższy bankomat i podjąć tyle gotówki, ile się da, zanim na dobre zablokują mu konto.

Co będzie potem, nie miał pojęcia.

Wiedział jedynie tyle, że nie ma nikogo po swojej stronie.

I że jeśli chce jeszcze kiedyś zobaczyć Janine, to musi szukać jej sam.

Albert van Dijk stał w miejscu przez trzy, może przez cztery minuty, po czym z ociąganiem ruszył przed siebie.

Nikt z pozostałych spacerowiczów nie zareagował w zauważalny sposób na mężczyznę w płaszczu stojącego nad stawem i rzucającego do wody kanapkę.

Nikt się nie domyślił, że jeden z kamyków, który odbił się najwięcej razy od tafli wody, był telefonem.

Kartka, którą William Sandberg wciąż trzymał w ręku, nadal nic mu nie mówiła. Za to słowa padające z ust Janine stawały się coraz jaśniejsze.

Stanowiły logiczne następstwo jej wcześniejszych wyjaśnień.

Nie dało się tego zakwestionować.

A przynajmniej bez konieczności powrotu do wyjściowej hipotezy i rozpoczęcia całego toku myślenia od początku – co William nawet chętnie by zrobił, ale nie wiedział jak.

W tej sytuacji mógł więc jedynie słuchać.

– Choć siedziałam nad tym Bóg wie jak długo – kontynuowała – są sekwencje, których nie potrafiłam rozgryźć.

William dalej milczał.

– Nie zostały napisane niedawno. To umiałam rozpoznać. Wszystko wskazywało na to, że należały do pierwotnych starych tekstów. Mimo to nie dawało się ich zinterpretować jako przekazu o jakimś historycznym wydarzeniu. Najpierw próbowałam wyjaśnić to sobie w ten sposób, że w końcu nie jestem historykiem, a przecież wiadomo, że pomiędzy wszystkimi znanymi mi wielkimi wydarzeniami dochodziło także do innych, o których akurat się nie uczyłam. Prawda?

Jednocześnie pokręciła głową.

To było fałszywe wyjaśnienie. Intuicja coraz silniej dochodziła do głosu.

Bo jeśli materiał genetyczny jest pełen informacji o historycznych wydarzeniach...

Zapisanych na długo przedtem, zanim do nich doszło...

Dlaczego w takim razie wszystkie te zapiski miałyby urwać się teraz tylko dlatego, że owo *teraz* zbiega się z terażniejszością, w której żyją ona, William i wszyscy inni?

To właśnie powiedziała.

A William jej słuchał.

I słyszał, chociaż nie chciał.

To, co opowiadała, było jasne jak słońce, ale wcale mu się nie podobało.

– Usiłujesz powiedzieć... – odezwał się wreszcie, chociaż właściwie wcale nie potrzebował potwierdzenia z jej strony.

Kiwnęła w milczeniu głową. I nic więcej.

– ...że geny człowieka zawierają informacje o przyszłości. O rzeczach, które się nie zdarzyły, ale mają się zdarzyć.

Ponownie potaknęła.

Nastąpiła pauza. A potem zapytał:

– Wobec tego co może nas czekać?

Janine zamyśliła się.

Spuściła wzrok.

Istniała tylko jedna odpowiedź.

– Nic dobrego – odrzekła. – Naprawdę nic dobrego.

Gabinet Alberta van Dijka stał pusty od wczorajszego popołudnia, ale nagle wszystko się zmieniło.

Zaraz po lunchu rozpętało się istne piekło i chociaż okrągławy młody asystent często był zmęczony ustawiczną ciszą, odcięciem od rzeczywistości i smutkiem, który zdawał się ciążyć nad jego miejscem pracy, to jednak bardzo szybko doszedł do wniosku, że woli już to niż coś wręcz przeciwnego.

Biuro van Dijka przeżywało prawdziwą inwazję gości.

Niektórzy byli policjantami, inni podawali się za nich, choć wyglądali jak dobrze ubrani finansiści, a wszyscy przetrząsali półki profesora i przeszukiwali jego komputer, pytali też, gdzie on się podziewa i czy jest jakieś miejsce, dokąd ma zwyczaj jeździć, a którego oni nie znają.

Asystent odpowiadał wzruszeniem ramion i kręceniem głową.

On nic nie wiedział.

Wiedział jedynie tyle, że Albert van Dijk zniknął, i sądząc po całym tym zamieszaniu, jest poszukiwany. W końcu wymuszono na chłopaku kilkukrotną obietnicę, że natychmiast powiadomi policję, jeśli profesor się pojawi lub spróbuje z nim skontaktować.

Siedział teraz za swoim biurkiem.

I mocował się sam ze sobą, toczył bój z własną uczciwością.

W kieszeni miał karteczki z numerami telefonów w Szwecji i część jego osoby wstydziła się za niego – chciała wstać i powiedzieć, spójrzcie, co ja tu mam, wiem coś, czego wy nie wiecie, bardzo proszę i powodzenia. Ale druga połowa mówiła, że nie powinien tego robić. Że coś jest nie tak. I czy on poza wszystkim innym nie powinien być lojalny wobec swojego szefa? Czy nie po to właśnie się kogoś zatrudnia? Żeby móc na niego liczyć?

O ile oczywiście policja nie ma racji.

O ile van Dijk nie zrobił czegoś niesłychanego, czegoś tak zbrodniczego i niewyobrażalnego, że policja nie mogła mu tego zdradzić.

Siedział dalej.

Obserwował ich.

I aż podskoczył.

Poczuł w kieszeni przytłumione brzęczenie.

Znowu ogarnęły go wątpliwości; wiedział, że to jest ta chwila, w której musi się zdecydować, musi się opowiedzieć i wziąć odpowiedzialność za swój brak ufności wobec mężczyzn kręcących się wokół niego.

Albo tak naprawdę przyznać, że już dokonał wyboru. Bo czy w przeciwnym razie przestawiłby telefon na tryb cichy? I czy komórka leżałaby tam, gdzie leży, i tylko wibrowała, żeby mógł nie odbierać, jeśli zadzwoni profesor, i dzięki temu zostawić tę wiadomość wyłącznie dla siebie i ostrzec go, tak by nikt nie zauważył?

Tak było. Tak musiało być.

Lojalność.

Podniósł się z krzesła. Wyszedł z pokoju, wyjaśniając nieskładnie mężczyźnie w garniturze, który nie za bardzo chciał go słuchać, że chce mu się pić, bo zapomniał napić się podczas lunchu, i dlatego musi teraz pójść do kafeterii, ale w razie czego mogą w każdej chwili złapać go przez komórkę. Czuł, jak aparat ociera mu się o nogę, lecz powstrzymywał się przed spojrzeniem w dół, przekonując samego siebie, że tylko on to zauważa i że cykliczny odgłos brzęczenia nie może być słyszalny przez grube dżinsy.

Mężczyzna nie zareagował. Ani na telefon, ani na opowieść o pragnieniu, lunchu i niskim poziomie płynów w organizmie. Toteż w końcu młody asystent skierował się ku starej windzie i wsiadł do niej, mimo że od wyjścia z budynku dzieliły go zaledwie dwa piętra.

Wibracje w kieszeni ustały. Włączyła się poczta głosowa.

Zamknął za sobą drewniane drzwi, poczuł, jak kabina, trzeszcząc i skrzypiąc, powoli rusza w dół, ostrożnie, niczym staruszka na oblodzonym trotuarze, równie niepewnie i chwiejnie. Przemknęło mu przez głowę, że za którymś razem ta przedpotopowa winda spowoduje pewnie czyjąś śmierć, byle tylko nie dzisiaj.

Wyjął telefon.

Jedno nieodebrane połączenie. Niezidentyfikowany numer.

Cholera jasna.

Znał jednak swojego szefa na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli to on dzwonił, to na pewno odezwie się znowu, i ledwie zdążył to pomyśleć, aparat zaczął wibrować mu w dłoni.

– Halo?

– Dzień dobry. Tu profesor van Dijk.

– Słyszę. Jestem w windzie. Będę na dole za dwie sekundy, nie chcę, żeby mnie widzieli. Idę do kafeterii, proszę zadzwonić za pięć minut.

Powiedział, po czym się rozłączył, nie czekając na odpowiedź. Za szybką windy pokazał się już parter. Asystent wsunął telefon do kieszeni, otworzył drzwi i znalazł się w holu.

Zszedł po schodach na zewnątrz.

Skręcił w kierunku budynku, w którym znajdowała się kafeteria.

Dwaj policjanci stojący na straży przy wejściu przepuścili go bez kłopotu, nieświadomi tego, że chłopak, który zniknął im z pola widzenia, jest właściwie po

przeciwnej stronie barykady.

Albert van Dijk chciał czy nie chciał, musiał udawać zainteresowanie wędlinami.

Znajdował się ładnych parę kilometrów od uniwersytetu, oparty o ladę chłodniczą w hali targowej, której nazwy nie znał i nigdy nie zamierzał odwiedzić jej po raz drugi. Wokół niego kręciło się mnóstwo ludzi – uważał, że najlepszy sposób, by się ukryć, to zatopić się w tłumie.

Telefon komórkowy, który mocno ścisnął w dłoni, jakby się bał, że mu się wyślizgnie i przypadnie, kupił razem z kartą prepaidową w niedużym sklepiku z akcesoriami elektronicznymi przy jakiejś bocznej uliczce kilka przecznic dalej. Aparat był używany i cały porysowany, miał toporne klawisze i wyświetlacz, na którym dało się coś zobaczyć, tylko jeśli zmrużyło się oczy, ale działał, a to wszystko, czego potrzebował.

Czas włókł się niemiłosiernie. Cztery minuty. Konwersował z masarzem po drugiej stronie lady, żeby coś zrobić i sprawiać wrażenie zwykłego klienta. Chyba mu nieźle szło, mimo że plecy pod marynarką i płaszczem miał mokre w równym stopniu od gorąca i od napięcia.

Nie, wołałby coś mocniej przyprawionego.

Zaciekawienie w oczach w reakcji na propozycję sprzedawcy po przeciwnej stronie. Pełne akceptacji potakiwanie głową w rytm opowieści o metodach produkcji i jakości wyrobów. Był mężczyzną poszukującym absolutnie wyjątkowego salami na absolutnie wyjątkową okazję, przynajmniej wmawiał sobie, że wszyscy wokół tak myślą, i chociaż nie miał do końca pewności, że salami to dobry temat do roztrząsania i rozwodzenia się nad nim godzinami, w tym momencie nie potrafił wpaść na nic lepszego.

Wreszcie pięć minut minęło i Albert przerwał sprzedawcy w pół zdania.

– Wie pan co, chyba muszę to skonsultować – powiedział. Uniósł do góry telefon, jakby dla wyjaśnienia. – Rozumie pan, w domu.

Po czym odwrócił się plecami do lady, czując na nich spojrzenie ciskającej gromy pary oczu, i powoli zaczął się oddalać. Prawdopodobnie okazał się najbardziej uciążliwym klientem dnia. Jednak był gotów założyć się o nie wiadomo co, że mimo wszystko to on miał dzisiaj najpotworniejszy dzień.

Wybrał numer do asystenta.

Tylko jeden sygnał. I po drugiej stronie usłyszał znajomy kawiarniany zgiełk.

– Co pan takiego zrobił?

– A według nich co zrobiłem? – spytał.

– Kręcą się przez całe przedpołudnie i pytają o pana.

- W garniturach i krawatach?
- Też. I policja. Czy to ma coś wspólnego z gazetą?

Albert przymknął oczy. Gazeta. No jasne.

Wtedy, na ulicy, roilo się od ludzi i pewnie tyle samo telefonów co na policję i na pogotowie wykonano do gazet na numer zgłoszeniowy dla czytelników. Informacja już wyszła i może ktoś go rozpoznał. Teraz to już tylko kwestia czasu, kiedy jego twarz pojawi się też na pierwszych stronach portali internetowych. Sytuacja nie była wesoła.

– Chodzi o Janine – powiedział tylko. – Zrozumiem, jeśli mi pan nie uwierzy. Ale ona została porwana, nie mam pojęcia dlaczego, a teraz chcą dopaść także mnie.

Odpowiedź, jaka padła, całkowicie go zaskoczyła.

– Wiem.

Asystent rozejrzał się po kawiarni. Zniżył głos, mimo że zgiełk wokół niego był tak duży, iż chcąc słyszeć Alberta, musiał zasłonić sobie dłonią drugie ucho.

– Nie widział pan kartki, którą zostawiłem na biurku?

Kartki? Albert skupił się, próbował przypomnieć sobie kartkę, którą gdzieś przegapił, tyle że on wciąż miał do czynienia z nieprzebraną ilością kartek, zapisków i informacji o rzeczach, jakie powinien zrobić, więc nie sposób, żeby teraz wiedział, o czym mówi jego asystent.

– Jakiej kartki? – spytał.

Czyli kartka nie spełniła swojej roli.

– Całe rano dzwoniła jakaś dziennikarka.

Albert zatrzymał się. Dziennikarka? A po co?

– Ze Szwecji. Mówiła, że chce się z panem zobaczyć. I że to, co spotkało pana narzeczoną...

Tak? Albert wstrzymał oddech.

– ...to samo przydarzyło się jej mężowi.

Christina obudziła się dokładnie jednaście minut po tym, jak uznała, że nie ma sensu już dłużej próbować zasnąć. Pomyślała tak w tym samym momencie, gdy samolot zaczął schodzić do lądowania na lotnisku Schiphol. Minione godziny spędziła częściowo na obserwowaniu, częściowo na słuchaniu Leo siedzącego na fotelu obok z odchylną do tyłu głową i z szeroko otwartymi ustami, jakby właśnie przechodził jakiś skomplikowany zabieg u dentysty, tyle że przy zamkniętych oczach i przy akompaniamencie pochrapywań tak donośnych, że stanowiły solidną konkurencję dla hałasu silników odrzutowych.

Leo spał. Głęboko.

Ona zaś prawie nie zmrużyła oka.

Co ją irytowało, bo obiecała sobie, że lot to idealna okazja, aby nadrobić straconą noc, jednak jej organizm zdawał się nie zgadzać z nią w tej kwestii. Była więc zmuszona męczyć się w stanie całkowitej przytomności najpierw przez ponad dwie godziny w niskich fotelach na lotnisku, gdy czekali, aż opady śniegu zmniejszą się na tyle, by samoloty w ogóle mogły wzbić się w powietrze, a potem przez kolejną godzinę na ciasnych siedzeniach na pokładzie, gdy z kolei czekali na odlodzenie skrzydeł po raz sześćdziesiąty pierwszy oraz na to, by wszystkie inne maszyny z całego świata dostały pozwolenie na start przed nimi.

I przez cały ten czas miała obok siebie człowieka pogrążonego we śnie.

Widziała jedynie gigantyczną puchową kurtkę kryjącą pod sobą ubranego w marynarkę młodzieńca, która unosiła się i opadała na przemian w rytm oddechu dobywającego się z głośnym chrapaniem z gigantycznej paszczy pomiędzy kołnierzem a bejsbolówką.

Była w kiepskiej formie, czuła się bezradna i irytowało ją, że nie jest w stanie nic zrobić.

Nic poza jedną rzeczą. Mogła odnaleźć Alberta van Dijka.

Przystąpiła do akcji, jak tylko zaczęła działać uniwersytecka centrala telefoniczna, i nie dawała za wygraną, dopóki młody asystent – rozpoznała go od razu po głosie, bo rozmawiała z nim dzień wcześniej – nie stawiał się w końcu na swoim miejscu, lekko oszołomiony i mówiący zaspanym głosem. Wcale by jej nie zdziwiło, gdyby się okazało, że też jest ubrany w puchową kurtkę i bejsbolówkę.

Ale Alberta van Dijka nie było jeszcze w instytucie.

Za każdym razem zostawiała wiadomość. Dzwoniła wielokrotnie, aż w końcu wyczuła w tonie asystenta pewien niepokój.

Postanowiła zaryzykować.

– Czy on ma zwyczaj się spóźniać? – spytała.

– On raczej się nie spóźnia – odpowiedział głos. – On raczej ma spotkanie.

– Ma zwyczaj uczestniczyć w spotkaniach, o których pan nie wie?

Milczenie miało chyba oznaczać odpowiedź wymijającą, jednak Christina odebrała je jako jednoznaczne „nie”.

– Wiem, że zaginęła jego dziewczyna – rzekła.

Cisza trwała nadal. Ale teraz wyczuwała w niej napięcie.

– Wiem, że śledztwo zawieszono i wszyscy uważają, że po prostu uciekła. Dzwonię właśnie dlatego, że według mnie ona została uprowadzona.

Nadal żadnej odpowiedzi.

– Przepraszam – rzuciła, aby zmusić go do jakiegokolwiek reakcji – nie usłyszałam, jak pan się nazywa.

– David – odparł młodzieniec. – David Stein.

– A więc, Davidzie, sytuacja ma się tak: trzy dni temu zniknął ze szpitala mój mąż, policja twierdzi, że wyjechał, ale ja w to nie wierzę, a kiedy przeczytałam, co przydarzyło się pańskiemu szefowi...

Zrobiła pauzę dla podkreślenia tego, co właśnie miała powiedzieć:

– Mój mąż zabrał ze sobą wszystko. Wszystkie książki, wszystkie komputery, najdrobniejszą notatkę, jaką zrobił w ciągu swojego zawodowego życia. Czy coś to panu przypomina?

Znowu cisza. A po chwili David odparł:

– Przekażę mu najszybciej jak się da, żeby oddzwonił.

Po czym odłożył słuchawkę.

Minęły trzy godziny, zanim w końcu wzbili się w powietrze. Było już po jedenastej i Christina zaczęła odczuwać głód. Niezależnie od tego, jak bardzo starała się zasnąć, mogła tylko o tym pomarzyć.

Kiedy wreszcie znowu zapaliło się światelko nakazujące zapiąć pasy i pilot oznajmił, że wkrótce będą lądować, wiedziała, że teraz musi zapomnieć o spaniu.

To była ostatnia myśl, jaką pamiętała, zanim świat wokół zlał się w jeden wielki mętlik i chaos, gdzie William i Leo stanowili jedną i tę samą osobę i szukali siebie nawzajem po mieszkaniu wyglądającym jak ich dawne lokum na Kaptensgatan, a potem się obudziła, bo Leo potrząsnął nią i oznajmił, że właśnie wylądowali.

Po czym wstał i znalazłszy lukę między wychodzącymi pasażerami, zniknął w przejściu. Ona zaś drżała z zimna na fotelu, miała metaliczny posmak w ustach i czuła się jeszcze bardziej zmęczona niż przedtem – jeśli to w ogóle możliwe.

To był ten gorszy z dwóch światów.

Ale dotarła do Amsterdamu. Czyli nie pora na uzalanie się nad sobą.

Minęli stanowiska kontroli paszportowej i celnej i szli przez ogromną halę przylotów. Christina z lekką podręczną walizką na kółkach, a Leo z plecakiem – który wyglądał tak, jakby zjeździł pół świata, co prawdopodobnie było prawdą – gdy nagle się zorientowali, że coś do nich mówi jakiś obcy mężczyzna.

Szedł zaledwie kilka kroków za nimi, z kartką w ręku, jakby coś z niej czytał. Odezwał się, nie podnosząc wzroku:

– Proszę iść i się nie odwracać.

Słowa były zrozumiałe. Ale odruch to odruch i kiedy mózg się włączył, było już za późno: Leo odwrócił głowę i spotkał oczy mężczyzny.

– Prosto – powtórzył nieznamomy przez zaciśnięte zęby.

Idiota. Nie dość, że facet się odwrócił, to jeszcze oczywiście miał na głowie

czapkę, czapkę z wielkim daszkiem, który wskazywał i zdawał się mówić *tam!*; jeśli w tym momencie ktoś z boku ich obserwował, nie mógł nie zauważyć, że nawiązali kontakt.

– Będę szedł krok za wami – wymamrotał mężczyzna, prawie nie otwierając ust, podczas gdy jego wzrok błędził po tablicach informacyjnych pod dachem terminala.

– Zachowujcie się tak, jakbyście rozmawiali ze sobą, nie ze mną.

Christina skinęła głową ku Leo, potwierdzając nieznanemu, że zrozumiała.

No. Przynajmniej jedno z nich załapało.

– O co chodzi? – spytała.

– To ja chciałbym wiedzieć – odparł. Po czym dodał: – Jak zamierzacie się dostać do miasta?

– Mamy wynajęty samochód – zwróciła się do Leo.

On już miał jej odpowiedzieć, że przecież dobrze o tym wie, ale byłoby to oczywiście niewłaściwe, więc też skinął głową. Gdyby mówiła to rzeczywiście do niego, prawdopodobnie odezwałby się, ale w tej sytuacji niczego nie był już pewien. A najmniej własnego zachowania.

– To dobrze – odparł mężczyzna. – Pójdę za wami, a jak już wsiądziecie do samochodu i wyjedziecie z parkingu, zatrzymacie się, żebym mógł usiąść z tyłu.

Szli dalej w milczeniu, kierując się tabliczkami z logo wypożyczalni samochodów; skręcili z ogromnej hali przylotów w stronę wyjścia.

Christina obróciła się znowu do Leo.

– A zanim pan to zrobi, zanim pan wsiądzie do naszego samochodu, nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby nam zdradzić, kim pan jest?

Przeszli jeszcze parę metrów bez słowa.

Nieznanomy najwyraźniej nie chciał powiedzieć tego zbyt głośno.

Mijali ich ludzie, ich kroki odbijały się echem od kamiennej posadzki, mężczyzna czekał, aż w pobliżu nie będzie nikogo.

– Nazywam się Albert van Dijk. Podobno mnie szukacie.

Gdyby Christina i Leo obejrżeli się, gdy wychodzili z bramki D61 i ruszyli ku ogromnej hali przylotów lotniska Schiphol, mogliby zobaczyć kapitana Adama Riebeecka przechodzącego pospiesznie przez kontrolę bezpieczeństwa w przeciwnym kierunku, ze służbową walizką pilota chyboczącą się na niestabilnych gumowych kółkach, w towarzystwie całej grupki osób w podobnych uniformach tuż za nim.

Przy pirsie E czekał na niego boeing 747-400.

Miał lecieć do Los Angeles wykupioną do ostatniego miejsca maszyną, a czuł się rozdrażniony i poirytowany, co nie było dobrym początkiem dnia.

Nienawidził wynajmowanych samochodów.

Wśród wszystkich tych katuszy, jakie wiązały się z nocowaniem we własnym domu, począwszy od niemających końca dyskusji na temat problemów, które zdążyły narosnąć podczas jego nieobecności, a skończywszy na swego rodzaju przymusowej zabawie z chmarą dzieci – swoją drogą sam nie mógł zrozumieć, skąd się ich tyle wzięło, zwłaszcza że on i jego żona rzadko robili co innego poza roztrząsaniem niedoskonałości ich wzajemnej relacji – istniał jeden jasny punkt: Adam Riebeek uwielbiał prowadzić swoje auto. Uwielbiał zapaść się w obciążonym skórą fotelu granatowego mercedesa i słuchać silnika doładowywanego przez kompresor, gdy wszystkie te nadprogramowo liczne konie mechaniczne wyprowadzały go tyłem z garażu, a potem wyłączyć radio i klimatyzację i wsłuchiwać się w ciszę we wnętrzu oraz w pomruk silnika daremnie próbujący przeniknąć do środka przez warstwę izolacji i zagłuszyć ciszę.

Mówiąc szczerze, to była jedyna rzecz, którą lubił w czasie swojego pobytu w domu.

A tym razem mercedes Adama Riebeecka znalazł się w warsztacie.

I to bynajmniej nie z jego winy. Bo wcale nie jechał szybko i był bardzo skoncentrowany, ale nagle stało się, jak się stało, i przez wszystkie swoje wolne dni musiał tłuc się jakimś cholernym seatem, który w magiczny sposób zalatywał papierosami, mimo że w wypożyczalni zapewniano go, że nikt w nim nie palił. No a teraz dni wolne miał już za sobą, i właściwie bardzo dobrze.

Szli przez rękaw w milczeniu, jego irytacja zawisła niczym ołowiana chmura nad całą załogą, lecz wszyscy jej członkowie doskonale wiedzieli, że zawsze tak jest, kiedy wylatują z Amsterdamu. Gdy tylko lądowali w jakimkolwiek innym miejscu na świecie, Adam Riebeek stawał się wesołym, uprzejmym, po prostu całkiem innym człowiekiem.

Drugi oficer odważył się zagadnąć jako pierwszy.

– Dlaczego wypożyczony samochód? – spytał, zajmując swoje miejsce w kokpicie i zapinając pasy.

Riebeeck łypnął na niego. Nie był zainteresowany rozmową na ten temat.

– Może czasami spróbowałbyś przeczytać jakąś gazetę.

Oficer zrozumiał dopiero po chwili.

– Żartujesz – powiedział. – Seryjny karambol?

Riebeeck tylko skinął głową. Co zrobić? Można być nie wiadomo jak utalentowanym kierowcą, ale kiedy nagle z góry ląduje pośrodku drogi jakaś toyota, to raczej trudno uniknąć zderzenia.

– Powiedział, że powinienem się cieszyć, że tylko tak się skończyło.

– Kto?

– Lekarz, który mnie badał. No to czytałeś czy nie czytałeś?

Pilot potaknął. I na tym rozmowa się skończyła.

Kiedy jedna ze stewardes, pochylając głowę, weszła do kokpitu zaledwie kilka minut później, piloci byli już w połowie swoich rutynowych procedur poprzedzających start; postawiła im kubki z kawą w niedużych okrągłych otworach obok foteli.

– Coś jeszcze? – spytała.

– Tak – odparł Riebeeck. Spojrzała więc na niego i czekała, co powie. – Przydałby mi się ktoś, kto podrapałby mnie po plecach.

Uśmiech, którym go obdarzyła, był tak wymowny, że właściwie równie dobrze mogła pokazać mu swój środkowy palec. Mieli jednak przed sobą długi lot, więc by nie komplikować sobie nawzajem życia, dała spokój.

– Myślę, że to zadanie drugiego oficera – rzekła tylko. – Zasady odgórne, nie moje.

Po czym odwróciła się i opuściła kokpit, aby nie przeszkadzać pilotom w ich czynnościach.

Kapitan Adam Riebeeck obejrzał się za nią, ubawiony i zawiedziony jednocześnie.

Ale to była prawda. Swędziały go plecy. Mówiąc szczerze, wprost nie do wytrzymania, i to od samego rana.

Nic jednak nie powiedział. Zamiast tego skinął na swojego drugiego oficera, aby wrócił do miejsca, w którym przerwali odczytywanie listy kontrolnej czynności przed startem i sprawdzanie wszystkich niezbędnych wskaźników. Wetknął sobie ołówek za kołnierzyk, żeby dosięgnąć do miejsca, które nie dawało mu spokoju.

Był zbyt zajęty procedurami, by pomyśleć o tym, że miłe ciepło, które rozchodziło mu się po plecach, w miarę jak się drapał, to może być krew.

Facet siedzący za kierownicą tak kiepsko radził sobie w ruchu ulicznym, że Albert van Dijk zaczął się już zastanawiać, czy nie miałby przypadkiem większych szans na przeżycie, gdyby jednak oddał się w ręce mężczyzny sprzed swojego domu.

– W prawo – rzucił z taką desperacją w głosie, że Leo aż zerknął we wsteczne lusterko, gdzie spotkał wystraszone spojrzenie nieznanego.

– Skręcić? – spytał. – Teraz?

– Nie. Zjechać na prawą stronę drogi.

O cholera! Leo ogarnął wzrokiem całą jezdnię i zobaczył, że faktycznie znajdował się na pasie ruchu w przeciwnym kierunku, więc gwałtownie odbił z powrotem w prawo. Prowadził dalej w milczeniu, z rękami kurczowo zaciśniętymi na kierownicy, napompowany adrenaliną i cały spocony, mimo że system nagrzewania wciąż jeszcze walczył o osiągnięcie temperatury w kabinie na dwucyfrowym poziomie.

Był bardzo sprawnym kierowcą. Naprawdę. Jedyne jego słabe punkty polegały na tym, że nie potrafił przewidzieć, kiedy jezdnia jednokierunkowa bez ostrzeżenia przejdzie w dwukierunkową. Co prawda wiedział, że istnieją znaki drogowe i są po to, aby o czymś takim informować, ale teraz akurat opuszczał samochodem miasto, w którym jest zdecydowanie za mało znaków i o wiele za dużo tramwajów, a jeszcze na dodatek nikt mu nie powiedział, dokąd w ogóle ma jechać.

Albert powoli odwrócił od niego wzrok.

Obok kierowcy siedziała kobieta, która zadzwoniła do jego asystenta. Gdy już uspokoił się trochę, starał się skupić na niej. Jak wynikało z wizytówki, nazywa się Christina Sandberg i jest dziennikarką. W powietrzu zawisła rozmowa, którą ciągle usiłowali rozpocząć, lecz im się nie udawało, ponieważ kierowca sprawiał wrażenie, jakby chciał ich przedtem zabić.

Po kilkuminutowej ciszy Christina na nowo podjęła wątek.

– Dlaczego pana ścigają?

Albert pokręcił głową. Na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

– Oni mnie szukali. Możliwe, że jednego z nich zabiłem.

– Oni? – powtórzyła za nim. – Co za oni?

Całkiem uzasadnione pytanie. Ale na nie również nie znał odpowiedzi.

– Miałem nadzieję, że wy będziecie potrafili coś więcej powiedzieć.

Tym razem Christina pokręciła przecząco głową.

I znowu siedzieli w milczeniu.

Opuścili już miejskie zabudowania. Na przedmieściach zaczął zapadać

popołudniowy zmierzch, światło przydrożnych latarni i aut z naprzeciwka oblewało ich raz po raz.

– Jak to się stało, że znaleźliście się tutaj?

Christina spojrzała na Alberta.

– Ile pan wie?

– Tylko tyle, ile powiedzieliście mojemu asystentowi.

Okej. Christina zaczerpnęła powietrza. Cofnęła się do początku. Do zniknięcia Williama. Notatki prasowej odkrytej przez Leo. Do podobieństw. Do tego, że oboje zajmowali się odczytywaniem kodów, choć na różny sposób.

Albert pilnie słuchał. Potakiwał w odpowiednich miejscach, ale jej nie przerywał.

Miał mieszane uczucia.

Z jednej strony chętnie dałby się przekonać, że oba te zdarzenia mają coś ze sobą wspólnego. To wiele by ułatwiło – mogliby porównać okoliczności i być może dotarliby do czegoś, co poprowadziłoby ich dalej. Ale z drugiej strony nie za bardzo było na czym się oprzeć. To po prostu tylko dwa osobne przypadki zaginięć, co prawda akurat oboje zaginieni mieli podobne specjalności, ale jedno i drugie zniknięcie dzieliło sześć miesięcy i doszło do nich w różnych krajach.

Christina wyczuła jego wątpliwości. Doskonale je rozumiała.

– Nie spałam dzisiaj całą noc – zaczęła. – Przekopałam się przez wszystkie materiały archiwalne, do jakich miałam dostęp, byłam ciekawa, co uda mi się znaleźć. O śledztwie. O Janine.

Leo rzucił w jej stronę krótkie spojrzenie. O tym nie wiedział.

– W jednej z informacji była krótka wzmianka, że uznano to zaginięcie za dobrowolne, ponieważ...

Szukała w pamięci odpowiednich słów, żeby jak najwierniej oddać tamto sformułowanie.

– ...ponieważ wiele na to wskazuje, że Janine zabrała ze sobą wszystkie swoje osobiste rzeczy. Czy coś w tym stylu.

Albert popatrzył na nią. To jedynie detal, ale być może prowadzący w dobrym kierunku.

– No i? – spytał.

– Kiedy zniknął mój były mąż – z jedną nogą założoną na drugą odwróciła się w stronę Alberta na tyle, na ile pozwalał jej pas bezpieczeństwa – zabrał wszystko. Mówiąc „wszystko”, mam na myśli nie tylko ubrania, kosmetyki i tak dalej, no wie pan, rzeczy, które zwykle się pakuje, jeśli bierze się wszystko. Ja mam na myśli naprawdę *wszystko*. Komputery, literaturę fachową, teczki z dokumentacją dawnych eksperymentów, wykazy i różne drobiazgi, których bez szczególnego powodu nie powinien nigdzie ze sobą wywozić.

Leo zerknął na nią kątem oka. Czekał na dalszy ciąg, na wzmiankę

o pozostawionych zdjęciach córki. Jednak Christina nie wspomniała o tym. Przymrużyła lekko oczy i przez chwilę przyglądała się Albertowi, nic nie mówiąc.

W końcu z tylnego siedzenia dobiegły jego słowa.

– Mówili, że mnie zostawiła – odezwał się bardzo słabym głosem. – Mówili, że musiała już dawno coś takiego planować i że to normalne, że ludzie bywają porzucani, w ogóle się tego nie spodziewając, i że zrozumiałe, jak bardzo nie potrafię tego zaakceptować, ale miłość po prostu czasem się kończy. A ja myślałem wtedy: pocałujcie mnie w dupę. Oczywiście im tego nie powiedziałem. – Przerwał. – Ale wiedziałem swoje.

Spojrzał na Christinę. Ona powiedziała to za niego:

– Janine wzięła ze sobą za dużo.

Pokiwał głową, co oznaczało potwierdzenie, ale także to, że zadawał sobie to samo pytanie, jakie wcześniej tyle razy ona też sobie stawiała, a teraz mógł je wypowiedzieć głośno przed kimś, kto zdawał się myśleć podobnie jak on.

– Po co miałyby to zabierać? Ubrania, których nie używała. Notatki ze starych wykładów na tematy, które jej już nie obchodziły. Rzeczy, które trzymałem po mojej mamie, ale leżały w jej szafie. *Wszystko*.

– Jaki pan wyciągnął z tego wniosek?

– Ktoś spakował to za nią.

Christina jedynie skinęła głową. I znowu zaległa cisza.

– Jeśli za tym kryją się ci sami ludzie – odezwał się po chwili, szczególnie akcentując owo *jeśli* i mówiąc słabym głosem, jakby nie miał odwagi w to uwierzyć – to co to może znaczyć?

Brak odpowiedzi.

Patrzył na nią i zdawał się targować sam ze sobą, jakby koniecznie chciał coś dodać, ale nie miał pewności, czy powinien.

W końcu pochylił się do przodu.

– Czy pani były mąż miał jakieś powiązania ze Szwajcarią?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Christina aż odrzuciła głowę do tyłu.

– Nie – odparła. – Dlaczego pan pyta?

– Bo dostałem coś takiego.

Nadal patrzył na nią. Wyciągnął z płaszcza żółtą kopertę zaadresowaną do Emanuela Sphynxa, ostemplowaną przez maszynę frankującą z nadrukiem Berno, tę, którą pokazał policji i która sprawiła, że bał się teraz jechać do domu czy do pracy bądź pokazać w jakimkolwiek miejscu, gdzie ewentualnie można by się go spodziewać.

Wzięła ją do ręki. Trzy zapisane odręcznie kartki.

Tysiące pytań. Otworzyła usta, by je zadać.

W tej samej chwili nastąpił wstrząs.

Reakcja Leo była w gruncie rzeczy całkowicie irracjonalna, ale być może to właśnie dzięki niej się uratowali.

Leo sądził, że ktoś na nich najechał, i pomyślał, że to pewnie on znowu popełnił jakiś błąd, więc odbił w prawo, przekonany, że w niepojęty sposób po raz kolejny wylądował na przeciwległym pasie, w ogóle tego nie zauważywszy.

Tymczasem ich samochód był już tak blisko prawego pobocza, że bliżej się nie dało.

Więc kiedy nagłym szarpnięciem kierownicy został rzucony w bok, koła nie trafiły już na drogę, tylko na trawę i zaczęli się toczyć po pochyłości z tysiącem wybojów, podczas gdy Leo naciskał hamulec do oporu, napinając każdy mięsień swego ciała.

Dopiero gdy pojazd się zatrzymał, zrozumieli, co się stało.

A kiedy wygramolili się z niego, poczuli zapach benzyny i ziemi. Wszędzie było ciemno od dymu i rozległ się straszny huk.

Najbardziej irytowało Williama, że zapanowanie nad własnymi myślami kosztowało go tyle wysiłku.

Pocierał sobie energicznie twarz, masował skronie, uciskał kości policzkowe tak mocno, że aż bolało, jednak nic to nie pomogło.

Zaprowadziła go pod ścianę.

Do samego końca całego ciągu pogrupowanych kartek z pismem klinowym. Położyła płaską dłoń na jednej z nich i poprosiła, żeby popatrzył na kartkę, którą ma w ręce.

– Nie wiedziałam, w którym miejscu to powinno być. Ale byłam przerażona.

Nie rozumiał, o co jej chodzi.

Ostatnie znaki na kartce, którą mu dała, były identyczne z tymi na arkuszu na ścianie i prawdopodobnie przedstawiały coś, co już się wydarzyło, i pewnie to ją przerażało, tylko na razie nie wiedział dlaczego.

– To jest powód, dla którego tu jesteśmy – powiedziała.

Nie odezwał się ani słowem.

– To wszystko, co się dzieje: Helena Watkins, strach, że ty i ja zostaliśmy zarażeni, wirus – tak miało być.

Czekał dalej.

– Oni wiedzieli, że to się wydarzy. Oni wiedzieli, i teraz właśnie to się dzieje.

– Co?

Starła się znaleźć sensowne określenie. Takie, które nie będzie brzmiało ani naiwnie, ani zbyt umiarkowanie, ani absurdalnie, ani jakby zostało wyjęte z komiksowego dymku. Ale każde sformułowanie, jakie przychodziło jej do głowy, stanowiło mieszaninę wszystkiego po trochu.

– Sądzę, że niedługo umrzemy.

Powiedziała tylko tyle. A po chwili dodała:

– Nie. Ja *wiem*.

William przymknął oczy.

Kręcił głową, jakby miał nadzieję, że dzięki temu komórki w jego mózgu znajdują się na właściwych miejscach niczym klocki w tetris, ułożą się w całość i pomogą mu przyswoić to, co powiedziała Janine.

– Skąd to wiesz? – spytał w końcu. Zniżył głos i nawet nie otworzył oczu. – Skąd wiesz? Stoisz tu i patrzysz na te wersy, i w jednej chwili mówisz, że to język symboliczny i że można go interpretować na różne sposoby, a za moment twierdzisz, że wiesz. Skąd?

– To jest język. Nie mogę ci narysować wykresu. Po prostu wiem.

– A czy nie możesz się mylić? Przecież mogłaś wyciągnąć jakiś zupełnie zwariowany wniosek. Możesz mieć rację tylko co do części tego wszystkiego, co do chronologii, wydarzeń historycznych, co do wszystkiego innego poza tym, co mówisz teraz.

Janine spojrzała na niego.

Niczego bardziej nie pragnęła, niż przyznać, że on ma słuszość.

Tylko że dobrze wiedziała, że tak nie jest.

Wiedziała, że teksty dotyczące historii potwierdziły przyszłość, że ściana potwierdziła jej myśli, i jakkolwiek on starałby się podważyć te wnioski, ona i tak będzie w stanie się obronić i precyzyjnie przedstawić, jak wszystko się ze sobą wiąże.

Jako naukowiec mogłaby być z siebie dumna.

Tymczasem targał nią lęk i coś jeszcze.

Smutek?

Westchnęła ciężko, ruszyła z powrotem w kierunku ściany, przeszła wzdłuż wszystkich wydruków, szukając właściwego miejsca. Tutaj. Zatrzymała się. Przesłoniła dłonią jedną z kartek.

– Proszę. Czternasty wiek. Zgadza się?

William pokiwał głową. Janine doskonale wiedziała, co to znaczy: możliwe, zdawał się mówić. Możliwe, że masz rację we wszystkich swoich hipotezach o osi czasu, chronologii, wydarzeniach i Bóg wie czym jeszcze. Zrezygnowana wzruszyła ramionami. Brakowało jej sił, by walczyć z jego oporem przed zrozumieniem. Zwłaszcza że miała świadomość, iż w głębi ducha jest już tego bardzo bliski.

– Ekspansja imperium Mongołów – powiedziała, wskazując na kartki po lewej. – Zniszczenie Samarkandy i Buchary.

Wciąż trzymała dłoń na arkuszach dotyczących czternastego stulecia. Wskazała na prawo.

– Teraz w tę stronę. Konstantynopol. Trzęsienie ziemi w Shanxi. Nowogród. Jakies zastrzeżenia?

Może. Jednak nic nie powiedział.

Janine wróciła do papierów, które miała przed sobą.

– Wybuch epidemii dżumy. Znowu – wskazała na niektóre z symboli. – Szczury. Choroba. Epidemia. Śmierć. *Niepowstrzymana zaraza*.

Ostatnie słowa powiedziała, nie odrywając oczu od niego, jakby to było coś niezwykle ważnego i jakby on musiał koniecznie pojąć doniosłość tego, co usłyszał.

– Ale dlaczego – zakwestionował ponownie – dlaczego to ma znaczyć, że umrzemy?

– Dlatego.

Chwyciła za dolny koniec kartki, pociągnęła ją lekko, tak by oderwała się od

ściany; u góry pozostały w niej dwie małe podłużne dziurki od pinesek, którymi była przypięta.

Złożyła kartkę w harmonijkę, ukrywając w kolejnych zakładkach rząd za rzędem, aż pozostał widoczny tylko ten na samym dole.

Znaki w najniższym wierszu.

Ruszyła w kierunku Williama.

Minęła wiek dziewiętnasty, drugą wojnę światową i tsunami, przeszła aż do rogu, w którym stał on nadal przy kartce identycznej z tą, którą trzymał w ręce. Na samym końcu ściany, po prawej stronie.

Janine przysunęła swoją złożoną kartkę. Podniosła ją do góry, przyłożyła do tej ze ściany.

Oba rzędy znaków w jednej linii obok siebie.

Zgadzały się co do joty.

To były te same słowa.

Niepowstrzymana zaraza.

Spojrzała na niego.

Widziała, że zrozumiał.

– *Dlatego.*

Annie Wagner biegła przez korytarze, omijała łóżka na kółkach i stojaki, które stały jej na drodze, choć nie powinny.

Panował jeden wielki chaos, a wkrótce miało być jeszcze gorzej.

Pracowała u boku doktora Josepha Grossego przez cały dzień, widziała ogromne oddanie w jego oczach, kiedy wykonywał jedną operację za drugą i ratował jednego człowieka za drugim, niczym Pan Bóg unoszący się między ciałami i usiłujący tchnąć życie tam, skąd już uszło albo przynajmniej miało zamiar.

Znalazł się jako pierwszy na miejscu wypadku, zajął się ofiarami od razu na autostradzie, udzielał pierwszej pomocy i oceniał stopień obrażeń u poszkodowanych, aby wysłać ich w odpowiedniej kolejności do szpitala Slotervaart. A później robił swoje przez wiele godzin przy stole operacyjnym, dopóki zmęczenie nie spowolniło jego ruchów i nie stępiło ich precyzji; wtedy ktoś wreszcie kazał mu iść i odpocząć.

A teraz jeszcze to.

Kiedy dotarła do nich ta alarmująca informacja, nikt w nią do końca nie wierzył.

Trudno było sobie wyobrazić, żeby to mogła być prawda, nie po takim dniu jak dzisiejszy, to chyba tylko jakiś kiepski żart. Wszystkie rozmowy telefoniczne i każda niezbędna czynność zajmowały zdecydowanie za dużo czasu, teraz jeszcze ta panika,

ambulanse w drodze, a doktor Grosse zdążył zdrzemnąć się zaledwie kilka nędznych godzin, może nawet nie.

Podziwiała go.

Nie, chyba gorzej. Ona się w nim zakochała. I jeśli nawet wyglądało to na oklepany schemat, to trudno, jeśli śmieszna i niedojrzała mogła się wydawać jej bezbronność wobec żaru i oddania bijących z czyichś oczu, to owszem, niech będzie, że jest śmieszna i niedojrzała, nic jej to nie obchodzi. Spieszyła teraz przez korytarze i chociaż czuła się bardzo zmęczona, trzymała się prosto, a jej kroki były zdecydowane i energiczne, gdy zmierzała do drzwi w głębi.

Rozpierała ją duma z powodu tego, co robił.

Co prawda nie miała do tego prawa, ale co tam.

Za chwilę położy rękę na jego ramieniu i powie, że stało się coś przerażającego i że w drodze do szpitala są setki poszkodowanych. A on co najwyżej będzie wiedział, jak ona się nazywa, ale to i tak wystarczy, aby jeszcze przez kilka godzin utrzymać ją w formie.

Odgłos jej krzyku, kiedy rozbłysły jarzeniówki, kazał personelowi na całym piętrze natychmiast porzucić to, czym akurat się zajmował, i puścić się pędem przez korytarz do drzwi, przy których Annie Wagner stała z pustym wzrokiem i bez tchu. Właśnie zwymiotowała sobie prosto pod nogi. W pierwszej reakcji posadzili ją na krześle, kazali opuścić głowę między kolana i wolno oddychać. Miała za sobą długi dzień. To zmęczenie i dramatyzm dzisiejszych wydarzeń, potrzebowała trochę snu, wody i może cukru, a potem znowu wróci do sił.

Tak myśleli.

Dopóki nie zrozumieli, dlaczego krzyczała.

Jako pierwszy odkrył to jeden z pielęgniarzy. Najpierw sądził, że Joseph Grosse został brutalnie zadźgany nożem, bo skąd wzięłaby się cała ta krew, jak mogłaby wypłynąć w takiej ilości na podłogę, wsiąknąć w prześcieradło i ospałymi strużkami utorować sobie drogę aż do kratki ściekowej pod umywalką?

Pielęgniarz odwrócił go, żeby sprawdzić puls na szyi.

Ale Joseph Grosse nie miał szyi.

Skóra została na leżance, przywarła do papierowego prześcieradła niczym źle wyrośnięta muffinka do nieposmarowanej formy. Człowiek, który zaledwie kilka godzin temu był szefem, kolegą, bohaterem w białym fartuchu, biegającym z oddziału na oddział i dzielącym się swoimi umiejętnościami w celu ratowania życia jednego człowieka za drugim, teraz leżał tuż przed nim jako pozbawiona skóry masa z wybaluszonymi martwymi oczami, jakby jego ciało przez długie tygodnie zostało wystawione na działanie niepogody i wiatru, a nie odpoczywało przez krótki wieczór w ciemnym i chłodnym pomieszczeniu jednego z najbardziej nowoczesnych

szpitali w Europie.

Kiedy młody pielęgniarz odwrócił się do swoich kolegów stojących w drzwiach, nie musiał im nic mówić.

Zaledwie po kilku minutach szpital został objęty kwarantanną i powiadomiono rząd.

Morze migoczących kolorów. Samochód, którym jechali, mógł być jego częścią.

Pulsujące niebieskim światłem lampy sygnalizacyjne pojazdów uprzywilejowanych – straży pożarnej, policji, karetok pogotowia – przecinały powietrze, obracały się, ukazując na ułamek sekundy fragmenty okolicy i pozostawiając je zaraz z powrotem w mroku późnego popołudnia. Białe światło rzuciły lampy prywatnych samochodów i służb ratowniczych, a także silne reflektory umieszczone wysoko w górze na ramionach dźwigów, by ekipy ratownicze mogły cokolwiek widzieć.

Ale przede wszystkim powietrze migotało na żółto i pomarańczowo. Wszędzie dookoła można było zobaczyć mniejsze i większe ogniska, które nie chciały się wypalić, buchające płomienie i żarzącą się czerwień, płonące stosy w miejscach, gdzie jeszcze niedawno stał dom, drzewo, samochód lub cokolwiek innego, co zostało strawione przez ogień po tym, jak samolot swym cielskiem przedarł się przez park, dzielnicę mieszkaniową i centrum miasta. Wszystko zmasakrował, zmiażdżył i pozostawił za sobą głęboką czarną bruzdę.

Amsterdam płonął.

Zaczął się od krateru sadzy przy północnej granicy Amstelpark. Tam maszyna dotknęła ziemi, a potem toczyła się do przodu, orząc nosem podłoże niczym gigantyczny pług złożony z blachy, ludzi i jeszcze raz z blachy. Skrzydła rozpostarte na całą szerokość ścinały drzewa, dachy samochodów, domy, w końcu samolot pękł i rozpadł się na części, które toczyły się dalej w poprzek trasy europejskiej E19 i między domami w Scheldebuurt. To, co kryło się pod nazwą „lot 601 do Los Angeles”, leżało teraz w ciemnościach rozrzucone na przestrzeni kilkuset metrów, zwęglone i tłące się, roztrzaskane na kawałki i dymiące pod warstwą piany.

Leo patrzył na to, nie widząc.

Do jego nozdrzy dochodził zapach paliwa samolotowego, dymu i ognia, a mimo to nie czuł niczego, jego uszu dobiegał ryk silników, odgłos syren i szloch ludzi, a jednocześnie nie słyszał zupełnie nic.

Przyglądał się, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Tak samo zachowywały się setki ludzi zgromadzonych wokół. Policja pilnowała, aby zachowali odpowiednią odległość, choć przecież miała ważniejsze rzeczy do roboty, ale takie jest życie.

Gapie nawet nie napierali. Wszyscy byli przerażeni i wstrząśnięci. Odebrało im mowę. Jeden z policjantów chodzących wzdłuż taśmy odgradzającej zatrzymał się przy Leo.

– Jak się pan czuje? – spytał.

– Miałem szczęście – odpowiedział.

– Dobrze by było, żeby pana ktoś obejrzał.

Leo skinął głową wymijająco. Rozbił sobie w samochodzie łuk brwiowy o słupek między oknami, czuł ból i pulsowanie w tym miejscu, na czole miał krew, ale inni byli znacznie bardziej poszkodowani od niego.

Policjant bąknął jeszcze coś pod nosem, dał znak ręką, aby Leo również odrobinę się cofnął, bardziej dla formalności niż z rzeczywistej potrzeby.

Niemal tuż za nim stał Albert i kiedy Leo wykonał krok w tył, on zrobił to samo; przez ułamek sekundy grzecznie wymienił spojrzenie z policjantem, mając w duchu nadzieję, że wszyscy są zbyt pochłonięci tym, co się stało, by przypomnieć sobie rysopis mężczyzny, który popchnął innego mężczyznę pod samochód kilka godzin temu.

– Nie marznie pan? – Albert usłyszał głos Leo przed sobą.

Musiał się zastanowić, zanim odpowiedział.

Było zimno, to prawda, ale nie marzył, mimo że jego płaszcz został w samochodzie, a on stał tylko w marynarce i cienkiej koszuli.

Do pewnego stopnia była jakaś logika w tym, co się wydarzyło.

Nie potrafił bowiem oprzeć się wrażeniu, że wszystkie te absurdy, które dzisiaj przeżył, nie, które przeżywał od roku, jakby kumulują się i zbiegają razem, dlaczego by więc nie w taki na przykład sposób?

– Niech pan idzie i się ubierze – rzucił Leo.

Albert spojrział na niego.

– No w płaszcz. Jest naprawdę zimno, mówię panu.

Wskazał głową na ich wynajęty samochód. Stał nieco dalej na zboczu, dokładnie w tym samym miejscu, w którym się zaryli jakąś godzinę temu albo dwie, trudno powiedzieć.

Albert patrzył nadal na niego. Nie było mu zimno, ale nie chciał się sprzeciwić.

Leo został wśród gapiów, wiodąc za nim wzrokiem, jak schodzi po pochyłości i po chwili otwiera tylne drzwi. Widział jego lekkie półbuty zapadające się w brunatnej glinie, obserwował ostrożne kroki w śliskich i głębokich koleinach pozostawionych przez Leo podczas hamowania po zderzeniu.

Nie, nie, poprawił siebie. Po *kolizji*.

Oni z nikim się nie zderzyli.

Oni zostali najechani, ale nie przez samochód ani żaden inny pojazd, tylko przez drzewo, dosłownie przez toczące się drzewo. Kiedy Leo udało się w końcu zatrzymać auto, w pierwszej kolejności przyszła mu do głowy myśl, że żadna firma ubezpieczeniowa na świecie nie uwierzyłaby mu w to, co próbowałby opowiedzieć.

I wtedy usłyszał ten hałas.

Dotarł do niego z pewnym opóźnieniem; narastające dudnienie, mimo że samochód stał już w miejscu i właściwie powinno być cicho, tymczasem wibracja narastała i narastała, z każdą sekundą coraz bardziej, a ponad skrajem drogi ciemniejące niebo przesłoniła popołudniowa mgła przesycona żółcią, a nie niewidoczną szarością. Wszyscy troje wyskoczyli z samochodu, nie zdążywszy nawet się upewnić, czy nie mają żadnych obrażeń.

I począwszy od tamtej chwili, ubezpieczenie samochodu wydawało się najmniejszym problemem na świecie.

Drzewo, które spowodowało kolizję, leżało na asfalcie, dokładnie na brzegu rowu, w miejscu, gdzie oni odbili w prawo z drogi. Leżało obok innych drzew, połamanych i porozrzucanych po jezdni razem z antenami i słupami telefonicznymi, które także zostały przewrócone przez toczący się samolot, może przez jego silniki albo którąkolwiek inną oderwaną część miażdżącą po drodze wszystkie niższe przeszkody, podczas gdy kadłub maszyny opadał niczym zniżające się frisbee, tnąc płasko powietrze, by za chwilę w ten sam sposób przeciąć krajobraz, zabudowania i wszystko, co było widać w oddali.

Mieli szczęście.

Obłędne szczęście.

Samolot przeleciał prosto nad nimi, wciąż jeszcze zachowując wysokość pozwalającą mu się unosić, dopiero kilkaset metrów dalej runął na ziemię i porwał za sobą wszystko, co było na jego drodze.

A oni stali na skraju rowu, Christina, Albert i Leo, bezradni i znieruchomiali, i żadne z nich nie powiedziało nawet słowa.

Huk ustał i zaległa cisza. A może to tylko działanie szoku. Zanim zdążyli powyciągać swoje telefony, aby zadzwonić po pomoc, w oddali pokazał się już blask niebieskich migających świateł.

I w ciągu zaledwie kilku minut wszystko wkoło zmieniło się nie do poznania.

Ciemność i ciszę zastąpiły jasność oraz mrowie ambulansów i ludzi.

Spokojny zimny wieczór skończył się i miał już nigdy nie wrócić.

Kiedy Christina Sandberg szła szybkim krokiem przez ściętą mrozem trawę wzdłuż taśmy odgradzającej, Leo uzmysłowił sobie, że nawet nie zauważył, jak długo jej nie było.

Z przyciśniętą do ucha komórką odszukała wzrokiem Leo i uniósłszy palec do góry, kazała mu jeszcze chwilę poczekać. Zostań tam, gdzie jesteś, zdawała się mówić. Będę cię potrzebować.

Było to kompletnie bezsensowne upomnienie.

Gdyby nawet Leo zachował przytomność umysłu na tyle, by podjąć jakąkolwiek decyzję, to i tak nie wiedziałby, dokąd miałby się wybrać. Znaleźli się na przedmieściach miasta, którego nie znają, i stał wśród tak samo jak on osłupiałych, zszokowanych i zagubionych ludzi niewiedzących, co ze sobą począć.

Wreszcie podeszła do niego. Wyłączyła swój telefon i podała go jemu.

– Rozmawiałam z redakcją – oznajmiła. – Jak wyglądam?

Leo miałby wiele odpowiedzi na to pytanie, ale żadna nie wydawała się właściwa w tym trudnym momencie. Bo z jednej strony Christina była niejako z definicji frustrująco piękna, ale z drugiej wyglądała dokładnie jak ktoś, kto właśnie rozbił się wypożyczonym samochodem, widział wrak samolotu miażdżący pół dzielnicy, a potem schował wszystkie swoje emocje za legitymację dziennikarską i odszukał osobę dowodzącą akcją ratowniczą, licząc na to, że z koszmaru da się zrobić fantastyczny news.

Nie odpowiedział więc na jej pytanie.

– Co pani zamierza?

– Za pięć minut zrobimy relację na żywo na naszą stronę – oznajmiła, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem.

Uśmiechnęła się sztucznie – mięśnie jej twarzy nauczyły się ukrywać, co ich właścicielka naprawdę czuje – kilkoma ruchami palców uniosła i lekko potargała sobie włosy, co prawdopodobnie miało nadać im objętość, ale nic nie pomogło, po czym wzięła od niego z powrotem telefon i uruchomiła kamerkę. Szybki rzut oka na wyświetlacz, na własną twarz. Nie było oszałamiająco, ale do przyjęcia. Zbyt świeży wygląd mógłby sugerować, że relacjonujący nie jest na miejscu zdarzenia, z kolei zbyt naturalny i niechlujny odebrano by jako niewiarygodny. Przesuwając palcami po ekranie, znalazła to, czego szukała, i znowu podała mu komórkę.

– Daj mi swoją.

Usiłując wziąć się w garść i próbując otrząsnąć się z szoku oraz dziwnego poczucia zawieszenia w próżni, zrobił, o co prosiła – wygrzebał z kieszeni telefon i wręczył jej. Denerwował się. Denerwował się tym, że pracuje z Christiną Sandberg – nie *dla* niej, ale *razem* z nią. A także tym, że to, co za chwilę nagrają, zostanie nadane na żywo i znajdzie się w sieci niemal w tym samym momencie, kiedy to wszystko dzieje się na ich oczach. Zdawał sobie sprawę, że jego obawy są po prostu śmieszne, bo oto świat wywrócił się do góry nogami, wokół niego płonie Amsterdam, więc pies z kulawą nogą nie będzie się zastanawiał, jak on poradził sobie z kamerą. Jednak to nic nie pomagało.

Byli największym portalem informacyjnym w Szwecji. A po takim wydarzeniu liczba odwiedzających na pewno poszybuje na sam szczyt, zwłaszcza że prawdopodobnie ich relacja będzie w ogóle pierwszym przekazem na żywo z miejsca

zdarzenia, a to wielka rzecz.

Domyślała się, co chodzi mu po głowie. Wybrała jakiś numer z jego telefonu, przycisnęła odrapaną komórkę Leo do ucha i patrzyła na niego, czekając jednocześnie na odpowiedź.

– Tylko teraz żadnych nerwów. Ty stoisz tam, ja tu, w tle samolot. Okej?

Nie spodziewała się odpowiedzi. Znowu podniosła palec do góry, co tym razem miało znaczyć, żeby Leo się nie odzywał.

– To znowu ja. I co, może być?

Chodziło jej o dźwięk. Odliczyła głośno do wiszącego małego mikrofonu, zrobiła próbę głosu dla kogoś, kto był po drugiej stronie, pokrywając grubą warstwą profesjonalizmu taki sam strach i szok jak u innych.

Leo trzymał już kamerkę skierowaną prosto na nią.

Głos w uchu Christiny dał potwierdzenie. W redakcji otrzymywali i obraz, i dźwięk, i wszystko wyglądało okej, więc jeśli o nich chodzi, można zaczynać w każdej chwili.

Christina odetchnęła głęboko kilka razy. Przygotowywała się.

Była w tym dobra, potrafiła stać niewzruszona, kiedy wokół niej panował największy chaos. W takich właśnie momentach jak ten kochała swój zawód, bo pozwalał jej zachować dystans i znaleźć się niejako poza rzeczywistością, jakby wchodziła w rolę rodziców całego świata i jako ta dorosła musiała wyjaśnić, jak się sprawy mają.

Umiała jak nikt odnaleźć się w takich sytuacjach.

Kryzysy osobiste były trudniejsze, tam nie było żadnej zasłony, za którą można by się ukryć, żadnych obiektywnych relacji, gdy uczucia wdzierały się z całą mocą. Ale tu – stuprocentowa profesjonalistka, właściwa osoba na właściwym miejscu. W głębi ducha Christina wiedziała, że oto za chwilę nie tylko nada jedno z pierwszych sprawozdań naoczego świadka z miejsca największej katastrofy lotniczej, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w Europie, ale także dostarczy swego rodzaju usprawiedliwienia, gdyby kiedyś kwestionowano jej wyjazd do Amsterdamu akurat tego dnia.

Christina Sandberg przymknęła oczy. W myślach przebiegła wszystko, co wiedziała.

W porządku. Jest gotowa.

Wyprężyła się, wyprostowała plecy, wzięła głęboki oddech. Poprawiła kabelek, aby mikrofon znalazł się na wprost jej ust, odpowiednio blisko, ale ich nie zasłaniając. Następnie skinęła głową do Leo i spojrzała w mikroskopijny obiektyw przed sobą.

– Możemy zaczynać.

Dopiero wtedy, kiedy minutę później Leo przysłuchiwał się relacji Christiny opowiadanej prosto do kamery, zdał sobie sprawę z rozmiarów tego, co się stało.

Lampka w rogu zmieniała kolor z zielonego na czerwony, jednocześnie zapalił się napis *live*. Im więcej szczegółów padało z ust Christiny, tym trudniej było mu spokojnie trzymać telefon w ręku.

Bruzda, którą wrył kadłub samolotu, miała niemal sto metrów szerokości, mówiła, a w niej znalazły się zrównane z ziemią domy, sklepy, jedna szkoła, na miejscu gorączkowo pracowały służby ratownicze usiłujące znaleźć wśród zwałów gruzu i płomieni żywych ludzi. Skrzydła odłamały się od maszyny i sunęły po ziemnym półmetrowej grubości brzytwie, odbijały się od niej i zakopywały na nowo, ślizgając się po płaskim terenie, dopóki całość nie zatrzymała się wreszcie ponad kilometr od miejsca upadku.

– Liczbę ofiar szacuje się, tu cytuję służby ratownicze – wtrąciła Christina – na wiele, wiele tysięcy osób.

W szkole trwały jeszcze lekcje. Sklepy były otwarte. Ludzie siedzieli na wykładach lub na spotkaniach albo pochyleni nad zabawkami z dziećmi czy rozmawiali przez telefon i wszyscy mieli ważne sprawy oraz wielkie plany, a w następnej sekundzie nic się już nie liczyło i nie odgrywało żadnej roli.

Stojący z kamerą w dłoni Leo wbił zęby w dolną wargę, bo przecież nie mógł dopuścić do tego, żeby się rozplakać, nie tutaj, nie na oczach Christiny Sandberg, nie teraz.

Nie powinno go tu w ogóle być.

Powinien był leżeć w swoim łóżku w sztokholmskim Söder i nic sobie nie robić z sygnałów telefonu, bo przecież nikt rozsądny nie dzwoni o piątej nad ranem. Tymczasem teraz stoi nie wiadomo gdzie w Amsterdamie i gdziekolwiek spojrzy, do oczu wdziera mu się czarna rzeczywistość, a nie da się sięgnąć po pilota i zmienić obrazu na lepszy.

Leo Björk skończył dwadzieścia cztery lata.

I to był najgorszy dzień w całym jego życiu.

Ale nawet nie przypuszczał, jak szybko okaże się to niczym w obliczu tego, co już zaczynało się dziać na drugim końcu miasta.

William uczestniczył w czymś takim wystarczająco wiele razy, by dokładnie wiedzieć, jakie to uczucie, kiedy wszystkie elementy układanki zaczynają pasować do siebie.

Stał i patrzył na dłonie Janine, na palce podsuwające do góry samotny wers wypełniony symbolami pisma klinowego, ten, który zgadzał się co do joty z wersem powyżej i który według niej oznaczał jedno.

Dżumę. Zarazę.

Usiłował za wszelką cenę pozostać chłodny, obiektywny, logiczny.

Znaleźć odpowiednie krytyczne punkty i pytania, które by naruszyły ciągłość jej wywodu i wykazały, że niekoniecznie udało się jej czegoś dowieść.

Ale gdy błądził po omacku wśród swoich mglistych myśli, nie znajdował niczego, czego mógłby się chwycić: wydarzenia historyczne zapisane w materiale genetycznym człowieka, wirus dziesiątkujący ludzi, stworzony przez samą Organizację, i klucz, który miał pomóc w zakodowaniu odpowiedzi... Tylko na co? Na przepowiednie?

Przecież nie można, do cholery, odpowiedzieć na coś, co nie jest pytaniem.

I w tym momencie pojawiło się to znajome uczucie.

Zaczerpnął głęboko powietrza, spojrzał w głąb siebie, jeszcze raz, jakby tam właśnie szukał, nie, w swoich myślach, szukał pęknięcia lub błędu przeczącego logice, jednak nigdzie na nic nie natrafił.

To musi być prawda.

Wirus, kody, DNA i brak czasu.

Wszystko się zgadza.

A na każde pytanie, jakie sam sobie zadawał, pojawiała się nowa odpowiedź zgadzająca się z poprzednimi, niewyraźne przecucie przeradzało się w rzetelny wywód myślowy, w którym nie można było znaleźć żadnej dziury, a kiedy obraz ukazał się jego oczom wyraźnie, przekonanie stało się tak silne, że aż sprawiało ból.

Otworzył usta, aby to powiedzieć.

– Już wiem, po co jest wirus – oznajmił. – I wiem, po co my tu jesteśmy.

Janine spojrzała na niego.

Miała tysiące pytań.

Ale zanim zdążyła mu je zadać, usłyszeli kroki na korytarzu i zamilkli w oczekiwaniu na to, co nastąpi.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Connors.

Zaległa przerażająca cisza.

Po czym generał odchrząknął i poprosił ich, aby poszli za nim.

Connors kroczył przez kamienne korytarze. Między jego brwiami zaznaczyły się głębokie bruzdy wyryte troską.

Za nim odbijały się echem kroki Williama i Janine.

On miał rację, Franquin się mylił. Nie da się trzymać ich z daleka, nie da się oczekiwać od nich rezultatów, pozostawiając ich jednocześnie w niewiedzy.

Teraz w końcu będą mogli rozmawiać otwarcie.

Pytanie tylko, czy to ma jeszcze jakieś znaczenie.

Albowiem przeważająca część jego osoby drżała z obawy, że już nic nie da się zrobić.

Telefon Christiny Sandberg leżał przed nimi na stole niczym element kiepsko zaaranżowanej martwej natury, między butelkami z napojami gazowanymi i talerzami z nietkniętym jedzeniem, które zrobiło się już zimne i suche.

Za oknem była noc, ale nikt nie spał.

W długich szeregach okien odbijał się blask ekranów telewizyjnych i monitorów komputerowych, wszędzie siedzieli ludzie i próbowali się zorientować, co się stało, dzwonili do znajomych, żeby się dowiedzieć, czy jakiś zaginiony już wrócił do domu, czy wciąż nie ma o nim żadnych wieści, i za każdym razem, gdy w jednym końcu miasta ktoś oddychał z ulgą, w drugim pod kimś innym ugięły się kolana.

Christina nie wiedziała, od ilu już godzin nie zmrużyła oka, ale czuła, że jest zmęczona. Gdy tylko podnosiła wzrok, wszystko wokół poruszało się tak, jakby było zanurzone w gęstej cieczy; przed nią siedzieli Leo i Albert, tak samo dalecy jak ona sama i jak wszyscy inni w tym na wpół pustym pubie w piwnicy.

Taki to był wieczór.

Nikt nic nie mówił.

Lokal, usytuowany kilka schodków poniżej ulicy w części miasta pachnącej baśnią i domkiem dla lalek, tonął w mroku. Znaleźli się tutaj z inicjatywy Alberta. Wyjaśnił, że to nie jest okolica, w której bywa. Chociaż policja miała zupełnie co innego na głowie, niż zajmować się nim, Leo zawiózł ich jednak tam, gdzie on chciał.

Za barem w głębi lokalu wisiał na ścianie duży płaski telewizor i pokazywał zdjęcia z miejsca katastrofy, na okrągło te same, a jednocześnie pasek z najświeższymi informacjami przesuwiał się na dole ekranu, odbijając się w rzędach butelek na półkach po obu stronach.

Siedzieli tu teraz.

Byli głodni, ale nie mogli jeść.

Usiłowali pozbierać myśli, tymczasem one wciąż się wymykały i wyslizgiwały, wypierane przez nieuchwytnie poczucie dystansu i szoku – nie chciały przyjąć konkretnej postaci.

A na brzegu stołu leżała żółta koperta.

Albert wyjął ją od razu, jak tylko złożyli zamówienie, wyjaśnił im, co zawiera, powiedział o nazwiskach, tekstach i strachu kryjącym się w liście, pokazał także stempel z nazwą miasta. Leo zrobił zdjęcie telefonem Christiny i wysłał je do redakcji w Sztokholmie, mając nadzieję, że kod maszyny frankującej doprowadzi ich do nadawcy.

Christina zaś zadzwoniła do Palmgrena, lecz nie odebrał.

Rozłączyła się zatem.

Wcześniej miała plan, ale jednocześnie była świadoma, że ten jej plan starczy tylko na jeden krok. Liczyła jednak na to, że kolejny wyłoni się sam, tymczasem siedziała teraz tutaj po całym dniu, który w żaden sposób nie przypominał tego z jej wyobraźni.

Pierwszy odezwał się Albert.

– Co teraz? – spytał.

Pokręciła głową. Nie miała pojęcia.

– Czekamy – odpowiedziała. – To jedyne, co możemy zrobić.

I czekali.

A wieczór toczył się dalej.

Na ekranie telewizora za nimi informacje na pasku dotyczące samolotu zostały zastąpione nowymi, pisanymi jeszcze grubszymi literami, ale w tej sytuacji nikt już nie miał siły na nie patrzeć.

Connors prowadził ich przez kamienne tunele, a potem przez grube stalowe drzwi do nowszych części budowli, cały czas w dół, do sterylnych korytarzy z jarzeniowymi lampami i o gołych ścianach, aż wreszcie uznał, że dotarli na miejsce.

Kiedy się do nich odwrócił, znajdowali się na końcu podziemnego labiryntu. Kilka stopni z ryflowanej blachy prowadziło do drzwi zamykających korytarz, z którego dawało się wyjść tylko tą drogą, jaką przyszli.

Ogólnie rzecz biorąc, miejsce nie różniło się od innych podziemnych przejść, które już widzieli. Z jednym wyjątkiem.

Tablice ostrzegawcze.

Te drzwi usiłowały im coś powiedzieć, i to za wszelką cenę; chciały przemówić

ogromnymi czarnymi literami na żółtym tle oraz za pomocą symboli oznaczających śmierć, niebezpieczeństwo i biologiczne zagrożenie.

Wyłącznie upoważniony personel.

Ryzyko zarażenia się.

Wirus.

Ani William, ani Janine nie odezwali się słowem, czekali na wyjaśnienie Connorsa, co tutaj robią. Spodziewali się, że poinformuje ich, iż podsłuchał rozmowę, że orientuje się, co wiedzą, i że to niedobrze, że zrozumieli. I może umieści ich zaraz po drugiej stronie drzwi, zamknie i zostawi na tak długo, że już żaden prysznic świata w plastikowej tubie im nie pomoże.

Tymczasem on nic takiego nie powiedział.

Zniżył głos i rzekł:

– Myślę, że już zrozumieliście. Bardzo mi przykro z tego powodu.

Janine widziała Williama kątem oka.

Kiwnął głową w odpowiedzi.

– Tak sądzę – odparł. I po chwili dodał: – Naszym problemem jest samo rozwiązanie, czy tak?

– Czyli zrozumieliście – odezwał się Connors.

Janine patrzyła to na jednego, to na drugiego. Cokolwiek William zrozumiał, ona chyba jednak za nim nie nadażała.

– Jakie rozwiązanie? – spytała. – Jakiego problemu?

William wziął głęboki oddech. Tylko dwa słowa.

– Wektory wirusowe. Zgadza się?

To wszystko, co powiedział. Czekał na reakcję Connorsa, ale się nie doczekał.

– Wyjaśnij mi – poprosiła Janine.

Skoro już zaczął, to może powinien skończyć.

– Myślę, że jest, jak mówię – kontynuował William ze wzrokiem skierowanym na Connorsa, jakby czekał na potwierdzenie, że jest na właściwym tropie. – Wirus jest naszym antidotum.

Connors potaknął, prawie nie ruszając głową.

– Przeciwno czemu?

– Przeciw nam samym.

Janine zerknęła na nich po kolei. Nam samym?

– Przeciw tekstom. Przeciw *dżumie*. Przeciw naszemu własnemu DNA.

Na tym skończył. Ona zaś energicznie pokręciła głową – albo on mówi jakimiś zagadkami, albo to wszystko nie trzyma się kupy, ale tak czy inaczej potwornie ją to irytowało.

– Co ty próbujesz mi powiedzieć? Że to my sami siebie zabijamy? – Jej głos był ostry od sarkazmu; w głębi ducha czuła, że nie jest to może konstruktywna postawa,

ale miała już dość i nie potrafiła inaczej. – Czyli to przez nasze własne DNA Helena leżała w tamtej skrzyni? I to z naszego własnego DNA próbowali nas wtedy wyszorować w tych cholernych plastikowych tubach? To chcesz mi powiedzieć?

Nie musiał. Bo ona sama czuła, że tak jest. Jednak nie mogła już znieść, że dostawała wszystko porcjami, chciała zrozumieć, a na razie nic nie pojmowała.

William pokręcił głową.

– Nie. To był wirus.

– Nie uważasz, że nie okazał się szczególnie udanym antidotum?

Wciąż nie mogła pozbyć się sarkazmu.

– I właśnie dlatego my tu jesteśmy – odparł William. – Prawda?

Z tym krótkim pytaniem zwrócił się do Connorsa.

A on wreszcie westchnął i powiedział:

– Sandberg ma rację.

Na jego ustach pojawił się przepaszający grymas. Jakby to była jego wina, że William zrozumiał szybciej niż ona.

– Założmy – zaczął Connors – że znalazłaby pani dokument, w którym byłoby napisane, co będzie się z panią działo przez resztę życia. Co by pani zrobiła?

– Rok temu chyba bym go wyrzuciła.

Pokiwał głową. Nie uśmiechnął się. To była rzecz poważniejsza, niż jej się wydawało.

– Ale gdyby się okazało, że ten dokument nie zawiera pomyłki? Gdyby się okazało, że został napisany na długo przed pani narodzeniem i wszystko aż do tej chwili się sprawdzało? I gdyby znajdowała się w nim też informacja, że niedługo ulegnie pani wypadkowi – to co by pani wtedy zrobiła?

Nie było na to dobrej odpowiedzi.

Janine czekała więc na dalszy ciąg.

– Pewnie próbowałyby pani to zmienić – powiedział Connors. – Nieprawdaż? Weszłaby pani do dokumentu, usunęła fragment o swoim nieszczęściu i zastąpiłaby go pani czymś pomyślniejszym.

Część jej osoby się domyślała, w jakim kierunku zacierają te wyjaśnienia.

To była ta sama część, która się buntowała i nie chciała zrozumieć.

– W połowie lat sześćdziesiątych – ciągnął – odkryliśmy, że ludzkie DNA jest pełne przepowiedni. I co z tym zrobiliśmy? W miarę jak się dowiadaliśmy, co ma się nam przydarzyć w przyszłości...

Popatrzył na nią, jakby jego spojrzenie miało wszystko wyjaśnić.

Janine milczała.

– ...byliśmy zmuszeni coś przedsięwziąć. Wysłaliśmy wołanie w kosmos z nadzieją, że ktoś nam odpowie, ale nic takiego się nie stało. Szukaliśmy w dawnych kulturach, w religiach całego świata, wszystko po to, aby znaleźć punkt zaczepienia,

by dowiedzieć się, jak te teksty trafiły do naszych organizmów i po co tam są, no i co możemy zrobić, żeby je usunąć. Ale znikąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Na koniec pozostało więc tylko jedno. Zmienić dokument.

Przerwał. Po chwili doprecyzował:

– Czyli wprowadzić nowe przepowiednie w nasze istniejące DNA.

Janine nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Czyli? – rzuciła tylko.

– Wirus – powiedział William. Cicho, z niewzruszonym spojrzeniem, jakby mówił do siebie.

Teraz Connors zabrał głos.

– Jak moglibyśmy zmienić geny wewnątrz materiału genetycznego człowieka? A mówiąc precyzyjnie: jeśli to, co jest zapisane w genach nas *wszystkich*, każdego człowieka na całym świecie, jest naszą wspólną przyszłością, to jak moglibyśmy zmienić tę przyszłość wszędzie? Jak moglibyśmy wejść we wszystkie bez wyjątku dokumenty na świecie i postarać się, aby nasze złe prognozy zostały usunięte i zastąpione czymś korzystniejszym?

I sam sobie udzielił odpowiedzi.

– Wirus jest w stanie przedostać się do komórek organizmu, zaszczepić w nich kopie swojego DNA i zmusić organizm do wytwarzania nowych komórek z nowym kodem zamiast starego. Powiedzmy, że da się sprawić, aby przenosił materiał genetyczny, który sami sobie wybierzemy. Aby wbudowywał go do komórek i zmuszał je do produkcji nowych, które będą wyglądały tak, jak chcemy, bo będą miały nowe geny zamiast starych.

Skinął w kierunku Williama, potwierdzając to, co nie wymagało potwierdzenia.

– Tak jest. Wektory wirusowe.

Spojrzał na nich oboje.

– Nowoczesna inżynieria genetyczna. To tutaj się narodziła. Nawet jeśli nigdy w żadnym podręczniku historii nie znajdzie się o tym wzmianka.

Przeniósł wzrok na Janine.

– Gdyby udało się nam opracować tę metodę do końca, pozostałaby tylko jedna kwestia. Wirus musiałby być maksymalnie zakaźny. Wtedy wystarczyłoby go jedynie wyprowadzić z laboratorium i się wycofać. I czekać, aż się rozprzestrzeni po całym globie i zastąpi niepożądane fragmenty materiału genetycznego – jak by to określić? – właściwymi.

Janine stała w milczeniu. Usiłowała zrozumieć, co tak naprawdę usłyszała.

– Chce pan powiedzieć, że my właśnie to tutaj robimy? Próbujemy zastąpić przyszłość ludzkości czymś, co sami wymyśliliśmy?

– Tak tego bym nie nazwał. Nie wymyśliliśmy.

– To jak by to pan nazwał?

Chwila milczenia.

– Opracowaliśmy.

Zapadła cisza.

– A teraz problem polega na tym, że wirus nie działa.

Connors potaknął.

– Coś się nie zgadza – rzekł. – Może to wina języka, za którego pośrednictwem przełożyliśmy nowe wersy na sumeryjski. A może sposobu zakodowania, w każdym razie zastosowane przez nas dotychczas klucze stworzyły sekwencje, które wywołują szkodliwe skutki zamiast dobrych. Nie da się też wykluczyć, że oba te czynniki są za to odpowiedzialne.

Przerwał, ale zaraz dodał:

– Wiemy na pewno, że wciąż nie znaleźliśmy właściwego rozwiązania. I że wszystkie wirusy, które dotychczas wykształciliśmy...

Po raz pierwszy skierował wzrok na duże metalowe drzwi za nimi. Żółte ostrzeżenia. Pulsująca lampka w czytniku.

Wyjął swoją kartę zbliżeniową.

Przyłożył do czytnika.

– Będzie trochę zimno, ale poza tym nie ma żadnego zagrożenia – rzucił przez ramię, czekając, aż drzwi się otworzą.

Unikał patrzenia im w oczy. Słyszał ich przyspieszone oddechy, nie chciał widzieć ich twarzy, bo wiedział, jak zareagują, i wołał sobie tego oszczędzić.

Wszedł do pomieszczenia obserwacyjnego, tego samego, w którym tyle razy stawał pełen nadziei razem z Franquinem i zawsze otrzymywał przygnębiającą informację.

Przed sobą mieli grubą szybę ze szkła warstwowego stosowanego w statkach kosmicznych.

Za nią morze szpitalnych łóżek.

Stali w ciszy. Długo.

Patrzyli na długie szeregi ludzi pod prześcieradłami. Jedni leżeli nieruchomo, u innych klatka piersiowa unosiła się i opadała w powolnym rytmie, wszędzie widniały plamy krwi w odcieniach od zaschłej czerni do żywej czerwieni.

Kiedy w końcu Connors spojrział na nich, miał w oczach coś zupełnie nowego.

Smutek. Może coś więcej. Skruczę.

– Wszystkie wirusy, które dotychczas opracowaliśmy, powodują, że zarażone nimi komórki rozpadają się.

– Rak?

– Nie ma nazwy na to, na co chorują ci ludzie.

– A kim oni są? – spytała Janine.

Connors jedynie pokręcił głową. To nie jest ważne. W każdym razie to nie temat,

o którym chciałby mówić.

– Jak tu trafili? – spytała znowu. – Czy wiedzą, jakie jest ich zadanie? A może ja i William też się tu znajdziemy, jeśli za jakiś czas niczego nie wymyślimy?

Wokół nich zalegała absolutna cisza.

Odgłosy aparatów mierzących puls i wspomagających oddychanie, ludzie wstrząsani kaszlem i dreszczami – wszystkie te dźwięki mogłyby być słyszalne, lecz zatrzymywały się po drugiej stronie szyby i pozostawiały ich w kompletnej ciszy. Poczucie próżni było tak uporczywe, że Janine zmusiła się, by powiedzieć cokolwiek, chcąc się w ten sposób upewnić, że to, co wibruje im w uszach, jest bezdźwięcznością, a nie dudniącym hukiem.

– Nie potrafię być częścią tego – rzekła w końcu przytłumionym głosem, stojąc nadal nieruchomo i nie spuszczać wzroku z sali za szybą. – Nie potrafię uczestniczyć w czymś takim, w zmuszaniu ludzi do umierania. Boże drogi, ilu ich tam jest? Ilu ich już było? Ilu leżało tam, w środku, tylko po to, żeby... no właśnie, po co? Bo zachciało nam się poprawić naszą przyszłość?

– Obawiam się, że pani nie rozumie – odezwał się w końcu Connors.

– To znaczy?

– Tu nie chodzi o polepszenie naszej przyszłości. Chodzi o...

Urwał. Po raz drugi doszli do tego, czego nie powinien im powiedzieć. Albo przynajmniej nie chciał.

– O co? – spytała.

– Chodzi o zrobienie czegoś, zanim będzie za późno.

– Za późno na co?

Connors nie odpowiedział.

Zerknął na zegarek.

Po czym zatroskanym wzrokiem spojrzął na nich.

– Właśnie w tym momencie zbiera się cała rada w audytorium. Powinniście wziąć w tym udział.

Lars-Erik Palmgren przejeżdżał przez wąski most, mając po jednej stronie cienki lód na zatoce Neglingevisken, a po drugiej – odcinającą się w ciemności zatokę Pålänsviken.

Ten krajobraz ilustrował jego stan ducha lepiej, niż chciał przyznać.

I po jednej stronie. I po drugiej.

Zacisnął wargi, zmienił bieg, aby przyspieszyć, świadom tego, że drogi są oblodzone i że naraża się na niebezpieczeństwo, zupełnie jakby uważał, że śmierć jest tak czy inaczej nieunikniona, a w takim wypadku on jest po prostu niczym więcej jak tchórzem i miernotą.

Odmówił Christinie pomocy.

Męczyło go to od pierwszej chwili, jak tylko wstał od stolika w kawiarni i ją tam zostawił. Zdawał sobie sprawę, że to nie w porządku, już wtedy, kiedy to zrobił. Ale jaki miał wybór? Ta rozmowa go przeraziła, głos, który odezwał się w słuchawce i opowiadał o Sarze, a potem się wyłączył. A on przecież wiedział, że to, co się właśnie dzieje – niezależnie od tego, co to może być – jest niepojęte, niesamowite i wielkiego kalibru. A on jest malutki i nic nie znaczy.

Zerknął na telefon komórkowy.

Leżał na fotelu pasażera, przesuwając się w tę i z powrotem na zakrętach, może ze wstydu, że jego właściciel pozwolił strachowi zwyciężyć nad wszystkim, co do tej pory uznawał za najważniejsze.

Nad lojalnością, odwagą, przyjaźnią.

Czyli ona jest teraz w Amsterdamie.

Widział ją w komputerze, nie na żywo, kiedy to wszystko się działo, tylko już potem, gdy kliknął filmik wideo opatrzony tytułem złożonym grubą czarną czcionką; mówiła o katastrofie lotniczej. Ale co ona robi w Amsterdamie? Czy nie pojechała tam przypadkiem, żeby go szukać?

Z jednej strony nie był im nic winny. Zupełnie nic.

Na pewno.

Jest emerytem, wdowcem, za nic już nie ponosi odpowiedzialności, od czasu do czasu przyjmuje tylko jakieś zlecenia jako konsultant i to wszystko.

Więc jak miałby im pomóc, nawet gdyby chciał?

Co byłby w stanie zrobić?

Z drugiej strony...

Jak mógł ją tak zostawić?

Kim się okazał? Czym? Już znał odpowiedź.

Na siedzeniu obok leżał telefon. Dobrze wiedział, że na ciemnym wyświetlaczu kryje się informacja o co najmniej czterech nieodebranych połączeniach od Christiny Sandberg.

Zaledwie za sto metrów powinien już być w domu.

Wtedy do niej oddzwoni i niezależnie od tego, o co go poprosi, pomoże jej.

Minęła już co najmniej godzina od czasu, kiedy Leo sfotografował kopertę i posłał zdjęcie do redakcji w Sztokholmie, kiedy telefon Christiny zawibrował wreszcie na blacie stołu.

– Co tak długo? – powiedziała, przyłożywszy aparat do ucha. – Ustaliliście coś?

Dwaj mężczyźni naprzeciwko obserwowali ją uważnie.

Widzieli, jak jej twarz się zmienia.

Najpierw pojawiło się na niej zdziwienie, a potem wyraz powagi.

Nic nie mówiła. Zbyt długo.

– Jestem... – zaczęła w odpowiedzi na pytanie w słuchawce, ale zdała sobie sprawę, że nie potrafi odpowiedzieć, i urwała. Rzuciła szybkie spojrzenie na Alberta:

– Gdzie ja jestem?

– W Haarlemie – odrzekł. – Na zachód od Amsterdamu.

– Wiedzą coś? – spytał Leo, lecz Christina uniosła dłoń, pokręciła głową i powstrzymującym gestem dała mu znak, żeby był cicho. Ta rozmowa nie dotyczyła koperty. Dotyczyła czegoś znacznie większego.

– W Haarlemie – powtórzyła za Albertem. Siedziała teraz wyprostowana, bokiem do nich, żeby nie przeszkadzali jej kolejnymi pytaniami.

Słuchała. Potakiwała głową. Słuchała.

– Kiedy to się stało? – spytała. I zaraz, nie czekając na odpowiedź, dodała: – Można pogłośnić?

Ostatnie słowa rzuciła prosto przed siebie, rozejrzała się po lokalu, wstając jednocześnie z krzesła, i spytała jeszcze głośniejszym głosem:

– Telewizor! Można włączyć dźwięk? Szybko!

W jej spojrzeniu pojawiło się coś, co sprawiło, że senny mężczyzna za barem uniósł wzrok na płaski ekran wiszący za jego plecami. I w tym samym momencie natychmiast całkowicie się obudził.

Wygrzebał pilota spośród papierów i kluczy leżących na kupce przy kasie, skierował go na odbiornik i kciukiem przycisnął odpowiedni guzik.

Pogłośnił. Wpatrywał się w ekran.

Sekundę później ucichły wszystkie rozmowy w całym lokalu.

William i Janine zostali po cichu wprowadzeni do audytorium. Zajęli miejsca w stosownej odległości od ogromnego stołu, w półokrągłym rzędzie granatowych krzeseł, i skierowali wzrok na wielką ścianę przed sobą.

Oczy wszystkich zwróciły się na Connorsa, na co on tylko skinął głową.

Tak, oni będą tutaj, są tu ze mną.

Nikt nic nie powiedział, ale w powietrzu wyczuwało się niezadowolenie; dopiero po chwili mężczyźni w mundurach skupili ponownie uwagę na ekranach.

To nie było zgodne z zasadami. Cywile nie mieli tu wstępu. Nie teraz.

Ale z drugiej strony, jeśli to jest początek tego, czego się spodziewają, to nie ma wyjścia.

I tak nie sposób już dłużej trzymać tego wszystkiego w tajemnicy, więc jaka to różnica, czy William Sandberg i Janine Haynes zobaczą od razu na własne oczy, co się dzieje, czy dowiedzą się o tym dopiero później.

– Czy oni rozumieją, że byliśmy zmuszeni? – spytał Franquin.

Stali z boku, on i Connors, zniżyli głosy i starali się panować nad swoim językiem ciała. Nie mogli pokazać nic innego jak tylko absolutną jednomyślność. Nikt nie powinien mieć najmniejszych wątpliwości, że oni dwaj są jednego zdania. Nie teraz.

– Nikt nie jest w stanie tego zrozumieć – powiedział Connors.

Franquin pokiwał głową. To prawda.

Na dużych ekranach cisnęły się stłoczone obok siebie miniatury pierwszych stron portali informacyjnych i obrazy z różnych telewizyjnych kanałów newsowych. Wszystkie tytuły dotyczyły tego samego tematu.

Ogromny szpital objęty kwarantanną. Szpital Slotervaart zamknięty.

Z obawy przed wybuchem epidemii zamykane są szpitale.

Wiedzieli, że ten moment nadejdzie. Cały scenariusz znajdował się na papierze, nawet jeśli szpital nie miał nazwy, a miastu nadano imię: Średniej Wielkości Miasto Europejskie, a oni dyskutowali, podejmowali i zmieniali decyzje, które nie były jeszcze rzeczywiste.

– Wiesz przecież, że musieliśmy – rzekł Franquin. – Nie ma sensu temu zaprzeczać.

Ale Connors nie *chciał* wiedzieć.

Bo w gruncie rzeczy co oni właściwie wiedzieli? Czy mogli powiedzieć ze stuprocentowym przekonaniem, że nie odczytali wszystkiego błędnie? Czyż tych dwoje, Haynes i Sandberg, nie są tu po to, żeby pomóc im odczytać wszystko jeszcze raz, żeby znaleźć rozwiązanie i upewnić się, że nie ma innej możliwości?

Franquin wciąż patrzył na niego. Znał już jego myśli na pamięć.

– Wiedzieliśmy to cały czas.

Connors milczał.

– Nie wiedzieliśmy tylko gdzie, nie wiedzieliśmy jak i nie wiedzieliśmy dlaczego.

Teraz już wiemy.

– Tak. To przez *nas* – odezwał się wreszcie Connors.

Tym razem Franquin nic nie odpowiedział.

Decyzja została podjęta.

Stali z oczami utkwionymi w ekranach.

– Ile ludzi będzie musiało umrzeć? – spytał Connors.

– Mniej – rzekł Franquin. – Co jeszcze powinniśmy wiedzieć?

Connors nie odpowiedział.

A Franquin powtórzył, tylko ciszej.

– Mniej.

William i Janine stali w głębi sali i przyglądali się Connorsowi i Franquinowi, jak rozmawiają przytłumionym głosem; reszta mężczyzn w mundurach wokół nich milczała.

Cała sala czekała na wiadomość i wszyscy domyślali się, jaka ona będzie.

To, co się wydarzyło, było oczywiste, każdy wiedział, co należy w tej sytuacji zrobić, a Janine i William właśnie niedawno widzieli tego skutki – długie rzędy łóżek w zimnym pomieszczeniu.

Connors miał rację. Nikt nie jest w stanie zrozumieć.

A mimo to zrozumieli, co trzeba zrobić.

Kiedy William odwrócił się do Janine, zobaczył, że nie potrafi już dłużej panować nad łzami.

W tej samej chwili, gdy Lars-Erik Palmgren przekręcił klucz w drzwiach wejściowych swojej obszernej willi, zdał sobie sprawę, że nie jest sam, było jednak za późno na działanie.

Może to warstwa śniegu stłumiła odgłos kroków.

A może to on powinien być bardziej uważny.

Dziesięć lat temu to była jego druga natura, potrafił wyliczyć wszystkie samochody, jakie mijają po drodze do domu, potrafił zatrzymać się bez potrzeby, zaskoczył samego siebie, nieoczekiwanie wybierając okrężną drogę, potrafił cały czas zachowywać czujność i sprawdzać, czy przypadkiem jakiś samochód nie jedzie za nim za długo albo nie pojawia się we wstecznym lusterku w równych odstępach

czasu.

Tak było kiedyś. Teraz się od tego odzwyczaił. Jeździł do domu prostą drogą, patrzył, ale nie rejestrował, a dzisiaj siedząc za kierownicą, myślami był przy Christinie w Amsterdamie, i nie zwracał na nic uwagi. W końcu dotarł na miejsce i zaparkował auto na podjeździe, jakby wszystko było tak jak zawsze.

A gdyby tylko się zastanowił, od razu by wiedział, że jest inaczej.

Stał teraz z kluczem w zamku.

I z czarną rękawiczką jakiegoś obcego mężczyzny na swoim nadgarstku.

– Lars-Erik Palmgren – odezwał się głos obok niego.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Więc Palmgren nie odpowiedział.

– A pan to kto? – spytał natomiast.

– Może porozmawiamy w środku.

To też nie było pytanie.

Palmgren skinął głową.

Nie mówiąc nic więcej, otworzył drzwi wejściowe, wyłączył alarm w białej plastikowej skrzynce w przedpokoju i przygotował się na najgorsze.

Palmgren zapalił punktowe lampki w suficie najpierw w przedpokoju, a potem na schodach do pokoju wypoczynkowego w piwnicy, cały czas spodziewając się, że mężczyzna w którymś momencie zaprotestuje.

Wcześniej czy później każe mu się zatrzymać. Powie, żeby pogasił światła, wybrał mniej wyeksponowane pomieszczenie, zamknął się i dokładnie słuchał. Ale nic takiego nie nastąpiło. Schodzili po ostatnich stopniach na dół, zostawiając ślady po ośnieżonych butach na grubej dywanowej wykładzinie, potem stanęli po przeciwnych stronach niskiej kanapy; całą zewnętrzną ścianę wypełniało duże panoramiczne okno z widokiem na zatokę i Saltsjöbaden na drugim brzegu, rozjaśnionym słabym światłem z okien tamtejszych willi.

Sytuacja nie była typowa, ale na razie Palmgren czuł się mimo wszystko bezpiecznie.

Skoro przyszło mu stanąć oko w oko z kimś, kogo nie zna, to jest to dobre miejsce.

Dwaj milczący mężczyźni, każdy w innym końcu obszernego pomieszczenia; w dużej szybie odbijały się pierwsze ozdoby bożonarodzeniowe oraz oni sami, podczas gdy za oknem otwierała się czarna czeluść wody.

Byli w pełni widoczni z zewnątrz i każdy z nich zdawał sobie z tego sprawę.

Chociaż o tej porze raczej trudno się spodziewać kogoś na jeziorze – wieczór, prawie zima, lodowato – mimo to Palmgren chciał wywołać wrażenie, że ktoś jednak *mógłby* ich zobaczyć, i jeśli ten nieznajomy mężczyzna przyszedł tu po to, żeby mu coś zrobić, to powinien wiedzieć, że może znaleźć się jakiś świadek.

Mężczyzna zrozumiał. Najpierw pokręcił głową, a potem się odezwał.

– Nie jestem tutaj, żeby wyrządzić panu krzywdę – rzekł.

– W porządku – odparł Palmgren. – Przyjmuję to jako obietnicę.

– I proszę wybaczyć, jeżeli dziś wieczorem nie uda się panu zadzwonić z telefonu stacjonarnego. Ale to nie jest oficjalna wizyta.

Wskazał głową na sufit. To zbędny gest. Palmgren nie miał wątpliwości, co tamten miał na myśli.

A więc wiedział, że dom jest monitorowany. I że monitoring jest połączony z serwerem przez stacjonarną sieć telefoniczną. Czyli nieznajomy odłączył już miedziane druty w skrzynce na ulicy przed domem, a biorąc pod uwagę to, kto instalował tu kiedyś kamery, istniała właściwie tylko jedna odpowiedź na pytanie, skąd on to wszystko wie.

– Służba bezpieczeństwa? – spytał Palmgren, mimo że to było oczywiste.

– Jak powiedziałem, to nie jest oficjalna wizyta.

– Ale to stamtąd pan jest.

Mężczyzna znowu pokręcił głową. Nie był pewien, od czego zacząć. Już sam fakt, że się tu znajdował, naruszał więcej zasad, niż on sam byłby w stanie wyliczyć, więc im mniej mówił, tym lepiej. Po części ciągle nie był przekonany, czy dobrze zrobił, lecz kiedy żona Sandberga pokazała się na portalu informacyjnym, zaniepokoiło go to z co najmniej kilku powodów.

Prawda jest taka, że chyba stracił rozeznanie. Co jest słuszne, a co nie.

– Mam różne zlecenia – rzekł. – Służba bezpieczeństwa nie zna ich wszystkich.

Palmgren przyglądał się swojemu gościowi. To dosyć osobliwa odpowiedź.

– Więc dlaczego pan tu jest?

– Chciałbym, żeby się pan z nią skontaktował. Musi pan ją stamtąd sprowadzić.

– Kogo?

– To błąd, że pozwolił jej pan jechać do Amsterdamu.

Palmgren dalej nie odrywał od niego oczu. Chodziło o Christinę?

Powietrze w pokoju zastygło na chwilę, tylko myśli krążyły gorączkowo po głowie Palmgrena, gdy próbował poskładać wszystkie detale – mężczyzna dał mu na to trochę czasu.

Kiedy w końcu Palmgren się odezwał, w jego głosie było słyhać niezłomną pewność.

– To pan do mnie dzwonił – rzucił.

Mężczyzna nadal milczał.

– To pan wtedy zadzwonił i powiedział, że ukradli Sarę.

W jego stwierdzeniu kryło się wiele pytań. Ale mężczyzna po drugiej stronie sofy nie miał zamiaru odpowiadać na żadne z nich.

Palmgren to zauważył. I zrozumiał.

– Pan nie odkrył, że jej nie ma. Zgadza się? Pan wcale nie robił inwentaryzacji, tylko to pan ją wywiózł.

Znowu ten sam ton. Pytania w twierdzeniu. Mężczyzna ani nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał.

– Człowiek dochodzi do pewnego punktu – powiedział tylko. – Dochodzi do pewnego punktu, w którym przestaje mieć pewność.

– Pewność co do czego?

– Do tego, co robi.

Palmgren zmrużył oczy.

– Gdzie jest William Sandberg?

– Tego nie wiem.

– A co pan wie?

Mężczyzna lekko się zawahał.

Nie wiedział wszystkiego. Znał jedynie fragmenty, strzępy tych niesłychanych rzeczy, o których nie odważono się mówić, i chociaż nie uzyskał pełnego obrazu, to ta cząstka i tak wystarczała, by czuł się ogromnie zaniepokojony.

Słyszał, jak mówili o Amsterdamie.

O katastrofie i liście, który się pojawił.

O obawie, że Watkins znała odpowiedź.

I nie ulegało wątpliwości, że zanoszą się na coś bardzo złego.

– Niech pan do niej zadzwoni – rzekł. – Teraz.

Leo Björk dygotał tak mocno, że kiedy komórka Christiny zadzwoniła mu w rękę, w pierwszej chwili pomyślał, że to jego ciało wydało ostatnie tchnienie.

Leo nie był wystraszony – on był nieprzytomny z przerażenia.

Środek nocy, ciemno i zaczęło wiać, a on nawet nie zdawał sobie sprawy, że ma lęk wysokości, dopóki nie otworzył drzwi tej klatki schodowej. Ale najwidoczniej ma, i teraz przekonał się o tym z całą wyrazistością. Dach, na którym stał, znajdował się co najmniej dziesięć pięter nad ziemią i przy każdym ostrym podmuchu wiatru wydymającym jego ubranie kolana zdawały się sygnalizować reszcie ciała, że mają zamiar zgiąć się w odruchu czystego protestu, więc kiedy zadzwonił telefon, pomyślał, że to już koniec. Za chwilę pofrunie sobie w dół na oczach całej policji, dziennikarzy i ciekawskich, którzy stali za barierkami po drugiej stronie szerokiej ulicy.

Przymknął oczy. Obsesja, nic innego. Jest zdolny stać tutaj tak samo prosto, jak gdyby znajdował się na dole obok Alberta czy Christiny, która nie wiadomo gdzie się podziała.

Odetchnął głęboko.

Starł się zapanować nad strachem, przyglądając się jednocześnie komórce. Dzwoniła znowu. I znowu.

– Telefon Christiny Sandberg – powiedział, odbierając połączenie.

Głos po drugiej stronie wydawał się zdenerwowany. Nie padło żadne nazwisko.

– Szukam Christiny – oznajmił. – To ważne.

– Ja nie mogę, stoję tutaj, tu jej nie ma – rzucił Leo, znowu zamykając oczy.

Po pierwsze, irytowało go, że nie jest w stanie wydusić z siebie normalnego zdania, a po drugie, nie wytrzymał całej tej sytuacji i stresu, więc zadawał sobie pytanie, po cholere się tu znalazł.

Dlatego że jest dziennikarzem, odpowiedział sam sobie.

Jest dziennikarzem, autentycznie, znalazł się w miejscu, gdzie to wszystko się stało, a ironia losu polega na tym, że nikogo na całym świecie nie obchodzi, czy on

ma na sobie marynarkę, czy nie.

– Nazywam się Lars-Erik Palmgren – powiedział głos w słuchawce, jakby już samo to oznaczało coś niesłychanego. – Gdzie pan teraz jest?

Leo rozejrzał się wokoło. Istniała tylko jedna odpowiedź, brzmiąca równie absurdalnie dla niego, jak i pewnie dla tamtego mężczyzny z telefonu.

– Jestem na jakimś dachu – powiedział.

– Gdzie? Na dachu? Ale gdzie?

– W Amsterdamie. Nie wiem gdzie. Mam przed sobą jakiś szpital.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Złowieszcza cisza.

– Chcę, żebyście się stamtąd wynieśli – rzekł głos nazywający się Palmgren.

– Jest odcięty – dodał Leo. – Ten szpital.

To mogło być równie dobrze pytanie, jak i stwierdzenie.

Na coś się zanosilo, a chętnie by się dowiedział na co.

Na ulicy w dole stały policyjne radiowozy, furgonetki, które próbowały podjechać bliżej, ale były odprawiane, niektóre z nich, o ile dobrze widział z tej wysokości, miały anteny satelitarne na dachach i logotypy na bokach. Ekipy telewizyjne.

A Christina jak to Christina – była przedsiębiorcza, doświadczona i namówiła kogoś z ogromnego kompleksu studenckiego obok szpitala, żeby ich tu wpuścił. A potem dała Leo swój telefon i kazała znaleźć dobre miejsce.

– Wiem, że jest odcięty – powiedział Palmgren. – Musicie się stamtąd wydostać.

– A na co się zanosilo? – spytał Leo. – Ja nic nie wiem.

Słyszał, jak Palmgren się waha.

Kiedy w końcu się odezwał, jego słowa były jeszcze bardziej niepokojące niż wcześniejsza cisza.

– Na wybuch paniki. Na to się zanosilo. Przerażający, monstrialny wybuch paniki.

Suzanne Ackerman siedziała za kierownicą pierwszego ambulansu medycznego, który dotarł do szpitala Slotervaart, całkowicie przekonana, że musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Mężczyzna leżący w tylnej części karetki ocalał wbrew wszelkim przewidywaniom. Z budynku, w którym pracował, pozostały jedynie resztki, został rozbity niczym jajko na śniadanie przez rozpędzone skrzydło samolotu. Mężczyzna był cały poparzony i w wielu miejscach miał zmiażdżone ciało, ale żył, a ona wiozła go do szpitala usytuowanego najbliżej. To pierwszy pacjent, a zanosilo się, że będzie ich więcej, Bóg jeden wie ilu.

Tymczasem drogę zagroził jej żołnierz w mundurze.

Było to tak absurdalne, że poczuła się zmuszona udzielić wyjaśnień.

– W porządku. Jadę z wypadku.

Przypuszczała, a nawet była przekonana, że wojsko znalazło się tutaj, aby ułatwić pracę służbom ratunkowym, i że to w tym celu szpital został zamknięty, aby powstrzymać przypadki przeziębienia i ukłuć w stopę oraz całe hordy ciekawskich przed przybywaniem tutaj i angażowaniem zasobów tak potrzebnych komu innemu.

Jednak żołnierz tylko pokręcił głową.

Wskazał w innym kierunku. Zawrócić, mówił gest. Do innego szpitala.

Za jego plecami stały szeregi wojskowych pojazdów ustawione w poprzek jezdni, blokujące wjazd, jak gdyby szpital był małą republiką bananową, a ambulans atakującą mafią. Suzanne Ackerman wyjaśniła jeszcze raz i jeszcze raz, ale uzyskała tę samą odpowiedź.

Szpital jest zamknięty. Objęty kwarantanną. Zawrócić.

Zanim zdążyła wykonać manewr i z błyskającym niebieskim światłem popędzić jeszcze szybciej do któregoś ze szpitali po drugiej stronie miasta, przyszła jej do głowy myśl – logiczna i przerażająca.

To terroryści.

Najpierw spada samolot, potem zostaje odcięty szpital.

Amsterdam stał się celem ataku.

Zagryzła wargi, powstrzymała krzyk, wyprężyła się na siedzeniu. Na tym polega jej służba. To będzie upiorna noc, a po niej pewnie upiorny dzień, ale jej zadaniem jest ratowanie i podtrzymywanie ludzkiego życia tak długo, jak się da, więc będzie pracować, dopóki starczy jej sił.

I podczas gdy za jej plecami ratownicy walczyli o pacjenta, ona dodała gazu

i popędziła przez miasto, forsując jedno czerwone światło za drugim, nieświadoma tego, że mężczyzna na noszach umrze na długo przedtem, zanim dotrą na miejsce.

Gdyby Suzanne Ackerman miała dostęp do serwisów informacyjnych, przekonałaby się, że nie jest odosobniona w swej ocenie sytuacji.

Monitory wiszące rzędem w ciemnoniebieskiej sali w wilgotnej górze przez cały czas pokazywały informacje o odciętych szpitalu w Amsterdamie, opatrywane niewyraźnymi ujęciami budynku z różnych perspektyw. A wszystkim tym obrazom towarzyszyły te same wyraźne tezy.

Nikt nie miał o niczym pojęcia. Ale to nie było takie ważne.

Z każdego ekranu wypływały spekulacje na przemian z doniesieniami z ostatniej chwili, paski z tekstem na dole i w poprzek oraz w każdym miejscu niezajętym przez postać dziennikarza lub widok szpitala błyszczącego pod nocnym niebem informowały: „Szpital objęty kwarantanną” albo „Niewykluczony atak terrorystyczny”. Rzeczowość i panika szły w zawody w każdej redakcji w całej Europie – nikt nie wiedział, co się stało, ale wszyscy chcieli być pierwsi.

„Policja nie zdradza, co grozi szpitalowi”.

„Żadna organizacja nie zgłosiła jeszcze swoich żądań”.

Franquin stał pośrodku sali, przyglądał się niemym komentatorom, widział ich poruszające się usta i już wiedział, co mówili.

Amsterdam przeżywa atak.

– Jest dobrze – powiedział.

Tylko tyle.

A wszyscy wokół go rozumieli.

Chodziło o dobrze nie w znaczeniu dobrze, tylko o to, że nadzwyczaj korzystne dla nich są wnioski wyciągane przez media, że kraj, nie, gorzej, może cały świat przeżywa atak jakiejś pozbawionej sumienia organizacji gotowej posunąć się do potwornych rzeczy.

W obliczu tego, co miało się wkrótce stać, trudno było znaleźć lepsze wytłumaczenie.

Kiedy Christina Sandberg otworzyła drzwi klatki schodowej i wyszła na dach, miała wrażenie, jakby otwierała drzwi do swojego życia.

Po raz drugi tego samego dnia rzeczywistość wdarła się z całą siłą i przypomniała jej, co jest jej żywiołem: huk telewizyjnych śmigłowców, snopy

światła rzucane przez reflektory operatorów, błyskające lampy pojazdów służb porządkowych, a nawet wiatr, który nią szarpał i zagłuszał wszelkie inne odgłosy, sprawiając, że wydawały się jeszcze bardziej odległe. Tak, nawet wiatr spowodował, że odżyła, znowu poczuła adrenalinę, zapal i energię, by przejąć inicjatywę i iść do przodu.

Właściwie nie wiedziała wiele więcej niż oni wszyscy na dole; stali przed kamerami z mikrofonami w dłoniach i improwizowali: coś się dzieje, tyle że nie wiadomo co. Tymczasem ona miała dość do powiedzenia, aby wejść na żywo i wypełnić dowolną ilość czasu. Dowiedziała się całkiem sporo od mieszkańców akademika, którzy widzieli, jak rozstawiano blokady, i przedstawili jej też kolegę kolegi znającego kogoś, kto był akurat pacjentem w tym szpitalu i kto podobno zadzwonił do swoich bliskich i powiedział, że się boi, bo zabroniono mu opuszczać salę, a personel nie przychodzi na żadne wezwanie. To było ponad dwie godziny temu, a teraz jego komórka już nie odpowiada.

Czyli miała sporo materiału, a kiedy zmierzała po betonie ku Leo, który stał zwrócony w stronę wysokiej oświetlonej fasady budynku, nabrała także przekonania, że również obraz będzie fantastyczny.

Leo jest dobry. Stanowią świetny zespół. Musi pamiętać, żeby mu to powiedzieć. Podeszła do skraju dachu, odwróciła się i mrugnęła do niego.

– Jesteś gotowy?

Wcisnęła sobie do ucha małą słuchawkę Leo, podobnie jak zrobiła to wcześniej, zignorowała jego wymachiwanie rękami, gdy próbował jej coś powiedzieć, przygotowywała się mentalnie do wejścia na żywo.

Czuła się szczęśliwa.

Autentycznie.

Nie wiedziała jednak, że miała też w tym poczuciu szczęścia umrzeć.

Niespełna trzydziestoletni pilot, którego wszyscy nazywali Stone, nie dlatego, że tak miał na imię, tylko z powodu zredukowanego do połowy stanu posiadania jąderek, oddalił się w swoim wyposażonym w rakiety F16 już spory kawałek od brzegu morza, gdy przez radio otrzymał zadanie do wykonania.

Zaległa absolutna cisza. Tak głęboka, że oficer kierujący akcją wywołał go jeszcze raz, by sprawdzić, czy zrozumiał rozkaz, czy nie nastąpiły jakieś zakłócenia w systemie komunikacji, wskutek których pilot nie odebrał wezwania albo nie dosłyszał, co do niego powiedziano.

Stone odparł, że nie jest pewien, więc kierujący akcją powtórzył swoje poprzednie słowa, po czym ponownie zapadła śmiertelna cisza. Oficer wiedział

dłaczego.

Gdy odezwał się znowu, w jego głosie dało się wyczuć ton niezgodny z regulaminem, ale jednoznacznie świadczący o tym, że on miał takie same wątpliwości, zanim sięgnął po radio i wydał rozkaz. Niekiedy, zdawał się mówić głos oficera, moralność nie jest wcale prosta. Czasami trzeba podejmować decyzje, których się nie rozumie. Ale jeśli wiadomo, że zło skierowane przeciwko niewielkiej liczbie ludzi zamieni się w dobro dla niezmiernych mas, to czy nie warto jednak podjąć takiego kroku?

Pilot w mknącym samolocie widział z daleka Amsterdam połyskujący białymi i żółtymi punktami w ciemności nocy i naprawdę nie wiedział, co myśleć.

Całym sobą nie chciał tego robić.

Lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że musi.

A kiedy jasne punkty na horyzoncie zamieniły się w domy i ulice, w miasto, w którym dorastał i które kochał, szaleńcze myśli w jego głowie zakotłowały się jeszcze bardziej.

Nie wysadza się w powietrze szpitala z cywilami, i to na dodatek ze swoimi rodakami.

Tylko nie to.

William przesuwiał spojrzenie po wiszących w szeregu monitorach na ścianie, przyglądał się wiadomościom w kanałach informacyjnych z całego świata nadających cały czas ten sam news, od którego nie mógł oderwać wzroku.

Przez krótką chwilę poczuł się tak, jakby doświadczał nieważkości albo był w stanie, kiedy adrenalina czy emocje, czy jeszcze co innego sprawiają, że żołądek unosi się swobodnie, nerwy nie trzymają wnętrzości i całe ciało staje się pustą skorupą kryjącą w środku jedynie strach, przerażenie i tysiące innych uczuć naraz.

Z jednego z ekranów patrzyła mu prosto w oczy jego własna była żona.

Nie tylko jemu, patrzyła w oczy setkom tysięcy ludzi w Szwecji i może też gdzie indziej, a jednocześnie nie patrzyła na nikogo, spoglądała jedynie gdzieś tam w zimne oko kamery. Co ona, u diabła, tam robi? Stała sama na jakimś dachu, światła helikopterów krążących w tle od czasu do czasu rozjaśniały ciemną noc za jej plecami, a między nią i czarnym niebem tkwiła metaliczna bryła budynku poprzecinana świecącymi niebieskim światłem oknami. William nie miał najmniejszych wątpliwości, co widzi.

– Czy to się dzieje teraz? – spytał, choć doskonale znał odpowiedź.

Nikt się nie odezwał.

– Czy to wszystko, co widać na ekranach, to jest na żywo?

Connors domyślił się pierwszy.

Widział nazwisko tej kobiety na szwedzkim portalu informacyjnym, oczywiście to mógł być zwykły zbieg okoliczności, ale sądząc po głosie Sandberga, nie był.

Skinął w milczeniu głową.

– Tak, to jest na żywo – odparł.

William nic już nie powiedział.

Christina Sandberg znajdowała się w Amsterdamie. Stała przed szpitalem, który wkrótce miał być zmieciony z powierzchni ziemi. On to wiedział, a ona nie miała o tym pojęcia.

Już za pierwszym razem, gdy myśliwiec przeleciał nad nimi, Alberta van Dijka coś tknęło i domyślił się, co się wydarzy.

Siedział nadal w wynajętym samochodzie Christiny Sandberg, zsunięty głęboko za kierownicą, z bejsbolówką na głowie, należąca do jej asystenta, i z postawionym kołnierzem płaszczą zakrywającym mu twarz. Miał nadzieję, że wygląda na kogoś, komu jest bardzo zimno, a nie kto się boi, że któryś z kilkuset kręcących się tu policjantów przejdzie obok i go rozpozna, choć i jedno, i drugie było zgodne z prawdą.

Nie chciał tu być.

Znajdowali się na terenie odgrodzonym barierkami. Christinie Sandberg udało się przekonać policjantów, żeby ich wpuścili, bo jak twierdziła, przyjechała zabrać swoją córkę z akademika. Ale przecież oni wcześniej czy później zaczną się zastanawiać, dlaczego ona tak długo nie wraca, i wtedy zapukają do niego w szybę, rozpoznają go i będzie po wszystkim.

Nie widział jednak innego wyjścia. Nie miał się gdzie podziać. A teraz modlił się w duchu, żeby Christina Sandberg i jej asystent skończyli wreszcie i wrócili do niego, aby we trójkę mogli stąd odjechać.

Siedział tu już kwadrans albo ze dwadzieścia minut, kiedy nagle przeleciał myśliwiec.

Przemknął z ogromną prędkością i zadziwiająco nisko nad dachem budynku; powietrze przeciął bezgłośny świst, który po chwili zastąpił huk silników, dudniący niczym grzmot burzy i przycichający wraz z oddalającym się samolotem.

Albert wpatrywał się przez przednią szybę, próbując zrozumieć to, co przed chwilą zobaczył. Do czego mógł się tu przydać wojskowy myśliwiec? Helikopter, owszem, miał sporo do roboty, mógł kontrolować teren, podjąć pościg za samochodami czy nawet ludźmi lub wręcz wypłoszyć ten czy ów inny helikopter, na przykład z tych wszystkich gazet czy kanałów telewizyjnych, które cały czas usiłowały

czuwać nad rozwojem wydarzeń.

Ale myśliwiec? On nie miał tu nic do roboty.

W tym samym momencie, gdy to stwierdził, zrozumiał, że się myli.

Istniało zadanie idealne dla wojskowego samolotu.

Jedno jedyne.

Wyprostował się za kierownicą, wyjął swój nowy telefon na kartę, poszukał w kieszeniach wizytówki Christiny Sandberg z numerem komórki i wysiadł z samochodu, podnosząc wzrok wysoko, ku dachowi budynku znajdującego się przed nim. Teraz nie ma najmniejszego znaczenia, czy ktoś go tu rozpozna, czy nie. Jeśli jego przypuszczenie jest słuszne, koniecznie musi ich ostrzec, że tam, na górze, grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo, a jeśli policja chce go zgarnąć, to proszę bardzo.

Samolot myśliwski.

To, co przyszło mu do głowy, było szaleństwem.

Ale przecież cały dzisiejszy dzień to istny obłąd.

Nie mógł znaleźć wizytówki, sięgnął do kolejnej kieszeni, szukał dalej.

Zestresowany.

Kiedy się bardzo skupił, miał wrażenie, że znowu słyszy silniki samolotu.

W niebieskim audytorium panował lekki chaos.

Gorączkowo wymieniano spojrzenia, przyciskano telefony do uszu, aby trochę lepiej słyszeć, ktoś opuścił salę, podczas gdy do pozostałych dołączył ktoś inny, wszyscy szukali potwierdzenia tej samej informacji.

Myśliwiec przeleciał nad celem, nie wykonując zadania.

Szpital stał nadal w miejscu, mimo że nie powinien, a w sali odbijały się od ścian pytania bez odpowiedzi. Co się stało? Usterka techniczna? Pilot odmówił wykonania rozkazu? Czy jeszcze coś innego? Jakie są kolejne kroki i kiedy będzie można podjąć następną próbę?

William obserwował ten nerwowy ruch wokół siebie.

Do tej pory nie był do końca świadom potężnej siły tej organizacji ani tego, jak musiała być ściśle powiązana ze wszystkimi krajami świata, z ich rządami albo przynajmniej z ich służbami bezpieczeństwa, że zaledwie w kilka godzin po zidentyfikowaniu celu i ustaleniu rozwiązania uruchomiono zasoby i środki niezbędne do przeprowadzenia akcji.

I to nie byle jakiej akcji.

Zauważył, że się poci. Tak mocno zacisnął dłonie, że niemal przestał czuć palce, miał wrażenie, jakby ktoś posadził go na krześle elektrycznym, przycisnął guzik, ale

nic się nie stało, i teraz miał przycisnąć go po raz drugi.

Na monitorach wypełniających ścianę była jego żona, jedna z wielu widocznych tam reporterów.

Ale jej obraz był nieco lepszy, trochę wyraźniejszy i bliższy.

Christina Sandberg zawsze chciała być najlepsza. I znowu była.

A on bał się, że tym razem przyniesie jej to śmierć.

– Panie Connors? – odezwał się.

Generał podniósł wzrok. Nie zauważył, jak William podszedł do niego, bo stał ze słuchawką przyciśniętą do ucha i spojrzeniem utkwionym w ekranie laptopa. O czymkolwiek Sandberg chciał z nim teraz mówić, na pewno nie było to w tym momencie najważniejsze.

Jednak William nie odrywał od niego oczu.

– Nie poproszę pana nigdy o nic więcej – odezwał się. – Ale proszę wyświadczyć mi tę przysługę.

– Sandberg? To nie jest najlepszy moment...

– Tam jest moja żona – powiedział, wskazując na monitory, aby wyjaśnić coś, co wyjaśnienia nie wymagało. – Dla mnie to jest ten jedyny moment.

– Za późno, żeby to powstrzymać – rzekł Connors.

– Ona nie ma nic wspólnego z tym wszystkim. Stoi niemal w samym centrum, ile to może być metrów od celu? Pięćdziesiąt? Jeszcze mniej? Wystarczy fala odrzutu... Do cholery, Connors, niech pan pozwoli jej zejść na dół, znaleźć się w bezpiecznym miejscu, ona jest niewinna...

Connors przerwał mu ostrym głosem, który rozszedł się echem po całym pomieszczeniu.

– Tam są sami niewinni ludzie!

Oczy wszystkich skierowały się na nich, każdy oderwał się od swoich zajęć i próbował śledzić ich dyskusję; bolesna chwilowa rozrywka w oczekiwaniu na dalszy ciąg właściwego spektaklu.

Connors znowu zniżył głos. Lecz w jego oczach pozostała desperacja i niepewność. Nic z tego, co się teraz działo, nie było częścią planu A, doszli tak daleko w alfabecie, że już nie pamiętał, które rozwiązanie to mogło być. Wiedział jedynie, że zaczął z górą żetonów dających szansę na wygraną, a teraz pieniądze się skończyły i szansa na wygraną także. A przecież to on sam wymyślił te scenariusze. Tylko nigdy nie sądził, że kiedykolwiek się zrealizują.

– Nikt nie ma z tym nic wspólnego – powiedział. – Nikt z nas obecnych w tej budowli, nikt z pasażerów lotu sześćset jeden ani z jego ofiar na ziemi. I nikt, absolutnie nikt z niezliczonych milionów ludzi, którzy ulegną temu zakażeniu i rozniosą je dalej niczym kręgi po wodzie, aż w końcu nie będzie już nikogo do

zarażenia. Chyba że spróbujemy to powstrzymać, jakkolwiek nieludzkie i potworne może się to wydawać.

Odzyskał spokój. Spokój przygaszony smutkiem. Zwrócił oczy na Williama, spojrzeniem błagał o zrozumienie – nie mógł przejąć dowodzenia i być sam w tym wszystkim, co dzieje się wokół nich. *Spróbuj mnie zrozumieć.* Tylko to chciał powiedzieć. *Zrozumieć i wybaczyć.*

– Nic nie mogę zrobić, panie Sandberg – rzekł.

– Może mi pan dać mój telefon komórkowy.

Wydawało mu się, że powiedział to spokojnie i zwyczajnie, ale sądząc po ciszy, jaka znowu zaległa wkoło, musiał chyba wrzasnąć.

Czuł wahanie w powietrzu; stwierdził, że ma szansę, ma jeszcze czas, kilkadziesiąt sekund, może nawet nie, ale istniała możliwość, tylko musiał się spieszyć, żeby zdążyć ją wykorzystać.

– Pan ma mój telefon – rzekł. W każdej wypowiedzianej sylabie kryła się tłumiona siła wibrująca strachem, gniewem i gotowością do zrobienia wszystkiego, jeśli Connors nie spełni jego prośby.

William patrzył mu prosto w oczy.

– Gdzieś musi go pan mieć. Proszę mi go dać. I to zaraz.

Leo Björk był tak pochłonięty swoim zadaniem, że niemal podskoczył z przerażenia.

W jednej sekundzie widział spokojne spojrzenie Christiny i jej bez przerwy poruszające się usta; choć jej głos zagłuszały podmuchy wiatru, hałas helikopterów i zgiełk na ulicy w dole, on starał się być skupiony i utrzymywać stabilny kadr wraz z nią i ze szpitalem widocznym w tle.

A już w drugiej sekundzie patrzył na Williama Sandberga.

Opalony i uśmiechnięty pojawił się oświetlony ukośnymi promieniami słońca na tym samym ekranie, z którego właśnie zniknęła Christina; niebo za jego plecami było oślepiająco lazururowe, a kontrast z otaczającą go tutaj rzeczywistością tak duży, że w pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiał, na co patrzy.

Rozmowa przychodząca, przeczytał.

William Sandberg.

Dopiero teraz usłyszał głos Christiny przebijający się przez cały ten tumult.

– Leo, co się dzieje?

Uniósł wzrok znad wyświetlacza komórki, zobaczył, jak Christina mocniej przyciska słuchawkę do ucha, żeby cokolwiek usłyszeć. Ktoś z redakcji mówił coś do niej.

– Każą nam stąd zniknąć.

– To on! To William!

W pierwszym momencie w ogóle nie zrozumiała, co on mówi.

Była skupiona na własnych myślach, słyszała, jak z jednego wypowiedzianego zdania płynnie wynika drugie, znakomicie jej szło, aż tu nagle w uchu rozległ się krzyk z redakcji, że zerwało się połączenie.

To było niesłychanie frustrujące, bo właśnie ułożyła sobie świetne zdanie na temat lęku i niepewności, a teraz jeszcze Leo stał naprzeciw niej i wrzeszczał imię jej byłego męża. O co chodzi, u diabła?!

Leo odwrócił telefon w jej stronę.

I wtedy zrozumiała.

Teraz dzwoni. Ten łajdak. Teraz.

Z jednej strony chciała odebrać, bo przecież to z jego powodu znalazła się tutaj, ale z drugiej wiedziała, że nie może tego zrobić, nie w tej chwili, gdy w jednym uchu ma wrzeszczącą redakcję, a naokoło harmider medialnego piekła i świst wiatru, który tarmosi jej włosy i zagłusza myśli.

Musiała podjąć decyzję.

I już wiedziała, jaka ona będzie.

– Niech zadzwoni jeszcze raz – krzyknęła przez zgiełk.

– To William – zawołał Leo ponownie.

– Czyli żyje. To super. Wobec tego może zadzwonić jeszcze raz!

Podeszła kilka kroków do Leo, sięgnęła po aparat, odrzuciła połączenie i wprawnym ruchem palców zaczęła szukać czegoś w menu.

Wystarczyło jej kilka sekund, aby uruchomić w telefonie tryb przekierowujący wszystkie przychodzące połączenia od razu na pocztę głosową, a kiedy oddała Leo aparat, kamera była znowu włączona, ona zaś cofnęła się, przysuwając sobie do ust mikrofon słuchawki bluetoothowej.

– Coś nam przerwało. Ale już jesteśmy z powrotem. Możemy kontynuować.

Stone minął cel, co nie pozostało niezauważone.

W słuchawce rozległ się krzyk.

Prowadzący akcję podniesionym głosem zaczął mu prawić kazanie o poczuciu obowiązku i sumieniu i w końcu Stone się złamał.

Długim, miękkim łukiem wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie zaczął się zbliżać do rozświetlonej pajęczyny dróg i przedmieść. Pośrodku tego wszystkiego znajdował się jego cel – zdawał sobie sprawę, że tym razem to zrobi.

Stone nigdy w życiu się nie modlił, ale kiedy podniósł do góry przejrzystą klapkę nad przyciskiem spustowym, rzucił prosto w niebo błaganie o wybaczenie.

Nagranie w poczcie głosowej Christiny Sandberg pochodziło jeszcze z czasów, kiedy wszystko było normalnie, szum słyszalny w tle to kakofonia dźwięków wydawanych przez redakcyjne maszyny, telefony i dziennikarzy.

Przedstawiła się rzeczowo i wyjaśniła, że nie może teraz rozmawiać, więc William odczekał kilka sekund na odpowiedni sygnał, po czym zostawił wiadomość.

– Zejdź z dachu, jesteś w niebezpieczeństwie – powiedział. – Odezwij się do mnie. Nic mi nie jest.

Po czym się rozłączył i natychmiast zadzwonił znowu. Nie zamierzał łatwo się poddać. Zanim zgłosiła się poczta głosowa, usłyszał kilka sygnałów, co oznaczało, że telefon jest włączony, a ona prawdopodobnie świadomie go tak ustawiła.

Zielona słuchawka. Sekunda ciszy.

A potem ponownie jej głos.

Ten sam rzeczowy ton pochodzący z zastygłej w czasie chwili, a później identyczny sygnał, więc William zawiedziony opuścił powieki i nacisnął guzik.

Tym razem nie było słycać kilku sygnałów.

Wyłączyła. Pracowała, nie chciała, żeby jej przeszkadzano. Ta uparta kobieta wyłączyła swój telefon. W tym samym momencie zobaczył ją znowu.

Janine położyła mu dłoń na ramieniu. Ale on już sam to dostrzegł: na jeden z ekranów przed nimi, który jeszcze przed momentem ział czernią i pustką, właśnie wrócił telewizyjny obraz. Christina stała tam znowu, miała spojrzenie pełne powagi i równie skupione jak kilka chwil temu, patrzyła prosto na niego i na innych, jakby nigdy jej nie przerwano, jakby nie widziała, że dzwonił, obecna w samym centrum wydarzeń, tak jak zawsze lubiła.

Patrzył na nią.

Ona go nie widziała.

A on nie mógł już nic zrobić.

Nawet się nie odwrócił, kiedy mężczyzna w mundurze wszedł z korytarza, stanął po przeciwnej stronie granatowych krzesel, odchrząknął i skierował wzrok na Franquina.

– Osiągnął sektor – zameldował.

– Instrukcje pozostają bez zmian – rzucił Franquin.

Mężczyzna skinął głową i wyszedł, a nikt z obecnych w środku nawet nie drgnął.

Wszyscy utkwili oczy w ekranach.

Na nich był widoczny Amsterdam.

Każda z dwudziestu osób obecnych w sali wstrzymała oddech.

Albert wydobył wreszcie wizytówkę, drżącymi palcami wybrał numer, wciąż mając nadzieję, że się myli i że świst nadlatującego samolotu nie oznacza tego, co myślał.

Kiedy tylko się odezwała, natychmiast próbował jej przerwać, ale ona mówiła dalej, nagrana zapowiedź w języku, którego nie rozumiał, kilka krótkich słów, a później jakiś sygnał i potem jego kolej, żeby coś powiedzieć, jednak się nie zdecydował.

Opuścił telefon. Zawołał jej imię prosto w hałaśliwą noc. Świadom tego, że ona i tak go nie usłyszy. Ale co miał do wyboru?

Nie był w stanie zrobić nic więcej.

Spojrzał w niebo, odszukał wzrokiem światła samolotu i czekał.

W audytorium wydawało się, że sekundy trwają mgnienie oka i zarazem całą wieczność.

Nikt nie mógł już nic zrobić.

Czas mijał.

I jednocześnie wwiercał się w świadomość wszystkich, każdą kolejną chwilę drażył z paralizującą siłą i zdawał się unosić między nimi w nieważkości.

Connors skierował wzrok na Williama.

William – na Connorsa.

Wszyscy patrzyli na ekrany.

Sekundy nadchodziły, szybowały i mijały, każda z nich mogła być ostatnią, zanim stanie się to, co nieuniknione, jeszcze nie, ale może już, może teraz, może zaraz...

William właśnie wypuścił powietrze z płuc – bynajmniej nie dlatego, że zelżało napięcie, ale po prostu z tego powodu, że organizm desperacko potrzebował tlenu – i odważył się pomyśleć, że może pilot znowu tylko przeleciał nad celem i postanowił nie posłuchać rozkazu, gdy dokładnie wtedy nastąpiła ta chwila.

Stało się.

Widział, jak ogromny budynek za plecami Christiny jak gdyby wibruje, na krótką chwilę rozświetla się na białą, i nim zdążył zrozumieć, że ta biała poświata to miliardy małych rys w szpitalnych oknach, które popękały, wszystkie bez wyjątku i wszystkie naraz, owa biel zamieniła się już w czerń, bo szyby rozpadły się na kawałki i runęły ze ścian w dół wzdłuż fasady, pozostawiając cały budynek zamieniony w czarną, pozbawioną prądu gigantyczną dziurę.

Najpierw dotarła fala uderzeniowa i porwała za sobą okna.

Christina skuliła się przed kamerą, odruchowo obejrzała za siebie, żeby zobaczyć, co się stało. Leo w tym samym momencie widział, jak szpital za nią znowu zmienia postać. Za Christiną gołe kondygnacje stopniowo rozświetlały się od wewnątrz, potężny blask rozchodził się coraz szerzej od pęczniającego kwiatu ognia, gdzieś ze środka budynku, gdzie wybuchł pocisk raketowy, od kwiatu, który rozdymał się i przemieszczał w bok, w górę, w dół przez wszystkie kondygnacje, aż wreszcie zetknął się z powietrzem przed budynkiem i ukrył cały szpital za ścianą kopnącej żółci.

Kiedy Christina odwróciła się z powrotem do kamery, patrzyła na Leo.

W innej części kontynentu stał William i patrzył w oczy swej własnej żony, i chciał wyznać jej masę rzeczy, których jednak nigdy nie miała już usłyszeć.

Gdyby Leo nie był tak skupiony na wyświetlaczu komórki, może zauważyłby w porę.

A teraz osłupiał i zaniemówił w tym samym momencie co ona. Lecz gdyby nawet zdążył coś powiedzieć, gdyby nawet krzyknął czy rzucił się w jej stronę, to i tak nic by to nie dało.

Bo było za późno.

Niewielki helikopter krążył nad szpitalem, polując na najlepsze ujęcia – oni w tym samym celu wdrapali się na dach akademika – a fotograf na pokładzie, przyklejony do szyby z pleksiglasu, kierował aparat na okna szpitala, aby uchwycić chociaż ułamek tego, co działo się w środku. Wszędzie jednak było zupełnie martwo. Nigdzie żywego ducha, nikogo na korytarzach, niczyjego cienia w którymkolwiek oknie na którymkolwiek z pięter od którejkolwiek strony.

Przypuszczalnie wszystkich trzymano w zamknięciu w innej części szpitala.

A może to prawda – na ulicy zaczęła się szerzyć plotka, że wszyscy przebywający w środku nie żyją. I dlatego nikt nie odbiera telefonów, ani pacjenci, ani personel, ani odwiedzający swoich bliskich.

Fotograf kazał pilotowi zbliżyć się do budynku najbardziej jak to możliwe.

Dzięki zoomowi chciał jak najgłębiej wejść do jakiegoś pomieszczenia, bo jeśli natrafiłby na coś, co potwierdziłoby wszystkie te spekulacje lub im zaprzeczyło, wówczas to właśnie jego zdjęcie zostałoby rozesłane w tysiącach kopii po całym świecie. Polował więc obiektywem, podczas gdy helikopter zawisł przed fasadą niczym jakiś owad w poszukiwaniu ostatniego świeżego kwiatka.

A potem wszystko się zmieniło.

W tej samej chwili, kiedy szyba zaszła mgłą, poczuł, że coś jest nie tak.

Fala uderzeniowa cisnęła nim o podłogę maszyny, więc chwycił się siedzenia,

klamki i wszystkiego, czego mógł, byle tylko się wyprostować, a gdy w końcu mu się to udało, spostrzegł, że zarówno nad nim, jak i pod nim jest szyba, więc lecą bokiem i nie ma szansy, aby to się skończyło dobrze.

Obok niego łopaty śmigła przecinały pionowo powietrze, sprawiając, że helikopter kręcił się wokół własnej osi i jednocześnie przesunął w bok niczym bąk, pilot walczył z drążkiem po drugiej stronie, a świat umykał i krążył naokoło nich z zastraszającą szybkością, a potem duży budynek akademika zaczął przybliżać się coraz bardziej i bardziej, i wreszcie fotograf zamknął oczy.

Ostatnia jego myśl była taka, że jeśli helikopter nie przestanie się obracać, to strąca tę kobietę z dachu.

Kiedy Leo podniósł wzrok znad wyświetlacza telefonu, chciał mieć nadzieję, że to, co właśnie widzi, nie dzieje się naprawdę.

Liczył, że to tylko jakieś załamanie perspektywy, złudzenie optyczne, które sprawia, że wszystko tak wygląda, a właściwie jest zupełnie inaczej.

Jednak przed sobą widział już tylko bryłę kamieni, betonu i palącego się paliwa, a platforma, na której stała Christina, nie była już płaskim dachem, lecz jedynie dziurą.

Solidne betonowe podłoże zniknęło. Zamiast rur, anten i klimatyzatorów widniała ogromna ziejąca rana w narożniku budynku, jakby ktoś odgryzł kawałek domu dokładnie tam, gdzie stała Christina i mówiła do całego świata.

Helikopter obrócił się na bok.

Wbił się w budynek i przeciął go w dół, a potem wszystko zniknęło.

Przez chwilę był tylko chaos kłębiącego się dymu i fruujących cegieł, a teraz i to minęło. On też powinien być martwy, a jednak żył.

Stał samotnie na dachu.

Wiatr targał mu ubranie i włosy wśród huku i płomieni, wycia syren i silników. A tutaj on, Leo – nikt go nie widział, nikt o nim nie wiedział, nikt nawet nie przeczuwał, że przeżył, ale nikt też się tym nie interesował.

Po prostu stał.

Cicho.

Trudno powiedzieć jak długo.

Aż w końcu wyłączył telefon.

Kiedy obraz z kamerki Leo zniknął z ekranu w dużym audytorium, podobnie jak z monitorów na tysiącach biur w Szwecji i całej Skandynawii, i prawdopodobnie także w niezliczonych innych miejscach, na pozostałych ekranach na ścianie wciąż

pokazywały się obrazy od innych dostawców informacji.

Dom, z którym zderzył się śmigłowiec, stracił dużą część jednego narożnika. Ściany i okna na dobrą sprawę nie istniały od dachu aż po ziemię, a z rozoranych podłóg, które sterczały w powietrzu, unosiły się wolno na wietrze papiery i inne śmieci, spadały na ziemię tam, gdzie paliło się coś, co jeszcze niedawno było helikopterem.

Rozgorączkowane głosy mówiły jeden przez drugi, paski na dole ekranów krzyczały wielkimi literami, że szpital Slotervaart albo został wysadzony w powietrze przez własne siły powietrzne, albo strącono na niego samolot, czyli że to dzieło terrorystów, wszyscy zgadywali. Panował chaos, panika, opowiadano przeróżne rzeczy.

Nikt nie widział samotnego mężczyzny na jednym z dachów.

Nikt nie mówił o kobiecie, która stała na jego skraju i którą helikopter porwał ze sobą w otchłań.

Jedynie tutaj, w sali z granatowymi krzesłami, wszyscy wiedzieli, co się stało.

Janine obróciła się w końcu, żeby zobaczyć, co z Williamem.

Ale Williama Sandberga już nie było w audytorium.

Znaleźli go w jego pokoju pracy.

Najpierw szukali po całym zamku, w kaplicy i na tarasie, zadzwonili do Evelyn Keyes i kazali jej sprawdzić miejsce logowania jego karty zbliżeniowej, żeby wiedzieć, gdzie mógł się podziać.

Wysokość od tarasu do skalistego podnóża góry wynosiła co najmniej trzydzieści metrów. A oprócz występów w murze i niewielkich balkonów były też okna w wieży i jeszcze dalej w kaplicy, więc dla kogoś, kto nie chciał już żyć, nie brakowało tu miejsc, by spełnić swe życzenie.

Kiedy Keyes oddzwoniła z informacją, gdzie go można znaleźć, w pierwszej chwili pomyśleli, że pewnie zamierza zrobić to w inny sposób, więc Janine puściła się pędem przez korytarze, biegła po kamiennej posadzce jak tyle razy przedtem, lecz tym razem spieszyła się, by ratować nie własne życie, tylko kogoś innego.

Dotarła na miejsce tuż przed Connorem.

Oboje rzucili się do drzwi Williama, spodziewając się, że są zamknięte, ale o dziwo, bez problemu się otworzyły. Weszli do środka, jednak tam nie zanośli się na nic złego.

William stał z kołnotatnikiem spoczywającym na rozłożonej dłoni i przedramieniu, jego wzrok błędził po ścianach, podczas gdy w drugiej ręce trzymał ołówek gotowy, by zapisać swe myśli, gdyby tylko nie były tak nieuchwytnie, przygnębiające i niepojęte.

Nawet nie słyszał, jak Janine i Connors weszli do pokoju.

Czuł się tak, jakby patrzył na cyfry przez obracający się lejek, jakby jedna myśl wymazywała dwie inne, a im bardziej starał się zrozumieć, tym więcej wyslizgiwało mu się z rąk.

Ona nie żyła.

Widział jej śmierć.

I zdawał sobie sprawę z tego, że była jedną z wielu tysięcy ludzi, którzy już umarli, i jedną z setek tysięcy, którzy jeszcze umrą. Lejek pojawiał się co chwila i choć William usilnie się starał ujrzeć większą perspektywę, wciąż widział tylko ją.

W głębi ducha wiedział, że to dopiero początek.

Robił wszystko, aby uwolnić się od paniki, przecież musiało istnieć jakieś rozwiązanie, jakiś klucz, nie mogło być inaczej, i ten klucz powinien kryć się gdzieś pośród tych wszystkich cyfr widocznych przed nim, a jego zadaniem jest odnalezienie go, zanim na wszystko będzie za późno. Teraz już wiedział, co to znaczy za późno; ogłuszający szum pulsującej krwi i bicia własnego serca nie pozwalał mu

myśleć. William z wysiłkiem przymknął oczy.

Całość.

O tym mówiła Janine, o całości.

A on nadal jej nie widział.

Sekwencje widoczne na ścianie wybrali dla niego inni, to inni uznali je za główne lub ważne czy po prostu za bezpieczne na tyle, że można było mu je pokazać.

Tylko pytanie, co jest między nimi. Co kryje się w materiale, którego on *nie* ma, w cyfrach, które tu nie wiszą, w tych z początku lub z końca, we fragmentach DNA, które według nich nie należą do kodu. Skąd wiedzieli, że klucz nie znajduje się w tamtych częściach?

Jakich sekwencji mu brakuje?

Jakie informacje zachowali dla siebie?

Dlaczego dostał z całej sekwencji genomowej człowieka tylko to, co wisi tutaj?

Nagle ktoś dotknął jego ramienia.

To była Janine.

– Jak się czujesz?

Dziwne pytanie, przecież znali odpowiedź. Kryło w sobie informację, że Janine martwi się o niego i dobrze wie, jakie jest jego samopoczucie. Jedynie skinął jej głową.

Krok za nią stał Connors.

– Jest nam ogromnie, ogromnie przykro – powiedział.

– Że zabiliście moją żonę? Czy że wysadziliście w powietrze szpital pełen ludzi?

Jego spojrzenie było lodowate.

Connors mógłby oczywiście odpowiedzieć, ale niczego by to nie zmieniło.

Zabiliśmy jedynie twoją żonę, mógłby wyjaśnić. Tamci w szpitalu już dawno nie żyli.

– Co się dzieje? – spytał William.

– Przecież pan wie, co się dzieje – rzekł generał, kręcąc głową.

– Ma pan rację. Powinienem spytać inaczej. Kiedy dowiemy się wszystkiego?

– Przykro mi – odparł Connors. – Wicie to, co i my wiemy.

William przygryzł wargi, przekrzywił lekko głowę, nie z zawstydzenia, ale raczej by zebrać w sobie siły, zaczerpnąć powietrza i napiąć mięśnie brzucha, a potem odezwać się znowu jeszcze ostrzejszym tonem, z jeszcze bardziej nieugiętym spojrzeniem.

Connors widząc to, uprzedził go:

– Nastąpił właśnie moment, którego się obawialiśmy. Być może mogliśmy powiedzieć o tym wcześniej, może powinniśmy byli to zrobić. Zdecydowaliśmy się jednak...

Przerwał na chwilę; taka była wola Franquina, nie jego, ale on czuł się tak samo

winny, i nie ma powodu udawać, że jest inaczej:

– ...ze względu na was, ze względu na wasze własne...

Nie. Przeszedł do innego wątku.

– Istnieje wiedza, która nie jest przeznaczona dla nas. A im mniej osób, które muszą z nią żyć...

Huk, jaki powstał, gdy wszystko z ogromnego biurka runęło na podłogę, uciszył generała tak skutecznie, jak William zamierzał.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął.

Wbił oczy w Connorsa i nie hamując wściekłości, wydobył głos gdzieś z głębi trzewi, podczas gdy papiery, teczki, długopisy, wszystko spadało i toczyło się na wydeptaną kamienną posadzkę. Coś się w nim jakby obudziło, gniew znalazł ujście, a adrenalina mogła przyczynić się do czegoś konkretnego, zamiast tylko bez celu krążyć w żyłach.

Zrobiło się cicho. Cisza była pełna oczekiwania. William westchnął głęboko, spojrzał na Connorsa opanowanym wzrokiem, prawie jak ojciec patrzący na swoje dziecko z surowością i pobłażliwością jednocześnie.

Kiedy się odezwał, jego ton był rzeczowy i spokojny, ale paląco ostry i niezłomny.

– Wiedzieliście, że nas to czeka.

Tak to powiedział. Nie cofnął się przed tym oskarżeniem.

– Wiedzieliście, że cała ta tragedia po prostu czyha za rogiem, dostrzegaliście jej oznaki coraz bliżej i sprowadziliście mnie tutaj, żebym znalazł rozwiązanie. Chyba się nie mylę?

Connors nie bardzo wiedział, do czego William zmierza.

Odpowiedział z wyczekiwaniem w głosie, najspokojniej jak potrafił.

– Wszyscy walczyliśmy o to, aby tego dnia uniknąć – rzekł.

No właśnie, zdawały się mówić oczy Williama.

– Więc niech mi pan wyjaśni – odezwał się znowu z twarzą przysuniętą tak blisko do twarzy Connorsa, że aż czuł jego ciepły oddech – niech mi pan wyjaśni, jak mam złamać pański kod, jak mam wyliczyć klucz oparty na jego własnej zawartości, na wzajemnych, krzyżujących się i Bóg wie jakich jeszcze wewnętrznych odniesieniach, jak mam to zrobić, skoro nie dostałem od was wszystkiego, co macie. No jak?

Przez chwilę panowała cisza.

– Jak mogę znaleźć strukturę, jeśli mam tylko to, co mam?

Wciąż brak odpowiedzi.

William podszedł do ściany, położył dłoń na kartce, z której Janine odczytała informację o dżumie i która znajdowała się na samym końcu po prawej stronie. Po czym wskazał na róg. Na miejsce, gdzie ściana się kończyła.

Akcentując oddzielnie każde słowo, powiedział:

– Co-się-stanie-potem?

Minęły dwie sekundy.

William był przygotowany właściwie na każdą odpowiedź.

Oprócz jednej.

Kiedy Connors mówił, można było odnieść wrażenie, że jego słowa nie chcą przebyć całej drogi do celu. William je słyszał, ale nie rozumiał treści. W pokoju zaległa absolutna cisza. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, jednak wszystko wydawało się puste i lodowato martwe, a poza tym jeżeli on rzeczywiście dobrze usłyszał, to i tak nic nie miałyby już sensu.

Czyli jednak nie mógł usłyszeć dobrze.

Po prostu nie mógł.

– Przepraszam – rzekł w końcu. – Może pan powtórzyć?

I Connors powtórzył.

– Nic – powiedział powoli. Te same słowa jeszcze raz. – *Nic* się potem nie stanie.

I znowu zapadło milczenie.

Connors pokręcił głową i zniżył głos.

– Otrzymał pan wszystkie kody, jakie są dostępne.

Nie spuszczał wzroku z Williama. Czekał, aby to do niego dotarło.

I w końcu dotarło.

Dało się to poznać po jego postawie, spojrzeniu, opuszczeniu ramion. Ale nagle William naprężył się, prawie tak, jakby brakowało mu powietrza i nie mógł go złapać, spojrzął na Connorsa, podczas gdy jego ciało wstrząsał od środka strach, nieufność i przekonanie, że to, co usłyszał, jest kompletnie niemożliwe.

– Kłamie pan – rzucił.

– Bardzo bym chciał – rzekł Connors.

Obok nich stała Janine. Podeszła o krok bliżej, jakby z mniejszej odległości było łatwiej zrozumieć.

Teraz wiedzieli już wszystko. To wszystko, co do tej pory tak usilnie przed nimi ukrywano. Teraz wiedzieli, że nie ma miejsca na fałszywą interpretację.

Mimo to należało powiedzieć to głośno.

Zaczęła Janine.

– Czyli doszliśmy do dżumy.

Tylko tyle. Nie wskazała na ścianę ani na kartkę, która wisiała po prawej stronie niemal na samym końcu wszystkich przepowiedni, nie musiała jej wskazywać, bo wszyscy wiedzieli, co miała na myśli.

William popatrzył na nich oboje, zrozumiał, że oni wiedzą, on zaś nie zna odpowiedzi na wynikające z tego logiczne pytanie. Nie chciał go zadać, ponieważ przeczuwał odpowiedź. Pytanie wisiało jednak w powietrzu i musiało zostać głośno wypowiedziane.

– A co będzie potem?

Janine skierowała spojrzenie na Connorsa.

Jakby błagała go, by miał lepszą odpowiedź niż ona. Jakby liczyła na to, że ona sama się myli. Ale generał tylko mrugnął, a jego mrugnięcie mogło oznaczać jedynie potwierdzenie.

– Potem została już tylko jedna przepowiednia.

– Co ona mówi? – pytanie zadał William.

Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Patrzyła gdzieś obok niego, usiłowała znaleźć coś wzrokiem, co uwolniłoby ją od konieczności powiedzenia tego, co wie.

Ale niczego takiego nie było.

A kiedy podniosła wzrok z powrotem na Williama, jej głos stał się prawie niesłyszalny.

– Ogień – rzekła. – Wielki i potężny ogień, który położy kres wszystkiemu.

Żadne z nich już się nie odezwało. Po kilku minutach ciszy Connors odwrócił się i ruszył do wyjścia. Nie potrafił im pomóc w uporaniu się z tym, czego się dowiedzieli, bo przecież sam też nie umiał sobie poradzić.

Janine podeszła do Williama.

Nic nie powiedziała.

On skinął głową i otoczył ją ramieniem.

Trzymał ją w uścisku. Długo. Chciałby tak objąć swoją córkę.

A jeszcze kilka dni temu nie miał ochoty żyć.

Wyglądało na to, że niedługo nikt nie będzie żył.

CZĘŚĆ III

GODZINA ZERO

*Nigdy nie jest się gotowym.
No bo jak tu być gotowym?
Jeśli nigdy nie wiadomo?*

Nikt nie wie, dokąd zmierzamy. Nawet czas.

Nawet on nie ma pojęcia, nagle jest po prostu u celu i coś się wydarza, a człowiek stoi obok i próbuje zrozumieć, lecz za żadne skarby nie potrafi pojąć dlaczego. Dlaczego ja? Dlaczego teraz?

*No bo czy to można pojąć?
Nie ma żadnych reguł.*

Nie można powiedzieć, co się stanie w następnej chwili, jeśli nadjedzie ciężarówka z lewej strony. Po prostu nadjedzie, a potem zrobi się czarno. Ale nikt nie mógł wiedzieć tego wcześniej.

*Nikt nie mógł być gotowy.
Teraz mówią, że się mylą.
Że czas wie, dokąd zmierza.
Że jest wytyczona droga.
Lecz nawet jeśli to prawda, nic a nic to nie zmienia.*

Wieczór, środa, dwudziesty szósty listopada.

*Mówią, że świat się kończy.
Ja ciągle nie jestem gotowy.*

Ceremonia odbyła się nie w kaplicy i trwała nie więcej niż cztery minuty.

Zamiast trumny był worek zasuwany na zamek błyskawiczny, a rolę bliskich pełnili Connors, William i garstka mężczyzn w mundurach, którzy naturalnie mieli i nazwiska, i własne osobowości, ale kiedy się na nich patrzyło, sprawiali wrażenie, jakby ich nie mieli.

I Janine.

Stała tuż przy szybie, tak blisko, że mimo grubego szkła czuła ciepło ognia. Wzrok utkwiała w białym worku mogącym zawierać cokolwiek, lecz ona wiedziała, co w nim jest.

Jako jedyna płakała.

Po drugiej stronie szyby od ognia buchało niepojęte gorąco; prywatny mały czyściec wewnątrz otworu w przeciwległej ścianie. Płomienie rzucały światło na niewielką przestrzeń i dalej, przez szybę, na te wszystkie pełne powagi twarze, czekające tylko, by mieć to już za sobą. Franquin zabrał głos, ale nie dlatego, że chciał, tylko po prostu takie miał zadanie.

Kiedy skończył, uruchomił się mechaniczny podnośnik. Nachylił długą rynnę pod niewielkim kątem, opuścił worek z ciałem Heleny Watkins na obracające się tuleje, a te przeniosły go niczym jakąś rzecz na taśmę transportową prowadzącą ku strzelającym płomieniom na drugim końcu. Gdy worek dotarł do celu, zajął się zaledwie w kilka sekund.

Wewnątrz kwadratowego otworu języki ognia rozpalały się różnymi kolorami. Ostatni pokaz fajerwerków w tysiącach barwnych niuansów zmieniających się w miarę, jak ogień trawił kolejne warstwy chemicznych substancji plastikowego worka.

Po czym zamknięto otwór za Heleną Watkins.

To, co z niej pozostało, uległo w nim zwęgleniu.

A kiedy kilka godzin później zmieciono popiół po niej, i ona, i wirus, który w sobie nosiła, całkiem się ulotniły.

Pytanie tylko, w jakim miejscu teraz się ujawni.

– Jeśli będziemy mieli szczęście... – powiedział Connors i zatrzymał się na chwilę.

W ten sposób zaczynał spotkanie.

Stał w milczeniu w głębi audytorium, obejmując wzrokiem wszystkich

umundurowanych siedzących szeregiem za okrągłym stołem; na blacie znajdowały się notesy, ołówki i butelki wody mineralnej, jakby to była pierwsza lepsza konferencja.

Ale przecież nie była.

Jeszcze nie minęła godzina od ostatniego pożegnania Watkins i niespełna doba od tego, jak wielki samolot przeorał część światowej metropolii, pozostawiając za sobą płomienie i zgliszczą. Wspomnienie szpitala, który oni sami obrócili w pył, powlekało piekącą błoną smutku wszystkie myśli – na tym powinni się teraz skupić.

Absolutnie nikt mu nie wierzył.

Absolutnie nikt nie wierzył, że będą mieli szczęście.

I on zdał sobie z tego sprawę od razu, kiedy wypowiedział te słowa; przymknął oczy, zrobił pauzę, lecz po chwili powtórzył to samo. Musiał być optymistą. Na tym między innymi polegała jego praca.

– Jeśli będziemy mieli szczęście – rzekł jeszcze raz – to doczekamy się końca epidemii.

Nikt nie skomentował. W powietrzu zawisa niema nieufność, wyczuwalna i obecna jak egzaminator w sali wykładowej, kiedy wszyscy wiedzą, że w niej jest, niezależnie od tego, czy go widzą, czy nie.

– Mężczyzna, który nam uciekł, został złapany w Berlinie ponad pięć dni temu i o ile mi wiadomo, nic nie wskazuje na to, by się z kimś spotkał, z wyjątkiem właściciela samochodu, który go podwiózł. W każdym razie od momentu, kiedy zaczął zarażać. Co robił przedtem, nie ma specjalnego znaczenia.

Na monitorach za plecami Connorsa rozpościerał się świat niczym jedna wielka mapa podzielona na kilka rzędów ekranów, mozaika elektronicznych migawek składających się w sumie na jeden cały obraz. Connors miękkimi ruchami przeskakiwał palcami po klawiaturze komputera na stole przed sobą, starając się przybliżyć na niej Europę i zilustrować to, co właśnie mówił.

– Z właścicielem samochodu było gorzej – mówił, wskazując jednocześnie na mapę. – Zginął w gigantycznym karambolu w Badhoevedorp, ale zdążył przenieść wirusa dalej. Wiemy, że do masowych zakażeń doszło w szpitalu Slotervaart za pośrednictwem lekarza, który stwierdził śmierć Richtera. Wiemy też, że pilot lotu sześćset jeden brał udział w tamtym karambolu i że ten sam lekarz zbadał go od razu na miejscu i pozwolił mu odjechać.

Westchnął.

– I teraz wiele zależy od szczęścia, które jest nam bardzo potrzebne.

Nikt nie wtrącił ani słowa.

Salę wypełniała cisza.

– Jeśli to są wszystkie przypadki zakażeń, do jakich doszło, to będziemy mieli szczęście – powtórzył po raz kolejny. – Ale jeśli nie...

Spojrzał na pozostałych.

I przez krótką chwilę poczuł się jak idiota.

Przecież w tej sali siedzą ludzie, którzy wiedzą więcej od niego, biolodzy, lekarze, naukowcy, a on przekazuje im teraz informacje, które pochodzą od nich samych – oczywiście zebrane i połączone w całość po to, by pozwolić każdemu zorientować się także w dziedzinach niebędących ich specjalizacją. Mimo to nie mógł oprzeć się wrażeniu, że cała wiedza skupiona w tym pomieszczeniu o niebo przerasta jego własną, i przez krótką chwilę był znowu dzieckiem, znowu znalazł się w Anglii, w mieście, w którym śmierdziało węglem, był mały, a wszyscy inni stali wyżej na drabinie. Za kogo, u diabła, on się uważa?

To uczucie oblało go całego i minęło po ułamku sekundy. Jednak wyprowadziło go z równowagi, kazało mu przerwać wywód na dłużej, niż zamierzał; na szczęście udało mu się wreszcie przemóc i wrócić do rzeczywistości, przypomnieć sobie, kim jest, i zganić samego siebie za to, że jedynie on podaje w wątpliwość to, co robi w tej chwili.

Odwrócił się lekko w stronę monitorów, ku cyfrom i danym, które pojawiały się na nich w miarę, jak mówił dalej.

– Jak wiadomo, badania nad wirusem nie są szczególnie liczne. Głównie dlatego, że istnieje on wcale nie tak długo. Podobnie jak poprzednie generacje miał zatrzymać się na formie kontrolowanej i zniknąć wraz ze swymi nosicielami, jak tylko byśmy się zorientowali, jak działa. Tym razem nie zdążyliśmy.

Spojrzał na zgromadzonych.

Nie zdążyliśmy.

Dwa proste słowa. Każdy wiedział, co one znaczą. Nie udało im się i wszystko wymknęło się spod kontroli, żadne procedury i przepisy nie wystarczyły, a teraz było już za późno, by odzyskać panowanie.

Nikt nic nie mówił.

Bo nie było nic do powiedzenia.

Komputer wprowadził na ekrany nowe tabele, Connors dalej wskazywał i wyjaśniał obojętnym i rzeczowym tonem, co nikomu nie poprawiało samopoczucia.

Na swoich miejscach z tyłu siedzieli William i Janine.

Milczący, jak wszyscy pozostali w rzędach przed nimi. Słuchali Connorsa i jego słów wypowiedzianych przed mapami, słuchali terminów, które znali, patrzyli na cyfry, które ich przerażały, poziom reprodukcji, zapadalność, liczba przypadków – wszystkie wskaźniki były zatrważająco wysokie i ci, co je rozumieli, tylko kręcili głowami.

– Nazwaliśmy go wirusem siódmej generacji – kontynuował Connors. – Rozprzestrzenia się drogą kropelkową w wydychanym powietrzu, co oznacza, że nie przenosi się daleko od nosiciela. To punkt dla nas. Ale z drugiej strony, nie

natrafiliśmy na ani jeden przypadek zakażenia, który nie kończyłby się rozwojem choroby i w końcu śmiercią. Tu już nie mamy się z czego cieszyć.

Nowe dane na ekranach, kolejne cyfry.

– Od momentu zakażenia do zachorowania mija od jednej doby do czterech. U każdej osoby przebiega to inaczej, na co prawdopodobnie mają wpływ różne czynniki. Ale tego też nie wiemy. Za to wiemy na pewno, że jeśli już rozpocznie się proces choroby, to postępuje błyskawicznie. Sądzę, że nie muszę nikomu z was opowiadać, jak wygląda.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy się orientowali. Aż za dobrze.

Connors powrócił do stołu.

Do tego, co miało być sednem jego wystąpienia i co niepokoiło go najbardziej.

Za sprawą jednego kliknięcia na klawiaturze wszystkie tabele zniknęły z ekranów i ponownie pokazała się mapa Europy, z Amsterdamem i Berlinem w centrum, Morzem Śródziemnym na południu i kołem podbiegunowym na północy.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, epidemia wygaśnie. Ale...

Jego palce znowu stuknęły w klawisze.

Nad Amsterdamem pojawiła się kropka.

Jedna niewielka kropka, śmiesznie mała na tle całej mapy.

– Jeżeli jest ktoś, o kim nie wiemy? Ktoś z autostrady albo osoba, która zetknęła się z kimś zarażonym w szpitalu, a potem wyszła stamtąd. Albo która miała kontakt z kapitanem Adamem Riebeeckiem na lotnisku Schiphol?

Chwila milczenia. Po czym nastąpiło to, czego wolałby nie mówić.

– Jeśli ten ktoś zdążył zarażać przed swoją śmiercią dziesięć innych osób? Które znowu zarażyły kolejne dziesięć?

Mapa. Małe punkciki. Ręka Connorsa śmigła nad klawiaturą, raz, drugi raz, trzeci raz, sprawiała, że punktów przybywało, było ich coraz więcej, bez opamiętania mnożyły się coraz dalej od Amsterdamu, w końcu zaczęły się zlewać w kręgi i pokazywać w nowych miejscach, w miarę jak komputer symulował ucieczkę z miast ludzi, którzy ogarnięci paniką szukali bezpiecznych miejsc i w ten sposób zarażali kolejnych, pogarszając sytuację.

I chociaż przedstawiony ewentualny rozwój wydarzeń nie stanowił dla nikogo z nich zaskoczenia, niełatwo było się z nim pogodzić.

A najbardziej ich przerażało – choć w głębi ducha wszyscy to wiedzieli, jednak nie chcieli tego przyznać – jak niewiele ruchów Connors musiał wykonać, jak mało kroków było trzeba, aby cały świat skurczył się zaledwie w kilka tygodni i pojedyncza drobna kropka z Europy znalazła się dosłownie wszędzie.

Wszystkich ogarnęło zdziwienie, kiedy kręgi zaczęły się zmniejszać. Gdy mapa odzyskała swoje kolory, a kręgi stały się znowu punktami i kraje całego świata powróciły do normalnego wyglądu.

Na krótką chwilę zrodziła się nadzieja.

Potrzeba nadziei była tak ogromna, że przez moment wiedza musiała jej ustąpić. Na pierwszy plan przebiło się pragnienie, by wszystko było dobrze. To pragnienie stanęło w świetle rampy i powiedziało: spójrzcie. Poradzimy sobie. Nie może być inaczej.

Jednak sceptycyzm nie opuścił nikogo w sali.

To nie mogło być prawdą.

I powoli, powoli zwątpienie zaczęło chodzić od stolika do stolika, niczym niewidzialny nauczyciel z rękami założonymi na plecach, a wraz z nim stopniowo powracała rzeczywistość. Nie. To niemożliwe. To nie może być prawdą. I jeśli cisza mogła jeszcze urosnąć w pomieszczeniu, które i tak było nią wypełnione po brzegi, to tak się właśnie stało w tym momencie.

Nadzieja wymknęła się ze światła rampy, poszła sobie i przysiadła w kącie.

Pojawiła się świadomość, co oznaczają te skurczone kręgi.

Bynajmniej nie to, że choroba przestała się rozprzestrzeniać, bo w jakiś magiczny sposób wygasła.

Tylko jedną prostą rzecz.

Nie było już nikogo, kto mógłby ją roznosić.

Wreszcie komputer zasygnalizował, że na tym koniec symulacji.

Nie ma już żadnych innych faz, choćby nie wiadomo ile kolejnych ruchów Connors wykonał nad klawiaturą.

Przed ich oczami na ścianie widniał świat pełen jaskrawo oświetlonych detali, z nazwami miast i miejscami, które ten i ów być może odwiedził podczas urlopu, gdzie leży jakaś przytulna mała kawiarenka albo skąd podobno roztacza się fantastyczny widok.

Ale w świecie z komputerowej symulacji nie było już ludzi. Nigdzie. W przytulnych kawiarenkach, na miejskich targowiskach i w przepięknych punktach widokowych. Wszędzie ziało pustką.

Wystarczyło wykonać z dziesięć ruchów na komputerze.

Spotkanie dobiegło końca, lecz nikt nie podnosił się z miejsca.

Notesy leżały nietknięte, butelki stały nieotwarte, świat wymagał ocalenia, jednak nikt nie wiedział, od czego zacząć. Poczucie bezsilności zawisło nad wszystkimi jak ciężka czarna chmura.

– Jeśli będziemy mieli szczęście... – odezwał się ktoś, powtarzając za Connorem.

Wszyscy obrócili się w tamtą stronę.

Każdy myślał to samo, ale tylko jedna osoba odważyła się zadać to pytanie.

– Jak duża jest na to szansa?

Connors spojrział na mężczyznę.

Pokręcił głową.

– Jak to się skończy, będziemy wiedzieli za trzy dni. Na razie chciałbym, abyście przekazali Sandbergowi i Haynes wszystkie materiały, jakie posiadamy.

Mężczyzna, który miał wkrótce umrzeć w zaułku, posiadał nazwisko, ale już od dawna go nie słyszał. Wyblakło i popadło w zapomnienie, i przestało cokolwiek znaczyć w ciągu tylu lat anonimowej samotności, toteż kiedy wypowiedzieli je tamci wojskowi, w pierwszej chwili nie zorientował się, że mówią do niego.

Stephan Kraus żył na ulicy, odkąd pamiętał. Czasami nocował w windach, tunelach albo ogródkach, a niekiedy nigdzie, był cały czas w ruchu, żeby przetrwać przynajmniej jedną noc w zimowym Berlinie. Miał dopiero trzydzieści lat. Ale ci, którzy na niego patrzyli, dawali mu z pięćdziesiąt, on sam zaś czuł się tak, jakby trwał w pozbawionej wieku próżni między życiem a śmiercią. I bywały dni, kiedy nie do końca rozpoznawał otaczającą go rzeczywistość.

Przyszli do niego, kiedy siedział w areszcie.

To był dobry poranek – spał sobie w ciepłe pierwsze raz od bardzo dawna, dostał do jedzenia coś, co nie pochodziło ze śmietnika i było hermetycznie zapakowane, więc nie musiał się obawiać, że się zatruje. I chociaż zdawał sobie sprawę, że to tylko przypadkowa pauza, krótki urlop od codzienności, która powoli, ale skutecznie go zabija, robił wszystko, aby o tym nie myśleć i po prostu się rozkoszować.

Był wdzięczny.

Wdzięczny, że udało mu się przeżyć jeszcze jedną noc.

I niewykluczone, że między innymi to sprawiło, że w końcu się zgodził i powiedział: tak.

Mówili, że zostanie włączony do projektu badawczego. W zamian otrzyma jedzenie i dach nad głową. Otrzyma nową szansę na normalne życie, będzie mógł się uczyć i trenować, a wieczorami we własnym pokoju będzie mógł sobie czytać albo oglądać telewizję, a kiedy przyjdzie lato, siedzieć na tarasie z widokiem, którym nie sposób się nasycić.

Tak mu mówili.

Ale nikt nie wspomniał, co poza tym przyjdzie mu oglądać.

Miał patrzeć na ludzi zapadających na jakąś niezrozumiałą chorobę. Ludzi, których odprawiano do zamkniętych oddziałów, którymi zajmował się personel w zakrywających całe ciało szczelnych strojach, którzy marnieli w oczach i nigdy nie wracali, a on przecież nie jest głupi – bezdomny, owszem, ale nie głupi – więc zdawał sobie sprawę, że na niego też przyjdzie pora i że z każdym dniem przybliży się jego kolej.

Był skazany.

Miał umrzeć, ale jeśli mógłby wybierać, to wolałby zamarznąć na śmierć na

wolności, zasnąć przy akompaniamencie pędzącego metra i nigdy się nie obudzić, niż być jednym z tych krwawiących ciał, które zobaczył przez przypadek, kiedy pozwolili mu pojeździć na rowerze i poćwiczyć, zanim stanie się kolejnym obiektem.

Jednak nie miał wyboru.

Zgodził się i znalazł tutaj, a teraz jest skazany.

Kiedy tamta kobieta, Helena Watkins, przyszła do niego i poprosiła go o pomoc, poczuł się tak, jakby ktoś dał mu szansę.

Była tu więźniem tak samo jak on, ale więźniem z przywilejami. Miała karty zbliżeniowe i wiedzę, z której powodu bardzo się bała, więc potrzebowała jego pomocy.

Obiecała mu ułatwić wydostanie się stamtąd. W zamian on musiał dostarczyć list, grubą kopertę, podobno niezwykle ważną, ale jego ani trochę nie obchodziło, co zawierała, grunt, żeby tylko udało mu się stamtąd czmychnąć; podała mu też nazwisko i wskazówki, i ledwie minęły dwa dni, powiedziała, że już pora.

Przyszła po niego w środku nocy. Prowadziła go przez korytarze niemające końca, otwierała drzwi i służy powietrzne, aż wreszcie dotarli do jakiejś niszy, w której miał się schować i czekać do świtu, aż przyjadą dostawcy.

Tam dała mu tę grubą przesyłkę w kopercie. Po chwili jednak się zawahała. Rozważała za i przeciw, wyjawić czy lepiej nie. Kraus czekał. W końcu się zdecydowała.

– Jest jeszcze jedna rzecz – rzekła.

Pamiętał jej słowa, bo widział, że nadal nie była pewna. Wyglądała tak, jakby z jednej strony wiedziała, że koperta jest ważniejsza od wszystkiego, ale z drugiej było coś jeszcze, coś czysto ludzkiego i osobistego, z czego nie potrafiła zrezygnować.

Poprosiła go, żeby przekazał pozdrowienia. Sformułowała je w ciągu sekundy: krótkie i precyzyjne, nie zawierały ani jednego zbędnego słowa; on wszystko zrozumiał, wzruszył się ich czułością i serdecznością i oczywiście nie mógł powiedzieć „nie”. Potem mu podziękowała i życzyła szczęścia, i w końcu zostawiła go samego.

Stephan Kraus siedział w ciemności. Trząsł się ze strachu, że ktoś go znajdzie. Ale dostawcy przyjechali punktualnie. Kiedy ciężarówka wtoczyła się do środka, on wymknął się na zewnątrz, a gdy wolność i powiew chłodnego powietrza owiały mu twarz, poczuł się przez chwilę szczęśliwy.

Szedł przez wiele godzin.

Dzięki ciemnemu porankowi pozostawał niewidzialny. Droga za nim prowadziła tylko do góry i kończyła się gigantyczną stalową bramą, przez którą niedawno wyszedł. Jedynym pojazdem, jaki go minął podczas całego zejścia w dół, był samochód z jakąś dostawą: jedzeniem, pocztą albo lekarstwami. Wszystko jedno co – jego to już nie dotyczyło, bo on odzyskał wolność. Zaczynało się już rozjaśniać,

kiedy auto przejechało obok niego. W odległości zaledwie kilku metrów, ale na szczęście nikt go nie zobaczył.

Góra pozostawała coraz dalej za nim.

Szedł krętymi drogami, obchodził naokoło wioski z alpejskimi domkami, wyglądające jak z reklamowego plakatu biura podróży, ale rzeczywiste, bo on je widział naprawdę, aż wreszcie po wielu godzinach dróg zaczęło przybywać, miały już po dwa pasy w każdym kierunku i były wypełnione spieszącymi się gdzieś ludźmi.

I właśnie tam, na stacji benzynowej, ukradł ciężarówkę.

A w Innsbrucku załapał się na darmową podwózkę toyotę RAV4.

Zabrała go do Berlina.

A potem nic już nie poszło zgodnie z planem.

Mężczyzna, którego szukał, nazywał się Watkins, tak jak ona.

Mieszkanie Watkinsa znajdowało się naprzeciwko uformowanego w trójkąt parku we Friedrichshein, jednego z wielu, które bywały jego domem przez krótkie okresy, zanim decydował się przenieść gdzie indziej. Może właśnie dlatego od razu dostrzegał, jeśli coś wyglądało inaczej, niż powinno. Przy chodniku stały zaparkowane dwa ciemne samochody. Mężczyźni za kierownicami czytali gazety z udawaną obojętnością. Nietrudno się domyślić, co to mogło znaczyć.

Watkins był obserwowany. Może wiedzieli, że Kraus zgłosił się do niego, bo przecież na pewno zauważyli, że zniknął, i może zmusili Helenę Watkins, by im wszystko powiedziała, a teraz czekają tu na niego.

A jednak to nie samochody sprawiły, że zaczął się wahać.

Tylko dziwne samopoczucie.

Próbował je zlekceważyć, choć narastało w nim przez całą podróż z Innsbrucka. Miał nadzieję, że to początek przeziębienia, ale dobrze wiedział, że to mogło być co innego.

Zatrzymał się. Z daleka przyglądał się wejściu.

W ręce trzymał kopertę, która miała ocalić świat.

Ona tak właśnie powiedziała.

Był bezdomny, ale nie głupi. Wiedział, że nie uratuje świata, jeśli kogoś zarazi, przekazując przesyłkę.

Nadszedł ranek, lecz dzień stracił jakikolwiek sens.

Telewizor był wciąż włączony, bo żaden z nich nie miał siły się ruszyć; wypluwał ciągle te same zdjęcia szpitala, rozbitego samolotu i ważnych osób, które nie chciały się wypowiadać, przeżuwał je raz za razem niczym krowa trawę mającą coraz mniej

wartości odżywczych.

Trochę spali, ale na zmianę. Na siedząco w fotelach, jakby w tej sytuacji nie wypadało się położyć do łóżka. Jakby fakt, że czuwają, mógł jeszcze coś zmienić, jakby wystarczyło tylko odczekać, a to, co się stało, jakoś się odwróci.

Albert czekał za kierownicą, kiedy Leo zszedł na dół z dachu.

Christiny nie dało się już uratować. Budynek został natychmiast odgradzony i obaj nie mogli podejść bliżej, ale widzieli, jak ratownicy przekopują gruzy i sprawdzają razem z psami. Christina spadła z dachu i została pogrzebana pod tonami kamieni. Bez najmniejszej szansy.

Policjanci zdziwili się, dlaczego oni wciąż tam stoją. Albert zrobił się nerwowo i w końcu postanowili odejść.

Wsiedli do samochodu i wyjechali na A10. Potem odbili na wschód, chcąc jak najszybciej oddalić się od Amsterdamu, a kiedy oczy zaczęły im się przymykać ze zmęczenia, obezwładniającego zmęczenia, które ogarnia każdego, gdy przestaje krążyć adrenalina, kiedy żaden z nich nie miał już odwagi prowadzić dłużej, zatrzymali się przed jakimś motelem. Teraz siedzieli na tych samych miejscach, na których usiedli, kiedy tu weszli.

Nie powiedzieli ani słowa.

I tak minęła im noc.

Ciszę przerywały odgłosy pryszniców odkręcanych w sąsiednich pokojach, kroki na korytarzu gości zmierzających na śniadanie, turkot walizek wymeldowujących się podróżnych.

Leo jako pierwszy głośno westchnął i zatrzymał powietrze w płucach, sygnalizując w ten sposób, że zamierza się odezwać.

– Widzę Alpy – rzekł.

Albert spojrzał na niego. Domyślał się, co ma na myśli, ale nic nie powiedział.

List Janine. On też nie mógł o nim zapomnieć. Alpy i wszystkie te nazwy, i znajdź mnie. Ale jak, na litość boską, to zrobić?

– Tak czy siak – odezwał się znowu Leo – musimy jechać na południe.

– Wiesz, że nie musisz tego robić? – powiedział Albert i przyjrzał mu się dokładnie.

Niby to ten sam młody mężczyzna co wczoraj, w tej samej czapce, tej samej marynarce, pomiętej i trochę staromodnej, ale jego spojrzenie się zmieniło. Od chwili, kiedy zobaczyli się pierwszy raz, Leo się postarzał – choć nie minęła nawet doba. Te osiemnaście godzin sprawiło, że dojrzał, przeszedł metamorfozę i przekroczył granicę, za którą stał się doroślejszy, starszy i trochę bardziej melancholijny. Albo może był tylko tak bardzo zmęczony i do tego głodny. To także wchodziło w grę.

– A jak mógłbym inaczej... – powiedział Leo.

To nie było całe zdanie. Jednak ta część wyraziła wszystko co trzeba. Albert popatrzył na Leo – chłopak miał smutek w oczach, jego nieświeże włosy udawały zwyczajną fryzurę może wczoraj rano, ale dziś wyglądały jak tupecik, który ktoś wcisnął mu na głowę.

Było w tym coś na swój sposób wzruszającego.

Przez kilka kolejnych minut znowu siedzieli w milczeniu.

– Dobrze ją znałeś? – odezwał się Albert.

Dobre pytanie. Leo nigdy dotąd go sobie nie zadał. To wszystko stało się na jego oczach, został powalony szokiem i wstrząsającymi emocjami, ale w tej samej chwili przejął jej zadanie, nawet się nad tym nie zastanawiając. Nie, może faktycznie nie znał Christiny, jednak jeśli on nie poprowadzi dalej tego, co zaczęła, to kto to zrobi?

Słyszał swoje własne myśli. I uznał, że pytanie jest niewłaściwe.

Jeśli on tego nie robi, to kim się okaże?

To jest przecież jego wyprawa. To on znalazł informację o Janine i on odszukał Alberta, to wyłącznie on spowodował, że znaleźli się w Amsterdamie, co w pewnym sensie oznacza, że on przyczynił się do śmierci Christiny.

Czyli jest jej to winien. Sobie samemu i jej. I prawdę mówiąc, to nie ma nic wspólnego z tym, czy dobrze ją znał.

– Nie – odpowiedział krótko. – Nie znałem. Nie tak, nie.

Albert przyjrzał mu się uważnie.

– Rozumiem. Ja uciekłem. Spowodowałem śmierć człowieka. W pracy szukała mnie policja, policja i jacyś ludzie, nie mam pojęcia, kim oni są, ale – zawahał się – myślę, że to się wiąże ze zniknięciem Janine. I mówiąc szczerze, sam nie wiem, co robić.

Leo poruszył głową, ale raczej po to, by zaprzeczyć, niż by się zgodzić z tokiem myślenia Alberta. Bo domyślał się, do czego on zmierza. A tam było mu nie po drodze.

– Ty skończyłeś dopiero dwadzieścia cztery lata – ciągnął Albert. – Masz miejsce na stażu w redakcji, które na ciebie czeka. I przez ostatnią dobę napatrzyłeś się na tyle rzeczy, że gdybyś tylko chciał, mógłbyś zapełniać nimi całe strony przez wiele dni. Jeżeli jesteś dobry, a myślę, że jesteś, zatrudnię cię na stałe, jak tylko bąkniesz, że masz na to ochotę. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Leo nie sprostował. Nie powiedział nic. Może Albert miał rację, a może nie, to nie ma żadnego znaczenia.

– Jasne, że jestem wdzięczny za to, co zrobiłeś. Bez ciebie, bez twojego samochodu nie udałoby mi się uciec z Amsterdamu. Wcześniej czy później by mnie dopadli. Cieszę się, że tego uniknąłem.

Pokręcił głową i zniżył głos.

– Ale zrobiłeś już wszystko, co mogłeś. Ja muszę odnaleźć Janine. Ty nic nie

musisz. Możesz pojechać do domu i nie ma żadnego powodu, abyś tego nie zrobił.

Popatrzyli sobie w oczy.

Przez dwie sekundy. Cztery.

Leo siedział cicho, pogrążony w myślach, były ociężałe, ale jasne i wyraźne, i nie ulegało wątpliwości, dokąd zmierzają.

Po chwili wstał. Sięgnął po telefon Christiny. Ten, który teraz należał do niego, gdy jego własny przepadł razem z nią.

Spojrzał na Alberta, szukał właściwych słów.

– Muszę zadzwonić w kilka miejsc – wyjaśnił. – A potem weźmiemy się do zaplanowania naszych kolejnych kroków.

Leo otworzył drzwi na korytarz i zostawił je uchylone; Albert słyszał miękkie kroki młodego mężczyzny stąpającego w skarpetkach po wykładzinie na zewnątrz. Słyszał krótkie wiązki słów w języku, którego nie potrafił zrozumieć.

Nie było dyskusji.

Niezależnie od tego, co miało się zdarzyć, widział, że nie pozbędzie się Leo.

Albert van Dijk był mu za to nieopisanie wdzięczny.

Nadzieja, jaką poczuł Lars-Erik Palmgren, gdy na wyświetlaczu jego telefonu zaczął migać numer Christiny Sandberg, była zupełnie nieuzasadniona, i on wiedział to bardzo dobrze.

Ona nie mogła przeżyć.

Mimo to poczuł zawód, jak nagłe ssanie w żołądku z głodu, gdy w słuchawce nie usłyszał jej głosu.

– Nazywam się Leo Björk – powiedział nieznajomy. – Rozmawialiśmy wczoraj.

– Czy ona żyje? – rzucił Palmgren.

Jedynie to chciał wiedzieć, reszta była nieważna, i chociaż znał odpowiedź, z całego serca życzył sobie, by się mylił.

– Nie – odparł Leo. – Nie.

Być może były różne sposoby powiedzenia tego. Ale Leo nie potrafił wpaść choćby nawet na jeden. Po obu stronach zaległa cisza, cisza sprowadzona do pustych cyfrowych sygnałów, które płynęły w tę i z powrotem między Sztokholmem a Amsterdamem.

– Mogę zadzwonić później, jeżeli... – rzekł w końcu Leo. Słyszając siebie, miał nadzieję, że logika pozwoli odbiorcy uzupełnić jego zdanie i zrozumieć: jeżeli to jest zły moment.

– Nie, nie, proszę – odparł Palmgren.

– Staralem się ją ostrzec – odezwał się Leo. – Jeśli chce pan wiedzieć.

Palmgren kiwnął głową. Była uparta, potrafił sobie wyobrazić tamtą sytuację. Choćby nie wiadomo jak chłopak się gimnastykował i wysiłał, i tak by jej nie przekonał, żeby ruszyła się z miejsca. Jeśli w ogóle zauważyłaby, że o to mu chodzi.

– Dziękuję – odparł krótko. Był wdzięczny za to, co ten człowiek mówi, i za to, że próbował. I chyba też za to, że chociaż przez chwilę nie był sam ze swoimi uczuciami, że mógł się nimi podzielić z kimś po drugiej stronie słuchawki. Wprawdzie nigdy go wcześniej nie spotkał, ale lepsze to niż nic.

– Mam tylko jedno pytanie – powiedział Leo. – Skąd pan wiedział, co się stanie?

– Dostałem informacje.

– Od kogo?

– Nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że ten ktoś pracuje w służbie bezpieczeństwa. Na wysokim stanowisku. To wszystko, co wiem.

– A skąd on wiedział?

– On dla nich pracuje.

– Dla kogo?

– Tego nie wiedział – rzekł Palmgren. Ale zaraz się poprawił: – *Powiedział*, że nie wie. Chyba mu wierzę.

Zawahał się, nie do końca pewien, czy powinien się wdawać w szczegóły. Ale to raczej nie jego sprawa, by utrzymać w tajemnicy te strzępy wiadomości, które wyjawiał mu tamten mężczyzna w piwnicy i te, których sam się domyślił; jeśli to były informacje tajne, to problem tamtego, bo powiedział za dużo, a nie jego, Palmgrena. Jednak nie chciałby narażać nikogo na niebezpieczeństwo. Nie zdążył ostrzec Christiny i skończyło się jak się skończyło, a nie chciał ryzykować, by się powtórzyło coś podobnego.

Z drugiej strony, jeśli facet z telefonu miałby znaleźć Williama... Jeżeli rzeczywiście istnieje szansa na to, by ustalił, na co się zanoszą i dlaczego jest to takie przerażające, straszne i niesamowite, czy w takiej sytuacji nie powinien zrobić wszystkiego, co w jego mocy?

– Wiem, że istnieje pewna organizacja – zaczął. – Tamten człowiek nie potrafił powiedzieć gdzie, bo sam tego nie wiedział, nie orientował się też, kto za nią stoi ani kto jej podlega. Domyślał się tylko, że nie jest sam.

– Co to znaczy?

– No do ich dyspozycji. Tak się wyraził. Oni mają ludzi wszędzie. I to na najwyższych szczeblach. W policji. W siłach zbrojnych. Prawdopodobnie też w rządach.

– I co oni robią?

Palmgren zastanowił się.

– Leo... Tak pan ma na imię, prawda? Chciałbym, aby pan mnie uważnie

posłuchał. Ten mężczyzna przyszedł do mnie, żeby was ostrzec.

– Ale dlaczego? – spytał Leo. – Dlaczego on miałby nas ostrzegać? Skoro jest jednym z nich?

Odpowiedź była prosta. Mrożąco prosta.

– On się bał – odparł Palmgren.

Czekał na ruch z drugiej strony, czekał, aż Leo coś powie, ale tak się nie stało, więc zniżył głos do błagalnego szeptu:

– Coś na pewno się stanie. Musi pan wyjechać z Amsterdamu. Najdalej jak to możliwe. To wszystko, co wiem. No i jeszcze ten szczegół, że niezależnie od tego, co się wydarzy, widzieliśmy dopiero początek.

– Nie jestem w Amsterdamie – poinformował Leo.

– Nie mam pewności, czy to wystarczy.

– Zobaczymy.

I to wszystko.

Rozmowa prawie się skończyła.

Można było odnieść wrażenie, że właściwie nic się nie zmieniło – starszy mężczyzna ostrzegał, ale nie wiedział przed czym, a młodszy słuchał go, ale nie brał sobie jego słów do serca. Gdyby Palmgren miał być szczery, stwierdziłby, że na miejscu swojego rozmówcy zachowałby się tak samo.

– Mogę pana o coś prosić? – zwrócił się jeszcze do niego.

Leo nie odpowiedział.

– Jeżeli go pan znajdzie. Jeżeli znajdzie pan Williama, proszę mu powiedzieć, że ona go nigdy nie rzuciła. – Przerwał, po czym dodał: – Mówię to nie dlatego, że on chciałby to usłyszeć, tylko dlatego, że taka jest prawda.

Zapadła cisza. Dopiero po chwili Leo przemógł się i rzekł:

– Wiem.

Stali tak, tysiące kilometrów od siebie, słuchali nawzajem swych oddechów, chociaż nigdy się ze sobą nie spotkali.

Palmgren miał wątpliwości. Było coś jeszcze. I tak powiedział już więcej niż powinien.

– Mężczyzna, który mnie odwiedził – zdecydował się w końcu – słyszał ich, jak mówili o *katastrofie*.

– W Amsterdamie?

– Nie wiem nic więcej. Tylko że wszyscy się boją. Obawiają się, że odpowiedź trafiła pod zły adres. – Nie. Zastanowił się. Chciał go zacytować jak najdokładniej. – Boją się, że rozwiązanie ma Watkins.

Minęła chwila, zanim Leo odszukał to nazwisko w swoich szarych komórkach.

– Helena Watkins? – dopytał.

– Nie – zaprzeczył Palmgren. – Saul.

Ktoś zauważył twarz Stephana Krausa, kiedy wyszedł z dużej hali. Ogłoszono alarm, ale za późno.

Przesłano wszędzie jego zdjęcie i nadano sprawie najwyższy priorytet; co prawda nikt nie wiedział, co on zrobił, ale należało go koniecznie złapać.

Stephan Kraus bardzo uważał, aby unikać kontaktów z kimkolwiek.

Znał najróżniejsze zakamarki, kryjówki i drogi na skróty w mieście, korzystał z nich przez całe swe życie, aby chronić się przed ludźmi. Ale teraz było odwrotnie – on chronił ludzi przed sobą, i czuł się z tego dumny, a zarazem bał się, jednak nie miał wyboru i pragnął, żeby mu się udało.

Niejednokrotnie był już bliski śmierci, jednak teraz po raz pierwszy czuł się przerażony. Ona dała mu dwa zadania. Bardzo chciał się z nich wywiązać.

Czułe pozdrowienie nie było już tak ważne, bo przekazał je kierowcy toyoty i miał nadzieję, że tamten dotrzyma słowa.

Ale odpowiedzialność za żółtą kopertę spoczywała tylko na nim. Nic nie ułożyło się tak, jak miało się ułożyć – znów znalazł się tam, gdzie był zawsze, mężczyzna bez żadnych możliwości i bez przyszłości, a teraz jeszcze ścigany. Czas uciekał mu szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Skoro nie mógł zrobić tego, o co ona go poprosiła, to było najlepsze wyjście.

Z pustymi rękami wbiegł między koła zaparkowanych samochodów.

Kopertę zostawił.

Była bezpieczna, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na chwilę. Po drodze z wielopoziomowego garażu wrzucił do skrzynki cienką, białą kopertę, którą ukradł ze stojaka z widokówkami, i teraz tylko mógł mieć nadzieję, że napisane drżącą ręką koślawe litery dadzą się odczytać, że dobrze zapamiętał adres, że mimo wszystko jej nie zawiódł i że ostatnia rzecz, jaką zrobił, była czymś dobrym, i koniec swego życia udało mu się wykorzystać do czegoś ważnego.

Kaszel i gorączkę starał się bagatelizować.

Swędzenie pleców może było niczym więcej niż tylko swędzeniem.

Ale kiedy pojawiła się krew i zaczęła schodzić skóra, nie miał wątpliwości.

Widział ich na długich szeregach łóżek.

A teraz on jest jednym z nich. Nie chciał umierać, jednak to nie on decydował.

Tego samego wieczoru został zapędzony w ślepą uliczkę w Berlinie i zastrzelony przez mężczyzn przebranych za sanitariuszy, a potem zniknął w samochodzie, który wyglądał jak ambulans.

Następnie wysadzono go w powietrze na poligonie wojskowym u podnóża Alp.

A żółta koperta, która miała ocalić świat, leżała w skrytce na berlińskim Hauptbahnhof i nikt nie miał o niej pojęcia.

Tak dobrze mu znany odgłos wentylatorów, które pracowały bez przerwy, przypominał dawny czas.

To samo słyszał każdego ranka, kiedy uruchamiał swoje komputery w masywnym ceglany domu na terenie pułku w Kungsängen, a teraz ten charakterystyczny szum ożywił tamte wspomnienia: jak siadał na wytartym biurowym krześle, przesuwiał się na skrzypiących kółkach po ponurym szarym linoleum, ostrożnie upijał łyk gorącej kawy, która pachniała porankiem i możliwościami, ale smakowała paskudnie. Miał poczucie, że pracuje nad czymś ważnym, że nadaje się do tego i wie, co robi.

Przez krótką chwilę znowu się tam znalazł.

Ale zdawał sobie sprawę, że kiedy otworzy oczy, będzie bardzo, bardzo daleko od tamtego miejsca.

William stał w swoim pokoju do pracy w zamku.

Minęły zaledwie godziny od chwili, kiedy był tu ostatni raz, a mimo to odnosił wrażenie, jakby właśnie wrócił z dalekiej podróży. Opuszczał go z nadzieją, że istnieje jakaś przyszłość, a potem ujrzał rzeczy, które zmieniły go gruntownie, i teraz był tu znowu, świadom, że czas jest tym, czego najbardziej potrzebuje, a jednocześnie ma go najmniej.

Nie zdąży zrobić tego, co zamierzał.

Powinien pójść na skróty – wybrać najszybszą drogę, przeskoczyć jakiś etap i trzymać kciuki, aby mimo wszystko się udało.

Nie podobało mu się to.

Wyliczenia powinien pozostawić maszynom, ale na to było zdecydowanie za wcześnie. Chciał najpierw być sam na sam z kodami, wyliczyć je ręcznie i przyswoić sobie, nauczyć się sekwencji na pamięć, tak aby komputery stały się jedynie narzędziem, żeby nie były nieznanymi czarnymi dziurami, powiększającymi i wypływającymi z siebie wyniki, których on nie potrafi zinterpretować.

Ale nie było na to czasu.

Słyszał szum uruchamianych twardych dysków, trzaski załadowywanych systemów operacyjnych, zapalały się światełka i maszyny przygotowywały się do przyjęcia cyfr oraz próby przełożenia ich na logiczne ciągi.

Jako ostatni włączył ciężki szarozielony sprzęt na końcu stołu.

Sarę.

Znajomy odgłos monitora, kiedy zaczynał pracować kineskop. Katoda emitowała swoje elektrony, które uderzały w wypukłą powierzchnię ekranu, wywołując

świecenie na jasnozielono kolejnych pasków luminoforu, co znaczyło, że proces uruchamiania jest w toku.

Ta maszyna pochodziła z epoki kamiennej. A jednak to na nią właśnie teraz liczył. Była stara, ale stworzona w jednym określonym celu, a poza tym skonstruowana przez niego samego. A skoro w tym momencie nie miał możliwości ogarnięcia wszystkich kodów samodzielnie, powinien zaufać właśnie jej. To najlepsze wyjście w tej sytuacji.

Myślał o niej jak o żywej istocie.

A przecież to tylko komputer. Nic innego.

Skoro nie ma czasu, aby robić odręczne wyliczenia, to tym bardziej nie starczało go na deliberowanie o przeszłości, dlatego postarał się uwolnić od wszelkich zbędnych myśli, podszedł do ściany i po raz ostatni potoczył wzrokiem po rozwieszonych na niej papierach.

Kody.

I wersy.

Dżuma. Koniec. Ogromny i potężny ogień.

Pokręcił głową.

Przecież widział te kręgi – kręgi i punkty na mapie Connorsa. Wiedział, co było napisane, i wszystko jak do tej pory się zgadzało. To początek. A jeśli takie było przeznaczenie, to kimże on jest, aby móc cokolwiek na to poradzić?

Nie dostrzegał odpowiedzi, miał same pytania, a ilekroć je sobie zadawał, zawsze dochodził do tych samych wniosków.

Tak po prostu jest.

Im więcej pytań przychodziło mu do głowy, tym bardziej dziecinne się wydawały i tym bardziej oczywiste okazywało się, że nie ma na nie odpowiedzi.

Dlaczego? Dlaczego w ludzkim DNA zawarte są teksty?

Kto je tam umieścił?

Nikt.

Tak po prostu jest.

To jedyna rozsądna odpowiedź. Nie sposób szukać innej, bo z każdego pytania wynikało kolejne, i w końcu otworzy się przed nim wieczne morze pytań, na które nigdy nie uzyska odpowiedzi, więc albo wpędzą go w obłąd, albo doprowadzą do tego, że zostanie filozofem – zresztą William zawsze podejrzewał, że to jedno i to samo.

Tak po prostu jest i nie warto pytać dlaczego. Skoro podczas ewolucji wykształciło się drzewo, zwierzęta i owady, które bzycały w określonym cholernym tonie, aby otworzyć określone cholerne kwiaty, skoro to wszystko mogło istnieć, to dlaczego nie tekst w jego własnym DNA?

Czuł się jak dziecko. On, który nie lubił dzieci, słyszał swoje pytania i doznawał

zazenowania z ich powodu; w gruncie rzeczy na jego miejscu mógłby znaleźć się trzylatek pytający i pytający bez końca.

Dlaczego?

Dlaczego niebo jest niebieskie?

Tak jakby istniało ostateczne wyjaśnienie.

Ponieważ światło o różnych długościach fali załamuje się w atmosferze.

A dlaczego tak się dzieje?

Bo powietrze ma taką właściwość.

A dlaczego ma taką właściwość?

Nie wiem!

Dlaczego istnieje siła przyciągania między atomami? Dlaczego istnieją jądra i elektrony? Dlaczego nie przestaniesz pytać? *Nikt* tego nie wie, nikt nie wie, bo tak po prostu jest, i tak samo jest z kodami, tekstami i przyszłością. I nic się na to nie poradzi.

I to go przerażało.

Ten sam wynik za każdym razem.

Nic się nie da na to poradzić.

Przed nim wisały w długich szeregach kody. Cała organizacja czekała na efekt, liczyła na to, że on jest w stanie rozwiązać ich problem. Cały świat na zewnątrz liczył na to samo, nie wiedząc, że jedyne, co przychodzi mu do głowy, to zdecydowane *nie*. To wszystko na nic.

Tak po prostu jest.

William widział, jak to się ma skończyć.

I nie ma żadnego dlaczego.

Ich nieoficjalne spotkania coraz częściej odbywały się w zimnym pomieszczeniu obserwacyjnym.

Connors i Franquin stali w nim znowu, ze wzrokiem skierowanym na łóżka szpitalne po drugiej stronie szyby. Mniej krwawiących ciał niż wczoraj wieczorem, ale więcej niż będzie jutro. Czas uciekał na ich oczach, spływał czerwonymi strużkami na podłogę i nic nie dało się na to poradzić.

Żaden z nich nie wiedział, dlaczego tak się stało.

Dlaczego upodobali sobie właśnie to miejsce, zamiast spotykać się w jednej z niezliczonych salek konferencyjnych czy w jednym z wielu gabinetów na dole albo równie dobrze gdzieś w starej części budowli, kilka kondygnacji wyżej. Któregoś razu znaleźli się tutaj, może aby sobie przypomnieć, że to, z czym się zmagają, to nie jedynie cyfry, tabele i wykresy na mapie. Tylko że istnieją ludzie, którzy umierają,

i że będzie ich pewnie jeszcze więcej, i że to niedobrze, jeśli rzeczywiście do tego dojdzie.

– Nie powinniśmy byli brać tutaj cywilów – odezwał się Connors. – To był błąd numer jeden.

Franquin nic nie powiedział.

To, co usłyszał, było tylko echem rozmowy, którą odbyli kiedyś, dyskusji powtarzanej tysiące razy, mimo że obaj dobrze wiedzieli, że nigdy nie dojdą do porozumienia.

Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Życie toczyło się dalej. Znajdowali się na innym etapie, zdawali sobie sprawę, jakie będą następne kroki, a jedyne, co było konieczne, to podjęcie ostatecznej decyzji. Franquin spojrział więc na Connors, widział, jak błądzi wzrokiem po ciałach za szybą i jak robi wszystko, by odsunąć to, co nieuchronne.

– Powinniśmy byli sprowadzić tu ekspertów – rzekł. – Powinniśmy byli kazać im pracować z *nami*, przekazać im szczegóły, uświadomić im, po co się tutaj znaleźli...

Franquin uniósł rękę do góry.

Krótki sygnał, aby Connors dał spokój. Nie miał zamiaru słuchać tego od nowa, Connors mógł sobie myśleć, co chciał, ale analizowanie tego, co się już zdarzyło, nie wносиło nic konstruktywnego.

– Co ty powiesz? – powiedział z ostrą ironią w głosie. – A jak nazwałbyś Helenę Watkins?

– Helena Watkins to od początku była loteria – odparł Connors.

– I jak twoim zdaniem jej poszło?

Franquin pokręcił głową:

– Nie dała rady. Okazała się wielkim błędem, to nie było miejsce dla niej...

Urwał. Przez chwilę się wahał. Connors zauważył to i wykorzystał:

– Jesteś tego pewien? – spytał. – Że to nie było miejsce dla niej?

Franquin nie odpowiedział. Ale Connors nie zamierzał mu pozwolić się wywinąć, to pytanie musiało kiedyś paść i nie można go lekceważyć tylko dlatego, że taką ma się ochotę.

– A myślisz, że gdyby nie było tu *nas*, gdyby nie było ciebie i mnie, to ona by się tu znalazła? Gdyby jej tu nie było, żaden bezdomny nie zostałby wypuszczony za mury i nie byłby niczym zarażony, dlatego że nikt nie wykształciłby wirusa i nie testowałby go na nim!

Mówił to wszystko podniesionym głosem, zirytowany w jednakowym stopniu tym, jak wygląda rzeczywistość, jak i tym, że ciągle musi używać tego samego argumentu.

Franquin odwrócił się od niego.

To wszystko nie jest najważniejsze.

Tak czy inaczej to ona złamała reguły: nadużyła swojej wolności, nadużyła swojej wiedzy o obowiązujących procedurach i zasadach bezpieczeństwa, a na koniec to ona wszystko wywołała, być może nieświadomie; niezależnie od tego, jak bardzo była przekonana, że nie jest chora, faktem jest, że naruszyła każdy istniejący przepis, i to ona ponosi odpowiedzialność.

A potem zdołała jeszcze przekazać swoją kartę zbliżeniową tej młodej dziewczynie.

Janine z kolei zdołała wysłać list do swojego chłopaka i kto wie, co jeszcze by zrobiła, gdyby nie udało się powstrzymać jej w porę.

Dokładnie to powiedział Connorsowi.

– I jeśli to wszystko twoim zdaniem nie dowodzi, że Watkins była jednym wielkim nieporozumieniem... – mówił dalej Franquin – ...jeśli to nie dowodzi, że dawanie ludziom wolności, odpowiedzialności i wiedzy jest równoznaczne z ryzykiem, to już naprawdę nie wiem, jakiego rodzaju dowodów potrzebujesz.

Connors pokręcił głową.

– To teraz nie ma żadnego znaczenia – rzekł. – Bo jeśli ona rzeczywiście do czegoś doszła, jeśli znalazła jakieś rozwiązanie, to i tak zabrała je ze sobą do grobu.

– Przekonamy się – odparł Franquin.

Więcej nie musieli już mówić.

Obaj wiedzieli, co zrobiła, i sprzeczenie się na ten temat niczemu nie służyło.

Franquin westchnął i zniżył głos:

– Jesteśmy już w innym miejscu niż wcześniej, wiesz to równie dobrze jak ja. Musimy się spieszyć. Gdyby to wszystko działo się dziesięć czy dwadzieścia lat temu, postępowalibyśmy tak jak wtedy. Ale nie mamy czasu. Potrzebujemy rezultatu, a nie przyjemnego miejsca pracy.

Po czym ponownie zadał pytanie.

To samo, które już od dawna wisiało w powietrzu.

– A więc: czy mam twoją zgodę?

– A mam jakiś wybór? – odparł Connors.

– Nie – potwierdził Franquin.

Również w jego oczach pojawił się smutek.

– Nie, już nie masz.

Connors nie ruszał się z miejsca. Z jego ust nie padło ani „tak”, ani „nie”.

I to wystarczyło.

– Pragnę tego samego co ty – zapewnił Franquin. – Chciałbym, żebyśmy postąpili inaczej. Nie teraz, nie ubiegłej wiosny, ale dawno temu. Ale ani ty, ani ja nie możemy cofnąć się o trzydzieści lat i zmienić decyzji, którą wtedy podjęliśmy...

– Wiem.

Franquin zamilkł. A Connors szukał właściwych słów, choć wiedział, że one nic

tu nie zmienia.

– Za trzydzieści lat również nie będziemy mogli się cofnąć do chwili obecnej, żeby coś zmienić.

Prawda – powiedział Connors bez słów.

Spojrzał Franquinowi w oczy.

I wreszcie, nie cofając spojrzenia, dodał:

– Człubym się o wiele lepiej, gdyby w obecnej sytuacji została podjęta właściwa decyzja.

Nie rozeszli się jak przyjaciele, ale z drugiej strony nigdy nimi nie byli. Byli kolegami, w niektórych okresach – kolegami zmierzającymi w tym samym kierunku, zawsze jednak różnie patrzyli na świat i w momentach kryzysu uwidaczniało się to bardziej niż kiedykolwiek indziej.

Informacja miała zostać nadana w nocy.

Connors udzielił swej milczącej zgody.

A teraz stał w tym samym miejscu, patrzył na rzędy łóżek po drugiej stronie szyby i nie miał wątpliwości.

Wiedział, że żadna ze znajdujących się tam osób już długo nie pożyje.

A dopóki William nie znajdzie nic dla nich, dopóki nie zaczną testów na nowym wirusie i on się nie przyjmie, nie było nadziei.

Żadne próby nic nie przyniosły. Dlatego zdawał sobie sprawę, że to, co Franquin powiedział przed odejściem, jest prawdą.

– W ciągu trzech dni będziemy wiedzieli, czy wirus nadal jest na zewnątrz – rzekł. – A jeśli Sandberg nie znajdzie klucza?

Jego spojrzenie było obojętne.

Podkreślało to, co obaj wiedzieli.

– Jeśli mu się nie uda, wtedy pora na krok numer dwa.

Po tych słowach Franquin wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi. Connors został.

Nie chciał tego. Ale wiedział...

Wiedział, że Franquin miał rację.

Nie można już dłużej czekać.

To oczywiście nie była jej wina.

Janine weszła do pokoju w niewłaściwym momencie, lecz za późno zauważyła jego rozdrażnienie i już nie mogła się cofnąć.

Spytała, jak mu idzie.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Nakarmił swoje komputery wszystkimi danymi, tymi samymi, w które wgapił się przez wiele dni, i nic się nie zmieniło – podobnie jak wtedy, również teraz widział tyle co nic.

Otworzył teczkę Heleny Watkins.

Po raz pierwszy oglądał jej wyliczenia, przeczytał je od początku do końca i miał wrażenie, jakby czytał swoje własne myśli. Każda teza, każde równanie i każda strzałka oraz próba wyprowadzenia jednego z drugiego, dosłownie wszystko, co spisała, pokrywało się z jego wcześniejszymi myślami lub tymi, które zaraz miały mu przyjść do głowy. Nie było w tym nic nowego, utknęła w tym samym miejscu co on, a to mogło oznaczać tylko jedno.

Że marnował czas.

Że myślał dokładnie tak samo jak wszyscy ci, którzy byli tu przed nim. A dopóki kroczył tą samą ścieżką, nie mógł wpaść na nic nowego.

Coś w nim pękło.

Pękło tu i teraz, dokładnie w tym miejscu przebiegała granica i czara się przelała.

– Ty wiesz, jak to jest możliwe – powiedział.

Nie, nie powiedział, wrzasnął, a w oczach mu pociemniało nie tylko z gniewu, ale też z żalu, irytacji i Bóg wie czego jeszcze naraz.

– Siedziałaś obok mnie, prawda? Widziałaś dokładnie to samo co ja. To zmierza prostą drogą do piekła, a ja nie mogę nic zrobić!

Wyrzucił gwałtownie ramiona, był to gest tak przesadzony, że równie dobrze pasowałby do jakiejś lichej operetki. William poczuł to od razu, ale nie miał siły się tym przejmować. Jeśli jego gniew jest śmieszny, to trudno.

Rozsadzała go frustracja z powodu własnej niemożności. A kiedy wentyl został już odkręcony, ciśnienie okazało się tak duże, że nie dało się go z powrotem zamknąć. Rozgoryczenie przerodziło się w oskarżenie, jakby to była jej wina, że kod wygląda tak, jak wygląda, że na wszystko jest za późno i że on nie zdąży już niczemu przeszkodzić, tak jak nie zdążył powstrzymać tego, co już się stało. I zaczął wyliczać na palcach: samolot, szpital, Christina, a potem umilkł, bo stracił głos.

Janine stała obok i patrzyła na niego.

Rozumiała go.

W pewnym sensie pozwoliła sobie sądzić, że jest równie zdesperowana jak on. Że oboje są tak samo zszokowani, ponieważ potwierdzili te same zdarzenia: samolot, szpital i te tysiące ludzi. Ale wystarczyło, żeby się nad tym zastanowiła.

Gdyby tylko pomyślała, toby wiedziała.

Jego żal i rozgoryczenie były nieskończenie większe. On znajdował się pod presją, i to nie jej ale życia, a życia nie można przeklinać. A teraz oto stała tutaj i miała przyjmować ciosy.

Powietrze było nieruchome.

Nie, ono stało w miejscu i miało swoją wyczuwalną wagę.

Powinno już mu minąć, wybuch miał swój początek i koniec, towarzyszyły mu gniew, gwałtowne wyrzucanie ramion, operetkowe pozy.

– Nie wiedziałeś – powiedziała wreszcie. – Nie mogłeś nic zrobić.

Naprawdę tak myślała.

A on zdawał sobie z tego sprawę.

Ale wentyl wciąż był otwarty i nie dawał się zamknąć.

– Czy ty jesteś mną?

Pytanie było retoryczne. Jasne, że ona nie jest nim, i właśnie w tym rzecz: kim ona, do diabła, jest, że przychodzi tutaj i mówi mu, co mógł zrobić, a czemu nie był w stanie zapobiec? *Nie wiedziałeś*. Czy nie do tego właśnie sprowadza się cały problem?

– To było moje zadanie! – krzyknął. – Tak czy nie? Moja praca polega na tym, żeby wiedzieć, moja praca polega na tym, żeby coś zrobić, po to tutaj jestem! Jeśli tego nie potrafię, to po co tu jestem?

Janine nic nie powiedziała.

Nie chciała, żeby doszło do takiej sytuacji.

Oddychała głęboko i spokojnie, nie ruszając się z miejsca. W tym momencie nie mogła nic powiedzieć.

William przycichł trochę.

– Za każdym razem, kiedy coś się dzieje w moim życiu, to nie jest moja wina. Za każdym razem powinienem przestać się oskarżać, że czegoś nie zrobiłem, że mogłem coś przewidzieć. Potrafisz sobie wyobrazić, jak mnie to męczy?

Cisza.

– Potrafisz?

Janine spojrzała na niego.

Przecież doskonale się orientowała, przez co on przeszedł, ale po raz pierwszy uświadomiła sobie, że chyba nie wie wszystkiego.

– Za każdym razem?

Powiedziała to cicho, delikatnie i spokojnie. Jakby chciała mu oświadczyć, że jest jego przyjacielem. I pyta, bo życzy mu dobrze.

– Nie wiedziałam – dodała tylko. I po chwili: – Chcesz opowiedzieć?

W odpowiedzi usłyszała burknięcie.

Zgryzoty dorosłego mężczyzny, ale krnąbrność pięciolatka.

– A po co? Żebyś mogła się poczuć kimś lepszym, ciepłą, umiejącą wysłuchać innych osobą, która udzieli mi kilku mądrych rad i wyzwoli we mnie człowieka? Żebyś mogła sobie stąd pójść i czuć się zadowolona? Spotykałem już takie typy, to niewiele pomaga.

– Nie, nie po to – odrzekła. – Tylko dlatego, że przecież widzę...

William milczał.

– Widzę kogoś, kto dźwiga jakiś ciężar. Bardzo cię przepraszam. – Mówiła nadal spokojnie, cicho i łagodnie, ale nie uciekała wzrokiem. – Strasznie cię przepraszam, ale kiedy widzi się kogoś takiego, kto nie daje rady udźwignąć tego ciężaru, ma się ochotę spytać, czy nie potrzebuje pomocy.

Pokręcił głową.

Zaczął cicho, równie łagodnie i spokojnie jak ona przed chwilą, ale w miarę jak mówił, ton się podnosił, a on go nie hamował, tylko pozwalał mu się wzmacniać i narastać. Aż w końcu wrzasnął, aż wreszcie poczuł pieczenie w oczach, i chociaż nie wiedział, co to jest, nie zamierzał się powstrzymać.

Bo za kogo ona się ma?

Kim ona jest, żeby mu mówić, jak on się czuje?

Jak może pytać go o żonę i córkę? Co ona w ogóle wie? No właśnie, przecież ona o niczym nie ma pojęcia. Do czego więc może mu się przydać, skoro jedyne, co potrafi, to stać i udawać?

Potok słów wylewał się z niego niczym ropa z zakażonej, brudnej i bolesnej rany. Nie hamował go, dobrze się z tym czuł, dobrze było zrzucić winę na kogoś innego, nawrzeszczeć, jakby to Janine stanowiła przyczynę całego nieszczęścia, jakie go spotkało, a przecież wiedział, że tak nie jest, i zdawał sobie sprawę, że będzie żałował tego wybuchu, ale w tym momencie odczuwał ogromną ulgę i nie miał zamiaru przestać.

– Ona umarła – krzyczał, oskarżycielsko i z furją, jakby chciał powiedzieć: jesteś zadowolona, no, jesteś? – Moja córka umierała, a ja tego nie widziałem, chociaż powinienem był to zobaczyć. Nie dostrzegłem, że to się zbliża, nie było mnie przy niej, kiedy to się stało, i nie mogłem już nic zrobić, bo było za późno. A potem nie potrafiłem się z tym pogodzić i to zniszczyło mi życie. Mnie i Christinie. A teraz jej też już nie ma. I co, uważasz, że jesteś w stanie zdjąć ze mnie ten ciężar? Jesteś tak cholernie mądra? Weźmiesz go ode mnie, poniesiesz kawałek i ja znowu poczuję się lepiej?

Nie można wrzeszczeć bez końca. Istnieje jakaś granica.

W którymś momencie trzeba zaczerpnąć powietrza, wtedy człowiek słyszy samego siebie i chcąc nie chcąc zmienia ton.

William właśnie dotarł do tego miejsca. Zagryzł wargi, nie miał już nic więcej do powiedzenia; jeśli jego eksplozję przyrównać do upicia się, a skruchę do kaca, to w tej chwili zaczął powoli trzeźwieć.

Wcale tego nie chciał. Nie chciał być trzeźwy. Odczuwał przyjemność z faktu, że za wszystko obwinia kogoś innego. Znowu zaczął wymachiwać ramionami, dawał znaki, żeby sobie poszła, zniknęła, zanim to przestanie być jej wina. Zniknij, zanim ja

znowu wezmę tę winę na siebie.

Janine nie ruszyła się z miejsca. Przyglądała mu się.

Nie była zła.

Było jej przykro, ale nie ze względu na siebie, tylko ze względu na niego – mężczyznę, który właśnie nawrzeszczał na nią, wykrzyczał jej tysiące rzeczy, jakie tak naprawdę chciał wykrzyzczyć samemu sobie. Spotkała go niespełna tydzień temu, a jednak znała go lepiej niż wiele osób, które były jej bliskie.

Właśnie jej nawymyślał, ale wiedziała, że tego nie chciał.

Że nie myśli tego, co powiedział.

Ich spojrzenia się spotkały i w tym momencie oboje zdali sobie sprawę, że powinien poprosić ją o wybaczenie. Nie teraz, ale kiedyś. Oboje też byli świadomi, że ona zrozumie i mu wybaczy, i to zrozumie na długo przedtem, nim on zacznie się tłumaczyć.

I wszystko to powiedzieli sobie nawzajem bez jednego słowa.

W końcu ona się odwróciła i wyszła, a William po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, usiadł i się rozpłakał.

Przekaz zawierał nie jedną informację, ale kilka.

Wszystkie były już sformułowane i leżały w oddzielnych zamkniętych kopertach w sejfie, a każda z nich miała swój kryptonim i przynależała do konkretnego ze scenariuszy opracowanych przez Connorsa wiele lat wcześniej.

Jakby w innym czasie.

Nie, w innym świecie, świecie, który wciąż gdzieś istniał, gdzie wszystko, co rozgrywało się tutaj, wydawało się na niby i wyglądało jak gra planszowa, po której można zjeść kolację, ewentualnie napić się whisky i spokojnie położyć się spać.

Tymczasem oni w pewnym miejscu przeszli do tutejszego świata. Tego niewyobrażalnego, który nigdy nie miał stać się rzeczywistością. A jednak się stał i teraz Franquin przeszukiwał koperty, aby znaleźć tę właściwą.

Była duża, gruba i ważyła co najmniej kilka kilogramów.

Scenario Noll.

Taki napis widniał na wierzchu. Zakleili ją i wsunęli między inne, mając nadzieję, że nigdy nie będą musieli otworzyć żadnej z nich.

A zwłaszcza tej.

Franquin położył ją przed sobą na stole, pozostałe schował z powrotem w sejfie i go zamknął.

Przyglądał się kopercie. Długo, jakby to była kapsuła czasu, którą wysłał sam do siebie. Doskonale pamiętał ten moment, gdy ją plombowali, on i Connors, dokładnie w tym pokoju, z powagą, ale i z nadzieją. Ze świadomością, że kryje się w niej bardzo odległa przyszłość, tak odległa, że wręcz nie mogła w ogóle istnieć. Ale oto on stoi teraz tutaj, a przyszłość dokonuje się dosłownie na jego oczach. A terażniejszość, w której tkwili, która była tak oczywista, obecna i realna, stała się odległą, poblakła, jakby była jedynie fantazją i tak naprawdę nie istniała.

Tak właśnie z nim było. Z czasem.

Mijał.

I nic nie można było na to poradzić.

Stał nieruchomo przez kilka minut, stał i patrzył na grubą kopertę. Wiedział, co zaraz nastąpi.

Złamie pieczęć.

Rozerwie gruby papier.

I w środku znajdzie całe stosy mniejszych kopert z widniejącymi na nich nazwiskami, adresami i funkcjami. I każda będzie zawierać pewną liczbę cyfr.

A te cyfry będą musiały dotrzeć do swoich adresatów.
Potem będzie już tylko jedna droga.

Connors wszystko słyszał.

Oczywiście.

Wyszedł przez ciężkie drewniane drzwi na taras tylko w cienkiej marynarce od munduru, mimo że powietrze było przejmująco zimne i pełne lodowatych kryształków – ni to śniegu, ni to deszczu. Stał obok Williama i tak jak on oparł się o mur, jakby chciał jedynie zaczerpnąć trochę powietrza, jakby nie mógł obejść się bez paru chwil spędzonych na wicherze i bez popatrzenia sobie po południu na pejzaż.

Naturalnie znalazł się tutaj, ponieważ wiedzieli, że na nią nakrzyczał. I zastanawiali się, jak on się teraz czuje. Nie kierowali się bynajmniej troską o jego stan ducha, chodziło im o upewnienie się, czy nie zapomniał o swoim zadaniu.

Obaj wymienili spojrzenia – nieme pozdrowienie, formalne i uprzejme, nic ponadto – po czym Connors zadał kilka pytań. Czy Williamowi niczego nie brakuje? Czy nie potrzebuje pomocy? I czy wpadł na coś nowego?

William zaś odpowiedział dokładnie tak, jak Connors się spodziewał: nie; nie, dziękuję; niestety, nie.

I to wszystko. Później zapadła cisza.

Stali w milczeniu przez jakiś czas, obaj oparci o kamienny mur. Patrzyli na krajobraz przed sobą, podczas gdy wiatr chłostał ich twarze nieokreślonymi kryształkami.

– Niepokoić się o mnie? – spytał w końcu William.

Connors wzruszył ramionami.

– Tak pan to mówi, jakby było w tym coś złego.

– To zależy. Czy niepokoić się rzeczywiście o mnie, czy o to, że nie będę w stanie pracować.

Connors lekko zakotłosał głową, jakby w ten sposób chciał wyrazić uśmiech.

– Przecież może chodzić i o jedno, i o drugie. Czy to takie niewyobrażalne?

William nic nie powiedział.

Stali dalej.

W końcu się odezwał.

– Trzydzieści lat – rzucił ze wzrokiem wciąż skierowanym na jezioro i góry daleko po drugiej stronie.

Connors nie rozumiał. William wyczuł to i odwrócił się do niego.

– Tak długo tu pan jest. Minęło trzydzieści lat, prawda?

Ach tak. Connors skinął głową.

– Jak pan to wytrzyma?

W samym pytaniu nie było właściwie nic zaskakującego, ale Connors w pierwszej chwili nie zrozumiał, do czego on zmierza.

Po raz kolejny musiał sobie przypomnieć, że William jest tutaj zaledwie tydzień, i to niecały. I jeśli nawet wszystko dzieje się w tak szaleńczym tempie, że czas płynie szybciej i Connorsowi tydzień wydaje się kilkoma miesiącami, nie znaczy to wcale, że William się już z tym oswoił. To przecież niemożliwe.

Generał zawahał się. Szukał dobrej odpowiedzi.

Był taki etap, kiedy świadomość tego wszystkiego obezwładniała go tak bardzo, że nie potrafił myśleć, kiedy na przemian ogarniała go panika albo apatia, kiedy dni płynęły niepowstrzymanie, a postępów brakowało. To prawda, nie wytrzymał, ale wiedział, że jednak musi, i stopniowo się przyzwyczał.

I tak minęły lata.

A teraz stali obaj obok siebie i chociaż on wiedział, że koniec nadejdzie, to jednak miał nadzieję, że się tak nie stanie. Zawsze starał się mieć nadzieję. Jakkolwiek trudne to było.

– Człowiek przywyka – powiedział tylko.

Pauza.

– Sądzi pan, że ja zdążę przywyknąć? – spytał William z uśmiechem.

Connors stwierdził ze zdumieniem, że pierwszy raz widzi, że William się uśmiecha. A przynajmniej w taki sposób – szczerze, bez złośliwości, z ciepłą ironią. Poczłukanie w piersi. Ten mężczyzna obok niego właściwie mógłby być jego przyjacielem, z którym poszedłby na piwo, zagrał w lotki albo zrobił cokolwiek innego, czym ludzie obecnie zajmują się w rzeczywistym świecie, gdyby tylko ten świat rzeczywisty był inny, a oni nie znajdowali się tutaj.

Chciał mu odpowiedzieć, ale nie wiedział co.

Po raz kolejny się zawahał.

– Nie będę przeszkadzał panu w pracy – odparł krótko, bo nie miał nic więcej do dodania, po czym odsunął się od muru i ruszył w stronę drzwi.

– Mylił się pan – usłyszał za sobą.

William stał teraz tyłem do gór i wiatru i patrzył zatroskanym wzrokiem na Connorsa, on zaś zauważył, że jego troska jest szczerą i sprawia ból.

– Myliłem się? – powtórzył Connors.

– Nasze pierwsze spotkanie, w dużej sali, tej ze stołem, zyrandolami i projektorami. Powiedział pan wtedy, że tym, co najważniej dla mnie znaczy i co popycha mnie do walki, są inni ludzie. Prawda?

Connors nie odrywał od niego spojrzenia.

– Tak? – rzucił w końcu.

– Mylił się pan.

William pokręcił głową. Jakby sam nie całkiem rozumiał i się zastanawiał, jakby potrzebował pomocy i chciał pojąć do końca.

On, który nie wytrzymał między ludźmi, który wolał iść przez deszcz, byle tylko uniknąć zatłoczonego autobusu, wolał przejść na drugą stronę ulicy, byle tylko nie ocierać się o jakąś szkolną klasę na wycieczce.

On, który najlepiej czuł się sam ze sobą, który z każdym mijającym rokiem był coraz bardziej przekonany, że inni ludzie są jedynie niedającym się uniknąć złem, irytującymi statystami w jego życiu, przeszkodą stojącą na drodze i zawadzającą, chcącą go zatrzymać na Drottninggatan, by na siłę sprzedać mu rzeczy, których on nie potrzebuje.

A mimo to teraz siedzi tutaj i chciałby objąć ich wszystkich bez wyjątku.

Tych wszystkich ludzi, których nie zna, którzy uparli się, by go irytować, wszystkich, którzy są jedynie dlatego, że byłoby cholernie trudno zbudować świat w pojedynkę, mimo że coraz częściej można odnieść wrażenie, że jest to warte zachodu.

Wszystkich.

Nagle pragnął uczynić co tylko w jego mocy, by ich ocalić. Chciałby potrząsnąć nimi i wrzasnąć do nich, że są w niebezpieczeństwie, chciałby im powiedzieć, że on to powstrzyma – nie wie jak, ale obiecuje, że znajdzie sposób, ze względu na nich, ze względu na siebie, ze względu na wszystkich razem.

To właśnie mu powiedział.

Spojrzał na Connorsa oczami tak pustymi, jak tylko bywają oczy skrywające nieopisany smutek.

– I jak to może się trzymać kupy? – spytał na koniec.

Connors uśmiechnął się do niego.

To był ciepły uśmiech, jak między przyjaciółmi albo przynajmniej między mężczyznami, z których jeden przejrzał drugiego i stwierdził, że to, co widzi, nie jest wcale takie głupie, jak można by sądzić.

– W bardzo prosty sposób – odparł Connors.

Szybkie spojrzenie Williama. Jak to?

– To nie my się pomyliliśmy, ale pan.

Connors stał przy wyjściu, William – przy murze.

Dwaj mężczyźni, którzy mogliby być przyjaciółmi.

Przez krótką chwilę William znalazł się z powrotem w swym dawnym życiu, tam, gdzie była podłoga wyłożona linoleum i pewnie te same komputery co tutaj, ale kawa o wiele gorsza, i poczuł, że pogawędka o byle czym z kolegą i praca są ważne i do pogodzenia, i że w gruncie rzeczy życie nie jest takie złe.

Jeśli nie pyta teraz, to kiedy?

Jeśli nawet miałyby to być dziecinne *dla czego*, to czy nie jest ono w tej chwili na miejscu?

Connors spojrział na niego. Widział, że William chce coś powiedzieć. Skinął zachęcająco. William nabrał więc powietrza.

– Jeśli znalazłbym klucz – rzekł. – *Jeśli...*

Connors czekał. Tak?

– ...co to da?

Generał domyślał się, dokąd zmierza.

I odpowiedział w jedyny sposób, w jaki potrafił – wzruszył ramionami.

– Jeśli nawet dotrę do właściwego kodu? I jeśli pańscy przyjaciele z tych stalowych korytarzy na dole wyhodują nowy wirus, już z moim kodem, i potem wypuścimy go w świat... – William przerwał na chwilę – to przecież on nie będzie szczepionką przeciwko temu, który teraz sieje spustoszenie.

Minęła chwila. Chwila ciszy.

– Nie będzie? – spytał Connors. – Jeśli cała ludzkość jest zamknięta w jednym schemacie. I jeśli my zdążymy go zmienić, czy nie będzie to wystarczające panaceum?

– A skąd będziemy mieli pewność, że ten nowy wirus rozprzestrzeni się wystarczająco szybko? Skąd pewność, że nie zostanie zniszczony przez poprzedni? I co się stanie, jeśli się pomylę, także ja, i będziemy mieli dwa wirusy rozlewające się po całym świecie i siejące wszędzie śmierć? Co wtedy?

Connors przyjrzał mu się uważnie.

Głęboko westchnął.

– Chce pan znać szczerą odpowiedź na wszystkie pańskie pytania? – zwrócił się do niego.

– Tak.

– Nie wiem.

Wymówił to niemal szeptem. Jego głos mieszał się z szumem wiatru i przez chwilę nie można było odróżnić ich od siebie.

Westchnął znowu. Wyrwał się z ciszy i przybrał na powrót jasny i zdecydowany ton.

– Ale wiem, co się stanie, jeśli nie spróbujemy.

William tylko pokiwał głową.

Jakie to proste.

Nie mieli żadnych gwarancji, ale nie mieli też absolutnie nic do stracenia, nic poza czasem. Wiedział zatem, że musi dalej próbować, próbować tak długo, dopóki się tylko da.

Connors po raz drugi zmierzał do wyjścia z tarasu, kiedy ponownie się odwrócił

i odpowiedział na pytanie Williama, który już zapomniał, że je zadał.

– Piszę dziennik – rzekł generał.

William zmrużył oczy, nie bardzo rozumiejąc.

– Pytał pan, jak wytrzymuję. Jak mogłem tu przetrwać przez tyle lat. To jedyna odpowiedź, jaką mam.

Wzruszył ramionami. To nie była żadna świadoma decyzja, tak po prostu się stało, pewnego dnia zaczął pisać, rejestrować potok swych myśli, być może nie miało to większego znaczenia, ale żywił nadzieję, że tak.

William spojrział na niego.

– Dlaczego? – spytał.

– Nie wiem – odparł Connors.

Otworzył drzwi, odwrócił się znowu i już prawie na ciemnych schodach dodał:

– To po prostu było lepsze, niż nie robić nic.

William wrócił do swojego pokoju. Siedział w nim, podczas gdy ospałe światło dnia krążyło ponad górami, tak szare i bez wyrazu, że gdy przeszło w mrok wieczoru, nie dało się zauważyć specjalnej różnicy. Spostrzegł, że nastał wieczór, dopiero kiedy stał się on już niezaprzeczalnym faktem.

Minął kolejny dzień.

A on go zmarnował.

Kody wisiały na ścianach, notes leżał otwarty, komputery szumiały cicho za monitorami wypełnionymi ciągami cyfr, ale nic nie przybliżyło go choćby o krok do rozwiązania czy do klucza albo do czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc.

Zmarnował cały dzień.

A dni, które mu zostały, ubywało.

Na biurku leżały wszystkie książki i materiały, które mu sprowadzono. Podeszedł do nich, zaczął grzebać w ich stosach, czegoś szukał. Jeśli przywieziono rzeczywiście wszystko, to on też powinien tu gdzieś być, przewracał więc swoje notatki i publikacje, odległe wspomnienia z własnego życia nasuwały mu się falami, aż w końcu znalazł to, o co mu chodziło.

Zeszyt był czarny, a strony lśniące białe, bez marginesów i kratek. Miał skórzane okładki i w środku tasiemkę do zaznaczania. To nic szczególnego.

To nie *powinno* być nic szczególnego.

Gdyby tylko wszystko się nie sprzysięgło, by tak mocno wryć mu się w pamięć.

Ona.

Stała przy łóżku, podczas gdy on udawał, że dopiero się budzi. Wyciągnęła do niego rękę z paczuszką, niezwykle dumna, ze wzrokiem pałającym oczekiwaniem. Promieniała na myśl o tym, że obserwowała go potajemnie, jak pracuje przy biurku i ciągle robi te swoje odręczne notatki, i teraz rozpierała ją dumą, że sama to

wymyśliła i przeznaczyła swoje własne pieniądze na to, żeby być przy nim, nawet kiedy on jest zajęty pracą.

Miała wtedy pięć lat. William był szczęśliwy. Otworzył zawiniątko. Dyskretnie wymienił spojrzenia z Christiną. Stała za plecami dziewczynki. Oczywiście powiedziała mu wcześniej, co Sara kupiła, a on oczywiście udał, że nic nie wie, i cieszył się bardziej, niż zasługiwał na ten skromny prezent, i zrobił wszystko, aby pięcioletnia dziewczynka kipiała z radości.

A przecież nie było to nic szczególnego.

To był notatnik. Tylko tyle. Ozdobny papier zaszeleścił na kolanach jego miękkiej piżamy, gdy Sara wdrapała się na podwójne łóżko i objęła go niezdarnie swoimi małymi rączkami, złożyła mu życzenia z okazji urodzin i wciąż promieniała. Była bezbrzeżnie szczęśliwa, tak jak tylko potrafią dzieci.

To wszystko było.

Ale z czasem i wraz z powiększającym się dystansem podobna chwila już nigdy się nie powtórzyła.

To był obraz życia, które pragnął pamiętać, a które nie istniało, zastygła chwila, do której chciałby znów się przenieść, by powiedzieć wszystko, co nigdy nie zostało powiedziane; ten obraz uparcie tkwił przed jego oczami, wciąż bliski, lecz na tyle odległy, że nie dawało się go dotknąć.

To wszystko symbolizował ten zeszyt.

W czarnych okładkach.

Trzymał go teraz w dłoni. Czuł fakturę skóry – z biegiem lat stała się mniej sprężysta. Postarzała się. Zmieniła. Jak to zwykle bywa.

W końcu go otworzył.

Wziął z namysłem pióro do ręki, przyłożył do kartki.

Nigdy nic nie zmusi mnie do pisania dziennika.

To były pierwsze słowa, jakie napisał.

Nocny pociąg z Monachium do Berlina odjechał zgodnie z rozkładem tuż przed godziną dziesiątą wieczorem.

Młoda rodzina, która właśnie ulokowała się w niewielkim przedziale, była zmęczona, ale mimo wszystko szczęśliwa – mieli za sobą dziwną podróż, nic nie układało się według planu, ale w końcu dotarli tam, gdzie chcieli, i spotkali się, z kim mieli się spotkać, a teraz zmierzali do Berlina, żeby przez kilka dni posmakować życia w wielkim mieście, zanim wrócą do domu.

Dom. Na myśl o nim przechodziły ich ciarki.

Zaledwie trzy dni temu spóźnili się na swój pociąg, ponieważ utknęli w karambolu na A9.

Było to okropne dla nich, dorosłych, a co dopiero mówić o dzieciach – kiedy ma się cztery i siedem lat, i mnóstwo oczekiwań, to kuzyni są ważniejsi od wszystkich karamboli na świecie. W tej sytuacji podróż do Monachium musiała odbyć się samolotem. Co prawda kosztowała zdecydowanie za dużo, ale co było robić.

Wreszcie dotarli do celu. Siedzieli w ciepłych fotelach u swoich krewnych i u nich zobaczyli, jak wali się ich rodzinne miasto, dwa razy w ciągu jednego dnia. Amsterdam doświadczał czegoś zupełnie niepojętego. Mieli szczęście, że akurat ich tam nie było, jednak poczucia niepewności, co zastaną na miejscu po powrocie, myśli o tym, kogo ze znajomych już nigdy nie spotkają, nie dało się tak po prostu odpędzić, kiedy jest się dorosłym.

Ale dzieci – wiadomo: dla nich życie dzieje się w danej chwili i nie łamią sobie głowy nad tym, co może się zdarzyć.

Każda chwila była przygodą, a spanie w pociągu nawet większą niż samo życie, toteż dwie pary roziskrzonych oczu dwójki rodzeństwa wędrującej między rzędami siedzeń z lubością chłonęły wszystko dookoła – pozdrowiły konduktora, który przeciął im bilety, i panią kelnerkę z wagonu restauracyjnego sprzedającą słodycze oraz podróżnych siedzących na swoich miejscach, tak by wszyscy oni wiedzieli, jak bardzo ekscytująca jest ta podróż.

Młodzi rodzice powoli prowadzili swoje dzieci przed sobą z powrotem do przedziału, wyczerpani, ale z wyrazem ciepła i miłości oraz z przeproszającym uśmiechem na twarzach.

W przedziale pościel była chłodna, a łóżka miękkie.

Położyli się więc spać.

Jedenaście godzin później, punktualnie za osiem dziesiątą, pociąg wjechał na

Hauptbahnhof – dworzec kolejowy w Berlinie. I nic niezwykłego się nie wydarzyło: wysiadający pasażerowie mrużyli oczy oślepieni porannym światłem, każdy poszedł swoją drogą, nie zwracając uwagi na to, że w jednym z przedziałów sypialnych nadal są zaciągnięte zasłonki i zamknięte drzwi.

Zauważono to dopiero niecałą godzinę później.

Kiedy serwis sprzątający przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka, by zrobić swoje.

Operacja nosząca kryptonim *Scenario Noll* stała się przedmiotem nieustannych żartów.

Nazywali ją dodatkową polisą na życie albo nadprogramowym świadczeniem socjalnym.

Oczywiście po to, żeby jakoś uporać się z przerażającą myślą o tym, co mogło się wydarzyć i co miało uruchomić całą operację, z myślą o potwornej rzeczywistości, że należą do garstki ludzi, którzy być może ocaleją, podczas gdy cała ludzkość wymrze.

Rzecz jasna scenariusz nie zawierał absolutnie nic, z czego można by się śmiać, i dlatego właśnie potrzebny był humor, aby jakoś dać sobie z tym radę.

Kiedy jednak żart stał się rzeczywistością, przestało to być zabawne.

Rozkaz został wydany podczas specjalnego wewnętrznego spotkania. Był na nim obecny cały personel, od dowodzącego po ochroniarzy i służbę medyczną. Pięćdziesiąt cztery osoby siedziały w audytorium, a powietrze wibrowało od napięcia.

Wszyscy wiedzieli, co usłyszą.

Mimo to wiadomość wywołała podenerwowanie i dezorientację. Pojawił się las rąk w górze i tysiące niewesołych pytań. Nie miało znaczenia, czy ktoś pracował w organizacji trzy lata czy trzydzieści – to, co się działo, dla wszystkich było przerażające, niewyobrażalne i obezwładniające. Ale czy mogło być inaczej? *Scenario Noll* wkroczył w fazę numer jeden, a to oznaczało, że definitywnie stracili kontrolę.

Poza tym zostało bardzo mało czasu.

Instrukcje dopasowano indywidualnie do poszczególnych osób.

Należało wszystko zebrać i spakować.

Każdy miał wybrać swoje osobiste rzeczy; miejsca z pewnością nie będzie wiele, ale z drugiej strony nie wiadomo, co ich czeka, a jeśli chcieli przetrwać i w tym wszystkim nie zwariować, ważne, by mogli zatrzymać przy sobie coś własnego. Nikt nie wiedział, jak długo ich nie będzie.

To Connors opracował cały zbiór instrukcji kryzysowych. Był z niego dumny, ale kiedy stał teraz w niebieskim audytorium i przedstawiał wszystkie uwarunkowania,

żałował, że jest jego autorem.

Wszyscy wkoło słuchali go w napięciu.

Wszyscy oprócz chorych, tych, którzy leżeli na swoich łóżkach i na nich pozostaną, gdy cała reszta wyjedzie.

I oprócz tej pary cywilów.

To przykre, ale tak właśnie napisał.

Nienawidził tego, lecz nic nie mógł na to poradzić.

Bo gdyby rzeczywistość była logiczna i oczywista, to nigdy nie trzeba by było tworzyć scenariuszy z wyprzedzeniem.

Kiedy zakończono odprawę, przystąpiono do pracy – w napięciu i zdenerwowaniu każdy wykonywał przypisane mu zadania.

Ochroniarze. Służba medyczna. Naukowcy i decydenci.

Wszyscy czynili ostatnie przygotowania.

Pakowali się, biegali, uwijali się jak w ukropie.

O strachu, który temu wszystkiemu towarzyszył, nie sposób było zapomnieć.

A żart o dodatkowej polisie na życie nie wydawał się już ani trochę zabawny.

Saul Watkins był szczupły, ale dopiero od niedawna.

Marynarka zwisała na nim luźno. Pod nią koszula opadała mu z ramion, wetknięta w spodnie o znacznie większym obwodzie niż obwód jego talii i mocno ściśnięta paskiem, co całości nadawało wygląd marszczonych firanek w oknie u zmarłego krewnego. Zupełnie jakby wyprał samego siebie w nieodpowiedniej temperaturze i skurczył się w stosunku do swoich ubrań, i jako jedyny na całym świecie nie zauważył, że tak się stało.

Schudł, bardzo, i to w krótkim czasie. Nie trzeba było znać go wcześniej, żeby się domyślić, że coś musiało się wydarzyć.

Saul Watkins skręcił z alei, przeciął otwartą przestrzeń przed budynkiem parlamentu, minął martwe zimą rozległe trawniki i skierował się na most dla pieszych, a potem ku futurystycznej budowli po drugiej stronie rzeki.

Zupełnie nieosłonięty. Całkowicie widoczny. I o to chodziło.

Bo jeśli ktoś go śledził, to teraz na pewno go nie zgubi.

Z drugiej strony on też będzie mógł go zobaczyć.

Zatrzymał się na moście. Patrzył na cienki lód, który próbował rozpełznąć się na całą powierzchnię, ale tu i ówdzie popękał. Stał tak, ze smutkiem i zadumą w oczach, zamysłony wdowiec na spacerze, szukający nowego sensu w życiu.

Ale tak naprawdę jego mózg gorączkowo pracował. Szukał znajomych mu

twarży. Mężczyzn, którzy staliby samotnie albo szli bez celu lub też udawali, że na coś czekają. I byliby podobni do tych, którzy pojawili się przed jego domem, pilnowali jego drzwi i z pewnością mieli coś wspólnego z tym wszystkim, co się stało; nie wiedział tylko, do jakiego stopnia byli w to zamieszani, a za bardzo się bał, żeby spróbować to ustalić.

Upłynęło już dużo czasu od chwili, kiedy dostawał od niej widokówki – krótkie i lakoniczne. Nie ulegało wątpliwości, że czytał je też ktoś inny i pilnował, żeby napisała tylko to, na co jej pozwalano, lecz mimo wszystko pochodziły od niej i to dawało mu jakieś oparcie w całej tej niepewności; bezgranicznie mu jej brakowało, ale ona czuła się dobrze i to mu wystarczyło.

A potem przestały przychodzić.

Potem zostali tylko oni. Ci mężczyźni.

Siedzieli. W samochodach. Przed mieszkaniem. Czekali. Nie szli za nim, kiedy rano opuszczał dom, tkwili tam nadal, gdy wracał wieczorem, jakby czekali na kogoś innego. Tylko po co?

Później zniknęli. A niedługo potem przyszła wiadomość.

Jego żona zginęła w wypadku.

Samochody zniknęły z ulicy, jednak szaleństwem byłoby uwierzyć, że przestał być obserwowany. Oni wciąż gdzieś się czaili, nie miał co do tego wątpliwości, a cienka biała koperta, która przyszła do biura, upewniła go tylko, że jest pionkiem w grze, której nie pojmował, albo biegaczem w sztafecie, no właśnie – w sztafecie, w której nie chciał brać udziału i pragnął się z niej wyłączyć najszybciej jak się tylko da.

Stał na moście i patrzył, jak lód rozrasta się i pęka, w końcu doszedł do wniosku, że nikt za nim nie idzie. Wyprostował się i ruszył w kierunku gigantycznego szklanego budynku po drugiej stronie.

W kieszeni miał kartkę z tej cienkiej koperty.

Jedynie, czego teraz pragnął, to się jej pozbyć.

Coś miało się wydarzyć, nie wiedział co, był świadom jedynie, że to go przeraża i że chce przestać być tego częścią.

Miał nadzieję, że dwóch młodych mężczyzn, którzy zadzwonili do niego z samochodu w drodze z Amsterdamu, mu w tym pomoże.

Noc zapadła jak zwykle. Ale dla tych, którzy czekali i którzy przeczuwali, jakie nadchodzi zagrożenie, była jedną z najdłuższych w ich życiu.

W zaciszu biur w różnych krajach mężczyźni i nieliczne kobiety chodzili samotnie w tę i z powrotem, w tę i z powrotem za zamkniętymi drzwiami, mając przed sobą na ekranach telewizorów i monitorach komputerów te same międzynarodowe kanały informacyjne. I jeśli nawet nikt z nich nie wiedział wszystkiego, to każdy i tak rozumiał więcej, niżby chciał.

Organizacja nawiązała z nimi kontakt.

Przekazała mroczne instrukcje.

Minęły lata. Zapomniano polecenia.

Tymczasem dzisiaj w zaciszu różnych gabinetów w parlamentach, siedzibach rządów i głównych sztabach obrony w różnych krajach chodzili w tę i z powrotem samotni mężczyźni i nieliczne kobiety; nikt nic nie wiedział, ale każdy się domyślał.

Otrzymali koperty z cyframi i otworzyli swoje dawne instrukcje.

I zrozumieli, co się teraz stanie.

To, co widzieli, to był początek.

Nadeszła pora, by się przygotować.

Czekali na rozmowę, której żadne z nich nie chciało odbyć.

– Myślę, że oni ją zabili – powiedział.

Przeniósł wzrok z Leo na Alberta, a potem na głowy ludzi kręcących się wokół; miał rozbiegane oczy niczym spłoszony ptak polujący na okruchy jedzenia; jakby berliński Hauptbahnhof był kanapką i w każdej chwili mógł wyłonić się ktoś, kto go stąd przepędzi.

Szkoło i stal w górze sklepiały się w tysiące małych okienek, jakby nad gigantyczną oranżerią, w której ludzie przesuwali się od sklepiku do sklepiku niczym owady z kwiatka na kwiatek, czekając na przyjazd pociągu mającego ich przenieść w zupełnie inne miejsce.

Było dopiero kilka minut po dziewiątej.

Dzień ledwie się zaczął, a już wszędzie kłębiły się tłumy.

Niewidzialny w tej cizbie Saul Watkins, sympatyczny niepozorny człowiek, jak setki innych wokół niego, jako jeden z wielu miał coś do załatwienia i właśnie zrobił sobie przerwę na kawę.

Mimo to się denerwował. Nie, on się bał. I był przepełniony smutkiem. Przed nim na talerzu leżała kanapka z bagietki, która na pewno nie zostanie zjedzona do końca, tak jak wszystko, co brał do ust w ciągu ostatnich tygodni, a może nawet jej nie tknie. Stanowiła jedynie rekwizyt w spektaklu, detal niezbędny dla uzupełnienia obrazu, sugerujący, że to zwykła przerwa na kawę, i pozwalający mu nie wyróżniać się z otoczenia.

Nie chciał być w nic zamieszany. Ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jest już za późno.

– Jacy oni? – spytał Albert.

Watkins pokręcił głową. Nie miał pojęcia.

Wiedział tylko tyle, że to *oni* zatrudnili jego żonę, *oni* obserwowali jego dom, *oni* zadzwonili do niego i poinformowali krótko i zwięźle, że zginęła w wypadku.

Jego żona. Była młodsza od niego o piętnaście lat, nikt jednak na to nie zwracał uwagi ani tego nie komentował w czasie trwania ich małżeństwa. Oboje byli profesorami i pracowali naukowo na uniwersytecie w Poczdamie, ale reprezentowali różne dyscypliny. On był humanistą, literaturoznawcą. Nie wiedział nic o świecie cyfr, ale na przykład wszystko o tym, jakie uczucia i wspomnienia może budzić maślana magdalenka i jak to opisać na nieskończonej liczbie stron. Ona zaś była teoretykiem. Systematyczna i logiczna do szpiku kości. To wprost niewyobrażalne, że oboje się spotkali, a jeszcze mniej prawdopodobne, że dobrze się ze sobą czuli i mimo wszystko się pobrali, a potem żyli razem przez dwadzieścia lat.

A później zdarzyło się to.

Oni.

– Teoretykiem? – zainteresował się Albert. – A w jakiej dziedzinie?

– Matematyka wyższa. Kody, szyfry. Wykładała na tym samym uniwersytecie co ja, ale jednocześnie pracowała nad nowym komercyjnym systemem kryptograficznym do przekazywania informacji w sieci.

Zerknął na nich. Ironiczny uśmieszek chciał pokazać się na jego ustach, ale zgasł, zanim dotarł na powierzchnię.

– Nauczyła mnie tej formułki na pamięć. Jedyne, co na pewno rozumiem w tym zdaniu, to przyimki.

Albert spojrział mu prosto w oczy.

– Czy zna pan Williama Sandberga?

Saul przyjrzał mu się uważnie. Pokręcił przecząco głową.

– A nie wie pan, czy pańska żona go знаła? Czy wiadomo panu, aby kiedykolwiek robiła coś na zlecenie jakiejś organizacji wojskowej?

– Co pan próbuje zasugerować? – spytał Watkins. – Czy wy orientujecie się, kim oni są?

Albert potrząsnął głową.

– Więc kto to jest ten William Sandberg?

Albert wyjaśnił mu pokrótce. William, Janine. List od Janine, w którym wspomniała o żonie Saula. Zniknięcia i mężczyźni w Amsterdamie w czarnych garniturach.

Saul przysłuchiwał się uważnie i w końcu skinął głową.

– To oni.

Po czym zaległa cisza.

– Ale widzę tu różnice, których nie rozumiem – stwierdził wreszcie Albert.

Watkins i Leo zwrócili na niego spojrzenia.

– Pańska żona została zwerbowana.

William i Janine natomiast porwano.

Jeśli w obu przypadkach zrobili to ci sami *oni*, ich postępowanie nie było identyczne.

Watkins pokiwał głową.

– Pojechała dobrowolnie, to prawda. Ale była przetrzymywana wbrew swojej woli.

– Skąd pan to wie?

– Dobra znajomość literatury może okazać się atutem. Człowiek potrafi wtedy czytać między wierszami. – I znowu pojawiła się zapowiedź uśmiechu.

Mówił dalej, aby wyjaśnić, co ma na myśli.

– Mieliśmy ze sobą kontakt. Nie codziennie, ale od czasu do czasu żona

przysyłała widokówki. Obojętne, kilka słów o pogodzie i wietrze. Dosłownie. Tymczasem jedynym tematem, jakiego nigdy ze sobą nie poruszaliśmy, była pogoda. A to znaczyło, że ona nadal żyje, i znaczyło też, że ktoś nie pozwala jej pisać o tym, o czym chce.

– Kartki miały stempel z Berna? – spytał Albert.

Watkins spojrział na niego.

– Czasami – odparł. – Raz z Berna, raz z Innsbrucku, raz z Mediolanu. Ale nigdy z tego samego miejsca dwa razy pod rząd, i jeśli krył się w tym jakiś szyfr, to raczej trudno go odczytać.

– Ale na każdej było widać Alpy? – dodał Leo.

Wyjął telefon Christiny, wyświetlił mapę Europy i przesuwał obraz w różne strony, usiłował znaleźć punkt środkowy między tymi trzema miejscami.

– To daje nam już jakiś punkt wyjścia. Gdzieś tutaj.

Saul skinął głową, ale bez entuzjazmu, raczej z rezygnacją.

– Gdzieś tutaj, czyli dokładnie nigdzie. No bo *gdzie?*

Spojrział na nich przepaszającym wzrokiem.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ja nad tym samym pytaniem łamię sobie głowę już prawie od roku.

Siedzieli w milczeniu. Jakby temat rozmowy się wyczerpał, ale każdy z nich miał w zanadrzu jeszcze jeden punkt do omówienia, tylko nie potrafił do niego przejść.

Naokoło panował nieustający zgiełk złożony z ludzkich głosów, z echa pociągów, które nadjeżdżały, hamowały i ruszały znowu, z wykrzykiwanych z głośnika numerów peronów i godzin odjazdu, komunikatów ginących w powszechnym szumie, zanim ktokolwiek zdążył zrozumieć, co ogłoszono.

W końcu milczenie trwało tak długo, że żadne łagodne przejście nie było już konieczne. Albert pochylił się do przodu i spojrział starszemu mężczyźnie prosto w oczy.

– Czy to możliwe, że pan wie coś więcej, nie zdając sobie nawet z tego sprawy?

– Co pan ma na myśli?

– Nie mam pojęcia. Ale jednego jestem pewien: oni się tego boją.

– *Oni?* Boją się?

– Tak.

Zbierał w głowie myśli. Rzucił okiem na Leo.

– Oni obawiają się jakiejś katastrofy. I tego, że pan ma rozwiązanie.

Tak to sformułował. Skierował badawcze spojrzenie na Saula, jakby to, co przed chwilą powiedział, było pytaniem, i teraz czekał na odpowiedź.

Watkins patrzył na młodych mężczyzn po drugiej stronie stołu. Szukał sposobu, by skierować rozmowę na to, co on chciał powiedzieć, a tymczasem stało się odwrotnie.

Rozejrzał się wokoło. Znowu nerwowo. Znowu gorączkowo, jakby sam temat rozmowy odbierał mu spokój, jakby ci dwaj wkroczyli na zakazany teren przez samo zadanie pytania tak wprost.

– Już mówiłem – odezwał się. – I powtórzę to jeszcze raz. Ja nic nie wiem.

Z akcentem na *nic*. Z powagą w oczach. Coś się jednak nie zgadzało.

– W takim razie – rzekł Albert – dlaczego pan się boi?

– Bo nie chcę, żeby oni myśleli, że ja coś wiem.

Powiedział to bardzo opanowanym głosem.

Ze wzrokiem niewzruszenie utkwionym w nich obu.

Z takim dużym naciskiem, że nie sposób było nie poznać, że ma coś innego na myśli, że ma do przekazania pewną informację, której nie zamierza wyrazić słowami, nie, zaraz, zaraz, on *już* ją wyraził, tylko czekał, żeby oni ją odebrali.

Watkins przechylił się przez stół.

Jego dłoń przesunęła się po blacie.

Pod palcami, chudymi i drżącymi, których kostki jako jedyne nie wychudły i wystawały teraz jak rzadko rozmieszczone koraliki na różańcu, pod tymi palcami leżał błyszczący kwadratowy kawałek papieru.

Otóż to, mówiły jego oczy. Weźcie to.

Cofnął dłoń, wciąż świdrując ich wzrokiem z dramatyczną powagą, jakby to, co im przekazał, nie było zwyczajną kartką, tylko czymś niezwykłym, co mogło zmienić dosłownie wszystko.

Albert przeciągnął papier na swoją stronę stołu, szybko rzucił na niego okiem, po czym wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Kod kreskowy. Tylko tyle zdążył zauważyć. Małe drukowane litery, data. Może jakaś kwota i chyba nic więcej.

– Dostałem list – rzekł Watkins. Zniżył głos, jakby to, co zamierzał im wyjawić, było tajemnicą, o której nikt inny nie może się dowiedzieć. – Dwa dni przed ich telefonem z informacją, że Helena umarła, a może wcześniej, sam już nie wiem, dni zlewają mi się teraz w jedno... Cienką białą kopertę, koślawe litery na wierzchu, jakby...

Zawahał się. Starał się odpowiednio to opisać.

– Jakby? – niecierpliwił się Albert.

– Jakby osoba, która je pisała, już dawno nie miała pióra w ręku.

Spojrzał na nich. Może to nieistotny szczegół, ale dla niego to był element całości, której nie pojmował, a zrozumiał z tego jedynie tyle, że ktoś próbował się z nim skomunikować. Jednak cokolwiek tamten ktoś miał mu do powiedzenia, on nie chciał tego słyszeć.

– Właściwie to nie list. Bo w środku nie było niczego poza tym.

Wskazał głową na kieszeń w marynarce Alberta.

Kawałek papieru. Który już go nie obchodził.

– To jest kwit – stwierdził Albert. – Prawda? Kwit do samoobsługowej skrytki bagażowej?

Watkins spojrzał na niego.

Nie odpowiedział na pytanie, ale jego spojrzenie wystarczyło za potwierdzenie.

– Mam prawie siedemdziesiąt lat – powiedział natomiast. – Moja żona nie żyje. Boję się.

Na chwilę przerwał.

Ponownie wskazał ruchem głowy na marynarkę Alberta.

– Cokolwiek to jest – rzekł – nie należy już do mnie.

Mężczyzna w czarnym garniturze nie spodziewał się, że natknie się na Saula Watkinsa. Ale właśnie go zobaczył.

Dokładnie dwadzieścia minut wcześniej stał u podnóża ruchomych schodów, jedną kondygnację niżej od poziomu ulicy, tam miał swój punkt obserwacyjny; stał na pozór ogromnie zajęty studiowaniem rozkładu jazdy i map, a w rzeczywistości kontrolował czujnie, kto zjeżdża na jego poziom.

Rejestrował każdą twarz, każdy ruch, każdą postać, a mimo to w pierwszej chwili nie zareagował. Jakby mózg nie chciał zaakceptować tego, co zobaczył.

Watkins. To naprawdę on.

Jego głowa mignęła mu wśród setek innych na górze, przesunęła się w kierunku od wejścia do wnętrza hali, po czym zniknęła w ludzkiej masie. Mężczyzna w garniturze ruszył więc pędem i przecisnął się między walizkami i torbami, żeby znowu go wypatrzeć.

Cały czas myślał jednak, że to nie może być prawda.

Że to niemożliwe, żeby on był tutaj z tego powodu. To musiał być przypadek.

Bił się z myślami, próbował dociec związku.

Niecały tydzień temu widzieli, jak bezdomny opuszcza Hauptbahnhof. Ścigali go wiele kilometrów, a on znalazł się potem w tamtej ślepej uliczce i już z niej nie wyszedł.

Ale dokumentów, które powinien był mieć, przy nim nie znaleźli.

Tyle wiedzieli.

Dokumentów, które miał dostarczyć Watkinsowi, jednak z jakiejś przyczyny tego nie zrobił.

A z tego wszystkiego dało się wyciągnąć tylko jeden logiczny wniosek, wyjaśniający, po co Stephan Kraus przyszedł na dworzec – zostawił dokumenty w skrytce bagażowej.

Tyle że były różne opcje, i od nich wiele zależało. Być może Stephan Kraus włożył je tam jako swego rodzaju polisę na życie, żeby uchronić się przed wyrokiem śmierci; może nawet zamierzał je potem stamtąd zabrać, wykorzystać jako kartę przetargową i w ten sposób kupić sobie wolność. Jeśli taki miał plan, to mu się na pewno nie powiodło.

Jeżeli przyjąć ten wariant, wszystko powinno było rozwiązać się samo. Minąłby tydzień i automatycznie zostałby zaalarmowany dział rzeczy znalezionych, że maksymalny czas przechowywania dobiegł końca, a w takiej sytuacji istniały jednoznaczne instrukcje określające, co powinien zrobić personel: w przypadku gdy skrzynka bagażowa zawiera zbiór jakichkolwiek dokumentów, ewentualnie – ale niekoniecznie – w grubej, żółtej kopercie, i ewentualnie – ale niekoniecznie – adresowanych do Saula Watkina, należało zadzwonić pod konkretny numer, w następstwie czego dokumenty zostaną natychmiast odebrane przez niego osobiście lub przez któregoś z jego kolegów.

W innym przypadku trudniej było coś zrobić. Właśnie dlatego sterczał teraz tutaj i obserwował. I z tego powodu puścił się pędem po ruchomych schodach na górę, bo musiał, do jasnej cholery, sprawdzić, po co Watkins tu przyszedł.

Przy Stephanie Krausie nie znaleźli żadnego kwitka. I to ich niepokoiło.

Niepokoiło ich z tej przyczyny, że po drodze od skrytek bagażowych na ulicę minął co najmniej trzy skrzynki pocztowe. A to znaczyło, że mógł ów kwitek do kogoś wysłać. Mieli więc dworzec pod stałą obserwacją.

Na wypadek, gdyby *ktoś* się pojawił.

Na wypadek, gdyby *ktoś* zjechał na dół do skrytek bagażowych i wyjął z nich coś, co wyglądałoby na dokumenty.

Tyle że wydawało się zupełnie nie do pomyślenia, aby tym kimś mógł być Saul Watkins.

Mieli pełną kontrolę nad jego pocztą, przychodzącą zarówno do domu, jak i do instytutu na uniwersytecie, i nie mogli niczego przegapić. On nie dostał żadnego paragonu. Wykluczone.

Oczywiście Saul Watkins mógł się umówić na dworcu na jakieś spotkanie. Mógł przyjść, żeby załatwić jakąś sprawę, zrobić zakupy albo kupić bilet. Ale spotkania rzadko odbywają się przypadkiem. Nieważne z jakiego powodu znalazł się tu Saul Watkins, ważne, że tu był.

Polecenie nie budziło wątpliwości.

Wyciągnął telefon. Wybrał pierwszy numer z listy.

Pozostali będą tu za kilka minut, a co się potem wydarzy, czas pokaże.

Williama nie było w jego pokoju do pracy, ale Janine nie zrezygnowała i zapukała do drzwi sypialni. W końcu jej otworzył i wpuścił ją.

Nie mogła złapać tchu. Wbiegła po schodach na górę, a potem długimi susami przemierzyła labirynt kamiennych korytarzy. Po wejściu do środka zamknęła drzwi za sobą i omiotła wzrokiem całe pomieszczenie, aby się upewnić, że nie ma w nim nikogo poza nimi.

Dopiero teraz spostrzegła, że William nie jest jeszcze kompletnie ubrany. Miał na sobie džinsy i podkoszulek, raczej wziął już prysznic, ale się nie ogolił. To zauważyła od razu. Coś się z nim działo. Chyba był bliski poddania się. Widziała to po jego oczach, z których zniknęła energia. Tak nie mogło być. Nie teraz.

– Włóż marynarkę – powiedziała. – Musimy porozmawiać.

Między tymi dwoma zdaniem nie było żadnego logicznego związku, toteż William spojrział na nią z lekkim zdziwieniem. Nie rozumiał, co miała na myśli, ale to nie było istotne. Tak, powinni porozmawiać, i on musi zacząć.

– Przykro mi – rzekł. Oboje wiedzieli, że powinien to powiedzieć. – Przepraszam za to, co wygadywałem wczoraj...

– Wiem – przerwała mu – wiem, że jest ci przykro, a ty wiesz, że ja wiem, dlaczego zachowałeś się tak, a nie inaczej.

Nie ma o czym mówić. Tyle to znaczyło. Po czym znowu rzuciła ku niemu spojrzenie, zwrócona twarzą do okna.

– Mówię poważnie. Włóż marynarkę. Robi się zimno.

Podeszła do okna, podniosła haczyk, na który było zamknięte, i w tej samej chwili, gdy skrzydła szarpnął wiatr i otworzył je na oścież, William poczuł, że Janine ma rację. Zrobiło się niemożliwie zimno.

W powietrzu było pełno lodowych kryształków, które być może utworzyłyby warstwę śniegu, gdyby tylko nie wiało tak potwornie. Po chwili zakłębiły się w pokoju, wpadłszy do środka ze świstem.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

– Nie jestem pewna, czy nas nie podsłuchują – powiedziała, dając mu znak głową, aby podszedł bliżej. Specjalnie zniżyła głos, aby mieć pewność, że gwizd wiatru zagłuszy jej słowa. I jeżeli faktycznie ktoś ich podsłuchuje, to dojdzie jedynie do wniosku, że są na tyle głupi, że otworzyli okno w taką niepogodę.

– Co się stało? – chciał wiedzieć.

Stanął w przeciagu w samym podkoszulku.

W jej oczach dostrzegł coś, co go przeraziło, więc myślenie o ciepłym ubraniu nie

było w tym momencie najważniejsze.

Janine pokręciła głową.

– Nie stało – odpowiedziała. – Właśnie się dzieje. Teraz.

Drzwi były otwarte na tyle długo, że Janine zdążyła zobaczyć.

Oczywiście ochroniarz, który w pośpiechu przez nie przechodził z jednego korytarza do drugiego, nie wiedział, że ona tam stoi. To wszystko trwało zaledwie kilka sekund, ale wystarczyło.

W głębi, na drugim końcu długiego korytarza, zauważyła ożywienie. Ładowano skrzynie na wózki, mężczyźni w mundurach sprawdzali papiery, a potem drzwi zatrzasnęły się z powrotem. To, co zdążyła zobaczyć, pozostało przed jej oczami jak zatrzymany kadr.

Przebywała na zamku dostatecznie długo, by wiedzieć, jak wyglądają różne procedury.

A to, co ujrzała, było czymś nowym.

Puściła się schodami na górę do pokoju Williama, przekonana, że ten osobliwy ruch mógł oznaczać tylko jedno.

To, o czym mówiła Helena.

Zrelacjonowała mu, co zobaczyła, i przypomniała, co powiedziała Helena, kiedy stała wtedy za jej drzwiami i wsunęła przez szparę pod nimi swoją kartę zbliżeniową, po czym zniknęła na dobre. Znaleźli ją oboje dopiero później, w szklanej skrzyni.

– Powiedziała, że istnieje plan B.

William spojrzał na nią.

– Jaśniej – rzekł.

– Nie potrafię jaśniej. Chciałam ją spytać, ale ona była wystraszona i zupełnie rozkojarzona. Nie powiedziała dosłownie „plan B”, on miał jakąś swoją nazwę, nieważne. Dodała jeszcze, że zbliża się jego realizacja, a ja nie mogłam nic zrozumieć. Do dzisiaj.

– Czego zrozumieć?

– Że oni nie zamierzają walczyć do końca.

Przerwała na chwilę i spojrzała uważnie na Williama.

– Jasne, że tak. Mieli całe lata, żeby się do tego przygotować. To oczywiste, że mają plan B. Jest już za późno, żeby to wszystko zatrzymać, i oni pewnie właśnie się ratują i wynoszą w jakieś bezpieczne miejsce.

Teraz William przyjrzał się jej badawczo.

– Nie nadążam – powiedział. – Dlaczego mieliby to robić?

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie – odparła – dlaczego?

Pokręciła głową, jakby sama chciała odpowiedzieć na swoje pytanie:

– Zamierzają wypuścić wirusa – rzekła. – Już na nas nie liczą.

– A co możemy na to poradzić?

– Musimy coś zrobić, żeby oni się o tym dowiedzieli.

Przeszła go wzrokiem. Mimowolnie wykonała szeroki gest ręką, zataczając łuk w otwartym oknie, jakby chciała mu pokazać, kogo ma na myśli, mówiąc „oni”. Wszystkich. Cały świat. Tych, co tam żyją i mają powymierać, chociaż nikt im nie wyjaśnił dlaczego.

– Być może my dwoje już ich nie uratujemy, ale dajmy im szansę, żeby ocalili sami siebie.

– Jak? – spytał.

Rzucił to tak ostrym tonem, że zabrzmiało nie jak pytanie, ale stwierdzenie faktu: to niemożliwe. Nie przekazemy stąd kodów, choćbyśmy bardzo chcieli. To niemożliwe.

Czuł jednak, że ona zna odpowiedź.

Nie mylił się.

– Musimy się stąd wydostać.

William pokręcił głową.

– Nie mamy jak.

– Musimy spróbować – oznajmiła. I po chwili dodała: – Nie wolno nam się poddać.

Wzruszył ramionami. Poczul się jak przekorne dziecko, ale wiedział, że ma rację i jej pomysł nic tu nie zmieni.

– Niby dlaczego nie? – rzucił. – Dlaczego nie wolno nam się poddać, skoro nie ma innego wyboru?

– Dlatego, że ty i ja jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy jeszcze tego nie zrobili.

Spojrzała na niego uważnie. I sprecyzowała:

– Oni chcą pozwolić zginąć całemu światu. A my nie możemy do tego dopuścić.

Zostawiła Williama samego w pokoju. Jeszcze długo stał w oknie i patrzył. Widział, jak daleko w dole marszczy się tafla jeziora, jak kryształki lodu rozpuszczają się na szybie i tworzą małe wąskie strumyki, które spływają w dół po szkło, wijąc się i zmieniając kierunek w silnych podmuchach wiatru. Stał tak i obserwował, i pragnął jedynie tego, by udało mu się odnaleźć w tym spokój.

Ale się nie udało.

Znalazł jedynie strach, smutek i przerażenie.

To wszystko.

Janine była zdesperowana, to oczywiste. Pojmował jej sposób rozumowania, jej

strategia wydawała się zadziwiająco przemyślana, miała zapewnić im więcej czasu, ale choć bardzo się starał myśleć pozytywnie, to w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić, by mogło im się udać.

Przecież wszystko i tak zmierzało w jednym kierunku.

Stał przed oknem jeszcze z dziesięć minut, nie myślał i nie widział.

A potem poszedł do łazienki i sięgnął po swój neseser z kosmetykami.

W pierwszym odruchu stwierdzili, że kobieta na pewno przesadza.

Trzej strażnicy kolejowi nie puścili się bynajmniej pędem po peronie, tylko biegli raczej truchtem, podczas gdy kluczyki i kajdanki obijały im się z cichym łoskotem o uda; nie dlatego, żeby jej nie wierzyli, ale w końcu to przecież tylko sprzątaczką i może pierwszy raz w życiu zobaczyła krew. Po prostu. A oni, jako pracownicy straży kolejowej, widzieli już niejedno, poza tym kobiecina oczywiście od razu wpadła w histerię, a dla nich to zwyczajne miejsce przestępstwa, które należy po prostu zabezpieczyć, zanim pojawi się policja.

Potem weszli do wagonu.

I stwierdzili, że ona miała całkowitą rację.

Z czwórki pasażerów nie zostało wiele, wszędzie lała się krew, i jeśli to było morderstwo, to należało do wyjątkowo bestialskich. Strażnik czy nie, nie dało się na to patrzeć – jeden z nich wypadł stamtąd natychmiast i wymiotował całe śniadanie, drugi stał jak zamurowany i nie wiedział, co robić, a trzeci zadzwonił na policję i powiedział, że powinni przysłać więcej ludzi, niż mówili wcześniej.

Pojawiła się policja. Kiedy jeden z techników uniósł koc, od razu postanowił zawiadomić państwowy zakład epidemiologii. Od tego momentu śnieżna kula zaczęła toczyć się sama.

Śnieżna kula strachu.

Rosła i miała się nigdy nie zatrzymać.

Albert i Leo siedzieli przy stoliku jeszcze pięć minut po odejściu Watkinsa; poprosił ich o to, a oni nie widzieli powodu, by go nie posłuchać.

Przed nimi wciąż stała kawa, którą on zamówił i której nawet nie tknął, a obok nie wiadomo po co leżała bagietka – przekrojona, posmarowana i zawinięta w folię.

Nie odzywali się do siebie. Nie musieli.

Myśleli o tym samym.

Kwitek. Skrytka. Co mogło w niej być?

Rozwiązanie, o którym mówił Palmgren?

A jeśli tak, to czego konkretnie dotyczy?

Może ma związek z samolotem i szpitalem, może zaprowadzi ich do Williama i Janine. Może dać im wszystko albo tyle co nic.

Tak czy inaczej niedługo powinni się przekonać.

Auto zaparkowali w jednym z podziemnych garaży; w przejściu do nich były porozstawiane w różnych miejscach skrytki bagażowe, więc z logistycznego punktu widzenia wszystko świetnie się układało. Dopiją kawę, potem wstaną i idąc do samochodu, znajdą szereg z odpowiednią skrytką.

A nic nie wskazywało na to, że ktoś się im przygląda albo ich śledzi.

Mimo że Watkins był przekonany, że jest inaczej.

Ich rozmowa skończyła się już dużo wcześniej, ale on wciąż nie miał odwagi się podnieść. Kilkakrotnie zbierał swoje rękawiczki i szalik, żeby sobie pójść, lecz za każdym razem dostrzegał w morzu ludzi czyjąś głowę – kogoś, kto wyglądał, jakby czekał albo nie wiedział, w którą stronę iść – i od razu rezygnował, odkładał rękawiczki z powrotem na stół i rozmawiał z nimi o niczym, dopóki nie nabral pewności, że tamten gość zniknął.

Albert i Leo, okazując cierpliwość i zrozumienie, konwersowali z nim uprzejmie, ale on wciąż nabierał podejrzeń, gdy budzący wątpliwości osobnik znów się pojawiał.

– Nie mam paranoi – powiedział. – Pewnie tak o mnie myślicie. Ale ja swoje wiem.

Żaden z nich się nie odezwał. Mimo to Watkins pragnął im wyjaśnić. Mówił spokojnym i opanowanym głosem i starannie dobierał słowa.

– Przecież to od razu widać, jak ktoś zagląda do czyjejś poczty. Widać, że koperta została otworzona i zaklejona na nowo. Tak się działo niemal przez cały tydzień. I w korespondencji do domu, i do instytutu. Zauważyłem też, że za mną łążą. Przecież wiem, co widziałem.

Albert spojrzał na niego przenikliwie.

– W takim razie – zaczął – jak to możliwe, że przeoczyli ten kwitek?

Watkins zastanowił się przez chwilę. A potem się uśmiechnął. Pierwszy raz, odkąd zaczęli rozmawiać.

– Dlatego, że kobieta, z którą się ożeniłem, potrafiła wyprzedzać ich ruchy.

Napięte usta zadrżały.

Dały o sobie znać emocje, które miał pokryć ten uśmiech, lecz one mimo wszystko zdołały przebić się przez niego.

W tym momencie widok Watkina wprost rozdzierał serce. Być może dlatego, że niektóre elementy jego wychudzonej twarzy w ogóle się nie zmieniły i zachowały swoją dawną wielkość, więc teraz wyglądał jak karykatura samego siebie – para ogromnych oczu uśmiechających się smutno pośród fałd pomarszczonej i cienkiej jak pergamin skóry.

Albo może sprawiła to duma, z jaką na nich patrzył, kiedy na nowo przepełniła go miłość do kogoś, kogo już nie ma, kim jednak chciał się jeszcze pochwalić ten jeden, ostatni raz.

– Nie pomyśleli, że zmarli też mogą dostawać pocztę.

Powiedział tylko tyle.

Po czym wreszcie wstał i zniknął w ludzkim mrowiu.

A w wewnętrznej kieszeni marynarki Alberta van Dijka leżał kwitek do skrytki bagażowej, który trafił na uniwersytet w Poczdamie w białej kopercie zaadresowanej koślawymi, nierównymi literami na Instytut Matematyki. Na nazwisko Heleny Watkins.

Ustalone pięć minut minęło, zostali jeszcze dwie dodatkowe, po czym dopili ostatni łyk kawy i wstali z miejsc.

Szli przez tłum spieszących ludzi. Nigdzie nie widzieli Watkinsa.

Ale sami byli obserwowani przez mężczyznę w czarnym garniturze, który stał na stalowym mostku kilka kondygnacji wyżej.

Mężczyźni, którzy wkroczyli przez przeszkłone drzwi wejściowe, nie uszli daleko. Halę główną wypełniali ludzie zmierzający w różnych kierunkach, rozgorączkowane twarze mijaly się wzajemnie w drodze do pociągów, rozkładów jazdy i sklepików, wszyscy dźwigali torby, plecaki albo ciągnęli walizki na kółkach. Jedna z tych osób mogła być tą, której szukali.

Kolegę na stalowym mostku widzącego całą halę dostrzegli w tym samym momencie, gdy usłyszeli jego głos w słuchawkach. Kazał im się rozdzielić. Watkins poszedł w jednym kierunku, a tamci dwaj – w innym, i nie wiadomo który z nich ma kwitek.

Mężczyźni w garniturach na dole skinęli głowami i zaczęli przedzierać się przez tłum, patrząc nieco ponad innymi, jakby mieli nadzieję, że dzięki temu ich spojrzenie zatoczy perfekcyjny łuk i zatrzyma się dokładnie tam, gdzie wyłonią się tamci dwaj.

Ale nigdzie nie było ich widać. Czarne garnitury omiotły wzrokiem schody, zwykle i ruchome, zapuszczały żurawia w luki między ludźmi, porozumiewały się między sobą dyskretnymi skinieniami głowy, aby się upewnić, że wszystkie drogi odwrotu są pod kontrolą.

Tamci dwaj nie mogli się wymknąć.

Minęła już dziesiąta i wszędzie roiło się od ludzi, wręcz nie sposób było się precyzyjnie przeliczyć.

I nikt nie spodziewał się tego, co wkrótce miało nastąpić.

Akcją dowodził pułkownik Peter Tressing. Kiedy wysiadał przed głównym wejściem na berliński dworzec z dużego LMV z napędem na cztery koła, nie był szczególnie zadowolony.

Zadanie było niewykonalne. I nie ulegało wątpliwości, że jakiegokolwiek wysiłki by podjęli, wszystkie one i tak są skazane na niepowodzenie.

Minęła więcej niż godzina od chwili, gdy pociąg wjechał na peron, i choćby otoczyli budynek dworca dziesięcioma kordonami, nie istniał nawet cień szansy, żeby wszyscy pasażerowie z zakażonego pociągu nadal się tu znajdowali. Prawdopodobnie wręcz żadnego z nich już nie było.

Rozjechali się do swoich domów, do bliskich albo ruszyli w dalszą podróż lub też siedzieli w miejskich autobusach i jeśli ktoś z nich miał kontakt wczoraj ze swoją rodziną, jeśli ktoś z nich pocałował się na pożegnanie lub kaszlnął, i jeśli jedna, dwie albo trzy osoby były zarażone i teraz rozniosły chorobę dalej w świat, to istniało tylko jedno słowo, które mogło to opisać.

Katastrofa.

On to wiedział. Tak samo jak to, że prawdopodobieństwo innego rozwoju sytuacji właściwie równa się zeru.

Mimo to machnął ręką i gdy za jego plecami mężczyźni w zielonych mundurach wysypali się z takich samych pojazdów jak jego, wydał rozkaz, aby zamknęli wejście i obstawili cały teren swoimi gigantycznymi wielozadaniowymi samochodami terenowymi. Ich późniejsze działania kojarzące się z wojną domową śmiertelnie wszystkich przeraziły.

Ale niczego to nie zmieniło.

Podobnie jak większość terminali kolejowych na całym świecie dworzec berliński był zaprojektowany z nadzwyczajną logiką. I podobnie jak na innych terminalach na całym świecie żaden z odwiedzających je pasażerów w ogóle tego nie zauważał.

Była to jedna ogromna rura – rura pełna ludzi.

Leo i Albert przeszli między schodami, przecięli galerie handlowe, które zdawały się unosić swobodnie nad peronami i pociągami, weszli w alejkę nowych sklepików i potem dotarli do kolejnych schodów, a tam w różnych niszach i kątach stały szeregi skrytek bagażowych, jednak żaden z numerów widocznych na drzwiczkach nie zgadzał się z tym na kwitku.

Poruszali się dosyć szybko, ale nie nerwowo, jakby chcieli pokazać, że wiedzą, dokąd zmierzają, choć nie było to prawdą. Chyba trochę udzieliło im się przewrażliwienie Watkinsa, ponieważ co jakiś czas oglądali się przez ramię, mając nadzieję, że nikt za nimi nie idzie.

Bo jeśli ktoś by ich śledził, to teraz miałby ich jak na dłoni.

Z poziomu zero zjechali schodami ruchomymi niżej i nietrudno było zauważyć, że nie bardzo wiedzą, jaki kierunek obrać. A z tego dawało się wyciągnąć wniosek, że albo są wyjątkowo roztargnieni, albo wyraźnie nie mogą czegoś znaleźć.

Dla nich też to było jasne. Zaczęli się więc zastanawiać, czy nie powinni przerwać poszukiwań i wrócić jutro rano, gdy nagle spostrzegli, że stoją przed rzędem skrytek o numerach bliskich temu na ich kwitku.

Jest. Tam. Zamknięte drzwiczki, najmniejsza szafka, prawie na samym końcu w rogu, za starszym mężczyzną, który przykucnął przed swoim boksem i ostrożnie, z namysłem upychał w nim walizkę i siatki, zastanawiając się chyba, czy lepiej będzie położyć torbę na walizce, czy może zostawić tak jak jest.

Albert i Leo zatrzymali się w pewnej odległości i czekali niecierpliwie przy schodach, aż mężczyzna odejdzie.

W końcu zamknął drzwiczki. Pogmerał przy zamku i poszedł. Teraz oni mogli otworzyć swoją szafkę.

Na kwitku widniał kod.

Wstukali go na klawiaturze panelu pośrodku rzędu skrytek.

I czekali.

Zupełnie jakby spodziewali się czegoś wielkiego, jakby cały świat wstrzymał oddech i właśnie w tym miejscu działa się historia, jakby wciśnięte przez nich cyfry miały zmienić dosłownie wszystko, a cała rzeczywistość miała stać się czymś innym.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Jedynie kliknięcie.

I to wszystko.

Drzwiczki jednej z dolnych szafek lekko się uchylily, zaledwie na kilka centymetrów; pochyliłi się więc, otworzyli je szerzej i sięgnęli do środka po zawartość.

Znaleźli żółtą kopertę.

Albertowi przez moment kręciło się w głowie. Być może powinien być przygotowany, powinien był domyślić się wcześniej, że cokolwiek czeka na nich w tej skrytce, musi pochodzić z tego samego miejsca co koperta, którą przysłała mu Janine, ale świadomość, że oto trzyma w ręku żółtą kopertę, identyczną jak ta, którą dostał, kazała mu szybko stanąć prosto, spojrzeć w oczy Leo i próbować znaleźć odpowiednie słowa. Ta koperta bowiem oznaczała, że są na właściwej drodze. Że odpowiedź jest coraz bliższa. I że teraz już wszystko musi się udać...

Pierwszy zobaczył ich Leo.

Znajdowali się po przeciwnej stronie na tym samym poziomie.

Ciemne garnitury – mężczyzna, który wskazał ich palcem, przycisnął słuchawkę

w uchu i puścił się pędem przed siebie.

A Leo chwycił Alberta i też zaczęli biec.

Nie mieli innego wyjścia.

Bardzo możliwe, że ludzie to niezależne jednostki, lecz kiedy zawładnie nimi strach i ulegną psychologii tłumu, wówczas są jedynie masą uciekających ciał, które zachowują się identycznie.

Główne wejście było zamknięte.

Osoby chcące wyjść na Europaplatz natykały się na zablokowane drzwi wahadłowe, po drugiej stronie których stali mężczyźni w wojskowych mundurach i z bronią. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje, więc panika szerzyła się niczym ogień w suchym lesie.

Byli jak gnająca z miejsca na miejsce wielka ławica małych ryb w cieniu rekina. Ogarnięci przerażeniem pragnęli się stamtąd wydostać, i wystarczyło, by ktoś zaczął biec w jakimś kierunku, natychmiast ruszały za nim setki.

Pułkownik Peter Tressing miał przeciwko sobie czas, czas i geografie, ponieważ nie był w stanie zamknąć wszystkich wyjść, zanim część podróżnych zdążyła przez nie uciec.

Ale takie miał zadanie.

Stał tak w chłodnym zimowym słońcu i widział, jak morze ludzi w środku burzy się i faluje, podczas gdy jego podwładni rozbiegają się coraz dalej wokół budynku ku kolejnym wyjściom. I zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim wybuchnie powszechna panika, nastanie anarchia i nie wiadomo co jeszcze.

Mężczyzna w garniturze, który nadal stał na górnej galerii, patrzył na wszystko, co dzieje się pod nim, jak na wielki przerażający spektakl.

To było jak gonitwa byków bez byków, kłębiąca się rzeka ludzi, zgiełk głosów, krzyków, nawoływań i pisków, strach przed czymś, czego nie mógł dostrzec, co jednak kazało mu ruszyć z miejsca i spróbować się wydostać.

Dojrzał na zewnątrz wojsko.

Widział, jak potoki ludzi docierają do innych wyjść, widział, jak są spychane z powrotem do tyłu przez gęste i ociążałe masy cofające się od kolejnych drzwi, których nie dało się otworzyć, widział, jak szukają nowych dróg, rozlewają się po hali powolnymi strugami niczym lawa spływająca z góry.

Dworzec został zamknięty. Tylko dlaczego, do jasnej cholery?

W uchu słyszał wołanie swoich kolegów. Tych, którzy utknęli w opętanych przerażeniem potokach ludzi, którzy nie mogli się stamtąd wydostać, bo zostaliby stratowani przez tłum, którzy nie widzieli ani Watkinsa, ani dwóch młodych mężczyzn i też nie potrafili pojąć, skąd ta potężna panika.

I jeszcze trzech innych kolegów, którzy ich wcześniej zauważyli.

Dwóch mężczyzn z żółtą kopertą.

Znajdowali się tak niesamowicie blisko nich, po prostu stali naprzeciw siebie po dwóch stronach tego samego piętra, ale już w następnej sekundzie tamci dwaj zbiegli ze schodów ruchomych na dół, między krzyczący i ogarnięty paniką tłum, i zniknęli.

A w górze na mostku mężczyzna w garniturze nie mógł nic zrobić. Poleciał reszcie kontynuować pościg mimo wszystko, przebić się przez ludzką masę i ich znaleźć. Oni nie mogą uciec, bo wszystko od nich zależy.

Przymknął oczy i pomyślał z nadzieją, że niezależnie od tego, co się stało...

Niezależnie od powodu, z jakiego zablokowano cały dworzec...

Niezależnie od wszystkiego, dzięki temu faceci z żółtą kopertą nie będą mogli uciec.

Albert van Dijk siedział skulony na przednim siedzeniu z głową zasłoniętą rękami.

Nie dlatego, żeby go nie widziano.

Ale dlatego, żeby on nie musiał patrzeć.

To, że Leo Björk nie potrafi dobrze prowadzić, nie było dla niego żadną nowiną, doznał jednak szoku, kiedy stwierdził, że brak mu nie tylko orientacji w przestrzeni, ale także instynktu samozachowawczego. Kiedy siła odśrodkowa na ostrych zakrętach wciskała Alberta w drzwi, jedynym dźwiękiem będącym w stanie zagłuszyć jego krzyk był ryk silnika przyspieszającego na dwójce i pracującego do góry ciasną serpentyną ku poziomej rampie, która miała wyprowadzić ich w końcu na światło dnia.

Głuche uderzenia o dach ustały. Przynajmniej tyle.

Łomotanie powodowały pozostałości barier parkingowych uniemożliwiających wyjazd z garażu bez uiszczenia opłaty, które według Leo nietrudno sforsować, jeśli tylko wjedzie się w nie z odpowiednim impetem. Z pewnością miał rację, jednak Albert mimo wszystko o mało nie umarł z przerażenia, kiedy ramię w pomarańczowo-białe paski walnęło w ich przednią szybę, i jeszcze długo nie mógł złapać oddechu, chociaż wszystko wskazywało na to, że raczej udało mu się przeżyć.

Za ich plecami rozpętało się istne piekło, ale żaden z nich nie wiedział z jakiego

powodu.

Mężczyzn, przed którymi udało im się uciec, było trzech, co najwyżej czterech, a w tylnym lusterku widzieli ogromny pędzący tłum, jakby chciał ich dopaść cały świat, jakby ci wszyscy ludzie chcieli ich unurzać w rozpuszczonej smole i w piórach i wypędzić z miasta. Było to zupełnie niepojęte i tym bardziej przerażające.

Wśród tej ludzkiej masy Albert dostrzegł przeciskające się garnitury, biegnące wciąż dalej, nawet kiedy Leo staranował już barierki. Kiedy w końcu zniknęły za betonowymi filarami, Albert zauważył, jak jeden z nich przycisnął słuchawkę do ucha – a to nie oznaczało nic dobrego.

Musiało być ich jeszcze więcej.

Leo dodał gazu. Byli coraz wyżej. Bliżej ulicy. Istniało ryzyko, że na górze będą czekać w samochodach koledzy tamtych i ruszą za nimi, jak tylko pojawią się w wyjeździe.

– Trzymaj się – wrzasnął Leo.

Jego słowa padły równie nieoczekiwanie, jak niespodziewanie oślepiło ich światło dnia.

Ostrzeżenie Leo było zupełnie zbędne.

Dłonie Alberta były bowiem zaciśnięte kurczowo na czym tylko się dało, i właśnie miał mu odkrzyknąć, że już nie ma się czego chwycić, kiedy się zorientował, o co chodzi.

Na zewnątrz panował chaos.

Drogę zagraadzał w poprzek zielony wojskowy pojazd wielkości małego busa, na gigantycznych, głęboko ponacinanych oponach. Dalej na ulicy stały jeszcze dwa identyczne, a wojskowi w zielonych mundurach rozwijali taśmę z kolcami. Co się tu, do jasnej cholery, dzieje?

– Uważaj! – zawołał Albert.

Ale kiedy zobaczył oczy Leo, rozbiegane i gorączkowo rozglądające się wokół, i usłyszał ryk silnika, wiedział, że jego kierowca nie ma zamiaru na nic uważać.

Tuż za zielonym niby-busem nie było ani taśmy z kolcami, ani żadnego innego pojazdu. Poza tym po drugiej stronie znajdował się chodnik, ale nawet jeśli teoretycznie miejsca wydawało się sporo, to jednak rzeczywistość nie wyglądała szczególnie zachęcająco.

Albert zrobił, co mu kazano: chwycił się jeszcze mocniej, zaparł stopami o podłogę z taką siłą, że obawiał się, że samochód się zatrzyma, i w tym momencie poczuł, jak koła o coś uderzyły a silnik zawył. Prawym kołem wjechali na chodnik, a lewe było na ulicy. Pozostało im jedynie modlić się, żeby oponom nic się nie stało.

Ze wszystkich stron puścili się za nimi pędem mężczyźni w zielonych mundurach, ale oni osiągnęli już taką prędkość, że tamci zostali z tyłu. Albert pochylił się do przodu, mając nadzieję, że nie będą do nich strzelać.

Nie padł ani jeden strzał. Odetchnął więc i pomyślał, że chyba im się udało.

Ale w tym momencie zrozumiał, że czeka go inna atrakcja.

Poza strefą odgrodzoną samochody pędziły po czterech pasach jezdni.

Leo zamierzał się włączyć do ruchu i ani mu się śniło prosić o pozwolenie.

W ciągu zaledwie kilku sekund minęli liczne znaki, które nakazywały zrobienie czegoś wręcz odwrotnego, mimo to Leo z silnikiem na najwyższych obrotach i z coraz większą prędkością zaczął gnać to ich umęczone wypożyczone autko po ostrym łuku do góry, do wyjazdu na czteropasmową jezdnię, po czym wykonawszy nagły skręt i w ogóle nie przejmując się rozpędzonymi autami, wjechał prosto na pas w łukę, której nie było.

W głowie Alberta wszystko wokół zlało się w koncert piszczących hamulców, trąbiących klaksonów, przed oczami migały mu tablice rejestracyjne i tylne światła, a on wrzeszczał coś po holendersku, bo wiedział, że Leo ani tego nie zrozumie, ani się nie obrazi. Słyszał blachę uderzającą o blachę i pomyślał, że jeśli kiedykolwiek będą ten samochód zwracać, to on nie zamierza przy tym być.

A potem nagle odkrył, że wszystko minęło.

Usłyszał, jak Leo zmienia bieg, silnik przestaje ryczeć, poczuł też, że ruch przyspieszony odbywa się tylko w jednym kierunku, do przodu, i nagle odkrył, że ma zamknięte oczy, a chyba może już je otworzyć.

Obok niego siedział Leo z desperacją w oczach.

– Powiedz mi, co się dzieje, Albert? Co się dzieje?

Miał zaciętą minę. Coraz bardziej przyspieszał.

Albert próbował odtworzyć całą tę sytuację, przypomniał sobie zdezorientowanych ludzi tłoczących się przed wejściem do budynku dworca, porozstawiane wszędzie wojskowe pojazdy, blokady, przez które się właśnie przedarli.

Nie było w tym żadnej logiki. Jeszcze dwadzieścia minut temu siedzieli, popijając kawę. Potem polowali na nich faceci w czarnych garniturach, a teraz nagle są otoczeni przez wojsko.

– Jadą za nami.

To był głos Alberta. Rzucił to szybko, nerwowo i trochę za głośno. Leo spojrzał we wsteczne lusterko.

Albert miał rację.

Czarne audi dosłownie zmaterializowało się za nimi; ruszyło z garażu tuż po nich, w identyczny sposób sforsowało blokady, zmuszając mundurowych do rzucenia się na boki, jeśli chcieli uniknąć znalezienia się na masce, a później, zamiast włączyć się do ruchu jak Leo, zrobiło zwrot i przecięło w poprzek chodniki, przejechało na skróty przez strefy dla pieszych i dla rowerów, potem przez przystanki autobusowe, i w końcu wcisnęło się na ten sam pas, zaledwie kilka

samochodów za nimi.

Leo patrzył przed siebie.

Musiałoby być jakieś wyjście.

I dokładnie w chwili, w której to pomyślał, usłyszał wrzask Alberta.

– Czerwone!

Albert miał znowu rację.

Światła sygnalizacji świetlnej wisiały przed nimi na długich ramionach nad wszystkimi pasami, znajdowały się też na słupach po bokach jezdni, dosłownie wszędzie, aby skrzyżowania, do którego właśnie się zbliżali, nie dało się przegapić, co właśnie zrobił Leo.

Ale z jego odruchami było wszystko w porządku.

Zahamował gwałtownie.

Jednak auto było zbyt rozpędzone i zamiast stanąć, ślizgało się dalej do przodu, na sam środek skrzyżowania. Samochody z prawej, samochody z lewej, ze wszystkich stron pisk hamulców – to nie mogło skończyć się dobrze. Albert przesunął się do środka, zwinął w kłębek nad dźwignią zmiany biegów, mając nadzieję, że w aucie są poduszki powietrzne i uratują ich przed zmiążdżeniem. Jedyne, co jeszcze zdążył zobaczyć, to ręka Leo zmieniająca bieg na wyższy. Przez głowę przemknęła mu myśl: Boże drogi, co on wyprawia!

Leo dodał gazu.

Po prostu dlatego, że nie miał wyjścia.

Samochód podskakując, ślizgał się pod nimi, istniał tylko jeden sposób, aby uszli z życiem – zwiększyć prędkość i przeciąć skrzyżowanie na wprost. Silnik znowu zaryczał. Wszystkie gwałtowne zwroty, które wykonywał Leo, być może miały służyć ich ocaleniu albo były tylko rozpaczliwym wyrazem przerażenia – Albert nie miał pojęcia, ponieważ wcisnął twarz w podłokietnik między fotelami i nie chciał widzieć, co się dzieje.

Wokół znów rozległ się pisk opon.

A potem odgłos, który rzadko się słyszy, ale rozpoznaje się zawsze – samochodów, które nie zdążyły się zatrzymać i wpadły jeden na drugi, rozbijając sobie reflektory albo wbijając się w bok.

Ten charakterystyczny dźwięk dobiegł gdzieś od tyłu za nimi.

Z każdą sekundą jednak się oddalał. Po raz drugi w ciągu nazbyt krótkiego czasu Albert zmusił się, by otworzyć oczy, usiąść prosto i sprawdzić, co się dzieje.

Leo zerknął we wsteczne lusterko.

Jego dłonie spoczywały spokojnie na kierownicy, przed nimi była pusta droga.

Przejechali skrzyżowanie.

Duże czarne audi, które ścigało ich od garażu, zostało z tyłu. Jego kierowca też próbował na pełnym gazie przeskoczyć przez skrzyżowanie, dokładnie tak samo jak

Leo, ale mu się nie udało. Od przodu wyglądało jak zgnieciona aluminiowa forma do ciasta, całe opadło zmęczone na ziemię. W bok miało wbitą taksówkę w stalowym kolorze tak głęboko, że nie wiadomo było, gdzie zaczyna się jeden pojazd i kończy drugi.

– Dobra robota! – stwierdził Albert. – A po chwili dodał: – Ale już nigdy, nigdy tego nie powtarzaj.

Leo skinął głową.

I jechali dalej.

Przez długi czas żaden z nich nic nie mówił.

W przedniej szybie przed Albertem odbijała się żółta koperta.

Podskakiwała na dołkach i łatach w asfalcie.

Albert przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

Connors spieszył wąskim krętym korytarzem, schylając głowę, aby nie uderzyć o niski kamienny strop, a potem szybkim krokiem wszedł na górę po spiralnych schodach wijących się w długim, ciasnym szybie.

Na otwartym wewnętrznym dziedzińcu, na który wychodziły schody, stał gotowy do startu helikopter, śmigła furkotały głośno w czeluści między surowymi kamiennymi murami. Ich hałas uderzył go jak mocne echo, kiedy wyszedł na wieczorne zimne powietrze.

Pilot z przystrzyżoną krótko fryzurą już czekał na niego za sterami. Jak zwykle bębnił palcami w drążek sterowniczy, jakby to on miał gdzieś ważną sprawę do załatwienia, a nie Connors. Czekał, aż generał zajmie miejsce, po czym wzniesli się ku ciemnemu niebu, zostawiając za sobą coraz mniejszy zamek, który w końcu zniknął za górami, podczas gdy oni zatoczyli łuk nad doliną i skierowali się na zachód.

Zamek.

Był przedmiotem długich dyskusji.

Wiele przemawiało za tym, aby go nie opuszczali, wznosił się w miejscu, do którego trudno się dostać, i tylko nieliczni wiedzieli, że w ogóle istnieje.

Wydawał się bezpieczny. Ale to za mało. Był osłonięty, lecz nie niedostępny.

Oni potrzebowali miejsca, do którego zaraza na pewno nie dotrze.

Gdzie nikt się nie dostanie i które da się przenieść, jeśli by ktoś jednak podjął taką próbę.

Takie miejsce było już gotowe i czekało. Connors odbywał właśnie pierwszy lot z wielu, jakie planował w następnych dniach. Wiózł wyposażenie i materiały, które miały znaleźć się w nowej bazie, stanowiące zaledwie część tego, co musieli zabrać ze sobą.

Nie podobało mu się to. Ale nie mógł nic na to poradzić.

Z powietrza wszystko wyglądało tak jak zawsze – w dole rozciągał się krajobraz jak na trójwymiarowej makiecie z modelami firmy Märklin, spokojny, malowniczy i bezpieczny. Ale on przecież wiedział. Gdzieś tam, w którymś z tych uroczych domków niedługo ktoś zacznie kaszleć, poczuje lekkie łaskotanie w gardle, co będzie wyglądało na początek przeziębienia, lecz okaże się czymś znacznie gorszym.

Nie powinien był się poddawać. Powinien był dalej próbować.

Ale nie mógł.

To przestała być już jego sprawa, on zrobił tylko tyle, ile zostało zapisane w protokole – tak teraz starał się myśleć, jednak za każdym razem, kiedy słyszał

własne myśli, wiedział, że kłamie. Próbował usprawiedliwiać samego siebie.

Lecz już jest za późno, żeby się cofnąć. Bronił się przed poczuciem winy; on jest jedynie elementem procesu, a to, co zrobił, zostało po prostu kiedyś ustalone.

Patrzył na domy pod nimi.

Każdą cząstką swego ciała czuł, że to nie było właściwe.

I zastanawiał się, jaka go za to spotka kara.

Podnieśli alarm tego samego wieczoru dziesięć minut po ósmej; rozległ się tupot stóp w kamiennych korytarzach, rzucano przekleństwa i nikt nie rozumiał, jak mogli do czegoś takiego dopuścić.

Wiedzieli, że on już raz próbował.

I dali mu dostęp do jego wszystkich prywatnych rzeczy – ubrań, butów, kosmetyków, do wszystkiego.

A mimo to nikomu nie przyszło do głowy, żeby przeszukać je gruntownie.

Nikt nie pomyślał, że człowiek, który usiłował popełnić samobójstwo, może spróbować po raz drugi, i że pewnie w całym tym kramie są gdzieś schowane jakieś proszki. Przecież sytuacja wydawała się tragiczna i beznadziejna – świat miał zginąć, a wszystko zależało od niego.

Dopiero kiedy się dowiedzieli, co się stało, zdali sobie z tego sprawę. Pędzili teraz po schodach z Williamem między sobą na izbę przyjęć. Kilka poziomów w dół góry – po jednej stronie biegł Franquin, a po drugiej Rodriguez, a za nimi dwóch ochroniarzy.

Kilka metrów dalej Janine.

Jej oczy wypełniał niepokój.

Była wdzięczna, że dwaj bezimienni ochroniarze wreszcie usłyszeli.

Znaleźli ją przy jednych z drzwi.

Tych, przez które wolno było jej przechodzić i które mogła otwierać swoją kartą magnetyczną. Stała za nimi i krzyczała najgłośniej jak potrafiła, żeby ktoś po drugiej stronie ją w końcu usłyszał. Wcześniej czy później ktoś na pewno się pojawi. Ona mogła zrobić jedynie tyle: stać i krzyczeć, wołać o pomoc, dopóki nie nadejdzie.

Kiedy dwaj mężczyźni otworzyli wreszcie drzwi od drugiej strony, od razu wszystko im wyjaśniła.

Znalazła Williama na podłodze. Nie odpowiadał, gdy do niego wołała. Wtedy zobaczyła opakowanie po proszkach i natychmiast zrozumiała. Kiedy chciała pobiec dalej, żeby zaalarmować kogo trzeba, karta do drzwi przestała działać.

Zamek zaprotestował. Lampka mrugała na czerwono. Zamiast sprowadzić pomoc, ona tylko stała, waliła w drzwi i krzyczała: Boże, on leży i się nie rusza!

Gdy ochroniarze zdali sobie wreszcie sprawę z powagi sytuacji, wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Zawiadomili Rodrigueza, a on poinformował Franquina. Na samym dole w głębi góry ratownicy byli już w pogotowiu i czekali, żeby ustalić, jakie środki zażył

William. Na razie nie mogli zrobić nic więcej, tylko mieć nadzieję. Nadzieję, że nie jest za późno.

Zabrali go z łazienki. Leżał z oczami utkwionymi w suficie, był przytomny, ale nie było z nim kontaktu. Obok niego znaleźli mały kartonik i listek po tabletkach – kilka rzędów rozerwanej cienkiej folii i małe puste plastikowe bąbelki po proszkach.

Dwadzieścia tabletek.

Usypiających i uspokajających. Oczywiście nie wiadomo, czy wziął je wszystkie teraz. Ale dobrze to nie wyglądało.

Wszystko to ochroniarze opowiedzieli w telegraficznym skrócie ratownikom, podczas gdy ci układali go na leżance i sprawdzali co trzeba. Kiedy pojawił się gumowy wąż, butelki i chromowane naczynia, Janine odwróciła wzrok, bo od razu wiedziała, co za chwilę nastąpi.

Poczuła po zapachu, kiedy pozbawiono go treści żołądka. Uzmysłowała sobie, jak bardzo musiał cierpieć, i miała tylko nadzieję, że to coś da. Gdy ratownicy skończyli, ponownie zbadali zawartość połkniętej substancji we krwi. Jeden z nich podszedł do Janine i ostrożnie ujął ją za rękę.

– Nie podnosi się – powiedział.

– Co to znaczy? – spytała Janine, chociaż znała odpowiedź.

– Mamy nadzieję, że udało nam się usunąć większość trucizny z organizmu, zanim zdążyła dostać się do krwi – odparł, po czym dodał: – Wyjdzie z tego.

Janine skinęła głową.

I spojrzała z wdzięcznością.

Wyjeżdżali z Berlina jakimiś opłotkami i najbardziej krętymi drogami, bynajmniej nie dlatego, by pozbyć się ewentualnych prześladowców, tylko z tego prostego powodu, że Leo miał właśnie taką orientację w terenie. W końcu jednak wydostali się na autostradę, a kiedy już się na niej znaleźli, nie mieli odwagi się zatrzymać.

Dostosowali swoją prędkość do pozostałych pojazdów na szosie, byle tylko nie zwracać na siebie uwagi ani nie przyciągnąć policji. Jechali tak przez kilka godzin na południe, nieustannie nerwowo zerkając we wsteczne lustro i czując ciarki na plecach za każdym razem, kiedy wyprzedzało ich jakieś ciemne nowoczesne auto.

To wprost nie do pomyślenia, że nikt ich nie ścigał. Za to, że uciekli przez blokadę i spowodowali wypadek albo przez żółtą kopertę leżącą pod przednią szybą lub też z obu powodów.

Wydarzyło się coś niecodziennego.

Tyle przynajmniej udało im się zrozumieć.

Coś niesamowitego, co nie miało związku z nimi, ale tak się złożyło, że oni się tam znaleźli, i być może to ich nawet uratowało.

W radiu bez przerwy tylko mówili i mówili. Nigdzie nie dało się znaleźć żadnej muzyki, same wiadomości, rozgorączkowane głosy i relacje reporterów, którzy nadawali prosto z ulicy. Szkolny niemiecki ich obu nie zdał się na wiele, bo jedyne, co zdołali wychwycić z tego zalewu słów, to pojedyncze wyrazy. Berlin. Hauptbahnhof oczywiście. I *geschlossen* – zamknięte. Spojrzeli na siebie i zerknęli w lusterko. Licząc na to, że portale internetowe podają to samo, co oni teraz mogli tylko zgadywać, zadzwonili do redakcji. Nikt jednak nie miał czasu odbierać telefonów, wybrali więc numer Williama, ale jego aparat był wyłączony od chwili, kiedy próbował się dodzwonić do nich jeszcze na dachu.

Zostało im tylko jedno.

Koperta. Która mogła być rozwiązaniem. Ale czego?

Leżała pod przednią szybą na wprost Alberta. Chyba dostatecznie już oddalili się od miasta, aby się odważyć. Leo skinął w stronę Alberta, na co ten sięgnął po kopertę, po czym otworzył ją powoli i ostrożnie. Leo z trudem się powstrzymywał, by zamiast patrzeć na drogę, obserwować, co Albert z niej wyjmuje.

W środku były papiery.

Cała sterta.

Albert przerzucił je szybko. I jeszcze raz. Przebierał palcami między kartkami, tu i ówdzie się zatrzymał i zerknął na tekst, żeby się zorientować w zawartości.

– Co to jest? – spytał Leo.

– Nie wiem – odparł.

Bo rzeczywiście nie miał pojęcia.

Cyfry. Cyfry w nieskończonych ilościach, od góry do dołu, a równoległe do nich widniały znaki, niezrozumiałe sumeryjskie symbole, identyczne jak te, którymi zajmowała się Janine. Na marginesie dostrzegł piksele – gdyby je policzył, przekonałby się, że jest ich 23 na szerokość i 73 na wysokość – a nad tym wszystkim widniały wypisane w poprzek długie odręczne wyliczenia.

Nie znał się na matematyce. I nie rozumiał nic a nic z tego, na co patrzył. Tasiemcowe równania pełne nawiasów, znaków i symboli matematycznych, o których wiedział, że istnieją, ale nigdy nie rozumiał po co.

Tu i ówdzie wykrzyknik dla zaznaczenia czegoś ważnego. Podkreślenia. Strzałki w różne strony – a wszystko po to, aby zobrazować, jak przebiegał tok myślenia Heleny Watkins. Co jemu i tak w niczym nie pomogło.

– To są jakieś kody – stwierdził. – Kody, znaki i jakieś formuły.

– I co to nam może dać?

– Tyle co nic.

Zaległa cisza. Albert patrzył przez boczne okno na trasę.

– To co robimy? – spytał Leo.

– Nie wiem – odparł Albert.

Po chwili dodał:

– Miejmy nadzieję, że znajdą się dwie osoby, które zrozumieją to lepiej od nas.

Rodriguez zobaczył ją z daleka, ale zanim do niej podszedł, zdążył zauważyć, jak bardzo jest przygnębiona.

Właśnie zostawił Sandberga w jego pokoju. Spał w swoim własnym łóżku i wszystko wskazywało na to, że wkrótce wróci do formy. Rodriguez przemierzał teraz zamkowe korytarze i przy jednych z kolejnych drzwi spotkał Janine.

Kiedy usłyszała jego kroki, podniosła wzrok, jakby stała tu całkiem sparaliżowana i tylko czekała, aż ktoś się pojawi.

– Zapomniałam w tym wszystkim – odezwała się – że nie przejdę.

Rodriguez dopiero po chwili zrozumiał, co miała na myśli.

Karta zbliżeniowa. Od tego się zaczęło. Z jakiegoś niewiadomego powodu jej plastikowy prostokącik zastrajkował, co oczywiście nie było niczym nadzwyczajnym; co prawda oni nie mieli problemów ze swoimi kartami, ale komputer jest tylko komputerem i wcześniej czy później mogło się coś takiego zdarzyć.

– To mój korytarz – powiedziała. – Chyba pan wie.

Skinął głową. Wiedział aż nadto dobrze. To była strefa jak najbardziej dla niej dozwolona, a zatem w jej karcie musiał pojawić się jakiś błąd. Rodriguez wyjął więc swoją i ruszył w stronę drzwi, aby jej otworzyć.

Ale nie zrobił tego.

Zatrzymał się.

Kiedy zauważył jej zmęczone oczy, zdał sobie sprawę, że to on jest temu winny. Nie obecnej sytuacji i faktowi, że Sandberg postanowił skończyć ze wszystkim – nie, to nie była jego wina, jednak za to, że ona się tutaj znalazła, on ponosił odpowiedzialność i nie mógł się tego wyprzeć, jakkolwiek bardzo by chciał. Czuł się z tym źle i nie do końca wiedział, jak ma się teraz zachować.

– On z tego wyjdzie – powiedział, gdy nie przyszło mu do głowy nic lepszego.

– Słyszałam – odparła, wcale nie pogodniejszym tonem.

Tak naprawdę sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej niezręczna. On chciał ją pocieszyć, a ona tego nie przyjmowała. *Jestem przygnębiona nie dlatego, zdawała się mówić. A to mogło oznaczać tylko jedno. Powodem jest to, że jestem tutaj.*

– Pomogę pani – rzekł.

Ale nadal stał w miejscu. Zastanawiał się. Nie otworzył drzwi, tylko przygryzł dolną wargę, jakby szukał jeszcze czegoś do powiedzenia.

– Jak pan myśli, co to będzie?

Spytała ona.

A on natychmiast zareagował.

Usłyszał smutek w jej głosie, smutek noszony przez ostatnie miesiące i może pogłębiony samobójczą próbą Sandberga, a pewnie także tym przygnębiającym uczuciem, które ostatnio dzielili tu wszyscy, świadomością, że wielki nieuchronny koniec jest coraz bliższy.

To usłyszał. Ale nie tylko to. W tle było coś więcej, jakby cień innego tonu. Spojrzał na nią i znalazł potwierdzenie. Tak, miał rację.

Janine się uśmiechała. Albo mówiąc precyzyjnie: patrzyła na niego z kamienną twarzą, jednak gdzieś głęboko, jakby za tą nieporuszoną maską, uśmiechała się do niego w taki sam powściągliwy i czarujący sposób jak w restauracji w Amsterdamie. Kiedy wtedy ją obserwował, zaczął się wahać i marzył, żeby nie musiał robić tego, po co został tam wysłany.

Ta chwila była podobna.

Nie mógł się powstrzymać.

– No więc – zaczął ze szczerością w głosie. – Może pani to potraktować, jak pani chce. Ja wiem, że to i tak nie pomoże.

Nie było już odwrotu. Czuł, że to trochę śmieszne, ale nic nie mógł na to poradzić. Uważał, że robi dobrze, przecież pewnie i tak wszyscy umrą, więc jakie to ma znaczenie, że to, co mówi, może się wydawać głupie?

– Żałuję, że tak się stało. – Przerwał na chwilę, ale kiedy zaczął mówić dalej, unikał jej wzroku: – Wtedy, w Amsterdamie, najpierw była pani dla mnie tylko zadaniem, które miałem do wykonania, ale właściwie niemal od razu stała się pani dla mnie *kimś*, kimś, kto siedział tam sobie i był...

Szukał odpowiednich słów.

– ...przekorny, ironiczny i cholernie zabawny – uzupełnił. Wzruszył ramionami. – I wtedy zapragnąłem, żeby było inaczej. Żebym sam mógł dokonać wyboru. Żebym nie musiał skazywać pani na to wszystko.

Po chwili milczenia dodał:

– I żebym mógł tam zostać, siedzieć sobie dalej, popijać wino i udawać, że się obrażam.

Na tym skończył.

Zapadła cisza. Nie bardzo wiedział, czy teraz ma jeszcze coś powiedzieć, czy tylko powinien otworzyć jej drzwi i ją przepuścić, a może w ogóle trzeba było od początku nie odzywać się ani słowem.

– Miał pan szczęście – rzekła. – Wystarczyłoby jeszcze dziesięć minut i zniknąłabym z pana portfelem.

Nie spodziewał się tego.

Znowu. Dokładnie ten sam uśmiech. Nieostrzegalny dla każdego. Ale jemu nie umknął – przycisnął się w kącikach jej oczu i czekał na odpowiedź, na odpowiedź z jego strony, i to szybko, bo inaczej przegra.

Nie istniał choćby najmniejszy powód na świecie, by miała bawić się w ten sposób akurat tutaj i w tej chwili. Jednak ucieszył się, że to robiła.

Przyniosło mu to ulgę, bo oznaczało przebaczenie wyrażone bez słów. Spojrzał więc na nią i z równie obojętną, kamienną twarzą odbił piłeczkę po tym samym łuku.

– Raczej by się pani rozczarowała jego zawartością – rzucił. – Mam posadę państwową.

– Przecież to oczywiste – odrzekła z przesadnym zrozumieniem. – Zatrudnienie na okres próbny? W ramach polityki wspierającej walkę z bezrobociem? A może po prostu zrobiło im się pana żal i dlatego dali panu pracę?

– Przestali się nade mną litować, kiedy stwierdzili, że byłem sprytniejszy od pani.

Nie mają o niczym pojęcia, pomyślała w duchu.

Ale zamiast powiedzieć to na głos, pozwoliła sobie tylko na spojrzenie, melancholijne i ciepłe; jak to między dwojgiem ludzi reprezentujących podobny poziom, którzy już niedługo dzieląc będą ten sam los. Przecież nic już nie ma znaczenia.

Janine westchnęła ciężko.

– To wszystko jest do dupy – rzuciła. – Prawda?

Nie mógłby wyrazić tego lepiej. Skinął głową na potwierdzenie.

– Tak czy inaczej jest mi przykro – rzekł.

– Już w porządku.

Stali nadal w miejscu, milcząc i patrząc na siebie; w innym świecie taki moment ciszy poprzedzałby ostrożny pocałunek. Ale ten świat leżał zupełnie gdzie indziej, daleko od tamtego, i mimo że być może oboje już nigdy się nie zobaczą i chociaż są samotnymi ludźmi, to jednak nie na tyle, by to nastąpiło.

Cisza trwała już tak długo, że stała się nieznośna.

Wreszcie Janine ją przerwała.

– Jeśli będziemy czekać, żebym to ja otworzyła drzwi, to chyba się nie doczekamy – powiedziała, unosząc ramiona do góry.

Uśmiechnął się przepaszająco, jakby zapomniał, z jakiego powodu naprawdę tam stoją. Wyjął więc swoją kartę, ona zaś zrobiła razem z nim krok do przodu w kierunku drzwi. To, co za chwilę nastąpiło, było tylko zakłóceniem w komunikacji i niczym więcej.

Janine cofnęła rękę z klamki, aby zrobić mu miejsce.

On w tym samym momencie wysunął do przodu swoją.

Zderzenie było nieuchronne; plastikowy prostokąt wysunął mu się pomiędzy

palców i upadł na ziemię. Oboje instynktownie się cofnęli. Karta leżała na posadzce.

Janine schyliła się, podniosła ją i podała Rodriguezowi. Bez słowa. Zwyczajnie i naturalnie. Znowu z tym swoim niby-uśmiechem, który zapowiadał, że zaraz coś powie.

– Jeżeli to miała być sugestia, to pewnie wyszłam na idiotkę, zwracając tę kartę.

Spojrzał na nią uważnie: czy to była ukryta propozycja z jej strony, czy tylko próba zadrwienia z niego? Nie sposób tego rozstrzygnąć. Doskonale wiedział, że właśnie o to jej chodziło.

Zastanawiał się nad odpowiedzią. Taką, która by i trochę potwierdzała jej słowa, i trochę im przeczyła, czyli byłaby równie nieokreślona jak jej intencje.

– Obiecuję, że następnym razem będę bardziej jednoznaczny – rzekł. – Przecież wiem, że pani jest odrobinę powolna.

Na jej twarzy wykwitł nagle na wpół mimowolny uśmiech. Był jak przyznanie się: to on odniósł częściowe zwycięstwo. Wydawało się to całkowicie naturalne, bo dlaczego by nie?

Koniec rozmowy. Janine chciała już iść. Rodriguez jeszcze raz przyłożył kartę do ściany i drzwi się otworzyły.

Oczywiście powinien był zareagować.

Ale wszystko odbyło się tak szybko i zupełnie bez problemu.

Jego karta działała bez zarzutu: lampka zamigotała zielonym światłem, drzwi ustąpiły i nie miał najmniejszego powodu, by podejrzewać, że otworzył je inną kartą niż swoją. Ale już bardzo niedługo wścieknął się na samego siebie, że okazał się takim imbecylem i nie był bardziej przewidujący. Jednak jeszcze nie teraz.

W tym momencie uśmiechnął się do niej, zadowolony z rozmowy. Postanowił, że chętnie jej pomoże, w czym tylko będzie mógł.

– Poproszę Keyes, żeby się z panią skontaktowała. Widocznie zapomnieli coś w niej aktywować – powiedział, wskazując na kartę spoczywającą w dłoni Janine.

Tę, która była tak aktywna, że bardziej już się nie dało. Ale on przecież tego nie wiedział.

Zaprezentowała mu swój charakterystyczny uśmiech.

– A ja myślałam, że nie będzie mi pan mógł pomóc.

– Sądzę, że mogę więcej, niż pani jest w stanie sobie wyobrazić.

– Nawet pan nie wie, ile ja potrafię sobie wyobrazić.

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, ciągle nie przestali patrzeć sobie w oczy. Później Rodriguez został po swojej stronie, a Janine ruszyła kolejnymi korytarzami.

Kilka sekund później, kiedy szybkim krokiem zmierzała w stronę swojego pokoju, świadoma tego, że ma zaledwie kilka godzin, by uporać się ze wszystkim, słyszała, jak serce wali jej w piersi.

Siedem miesięcy temu omamił ją i sprawił, że opuściła gardę, a potem już było za późno. Nienawidziła go za to, co zrobił, i siebie samej, że mu na to pozwoliła.

Teraz jednak odpłaciła mu pięknym za nadobne.

Ten będący teraz w jednym z licznych korytarzy mężczyzna, który siedział kiedyś w pewnym barze w Amsterdamie i dołożył starań, aby ona poczuła się atrakcyjna i zabawna, a potem wbił jej w kark igłę ze środkiem odurzającym, z pewnością wcześniej czy później dostanie od losu to, na co zasłużył.

W kieszeni miał kartę zbliżeniową Franquina.

Zapewniająca identyczny dostęp jak karta, którą ona właśnie mu zabrała.

Co stanowiło gwarancję, że na razie nie zorientuje się w niczym. Dostrzeże różnicę dopiero wtedy, kiedy nie będzie już mógł nic zrobić.

William Sandberg czuł wciąż w gardle drapanie i nieprzyjemny smak gumowej rurki, kiedy zaledwie pół godziny wcześniej ostrożnie ułożono go na jego własnym łóżku.

Wzrok miał mętny, lecz tylko dlatego, że tak chciał.

Jego mózg pracował na najwyższych obrotach, rejestrował wszystko, co działo się wkoło niego. Stwierdził, że sytuacja jest pod kontrolą. Przynależna mu część zadania została wykonana z powodzeniem. Znajdował się z powrotem w swoim pokoju; obok niego kręciło się jeszcze trzech mężczyzn – Rodriguez i dwóch innych, których nazwisk nie znał – a pod ścianą stała Janine i przyglądała się, jak tamci badają mu puls i sprawdzają, czy wszystko z nim w porządku.

Obserwowała ich, nic nie mówiąc. Zaniepokojona, ale nie zdruzgotana, z perfekcyjnie wyważoną troską w oczach – oboje przecież nie znają się dłużej niż tydzień, więc bardzo łatwo byłoby przesadzić.

Dwaj mężczyźni przykryli go kołdrą, a Rodriguez przekopał jeszcze łazienkę w poszukiwaniu ewentualnej reszty medykamentów, które przeoczyli, zabierając go z domu. Niczego jednak nie znajdzie, w końcu wszyscy trzej uznają, że zadanie wykonali, i zostawią go samego.

Wziął dwie tabletki.

Pozostałych osiemnaście znajdowało się w rurach kanalizacyjnych w drodze do oczyszczalni, a senność, która go ogarnęła, była nie większa niż lekkie zmęczenie, i szczerze mówiąc, w ogóle mu nie przeszkadzała, a już na pewno nie stanowiła żadnego zagrożenia dla jego zdrowia.

Natomiast iluzja była absolutna.

Dwie tabletki zdążyły przeniknąć do krwi i zmienić parametry medyczne. I kiedy ratownicy na izbie przyjęć wprowadzili mu do przełyku gumową rurkę i wyplukali żołądek, kiedy parametry przestały rosnąć, wtedy wszyscy pomyśleli, że interweniowali w porę.

I odetchnęli. Ratownicy, ochroniarze i Franquin wymienili między sobą pełne ulgi spojrzenia, zmierzono mu puls i pobrano próbki do analizy, czekali, czy zawartość trucizny we krwi się nie zwiększa. I wszyscy mówili przyciszonym głosem, w końcu odwrócili się do niego plecami, bo wcześniej czy później zawsze tak się dzieje.

Okazja się nadarzyła, i on z niej skorzystał.

Franquin odwiesił swoją marynarkę, co było nieopisanie sprzyjającą okolicznością, a William wychylił się ze swojej leżanki, wiedząc, że od tej jednej chwili zależy wszystko. Gdyby w tym momencie ktoś się odwrócił i zobaczył, jak leży wyciągnięty tylko w połowie na materacu, może nieprzytomny albo oszołomiony, ale z ręką w zewnętrznej kieszeni marynarki Franquina, gdyby ktoś to zauważył, byłby koniec i na pewno już nigdy nie mieliby takiej szansy.

Jednak nikt się nie odwrócił.

Nikt nie widział, jak wsunął swój własny niebieski prostokąt do otwartej kieszeni marynarki, i nikt też nie widział, jak wyjął z niej inny.

Bo nikt się nie spodziewał, że na wpół przytomny człowiek może ukraść kartę zbliżeniową.

Nawet Maurice Franquin.

Kiedy więc William był układany pod miękką kołdrę na swoim łóżku we własnym pokoju, Janine stała i przyglądała się uważnie, dopóki nie uznała, że pora iść.

Ale dopiero gdy nabrała pewności, że również Rodriguez za chwilę opuści pokój, a ona będzie mogła natknąć się na niego na korytarzu i tym samym wykonać swoją część zadania, dopiero wtedy William zobaczył, jak mówi „przepraszam” i wychodzi.

To był ryzykowny plan, lecz nie mógł się nie udać.

Karta, z którą chodził teraz Franquin, należała do Williama.

Natomiast kartę Franquina przejęła Janine, elegancko i bez mrugnięcia okiem, kiedy ujęła dłoń Williama, żeby spytać, jak się czuje.

A wszystko było jej pomysłem, co należało docenić.

Jeśli plan powiedzie się do końca, zyskają na czasie.

Teraz został już tylko Rodriguez, ale Janine szepnęła Williamowi dyskretnie do ucha, że doskonale wie, jak sobie z nim poradzić.

Na co William przymknął powieki i chłonąc ciepło kołdry, pomyślał, że wcale nie jest pewny, czy chciałby się dowiedzieć, jak ona to robi.

Minęło kolejnych dziesięć minut, zanim Rodriguez się upewnił, że Sandberg śpi spokojnie płytkim snem, i raczej nic mu już nie grozi. Wstał z krzesła, na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdził mu puls i opuścił pokój.

Gdzieś na zewnątrz miał się natknąć na Janine. I oczywiście nie mógł

przewidzieć, że to właśnie tam ona zamieni jego kartę zbliżeniową na kartę Franquina.

William Sandberg, który został w pokoju, wiedział, że ta chwila jest coraz bliższa.

Oboje spróbują się stąd wymknąć.

I muszą to zrobić dzisiejszej nocy.

To prawda, że nie miała jego wykształcenia i formalnego przygotowania, ale za to jemu brakowało tego, co stanowiło jej przewagę.

A mówiąc precyzyjnie: ona była wysportowana, a on nie.

Biegli bezszelestnie przez korytarze, ona przodem, początkowo jakieś dziesięć kroków przed nim, bo знаła drogę, ale odległość między nimi ciągle rosła, a kiedy miała zniknąć za kolejnym zakrętem, musiał dawać z siebie dosłownie wszystko, aby nie stracić jej z oczu.

Wydychane powietrze wydobywało się z niego niczym ogień.

Miał wrażenie, że ktoś przesuwa mu po krtani w górę i w dół metalową tarkę, lecz jednocześnie z każdym jej ruchem mógł zaczerpnąć powietrza, więc nie miał wyboru. Przestał biegać regularnie już wiele lat temu, a teraz chodziło o życie – w tym stwierdzeniu wcale nie było przesady.

Tak. To był bieg o życie. Jego własne i może także wszystkich innych.

Mogło boleć jak nie wiadomo co – kamienie wbijały się w jego wrażliwe stopy, bosa, żeby nie było nic słyszać, wibracje przenosiły się wyżej, do kolan i bioder, odczuwał ciężar dodatkowych kilogramów, płuca krzyczały, że już nie wytrzymują, żeby już przestał. Mogło boleć jak nie wiadomo co. Wcześniej czy później ktoś odkryje, co oni knują, i jeśli do tej pory się stąd nie wymkną, wszystko będzie stracone.

Była noc.

Kiedy wyszli ze swoich pokojów, za oknami zalegała już ciemność, która powinna trwać jeszcze przez wiele godzin; jeśli zdołają dotrzeć na dół do wyjścia, przedrzeć się przez części zamku, w których żadne z nich nigdy dotąd nie było, jeśli tylko uda im się tam trafić, to zdążą wtopić się w ciemność i przetrwają.

A potem pozostanie już tylko reszta.

Biegli dalej. Janine energicznie – jej długie włosy rozwiewały się na wszystkie strony – a za nią William, ledwie nadążając.

Mijali drzwi za drzwiami.

Przykładali kartę Rodrigueza do jednego zamka za drugim.

Na razie wszystko działało tak jak powinno.

I oboje prosili w duchu, aby dalej tak było, jeszcze trochę.

Drobizgi składają się na duże zmiany, w tym przypadku był to segregator z opisem

procedur.

Należał do Maurice'a Franquina i znajdował się w niebieskim audytorium. Był środek nocy, czyli pora, o której raczej nikt nie ma zwyczaju zaglądać do teczki z procedurami.

Lecz Franquin nie mógł zasnąć.

Zarezerwował sobie kilka godzin na sen, ale życie wkroczyło w nową fazę i w głowie miał istną gonitwę myśli, które nie chciały się uspokoić, choć bardzo się starał je przechytrzyć. W końcu pogodził się z tym i skoro nie udało mu się zmrużyć oka, postanowił przebrnąć przez ten opasły tom jeszcze raz i przez wszystkie opisane w nim procesy oraz procedury, które zaczął już stopniowo wdrażać i które w najbliższych dniach będzie musiał krok po kroku konsekwentnie realizować dalej.

I wtedy odkrył, że nie ma teczki w pokoju.

Nie musiał się nawet wiele zastanawiać, od razu wiedział, gdzie ją zostawił. Leżał jeszcze chwilę pod ciepłą kołdrą, negocjując sam ze sobą.

Czy to ma sens? Może jednak zaśnie, jeśli zostanie? Czy też lepiej wstać?

W końcu się zdecydował.

Wyszedł z łóżka, wciągnął spodnie i koszulę – czuł, jak nieprzyjemnie ślizgają mu się po skórze, zimne i sztywne, jak zawsze, kiedy człowiek ubiera się w środku nocy – wziął swoją kartę zbliżeniową i ruszył na długi spacer do części biurowej na dole, pod ziemią.

Dopiero gdy dotarł do masywnych stalowych drzwi, pokonawszy wcześniej niezliczoną liczbę stopni w dół, pozostawiony przez przeoczenie segregator zmienił wszystko.

Właśnie w tamtym miejscu karta Franquina przestała działać.

Przyłożył ją do puszki przy drzwiach, tak jak robił to tysiące razy, każdego dnia, rok za rokiem, ale lampka nie chciała zapalić się na zielono. Protestowała irytującym brzęczeniem i mrugała na czerwono. Co to ma znaczyć?

Nie był w najlepszym nastroju. I czuł się zbyt wyczerpany, by zмагаć się z jakimiś technicznymi problemami. To prawda, nie mógł spać, ale to nie znaczy, że nie jest zmęczony, a już na pewno nie ma ochoty sterczeć na wpół ubrany w środku nocy gdzieś w czeluściach wilgotnego zamku, bo nie może otworzyć sobie drzwi.

Już kiedy wyszukiwał w telefonie jej nazwisko, wiedział, że wyrwie ją ze snu.

Trudno.

Taką miała pracę.

Evelyn Keyes obudził dzwonek telefonu, a kiedy na szafce nocnej zobaczyła mrugające nazwisko Franquina, odebrała natychmiast.

– Coś jest nie tak z zamkiem – powiedział, nie przedstawiając się.

– Z zamkiem? – dopytała. Nie dlatego, że nie dosłyszała. Po prostu jeszcze się nie obudziła i chciała w ten sposób zyskać na czasie.

Franquin powtórzył jeszcze raz, oznajmił, że nagle nie ma dostępu do centralnych części budowli, po czym odczytał głośno kod wybity na stalowej blaszce obok drzwi, cyfra po cyfrze, aby Keyes wiedziała, gdzie on się znajduje.

Keyes słuchała go. Patrzyła przed siebie przymrużonymi oczami, które miały ochotę znowu się zamknąć. Robiła jednak to, co w takiej sytuacji należało wykonać: uruchomiła przenośny router, który miała obok siebie, i nawiązała połączenie z systemem operacyjnym, aby zdalnie go nadzorować; wiedziała, że jeśli coś zawiesiło się w systemie, to nie da rady rozwiązać tego problemu stąd i będzie musiała zejść na dół. Oby tylko tak nie było, pomyślała, oby okazało się, że to coś banalnego, abym mogła zaraz znowu zasnąć.

Siedziała na brzegu łóżka, po ciemku, z twarzą oblaną niebieskim światłem padającym z ekranu dotykowego.

I nagle zamarła. Po prostu zastygła. Jakby zdała sobie sprawę, że to jest cisza przed burzą, i świadomie chciała odwlec ją choćby o dodatkową sekundę.

– Jeszcze raz powiedz dokładnie, gdzie się znajdujesz?

Poprosiła, chociaż już to ustaliła.

Franquin powtórnie odczytał po kolei cyfry z wąskiej blaszki przy drzwiach, oczywiście te same, które podał jej przed chwilą, o czym ona doskonale wiedziała.

Przymknęła powieki.

Tej nocy już raczej sobie nie pośni.

– Twoja karta jest w porządku – oznajmiła. Wstała już z łóżka i na cienką koszulkę, w której sypiała, naciągnęła górę od munduru. – Tyle że ty to nie ty.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Franquin.

– To nie ty stoisz przy tamtych drzwiach. To William Sandberg.

Rodriguez został zaalarmowany przez Keyes zaledwie kilka sekund po tym, jak rozłączyła się z Franquinem. I od razu przyszło mu do głowy jedno: jego szefowie to idioci.

Bo przecież oczywistym błędem było danie tym dwojgu całkowitej swobody, głupotą było wyposażenie ich w karty zbliżeniowe i wreszcie naiwnością liczenie na to, że bez żadnego przymusu będą nadal chcieli dla nich pracować.

Może, myślał, biegnąc przez korytarze, może to by nawet zadziało, gdyby zapewniono im takie warunki od samego początku, lecz przy pełnym wglądzie w to, co robią. Ale więzień zawsze pozostanie więźniem. To przecież jasne. Dlatego kiedy

potem zamieniono przymus na brak przymusu, wiadomo było od razu, że spróbują uciec.

Wpadł w korytarz, który prowadził do pokoi Williama Sandberga, chociaż dobrze wiedział, że go tam nie zastanie.

Jeśli udało mu się zamienić swoją kartę na kartę Franquina – co było tak potwornie żenujące, że aż wstydział się za szefa – to trudno raczej się spodziewać, żeby tu został i narażał się na ryzyko, że ktoś odkryje, co się stało. Na pewno nie. Sandberg na pewno już uciekał, a Haynes prawdopodobnie razem z nim, to nie ulega wątpliwości, należało tylko mieć nadzieję, że nie zdążyli jeszcze opuścić zamku.

Tak jak Rodriguez się spodziewał, sypialnia Williama Sandberga była pusta.

Na wszelki wypadek otworzył drzwi do łazienki i do garderoby, ale tam też nikogo nie znalazł, więc przeciął korytarz i pobiegł ku drzwiom do pokoju do pracy.

Otworzył je.

I w tym samym momencie znieruchomiał.

Spojrzał na dużą ścianę naprzeciwko.

Nieporadnie wcisnął sobie słuchawkę do ucha, jego dłonie drżały pod wpływem tego, co zobaczył.

– Sandberg zniknął – poinformował.

Co było absolutnie do przewidzenia.

To, czego nie przewidziano, miał powiedzieć później.

Kilka dobrych poziomów niżej, pod tonami kamieni, Franquin i Keyes gnali przez korytarze. Rodriguez mówił przez słuchawkę. Franquin słyszał go wyśmienie, jednak mimo wszystko poprosił, aby powtórzył.

Nieważne, ile razy Rodriguez to powiedział.

Jego słowa wciąż oznaczały to samo.

Trudno o gorszy moment. Siły ochrony były zdziesiątkowane, bo połowa z nich już się przeniosła, a helikopter znajdował się gdzieś nad Francją, w drodze powrotnej z Connorssem. Jedyne, co mogli zrobić, to wykorzystać wszystkie środki, jakie im pozostały.

Keyes biegnąc, zerknęła na Franquina, bo też słyszała Rodrigueza w swojej słuchawce, i czekała na polecenia, choć dobrze wiedziała, jak będą brzmiały.

Franquin przycisnął mikrofon. Był zadyszany i nie zwolnił kroku, lecz słowa, które padły z jego ust, nie mogły być wyraźniejsze.

William Sandberg i Janine Charlotta Haynes nie mogą opuścić zamku.

Pod żadnym pozorem.

Absolutnie żadnym.

Rodriguez potwierdził, że zrozumiał, i rozmowa się skończyła.

Keyes i Franquin biegli dalej, spieszyli przez obite blachą korytarze do centrum dyspozycyjnego. W głowach ich obojga ciągle odbijały się echem słowa Rodrigueza.

– Zabrali ze sobą wszystko.

To właśnie im powiedział.

– Wszystko.

Rodriguez wysłuchał poleceń Keyes, po czym się wyłączył i przystąpił do działania.

Musiał obudzić ochroniarzy, którzy jeszcze pozostali w zamku.

A potem miał złapać dwójkę uciekinierów, ale tym razem nie mogło mu się nie udać.

Mimo to jeszcze chwilę zaczekał, sekundę, dwie, ostatni raz chłonał ciszę, zanim wszystko rozpęta się na nowo.

Stał na kamiennej posadzce pośrodku pokoju pracy Williama Sandberga.

Jedną ze ścian zajmowało biurko z komputerami.

A pozostałe świeciły pustką.

Całe rzędy kartek z kodami, szeregi arkuszy z sumeryjskimi znakami, wszystko, co było na ścianach, wypisane na czerwono i czarno, wydruki, pod którymi William chodził w tę i z powrotem, usiłując dociec ich sensu, wszystkie te papiery zniknęły.

William i Janine postanowili się stąd wydostać.

I zabrali ze sobą dane, które opatrzone były stemplem „tajne” od ponad pięćdziesięciu lat.

Z każdym kolejnym metrem, który pokonywali William i Janine, zamek stawał się jeszcze większy. Przynajmniej takie odnosili wrażenie.

Biegli przez korytarze, których nigdy nie widzieli, już dawno zostawili za sobą audytorium i hale komputerowe, przemknęli obok części, w której leżeli зараżeni ludzie i czekali na śmierć, otwierali kolejne drzwi i pędzili po następnych schodach w dół, coraz dalej w głąb góry i – mieli nadzieję – coraz bliżej wyjścia.

A z każdym krokiem otwierały się przed nimi nowe rozdziały historii Organizacji i snuły swoją opowieść. Mówiły o tych, którzy kiedyś znaleźli się tutaj, pracowali, prowadzili badania i zmagali się z postawionym zadaniem, o tych, którzy musieli zniknąć, kiedy pierwszy wirus okazał się nietrafiony i rozprzestrzenił się między tymi ścianami w latach osiemdziesiątych.

Widzieli pokoje biurowe, hale i sale konferencyjne, przestrzenie przeznaczone dla setek, wielu setek ludzi, wytarte fotele czekające przy pustych biurkach, nikomu niepotrzebne zimne światło potężnych jarzeńówek – przestrzenie jak w mieście widmie, zastygłe i opowiadające o innym czasie.

Mijali kolejne hale, William odnotowywał je w pamięci, nie zatrzymując się ani na chwilę, a to, co widział, wprawiało go wciąż w zdumienie, mimo że powinien był już zrozumieć.

W każdej stały stosy podłużnych skrzyń. Niektóre były drewniane, inne blaszane. W różnych kolorach – szare, oliwkowe, pomalowane w brązowe i zielone plamy, a na wszystkich widniał jakiś napis. Tu namalowany żółtą farbą, tam białą, cyfry oznaczały ilość, wagę i rozmiary, opisy po rosyjsku, angielsku, tu i ówdzie znaki arabskie i japońskie.

Broń. Amunicja. Granaty. Co jeszcze? Niewyobrażalne ilości ładunków wybuchowych. W gruncie rzeczy nic zaskakującego.

Przecież to organizacja międzynarodowa, dobrze o tym wiedział.

Stworzona dla ochrony świata.

Tylko nie wiadomo przed czym.

Oczywiście istniały tysiące scenariuszy, tysiące wyimaginowanych wrogów, przecież skierowali wołanie w kosmos. A gdyby ktoś na nie odpowiedział i zjawił się tutaj? To oczywiste, że musieli mieć czym się bronić, a gdzie trzymać broń, jeśli nie w głównej bazie wojennej.

Bo to była baza wojenna. Centrum dowodzenia i zarazem stacja badawcza. Wszystko naraz. Wielkość obiektu przerastała wszelkie wyobrażenia.

Wielkość i pustka.

Trudno było oprzeć się wrażeniu przygnębia.

Bo to wszystko stanowiło dowód na to, co już tutaj się stało, poświadczało fakt, że dawny personel został wystawiony na niebezpieczeństwo i zmarł, a jednocześnie ostrzegało przed tym, co miało nadejść. I za każdym razem, kiedy w głowie Williama pojawiała się myśl o zakażeniu, robił to samo: mocniej przytrzymał swój T-shirt. Ale nie ten, który miał na sobie. Tylko ten, który związał w coś w rodzaju torby, zarzucił sobie jak plecak i wcisnął ręce w otwory; wtłoczył do niego cały stos teczek i papierów, które w miarę jak biegł, obijały mu się o plecy.

Kody, cyfry i cała reszta.

Wszystko ze ścian w jego pokoju pracy. Dźwigał to ze sobą, bo miał nadzieję, że ktoś będzie potrafił to rozszyfrować.

Oboje liczyli właśnie na to, że jeśli zdołają wynieść stąd materiały, trafią one we właściwe ręce, a im więcej głów, tym większa szansa na powodzenie. Być może ktoś w pojedynkę albo kilka mądrych umysłów na spółkę znajdzie w końcu rozwiązanie, zanim będzie za późno.

Zanim te punkty i okręgi na mapie staną się rzeczywistością.

Biegli przez górę, zatrzymywali się tylko, żeby otworzyć kolejne drzwi, biegli i biegli, nie wiedzieli dokąd, ale nie tracili nadziei.

Biegli ku życiu.

I oczekiwali, że to właściwa droga.

Na ostatnich metrach przed swoim biurem Evelyn Keyes układała sobie w myślach kolejne kroki.

Po zaspaniu nie było śladu. Przed oczami miała już całe wyposażenie swego służbowego pokoju, wiedziała, który monitor włączy jako pierwszy, które menu otworzy i jakie wpisze hasła.

Musi znaleźć unikalny kod karty Franquina, był długi i zawiły, jak większość pozostałych. Odszuka go i wprowadzi do systemu, a wtedy będzie mogła zablokować kartę.

Następny krok to sprawdzenie, gdzie karta była ostatnio aktywowana. Wówczas dowie się, gdzie tamtych dwoje się znajduje. Potem wystarczy tylko wysłać tam ochroniarzy i sprawa załatwiona.

Taka była jej pierwsza myśl. Ale później pojawiła się inna. I kiedy już się zagnieżdżyła w jej głowie, nie dawała spokoju.

Może jednak nie powinna tego robić.

Zablokowanie karty Franquina – taki scenariusz wydawał się najbardziej oczywisty.

Ale coś jej mówiło, że był zbyt oczywisty i zbyt naturalny.

Istniała też inna możliwość. Całkiem realna. Franquin nie pomyślał o niej, chociaż powinien, ale z drugiej strony przecież nawet nie zauważył, jak i kiedy Sandberg wszedł w posiadanie jego karty. A to już naprawdę nie powinno było mu się zdarzyć.

Nie da się wykluczyć, rozważała Keyes, że używana przez nich karta wcale nie należy do Franquina.

To całkiem prawdopodobne.

Jeżeli udało im się ją gdzieś zamienić, to mógł to zrobić zarówno Sandberg, jak i Haynes. Niewątpliwie wiązało się to dla nich z dodatkowym ryzykiem, ale oznaczało jednocześnie, że w razie zdemaskowania zyskiwali strategiczną przewagę, i to podwójnie.

Ich plan prawdopodobnie zakładał, że Franquin jako pierwszy odkryje, że ma ich kartę, a nie swoją.

I gdyby wówczas od razu zablokowała kartę Franquina – tak jak zamierzała

w pierwszym odruchu – wszyscy czuliby się spokojni, że tamtych dwoje jest w pułapce i nie może się już nigdzie ruszyć. Byłoby to pierwsze zwycięstwo Sandberga i jego towarzyszek.

Zaraz wysłano by na miejsce ochroniarzy i wtedy okazałoby się, że ta dwójka znowu jest górą.

Bo ochroniarze nie natrafiliby bynajmniej na uciekinierów.

Jeśli zatem karta Franquina została wymieniona na czyjąś inną, jeśli trafiła do osoby trzeciej, to naprzeciw ochroniarzy z wyciągniętą bronią stałby zupełnie ktoś inny i dziwiłby się, że jego karta nagle przestała działać.

Tymczasem wszystkie drzwi stałyby nadal otworem przed Haynes i Sandbergiem, a zanimby się zorientowano, że popełniono błąd, oni zdążyliby uciec jeszcze dalej czy w najgorszym wypadku wręcz znaleźliby się już poza zamkiem.

To nieprawdopodobne, pomyślała. Ale wcale niewykluczone. Postąpiliby przebiegle i inteligentnie, ale w końcu, mówiąc szczerze, właśnie dlatego tych dwoje zostało wybranych – bo są bystrymi ludźmi.

Jedynie, co mogła teraz zrobić, zanim zdoła ustalić na sto procent, kto gdzie się znajduje i z jaką kartą ze wszystkich będących w użyciu, to zablokować jednocześnie wszystkie drzwi dla wszystkich kart.

To było idealne rozwiązanie. Szybkie, proste i niewymagające żadnych kodów. No i zatrzyma Sandberga z Haynes niezależnie od tego, czyjej karty używają.

Właśnie wybiegała zza ostatniego zakrętu. Widziała już drzwi do swojego biura. Była całkowicie rozbudzona. I dokładnie wiedziała, co powinna zrobić i w jakiej kolejności.

Po zapachu stwierdzili, że są na właściwej drodze. Zwiększyli tempo. Byli już tak blisko, tak bardzo blisko, że nie mogło im się nie udać. Teraz wszystko inne byłoby niewybaczalną katastrofą i nie mogło się zdarzyć.

Pachniało powietrzem.

Stęchła woń brudu i stojącej wody była wymieszana z czymś jeszcze: dało się wyczuć słaby świeży powiew, a to oznaczało, że już gdzieś niedaleko musi być wyjście.

Przyspieszyli jeszcze. Biegli cały czas w dół coraz bardziej stromymi korytarzami. Zauważyli, że temperatura jest coraz niższa – z jednej strony przepełniało ich to większą nadzieją, ale z drugiej potęgowało stres.

Niewiele brakowało, a by go przegapili – korytarz, który nagle otwierał się na jednej ze ścian.

Był ciemny i niepozorny, i wszystko wskazywało na to, że prowadzi donikąd, więc po co mieliby odbijać z trasy, która wiedzie cały czas w dół? Jednak zaledwie po kilku metrach, gdy go minęli, poczuli, że chłód się zmniejsza, stwierdzili zatem, że

powinni zawrócić i jednak skrócić.

I tak zrobili.

Po omacku znaleźli na ścianie włącznik światła.

Korytarz był długi, prosty i lodowaty. Na suficie rozbłysł długi rząd lamp jarzeniowych, po obu stronach wyslizganej posadzki na całej długości biegły czarne wytarte pasy.

Samochody. Gumowe koła. Coś przetaczało się tutaj w tę i z powrotem tysiące razy przez niezliczone lata.

Spojrzeli na siebie niemal w tym samym momencie i któreś z nich powiedziało: „Dostawcy!”, na co drugie skinęło tylko głową i pomyślało to samo. Ten korytarz wykorzystywano do przewożenia towarów, materiałów, komputerów, a może też jedzenia, poczty, żółtej koperty Janine i pewnie wielu innych rzeczy. Teraz nie miało to znaczenia. Najważniejsze, że byli na właściwej drodze. Jeśli tędy trafiają dostawy do zamku, to pewnie uda im się też wyjść.

Na drugim końcu korytarza dostrzegli stalowe wrota.

Kiedy światelko zmieniło się na zielone i wrota uniosły się do góry, poczuli uderzenie powietrza, jakby ktoś otworzył przed nimi okno.

Pomieszczenie, które ukazało im się po przeciwnej stronie, przypominało hangar. Było czymś w rodzaju górskiej groty – naturalnej albo powstałej w wyniku wysadzenia – i miało wymiary ogromnego publicznego parkingu. To, na czym stali, okazało się rampą przeładunkową.

Zalatywało olejem, gumą i chyba spalinami.

W środku nie było widać żadnych pojazdów, lecz zapach i intuicja mówiły im, że na pewno tu bywają, i to przypadek, że akurat teraz nie ma ani jednego.

Albo może wcale nie przypadek, może zaczęła się już ewakuacja zamku i samochody są w drodze w określone miejsce, z pakunkami, które widziała Janine, i z częścią personelu; tak czy inaczej ich dwoje dzieliły od wolności już tylko jedne jedyne drzwi.

Pod rampą znajdował się asfalt. Namalowane na nim pasy wyznaczały miejsca, gdzie należy przeprowadzić rozładunek, gdzie załadować towar i gdzie zaparkować. Strzałki z kolei pokazywały, w którą stronę jechać i gdzie się zatrzymać, aby zostawić pojazd. A po drugiej stronie hangaru gigantyczne sklepienie zamykały wysokie żaluzjowe wrota.

Brama.

Zespawane rzędy grubych metalowych listew, masywny łańcuch, który trzymał je razem, i zardzewiałe szyny, które ciągnęły się ku sufitowi i pod nim wyginały. To właśnie ta brama miała podnieść się ze zgrzytem do góry i ich wypuścić.

Droga na wolność.

To ona.

Janine przebiegła przez rampę, zeszła po metalowych schodkach i stanęła na asfalcie.

I ponownie wyjęła niebieski plastikowy prostokąt.

Franquin na kilka dobrych minut wstrzymał oddech.

Stał za Keyes, która pracowała w ciszy i skupieniu, przyglądał się, jak jej dłonie tańczą po szarozielonych plastikowych klawiszach, przełączają monitory i panele, posłuszne jej myślom i poleceniom.

Czas płynął. Wszystko, co wydaje się proste i łatwe, wymaga wielu czynności i ciągłego przyciskania guzików we właściwym porządku. Ale ani on, ani ona nic nie mówili, nie skarżyli się na sprzęt, jego stan czy wiek, choć oboje wiedzieli, że jego jakość pozostawia wiele do życzenia. Za każdym razem jednak, gdy stawało się to szczególnie istotne, sytuacja nie sprzyjała dyskusji na ten temat.

Podobnie było teraz.

Na samej górze ściany urządzenia monitorujące pokazywały lekko zniekształcone obrazy z różnych części zamku. Nigdzie jednak nie było widać Sandberga i Haynes, a kiedy na ekranach pojawiały się ujęcia z kolejnych kamer, Franquin znowu wstrzymywał oddech i uważnie się wpatrywał.

Mogli wciąż tutaj być.

Mogli znajdować się gdzieś między kamerami.

Dobrze to wiedział.

Obawiał się tylko, że to nieprawda.

W końcu zobaczył, jak Keyes pochyla się nad dużym zakrzywionym mikrofonem na panelu kontrolnym. W miarę jak mówiła, zaczął znowu równomiernie oddychać.

– Tu Keyes – oznajmiła. – Informuję, że w tym momencie blokuję wszystkie karty zbliżeniowe.

Nic nie zrobiła.

Co znaczyło, że zrobiła to już wcześniej.

Franquin spojrzał na nią, a ona skinęła głową potwierdzająco. Wszystkie karty zostały zablokowane i żadne drzwi nie powinny się otworzyć, dopóki ona ze swojego stanowiska tutaj nie aktywuje konkretnej karty.

– W razie czego niech każdy zgłasza się bezpośrednio do mnie – uzupełniła. – Będę otwierać każdemu po kolei. To wszystko.

Załatwione.

Odchyliła się do tyłu.

Podniosła wzrok na monitory. Ona także.

Klikanie w klawisze ustało, a jedyne, co było słychać, to cisza, która zlewała się z pustką na ekranach. Oboje nie odzywali się ani słowem, przyglądali się tylko, jak kamery przekazują obraz za obrazem z różnych miejsc.

Korytarze. Sale konferencyjne. Puste biura.

Niższe poziomy: Ciąg transportowy. Rampa przeładunkowa. Hangar.

I na zewnątrz, ledwie widoczne w ciemności nocy: brama, podjazd, strome zbocze.

Wszystkie obrazy jasnoniebieskie, słabo rozświetlone i migające.

I wszędzie pusto. Nigdzie żywej duszy, nigdzie żadnego ruchu.

Nie odrywali wzroku od ekranów, czekali na najmniejszy znak życia, ale niczego takiego nie widzieli. Nigdzie. W końcu Keyes stwierdziła:

– Są dwie możliwości.

Franquin tylko skinął głową. Już się domyślił. Ale pozwolił jej powiedzieć.

– Albo oni nadal tu są. Gdzieś wewnątrz, gdzie akurat nie mamy obrazu z kamer.

Wtedy wcześniej czy później ich złapiemy.

Brak reakcji. To było jedno albo. Problemem mogło okazać się to drugie.

– Albo – kontynuowała – jednak się wydostali. A to by oznaczało, że nie mamy wiele czasu.

Franquin już podjął decyzję.

– Ilu zostało nam ochroniarzy?

– Sześciu. Plus Rodriguez.

– W porządku – rzekł Franquin. – Powiedz im, że mają się natychmiast zameldować.

Keyes skinęła głową i przez radio przekazała polecenie dalej.

Po chwili jeden za drugim potwierdzili swoje pozycje i każdy z nich przyłożył swoją kartę zbliżeniową do puszek w miejscu, w którym akurat się znajdował, powodując pojawienie się na ekranie szeregu czerwonych punktów. Keyes kazała im po kolei się zameldować.

Następnie sukcesywnie otworzyła im drzwi, a oni ruszyli pędem w nowym kierunku, w stronę hali przeładunkowej i jedynej drogi prowadzącej na zewnątrz. Franquin przez cały czas stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w monitorach.

Od czasu do czasu któryś z ochroniarzy mijał jedną z kamer w górnej części budowli, spieszył się, zmierzając zgodnie z rozkazem w dół.

Ale to nie był Sandberg ani Haynes.

Tylko nie to, przemknęło mu przez głowę. Nie dwa tygodnie po Krausie.

To nie może się zdarzyć.

Oni nie mogą się wymknąć.

Asfalt, po którym William biegł bosymi stopami, był lodowaty, ale on wciąż się śmiał.

Jest wolny.

Są wolni.

Przed nim pędziła Janine, cały czas w równym tempie wzdłuż białych pasów na drodze, wyprostowana i gibka jak średniodystansowiec – ani śladu zmęczenia, mimo że przemierzyli już cały zamek.

Ale i on prawie nie czuł zmęczenia.

Został z tyłu, może dwadzieścia, trzydzieści metrów za nią, jednak biegł z energią, a ból i dolegliwości, z którymi wcześniej się zmagał i które zaciskając zęby, starał się lekceważyć, teraz całkiem zniknęły. Jeśli Janine będzie przez resztę dnia utrzymywać takie tempo, on jest w stanie nie stracić nawet metra do niej, aż tak fantastycznie się czuł; mógłby tak biec przez resztę swego życia – bo wydostali się stamtąd i są wolni.

Udało się.

Plan Janine się sprawdził.

To jej pomysł. Karty zbliżeniowe i materiały. Kochał ją i kochał życie. Początkowo plan wydawał się szalony, ale przecież całe życie jest szalone, więc dlaczego by nie spróbować? To nie powinno było się udać, lecz nic nie jest takie jak powinno.

Z każdym krokiem ustępowała nocna ślepotą i powoli, powoli zaczął wyłaniać się przed nimi krajobraz w całej swej obojętnej wyrazistości. Przy wąskiej drodze oznakowanej po bokach krótkimi białymi liniami nie było lamp. Cienkie welony zamarznętej mgły bielily się pod rozgwieżdżonym bezkresnym niebem, wzgórza i wzniesienia u stóp góry, która została za nimi, sprowadzały stopniowo ich i asfaltową drogę w dół, ku położonym niżej przestrzeniom stanowiącym resztę świata.

I ku wolności.

Gdzieś daleko, daleko migotały światełka, prawdopodobnie autostrady.

Tam trafią na jakichś ludzi.

I na samochody.

Powinno im się udać namówić kogoś do wypożyczenia im jakiegoś pojazdu albo do podwiezienia ich dalej, tak więc wcześniej czy później znajdą się naprawdę daleko stąd.

I potem będą musieli uratować świat.

Dostaną się do jakiegoś miasta, postarają się jak najszerzej rozpowszechnić

teksty i materiały, skopiują je i rozesłają po uniwersytetach, szpitalach, może nawet przekażą do Brukseli i do parlamentów na całym świecie, każdy, kto będzie potrafił pomóc, nie będzie szczędził wysiłków, i w końcu im się uda.

Ktoś złamie kod, a laboratoria na całym świecie stworzą skutecznego wirusa.

Po prostu dlatego, że wszystko inne jest nie do pomyślenia.

A Janine i William dopilnują, aby tak się stało.

Zostawili już za sobą ogromną urwistą ścianę skalną i skręcili z asfaltowej drogi, gdzie ktoś mógł ich zauważyć, na gołoborza, gdzie podłoże było nierówne, zimne i przy każdym stąpieniu sprawiało ból, ale to w ogóle nie miało znaczenia.

Niedługo w zamku się zorientują, że oboje zniknęli.

I zostanie ogłoszony alarm.

Ale wtedy oni będą już daleko stąd.

Biegli już co najmniej kwadrans, kiedy Janine dostrzegła z daleka zarys rozległego skupiska zarośli i krzewów na tle ciemnego nieba.

Wciąż jeszcze biegli bosy, ponieważ bali się zatrzymać i włożyć buty. Nie byli co prawda pewni, że już podjęto pościg za nimi, lecz na wszelki wypadek woleli znaleźć się jak najdalej od zamku i dlatego woleli nie przystawać, aby nie zmniejszać szansy na skuteczną ucieczkę.

Ale może denerwowali się niepotrzebnie.

Może nikt w ogóle nie odkrył, że zniknęli, może wszystko wyjdzie na jaw dopiero rano, kiedy tak jak zwykle ktoś przyniesie im śniadanie i zobaczy, że ani Williama, ani Janine nie ma w łóżku, w łazience czy w pokoju do pracy. Dopiero wtedy podniesie się alarm, lecz oni o tej porze będą dostatecznie daleko i przy odrobinie szczęścia już nie do wytropienia.

Sęk w tym, że jednak nie wiadomo. Dwoje dorosłych ludzi biegło po stosunkowo płaskim i otwartym terenie, i mimo ciemności nietrudno było ich zobaczyć.

Janine przymrużyła oczy i popatrzyła na zarośla. Może są wystarczająco gęste, aby mogli się ukryć w nich we dwojkę między gałęziami. Bo jeśli tamci ruszyli za nimi i niedługo się tu pojawią, a im nie uda się bardziej oddalić, to lepiej byłoby zniknąć im z pola widzenia i przeczekać w tej kryjówce, póki pościg ich nie minie.

William biegł za nią.

Nadal niemal deptał jej po piętach. Pytanie jednak, jak długo jeszcze zdoła utrzymać takie tempo.

Nie zwalniając i nie oglądając się za siebie, nasłuchiwała jego kroków.

Wciąż był dosyć blisko.

Zaraz będzie musiała zdecydować: albo dopadną do zarośli i w nich się ukryją, deptając po gałęziach i korzeniach i być może kalecząc sobie gołe stopy, albo pobiegną dalej do przodu, ryzykując, że zostaną zauważeni.

Trochę zwolniła.

Już miała zawołać do niego i spytać go o zdanie.

I wtedy usłyszała.

Kroki. Dochodziły z wielu stron.

Wstrzymała oddech, odwróciła głowę i usiłowała zorientować się w ciemnościach, co się dzieje.

W tej samej chwili dostrzegła ją.

Twarz Williama Sandberga.

Oślepiając białą na tle czarnego nieba.

Nie było dobrze.

W tej samej chwili, gdy musnęło go światło pierwszej latarki, William zdał sobie sprawę, co się dzieje.

Zareagował odruchowo: potężnym susem rzucił się w bok, przez co na moment stracił równowagę, lecz zaraz ją odzyskał i przyspieszywszy, biegł dalej zygzakiem, aby snop światła nie natrafił na niego znowu.

Znaleźli ich.

Laterek było więcej. Co rusz rozbłyskiwały kolejne i teraz William musiał unikać już czterech, nie, aż pięciu jasnych stożków, które przecinały ciemność niczym zagubione latarnie morskie na bezkresie oceanu; nie widział niczego poza nimi, co nie ułatwiało sprawy.

Światło jednej z nich trafiło go prosto w oczy. Na chwilę oślepiło go zupełnie.

Biegł dalej, tak szybko, jak tylko potrafił – gołe stopy uderzały o twardą, zmarzniętą ziemię, każdy kolejny krok zaskakiwał go nową dziurą albo rozpadliną i za każdym razem nogi dotykały podłoża albo wcześniej, albo później niż się spodziewał, a powstały przy tym wstrząs przeszywał całe ciało nieoczekiwanym bólem. Ale dla niego ważne było tylko jedno: gdzie jest Janine?

Przeczesywał ciemność wzrokiem, jednak nic nie widział.

Gdzieś z przodu znajdowało się tamto skupisko zarośli.

Już nie tak daleko. Zauważył ich ciemne kontury, zanim pojawiły się latarki. Janine zmierzała w ich kierunku, bo prawdopodobnie myślała tak samo jak on – że będą tam mniej widoczni, a przy odrobinie szczęścia może nawet uda im się tam chwilę przeczekać.

Kątem oka wciąż dostrzegał snopy światła, co jakiś czas omiatały też zarośla, które były coraz bliżej i bliżej, jeszcze zaledwie kilkanaście metrów, to jego jedyna szansa. Przyspieszył kroku, ostatni zryw przed celem, teraz albo nigdy, i właśnie w tym momencie usłyszał za sobą głos.

– Tam!

W ułamku sekundy dostrzegł, o co chodziło.

Janine.

Została uwięziona w jednym ze snopów światła.

Stała już wśród zarośli, ale gałęzie były zbyt rzadkie i obwisłe, by można się wśród nich ukryć.

Coraz więcej stożków światła zatrzymywało się na niej i śledziło jej każdy krok, aż wreszcie się poddała.

Zatrzymała się.

Czekała.

William zaś stał w ciemności i patrzył, co będzie dalej.

Widział, jak ochroniarze rzucili się w jej stronę, dwóch, trzech, czterech, przycisnęli ją do ziemi i mówili po francusku coś, czego znaczenia tylko się domyślał.

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że on sam przestał biec i stoi w miejscu.

Zadyszany stał nieruchomo, a wysokie zarośla, które miały być jego zbawieniem, już mu nie pomogą.

Wcześniej czy później latarki natrafią też na niego i będzie po wszystkim.

Najpierw zobaczył parę wydobywającą mu się ust.

Była bardzo widoczna w ciemności, odcinała się gołębi obłokiem na tle nieprzeniknionej czerni.

W pierwszej chwili nie uświadomił sobie, jakie to może mieć znaczenie, jakby oczy ujrzawszy ten obraz, zapomniały odwołać się do rozumu; sekundę później już wiedział, lecz było za późno.

Światło którejs z latarek trafiło na obłok pary.

Powietrze z jego własnych płuc go zdradziło.

Stał pośrodku pola, oświetlony ze wszystkich stron, a w następnej chwili leżał już na ziemi przygnieciony czyimś kolanem i słyszał głosy mówiące po francusku.

William Sandberg zawiódł.

Tyle zależało od niego, a teraz wszystko było stracone.

Nienawidził siebie tak bardzo, że kiedy poczuł ukłucie igły na szyi i zaczął tracić świadomość, wcale nie było mu źle.

Zebrali się o świcie, tak jak przewidywał protokół.

Powinni odczuwać smutek, a jednocześnie mieć nadzieję.

Nie czuli ani jednego, ani drugiego.

Samochody wróciły z nocnych wypadów i stały w szeregu u podnóża góry; skrzynie umieszczono w lukach bagażowych i na platformach, a potem każdy siadał na swoim miejscu i czekał na znak do odjazdu.

Nikt nie zadawał żadnych pytań, bo nie było o co pytać.

Wszyscy mieli swoje zadania, wszyscy panowali nad sytuacją, nic nie pozostawiono przypadkowi. Za ich plecami zamknęła się ogromna żaluzjowa brama, po czym Keyes dała znak, że góra jest zapieczętowana.

Przed nimi otwierał się nowy rozdział.

Jedynie, co czuli, to strach.

Connors stał w ogromnej sali komputerowej, słyszał odgłos wentylatorów i jednocześnie czuł, jak góra zionie pustką.

Został tylko on.

Realizowali plan punkt po punkcie, zorganizowali cztery wypadki, aby przygotować nowe miejsce na przybycie reszty, i teraz pozostało jeszcze tylko jedno jedyne zadanie do wykonania – to, które należało do niego. Komputery szumiały, jakby nic się nie zmieniło, a przecież pracowały po raz ostatni.

Końcowe usuwanie z dysków wszystkich danych i przenoszenie ich na inne nośniki pamięci – Connors zabierze je później ze sobą, wszystkie kody, klucze do ich odczytania oraz sumeryjskie teksty.

Wersy. Przepowiednie.

Wszystko zostanie zachowane dla przyszłych pokoleń.

Będą czuwać nad tym do końca. A jeśli przeżyją, jeśli przetrwają to, co nadchodzi, wkroczą w nowy czas razem z tą wiedzą.

Ona nie przepadnie.

To on napisał scenariusz.

I to zadanie należało do niego.

To zadanie i jeszcze coś poza tym, czego wolałby uniknąć, ale już nic nie da się zrobić.

Na lądowisku dla helikopterów pilot siedział w śmigłowcu i czekał.

Jednak przed wyruszeniem do ich ostatecznego celu obaj mieli do załatwienia coś na starym poligonie.

Kiedy konwój czarnych pojazdów dotarł do lotniska, było już zupełnie widno. Na płycie czekał prywatny odrzutowiec Organizacji. Samochody zrobiły kółko po asfalcie i ustawiły się rzędem obok maszyny.

Rodriguez siedział nadal w jednym z nich i patrzył, jak jego koledzy wchodzą na pokład po wąskim stalowym trapie. Obracał między palcami swoją niebieską plastikową kartę; co prawda nigdy nie będzie mu już potrzebna, ale zabrał ją ze względu na wspomnienia.

Jeżeli będzie jakaś przyszłość. I będzie miał okazję wspominać to, co teraz, jako przeszłość.

– Przepraszam.

Ktoś odezwał się obok niego. To Keyes. Wróciła do samochodu po resztę swoich osobistych rzeczy. Wsadziła głowę przez szybę w drzwiach i patrzyła na niego zimnym wzrokiem.

– Wiesz, że to nie jest twoja karta, prawda?

Rodriguez spojrzał na nią zdziwiony.

– To jest karta Franquina. A twoją oni mieli ze sobą. Rozwiązanie zagadki, jak do tego doszło, pozostawiam tobie.

Jej uśmiech podziałał na niego tak, jakby ktoś potarł mu skórę papierem ściernym – był zjadliwy. Ona, wyraźnie czerpiąc przyjemność z całej tej sytuacji, zostawiła go samego.

Ach, więc to tak. Już wszystko rozumiał.

Nieźle go załatwiła. Zagadywała go, czarowała w taki sam sposób, jak on czarował ją. Kiedy chwalił się, że jest bystrzejszy od niej, musiała w głębi ducha nieźle się bawić. Widział oczami wyobraźni ten jej uśmiech i nie mógł sam powstrzymać się od uśmiechu.

Haynes. Janine Charlotta Haynes.

Była godnym przeciwnikiem.

Jednak wcale nie czuł się lepiej, wiedząc, co ją teraz czeka.

Niewielki motel przy podrzędnej drodze nie wyglądał szczególnie imponująco, ale kręcili się wokół niego ludzie i chyba był czynny, a to wszystko, czego potrzebowali.

Czuli się ogromnie zmęczeni.

Zmierzali nie wiadomo dokąd, jechali przez całą noc aż do świtu, minęli po drodze tablice z nazwami Lipsk, Kulmbach i Norymberga, i chociaż nastął już kolejny dzień, oni ani nic nie jedli, ani nie spali, więc wiedzieli, że należy im się przerwa.

Mimo to, nawet nie zwalniając, zostawili motel za sobą i wysokie maszty z łopoczącymi flagami oraz tablice z cenami dań. Albert docisnął jeszcze pedał gazu, byle szybciej się stąd oddalić, na południe, aż wreszcie, minąwszy kilka zjazdów po kolei, odbili z głównej drogi do jakiejś osady, która z pewnością miała nazwę, lecz oni nie zdołali jej odnotować.

Chociaż nie marzyli o niczym innym jak tylko o tym, by wynająć gdzieś pokój i paść na łóżka, to jednocześnie zdawali sobie sprawę, że nie będą mogli zatrzymać samochodu nie wiadomo jak długo.

Mieli niesamowite szczęście, że nikt ich dotąd nie złapał. I musieli coś zrobić, zanim to szczęście się od nich odwróci.

Zaparkowali przy supermarkecie. Pobrali bilet z automatu – ot, niepozorne auto wśród szeregów innych pojazdów – ale zamiast wejść do środka i zrobić zakupy, ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą się tu dostali, tyle że pokonanie trasy, którą przejechali samochodem w dziesięć minut, zajęło im na piechotę prawie godzinę.

Wynajęli pokój na parterze. Okno wychodziło na rozpuszczającą się górę śniegu, minibarek był pustą lodówką niedającą się w żaden sposób zamknąć, a na obu zsuniętych łóżkach leżała narzuta, której wzór budził różne skojarzenia. Albert i Leo patrząc na niego, mieli cichą nadzieję, że został od początku tak zaprojektowany, a nie powstał w wyniku wiadomej aktywności nocujących tu od lat ludzi.

Położyli się każdy na swoim łóżku ze skrzyżowanymi stopami skierowanymi na telewizor. Byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać, by coś zjeść, coś czuć.

Nie ulegało wątpliwości, że cały czas uciekają. Może przed policją, może przed kimś innym, nie mieli pojęcia przed kim, ale to właściwie nie miało znaczenia.

Musieli odpocząć.

Kiedy się obudzą, wypożyczą inny samochód na kartę kredytową Leo.

I ruszą dalej na południe, gdzie może uda się im odnaleźć Williama i Janine i pomóc im w zapobieżeniu wielkiej katastrofie, która podobno grozi światu, ale nie wiadomo, na czym ma polegać.

Leo właśnie zdążył to pomyśleć, gdy zobaczył dłoń Alberta wykonującą gest nakazujący milczenie.

Cicho, zdawała się mówić jego ręka. Jakby Leo w ogóle coś powiedział.

Podniósł wzrok na Alberta i w ślad za jego spojrzeniem zwrócił oczy na telewizor. Zrozumiał, że Albert wcale nie miał jego na myśli.

Czekaj. To chciała wyrazić jego dłoń.

Chwila.

To nie było skierowane do Leo, lecz do świata, czasu, rzeczywistości i w ogóle do wszystkiego. Czekaj, to nie może być prawda, tu się coś nie zgadza.

Jednak świat nie czekał.

I to była prawda.

Leo podciągnął się na łóżku do pozycji siedzącej i zaczął wsłuchiwać się w wiadomości, które płynęły z telewizora.

To tego wszyscy się tak bali.

To jest ta katastrofa.

I w tym momencie obaj zrozumieli, że ona już trwa.

Za każdym małym punkcikiem na mapie Connorsa krył się jakiś człowiek.

Człowiek, który siedział przy swoim biurku.

Który robił zakupy na targu, ubierał dziecko w kombinezon, pił kawę z mlekiem i dwiema kostkami cukru. Który siedział na spotkaniu, uprawiał seks w hotelowym pokoju, zamawiał dodatkowy kieliszek wina, aby przezwyciężyć lęk przed lataniem.

Robił coś zupełnie zwyczajnego i normalnego, kiedy zaczęło się śwędzenie.

Ci ludzie znajdowali się w różnych miejscach świata, niektórzy byli w podróży, wylądowali i właśnie dotarli do domu, inni dopiero się gdzieś wybierali z zapakowanymi walizkami, tymczasem śwędzenie narastało, stawało się nie do zniesienia i rozprzestrzeniało się ponad granicami, a ludzie będący małymi punkcikami pojawiali się w coraz to nowych krajach.

Władze widziały, co się dzieje.

Rozkazy były wszędzie tak samo jednoznaczne.

Nie było wyjścia.

I oczywiście zapanował chaos.

Nie w jednym miejscu. Ale na całym świecie.

Buty stuknęły nerwowo po peronach, walizki toczyły się za swoimi właścicielami przez poczekalnie, zaniepokojeni podróżni wymachiwali biletami w dłoniach i chcieli wiedzieć, co się dzieje. Wszędzie aż huczało od pytań, ludzie otaczali tłumnie personel lotniska i konduktorów pociągów, policjantów i wojskowych, każdy domagał się odpowiedzi, ale nikt jej nie znał.

Na niezliczonych tablicach informacyjnych z rozkładami lotów, jazdy pociągów, autobusów i rejsów statków, na lotniskach, dworcach kolejowych, autobusowych i w portach, przy nazwach miast, portów i kierunków zamiast godziny widniało jedno słowo. Podróże na całym świecie zostały odwołane, znikąd nie odjechał żaden środek transportu i nikt nie rozumiał dlaczego.

A przecież każdy miał się z kimś spotkać, jechał do bliskich, którzy czekali. I każdemu się wyjątkowo spieszyło, na każdego czekały ważne sprawy i dlatego chcieli wiedzieć.

W miarę upowszechniania się tej wiadomości zaczęła się szerzyć panika.

W jednym kraju za drugim odnotowywano podejrzane przypadki, nową i przerażającą chorobę, jakiej do tej pory nikt nie znał, a każde kolejne doniesienie potęgowało strach i desperację. Nikt nie chciał zostawać na miejscu, niezależnie od tego, gdzie się znajdował.

Ludzie uciekali. Nie wiadomo dokąd. Byle dalej.

Autostrady blokowały niekończące się korki – samochody zmierzające z jednego miejsca do drugiego, ludzie rozpaczliwie usiłujący znaleźć się jak najdalej od innych. Wszyscy byli zmuszeni tkwić na drodze z tysiącami tak samo śmiertelnie przerażonych i bojących się zbliżyć do innych ludzi. *Nie widzi pan, że ja mam dzieci, każdy chce się wydostać, to nie moja wina.*

Dochodziło do rękoczynów. Helikoptery krążyły nad sznurami aut. W miastach wyły syreny i wszędzie w szpitalach wypisywano pacjentów do domu, aby być w gotowości.

Wszystko to działo się w godzinie zero. Na całym świecie to samo – błyskawicznie i jednocześnie. Im więcej stwierdzano zachorowań, tym bardziej narastała panika i tym mniej racjonalnie się objawiała.

Pogłoski rozchodziły się szybciej niż wirus.

Dom sąsiadów został podpalony, bo podejrzewano, że byli chorzy.

Plądrowano sklepy z obawy, że wszystkiego zabraknie.

A w telewizji prezenterzy wiadomości apelowali o spokój; ci sami, którzy jeszcze nie tak dawno niemal do zdarcia gardeł krzyczeli o niesamowitych zdarzeniach, podsycając sensację, teraz siedzieli w swoich studiach za tymi samymi lśniącoymi stołami i błagali, by ludzie się opamiętali i zostali w domach, ale oczywiście było na to za późno.

Zdecydowanie za późno.

Franquin odwrócił się od telewizora.

Nie chciał widzieć więcej.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że to dopiero początek. Że będzie jeszcze gorzej i że nadchodzące dni, tygodnie, miesiące przyniosą takie same wiadomości, tylko bardziej przerażające i bardziej zasmucające.

Przymknął oczy.

Niedługo dotrą pozostali.

Otworzył ciężkie żelazne drzwi, przestąpił przez wysoki próg, usłyszał głucho echo własnych kroków, gdy postawił nogi na podłodze.

Hałas silników, zapach oleju i metalu.

Nie znosi łodzi. Ależ skąd, to przecież nie jest łódź, tylko okręt, i jest zbyt duży, by w ogóle można było poczuć jakieś morze; zamknij się, skarcij siebie, w końcu sam wie najlepiej, co czuje; nie znosi łodzi, i to serdecznie, i tym większa ironia kryje się w tym, że to właśnie łódź ma ocalić mu życie.

Idąc ciasnymi korytarzami z pomalowanej na szaro stali, mijając po obu

stronach drzwi do kajut zakończone u góry łukiem, wyjął telefon i wszedł na schody prowadzące na wyższy pokład.

Numer Connorsa widniał na wyświetlaczu jako ostatni z wybieranych.

Przewinął listę – okazało się, że ten sam numer powtarzał się kilka razy.

Franquin dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. I tu mu się coś nie zgadzało.

Powinien już mieć to za sobą.

Powinien już tu być.

Wybrał numer jeszcze raz.

I poczuł, jak narasta w nim niepokój.

Williama Sandberga obudził terkot helikoptera.

Śmigłowiec znajdował się na pewno gdzieś niedaleko, jednak hałas był mimo wszystko przytłumiony, ale w sposób trudny do określenia. Wydawał się jakiś głębszy.

Było ciemno choć oko wykol. Nie dało się niczego zobaczyć.

Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów ponad nim znajdował się sufit – próbując usiąść, William uderzył o niego głową. Przeszył go ból, pod wpływem którego opadł z powrotem na plecy, jednak zaraz doszedł do siebie.

Ręce miał związane z tyłu, na dodatek bardzo ciasno i mocno, skrępowano je czymś ostrym i kłującym, co też sprawiało ból.

– William?

To głos Janine.

Blisko.

– William, co się dzieje?

Słyszał jej oddech. Nierówny i urywany, jakby cierpiała fizycznie albo płakała, albo jedno i drugie. Czuł ją za każdym razem, gdy nabierała powietrza, więc doszedł do wniosku, że muszą leżeć tuż obok siebie, niemal ściśnięci w przestrzeni, w której starczało miejsca tylko dla nich. Jej ugięte w kolanach nogi przylegały do jego kończyn, a przed swoją klatką piersiową miał jej plecy. Za każdym razem, gdy ich ciała się dotknęły, czuł, że ona dygocze.

Ale nie z bólu. To była wstrzymywana panika.

– Nie mogę się ruszać – powiedziała. – Nie mogę oddychać.

Mówiła przytomnie. Ale szybko. I ze śmiertelnym przerażeniem w głosie.

– Przecież cały czas oddychasz – odrzekł. Spokojnie i cicho. – Widzisz coś?

Nie odezwała się. Nie wiedziała. Nie chciała wiedzieć.

– Janine? Janine, gdzie masz dłonie? Czy możesz sprawdzić, co jest wkoło ciebie?

Słuchała go, pragnęła się opanować, a jednocześnie nie chciała – jakby jakaś część jej czuła, że panika jest przyjacielem, który pomoże im się stąd wydostać, i że zostaną tu na zawsze, jeśli ona zacznie z nią walczyć.

Potrafiła wytrzymać bardzo dużo i na wiele rzeczy była odporna. Nie bała się wysokości, umiała znosić ból fizyczny, ale nie to. Zamknięta przestrzeń. Poczucie, że nie może złapać powietrza, choć przecież oddycha, poczucie, jakby ktoś trzymał ją pod wodą i nie puszczał.

– Ręce mam związane na plecach – powiedziała. – I chyba krwawię.

– Spokojnie – odparł. – Poradzimy sobie.

– Jak? – spytała. Wciąż z nie mniejszym przerażeniem w głosie.

William nic nie powiedział.

Ona też nie.

Przed chwilą uderzył się w głowę o blaszany sufit. Czuć było zapach oleju i czegoś sztucznego, na czym leżeli. Nie miał wątpliwości, gdzie się znajdują.

A nad nimi krążył helikopter.

Znowu usłyszał głos Janine.

– William, dlaczego my tu jesteśmy? – spytała. – Co oni zamierzają z nami zrobić?

William milczał. Ponieważ obawiał się, że zna odpowiedź.

Młody, krótko ostrzyżony pilot helikoptera walczył ze swoimi emocjami, starał się odpędzić myśli, podczas gdy kolejny raz zataczał koło nad dziwnym poszarpanym krajobrazem. W dole stały rozsiane na dużej powierzchni stalowe szkielety. Wyschnięte krzewy i pożółkła trawa bez powodzenia próbowały zakryć doły i wyjeżdżone koleiny.

Nic nie jest tak, jak być powinno. Takie miał poczucie. Nic.

Właściwie wiedział to już, kiedy dzisiaj rano wstawał. Coś mu mówiło, że to będzie paskudny dzień, i chociaż to był dopiero poranek i nic się jeszcze nie stało, on czuł przez skórę, że na coś się zanoszą. To będzie paskudny dzień. Wyraźna irytacja i rozdrażnienie położyły się cieniem na wszystkim, co robił, a teraz siedział w kabinie i narastała w nim odraza, i chociaż bardzo się starał od niej uwolnić, nie potrafił.

Stało tam, w dole.

Czarne audi.

Stało jeszcze, ale wystarczyło jedno naciśnięcie guzika, a już w następnej chwili zniknie w chmurze ognia. Właściwie nie powinien się martwić, bo kiedy do tego dojdzie, on będzie już małym punktem na horyzoncie, znajdzie się daleko stąd, nie będzie ryzykował i patrzył, co z niego zostanie.

Nie z niego. Z *nich*.

Przecież i tak wie.

Po co ma patrzeć?

Była tu u nich przez ponad pół roku, wydawała się niewiele starsza od niego, ale nigdy nie nadarzyła się okazja, aby z nią porozmawiać, choć bardzo tego chciał. No i on, dużo starszy, jak się właśnie okazało.

Oboje byli tam, w dole. Nie widział ich, ale oni tam byli. Leżeli zamknięci w bagażniku, prawdopodobnie związani i bez szansy na ocalenie. Czuł odrazę niemal fizycznie, groza prawie wbijała go w fotel, musiał wykonać zadanie, choć nie on podjął taką decyzję. Był złany potem, ale co mógł zrobić?

Rozkaz brzmiał jednoznacznie.

Został zupełnie sam, on i rozkaz. Nie powinno tak być. U jego boku powinien siedzieć Connors, ale się nie pojawił, i w końcu Franquin wrzasnął na niego przez radio, żeby się wzbił w powietrze i wykonał ten cholerny rozkaz. Oczywiście różnica nie byłaby wielka – Connors skinąłby na niego głową, a on nacisnąłby guzik, tak jak robi to za chwilę, ale przynajmniej nie byłby sam i wybór momentu nie należałby do niego.

Byli tam.

Leżeli w samochodzie i nie mogli już uciec.

A on siedział tutaj, miał przycisk pod palcem i nie mógł zapanować nad przerażeniem.

Jedynie, czego pragnął, to odlecieć stąd jak najdalej.

Wciąż krążył ponad czarnym autem. Doskonale wiedział, co powinien zrobić, jednak nie potrafił.

Centrum łączności znajdowało się kilka pokładów wyżej. Evelyn Keyes siedziała już przed monitorami i gdy Franquin wszedł do środka, rzuciła na niego krótkie spojrzenie.

– Czy helikopter jest w drodze? – spytał.

Keyes odwróciła się w stronę młodego mężczyzny w głębi pokoju. Był ubrany w mundur, jakiego Franquin nigdy dotąd nie widział – w grecki albo może włoski; nie orientował się, gdzie zarekwirowali okręt, zresztą nie miało to znaczenia.

Zobaczył, że mężczyzna kręci głową. Keyes powtórzyła jego gest, jakby on sam go nie widział.

– Wezwijcie go – powiedział. Po czym spytał: – Gdzie mogę stanąć?

Keyes wskazała na słuchawki wiszące między lampami i przełącznikami oraz na otaczającą ich ze wszystkich stron pomalowaną na szaro blachą. Franquin nałożył miękkie poduszki na uszy i wszystko wokół ucichło.

Słyszał tylko trzaski radiowego połączenia. Ale odpowiedź, która powinna była nadejść, nie nadchodziła.

Mężczyzna w mundurze wywoływał jeszcze raz. I znowu rozbrzmiały jedynie trzaski.

– Kiedy ostatni raz mieliśmy z nim kontakt? – spytał Franquin, a gdy mężczyzna w mundurze odpowiedział ze swojego miejsca, ochryply dyszkant rozkroił Franquinowi mózg na pół. Dopiero po chwili się zorientował, że ten przenikliwy głos dochodzi ze słuchawek.

– Kiedy odebrał od pana rozkaz – poinformował głos.

Franquin przymknął oczy. Niedobrze. Nie było powodu, aby to trwało tak długo.

– Proszę wywołać go jeszcze raz – polecił.

I czekał. Słyszał trzaski. Odpowiedzi nie było.

Tylko nie to. Nie znowu. Coś podobnego niemal zdarzyło się w Amsterdamie – pilot stchórzył, chociaż doskonale wiedział, jaki dostał rozkaz. A teraz jego własny pilot wisiał nad polem manewrowym, na którym swego czasu wysadzili ambulans ze Stephanem Krausem, i chyba zamierzał zrobić to samo co tamten.

No i Connors, który też powinien siedzieć w tym helikopterze, który powinien wszystko nadzorować, w ogóle się nie odzywa.

To trwało już za długo.

Ten rozkaz musiał być wykonany, i to zaraz.

Nie znaczy to, że Franquin miał coś przeciwko nim osobiście, bynajmniej, ale sprawy zaszły za daleko, by pozwalać sobie na sentymenty, a to była tylko jedna z całego szeregu racjonalnych decyzji, które podjęli.

William Sandberg i Janine Charlotta Haynes zaryzykowali wszystko i nie osiągnęli zupełnie nic.

Stali się balastem.

A o ile znał się na łodziach, balast to pierwsza rzecz, jakiej w razie czego należy się pozbyć.

Polecił bezimiennemu mężczyźnie przy radiu, aby włączył mu mikrofon. Następnie nabrał powietrza i krzyknął.

Była wygimnastykowana i gibka, co na pewno pomagało, jednak nie rozwiązywało wszystkich problemów.

William postanowił, że musi koniecznie coś zrobić, zanim jeszcze wiedział, co w ich sytuacji w ogóle jest możliwe. Chodziło mu o odwrócenie uwagi Janine, o zmuszenie jej do tego, by skupiła się na zadaniu, a nie na swoim strachu; miał też nadzieję, że może przy odrobinie szczęścia uda im się stąd wydostać, zanim będzie za późno.

– Spróbuj się przekręcić – powiedział do niej. – Plecami do góry.

To nie było wcale proste. Ale w końcu potwierdziła, że leży tak, jak chciał. I rozdrażniona dodała, że nie jest wcale mniej przerażona.

– Czy możesz się wyciągnąć do góry? – spytał ją.

– Żarty sobie robisz?

– Spróbuj. Spróbuj sięgnąć sufitu. Postaraj się wyczuć po omacku, gdzie jest jego koniec.

Zrobiła, o co prosił.

Wyprężyła się. To, czym miała skrępowane ręce, wrzynało się jej w nadgarstki, a ramiona stawiały zdecydowany opór, jednak ona przemogła ból i wtedy poczuła, że panika ustępuje.

Palce dosięgły sufitu. Blacha. Ostre kanty, jakby skrzyżowanie cienkich

szprosów. Zdołała dotknąć ich zaledwie opuszkami, ale to wystarczyło dla potwierdzenia jej przypuszczeń.

– To bagażnik samochodowy – powiedziała.

– Wiem – przyznał William. – Wymacaj, gdzie jest koniec.

Zrozumiała, jakie jest jej zadanie. Ma znaleźć zamek, a potem oboje będą się modlić, żeby udało się go jakoś otworzyć od środka. Wiedziała, że będzie potwornie bolało, ale nie zamierzała się poddać.

Gdy przesuwała palce wzdłuż klapy, jej ramiona wykręcały się pod coraz bardziej nienaturalnym kątem w stosunku do tułowia, wciskało ją w podłogę, każdy staw krzyczał i protestował, ale ona nie zamierzała słuchać.

W końcu dotarła do zamka. Bez wątpienia.

Cienka szczelina między jednym plastikiem a drugim i pomiędzy nimi jakby żelazo, może to okrągły sworzeń albo hak, który jest o niego zaczepiony, lub też to tylko jej mózg próbował przypomnieć sobie, jak zwykle wygląda zamek w samochodowym bagażniku, i odtwarzał teraz ten obraz, aby dopasować do elementów spod palców.

Tak czy owak, to nie miało żadnego znaczenia.

Sięgała jedynie samym czubkiem jednego palca, nie dawała rady więcej.

– Nie mogę – powiedziała.

– Postaraj się – poprosił.

Potrząsnęła głową. Pełna adrenaliny wywołanej bólem i paniką, która już się ulotniła, zastąpiona siłą, krzyknęła na niego, nie tyle ze złości, ile raczej by uciąć dyskusję nad czymś, co nie podlegało dyskusji.

– Ta szczelina jest cienka zaledwie na włos. Nie dostanę się tam. Potrzebny jest plan B.

William milczał.

Nie mieli planu B.

– No powiedz coś! – rzuciła. – W końcu nie jestem, do cholery, artystką z cyrku!

Doskonale wiedział, co miała na myśli.

Słyszał, jak stęka, kiedy się wygina, i wprawdzie nie widział, w jakiej pozycji leży, ale mógł sobie wyobrazić, jaki odczuwa ból.

– W porządku. Daj sobie spokój.

– I co teraz? – spytała.

Cisza. Nadal pozostała w swojej nienaturalnej pozycji. Dojście do niej tyle ją kosztowało, że wołała nie narażać ciała jeszcze raz na taki wysiłek i się nie wyprostowała, wiedząc jednocześnie, że to by oznaczało, iż się poddali.

– Nie wiem – powiedział William.

Zapadło milczenie.

Helikopter nadal krążył na zewnątrz.

Na co on czeka? Mógłby już położyć kres temu cierpieniu, zrobić, co do niego należy, wtedy przynajmniej nie musieliby tu leżeć.

Zachował tę myśl dla siebie, a głośno powtórzył tylko:

– Nie wiem, Janine.

W końcu oderwała końce palców od zamka.

Nie mając podparcia, jej tułów opadł z powrotem na wykładzinę, z ramionami na plecach, a ona krzyknęła z bólu, kiedy jej członki rozprostowały się na tyle, na ile mogły.

Musiał istnieć jakiś inny sposób.

Próbowała przypomnieć sobie wszystkie komory bagażników, jakie kiedykolwiek widziała, usiłowała odtworzyć najmniejsze detale, ich konstrukcję i zakamarki, i choć bardzo się starała, nie była w stanie wpaść na żaden pomysł, jak wydostać się z tego zamknięcia.

Dopóki nie zdała sobie sprawy, że jest inne wyjście.

Franquin nie mógł oczywiście mieć stuprocentowej pewności, że pilot helikoptera go słyszy.

Czuł jednak, że tak jest, i przekonywał samego siebie, że jego słowa musiały dotrzeć do adresata i na niego podziałać. Stał nadal w miejscu – spojrzenie skierowane daleko w morze, słuchawki na uszach i cienki mikrofon niczym cień wyznaczający dolną granicę pola widzenia.

Nie chodziło o to, żeby być wyniosłym i autorytarnym.

To wiedział.

Chodziło o to, aby być szczerym.

A słowa, których używał, nie mówiły o obowiązku, lojalności czy ratowaniu świata.

Mówiły o zrozumieniu.

Jego pełnym zrozumieniu dla młodego mężczyzny w helikopterze.

Zrozumieniu dla jego lęku, dla jego wewnętrznego oporu i dla jego trudnego położenia.

Powiedział prosto przed siebie to, co czuli wszyscy. Że nikt nie mógł uwierzyć, iż do tego dojdzie. On też nie. Że leżał po nocach i nie mógł spać – choć nie mówił o tym nikomu, tak było. Przyznał też, że wiedział, jak ma wyglądać zadanie, wiedział przez ponad trzydzieści lat, a mimo to zwątpił, kiedy przed nim stanął.

Takie słowa płynęły z jego ust. I dodał jeszcze, że on nie ma nikogo, na kim mógłby się wesprzeć. Że nie ma nikogo obok siebie, kiedy ogarniają go wątpliwości – to on sam musi krzyczeć, być stanowczy, wydawać rozkazy i nie ustępować tylko dlatego, że jest trudno.

A nocami leżał i nie mógł spać.

Zabijał ludzi w pogoni za wirusem. Niewinnych ludzi, którym akurat przyszło być królikami doświadczalnymi; widział, jak umierają, a obrazy pozostawione w jego pamięci nigdy nie znikają, choćby nie wiadomo jak się starał.

Zabił zwykłych ludzi, cywilów, to on rozkazał wysadzić cały szpital w Amsterdamie, i chociaż to wszystko zostało już opisane w scenariuszach dużo wcześniej, to wcale nie znaczy, że było mu z tym łatwiej żyć.

A teraz... Teraz na polu manewrowym stoi czarne audi. I on doskonale rozumie, że to trudne. Ale prosi o pomoc. Nie, nie prosi – błaga.

Błaga pilota śmigłowca, który go może słyszy, aby wykonał to, co powinien – nie dlatego, że to jest słuszne, bo kto to wie, co tak naprawdę jest słuszne, ale dlatego, że to najlepszy plan, jaki mają, i chociaż pokusa odstąpienia od niego jest ogromna, on zasadza się właśnie na tym, by nikt tego nie zrobił.

Mówił to ze wzrokiem cały czas skierowanym na wodę.

Czuł, że reszta obecnych w pomieszczeniu przygląda mu się uważnie, ale on nie patrzył na nich. Odślonił całe swoje wnętrze. Czy rzeczywiście to zrobił – nie mogli mieć pewności, bo może to była tylko przemowa, która miała skłonić pilota do wykonania rozkazu, on zaś nie zamierzał im pomóc w zrozumieniu, jak jest naprawdę.

Kiedy w końcu zdjął z głowy słuchawki, liczył na to, że jego słowa wywarły na pilocie takie samo wrażenie jak na otaczających go osobach.

Była niższa od niego. Niższa, szczuplejsza, zwinniejsza. Co oznaczało, że to ona musi podjąć się tego zadania i że prawdopodobnie będzie zwijać się z bólu, ale nie miała wyboru.

Janine przejęła dowodzenie. Kazała Williamowi przycisnąć się do podłogi najmocniej jak potrafił, po czym przysunęła się do niego i powiedziała, że powinni zamienić się miejscami, a on musi pomóc jej znaleźć się na górze.

Nie miał pojęcia, co zamierzała, ale powoli, powoli przeczołgał się na bok, dźwigając na sobie Janine i ledwie łapiąc oddech. Ona szurała ciałem po blasze i nitach, co wywoływało ból, ale dawało też jedyną możliwość odepchnięcia się, skoro ręce były unieruchomione.

Wreszcie opadła ciężko po jego drugiej stronie.

Słyszał, jak się wiję niczym wąż, czuł jej oddech przy swojej głowie, gdy obracała się plecami w stronę wnętrza samochodu.

– Co ty kombinujesz? – spytał.

– Tylne siedzenie – rzuciła tylko.

Od razu zrozumiał.

Bagażnika nigdy nie zdołaliby otworzyć. Ale jeśli będą mieć szczęście, może uda im się wydostać inaczej. Niewykluczone, że przy tylnym siedzeniu jest jakaś

szczelina, i chociaż wydawało się to mało prawdopodobne, jednak nie mogli nie spróbować.

Znowu wygięła do góry ręce za plecami. Usiłowała sięgnąć nimi do oparcia tylnego siedzenia. Zaciskając z bólu zęby, zaczęła po omacku przesuwać palce coraz wyżej, w poszukiwaniu uchwytu, który powinien znajdować się w górnej części fotela i który po naciśnięciu zwalnia blokadę utrzymującą oparcie w pionowej pozycji. Janine liczyła na to, że może uda się jej do niego dotrzeć, jeśli tylko znajdzie jakąś szparę, przez którą zdoła precyzyjnie przycisnąć swoją dłoń.

Szukała też wzrokiem, nic nie widząc, rozbieganym spojrzeniem wędrowała w tę i z powrotem, aby pomóc ręką, usiłowała odtworzyć sobie w wyobraźni wnętrze samochodu, żeby odpowiednio skierować palce.

Jest. Znalazła. Niewielką lukę w miejscu, gdzie siedzenie opierało się o karoserię. Wygięła ramiona jeszcze mocniej, nadludzkim wysiłkiem wsunęła dłonie w otwór, wpiła się paznokciami w miękki materiał, milimetr za milimetrem, zbliżając się do mechanizmu blokującego, który powinien się gdzieś tam znajdować. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Krzyczała. Ile miała siły w płucach.

Krzyczała z bólu, krzyczała, żeby do jej krwi popłynęło więcej adrenaliny, żeby zmusić swe ciało, aby jeszcze trochę się wygięło, a potem krzyknęła ze szczęścia.

– Jest! – wrzasnęła. Poczula pod palcami twardy plastik, przekonana, że to musi być to, czego szukała.

Rączka.

– Możesz ją ruszyć? – spytał William.

Nie odpowiedziała.

Napięła wszystkie mięśnie, zacisnęła powieki, wędrowała palcami dalej. Jest, zaokrąglona plastikowa rączka ukryta w zagłębieniu, wystarczyło ją tylko pociągnąć, ale to było takie trudne. Bo jak miała przenieść choć trochę energii do swoich palców, kiedy całe jej ciało było powyginane i powykręcane pod kątami, do jakich żaden człowiek nie jest stworzony? Wiedziała jednak, że to ich jedyna szansa, więc walczyła z własną słabością, aby zmusić palce do zaciśnięcia się na uchwycie. Walczyła, bo to musiało się udać.

Prawie. Prawie. Jeszcze trochę.

Dotknęła rączkę na razie ledwo, ledwo, jedynie poczuła chłód plastiku na swojej skórze. Próbowwała pociągnąć ją do siebie. Czyżby drgnęła o milimetr? Chyba tylko jej się wydawało, bo w następnej chwili palce zsunęły się ze śliskiej powierzchni i na tym koniec.

Nie udało się.

Ramiona paliły. Nie wytrzymały dłużej.

Przez głowę galopowały tysiące myśli.

O Albercie, o świecie, którego już tak dawno nie widziała, o wszystkich, którzy mają umrzeć, i o tym, że oni dwoje mogli coś zrobić. Może jednak naprawdę by się im udało.

– Pchaj mnie! – krzyknęła.

William się zawahał.

– Pchaj mnie na siedzenie, ile tylko masz siły!

Zrozumiał, o co jej chodzi.

Wiedział, że to będzie bolało, ale domyślał się, że ona też zdaje sobie z tego sprawę, więc zrobił to, o co go prosiła.

Zapał się o wewnętrzną ścianę bagażnika. Janine nabrała głęboko powietrza, znowu napięła mięśnie, a William z nogami wbitymi w karoserię napierał na nią coraz mocniej i mocniej. Jednak tylne siedzenie nadal nie ustępowało. Janine nie miała już czym oddychać i czuła potworny ból, ale krzyknęła do niego, aby pchał dalej.

Zapał się jeszcze mocniej. Przycisnął ją z całej siły do siedzenia. Jej ręce były coraz bardziej wygięte w pałąk za plecami. Wołała nie myśleć, co najpierw ustąpi – fotel czy jej kości, tylko dalej walczyła, aby uchwyt chociaż drgnął, aby pociągnąć go choćby o milimetr. Może siła Williama to sprawi. Może za jej sprawą rączka uniesie się do góry albo oparcie się przechyli i w końcu, w końcu im się uda.

Janine słyszała, jak krzyczy.

– Jeszcze trochę!

Krzyczała tym głośniej, im bardziej ją bolało. Niech on tylko nie przestaje. Czuła, jak siedzenie się wybrzusza, z każdą sekundą coraz bardziej.

Kto wie, może się uda.

Bo jeśli nie, to będzie musiała umrzeć w tym bagażniku. I jakie znaczenie będzie wtedy miało to, czy jej ramiona są połamane, czy nie.

I w końcu stało się.

W końcu rączka ustąpiła.

Oparcie opadło, a oni oboje jednocześnie zaczerpnęli powietrza, jakby właśnie wychynęli na powierzchnię po długim i pełnym paniki zanurzeniu. I dokładnie w tym samym momencie...

W tym samym momencie, gdy otworzyło się przed nimi wnętrze samochodu.

W tym samym momencie, gdy światło dnia oślepiło ich szeroko otwarte oczy.

W tym samym momencie dostrzegli helikopter za szybą. Jedynie ciemny cień na promiennym niebie. Ale to wystarczyło.

W tym samym momencie wiedzieli.

W następnym momencie nastąpił huk.

Dzięki benzynie wszystko zajęło się błyskawicznie.

Płomienie rozprzestrzeniły się w ułamku sekundy. W żarze ognia opary paliwa stworzyły perfekcyjną mieszanę z tlenem w powietrzu i eksplodowały na żółto, czerwono i czarno, a potem języki płomieni rozszalały się na dobre i sięgały coraz wyżej.

Blacha odkształcała się w wysokiej temperaturze, szkło pękało i stapiało się w miękkie grudki, które miały pozostać na ziemi po wieczne czasy i błyszczeć w słońcu ku radości niczyjej.

A to, co jeszcze przed chwilą żyło, zniknęło i nigdy nie wróci.

Tam, gdzie rosła trawa, teraz ział krater, dymiący żarem i wciąż jeszcze pokryty pełzającym ogniem. A kiedy już wszystko dogaśnie, na otwartej przestrzeni pojawi się nowy stalowy szkielet niczym monument wśród wielu innych: wśród wypalonych wraków zużytych wozów bojowych, będących kiedyś tarczami strzelniczymi służącymi do ćwiczeń, wśród pozostałości po granatnikach i granatach, niedaleko ambulansu, który nie był ambulansem i został wysadzony na tym samym polu zaledwie kilka tygodni wcześniej, aby zapobiec temu, co i tak nastąpiło.

Krater dogaśnie, porosną go nowe rośliny i wszystko zatoczy koło w odwiecznym tańcu, jakim jest życie.

Dla roślin na nieużywanym polu manewrowym u stóp Alp nie będzie to stanowiło żadnej różnicy.

Dla Williama Sandberga i Janine Charlotty Haynes będzie to różnica jak między życiem a śmiercią.

CZĘŚĆ IV

OGIEŃ

Nie wiem, kim jesteś.

Tak naprawdę nie wiem nawet, czy istniejesz.

Wiem jedynie tyle, że nie tracę nadziei. I że to trzyma mnie przy życiu.

Może to dlatego piszę.

Bo dopóki jest ktoś, kto woła, musi być też ktoś, kto słucha. Bo może da się stworzyć przyszłość, zarzucając w niej kotwicę; to tak, jakby zatknąć flagę na szczycie góry i powiedzieć, że ta góra jest moja, to moje miejsce i nikt nie może mi go odebrać.

To tak, jakby zaznaczyć spotkanie w kalendarzu, aby nie mieć wątpliwości, że ten dzień na pewno nadejdzie.

Północ, czwartek, dwudziesty siódmy listopada.

Tej nocy zamierzamy uciec.

Ostatnia próba zatrzymania tego, co się dzieje.

Kimkolwiek jesteś, wierzę, że istniejesz.

Chcę wierzyć, że czytasz teraz te słowa.

A skoro tak, to wszystko się udało. Chcę w to wierzyć.

Obudzili się z poczuciem pustki.

Myśli zatoczyły gorączkowo pełne koło, jak zawsze.

Przede wszystkim pojawił się niepokój, co się stało. A potem poczucie, że to tylko sen, który ciągle jeszcze trwa, bo przecież tak jest zawsze. Więc zaczęło się deliberowanie, co to za sen – gdzie się rozgrywa, kto się w nim pojawia i dlaczego trwa, i nie chce się skończyć.

Ale to nie był sen.

Poszukiwanie trwało i wreszcie domknęło krąg myśli.

To działa się naprawdę.

To działa się rzeczywiście.

Zasnęli, mając przed oczami obrazy chaosu i zamętu, słuchając teorii ekspertów i porad, co zrobić, żeby się uratować. Widzieli mapy pokazujące punkty, gdzie wybuchła epidemia, i jak szerzy się coraz dalej.

Na ekranie telewizora wciąż migwały te same obrazy co przed ich zaśnięciem. Tylko teraz wszyscy byli jeszcze bardziej zdesperowani, bardziej przerażeni, bardziej zatrwożeni.

Albert i Leo siedzieli w milczeniu na swoich łóżkach i patrzyli na ekran, nie włączając dźwięku.

Poczucie pustki minęło.

Zastąpiło je poczucie, że to już koniec.

Świat się zamknął.

Szkoły, biblioteki, sklepy spożywcze zamknięto na cztery spusty, podobnie jak każde metro, wszystkie poczekalnie, dworce i wszelkie inne miejsca, gdzie mogli gromadzić się ludzie, wydychać na siebie powietrze i w ten sposób przekazywać zarazki dalej.

Władze wojskowe wydały zalecenie, aby nie wychodzić z domów, pozamykano szpitale – przyjmowano do nich wyłącznie zarażonych, a mężczyźni i kobiety w szeleszczących kombinezonach rozpaczliwie próbowali pomóc, lecz nie mieli pojęcia jak. Objawy rozwijały się bardzo szybko i przyjmowały przerażającą postać, a w laboratoriach naukowcy i badacze gorączkowo pracowali nad próbkami i aparaturą, jednak żaden z nich nie miał zielonego pojęcia, co to może być.

W kolejnych miastach władze przejmowały kryte lodowiska. Te same hale, w których jeszcze kilka dni wcześniej dziesięciolatki biegały za hokejowym krążkiem albo kręciły piruety w takt muzyki, podczas gdy ich rodzice, trochę zmarznięci, popijali gorącą czekoladę, czekając na swoje pociechy, teraz zamieniono w ogromne kostnice – na lodowej tafli leżały poukładane rzędami czarne plastikowe worki, a w niektórych z nich znajdowali się ci, którzy kręcili piruety i popijali czekoladę.

A tam, gdzie nie starczało lodu, rozpalano ogniska.

I ciało za ciałem wrzucano w płomienie, zamieniano je w popiół, by wytępić wirusa, a kiedy czarny dym wzbił się w niebo, źródło zakażenia było usunięte, lecz wszędzie na całej Ziemi wciąż pojawiały się kolejne.

Wszystko zmierzało w jednym kierunku.

Jedynie, co można było zrobić, to próbować maksymalnie spowolnić ten proces.

I nie tracić nadziei, że ktoś odkryje na to lekarstwo.

Ale czasu zostało niewiele.

Nie było podstaw, by przypuszczać, że policja ustaliła tożsamość Leo czy zablokowała jego karty kredytowe. Mimo to mocno się denerwował, kiedy wymeldowywał się z motelu.

Samochód, który zostawili na parkingu supermarketu, został wypożyczony przez Christinę na jej kartę, i jeśli nawet teraz próbowano go zlokalizować, Leo nie musiał się obawiać. Natomiast prawdopodobnie wciąż nie ustały poszukiwania Alberta. Tyle że on pozbył się już wszystkiego, co mogłoby ułatwić jego identyfikację.

Leo był najzwyczajniej w świecie młodym człowiekiem wymeldowującym się z motelu. Młodym człowiekiem trzęsącym się ze zdenerwowania, to prawda. Ale w końcu od kiedy jest to niezgodne z prawem?

– Będzie pan próbował uciec? – spytał mężczyzna w recepcji.

Leo podniósł na niego wzrok.

Zaniepokoił się. Czyli jednak wiedzą? Karta jest zablokowana?

– Rozmawialiśmy o tym z żoną – ciągnął dalej. – Ale gdzie tu uciekać?

To retoryczne pytanie. Leo zrozumiał wreszcie, co mężczyzna miał na myśli. Wszędzie, w głowie każdego, wciąż obecna była tylko jedna jedyna myśl, która krzyczała coraz głośniejszym głosem. Epidemia. Choroba.

Ten lęk był gorszy niż cokolwiek innego, nie do porównania z obawą, że zostanie się zatrzymanym przez policję z powodu przejechania na czerwonym świetle skrzyżowania w Berlinie. Mimo to Leo poczuł ulgę. To tylko choroba, pomyślał.

Tylko.

Uśmiechnął się do recepcjonisty i bąknął pod nosem coś, czego sam nie

rozumiał, mężczyzna zaś okazał się na tyle uprzejmy, że go nie dopytywał, po czym pożegnali się z prawdziwą serdecznością.

Z prawdziwą serdecznością spotykaną jedynie w cieniu wielkich katastrof.

Na biurkach szefów rządów i polityków na całym świecie rozdzwoniły się telefony – wszędzie przekazywano identyczną informację.

Rozpoczęto realizację *Scenario Noll*.

Wiadomość podawano dalej, do najwyższych czynników odpowiedzialnych za koordynację, auta stały już w pogotowiu, budzono rodziny, po kryjomu jechano przez stolicę do samolotów czekających na start.

Czasu ubywało.

Nie minęły jeszcze dwie doby od nadejścia pierwszej koperty. Znajdował się w niej krótki kod, a w nim zaszyfrowany rozkaz, ten, który czekał przez dziesięciolecia na otwarcie i który uruchamiał cały proces.

Prezydenci i premierzy otrzymali możliwość wybrania grupy rodzin i współpracowników; należący do niej byli szczęściarzami, pozostali mieli pecha, choć o tym nie wiedzieli. W tajemnicy zgromadzono najważniejsze dokumenty potrzebne do kierowania państwem na odległość i zapakowano je razem z zabawkami, zdjęciami i wszystkimi innymi niezbędnymi rzeczami. Teraz leżały w bagażnikach samochodów osobowych i pojazdów transportowych, które pędziły przed siebie.

Z daleka widać było dym gigantycznych ognisk.

Wszędzie zostawiano domy, przyjaciół, rodaków i epidemię, która nie chciała się zatrzymać.

Teraz czekało ich życie na statku.

W izolacji od reszty świata.

Wszyscy byli przerażeni i pełni obaw.

Ale to była niska cena za przetrwanie końca świata.

Albert siedział już w wynajętym samochodzie, kiedy do Leo zadzwonił ktoś z redakcji.

Próbował się z nią skontaktować od chwili, kiedy tylko się obudzili, lecz nikt nie odbierał od niego telefonu. Zostawił więc wiadomość, jednak przez dwie godziny nadal nikt się nie odezwał.

Domyślał się, jak mogła w tym momencie wyglądać praca w redakcji.

Paradoksalnie było w niej teraz więcej życia niż kiedykolwiek wcześniej; zgiełk rozmów telefonicznych, spontaniczne narady zespołu, bezustannie napływające informacje, które trzeba było uporządkować i zamienić na artykuł w sieci, zanim konkurencja zdąży opublikować to samo. Dziennikarze wykonywali najważniejszą pracę na świecie, zwłaszcza w oczach ich samych, i to poczucie misji trzymało strach w ryzach, a im pozwalało uważać się za nietykalnych, jakby nie byli mieszkańcami tego świata, ale tylko i wyłącznie zdawali o nim relację, jakby jedynie stali poza linią boczną i nigdy mieli nie umrzeć, podobnie jak przypuszczalnie sądziła Christina, zanim mimo wszystko musiała pożegnać się z życiem.

Doskonale wiedział, że nikt nie będzie się nim przejmował. Świat znajdował się właśnie na drodze ku zagładzie i to było, jak się domyślał, znacznie istotniejsze niż zaprzątanie sobie głowy praktykantem zagubionym gdzieś w Europie.

Kiedy więc wreszcie do niego oddzwonili, starał się być jak najbardziej zwięzły.

Przycisnął telefon ramieniem do ucha, palcami jednej ręki naciskał guziki terminala, aby zapłacić za nowy wypożyczony samochód, a w drugiej trzymał cienką siatkę z owocami, które podniosą im jedynie poziom cukru, lecz nie zaspokoją głodu – ale czasami nie ma się wyboru.

Gdy tylko redaktor w słuchawce się przedstawił, Leo od razu przejął inicjatywę.

– Maszyna frankująca – zaczął. – Ustaliliście, gdzie jest?

Jego rozmówca zaprzeczył. Chciał mówić dalej, ale Leo od razu mu przerwał, bo teraz nie ma czasu na wyjaśnienia czy usprawiedliwienia, i był pewien, że tamten uważa podobnie.

Jednak to nie może być koniec. Leo jest jej to winien.

– Przesłałem wam zdjęcie – powiedział. – Ktoś musi je mieć, sprawdźcie w redakcji Christiny, znaleźliśmy kopertę, do... właściwie to nie ma znaczenia. Ale podejrzewam, że to, co się dzieje, ma coś wspólnego z Williamem. Ścigają nas. I to pewnie przez tę kopertę ktoś nas chce dopaść...

Po drugiej stronie odezwał się głos. Rozdrażniony, że mu przerwano.

– Leo! Posłuchaj!

Zamilkł.

Dopiero teraz dotarły do niego jego własne słowa.

Zdał sobie sprawę, że mówił zupełnie bez ładu i składu. A to raczej niezbyt dobrze świadczyło o nim jako o początkującym dziennikarzu.

– Dasz mi coś powiedzieć? – spytał głos.

– Przepraszam. Słucham.

Zamknął usta, a głos w słuchawce zaczął mówić.

W tym samym momencie Leo zapomniał o maszynie frankującej i o wszystkim, co się z nią wiązało.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się gwałtownie. Leo rzucił się na fotel, po czym cisnął siatkę do tyłu, zapiął pas jednym ruchem i powiedział:

– Jedź!

Siedzący za kierownicą Albert zareagował natychmiast.

Pozwolił sobie na chwilę rozluźnienia, wciąż zmęczony po zaledwie kilku godzinach snu, a teraz widział, że był idiotą. Chyba jednak ktoś ich wytropił albo karta kredytowa Leo uruchomiła gdzieś jakiś alarm – cokolwiek się stało, przekręcił kluczyk i pospiesznie wycofał samochód z parkingu. Spodziewał się najgorszego.

– Co jest? – spytał.

– Nic – odparł Leo. – Jedziemy na południe.

Albert spojrział na niego.

Leo siedział wyprostowany. Oddychał gwałtownie, nie wiedział, co zrobić z energią, która wezbrała w nim nie wiadomo skąd. Próbował się opanować, żeby najpierw jako tako uporządkować myśli, zanim słowa zaczną wylewać się z jego ust.

– Połączenie – zaczął. – Połączenie Williama. Kiedy Christina i ja byliśmy na dachu, kiedy on zadzwonił i przerwał relację.

– Tak?

Albert zmierzał z powrotem na autostradę.

I słyszał, jak obok niego Leo oddycha nerwowo.

– Zlokalizowali go – powiedział. – Wiem, gdzie oni mniej więcej są.

Młody krótko obcięty pilot siedział w swoim helikopterze i patrzył na czarne audi w dole.

Robił kółko za kółkiem. Wciąż walczył z własnymi emocjami. Z jednej strony z obowiązkiem wykonania rozkazu, a z drugiej z potworną bezradnością, która sprawiała, że nie był w stanie zapanować nad sobą.

Pomyślał o pilocie z Amsterdamu.

O tym, który sprzeciwił się rozkazowi i minął cel, ale potem wydarzyło się coś, co kazało mu jednak zawrócić.

W środku tego wszystkiego usłyszał głos Franquina.

Przemawiał do niego tak, jakby czytał w jego myślach, jakby dokładnie wiedział, co kołacze mu się po głowie; sytuacja identyczna jak w Amsterdamie, o mniejszej skali, ale taka sama, a skoro pilot myśliwca był zdolny posłuchać swego sumienia, dlaczego on nie mógł?

W uszach wciąż słyszał Franquina.

Który opowiadał, co czuje, co oni wszyscy czują, jakie to trudne dla każdego.

Pilot zawahał się, już miał zaprotestować i powiedzieć mu, że musi istnieć jakiś lepszy sposób, ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że jeśli dopuści do wymiany zdań między nimi, w tej samej chwili przegra.

Franquin oznajmiłby mu, że to jego praca, że za późno, żeby się wycofać, że zrobił to już wcześniej i teraz musi po raz kolejny spełnić swój obowiązek.

On zaś wiedział, że to nieprawda.

To zupełnie co innego; kiedy wysadził ambulans, mężczyzna, który w nim leżał, był już martwy, natomiast w audi jest dwoje żywych ludzi, i to wcale niezarażonych, tylko niewygodnych. Coś rozdzierało mu duszę, dosłownie, a czegoś takiego do tej pory nie znał, jak więc mógł nie zrozumieć, jak mógł się temu oprzeć?

Starał się nie słuchać głosu w słuchawkach. Zatoczył ostatni krąg nad placem, po czym zmienił kurs i odleciał znad pola manewrowego i znad doliny, nie wiedząc, dokąd zmierza. Byle dalej.

Znajdował się już wiele kilometrów od pola manewrowego, gdy słowa Franquina dotarły do niego z całą mocą.

To, czego od niego oczekiwano, było złe, ale to, co zrobił, było jeszcze gorsze. Słyszał głos Franquina w słuchawkach i nadal mu nie odpowiadał, lecz w głębi ducha wiedział, że tamten ma rację.

Nie pozostawiono mu wyboru.

Nie może się przeciwstawić.

W końcu się zdecydował.

Zawrócił helikopter.

Pole manewrowe było coraz bliżej, a na nim czarne audi; uszczypnął się, aby odwrócić własną uwagę od wszystkich przeszkadzających mu doznań, od świdrującego poczucia niepokoju, które z każdą sekundą narastało i zmuszało go do ustawicznego pocierania czoła, ocierania się o oparcie siedzenia, pocierania gołej skóry, za koszulą, wszędzie, dosłownie wszędzie, bezsilność wywoływała ból, nie – swędzenie, świerzbienie, które nie ustawało i prowadziło do obłądu...

Dopiero kiedy zauważył krew, zrozumiał.

I przypomniał sobie dziwne samopoczucie z dzisiejszego ranka.

Które przypisywał lękowi.

A to wcale nie był strach.

Kiedy już zaczął się drapać, nie był w stanie przestać; ciało krzyczało, swędziało i rozpadało się na części, potrzebował obu rąk. Wokół niego za szybą kabiny wirowało powietrze, wskaźniki na panelu sterującym szalały, świat za oknem obracał się w błędnym tańcu, zamieniając się w rozmazane kreski, aż w końcu na wszystko było już za późno.

Helikopter runął na ziemię i zamienił się w morze płonącego paliwa i topniejącego szkła.

Sto metrów dalej stało czarne audi.

Zamknięci w nim ludzie czekali na nieuchronny los.

Dla Williama i Janine to była różnica jak między życiem a śmiercią.

To byłby widok jak z katalogu biura podróży, gdyby wydawano foldery reklamujące miejsca opuszczone przez wszystkich.

Mieszkańcy się wynieśli, podobnie jak ludzie na całym świecie spakowali swoje manatki, pozamykali się w swoich samochodach i ruszyli przed siebie, myśląc, że gdzie indziej będą bezpieczni.

Nazwa osady oznaczała po niemiecku „wzniesienie” i w gruncie rzeczy dobrze określała to miejsce. Grupka drewnianych domków przycupnęła po obu stronach krętej drogi pokrytej asfaltem, który toczył nierówną walkę z topniejącym śniegiem i zakończył ją kompromisem w postaci dziur i wybojów.

A w tle strzelały ostro ku niebu Alpy.

Za tym górskim krajobrazem, gdzieś po drugiej stronie, wznosił się zamek i rozciągało się alpejskie jezioro, i było wszystko to, przed czym na próżno próbowali uciec.

Dotarcie tutaj z placu manewrowego zajęło im godzinę.

Helikopter runął na ziemię jakieś sto metrów od nich. Nikt z nich nie wiedział dlaczego, ale można było się domyślić.

Potem wydostali się z czarnego audi i zostawili za sobą czarny dym buchający nad wrakiem śmigłowca. Pomogli sobie nawzajem rozerwać taśmę, którą mieli skrępowane ręce, i ruszyli przed siebie w milczeniu.

Byli głodni. Potrzebowali jedzenia, ciepła i snu.

Mieli nadzieję, że ta osada ich przyjmie, że ktoś w niej jest i im pomoże, ale gdy dotarli do pierwszych zabudowań, już wiedzieli.

Ani jednego samochodu. Furtki pozamykane. Okna ukryte za drewnianymi okiennicami, wszystko porzucone, bo ludzie zabrali ze sobą tylko najważniejsze rzeczy, pozostawiając opustoszałą wieś pełną wspomnień.

Szli powoli drogą między domami. Tablice na fasadach informowały, jaki rodzaj działalności prowadzono tu jeszcze niedawno. Sklepek wielobranżowy, fryzjer, senny butik z ubraniami, butami i sprzętem sportowym. Pukali do drzwi i naciskali klamki, ale nigdzie nikt im nie odpowiadał.

Zaczynało się ściemniać.

Wieczór był przeraźliwie zimny; to, co w dzień zamieniło się w glinę i wodę, teraz znowu chrzęściło im pod nogami.

Wrócił mróz. Musieli gdzieś spędzić noc.

W końcu wybrali dom, w którym drzwi były tak stare i zniszczone, że dostanie się do środka nie wymagało wyrządzenia większych szkód.

Umyli się pod bieżącą wodą w czyjejs łazience.

Oczyścili sobie drobne rany z zanieczyszczeń ręcznikami, które ktoś wyprał, wysuszył i poskładał, które pachniały obcym proszkiem, leżały w szafce i czekały, ale nie na nich, tylko na kogoś, kto być może już nigdy tu nie wróci.

W kuchni znaleźli kawę i konserwy. Jedli w ciszy. William siedział na dużej kanapie w pokoju dziennym, a Janine w fotelu obok, oboje z talerzami na kolanach, aby niczego nie upuścić, jakby byli grzecznymi gośćmi, którzy nie chcą nakruszyć ani nabrudzić, jakby mieli przed oczami postacie gospodarzy i chcieli ich przeprosić za to, że wtargnęli do ich domu.

W telewizorze na regale na wprost przed nimi przesuwały się obrazy.

Miast. Miasteczek. Wsi.

Ludzie w kombinezonach ochronnych, zwłoki rzucane na stosy i palone w gigantycznych ogniskach w desperackiej próbie powstrzymania epidemii.

Wszędzie.

– Ogień – powiedziała Janine.

William się nie odzywał.

Miała rację.

– Ogień kończy wszystko.

Jej ostatnich słów nie słyszał, bo wypowiedziała je tak cicho, jakby tylko westchnęła.

Ale nie musiał ich słyszeć. Wiedział, co miała na myśli.

Doszli do tego momentu.

Wielki i potężny ogień.

Tak brzmiał ostatni wers.

Pierwszy helikopter wylądował późno wieczorem, a reszta miała nadlecieć w ciągu nocy. Franquin będzie ścisnął dłoń prezydentom, premierom, ich współpracownikom i rodzinom. I chociaż wiedział, że wiele razy się zdziwi, to jednak nie spyta dlaczego.

Dlaczego akurat ci ludzie?

O to nie spyta.

Po prostu. Nie da się ocalić wszystkich, i ktoś musiał dokonać wyboru. W ten sposób przynajmniej przenieśli odpowiedzialność na kogoś innego.

Nie miało najmniejszego sensu roztrząsanie za i przeciw, nikt nie zasłużył na to, co się działo, a obiektywna ocena słuszności każdej decyzji i tak nie wydawała się możliwa. To była desperacka próba uratowania gatunku. I jednostki nie odgrywały tu żadnej roli.

Gigantyczny lotniskowiec miał pozostać na morzu tak długo, jak będzie to konieczne. Dopóki epidemia całkowicie nie wygaśnie; dopiero wtedy, nie wcześniej, spróbują wrócić na ląd.

Może się uda. To jedyna szansa.

Coś przecież musieli zrobić i zdecydowali się na taki plan. Franquin słyszał już, że załoga nazywa statek arką, a jemu przypuszczalnie nadano przydomek Noe. Nie bardzo mu się to podobało.

Nie dlatego, że porównanie było niewłaściwe.

Tylko dlatego, że było przerażająco prawdziwe.

Mijały godziny. Na pokładzie panowała atmosfera ogólnego przygnębienia, pojawiające się wciąż nowe twarze były zapłakane, blade, stężałe od lęku, nikt nie miał o nic pretensji, ale wdzięczności też nie okazywano.

Kiedy nadeszła noc, minęła pierwsza doba i można było odhaczyć wszystkie punkty dzisiejszego harmonogramu.

Z dwoma wyjątkami.

Ich własny helikopter zniknął z radaru.

I Connors nie odpowiadał na telefon.

Każde miejsce ma swoją własną ciszę.

Gdy nastąpiła noc i nie dawało się już słuchać kolejnych wiadomości, zaległa cisza innego rodzaju i zastąpiła poprzednią.

William rozpałił ogień w kominku nie dlatego, że było mu zimno, ale by usłyszeć trzaskanie płomieni. Pocieszeniem w tym wszystkim wydawało się to, że nie przestały działać siły natury – przynajmniej ogień, powietrze i siła przyciągania pełniły nadal swoje role i chociaż zniknęli ludzie, one pozostaną.

Siedzieli, wsłuchując się w ogień.

Życie dobiegało kresu, a oni mogli tylko siedzieć i czekać.

– Świętowałibyśmy naszą pierwszą rocznicę – powiedziała nieoczekiwanie.

Nie chciała o tym opowiadać, ale jej myśli powędrowały akurat w tamtą stronę. Wpatrzyła się w płomień i poczuła się odrobinę mniej samotna, gdy podzieliła się tym z Williamem.

Nic nie powiedział.

Ona jednak zaczęła opowiadać – o Albercie, o wspólnym życiu, jakie sobie zbudowali, o wieczorze w restauracji i o swojej wściekłości na niego, że się nie pojawił, o tym, jak bezsensowna teraz wydaje się ta jej wściekłość. O planach, jakie

mieli na przyszłość. O miejscach, w których chcieli mieszkać, o wakacjach, które zamierzali spędzić razem.

Przyszłość. To jedyne, o czym rozmawiali. Absolutnie przekonani, że jest i na nich czeka.

– A później mieliśmy zostać rodzicami.

Powiedziała to zupełnie zwyczajnie. Bez najmniejszego zamiaru wywołania współczucia.

William spojrział na nią ponad stołem.

W poprzek blatu leżała serweta robiona szydełkiem albo na drutach, albo jeszcze jakimś innym dziwnym sposobem, który trzymał wszystkie beżowe nici razem – robótka, która kiedyś była pewnie ważna dla kogoś, a teraz, gdy świat się zawalił, zostawiona tutaj, nic już nie znaczyła.

– Zamierzaliśmy dać mu imię po jakimś naukowcu albo odkrywcy – ciągnęła dalej. – Bo zawsze mówiliśmy o chłopcu. – Wzruszyła przepaszająco ramionami, jakby powiedziała coś, za co koniecznie powinna przeprosić. – Na przykład Aleksander po Bellu czy Izaak jak Newton albo Krzysztof jak Kolumb. No wiesz – chcieliśmy, żeby nosił imię kogoś, kto zmienił świat.

William słuchał w milczeniu.

W powietrzu unosiło się mnóstwo słów, które powinien był powiedzieć.

Słów wręcz stworzonych na taką sytuację. Być może wyświechtanych, bo często ich używano do pocieszania, no ale kto nie czeka na pocieszenie, kiedy wkoło panują tylko strach, niepewność i chaos?

Jednak William wciąż milczał. Odwrócił wzrok. Pokiwał głową.

Jeśli tego naprawdę chcesz, to pewnego dnia twoje marzenie się spełni.

To powinien być jej powiedzieć.

Masz wciąż ogromną szansę.

Ale zdawał sobie sprawę, że to byłoby kłamstwo.

A nie miał wątpliwości, że ona nie chce słuchać kłamstw.

Zatrzymał więc swe spojrzenie na ogniu, a potem zapatrzył się jeszcze dalej, gdzieś poza płomienie, aż wreszcie miał przed oczyma kobierzec rozmytych kolorów, które skrzyły się w takt migoczących płomieni.

Teraz milczeli we dwójkę.

W ciszy było ciepło, które wraz z żarem bijącym od kominka otulało ich oboje, wypełniało całe pomieszczenie spokojem.

I jego również.

W tym momencie uświadomił sobie, że takiego samego uczucia doznał tamtego wieczoru. Spokój, cisza, milczenie. Tylko nie zrozumiał, że to jest to.

Wtedy sprawiła to ciepła woda, która wypełniła wannę po brzegi, przelała się, czyniąc go nieważkim w swojej własnej łazience. To uczucie uwolniło go od

wszystkich myśli, które nie chciały ucichnąć w jego wnętrzu.

Teraz nie zawdzięczał tego wodzie, lecz ciepłu panującemu w pokoju. I teraz nie umierał.

Albo właściwie umierał.

Tylko że nie z własnej woli.

Po prostu siedział w ciszy.

I poczuł, że chyba już nie będzie lepszego momentu, aby to opowiedzieć.

– Adoptowaliśmy ją – odezwał się w końcu.

Siedzieli tak długo w milczeniu, że głos Williama podziałał niczym fala uderzeniowa, mimo że osiągnął poziom zaledwie szeptu. Janine spojrzała na niego. Widziała zarys jego twarzy lekko zaznaczony blaskiem ognia w ciemności.

Wiedziała od razu, co miał na myśli. Drażzył go smutek, o którym nie chciał mówić. Wszyscy powtarzali mu, że to nie jego wina, że nie mógł nic na to poradzić i że nie powinien obciążać się za to. A on nienawidził ich, że się tak wymądrzają. Wtedy nie chciał jej o tym opowiedzieć.

A teraz zamierzał to zrobić.

Mówił cicho, powoli, ze spojrzeniem gdzieś bardzo daleko.

Ale mówił.

– Ona była dla nas jak nasze własne dziecko, ale dla niej...

Zawahał się; chwila się przeciągała i trwała nie wiadomo jak długo, jednak Janine go nie ponaglała.

– Uważała, że ją oszukaliśmy – powiedział w końcu. – Jakbyśmy jednego dnia byli jej rodzicami i nagle się rozmyślili. Nie mogliśmy zrozumieć. Dla nas zupełnie nic się nie zmieniło, ona była częścią nas i nie istniało żadne przed ani potem, jednak dla niej... – Wzruszył ramionami. – Myślę, że to był początek końca.

Janine nadal nie reagowała.

– A później umarła – dodał.

Tylko tyle. Ani słowa więcej.

Ogień trzaskał w kominku, dodatkowo podkreślając głuchą ciszę.

– Jak? – spytała Janine.

– Nie odczytałem znaków – rzekł.

Westchnął ciężko.

Wszystko to, czego nigdy nie opowiedział, co zanadto bolało, by odważyć się choćby spróbować wyrzucić z siebie, to wszystko leżało gdzieś głęboko i czekało, wystarczyło otworzyć teraz usta.

Wstrzymał oddech. I wreszcie, wreszcie się zdecydował.

– Przestała się do nas odzywać. Wyprowadziła się z domu. Miała zaledwie szesnaście lat, kiedy opróżniła swój pokój i oznajmiła, że już nie wróci. W ogóle nie

kontaktowała się z nami. I nie tylko z nami. Stopniowo pozrywała kontakty także ze swoimi przyjaciółmi, którzy odzywali się do nas zaniepokojeni. My oczywiście też byliśmy zaniepokojeni. Ale może za mało?

To czysto retoryczne pytanie. William potrząsnął głową.

– Mówiliśmy sobie, że widocznie musiała to zrobić. Taką odczuwała potrzebę. Rozwijała się, dorastała. Chciała być niezależna, budowała własne życie, własną przyszłość, to przecież normalne, prawda?

Przeszedł do następnego wątku.

– A nie brakowało znaków. Tylko my ich nie odczytaliśmy.

– Jakich znaków?

– Zapowiadających to, co miało się wydarzyć.

Pokręcił głową. Kontynuował, rzucając krótkie zdania, pojedyncze słowa, jakby pisał telegram i miał zapłacić za każdą zbędną literę.

Kradzieże. Znikały im rzeczy z mieszkania. Pieniądze, różne przedmioty, najpierw drobiazgi, potem rzeczy coraz większe, które nie mogły się ulotnić ot tak; wiedzieli, że przychodziła do domu, lecz jak mieli jej tego zabronić, skoro niczego na świecie bardziej nie pragnęli niż tego, by do nich wróciła?

Pojawiała się, kiedy ich nie było. Spała w pokoju gościnnym, w swoim starym łóżku, jadła przy ich wspólnym stole, a w nich za każdym razem zapalała się nadzieja, że te jej wizyty są sygnałem, iż w głębi duszy ona nadal widzi swoje miejsce właśnie przy nich, z nimi, i że to tylko taka faza buńczucznej dumy, która wkrótce minie.

Ale nie minęła.

A z domu zaczęły znikać przedmioty coraz wartościowsze, i trudno było się już oszukiwać.

W końcu kiedyś zapomniała.

Zapomniała swoich rzeczy.

Przez cały weekend oboje byli za granicą, ona zaś siedziała w domu. I on, i Christina bardzo pragnęli, aby tak zostało. Spędziła u nich noc, zrobiła sobie kanapki z tym, co kupili specjalnie dla niej, ale kiedy wrócili, zniknęła. Może następnym razem, pomyśleli... Jak zwykle. Następnym razem zostanie.

A potem znaleźli tamto.

Było czyste, eleganckie i leżało przy jej łóżku. Czarne etui, jedno nieduże etui, które równie dobrze mogłoby być kosmetyczką, lecz w środku znajdowały się strzykawki i igły, a kiedy wreszcie zdali sobie sprawę, co widzą, wciąż stali jak wryci i nie wiedzieli, co mają zrobić.

Ona.

Ich córka.

Dlaczego?

Najważniejsze dla niego szczegóły nie były tak istotne dla Janine, więc je pominął.

Jak czekali w ciemności.

Czekali, że znowu przyjdzie. Zamknęli drzwi na oba zamki, pogasili wszystkie lampy i przestawili samochód, żeby myślała, że ich nie ma.

I jakim obrzuciła ich spojrzeniem, kiedy weszła do środka i zobaczyła, że siedzą i na nią czekają. Spojrzeniem pełnym pogardy, żalu, a jednocześnie tęsknoty za wybaczeniem. I jak jej grozili i przemawiali do rozsądku, jak z hukiem trzasnęły drzwi i jak nie zdali sobie sprawy, że kiedy wypadła na klatkę schodową, a potem jej kroki odbijały się echem na schodach i z głuchym łoskotem zamknęły się na dole drzwi wejściowe, zmieniło się wszystko i nigdy nic nie będzie już takie samo.

Zamontowali w wejściu do mieszkania wewnętrzną kratę. Aby chronić się przed własną córką. To było przerażające, bolało, ale w głębi ducha oboje uważali, że mają rację.

Jednak krata okazała się zbędna.

Bo ona nigdy nie wróciła.

Znaleźli ją w toalecie w pociągu – ich własna córka na podłodze toalety w pociągu. Oczywiście w wagonie pierwszej klasy – demonstracja nie mogła być wyraźniejsza. Kłamstwo tuż pod skórą, zdawała się mówić, na przekór czasowi, miejscu i życiu. Tak to wyglądało. Posępność, samotność i całe to ohydztwo, a wkoło lśniące ściany, kawa gratis i wieczorne gazety. To usiłowała im powiedzieć bez słów. Tyle zostało z mojego życia.

Leżała na posadzce w pozycji embrionalnej. Dłonie pod głową, włosy rozrzucone wokół ramion, oba kolana podciągnięte mocno do brzucha, dokładanie tak jak zawsze sypiała. I w jego marzeniach właśnie tylko spała – na brudnej i mokrej podłodze pełnej śladów stóp spała, ale zaraz ją obudzą i uratują, a potem obejmie go mocno, tak żeby nie mógł się ruszyć, jak robiła kiedyś, gdy budził ją przed wyjściem do pracy. Wtedy uśmiechała się promiennie w swojej świeżej pościeli i pizamie w kwiatki.

Lecz ona nie spała. Nie dała się obudzić ani uratować, leżała w pozycji embrionalnej, bo tak skończyła swoje życie, miała narkotyki we krwi i jej organizm nie wytrzymał. Mimo to wziął ją w ramiona, objął mocno i rozpaczliwie, i teraz to on nie chciał jej puścić; policjanci stali tuż obok, ona zaś nie odpowiadała na jego uścisk, i w tamtym momencie on też przestał żyć.

Nie wyjawił wszystkiego, wiele pominął, lecz wreszcie opowiedział i zrobił to bez emocji; mówił rzeczowym i chłodnym tonem, jakby nie chciał się już w nic angażować. Kiedy skończył, na kilka długich chwil zaległa cisza.

– Nie odczytałem znaków – powtórzył znowu.

– A uważasz, że powinieneś?

Wzruszył ramionami.

– Bo to jest twój zawód?

– Nie. Bo ona była moją córką.

Po prostu.

– Nie widziałem, nie odczytałem właściwie, nie zinterpretowałem znaków. A przecież to mój obowiązek. Bo jeśli nie ja, to kto miał to zrobić? Jeżeli teraz istnieje przyszłość, a ja mam wszystko co trzeba, żeby powstrzymać to, co się dzieje, i nic nie widzę? To kto to zrobi?

Janine spojrzała na niego.

Wyraźnie obciążał i karał siebie jednocześnie za Sarę i za kody, jakby jedno mogło powstrzymać drugie i jakby śmierć Sary i śmierć Christiny przestały być faktem, gdyby tylko jemu udało się znaleźć klucz. Klucz, którego nikt nie zdołał znaleźć przez pięćdziesiąt lat. I jakby przeszłość zależała od tego, co dzieje się teraz.

Powiedziała mu to, ale on nie zareagował.

– To nie był twój obowiązek. Nie możesz tak na to patrzeć.

Ledwie wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć. Ani kiedyś, ani teraz. Jedno prowadzi do drugiego i wszystko się ze sobą łączy – ciągnęła dalej. – I nic nie zaczyna się i nie kończy wyłącznie na tobie.

Może. Ale mimo wszystko się nie odezwał.

Powiedział już, co chciał powiedzieć, i znowu utkwiał wzrok w płomieniach. To, czego nie wyjawiał, pozostanie tajemnicą.

Znów zaległa cisza.

– Jakie miałeś plany? – Janine spytała po chwili.

Skierował na nią spojrzenie.

– Gdybyś się tutaj nie znalazł? Gdyby nie wybuchła epidemia? Co byś zrobił ze swoim życiem?

Uniósł ramiona w bezradnym geście i przygryzł dolną wargę. W końcu się odezwał:

– Nie widziałem dla siebie miejsca w przyszłości.

Janine pokiwała głową.

Trudno było coś do tego dodać.

On przymknął powieki i zniżając głos, dodał:

– Teraz mogę tego tylko żałować.

Przeniosła się na sofę. Oparła się o niego i w takiej pozycji siedzieli w milczeniu, dopóki ogień nie zamienił się w żar. On otoczył ją ramieniem, a ona położyła rękę na kolanach.

I tak zasnęli. Blisko siebie, na kanapie pachnącej czyimś domem. Pozbawieni

ciepła, bezpieczeństwa i przyszłości nie mogli zrobić nic lepszego.

Obudził ich warkot samochodu.

Usłyszeli go jednocześnie. Przyzwyczaili się już do ciszy, którą od czasu do czasu urozmaicał tylko cichy wiatr i pojedynczy szczebiot ptaków w oddali, gdy znajdowały coś do jedzenia, zupełnie nieświadome tego wszystkiego, co dzieje się wokół nich.

I w środku tej ciszy rozległ się nagle jakiś nowy ton. Przytłumiony odgłos samochodowego silnika, który na niskim biegu, ale na coraz większym gazie wjeżdżał na szczyt wzniesienia. Słyszeli go, lecz siedzieli nadal nieruchomo, przytuleni, tak jak zasnęli; spojrzeli tylko na siebie i czekali. Samochód zbliżał się coraz bardziej.

Ktoś przyjechał. W zupełnie opustoszałej i porzuconej osadzie nagle znalazł się ktoś, kto może szuka właśnie ich.

A oni są bez broni.

Nie mają niczego, co pomogłoby im stawić opór.

Nic nie mówiąc, wstali, ostrożnie podeszli do okna, przygotowani na najgorsze.

Domów do przeszukania była zaledwie garstka. A w kominku wciąż jeszcze tlił się żar, więc być może z komina unosił się dym.

Udało im się uciec więcej razy, niż mogli się spodziewać, ale tutaj nie mieli żadnych szans.

Widzieli zbliżające się światła, snop jasności rozlewał się wzdłuż drogi.

Janine zobaczyła to pierwsza.

Jej krzyk zaskoczył ją samą.

Znali kierunek, ale nie znali celu.

Mimo to powtarzali sobie, że wystarczy, żeby się tylko tam znaleźli. Bo jak już tam dotrą, to dowiedzą się, gdzie mają szukać. I rzeczywiście *tam* dotarli, ale nie do *celu*. Dojechali najdalej, jak się dało. Jednak gdy człowiek w ogóle nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, to połowiczna orientacja w niczym nie pomoże.

Liechtenstein.

Tyle wiedzieli.

Właśnie w nim są.

Ale co dalej?

William Sandberg próbował dodzwonić się dwukrotnie do Christiny ze swojego

telefonu – za pierwszym razem ona sama odrzuciła połączenie, a za drugim – nastąpiło przekierowanie na pocztę głosową. Zanim aparat został całkowicie wyłączony, minęła mniej więcej godzina, a potem zniknął po nim wszelki ślad.

W ciągu tej godziny sygnał z telefonu został zarejestrowany przez trzy maszty. Wszystkie stały w Liechtensteinie. W odległości kilku kilometrów od siebie.

A teraz, kiedy już się tutaj znaleźli, mieli do przeszukania powierzchnię z pewnością ograniczonych rozmiarów, ale mimo wszystko nie do ogarnięcia. To tak jakby szukać kawałka igły w wielu stogach siana. Żaden z nich nie ośmielił się powiedzieć tego na głos, jednak obaj już stracili nadzieję.

To Leo zauważył tablicę.

Oczywiście nie wiedzieli, co im to da, ale musieli spróbować.

I tak nie mieli pojęcia co dalej.

A nazwa była taka sama, więc dlaczego by nie.

Przecież coś musieli zrobić.

Zjechali z głównej szosy wczesnym świtem, tłukli się krętymi bocznymi drogami usianymi mnóstwem dziur po corocznych pozimowych roztopach, aż na końcu jednej z nich ukazało się niewielkie skupisko drewnianych domków o stromych dachach.

Nazwa na tablicy drogowej.

GPS w telefonie Williama miał ją w swoich współrzędnych.

To była niemiecka nazwa wzgórza.

Pierwsze, co usłyszeli, to krzyk.

Wystraszył ich, lecz nie tak bardzo jak widok kobiety pędzącej w świetle reflektorów i wymachującej rękami.

Najpierw pomyśleli, że pewnie jest zarażona, potrzebuje pomocy i krzyczy, bo chce, by ją uratowano. Albert zahamował, obejrzał się do tyłu i wrzucił wsteczny bieg: jeśli ona jest chora, to i tak nie są w stanie nic dla niej zrobić, mogą tylko uniknąć z nią kontaktu. Szukał miejsca, żeby zawrócić; rozglądał się nerwowo, czy w pobliżu nie ma więcej ludzi, śmiertelnie przerażony, że nie daj Boże, ich otoczą, zanim on zdąży się wycofać i wyjechać stąd jak najdalej.

I wtedy usłyszał, jak woła jego imię.

Spojrzał teraz do przodu.

I zobaczył.

Albert van Dijk nawet nie wyłączył silnika.

Otworzył drzwi.

Wysiadł.

Chociaż wydawało się to niemożliwe, właśnie dotarli do celu.

Mieli jedynie dwie rzeczy do załatwienia, a mimo to niełatwo było ustalić kolejność.

Przekazanie materiałów.

I nadrobienie siedmiu miesięcy straconej miłości.

Janine i Albert trzymali się w objęciach – ona żyje i jest zdrowa, a on dostał jej list, odszyfrował go i ją odszukał. To było jedyne, co się dla nich liczyło. Nic poza tym nie miało znaczenia.

Stali w świetle poranka przed samochodem.

Na pustej drodze byli tylko oni, a kiedy wybuchnęli płaczem, nie wiedzieli dlaczego – pewnie dopiero teraz znalazły ujście lęk i tęsknota, które musieli tłumić w sobie przez ponad pół roku.

Płakali też z ulgi i ze szczęścia. Ich wzruszenie było piękne i prawdziwe. Zasługiwali na trochę czasu wyłącznie dla siebie.

Nie dało się na nich patrzeć.

Ich widok wywoływał ból.

Ból, że tylko im dane jest przeżywać coś takiego.

Bolało Williama, bo przecież w tym samochodzie mogła siedzieć jeszcze jedna osoba, powinna w nim być, ale stało się inaczej.

Zabolało też Leo, kiedy ujrzał na schodkach przed domem tego samego mężczyznę, który pokazał się w jego telefonie zaledwie kilka dni wcześniej, tyle że teraz wyglądał na starszego, bardziej przybitego i wycieńczonego. Widział, jak William z daleka przygląda się powitaniu, które powinno być też jego udziałem.

Leo wiedział, że lepiej będzie to przerwać.

– Albert – rzucił.

Albert od razu się domyślił. Przytulił Janine mocniej do siebie, głęboko wdychając jej zapach, jakby miał mu dać dość siły, by mógł zacząć teraz mówić o czym innym. Skinął głową w kierunku Leo. Tak, wiem.

– Przepraszam – powiedział.

Choć tak naprawdę nie miał za co.

Albert odchrząknął.

– Mamy ze sobą kopertę.

Powiedział to delikatnie i miękko, jakby wyznawał miłość kobiecie, którą właśnie obejmował – kierował swe słowa zarówno do Janine, jak i do Williama.

– Co za kopertę? – spytała, nie bardzo rozumiejąc.

– Nie wiem – rzekł. – Ale oni byli gotowi nas zabić, byle tylko ją odzyskać.

W tym momencie nastął koniec ciszy.

Magia prysła. Miłość musiała poczekać, teraz są ważniejsze rzeczy do powiedzenia. William szedł ze schodków i zbliżył się do pary. Z ust wszystkich płynęły wartkie potoki słów i wyjaśnień.

Leo pojechał z Christiną do Amsterdamu. Był tam, kiedy ona zginęła. Janine i William widzieli to samo, ale na monitorach w zamku, do którego zostali uprowadzeni przez pewną organizację i gdzie mieli odkodować teksty i powstrzymać epidemię, lecz teraz jest już za późno.

Albert i Leo rzucili jednocześnie to samo:

– Może nie.

Następnie opowiedzieli o smutnym mężczyźnie z Berlina, o facetach, którzy nie spuszczali go z oka, ponieważ uważali, że mógł mieć dostęp do rozwiązania, do *odpowiedzi*. W momencie gdy padło to słowo, wszystkim jeszcze bardziej skoczył puls. William przerwał im i zaczął zadawać pytania, na które i tak uzyskałby odpowiedzi, gdyby tylko chwilę poczekał. Jednak on chciał je znać już. Do jakiego rozwiązania? Dlaczego tamci faceci tak sądzili? I dlaczego ono miało się znajdować akurat w Berlinie?

Leo pokręcił głową.

A to, co po chwili powiedział, znaczyło więcej niż cokolwiek innego.

– Wiemy jedynie tyle, że to rozwiązanie pochodziło od niejakiej Heleny Watkins.

Serce Williama waliło tak mocno, że poważnie się zaniepokoił, czy zdąży otworzyć kopertę, zanim dostanie zawału.

Oddychał gwałtownie, jednocześnie robiąc sobie miejsce na stole w pozbawionym okien saloniku przy pokoju dziennym – zsunął serwetki, świece i inne ozdoby na jeden koniec blatu, po czym położył żółtą kopertę przed sobą.

Janine stała obok niego. Leo i Albert krok z tyłu.

Rozwiązanie. To mogło oznaczać tylko jedno.

A mianowicie, że Helena Watkins dotarła do miejsca, do którego jemu nie udało się dojść, i że z jakiegoś powodu wysłała rezultat swoich ustaleń w świat – być może dlatego, że nie ufała Organizacji albo też istniała inna przyczyna. Nie sposób tego teraz ustalić, a poza tym nie miało to już żadnego znaczenia.

Wysłała, aby świat się dowiedział.

Ale posłaniec umarł, jej mąż natomiast za bardzo się bał, a teraz ten tak ważny materiał okreśną drogą dotarł do Williama i był w jego rękach, które trzęsły się, gdy otwierały kopertę. Oczywiście byłoby znacznie lepiej, gdyby dało się upublicznić to rozwiązanie w mediach albo w Internecie, jednak na razie znajduje się tutaj, co też należało uznać za dobrą opcję.

Rozłożył przed sobą na stole papiery. Na wytartym blacie, na którym jeszcze nie tak dawno jadano kolacje i popijano wino.

William pochylił się nad kartkami i powiódł po nich wzrokiem. Zaczął je przerzucać, czując rozgorączkowanie. Pragnął jak najszybciej się dowiedzieć, co przeoczył, w którym miejscu; szukał i nie mógł się doczekać.

Strona po stronie.

Kody. Rozpoznawał je.

I teksty. Teksty Janine. Dokładnie te same.

Strony pełne wyliczeń, działań matematycznych, równań z niewiadomymi; jego oczy prześlizgiwały się między nimi niczym pędzący do mety narciarz w slalomie alpejskim, zygzakami pokonywały kolumnę za kolumną i wreszcie dotarły do końca.

William wstrzymał oddech.

Chyba znowu coś przegapił.

Chyba tkwi tu coś, co powinien był zauważyć, co kryje się wśród wszystkich tych zapisów, ale okazał się zbyt rozgorączkowany, aby to dostrzec, więc przekartkował cały materiał powtórnie w poszukiwaniu detalu, który przeoczył za pierwszym razem.

I znowu.

I jeszcze raz.

I kolejny, strona za stroną; wytężył wzrok, starał się maksymalnie skoncentrować na każdej kartce.

Desperację zdradzały także jego dłonie.

Tempo stawało się coraz intensywniejsze, oddychał gwałtownie, przerzucając papiery. Oczy szukały jakiegoś szczególnego zapisu albo może jednej jedynej cyfry, której nie rozpoznał, czy też notatki, której brakowało, czegoś, co powinno tam być, ale nie było.

Wstrzymał oddech. Czytał i czytał, aż wreszcie spostrzegł, że brakuje mu powietrza w płucach. Zaczerpnął nową porcję i znowu nie oddychając, czytał dalej.

Od nowa.

Cholera.

Jeszcze raz.

I powoli zaczynał rozumieć.

– Czego ty szukasz?

To był głos Janine.

– *Czegoś* – odparł. Sfrustrowany, tonem, który mógł wskazywać tylko jedno.

Czegokolwiek. Szukał czegokolwiek, naprawdę czegokolwiek, ale nic nie znalazł.

– A co to ma być?

Podniósł na nią wzrok.

Janine dopiero teraz zobaczyła jego oczy.

Oczy, które jeszcze przed chwilą tryskały energią i gorączkowo wypatrywały celu, w których odbijała się niepowstrzymana ciekawość, co znajdzie w kopercie.

A teraz zniknęło z nich wszystko – nadzieja, siła i iskra życia. Pozostali patrzyli na niego, on westchnął ciężko, cofnął ręce ze stołu i opuścił je bezwładnie wzdłuż ciała. Część papierów spadła przy tym na podłogę, ale on nie zwracał już na nie uwagi.

Pokręcił głową.

– To jest dokładnie to samo.

William stał z papierami przed sobą. Uszła z niego wszelka nadzieja i wydawał się zupełnie pusty, kiedy patrzył na nich po kolei. Tak pusty, że aż przejrzysty. Tak pusty, że wręcz można było zadać sobie pytania, czy składa się z samej skóry i jak długo ona wytrzyma, i czy on nie przestanie istnieć, jeśli ona się podda.

To był dokładnie ten sam materiał.

Papiery w kopercie. Identyczne.

Identyczne jak te, które miał w swoim pokoju do pracy w zamku, które udało im się stamtąd wynieść, a potem wróciły tam znowu, które dzień za dniem analizował, interpretował, próbował zrozumieć. Te same wyliczenia widział w jej materiale. Te same strzałki, równania, logiczne wywody – znał je i nie miał wątpliwości, że są błędne.

Zupełnie nic nowego. A Albert i Leo byli przekonani, że przywieźli ze sobą rozwiązanie. Myśleli, że je znaleźli.

A to okazała się tylko kopia znanych pytań.

I to wszystko.

– Po co? – spytała Janine tak cicho, że chyba nawet ona sama siebie nie słyszała. – Po co miałyby wysłać coś takiego?

William wzruszył bezradnie ramionami.

Nie sposób tego wiedzieć.

Może sądziła, że ma rację, że to właściwa odpowiedź i że jej wyliczenia rozwiążą wszystkie problemy, jeśli tylko ujrzą światło dzienne odpowiednio szybko. Kto wie. To ironia, że również ona musiała umrzeć, niewykluczone, że uśmiercona przez wirus, do którego powstania sama doprowadziła w przekonaniu, że okaże się skuteczny.

Albo doszła do tego wniosku co oni.

Widząc, co się zbliża, stwierdziła, że samodzielnie nie upora się z tą zagadką, i uznała, że jedyna nadzieja na powodzenie to ujawnienie tajemnicy.

Przecież oni próbowali zrobić to samo.

Więc dlaczego i ona miałyby nie wpaść na taki pomysł?

Dokumenty zatoczyły koło: wyszły z zamku, dotarły do Berlina i ponownie trafiły tutaj. Tymczasem wszędzie ludzie składali w ofierze swe życie, walczyli, mimo że Organizacja za wszelką cenę nie chciała dopuścić do tego, by świat poznał sekret. A teraz koperta znalazła się u stóp góry, gdzie wszystko kiedyś się zaczęło.

Trudno o większą ironię.

Jakby życie postanowiło zaśmiać się Williamowi Sandbergowi jeszcze raz prosto w twarz i jakby chciało powiedzieć, że nie poprzestanie, dopóki wszystko się nie skończy.

Ironia kryła się też w tym, że ocalenie okazało się zaprzeczeniem ocalenia.

Że Helena Watkins była tak pochłonięta powstrzymaniem wirusa, iż wysłała jako swojego posłańca zarażonego mężczyznę, który uruchomił cały proces.

Ironia tkwiła również w tym, że to wszystko było zapisane z góry w DNA każdego człowieka.

Powiedział tylko tyle. William.

Nic więcej. Ale nie musiał więcej.

Wszyscy myśleli podobnie, każde z nich widziało, że ostatnia iskra nadziei zgasła – nie, należy zacząć od tego, że ona tak naprawdę nigdy się nie zapaliła. To było tylko ich pobożne życzenie. A to nie wystarczało.

Nadzieja zniknęła.

Nikt tego nie wymówił na głos, ale każdy wiedział.

W końcu William obrócił się na pięcie i wyszedł.

Helena Watkins zdawała sobie sprawę, że umrze.

Leżała w szklanej skrzyni i czuła, jak powoli wycieka z niej życie. Jednak w pewnym sensie była wdzięczna.

Znajdowała się z dala od tych smutnych rzędów łóżek, gdzie nie działo się nic poza tym, że mężczyźni i kobiety stopniowo wykrwawiali się na śmierć.

Traktowali ją najlepiej jak to możliwe, łagodźli jej cierpienie z nieporównanie większym zaangażowaniem niż w przypadku innych, spowalniaли postęp choroby, na ile się tylko dało. Ona jednak była świadoma, że to i tak nic nie zmieni. Że to jedynie odsuwanie w czasie nieuchronnego.

I wiedziała, że to ona popełniła błąd.

Była jednak przekonana, że on jest zdrowy. Przecież wszystko na to wskazywało, a skoro on czuł się dobrze, to znaczy, że osiągnęła cel, jednak oni chcieli na wszelki

wypadek jeszcze czekać, a ona nie. Znalazła rozwiązanie. Rozwiązanie, które powinno być upublicznione, zanim cokolwiek się wydarzy, udostępnione biologom molekularnym, badaczom i instytucjom na całym świecie, wszystkim, którzy to zrozumieją i będą mogli opracować właściwy wirus, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

Gdzieś tam, poza zamkiem, istniał świat, który czekał na ocalenie.

I żył w nim mężczyzna przekonany o tym, że stracił żonę.

Helena Watkins uważała za swój obowiązek wszystko naprawić. Naprawdę tak na to patrzyła. I kiedy tamten bezdomny mężczyzna zniknął z formułami i kopertą oraz z kilkoma krótkimi zdaniem skierowanymi do pewnego profesora, którego ona sama nie знаła, a który miał chyba na imię Albert, informującymi, że jego narzeczona żyje i ma się dobrze, tylko tyle, wtedy poczuła w głębi duszy, że od tej pory będzie już tylko lepiej.

Tymczasem właśnie wtedy się zaczęło.

I to za jej sprawą.

Ocknęła się, bo ktoś wszedł do środka. Za szybą oddzielającą ją od jej prywatnego uniwersum stała kobieta, którą tu sprowadzili, ta, która miała przetłumaczyć znaki.

Janine. Była zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej, mimo to nieosiągalna, a z nią stał obcy mężczyzna, który nie mógł być nikim innym tylko jej następcą.

Chciała powiedzieć tysiące rzeczy, lecz nie starczało jej na to sił.

Już raz próbowała, ale Janine nie rozumiała, co ona do niej mówi, bała się, a jeszcze bardziej przerażona wydawała się teraz. Tymczasem Helene chciała ich jedynie ostrzec.

Przed wirusem. Przed kodem. I przed tym, że na wszystko jest już za późno.

Że projekt, którego nikt nie nazywał Arką Noego, był bliski uruchomienia.

Że nikt już nie wierzył w możliwość zatrzymania epidemii.

Że za chwilę nie będzie chodziło o ocalenie świata. Ale o wybranie grupy dla stworzenia nowego.

To wszystko chciała im powiedzieć.

Jednak usta odmawiały jej już posłuszeństwa, język miała opuchnięty i czuła posmak krwi.

Jedynе słowo, jakie wycedziła przez zęby, brzmiało: *uciekaj*.

I wtedy zobaczyła, jak za Janine gwałtownie otwierają się drzwi i ochroniarze w szczelnych uniformach kierują w nich oboje broń. Pomyślała sobie, że może oni właśnie próbowali uciekać, a ona stała się świadkiem udaremnienia tej próby.

Szybko zrozumiała, co to znaczy.

To znaczy, że nie ma już nadziei.

Z tą myślą przestała oddychać.

Kiedy Franquin wezwał do siebie Rodrigueza po raz pierwszy, minęło dwanaście godzin od chwili, gdy Connors dał znak życia, a potem zamilkł.

Franquin poinformował Rodrigueza o sytuacji, bo tak przewidywały procedury, a nie widział powodu, by ich nie przestrzegać. Po upływie dwudziestu czterech godzin odbyli drugie spotkanie, a gdy teraz do stalowych drzwi kajuty Franquina znowu ktoś zapukał, nie było wątpliwości, o co chodzi.

– Trzydzieści sześć godzin – oznajmił Rodriguez.

Franquin potaknął. Doskonale wiedział.

– Chcesz, żebym ja to zrobił? – spytał Rodriguez, na co Franquin pokręcił głową. To jego obowiązek.

Martwiło go jedynie, że nie do końca kontroluje sytuację. Wszystko wskazywało na to, że Connors nie wszedł na pokład śmigłowca. Pilot odmówił wykonania rozkazu – albo w helikopterze doszło do awarii aparatury komunikacyjnej, czego nie sposób było ustalić – a potem stracili z nim wszelki kontakt, co sugerowało, że się rozbił.

Gdyby Connors znajdował się na jego pokładzie, istniałyby dwa prawdopodobne wytłumaczenia.

Albo się rozbili, albo wspólnie postanowili opuścić Organizację i porwać śmigłowiec.

Jednak to nie wchodziło w rachubę, bo Connors nie pojawił się na platformie startowej. A to – niezależnie od tego, czy helikopter się rozbił, czy jego pilot wolał wybrać śmierć, niż schronić się na statku – nie wyjaśniało, gdzie podział się Connors.

A to on był odpowiedzialny za bezpieczne przechowanie danych.

Ale jeśli zginął, również w takiej sytuacji były przewidziane stosowne procedury.

– Daj mi trzech ludzi – powiedział Franquin. – Ruszymy najszybciej jak się da.

Rodriguez skinął głową.

Zostawił Franquina przy blaszanym stole pośrodku kajuty.

Myślał, że już nigdy nie zobaczy zamku.

Tymczasem miał do niego wrócić po zaledwie dwóch dobach.

William stał na końcu drogi biegnącej przez osadę.

Patrzył w dół wzniesienia, na wzgórkę zmarzniętej trawy rozciągające się aż po

dolinę, te same, po których on i Janine szli na piechotę zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu.

Leo zobaczył go z daleka. Wyszedł z domu, śledził Williama wzrokiem, czując, że musi. Nie – że chce. Chce sprawdzić, jak on się czuje, przekonać się, czy nie trzeba wesprzeć go słowem albo czy nie da się czegoś zrobić, aby mu pomóc.

Ostatecznie to on był powodem, że Leo w ogóle znalazł się tutaj. On był tym mężczyzną, którego ona szukała, a Leo ją w tym wspierał. I oto teraz William stoi pośrodku drogi, ze zwieszonymi ramionami, powłoka cielesna człowieka niewidzącego przyszłości i złamanego.

Leo podszedł bliżej. Powolnym krokiem po zmarzniętej ziemi. Zatrzymał się, kiedy się z nim zrównał, ale nie tuż przy nim, tylko przy rowie po drugiej stronie drogi, aby dać mu do zrozumienia, że nie chce się narzucać.

– Zdaję sobie sprawę, że pana nie znam – odezwał się w końcu.

William odwrócił głowę w jego stronę. Obrzucił go ostrym spojrzeniem, aby zniechęcić do tego, co zamierzał.

– Nie wiem, co pan chce mi powiedzieć – rzekł – ale proszę tego nie robić.

Tylko tyle. Wycedził te słowa grobowym głosem przez zęby; można było odnieść wrażenie, że właśnie tylko mięśnie szczęki powstrzymały go przed chwyceniem Leo i zrobieniem czegoś głupiego.

Leo zawahał się. Ważył w głowie każde swoje słowo.

– Mimo wszystko bardzo chciałbym coś powiedzieć – zdecydował się. Zaraz jednak utknął i nagle doszedł do wniosku, że nie do końca wie, dokąd zmierza.

Nastąpiła chwila milczenia. Następnie podjął kolejną próbę.

– Wiem, że nie przeszedłem przez to wszystko co pan. Wiem, że nie potrafię – jak to się mówi? – sobie wyobrazić, co pan przeżył. – Przemawiał do profilu Williama. Mimo to nie tracił nadziei, że on go słucha. – I wiem, że nie jestem odpowiednią osobą, żeby panu mówić, jakim pan jest człowiekiem. Ale jednak powiem. – Po krótkiej pauzie dokończył: – Pan nie jest z tych, co się poddają.

William zareagował – spojrzał na Leo, a odgłos, jaki dobył się z jego ust, nawet przy dobrej woli trudno byłoby określić zaczerpnięciem powietrza. William prychnął na niego. I wcale nie próbował tego ukryć.

– A co pan może o tym wiedzieć?

– Taką informację uzyskałem.

Co takiego?

No nie. William bardzo szybko zrozumiał, co tamten ma na myśli, i wtedy porządnie nim szarpnęło, mocno i niespodziewanie, i znacznie brutalniej, niż sobie na to zasłużył. Christina rozmawiała o nim, oczywiście, że tak, a teraz ten żółtodziób stoi tu dwa metry od niego i jest przekonany, że wie, kim on jest.

– Uważam, że powinien pan być powtórnie sprawdzić swoje źródło informacji –

rzekł William. Czuł, jak wciąż mówi przez zęby, aby powstrzymać emocje. – Jestem wręcz mistrzem w poddawaniu się.

Przerwał na chwilę, po czym skończył niższym głosem.

– A jeśli ona twierdziła co innego, to tylko dlatego, że chciała, aby tak było.

Skierował spojrzenie z powrotem na dolinę.

Zaklął w głębi ducha, bo to przecież nie wina tego chłopaka, że on się tutaj znalazł, a już na pewno nie może obciążać go za to, że jego własne uczucia znowu wypychają go w przepaść. Ten dzieciak tylko szuka z nim kontaktu i chce dobrze.

Pozwolił sobie mieć nadzieję, i na tym polega cały błąd.

– Dotarliśmy do kresu drogi – powiedział William. – Ona już nigdzie nas nie zaprowadzi. I nic nie zmieni fakt, że nadciągnęliście z tą masą papierów, które nic nie znaczą.

Westchnął. Takie są realia. Znalazł się z powrotem na szlaku numer jeden, nie, szlak numer jeden przyszedł tu *do* niego z żółtą kopertą – najpierw dotarł do Berlina, a potem wrócił.

– Nie wysilaj się, Leo. To koniec. Nie ma sensu.

Przez chwilę panowała cisza.

– Nie wierzę w to – oznajmił Leo.

W rzuconym z ukosa spojrzeniu Williama była wyłącznie pogarda.

– W co?

– Że nie ma sensu.

William nic nie powiedział.

– Uważam, że wręcz przeciwnie. Myślę, że *jest* sens. Przyjechaliśmy tu z tymi papierami właśnie po to, żeby pan się nie poddał, tylko jeszcze raz spróbował. Jedynie o to chodziło. I nie ma w tym żadnej ironii, ale szansa. Szansa dla pana. Dostał pan szansę, bo się panu należała.

To samo spojrzenie z ukosa.

Kolejna porcja pogardy.

– Należała?

– Tak.

Pokręcił głową.

– Nic nie ma sensu, Leo.

Wypluł z siebie to zdanie, jakby słowo „sens” było ciężkim przekleństwem, jakby kryjąca się w nim treść tak bardzo raniła go osobiście, że nie życzył sobie, aby kiedykolwiek jeszcze wypowiedano je przy nim.

– Moja żona nie żyje, a ty widziałeś, jak to się stało. Gdzie tu sens? Ja byłem setki kilometrów stamtąd i widziałem to samo na ekranie. Gdzie tu sens? Ludzie umierają na całej ziemi, nikt nie wie, jak powstrzymać tę tragedię, a ty próbujesz mi powiedzieć, że to ma sens?

Wrzeszczał.

To nie było sprawiedliwe. Przecież to nie wina Leo, ale William nie potrafił zdobyć się na sprawiedliwość. Nie mógł znieść tych okrągłych zdań, które nic nie znaczą, nie trawił już ludzi, którzy pocieszali i dywagowali, że to wszystko być może służy jakiemuś wyższemu celowi.

Życie jest za krótkie na takie frazesy.

Za krótkie na to, aby zadowolić się twierdzeniem, że tak było pisane i zarządzane przez kogoś innego, kto wie lepiej. A jeśli bywa nam ciężko w życiu, to tylko dlatego, że nie rozumiemy, iż te przeciwności są właściwie czymś dobrym.

Że nie da się wygrać z przeznaczeniem. Że co ma się stać, to się stanie i nie da się na to nic poradzić.

Głupie gadanie.

I właśnie to powiedział do Leo.

– To ty decydujesz o tym, co robisz – rzekł. – Ja decyduję o tym, co ja robię. I jeśli mamy trochę szczęścia, to wychodzi z tego coś dobrego, a jeśli nam się nie wiedzie, wszystko można wyrzucić do śmieci. Ale jeżeli pojawia się tutaj i zdejmujesz z siebie odpowiedzialność, mówiąc, że przyszłość jest jaka jest...

Zamilkł. Nie dokończył zdania. Pokręcił głową.

Po chwili zaczął od nowa. Nieco spokojniejszym tonem.

– Christina nie zginęła dlatego, że tak się miało wydarzyć. Umarła, ponieważ mnóstwo ludzi podjęło masę decyzji, które do tego doprowadziły.

Przerwał znowu. A potem dodał:

– A ty przyjechałeś tutaj z tymi papierami też nie z tego powodu, że ktoś czy coś tak to zrządziło. Sens nie istnieje. Jeśli jednak chcesz wierzyć, że przyszłość jest z góry określona – bardzo proszę. Ale to nieprawda. Przyszłość jest jaka jest.

Zaległa cisza. Na długo. Wreszcie Leo spojrzął na niego.

Zaczerpnął głęboko powietrza i najpierw powiedział sobie w duchu to, co zamierzał oznajmić na głos.

Chciał, aby jego wypowiedź była płynna, nieprzerywana jękami się, żeby nie musiał się zatrzymywać ani zaczynać od początku. Pragnął, aby jego słowa nabrały wagi, na jaką zasługują.

– W takim razie – odezwał się wreszcie. Zrobił pauzę, ale dokładnie taką, jaką zaplanował. Oczy pełne skupienia wbił w Williama. – W takim razie nie rozumiem, dlaczego pan tu stoi.

William podniósł na niego wzrok.

Leo tkwił w miejscu nieporuszony.

Po chwili dokończył, spokojnie i wyraźnie.

– No bo skoro to my tworzymy przyszłość, to moim zdaniem powinien pan

wziąć te nasze papiery i coś z nimi zrobić.

William wpadł z powrotem do domu, częściowo wściekły, częściowo pełen podziwu. Ale jako motywacja do działania ta kombinacja okazała się jedną ze skuteczniejszych.

Nic mu tak nie imponowało, jak właściwie sformułowany argument, a ten chłopaczek w bejsbolówce właśnie rzucił mu prosto w twarz jego własną argumentację.

William nie wierzył w ślepy los. W przeznaczenie.

Z tego wniosek, że wszelkie proroctwa dadzą się odwrócić, a jedynym czynnikiem określającym los jest teraz on sam i to, że nie próbuje niczego zrobić.

Quod erat, do cholery, demonstrandum.

Poprosił Janine, aby poszła razem z nim do saloniku i pomogła mu odtworzyć wygląd jego pokoju do pracy na zamku. Tym razem zrobią to sami od początku, tak jak trzeba i na jego warunkach.

Tu nie mieli dostępu do komputerów. Do żadnych programów. W głębi ducha czuł, że właśnie o to mu chodziło.

W jednej z sypialni w szufladach biurka znaleźli długopisy różnej wielkości, linijki i kalkulatorki oraz całe opakowanie nietkniętych jeszcze kołnotatników.

Czekała ich gigantyczna praca. Musieli zaczynać wszystko od początku. Przed nimi piętrzyły się stosy cyfr, czasu natomiast było niewiele.

William wyszukał sobie wśród długopisów taki, który był odpowiednio ciężki, a jednocześnie w miarę lekko pisał, po czym wziął dwa kołnotatniki i położył je na środku stołu, a potem poprosił Janine, aby zaczęła czytać.

Spełniła jego prośbę.

Cyfra za cyfrą odczytywała z pierwszej kartki: jeden, trzy, zero, dwa, trzy – długie ciągi kodu, który wyglądał, jakby nic nie znaczył, a w rzeczywistości krył wszystkie wersy sumeryjskich tekstów. Widziała, jak William zapisuje je w notesie, każdą cyfrę po kolei, a gdy pierwsza kartka była zapełniona, przypiął ją do ściany.

I następna.

Od początku. A z każdą sekwencją, którą notował, z każdą kolejną kartką, którą zawieszał na ścianie, kody stawały się częścią niego. Doskonale się orientował, gdzie znajduje się każda sekwencja, znał odstępy między nimi, wyczuł rytm.

Powinien był tak zrobić na samym początku.

Powinien był wrócić do źródła, pozrywać wszystko z kamiennych ścian i zacząć od zera, czyli zmusić się do tego, co w tej chwili robili razem z Janine.

Zdawał sobie z tego sprawę również wtedy, ale uważał, że nie ma na to czasu. Teraz jednak zrozumiał, że się mylił – zaniechanie tego okazało się niczym innym jak

tylko stratą czasu. Stał przed tamtymi ścianami i gapił się na gotowe wydruki, przekonując siebie, że to dobra metoda, choć w głębi ducha wiedział co innego.

Długopis tańczył po papierze, a za każdym razem, kiedy William miał wrażenie, że dana sekwencja jest podobna do wcześniejszych czy wręcz się powtarza, wstawał i wracał do poprzednich kartek, porównywał je, analizował i wykonywał w myślach intuicyjne wyliczenia – właściwie nie były to wyliczenia, tylko konkretne obrazy.

Za nim stała Janine.

Przysłuchiwała się cicho i czekała, podczas gdy William chodził dookoła, czasami okrążał cały pokój, niekiedy tylko dreptał w miejscu, a potem, gdy znowu skinął ku niej głową, zaczynała odczytywać na głos następną sekwencję.

Leo i Albert obserwowali ich z sąsiedniego pokoju.

Siedzieli na sofach, nie śmiać nawet się odezwać; byli zafascynowani procesem, nie mogli jednocześnie zrozumieć, co William robi i jakie wzory widzi w tych niekończących się szeregach cyfr, no i jak to w ogóle możliwe, że potrafi to wszystko pomieścić w swojej głowie.

Wyrywał z notesu kartkę za kartką, każdą kolejną zapełniał nowymi rzędami cyfr, przypinał je na ścianie i przechodził do następnej, wsłuchując się w głos Janine.

Koło notatnik robił się coraz cieńszy.

Wreszcie kartki się skończyły, więc William sięgnął po kolejny notes ze stołu. Janine monotonnie wyliczała następne cyfry, a on je zapisywał, podkreślał i krążył po pokoju.

Po jakimś czasie znowu przyszła pora na zmianę notesu.

Wyciągnął dłoń i po omacku próbował znaleźć kolejny na stole.

Na blacie nie leżał już żaden.

– Notes – rzucił krótko. Nie z pretensją, nie nerwowo, tylko zupełnie mechanicznie, mając w głowie tysiące myśli i nie chcąc stracić wątku.

Janine rozejrzała się wokoło. Notesy chyba się wyczerpały.

– Notes – powtórzył. – Daj mi nowy!

Podniósł rękę do góry i zatrzepotał palcami, jakby to w jakiś magiczny sposób miało pomóc zmaterializować się stosowi kartek po prostu z niczego, a jednocześnie przez cały czas nie odrywał wzroku od ściany.

Gdzieś tam, wśród tych wszystkich kartek, znajduje się odpowiedź – co do tego nie miał wątpliwości. Wśród długich ciągów i sekwencji, które nic dla niego nie znaczą, *na razie*, które jednak w każdej chwili mogą zmienić postać, nabrać sensu i stać się pierwszym krokiem wyprowadzającym z chaosu. Tak już się zdarzało. Jeśli więc coś takiego miało się zdarzyć jeszcze raz, to pragnął, aby nastąpiło to teraz.

W końcu Janine znalazła jeszcze kilka koło notatników.

Odwinęła jeden z folii, podała mu go prosto do ręki i cała procedura zaczęła się od nowa – odczytywane cyfry były zapisywane na kartkach, a te trafiały na ściany.

Zapełniał właśnie którąś kartkę z kolei z nowego bloku, gdy uświadomił sobie, że odczuwa przyjemność.

Lubił to. Być zagłębionym w chaosie, którego nie pojmował, ale wiedział, jak się z nim obchodzić; tu mógł wykorzystać swoją umiejętność logicznego myślenia, mógł lekceważyć wszystko, co wie, zmusić się do szukania czegoś niewiadomego, czego nie sposób przeoczyć, kiedy już się na to trafi.

Chodziło o najmniejszy detal, ten, który mógł wszystko zmienić.

Który powinien gdzieś tam się znajdować, gdzieś pośród tych wszystkich cyfr. Do tej pory go przegapił, ale musi go nadal szukać, bo na pewno kryje się gdzieś w całości, powinien szukać w całości, cofnął się więc myślami do początku. Próbował przypomnieć sobie wszystko...

Zatrzymał się.

Detal. W całości.

Drobny, mało istotny, którego nie zauważa się na tle wielkiej części.

A niech to szlag.

To była tylko przelotna myśl, szybka, oderwana i abstrakcyjna.

Pokręcił głową. To niemożliwe.

A może jednak?

Przez chwilę stał nieruchomo.

Po czym cofnął się o krok.

Ogarnął wzrokiem całą ścianę.

Spojrzał na notes, który przed chwilą dała mu Janine, pełen pustych jeszcze kartek. Przecież to oczywiste, że o to chodziło przez cały czas. Odejść o krok dalej. I zobaczyć całość. Czyż sam nie powtarzał tego wiele razy? I słyszał, jak mówiono. *Całość.*

Kiedy spojrzał na nią znowu, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Śmiał się. Głośno i niepowstrzymanie, pierwszy raz od bardzo, bardzo długiego czasu.

Zupełnie jakby przez wiele tygodni próbował otworzyć jakąś puszkę, a teraz nagle ją odwrócił, spojrzał na nią z innej strony, zobaczył napis: „Tu otwierać” i w tym momencie uzmysłowił sobie, że to przecież oczywiste i że inaczej nie dałoby się jej otworzyć.

Właśnie za takim doznaniem tęsknił. Czekał na nie, kiedy stał naprzeciw kamiennej ściany w zamku, a teraz, gdy ono przyszło, przypomniał sobie, co się wtedy czuje. Ulgę. Może euforię. A może nawet szczęście.

Tego wszystkiego doznał teraz.

Janine patrzyła na niego.

– Co się dzieje? – spytała.

William stał nadal zwrócony do ściany, ale teraz z przymkniętymi oczami,

i powoli, głęboko oddychał, jakby nieoczekiwanie doszedł do jakiegoś głębszego zrozumienia, jakby znalazł wewnętrzny spokój.

Nigdy go nie widziała w takim stanie. Trochę się przestraszyła.

Można było odnieść wrażenie, że zrozumiał i zaakceptował to, co ma się zdarzyć, uznał walkę za skończoną, dostrzegł w tym niezachwianą logikę i doszedł do wniosku, że nie da się jej zakwestionować.

Jakby przyznawał się, że jest gotowy.

Nie, czuł z tego powodu przyjemność.

– William? – powiedziała do niego. W jej głosie był lęk, lecz robiła wszystko, by go ukryć. Powtórzyła z naciskiem: – William?

Odwrócił się. Otworzył oczy.

– To koniec? – rzuciła. – Czy tak?

Właściwie to było stwierdzenie z jej strony, ale nadała swoim słowom ton pytania, ponieważ marzyła o tym, żeby jej zaprzeczył.

– To koniec, tak? – powtórzyła.

Spojrzał na nią uważnie.

Chciał jej wyjaśnić, lecz nie wiedział jak.

Usłyszała tylko, jak powiedział:

– Mam gdzieś, czy nazwiecie mnie zarozumiałcem, czy nie. Ale będę potwornie rozczarowany, jeśli nie dacie mu na imię William.

Kiedy do Janine dotarło, co to znaczy, on już wyszedł z pokoju.

Franquin wciąż jeszcze czuł zapach Atlantyku, kiedy wspiąwszy się po chyboliwych schodkach blisko wyjących odrzutowych silników, szedł przejściem między skórzanymi fotelami i wreszcie zajął miejsce w jednym z nich.

Nie było to idealne rozwiązanie.

Jeden z helikopterów przywiózł ich z lotniskowca z powrotem do portugalskiej bazy NATO, gdzie tymczasowo stacjonował ich samolot. A z każdą podróżą, z każdym nowym lądowaniem i z każdym kolejnym człowiekiem, któremu się przedstawiali, rosło ryzyko zarażenia i niepowodzenia całego projektu.

Ale przynajmniej uwolnił się na kilka godzin od statku, pomyślał.

Kiedy samolot kołował na pas startowy, Franquin zamknął oczy i próbował zrozumieć, co go czeka.

Gdzie podział się Connors?

Helikopter.

A jeśli on wypełnił jego rozkaz?

Oparł się wygodnie w fotelu i zaczął liczyć pod nosem.

Zaledwie za dwie godziny będą z powrotem na zamku.

Wtedy się dowie.

Pierwsze uderzenie spowodowało, że na szybie zarysowała się gigantyczna pajęczyna.

I to wszystko.

Nie rozpadła się z hukiem na ich oczach, lecz dalej się trzymała, mimo że popękała na miliony maleńkich kawałeczków i poprzecinana siatką rys wyglądała jak mapa miasta, w którym wszystkie drogi zbiegają się w centrum, czyli miejscu, gdzie trafiła łopata.

William trzymał ją w ręku.

Zamierzył się kolejny raz.

Nikt z nich nie był tym zachwycony, bo nie mieli ochoty niszczyć czyjejs własności, jednak nie wpadli na żaden lepszy pomysł. Poza tym jeśli im się uda, to takie drobne ofiary nie będą miały najmniejszego znaczenia.

Wyglądało na to, że szyba była wielowarstwowa, więc przebicie jej wymagało wielu uderzeń; w końcu jednak udało się zrobić w niej niedużą dziurę i dostać się do środka.

Po drugiej stronie znajdował się sprzęt narciarski i buty do biegania. Osada była niewielka, a zatem asortyment też nie oszałamiał, ale Janine znalazła to, co było im potrzebne.

Zaopatrzyli się więc i zostawili sklep sportowy.

Teraz mogli już pozwolić, aby Albert ich stąd wywiózł.

Dwie godziny wcześniej szła za nim drogą krok w krok.

Było przejmująco zimno, zaczął padać śnieg, delikatny i zwiewny, który w to bezwietrzne popołudnie kładł się niby warstwa cukru pudru na okolicznym krajobrazie, zamieniając go w gigantyczny tort, a ich dwoje w dwie nieodpowiednio ubrane figurki nowożeńców w drodze do domku z bajki.

William wciąż miał notes w ręku. Z pokoju, w którym jeszcze przed chwilą pracowali, wypadł prosto na dwór w samej koszuli i swetrze, ale był zbyt pochłonięty myślami, aby w ogóle czuć zimno.

Z jego ust unosiły się delikatne obłoczki pary, lecz po chwili się rozplywały i znikwały. W jednym momencie stał spokojnie, wznosząc oczy ku wysokim górcom za domami, aby już w następnym ruszyć szybko wzdłuż drogi, jakby chciał znaleźć lepszy widok, inną perspektywę.

Wyraźnie czegoś szukał. Nad czymś się zastanawiał.

– Jak myślisz, gdzie on może być? – rzucił.

Zatrzymał się. Rozejrzał dookoła. Znowu ruszył, wciąż omiatając spojrzeniem wysokie szczyty. A Janine spieszyła za nim. Próbowwała za nim nadążyć, wyciągała nogi, aby dotrzymać mu kroku.

Odniosła wrażenie, że William na coś wpadł. I mówiąc szczerze, bardziej była zainteresowana uzyskaniem od niego wyjaśnienia na ten temat niż roztrząsaniem zagadnień geografii.

– Ale co? – spytała. – Zamek?

Potaknął skinieniem głowy.

– Nie wiem. A jakie to ma znaczenie?

– Droga powinna biec chyba gdzieś tam. Nie sądzisz?

Wskazał ręką daleko poza domy i najbliższe wzniesienia. Janine potwierdziła: tak, powinna być gdzieś tam. Jednopasmowa droga asfaltowa, która prowadziła ich od gigantycznych wrót, którą biegli w środku nocy, wierząc, że ich ucieczka się powiodła.

– Co ty zamierzasz? – spytała.

– Musimy się tam dostać – odparł.

– Czyli wiesz, jak to zatrzymać?

Stawiała szybkie kroki, już niemal się z nim zrównała, widziała jego profil i nie chciała go stracić z oczu.

Spodziewała się, że skinie głową w odpowiedzi.

Spodziewała się, że wreszcie położy kres przerażeniu, w jakim żyją, spodziewała się, że opowie jej, co wcześniej przeoczyli, może znalazł klucz, a może co innego – niezależnie od tego, co chciała wiedzieć, spodziewała się, że teraz on jej to wszystko wyjaśni.

Ale on pokręcił głową.

– Nie – rzucił tylko.

Po czym dodał:

– To, co ma się wydarzyć, wydarzy się. Nie jesteśmy w stanie już nic zrobić.

Rozczarowanie.

Janine zwolniła kroku. Miała przed sobą jego plecy.

William poczuł, że jest zawiedziona. Też zwolnił i odwrócił się do niej.

Szedł teraz tyłem.

Od czasu do czasu rzucał spojrzenie na góry.

Odległość między nimi była coraz większa, więc w końcu musiał do niej krzyknąć.

– Mamy inne zadanie.

A gdy się wreszcie zatrzymał, dokończył:

– Myślę, że jest jeszcze ważniejsze.

Znalezienie tamtej jednopasmowej drogi zajęło im więcej czasu, niż się spodziewali.

Zbiegała się z inną lokalną szosą ładnych parę kilometrów za osadą i nie była zagrodzona żadnymi szlabanami czy barierkami, wyglądała jak niepozorna boczna zwirowa droga, może nawet czyjaś prywatna, i odbijała od tej głównej, niczym szczególnym nie zwracając na siebie uwagi.

Dopiero tam, gdzie po licznych zakrętach nie dało się jej już z daleka zobaczyć, nawierzchnia zamieniała się w asfalt oznakowany po bokach białymi pasami, a mniej więcej po półgodzinie jazdy ukazywała się potężna brama u stóp góry.

Nie ruszyli od razu. Woleli, żeby się najpierw ściemniło, a potem jechali na niskim biegu i ze zgaszonymi reflektorami. Przyświecał im jedynie blask księżyca przebijający się przez delikatne chmury oraz białe zaśnieżone połacie po obu stronach drogi. Siedzieli pochyleni do przodu w zimnym samochodzie i wytężali wzrok, aby cokolwiek zobaczyć. Co jest za następnym zakrętem. I czy ktoś nie kręci się po okolicy.

Zdaje się, że nikt ich tu nie odkrył. W końcu z dala od podnóża góry zatrzymali auto. Janine i William wysiedli, po czym wyjęli z bagażnika wszystko, co Janine zabrała ze sklepu w osadzie: liny, kłamry, rękawice.

William założył ekwipunek na siebie, kierując się wskazówkami Janine. Nie był zachwycony, ale wiedział, że teraz to jego zadanie. Co więcej, sam wpadł na ten pomysł. Wprawdzie wysokość nadal go przerażała, lecz uznał to za cenę, którą musi zapłacić.

Podczas gdy Leo z Albertem zawrócili do osady, on z Janine ruszyli dalej piechotą.

Szli obok drogi, potykając się na nierównościach. Na tych samych, po których biegli kilka nocy wcześniej.

Tyle że teraz zdążali w przeciwną stronę. Aby niepostrzeżenie dostać się do środka.

Siedzieli przy dużym drewnianym stole w kuchni, która stała się ich domem.

Obiad przygotowali z konserw i półproduktów znalezionych w szafkach. Na kominku palił się ogień i w jakiś niepojęty sposób zapanowały wokół nich spokój i atmosfera cichej powszedniości – obca, dziwna i jednocześnie nie na miejscu w tej sytuacji.

Albert i Leo siedzieli naprzeciw siebie. Milczeli. Byli tylko obserwatorami. Śledzili rozmowę, której mimo najszczerzych chęci nie rozumieli. Przysłuchiwali się Janine i Williamowi. Ich pytaniom i odpowiedziom. Niepokojom i zapewnieniom.

Janine nie mogła zrozumieć. Nie mogła zrozumieć jego opanowania, dumy, szczęścia.

Z jednej strony. A z drugiej nie pojmowała, że on siedzi naprzeciwko niej i mówi, że nie znalazł żadnego klucza. Że nie klucz jest tu ważny i że szukali nie tego co trzeba, że gapili się ślepo na detale, nie widząc całości. Ona zaś kręciła głową, nie zgadzała się z nim, nie nadażała.

– Wobec tego jak mamy przetrwać, skoro nie mamy klucza? – pytała. – Jeśli nie jesteśmy w stanie zmienić przyszłości, to jak to wszystko powstrzymamy?

William odpowiedział. Spokojnie i cichym głosem.

– Nie musimy niczego powstrzymywać.

Gwałtownie potrząsnęła głową. On chyba nie mówi poważnie.

– Zaraza – powiedział tylko tyle.

Janine nie rozumiała. Czekała na dalszy ciąg.

– To ty pokazałaś mi tamtą przepowiednię. Tę z czternastego wieku. I to ty porównałaś ją do tego, co dzieje się dzisiaj.

Skinęła głową. Nie musiał jej tego przypominać, doskonale pamiętała.

– I do tego, co ma przyjść. Opisaną tymi samymi słowami.

– No i? – zapytała bezradnie.

Dżuma. To było w tej przepowiedni. Ale co z tego?

William pochylił się ku niej.

– Nie wymarliśmy wtedy.

Stwierdził, unosząc ramiona do góry. A na jego twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Wielu umarło – dodał. – Ale nie wymarliśmy. Nie wyginęliśmy.

Już miała zaprotestować, zawołać: o czym ty mówisz?!, ale gdy prawie otworzyła usta, zrozumiała.

Było to równie oczywiste co zaskakujące.

A on kiwając głową, ciągnął dalej:

– Przetrwaliśmy dotąd wiele epidemii. I tak samo będzie tym razem. Mnóstwo ludzi umrze, jednak nie wszyscy. W końcu wirus ulegnie osłabieniu albo ktoś wymyśli szczepionkę lub jakiś inny sposób, aby go unieszkodliwić. To będzie przerażające, potworne, tragiczne i katastrofalne, ale nie oznacza końca wszystkiego.

Przyglądała mu się. Długo i uważnie.

Miała nadzieję, że się nie mylił, ale nie była tego pewna. Może mówił tylko to, co

pragnęła usłyszeć, co oboje chcieli usłyszeć, może chwycił się ostatniej deski ratunku i udało mu się brzmieć wystarczająco wiarygodnie, aby ich uspokoić.

– Ale jak? – rzuciła pytanie. – Jak miałyby być coś innego niż koniec, skoro nie ma żadnej przyszłości?

– Uważam, że jest – powiedział.

Janine pokręciła głową.

– Kody. Teksty – odparła. – Przecież widzieliśmy to oboje.

– Co tak naprawdę widzieliśmy?

– Że się kończą.

Nie – mówiły jego oczy. Nie odzywał się przez chwilę.

Czuł pewność myśli i spokój ducha, kiedy szukał odpowiednich słów, aby jej wyjaśnić. Spokój, który mógł znaczyć tylko jedno. On wiedział, że ma rację.

– Zrobiliśmy dużo – powiedział w końcu.

– Ale co zobaczyliśmy?

Krajobraz przeszedł w góry równie niepostrzeżenie jak jedna pora roku zastępuje drugą i teraz już nie szli, tylko się wspinali, choć żadne z nich nie zauważyło, kiedy zaczęli.

Z daleka widzieli bramę, przez którą wtedy uciekli. Znajdowała się w ścianie skalnej kilkadziesiąt metrów poniżej. William starał się zapomnieć o wysokości, pragnął zarejestrować obraz bramy, nie myśląc o tym, skąd ją widzi.

Podjazd przed nią był pusty.

Żadnych samochodów, żadnego ruchu, nic.

Żadnych śladów na cienkiej warstwie śniegu.

To mogło znaczyć, że albo już się wynieśli, albo nie jest to zbyt uczęszczane miejsce.

Janine dawała mu znaki nad sobą, aby szedł dalej. Wykonywał więc dokładnie to, czego go nauczyła, obserwował jej ruchy i starał się je naśladować, opierał dłonie i stopy w tych samych miejscach co ona i powoli wspinał się coraz wyżej.

Ona wbijała haki i wpinała karabińczyki.

Wypróbowywała przejścia i torowała drogę.

Machała na Williama i czekała.

A otchłań w dole przez cały czas rosła. On zaś robił wszystko, byle tylko nie myśleć, co by się stało, gdyby spadł.

– Całość – powiedział William.

To miała być odpowiedź na pytanie, które wisiało w powietrzu. Które nosili w sobie i które Janine zadała na głos, a na które wciąż nie było logicznej odpowiedzi.

No bo jak może istnieć dalszy ciąg, jeśli wszystko ma się skończyć.

Dobre pytanie.

– Całość – powtórzył znowu. – Przez cały czas wiedzieliśmy, że całość jest najważniejsza ze wszystkiego.

Nadal siedzieli przy drewnianym stole. William zwrócił się do Janine:

– Ty ją przywoływałaś, ja ją przywoływałem. No i co z tego? Ona istniała cały czas, tylko że my jej nie widzieliśmy. Dlatego że zapomnieliśmy oderwać wzrok od nas samych.

Bezradność w jej głosie ocierała się o wściekłość.

– *Jaka całość?* – spytała.

William spojrział na nią.

I wyjaśnił.

Byli w pokoju na pięterku, kiedy nagle go olśniło. Janine stała z papierami Heleny Watkins, recytowała wszystkie cyfry i kody, a on je zapisywał i przypinał kartki na ścianie, trzymał notes na przedramieniu, wodził po kartce długopisem i szukał, myślał, liczył, analizował, czyli robił to, co według niego powinien był robić.

Ale gdy kartki w notesie się wyczerpały, zrozumiał.

Kiedy rozwiesił je na ścianie, nie miał już na czym zapisywać, więc zwrócił się do Janine i poprosił o więcej.

Opowiadał jej to ponad talerzami i garnkami z sosem pomidorowym, czując na sobie spojrzenia Leo i Alberta siedzących z boku.

– Był mi potrzebny nowy notes – powiedział.

Janine skinęła głową na potwierdzenie.

No i?

– Zapełniałem strony od góry do dołu, ty recytowałaś jak katarynka, ja notowałem, aż wreszcie nie miałem już na czym zapisywać. I co się wtedy robi? – Od razu odpowiedział sobie na pytanie: – Sięga się po nowy notes. Bierze się coś nowego i pisze się dalej.

Janine nie bardzo rozumiała.

William to zauważył.

Skinął ku niej głową, jakby chciał ją zachęcić, by skierowała myśli w określoną stronę, a gdy zobaczył, że rzuciła okiem przez okno, już wiedział, że zaraz zrozumie.

No właśnie.

– Chyba nie myślisz poważnie? – powiedziała.

William się uśmiechnął. Ależ tak, jak najbardziej.

Obok nich siedzieli Albert i Leo. Nie pojmowali nic a nic.

– O co chodzi? – spytał Albert.

William odwrócił się w jego stronę i zaczął szukać odpowiednich słów, aby móc im wszystko wyjaśnić.

Trochę mu to zajęło. Bo nie było odpowiednich słów. Jakkolwiek by to formułował, wszystko brzmiało banalnie i zwyczajnie, a on chciał przedstawić to w lepszy sposób; ostatecznie znalazł odpowiedź, której poszukiwano przez pół wieku, nie miałyby więc nic przeciwko temu, aby dobrze brzmiała.

Jednak prawda była prosta.

I tak ją przedstawił.

Człowiek jest jak notes.

A wokół nas są inne notesy, nieskończone ilości gatunków o nieskończonej ilości materiału genetycznego, miliony, setki milionów części śmieciowego DNA, które wcale nie było śmieciowym DNA i przenosiło się z gatunku na gatunek, czyniąc z naszego materiału genetycznego jedyny w swoim rodzaju rozdział w niemającej końca książce.

Całość.

Jakie to proste.

Historia zawarta w DNA człowieka nigdy nie była historią wyłącznie człowieka, ale świata. Człowiek nie jest całością, tylko jej *częścią*. Stanowi zaledwie jeden rozdział w tej nieskończonej wspólnej historii. Całość zaczęła się przed nami i skończy po nas. A jeśli przyszłość świata jest już ustalona, to nie przestanie istnieć jedynie z tego powodu, że zabrakło miejsca w notesie.

Tylko tym jesteśmy.

– Notesem na półce – powiedział. – Albo kartką w notesie. Małą częścią w całości, która zawsze była wokół nas, ale o której zapomnieliśmy. Podobnie jak Connors, Franquin i cała Organizacja przed nimi, ponieważ byliśmy potwornie skupieni na czubku własnego nosa, staliśmy się do tego stopnia krótkowzroczni, że nie pamiętaliśmy już, że nic nie zaczyna się ani nie kończy wraz z nami. Nic.

Wszyscy spojrzeli na niego.

Wiedzieli, co ma na myśli, ale chcieli to usłyszeć.

– To nie przyszłość się skończyła – odezwała się Janine. – Tylko papier.

Powiedziała to z uśmiechem. Choć jej słowa zabrzmiały głupio, wyrażały prawdę.

William potaknął. I też się uśmiechnął.

Siedzieli w milczeniu. Zalegająca cisza w ogóle im nie przeszkadzała.

Każdy musiał uporać się ze swymi myślami i jakoś je uporządkować.

Czasu nie da się zatrzymać, to, co miało się stać, już się zaczęło, a oni nie mogli zrobić niczego, co mogłoby przyspieszyć tempo tych wydarzeń. Nie mieli już na to

wpływu. Poczuli z tego powodu ulgę.

Pierwsza odezwała się Janine.

Wyraźnie poukładała już swoje puzzle w głowie – ponad pół roku pobytu na zamku, wszystkie sumeryjskie wersy, wszystkie kody i ostatnie wnioski Williama.

Teraz motyw był dla niej jasny, potrafiła go sobie zobrazować, pozostało tylko pytanie, które musiała zadać.

Nieuniknione. Nieuchronne.

– Czy to znaczy, że to wszystko, co teraz obserwujemy... – zaczęła. Otworzyła szeroko oczy i skierowała wzrok na Williama, chociaż jej pytanie nie miało żadnego określonego adresata. – Czy to znaczy, że cała ta zaraza...

William potaknął głową bez słowa.

– ...powstała dlatego, że oni odczytali informację mówiącą, że tak ma się stać?

Nie odpowiedział. Zatrzymał na niej wzrok, ale nie zamierzał nic mówić.

– Gdyby więc nikt nie natrafił na kod – ciągnęła dalej – gdyby nikomu nie udało się go odszyfrować i gdyby nikt nie próbował stworzyć wirusa, aby zastąpić tamten kod nowym... Gdyby nie to wszystko – w ogóle nie doszłoby do tego, co się teraz dzieje?

Spojrzała na Williama. I sama sobie odpowiedziała:

– Czyli przyczyna leży w tym, że oni dowiedzieli się, co ma się zdarzyć.

Zaległa cisza.

W końcu William skinął potwierdzająco głową.

To dlatego wypadł wtedy prosto z pokoju na ulicę.

To dlatego skierował wzrok na góry.

To dlatego wszystko wciąż na nowo prowadziło go do jednej myśli.

– Myślisz, że uda nam się dostać z powrotem do zamku? – spytał.

– Jak to? – zdziwiła się Janine.

– Bo moim zdaniem naszym obowiązkiem jest dopilnować, żeby nikt nie popełnił jeszcze raz tego samego błędu.

Włamali się do sklepu sportowego i zaopatrzyli w potrzebny sprzęt. Zapakowali go do samochodu, którym przyjechali Albert i Leo, a teraz, czując przyjemny niepokój, czekali tylko na zmrok, podczas gdy godziny miały powoli.

William siedział na brzegu dużej werandy z boku domu z nogami opuszczonymi nad ziemią. Miał przed oczami widok całej osady opadającej w dół zbocza niczym teatralna dekoracja – droga gubiła się gdzieś w oddali między domami, spadł świeży śnieg, ale nigdzie nie było widać śladów stóp ani kół.

W pokoju dziennym na sofie spali Albert i Janine. Leżeli mocno przytuleni do

siebie – spleceni ramionami, jakby chcieli mieć pewność, że już nigdy się nie rozstaną, przenigdy, cokolwiek by się działo.

Światło powoli, powoli gasło.

Nastało późne popołudnie.

Ale w oknach naokoło nigdzie nie zapaliły się lampy, nikt nie wrócił do domu, żeby przygotować kolację, nie działo się nic poza tym, że zapadała ciemność, nadciągało zimno, a William jeszcze szczelniej otulił się kurtką z miejscowego sklepiku.

Leo wyszedł z domu i usiadł obok niego, gdy tylko zaczęło się zmierzchać. Zrobiło się naprawdę zimno – zimno i cicho. Słysząc było jedynie lekkie powiewy wiatru rozścielającego kryształki lodu na ziemi, szum natury i szelest ich puchowych kurtek przy każdym ruchu.

Wysoko ponad domem przeleciał sznur ptaków, wzbogacając ten zimowy wieczór o kilka odległych dźwięków. Leo śledził ich lot daleko, aż po dolinę.

Ptaki i wszystko inne, wszystkie żywe istoty, wszystko wkoło stanowiło swój własny rozdział. Własny rozdział w historii, ale nie historii człowieka, jednostki, tylko wspólnej – świata.

William miał rację. Jakkolwiek by się próbowało to powiedzieć, i tak zawsze brzmiało banalnie. Ale było prawdziwe. I Leo to czuł.

– Coś takiego sprawia, że człowiek woli zostać wegetarianinem – powiedział zupełnie zniecka.

William odwrócił się w jego stronę. Uśmiechnął się szeroko.

– Rośliny także mają DNA.

Głupku, dodał. Ale tylko w myślach. I z sympatią.

Leo wzruszył ramionami.

– Wobec tego jutro rano będzie kłopot ze śniadaniem.

Z powrotem zapadła cisza, a oni znowu popatrzyli przed siebie. Widzieli, jak słońce chowa się coraz niżej i wreszcie całkiem znika, zabierając ostatnie resztki światła.

– Kto? – spytał w końcu Leo.

Identyczne pytanie William zadał sam sobie, kiedy zrozumiał; również Connors i Janine, i wszyscy inni, którzy wiedzieli, postawili je sobie kiedyś i wciąż nie przestawali zachodzić w głowę.

Kto umieścił tam kody?

William popatrzył na Leo.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – rzekł.

I potrząsnął przecząco głową w odpowiedzi na swoje pytanie.

– Ktoś albo coś, albo nic, albo po prostu przypadek tak sprawił – rzekł. –

Niezależnie od tego, jak do tego doszło, jest jak jest.

Czuł wewnętrzny spokój.

Nie wiedział kto. Ani dlaczego. Nie wiedział niczego poza tym, że nic się nie dzieje bez przyczyny.

Oni nie wiedzą za mało. Wiedzą za dużo.

I właśnie to powiedział. A potem znowu zaległa cisza.

Po chwili William zauważył, że Leo się do niego uśmiecha.

– Mimo wszystko uważam, że był w tym sens – rzekł.

William popatrzył na niego uważnie. W czym?

– W tym, że tu przyjechaliśmy z papierami Watkins. Uważam, że to miało sens – powtórzył.

Cisza.

– Wiesz co? – odezwał się William. – Mam gdzieś to, co ty uważasz.

Rzekłszy to, objął ramieniem młodego mężczyznę.

Siedzieli tak przez moment. Nie jak ojciec i syn, ale jak bardzo bliscy sobie ludzie. I Leo zrozumiał, że to właśnie jest on. Ten mężczyzna, którego szukała Christina. William sprzed lat, dla którego odnalezienia – ryzykując wszystko – pojechała do Amsterdamu. Patrząc teraz na niego, wiedział, dlaczego to zrobiła.

Siedzieli dalej.

Leo miał w głowie jedną jedyną myśl.

Czy wypowiedzieć ją głośno?

Może to najodpowiedniejsza chwila, a może tylko niepotrzebnie popsuje nastrój? Ale z drugiej strony czuł, że to jego obowiązek. Przynajmniej ze względu na nią.

W końcu się zdecydował.

– Miała na palcu obrączkę – rzucił.

William spojrzał na niego, nie bardzo rozumiejąc.

– Kiedy zaczęliśmy pana szukać, założyła ją.

William odwrócił twarz.

Nic nie mówił.

– Chciałem tylko, żeby pan wiedział.

Nadal żadnej reakcji.

Cisza, jaka zapadła, była nieprzenikniona i ciężka. Leo uznał, że chyba jednak popełnił błąd. Może nie powinien był nic mówić, tylko pozostawić wszystko na swoim miejscu, może w ten sposób rozjątrzył ranę, w której nie powinien grzebać, i teraz, siedząc tak w świetle wieczoru otoczony ramieniem przez obcego mężczyznę, nie bardzo wiedział co dalej.

Nagle poczuł, że William cofa ramię.

Wstaje.

I odchodzi.

Nie, zatrzymuje się. I ciężko wzdycha.

– Dzięki – usłyszał Leo za plecami.

Tylko tyle. „Dzięki”.

Po czym William zniknął w głębi domu.

Głos miał niski i głęboki. Leo uśmiechnął się z ulgą, że jednak zdecydował się powiedzieć.

W tej samej chwili, gdy William i Janine wyłonili się zza stromego załomu skały, przekonali się, jak gigantyczny jest zamek.

Budowla wyrastała z góry niczym grzyb z pnia drzewa.

Właśnie taką twierdzę zbudowałoby dziecko, gdyby tylko miało nieograniczony dostęp do klocków Lego. Ten był rzeczywisty. Wydawało się niepojęte, że ktoś dawno temu zdecydował się wznieść coś takiego, ale równie trudny do zrozumienia był fakt, że teraz stanowił on bazę organizacji wojskowej i że w jego nowszych partiach w samym środku góry kryje się nie mniejsza przestrzeń.

Pierwsza zauważyła je Janine.

Wypatrzyła w ciemnościach to, czego szukali, i wybrała najlepszą drogę, by się tam dostać.

Gigantyczne, sklepienie łukiem okno w kaplicy.

Stamtąd łatwo trafią do schodów.

A potem dotrą do stalowych drzwi prowadzących do nowej części zamku.

Do tego momentu mieli wszystko zaplanowane.

Później będą potrzebowali mnóstwa szczęścia.

Samochód, który spotkali na drodze, miał zgaszone światła i w ogóle nie powinien był się tam znajdować.

Franquin zdążył zauważyć, że z przodu siedziało dwóch mężczyzn – jeden młody, drugi starszy, ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział któregoś z nich, co oczywiście nic nie znaczyło.

To mogli być gnani paniką cywile w poszukiwaniu jakiegoś noclegu.

Mieszkańcy pobliskiej osady, którzy tu zabłądzili.

Czuł jednak, że może być zupełnie inaczej, i polecił swoim ludziom, by mieli oczy otwarte i zwracali uwagę na wszystko, co się rusza zarówno na drodze, jak i po jej obu stronach.

Gdy w oddali zaczęła się rysować brama u podnóża góry, kierowca wskazał głową na asfalt przed nimi.

– Tam – rzucił. – Tam zawrócili.

Rzeczywiście. W śniegu były widoczne ślady kół; auto początkowo próbowało zawrócić jednym manewrem, jednak na tak wąskiej jezdni musiało najpierw się zatrzymać, cofnąć, aby zyskać miejsce, i dopiero wtedy mogło zakręcić i odjechać.

Ale obok śladów opon znajdowały się jeszcze inne.

– Coś się popsuło? – rzucił jeden z mężczyzn.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy patrzyli w jeden punkt: na odciski stóp na skraju drogi i na poboczu – ktoś wysiadł z samochodu i dreptał w kółko. Niewykluczone, że nie ma się czym denerwować, bo może auto rzeczywiście uległo jakiejś awarii i tutaj próbowano je naprawić, może właśnie dlatego jechało potem bez świateł, bo na przykład pojawił się jakiś kłopot z akumulatorem, generatorem czy jeszcze jakimś elementem z tysiąca, które mogły przestać działać w nowoczesnym samochodzie.

Albo – pomyślał Franquin – to było odpowiednie miejsce, żeby wysiąść i pójść dalej na piechotę, aby nie być zauważonym przed bramą.

Franquin polecił kierowcy, aby wyłączył światła w ich pojeździe.

Ostatni odcinek drogi pokonali po ciemku, nic nie mówiąc i przeczesując wzrokiem teren po obu stronach.

Obiecał sobie, że już nigdy nie wystawi siebie na taką próbę.

Obiecał sobie solennie i uroczyście, przyszedł, że jeśli tylko wyjdzie z tego cało, to nigdy więcej nie zaryzykuje życia. I oto jest tu znowu. W tej sytuacji trudno mu było uniknąć pytania, czy skoro on sam złamał słowo, może liczyć na to, że los dotrzyma swojej części umowy.

To pomyślawszy, rzucił się w dół.

Spadając, czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Nie było chyba ani jednej komórki w całym jego organizmie, która by nie krzyczała z panicznego strachu; pociemniało mu w oczach, lodowaty pęd powietrza przesywał ciało, z każdą sekundą coraz bardziej nieważkie i poza kontrolą, a ziemia przybliżała się w zastraszającym tempie.

Wtedy nastąpiło szarpnięcie i lina zatrzymała ruch w dół, zamieniając go w ruch wahadłowy nad przepaścią. Wiedział, że całe jego życie zależy teraz od jednego jedyne hak wbitego w szczelinę gdzieś nad nim, wiedział, że jeśli ten hak nie wytrzyma, to on zaraz runie w dół i czeka go pewna śmierć.

Odmierzał w duchu każdą mikrosekundę. Wydawały się tak nieskończenie długie, że wręcz mógł liczyć jedną za drugą; dopóki zdawał się unosić swobodnie w powietrzu, najdrobniejsza chwila zamieniała się w długą godzinę kryjącą w sobie mnóstwo nieprzewidzianych złych scenariuszy. Mimo wszystko próbował lekceważyć swoje rozedrgane wnętrze i mieć oczy szeroko otwarte, aby nie przegapić jej ręki.

Janine wyciągnęła się ku niemu.

Stała w niszy, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się okno – ogromne, zakończone łukiem u góry okno z kolorowych szybek, połączonych kilkaset lat temu w jeden obraz przedstawiający brodatych mężczyzn w pelerynach i z aureolami.

Teraz szybki już nie było i nigdy nikt nie połączy ich z powrotem. Janine bowiem rozkołysała ciało i nogami do przodu rzuciła się na nie. Mocno zacisnęła powieki i usta, mając nadzieję, że szkło jest cienkie i kruche i jej zbyt nie pokaleczy. Nowe, ciężkie buty trekkingowe trafiły w sam środek szyby i w jednym ułamku sekundy cała gigantyczna mozaika rozprysła się na miliardy drobnych kawałeczków i opadła wokół niej, tworząc barwny i ostry kobierzec.

W głębi mieściła się kaplica. Ta sama, w której ona i William siedzieli i rozmawiali zaledwie cztery dni wcześniej, gdy najbardziej w świecie pragnęli wydostać się stamtąd. Jego stopy oparły się na podłodze tuż obok jej nóg, a dłoń ścisnęła jej rękę z desperacją wibrującą strachem, adrenaliną i błaganiem, by już

nigdy więcej nie robić czegoś takiego.

Musieli przedostać się dalej.

William i Janine poruszali się na rozmytym obrazie jak granatowe ludziki. Za nimi ziała czarna czeluść roztrzaskanego okna, dokładnie w miejscu, gdzie monitor przez wszystkie lata pokazywał mozaikę szaro-błękitnych niuansów, w zależności od pory dnia i położenia słońca. Teraz szyba była rozbita.

Ich sylwetki przesuwaly się wzdłuż rzędów ławek do przodu, po czym zostały wchłonięte przez ciemność i zlały się w jedno z rozmytym obrazem. A gdy zniknęły, nie sposób było przewidzieć, kiedy pojawią się na nim znowu.

Kamery zostały rozmieszczone zbyt rzadko.

Dotąd tego nie naprawiono i raczej już nigdy to nie nastąpi.

Szli w milczeniu, stawiali zdecydowane kroki wzdłuż ścian, które nie były im obce. Janine znała je niemal na pamięć, ich rozkład utrzymał się w jej głowie niczym mapa i dlatego oboje mieli nadzieję, że szybko dotrą tam, dokąd zmierzają.

Liny i haki kołysały się na ich plecach i przy paskach w rytm marszu. William robił wszystko, aby nie patrzeć na nie, nie myśleć, co znaczą: on i Janine będą musieli znowu z nich skorzystać, żeby przedostać się z jednej kondygnacji na drugą, ponieważ nie mają kart zbliżeniowych i jedyna droga prowadzi po zewnętrznym murze.

To go przerażało, ale wiedział, że nie wolno mu się bać.

Szedł więc dalej w ciszy, z tak samo czujnym spojrzeniem jak Janine krok przed nim.

Noc, ciemno. Nie mieli pojęcia, ile osób nadal znajduje się w zamku.

I woleli nie dowiedzieć się tego znieścacka.

William i Janine nie pokazali się już więcej na monitorze. A to znaczyło, że da się wyliczyć, gdzie mogą się znajdować.

Nie mieli kart zbliżeniowych. Zabrano im je razem z kodami, papierami i całą resztą i schowano w bezpiecznym miejscu w zamku.

To z kolei znaczyło, że mają bardzo ograniczony wybór dróg.

Obserwował monitory.

Niezależnie od tego, co tamci planują, on musi coś zrobić.

Janine szła przodem, tak jak wcześniej ustalili, a on tuż za nią. Ona lepiej wiedziała, dokąd doprowadzi ich dany korytarz, gdzie pojawią się następne drzwi i jak długo uda im się posuwać bez kart.

Kierowali się cały czas w dół, bo tam znajdował się ich cel. Natrafiają znowu na odpowiednie okno, a potem ruszą dalej i w końcu znajdą materiały i wszystkie dane, i postarają się, aby już nikt nigdy nie miał do nich dostępu.

Dotarli do środkowego poziomu.

Otwarty hol łączył schody, którymi przyszli, z tymi prowadzącymi niżej. Z jednej strony odbijał w bok długi korytarz, natomiast po drugiej rozlewało się zimne granatowe światło z zewnątrz.

Okno.

Janine skinęła na Williama, dając mu do zrozumienia, że ich droga prowadzi tamtędy. W tej samej chwili, gdy stwierdziła, że jest tuż za nią, gotowy wykonać jej polecenia, zobaczyli go oboje.

Początkowo nie potrafili rozpoznać, do kogo należy sylwetka widoczna na końcu długiego korytarza. Ujrzeni postać, której twarz kryła się w ciemności za smugą zimnego blasku padającego z okna.

Stał na szeroko rozstawionych nogach. Jednak jego postawa nie była niezachwiana, nie budziła respektu, wręcz przeciwnie – odnosiło się wrażenie, że mężczyzna z trudem zachowuje równowagę i z wielkim wysiłkiem prostuje plecy oraz powstrzymuje przed drżeniem ręce, wyciągnąwszy je przed siebie, prosto na nich.

Jedna dłoń obejmowała uchwyt czarnego pistoletu gotowego do strzału.

Druga podtrzymywała ją od dołu.

– Connors? – rzuciła Janine.

Było to stwierdzenie, ale zarazem pytanie. Bo przed nimi rzeczywiście stał Connors, jednak bardzo zmieniony: zlany potem, z wytrzeszczonymi oczyma, aby móc ich jeszcze dojrzeć; tłumił w sobie ból i cierpienie, które zdradzało jego wycieńczone ciało.

– Nie podchodźcie – rzucił.

William uniósł ręce do góry. Zwrócił wnętrze dłoni w jego stronę, jakby chciał mu zasygnalizować, aby poczekał. Poczekaj, mam ci coś do powiedzenia. Poczekaj, spokojnie.

Zrobił krok do przodu, jeden jedyny, ale to wystarczyło, by Connors się cofnął – jeszcze mocniej wyprężył ręce w ich kierunku i prawym palcem wskazującym dotknął spustu.

– Stójcie, gdzie stoicie. I posłuchajcie mnie.
– To niech pan nas posłucha – rzekł William. – Przychodzimy tu, żeby wszystko wyjaśnić. Jeśli nam pan zaufa, Connors, to wyjdziemy z tego.

Generał pokręcił głową.

– Ja już z tego nie wyjdę.

Nic więcej nie powiedział.

Stał nieruchomo z wyciągniętą bronią.

William zrozumiał.

– Jest pan zarażony?

– Nie podchodźcie – powtórzył.

To oznaczało potwierdzenie.

Na chwilę zapadła cisza. William mógł spytać, kiedy, jak i gdzie, ale nie miało to przecież żadnego znaczenia.

Connors mógłby oczywiście im opowiedzieć – prawdopodobnie natknął się na kogoś w czasie swoich wypraw przed przenosinami, może ucisnął komuś rękę, on sam albo jego pilot z helikoptera, widocznie zarazili się nawzajem, ale teraz nie odgrywało to już żadnej roli, bo było za późno. I jeżeli nawet chciałby kogoś o to obwinić, to nie mógł. Bo on stworzył przepisy, które go zabiły.

– Nie powinniście byli tu wracać – powiedział.

– Chętnie byśmy nie wrócili. Gdybyśmy mieli wybór – wyjaśniła Janine.

Connors przeniósł na nią spojrzenie, usiłując popatrzeć jej w oczy. Jakby chciał przeprosić ją za to, co przeżywała przez ostatnie pół roku, za jej cierpienia, które do niczego nie doprowadziły.

– Nie ma ratunku – rzekł Connors.

– Uważamy, że jest.

– Tego nie da się już zatrzymać.

– Wiemy.

Ponownie zaległa cisza. Po chwili William odezwał się spokojnym tonem:

– Nie jesteśmy tutaj po to, żeby zatrzymać działanie wirusa.

Connors spojrział teraz na niego.

Nie rozumiał.

– To po co? – spytał.

– Żeby zatrzymać nas samych.

Zimne światło nocy rozlewało się po asfalcie. Kiedy stalowa żaluzjowa brama uniosła się do góry, zamieniło się z pojedynczej smugi w szeroki korytarz, odsłaniając po kolei linie, strzałki i całą przestrzeń aż do rampy przeładunkowej na drugim końcu.

Przed bramą stał Franquin i trzech ochroniarze. Latarki przeszukiwały hangar. Spojrzenia mieli wyczulone na najdrobniejszy ruch, na najmniejszy obcy cień, na cokolwiek, co mogłoby stanowić zagrożenie.

Ale w środku nikogo nie było. Brama opadła z trzaskiem z powrotem na ziemię. Dwóch ochroniarzy zostało na zewnątrz z bronią gotową do strzału, a trzeci poszedł z Franquinem.

Franquin przyłożył swoją kartę zbliżeniową do puszkii przy drzwiach i ruszył długim oświetlonym korytarzem ze śladami po kołach, które przez dziesiątki lat toczyły się tędy ku przejściom czekającym po drugiej stronie.

W oczach Connorsa stojącego nadal na drugim końcu korytarza pojawiło się powątpiewanie.

To, co powiedział Sandberg, było czyste i proste.

Mimo to on nie chciał w to uwierzyć, albo może właśnie dlatego.

Tkwiał tutaj przez trzydzieści lat. A przed nim niemal tak samo długo setki mężczyzn i kobiet szukało odpowiedzi, odczytywało kody, robiło wyliczenia i próbowało zapobiec temu, aby przyszłość dobiegła kresu, a nikomu nie przyszło do głowy to, co teraz powiedział William. To po prostu niemożliwe.

Nie chodziło o to, że on mógłby nie mieć racji. Trudno jednak przyjąć, że wszyscy pozostali aż tak się mylili. Że nikt nie podniósł wzroku, nie cofnął się o krok od ściany i nie pomyślał nieco szerzej. To go bolało. To naprawdę bolało.

Lecz nie powiedział tego. W ogóle nic nie powiedział, tylko stał nieporuszony z protestem w oczach, podczas gdy w ciszy mijały kolejne sekundy.

Williamowi przemknęła przez głowę myśl, że oto role się odwróciły. Teraz on otwiera drzwi przed Connorem, drzwi, których tamten nigdy nie dostrzegł.

Jedynie strona w książce. Notes na półce.

Mówił powoli i spokojnie, używając tych samych słów co wobec Janine przy kuchennym stole.

– Gdybyśmy nigdy nie odkryli, co nosimy w sobie – ciągnął – gdybyśmy nigdy nie byli do tego stopnia szaleni, by znaleźć sekwencje w naszym własnym DNA, gdybyśmy nie odczytali informacji o naszej zagładzie, to czy stworzylibyśmy tego wirusa?

On już znał odpowiedź i chciał, aby Connors pomyślał tak samo.

– Zadawałem sobie to pytanie wielokrotnie – rzekł Connors. – Więcej razy niż pan przypuszcza.

– I do jakiego wniosku pan doszedł?

Generał lekko przekrzywił głowę. Spojrzał na Williama w taki sposób, jakby ta

rozmowa była poniżej jego godności i dlatego nie zamierzał mu odpowiedzieć.

Lecz prawda była taka, że on nigdy nie doszedł do żadnej konkluzji. Bo każda odpowiedź stawała się pytaniem, więc przestał je sobie zadawać już dawno temu i po prostu zaakceptował, że problem wygląda tak a nie inaczej. Jedyne, co mogli uczynić, to szukać rozwiązania, i właśnie to robili.

William niemal widział myśli Connorsa.

Mógł je teraz skierować na właściwe tory.

– Kiedy chciałem więcej wiedzieć – rzekł – zawsze słyszałem od pana, że im mniej wiem, tym lepiej.

Connors spojrział na niego. Nie zareagował.

– Mówił pan, że określona wiedza nie jest przeznaczona dla nas.

Nie dodał nic więcej. Nastąpiła cisza.

– Miałem więcej racji, niż sądziłem – odparł wreszcie Connors.

– Niż ktokolwiek z nas sądził – uzupełnił William.

Znowu zapanowała cisza. A potem Connors opuścił broń.

Spojrzał z daleka Williamowi w oczy. Potem Janine. Wydawało się, że jest świadom tego, co oboje próbują mu powiedzieć, i również tego, co należy teraz zrobić, nawet jeśli będzie to bardzo bolesne.

– Zamierzacie zniszczyć materiały, prawda?

– To, co się dzieje, już się dzieje – odparł William. To było potwierdzenie.

– Możemy zapobiec jedynie temu, aby nic takiego nie wydarzyło się powtórnie – powiedział Connors.

Zrozumiał, co oni dwoje myśleli.

Mógł wybrać i zaufać Williamowi albo trzymać się własnego scenariusza, który sam opracował i spisał. Lecz jeśli zdecyduje się na rozwiązanie Williama, to jednocześnie przyzna, że wszystko, co robił przez trzydzieści lat – wszystkie jego myśli, plany i wnioski – nie miało sensu i nie jest nic warte. Trudno mu było skupić się na własnych myślach, gdy całe jego ciało ogarniało świerzbienie i mówiło mu, że niedługo umrze.

Odpowiadając sobie samemu, potrząsnął przecząco głową.

Wszystko ułożył, zaplanował. Określił, jak mają przetrwać, gdzie się schronić, w jaki sposób ująć śmierci, która nikogo miała nie oszczędzić. I czym to się skończyło?

Oto pojawia się ktoś i ma zupełnie inny plan.

Może najwyższa pora pozwolić komu innemu przejąć stery.

Zastanawiał się.

I w końcu podjął decyzję.

Spojrzał na nich i powiedział:

– Pójdę do centrum dyspozycyjnego. Otworzę wam.

Kiedy przy wszystkich drzwiach w całym zamku czerwone światelka zamieniły się na zielone, Franquin zajęty był czym innym.

Co prawda nadal niepokoił się śladami pozostawionymi na drodze, ale nic nie wskazywało na to, aby ktoś próbował sforsować bramę do hangaru, a innych dróg prowadzących do środka nie było. Chyba że z powietrza.

Teraz stał na końcu długiego zimnego korytarza, w którym ciągnęło od hangaru, i zastanawiał się, czy szybciej będzie, jeśli popędzi dalej sam, czy przyda mu się pomoc.

A kiedy lampki kontrolne przy drzwiach przełączyły się na kolor zielony, on akurat odwrócił się i patrzył na korytarz, który właśnie opuścił. Zgodnie z przepisami zostawił ostatniego ochroniarza, aby pilnował hangaru, jednak teraz się zatrzymał i rozważał, czy nie powinien zrobić inaczej – zabrać go ze sobą, powierzając hangar tylko tym dwóm z zewnątrz.

Uznał, że szybciej mu pójdzie samemu.

Miał wszystko co trzeba, aby wyczyścić komputery, wejście do systemu zabierze mu najwyżej kilka minut, a potem wróci na statek ze wszystkimi sekwencjami i tekstami. Pomoc przy niesieniu nie będzie mu potrzebna, a w środku nie spodziewał się ataku z niczyjej strony.

Była to zdecydowanie robota dla jednej osoby. Tak było zapisane, a on przecież wiedział, że reguły są po to, aby ich przestrzegać.

Ruszył więc przez korytarz szybkim krokiem z kartą zbliżeniową w dłoni. Nawet nie przeszło mu przez myśl, że drzwi mogą być już pootwierane.

Connors miał własną propozycję i nie ulegało wątpliwości, że jego plan był efektywniejszy od tego pierwotnego.

Janine i William pokonywali korytarz za korytarzem, mijali drzwi mrugające do nich zielonym światłem, przecinali rozległą sieć przejść ze stali i betonu, cały czas jednak pozostając na tym samym poziomie budowli.

I w końcu stanęli przed pomieszczeniem, które minęli zaledwie dwie noce wcześniej.

Wszystko było cięższe, niż sobie wyobrażali. Ale na szczęście stały tam wózki do przewożenia różnych sprzętów, więc zaczęli je załadowywać. Mieli nad czym się zastanawiać, bo materiałów było dużo, a oni chcieli wziąć jak najwięcej, tymczasem nie wiedzieli, ile jeszcze zostało im czasu.

W głębi ducha czuli, że Connors już długo nie wytrzyma.

A cały plan opierał się na tym, że musi im się udać skończyć, dopóki on jest przy życiu.

Odległość między nimi cały czas malała, choć żadne z nich o tym nie wiedziało.

Ani Janine, która w milczeniu ciągnęła skrzynkę za skrzynką i zostawiała ją na podłodze Williamowi.

Ani William, który układał je jedna na drugiej, mając nadzieję, że dosyć lekki stalowy wózek wytrzyma ten ciężar.

Ani Franquin, którego podeszwy odbijały się twardo od podłoża, kiedy nadchodził szybko od strony hangaru i mijał schody za schodami.

Ani Connors. Stał wpatrzony w monitory, widział ich, jak przeszli tylko w jedną stronę, co oznaczało, że wciąż stamtąd nie wyszli.

Przymknął oczy, próbując zapanować nad emocjami. Nad swędzeniem, nad świadomością, co dzieje się z jego ciałem, ale przede wszystkim starał się za wszelką cenę nie myśleć o tym, że wszyscy tamci ludzie właśnie dokładnie tak się czuli. Tamci mężczyźni i tamte kobiety, których nie znał i których nazwisk nigdy nie chciał poznać, którzy leżeli na łóżkach za szklaną ścianą i wiedzieli, że ich ciała się rozpadają, ale nie pojmowali dlaczego. To była jego wina, jego i wszystkich pozostałych, a nie doprowadziło to zupełnie do niczego, toteż w tej chwili za wszelką cenę usiłował odsunąć od siebie te dręczące myśli.

Swędziała go skóra na plecach i na rękach, coraz mocniej, zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli nawet nie zacznie się drapać, to ona i tak nie wytrzyma długo.

Stał dalej i wpatrywał się w monitory.

Z niecierpliwością czekał, żeby zobaczyć Janine i Williama, jak wreszcie wracają, bo nie miał już siły walczyć dłużej, chciał, żeby nastąpił koniec i go uwolnił.

Obok niego znajdował się komputer czuwający nad wszystkimi drzwiami w zamku i rejestrujący kody kart przykładanych do drzwi.

Nie patrzył na niego, no bo po co?

Przecież wszystkie drzwi są otwarte. William i Janine przemknęli przez nie szybko, a on dobrze wiedział, gdzie się teraz znajdują, więc nie było żadnego powodu, aby sprawdzać monitor.

Ale gdyby jednak spojrzął...

Zobaczyłby wtedy, że karta zbliżeniowa Franquina jest przykładana do kolejnych drzwi. Że kolumna kodów na monitorze wydłuża się w miarę, jak karta jest rejestrowana w kolejnych przejściach, począwszy od korytarza ze śladami kół na

ziemi przez wszystkie inne usytuowane na dole, a potem coraz wyżej i dalej od wietrznego poziomu w pobliżu hangaru. Siła przyzwyczajenia jest ogromna – zielona lampka przy każdych drzwiach świeciła jednostajnym światłem, jednak Franquin nawet na nią nie patrzył i automatycznie przykładał kartę. Cały czas trzymał ją w ręku, spieszył się i mijał kolejne drzwi, nie mając w ogóle pojęcia, że to nie on je sobie otwiera.

Gdyby Connors rzucił okiem na monitor, od razu by to zobaczył.

Lecz nie zrobił tego.

Franquin był coraz wyżej.

Stały tylko dwa wózki, ale nawet gdyby mieli ich jeszcze kilka, i tak nie zdołaliby zabrać więcej materiałów. Kiedy oba wyładowali już maksymalnie, William skinął na Janine, co oznaczało, że skończyli. Ona pchała przed sobą jeden, on – drugi i chociaż były ciężkie, nie skarżyli się. Ruszyli tam, gdzie wskazał im Connors.

Mieli dość sił.

Wreszcie nadszedł moment, na który Connors czekał. William i Janine po chwili, która nie trwała pewnie dłużej niż kwadrans, a która jemu wydawała się wiecznością, pokazali się znowu na monitorze. Wracali. Connors odetchnął i właśnie gdy się odwracał, aby wyjść...

Jego wzrok padł na monitor obok.

I na wypełniające ekran całe kolumny kodu karty Franquina.

Zastanawiał się dokładnie przez dwie sekundy.

Więcej nie miał, a kiedy minęły, zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić.

Zgranie w czasie było idealne, a ironia losu doskonała, ale ani jedno, ani drugie nie było zamierzone.

Franquin podszedł właśnie do kolejnych drzwi i przyłożył kartę do zamka, kiedy uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Lampka zmieniła kolor na czerwony.

A to nie tylko znaczyło, że znowu jest coś nie w porządku z jego kartą, ale również, że przed sekundą drzwi były otwarte. Nasuwało się więc pytanie, dlaczego, u diabła?

Czy ktoś przed nim przeszedł przez te drzwi? Ale przecież by to widział. Czy

zamki zostały pootwierane centralnie? W takim razie po co? Ponownie podniósł kartę do góry, przytknął ją do puszki raz i drugi, lecz jedyną reakcją były przeciągłe brzęczenie i czerwone błysnięcie, a drzwi nadal pozostawały zamknięte.

Czuł, jak narasta w nim głęboki niepokój. Zawrócił, popędził korytarzem z powrotem do drzwi, przez które przed chwilą przeszedł i przez które będzie mógł wrócić do hangaru, jednak mechanizm ponownie nie zadziałał. Przyłożenie karty do czytnika wywołało znowu tylko buczenie.

Utknął w części zamku pełnej pustych biur.

Utknął między parą zamkowych drzwi.

Connors zawołał do nich z końca korytarza, aby się zatrzymali. Posłuchali go.

– Franquin wrócił – krzyknął.

Dwa zwyczajne słowa. Ale ton mówił wszystko.

Ich plan właśnie mógł się nie powieść.

– Gdzie on jest?

– W tym momencie jest uwięziony między parą drzwi. Jeden poziom niżej. Nie ma się jak stamtąd ruszyć. Tyle że w tej sytuacji wy też nie możecie się ruszyć.

Nie miał siły im wyjaśniać. Pocił się i tracił siły z każdą sekundą, a gdzieś tam pod nimi stał Franquin z kartą zbliżeniową, której kodu Connors nie znał. Gdyby był Keyes, wiedziałby, jak ma ją zablokować i nie uwalniając Franquina, pozwolić Williamowi i Janine zniknąć – gdyby to potrafił, nie byłoby żadnego problemu. Poza przeraźliwie śwędzącymi plecami i rozpalonymi oczami, ale na to nawet Keyes nie potrafiłaby nic poradzić.

Przymknął powieki. Słyszał głos Williama w oddali, słyszał jego pytanie, co mają teraz zrobić, ale nie wiedział, czy to było jedną sekundę czy dziesięć sekund temu.

Nadludzkim wysiłkiem woli zmusił się do powrotu.

Spojrzał na nich, daleko przed sobą.

– Jest tylko jedno wyjście – powiedział. Po chwili dodał: – Ile czasu może trwać zdjęcie tego wszystkiego?

Wskazał głową na wózki, które stały przed nimi. William rzucił okiem do pomieszczenia tuż obok Connorsa. Załadowanie materiałów zajęło im z piętnaście minut, ale rozładowanie nie powinno im zabrać więcej niż pięć. To właśnie mu powiedział.

– Nie mam wyboru – rzekł generał. – Bo żebyście wy mogli wyjść, drzwi muszą zostać otworzone. Ale w tej samej chwili, kiedy was wypuszczę...

Reszty nie musiał dopowiadać.

Jeśli Franquin ich dopadnie, z całą pewnością nie będzie tak wyrozumiały jak

Connors.

– Daję wam dokładnie pięć minut. Potem pootwieram drzwi. Będziecie mogli wrócić na górę i wynieść się z zamku.

William skinął głową. Wszyscy troje stali nieruchomo w miejscu.

– A co będzie z panem? – spytała Janine.

Zwrócił na nią spojrzenie. W jej głosie dało się wyczuć niepokój. Prawdziwy niepokój, który sprawił, że pytanie zabrzmiało wyjątkowo szczerze. Connors stał milcząco, jakby po raz pierwszy musiał to pytanie zadać sobie samemu i jednocześnie sformułować odpowiedź, której nie chciał słyszeć.

– Przecież wiadomo, co będzie ze mną – odparł ze smutnym uśmiechem.

Patrzyli na niego w milczeniu, bo co mogli mu powiedzieć? Stał naprzeciw nich na drugim końcu korytarza, jeszcze żywy, ale skazany na śmierć. Był dobrym człowiekiem w dziwnym miejscu, a wszystko, co robił, czynił w dobrej wierze.

– Jak się pan czuje? – spytał wreszcie William.

– Mamy tabletki – odpowiedział Connors. Starł się nadać głosowi jak najbardziej niefrasobliwe brzmienie. – Daję radę.

Nikt się nie odezwał. Jedynie oczy Williama i Janine mówiły: a tak naprawdę?

– Nie kłamie – dodał Connors. – Czuję się dobrze. Potrafimy tłumić symptomy, więc da się wytrzymać. Możecie mi wierzyć.

Da się wytrzymać. Tylko słowa bolały.

– Dzisiaj rano wziąłem pół opakowania, prawie już nie czuję swędzenia. To chyba dobry znak? – Usiłował się uśmiechnąć. – Prawda?

William przyjrzał mu się uważnie. Przez sekundę. Dwie.

– To bardzo dobry znak.

Uśmiech Connors'a mówił „dziękuję”. Ale głos nie mówił nic.

Popatrzył na Janine, spojrzał na Williama. Stali na dwóch przeciwległych końcach korytarza i patrzyli na siebie nawzajem; pożegnanie bez fizycznego kontaktu, ponieważ inaczej się nie dało.

Nie staliby tak długo ze wzrokiem utkwionym w siebie nawzajem, gdyby wszyscy troje nie wiedzieli, że widzą się po raz ostatni.

Franquin miał głowę przytkniętą do ściany, kiedy lampka przy drzwiach nieoczekiwanie zmieniła kolor na zielony.

Minęło dokładnie pięć minut, podczas których zdążył przejść przez wszystkie stadia emocji – od wściekłości przez panikę i rezygnację, aż w końcu się opanował i zmusił do zastanowienia nad jakimś racjonalnym rozwiązaniem. Nie zdołał jednak go znaleźć. Oparł więc czoło o zimne kamienie i nagle usłyszał za sobą znajome

kliknięcie. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Na chwilę zamarł i w ogóle się nie ruszał. Odwróciwszy się, patrzył na zieloną diodę, jakby robiła sobie z niego żarty. Następnie uniósł broń, lewą dłonią podtrzymując prawą, gotowy na wszystko.

Teoretycznie mogła to być oczywiście usterka techniczna. Ale tylko teoretycznie. Bo przecież znajdował się w lodowatych korytarzach pod mrocznym zamkiem w Liechtensteinie, gdzie nie powinno być żywej duszy. Nie powinno. Lecz Connors musiał się przecież gdzieś podziewać, a ta zabawa z zamkami – bez względu na to, co się za nią kryje – świadczy jednoznacznie, że jest właśnie tutaj.

Wciąż z bronią w ręku, Franquin ostrożnie pchnął drzwi ramieniem.

Nikogo. Wszędzie stal i beton. Dalej, w głębi, następne drzwi, a za nimi schody prowadzące w górę na kolejny poziom. Biegł pod samą ścianą, ściskając obie dłonie na rewolwerze, gotowy w każdej chwili zareagować.

Jeszcze jedno drzwi.

Dioda świeciła z daleka zielonym światłem.

Nie ulegało wątpliwości: w zamku ktoś jest.

Znowu otworzył drzwi ramieniem, cicho wbiegł schodami na górę i znalazł się w dużym korytarzu.

Było cicho, sterylnie i całkowicie bezpiecznie.

Drzwi były pootwierane.

Ale wszystko wymaga czasu.

Janine i William pędzili przez zamek, pędzili, nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie, pędzili po wypukłych kamieniach i mieli nadzieję, że zdążą.

Widzieli to miejsce po raz ostatni. Schody, pokoje, korytarze, w których Janine ukrywała Williama przed ochroniarzami, sklepienia, przejścia i wielką salę z żyrandolem i projektorami.

I wszędzie niepozamykane drzwi, wystarczyło je pchnąć w biegu, nawet nie przystając; oboje byli zadyszani, śmiertelnie wystraszeni, a jednocześnie pełni nadziei. W ustach czuli posmak krwi, nie mogli złapać tchu, ale to nie miało najmniejszego znaczenia.

Pędzili cały czas przed siebie, bo tylko to im pozostało.

Biegli, oddychali, nie tracili nadziei, biegli.

A za ich plecami dyszał czas.

Niedługo ich dopadnie.

Kiedy Franquin zauważył jakiś ruch, było już za późno.

W pierwszej chwili dostrzegł światło – światło, które migotało, lecz w ogóle nie dawało cienia. W ciemności był on. Stał pośrodku przejścia, zrobił jeden krok do przodu, w rękach trzymał pistolet skierowany prosto we Franquina, jak jeszcze kilka minut wcześniej w Williama i Janine.

Teraz był pewniejszy. Drżał w dalszym ciągu, ale z gorączki, a nie z niezdecydowania. Wiedział, że zrobił dobrze, i teraz może go swędzicie, ile chce, bo już niedługo i tak wszystko się skończy.

– Na twoim miejscu zostałbym tam, gdzie jesteś.

Powiedział tylko tyle. Nic więcej. Nie opuszczał pistoletu.

Franquin uniósł swój.

– Dobrze wiesz, że moim obowiązkiem jest je zabrać – rzucił.

– Wiem – odparł Connors.

– Więc dlaczego? Dlaczego to robisz?

Dlaczego mnie zatrzymujesz – to miał na myśli. Zatrzymujesz i postępujesz wbrew zasadom, zostajesz w zamku, zamiast przenieść się na statek, no i co, u diabła, stało się z helikopterem?

O to wszystko chciał zapytać, jednak nie zdążył.

Zobaczył to w blasku światła. Twarz Connorsa była mokra od potu, wysiłku i bólu, Franquin nigdy jej takiej nie widział.

– Jesteś chory – stwierdził, nie opuszczając pistoletu.

Ich spojrzenia spotkały się ponad kamienną posadzką.

– Stworzyłem tyle różnych scenariuszy – odezwał się Connors – a czegoś takiego nie byłem w stanie nawet sobie wyobrazić.

Uniósł lekko ramię, żeby pokazać, co ma na myśli. Ich obecną sytuację, zamek, siebie i jego. To tutaj wszystko się skończy. Ale skąd mogliśmy wiedzieć?

– Zdajesz sobie sprawę, po co tu jestem – powiedział Franquin.

Connors potrząsnął głową. Nie dlatego, że nie wiedział, wręcz przeciwnie, wiedział doskonale.

– Pamiętasz, jak zawsze powtarzaliśmy, że lepiej ocalić chociaż nielicznych, niż pozwolić, by wszyscy ulegli zagładzie?

Franquin nie odpowiedział. Chyba domyślał się dalszego ciągu i obawiał się, że mu się nie spodoba.

– Mieliśmy rację – uzupełnił Connors. – Ale nas nie będzie wśród tych, których uratujemy.

Stali nadal z pistoletami wymierzonymi w siebie nawzajem, obaj świadomi tego, że to nie ma sensu. Sytuacja niepoddająca się żadnym regułom, zadanie szachowe, którego nie sposób rozwiązać: Connors stanowił dla Franquina większe zagrożenie

niż kiedykolwiek jakikolwiek pistolet, a broń Franquina nie była bardziej zabójcza niż choroba, którą Connors nosił już w sobie.

– Pozwól mi przejść – zwrócił się do niego Franquin.

Connors pokręcił głową.

– Ja nie chcę cię zastrzelić – dodał Franquin.

– Nie uda ci się – rzekł Connors.

W jego głosie było coś, co sprawiło, że Franquin zrozumiał.

Światło padające z boku. Żarzące się.

Znajdowali się przed krematorium i dopiero w tym momencie Franquin pojął do końca, co to znaczy. Niech szlag trafi Connorsa, niech szlag trafi wszystko! Rzucił się w kierunku drzwi, żeby zajrzeć do środka.

Connors pozwolił mu na to. Cofnął się, nie opuszczając broni. Pozwolił mu stanąć na progu i domyślić się, na co patrzy.

Po chwili ciszy Franquin się odezwał:

– Jak mogłeś!

Nie mógł złapać tchu ze wzburzenia.

Odwrócił się w drzwiach, pistolet wciąż trzymał w górze, ale to nie miało już najmniejszego znaczenia, bo wkrótce wszystko skończy się dla nich obu i już nic nie da się na to poradzić.

W pomieszczeniu za plecami Franquina za żaroodpornymi szybami syczał ogień, promieniował ciepłem przez kilkuwarstwowe szkło. Na taśmie z tulejek leżała jedna samotna skrzynia.

W otworze w głębi tańczyły płomienie, takie same jak te, które jakiś czas temu pochłonęły ciało Watkins. Teraz miały strawić oliwkową skrzynię. A kiedy to nastąpi, nadejdzie wreszcie kres.

Obok taśmy stało jeszcze więcej skrzyń.

Szarych, zielonych, malowanych w moro.

Białe i żółte napisy po rosyjsku, angielsku i w wielu innych językach.

Dotarli właśnie do drewnianych drzwi w wąskim i niskim przejściu prowadzącym do kręconych schodów wiodących z kolei na taras, z którego mieli się spuścić w dół, aby się stąd wydostać.

Była kilkadziesiąt kroków przed nim, kiedy usłyszała odgłos tylko swoich stóp na stopniach i odkryła, że nie ma go za nią.

Odwróciła się.

Przykucnęła, aby spojrzeć w przejście.

– Nie mogę – powiedział tylko.

Stał tuż przed drzwiami. Nie zrobił za nią ani jednego kroku po schodach. Zeszła jeden stopień i jeszcze jeden, doskonale wiedząc, że nie mają czasu. O co znowu chodzi?

– Co ty wyprawiasz? – spytała z wyrzutem, irytacją, strachem i wściekłością.

– Poczekaj na mnie pięć minut – powiedział. – Jeśli do tego czasu nie wrócę, idź sama.

Wrzasnęła coś w odpowiedzi, nawet nie bardzo wiedziała co dokładnie, ale on i tak nie słyszał, bo już zniknął i tylko było słychać odgłos jego biegnących nóg.

Z jednej strony doszła do wniosku, że skoro ten stary głupiec tak bardzo chce umrzeć, to proszę bardzo, niech sobie robi, co chce. Ale z drugiej wiedziała, że go nie zostawi.

Franquin pierwszy opuścił broń.

Potem to samo zrobił Connors.

Stali naprzeciw siebie.

Connors się uśmiechał.

Uśmiechał się, mając w oczach łzy, ale nie łzy smutku, tylko ulgi, że w końcu dotarli do celu, uśmiechał się ciepło i ze spokojem, co zdumiało Franquina, nie, raczej zmartwiło, zmartwiło i przygnębiło, przepełniło poczuciem, że wszystko minęło.

Connors zaczął mówić.

Opowiedział, co usłyszał od Williama, przyznał, że ich rozumowanie było fałszywe. Bo wielu miało umrzeć, bardzo wielu, ale nie wszyscy. Do jego oczu znowu napłynęły łzy, mimo że wciąż się uśmiechał: te małe kręgi na mapie będą rosnać, lecz to bynajmniej nie znaczy, że wszyscy znikną z powierzchni ziemi.

Mówił o tym, o czym oni sami nigdy nie pomyśleli.

Że kody nie kończą się tam, gdzie oni sądzili.

Że ciągną się i ciągną bez końca. Człowiek doświadczy pewnie jeszcze wielu katastrof albo sukcesów i szczęścia bądź jednego i drugiego po trochu, i pewnie gdzieś to jest zapisane. Ale tego nikt nie przeczytał.

Poświęcili swoje życie na znalezienie rozwiązania. Zamiast zrozumieć, że pytanie było źle postawione.

Powiedział tylko tyle, ale to wystarczyło.

– A ty się bałeś, żeby oni się nie dowiedzieli wszystkiego – dodał jeszcze.

Na jego twarzy pojawił się i smutek, i uśmiech, i ironia.

Dwóch mężczyzn w mundurach; jedyne, co im pozostało, to duma

i wyprostowane plecy oraz świadomość, że poświęcili życie, by zrobić, co się dało.

– Myliłeś się jednak – powiedział Connors.

Stwierdził to z uśmiechem, który mówił co innego niż słowa.

Jego uśmiech mówił: dziękuję. Dziękuję ci za ten czas. Dziękuję za wszystko.

– Chyba myliliśmy się obaj – rzekł Franquin.

Na chwilę zaległa cisza.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie.

– Jakoś będę z tym żył – odparł Connors.

Franquin skinął głową.

Już niedługo żaden z nich nie będzie żył ani z tym, ani z niczym innym.

Janine dopadła Williama w jego pokoju do pracy. Tam, gdzie wcześniej na ścianach wisały papiery i gdzie na biurku nadal wszystko stało jak przedtem: książki, komputery.

Zatrzymała się w drzwiach, nic nie mówiła.

Nie wiedziała, mimo to rozumiała.

William podszedł do swojego biurka, stał nieruchomo przed komputerami i patrzył na nie. Janine widziała tylko jego plecy, ale to jej wystarczyło. Nie musiała widzieć twarzy, aby się domyślić.

Pośrodku blatu leżał jego notes, ten oprawny w czarną skórę. William sięgnął po niego, wsunął do wewnętrznej kieszeni kurtki, następnie przykucnął przed biurkiem.

Twarz miał na wysokości komputerów.

Po prawej stał ciężki zielony, któremu nadał imię Sara. Położył na nim rękę, delikatnie i z czułością, trzymał ją na nim przez dłuższą chwilę, nic nie mówiąc, mimo to można było odnieść wrażenie, że z nim rozmawia.

Po kilku sekundach podniósł się.

Nie słyszał, że weszła tu za nim.

Zobaczył ją stojącą w drzwiach, spotkał jej wzrok i dostrzegł w oczach pytanie. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się w duchu.

Skinął na nią głową, dając do zrozumienia, że najwyższa pora się stąd wynosić. Po czym odpowiedział na pytanie, którego ona nie zadała.

– Tym razem chciałem się pożegnać.

Wcześniej czy później musiało to nastąpić. I w końcu nadszedł ten moment.

Skrzynia była drewniana, pomalowana na zielono, a żar buchający z otworu w ścianie tak potężny, że nic nie mogło mu się oprzeć.

Mimo że stała w odległości jeszcze kilku centymetrów do płomieni, mniejszy bok już poczerńiał i prawie się zwęglił. Potem wystarczyło jedynie parę sekund i kiedy amunicję w skrzyni dosięgnął ogień, nie było już odwrotu.

Naokoło stały pozostałe skrzynie. Fala gorąca rozlała się w ułamku sekundy, wywołując reakcję łańcuchową i uruchamiając skoncentrowane siły, narastała i narastała, aż wreszcie eksplodowała przez masywną szybę i potoczyła się dalej.

Dla mężczyzn na korytarzu wszystko skończyło się wraz z jednym niszczyielskim powiewem powietrza.

William upadł pierwszy.

Oboje przewrócili się pod wpływem wstrząsów, twarzą na wilgotne kamienie, próbowali się czegoś chwycić, ale się nie dało. Janine, na próżno usiłując tak samo jak on kurczowo trzymać się ziemi, miała zamknięte oczy i chroniła twarz przed kamieniami oraz odłamkami, które spadały i odbijały się obok nich po zboczu.

Biegli.

Gdy znaleźli się na tarasie, nie pozwoliła mu się zawahać ani chwili. Zaczęła spuszczać się w ciemności po linie, a on za nią. Choć było to wciąż śmiertelnie niebezpieczne i przerażające, nie mieli wyboru: jeśli zostaliby w zamku, wydaliby na siebie wyrok. Mogą oczywiście spaść, ale istniała nadzieja, że liny wytrzymają i że on zrobi dokładnie to co ona – wtedy uda im się jeszcze trochę pożyć.

Spuszczali się po linie metr po metrze, odbijając się stopami od pionowej skalnej ściany, aż wreszcie dotknęli stopami ziemi. William był cały zlany potem – mimo nocy, mrozu i świadomości, że w gruncie rzeczy jest mu zimno. Najchętniej położyłby się teraz na trawie i ochłonał, ale na nic takiego nie mieli czasu.

Zbiegali niżej. Zostawili taras i zamek za sobą i pędzili w dół zbocza ku jezioru; okrążyli je, aby znaleźć się jak najdalej, zanim to nastąpi.

Czasu było coraz mniej.

Właśnie rozpoczęli wspinaczkę pod górę po drugiej stronie, kiedy czas dobiegł kresu.

Wyglądało na to, że wstrząsy nigdy się nie skończą. Strome zbocze i wibrujące pod stopami podłoże sprawiały, że nie mogli utrzymać się na nogach, zaczęli więc spadać. Usiłowali złapać się czegokolwiek, aby się zatrzymać, ale żadnemu z nich się nie udało. Ześlizgiwali się po drobnych kamieniach, zaciskając zęby z bólu, czuli, jak trą po nich dłońmi i przedramionami, jakby oboje mieli po dziesięć lat, jechali na rowerach i przewrócili się na asfalt.

Aż w końcu...

Janine pierwsza zdołała się zatrzymać. Czowała, jak prześlizguje się po płaskim kamieniu, więc w ostatniej chwili chwyciła go dłońmi, zaczepiła mocno palce o jego krawędź i w końcu przestała spadać. Wyciągnęła się w kierunku Williama, złapali się siebie jednocześnie, kurczowo wczepili się jedno w drugie, podczas gdy wstrząsy i huk nadal nie ustawały, a obok nich leciały w dół skalne odłamki.

Gdzieś pod ziemią już się zaczęło. I nikt nie miał pojęcia, jak długo potrwa.

William otworzył oczy. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, z głową przyciśniętą do ziemi i osłaniając twarz. Wyrzwał spod swoich ramion, potoczył spojrzeniem w dół, na jezioro, na rozchodzące się koncentrycznie kręgi, które wypiętrzała drżąca ziemia, i dalej, ku zamkowi na drugim brzegu.

Stał nadal.

Stał niezmiennie jak przez wiele stuleci – ale już niedługo.

Teraz pozostawało im tylko trzymać się mocno, wsłuchiwać w wibracje i podziemne dudnienie, które narastało, wyraźnie zapowiadając to, co wkrótce miało nastąpić, i nic poza tym.

Na najbliższą chwilę składała się przyszłość, której nie dało się zapobiec.

Materiały wybuchowe zrobiły swoje.

Najpierw przesunęły się po taśmie ku otworowi z wibrującym ogniem na drugim końcu, gdzie nie tak dawno płomienie pochłonęły ciało Heleny Watkins, a teraz przenosiły się ze skrzyni na skrzynię i potem nie dało się już niczego powstrzymać.

Fala uderzeniowa rozlała się po całym systemie podziemnych tuneli.

Jak szaleńczo rozpedzona kolejka metra ogień, żar i dym wpadały w korytarze, rozdzielały się w różnych kierunkach, by znowu się spotkać na klatkach schodowych.

Niczym woda w systemie kanalizacji ogień wzbierał w podziemnych labiryntach, nabierał intensywności i trawił wszystko na swej drodze.

Audytoryum. Niebieskie krzesła przed monitorami. Nikogo tam nie było i nikt nie widział, jak ekrany zapalają się same od żaru, nim do środka wtargnęła fala ognia, nikt nie widział, jak się zwęglają w szalonym podmuchu gorąca, po czym rozpedzony pociąg popędził dalej i nie zamierzał się zatrzymać. Wypełniał pomieszczenie za pomieszczeniem chmurami dymu rozkwitającymi na czerwono i żółto, topił i palił wszystko, co spotkał, nigdzie nie przystawał, tylko gnał przed siebie.

Sala z rzędami ciał.

Przejścia ze stali i aluminium.

Wielka hala komputerowa, szeregi dysków, stanowiska pracy z panelami i lampkami kontrolnymi, które mrugały przez pięćdziesiąt lat. Wszystko to zniknęło pochłonięte przez ogień, tak by nikt nigdy się nie dowiedział.

Na końcu każdego korytarza znajdowały się grube, ciężkie drzwi niesłużące teraz niczemu.

Bez najmniejszego oporu ustępowały przed falą uderzeniową, przepuszczały ogień i żar, pozwalały im rozprzestrzeniać się po kolejnych korytarzach i równać z ziemią ściany, belki oraz całe konstrukcje nośne, które wzmacniały system tuneli.

A ponad tym wszystkim wznosiła się góra.
I kamienie oraz kamienne płyty, z których zbudowany był zamek.
I na koniec wszystko to stało się zbyt ciężkie.

Na zewnątrz zaczęło się od pojedynczych odprysków.

Niczym drobne ziarna kamienie uwalniały się z fug, sypały wzdłuż ścian jak mąka, najpierw niezauważalnie, a później coraz wyraźniej, w miarę jak powstawało coraz więcej szczelin oraz pęknięć i w miarę jak robiły się coraz większe.

Kiedy pierwszy kamień opuścił przeznaczone mu miejsce, wywołał reakcję jak po wyciągnięciu korka z butelki szampana. Każda dziura stawała się początkiem kolejnej, kamienie spoczywające na jej granicy traciły oparcie, i wreszcie z narastającym bez końca hukiem wszystko zaczęło się walić; najpierw powstawały małe czarne otwory w murze, potem odpadały całe fragmenty, wirowały, lecąc w dół, i wybijały następne kawałki ze ścian. Z każdą chwilą konstrukcja rysowała się coraz bardziej, walczyła, by ostać się w posadach, ale cały czas wibrowała od środka i robiła się coraz słabsza, aż w końcu nie wytrzymała.

Zamek runął.

Z tego wszystkiego, co jeszcze dziś rano było piękną, tajemniczą i znaną tylko nielicznym średniowieczną twierdzą, niemal niewielkim miastem z ułożonych systematycznie kamieni, co wyrastało z góry i odbijało się w jeziorze, została jedynie chmura pyłu unosząca się nad lejem żaru, popiołu i gorącego powietrza, które promieniowało, jakby w górze otworzyły się drzwi do jądra ziemi.

Trwało to dłużej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Echo wybuchów dochodziło do Williama i Janine niczym odgłos fajerwerków, a zamek stopniowo rozpadał się na ich oczach, fragment za fragmentem pochłaniała chmura dymu i pyłu, aż wreszcie całkiem zniknął.

Oni zaś cały czas leżeli w tym samym miejscu. Chronili się przed kamieniami i odłamkami. Patrzyli i nie patrzyli, czekając niecierpliwie, aż to się skończy.

Aż wreszcie wszystko ustało.

Zabrakło już ścian i murów, które mogłyby runąć, nie było wież, które mogłyby się złamać, a gigantyczna chmura dymu zaczęła powoli opadać z powrotem ku ziemi, kładąc się na krajobrazie niczym rozległy przejrzysty suflet.

A potem zapadła cisza.

Huk umilkł, a oni nawet nie zauważyli w którym momencie.

Przeszedł w szeleszczący świst; po drugiej stronie jeziora ów dźwięk trwał jak echo i sprawiał wrażenie, jakby w samym środku tej ciszy góra westchnęła. Ostatnie, bezradne tchnienie, które pochłoneńo wszystko. Płomienie, które wydostały się na powierzchnię, strzeliły ku niebu, jakby świętowały nieopisane zwycięstwo.

Miało się skończyć ogniem.

Tak było napisane.

Miał być ogromny, potężny i położyć kres wszystkiemu.

Może chodziło o ten właśnie ogień.

A może o inny.

Ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Bo o którykolwiek ogień chodziło, nie był on ostatni.

Przyroda jakby czekała na tę nowinę.

A kiedy nadeszła, śnieg zaczął topnieć, a ziemia pachnieć ziemią, trawa, posklejana i zmierzwiona, ośmieliła się podnieść, powoli, jak po jakiejś bijatyce, skulone żółte źdźbła wystawiały się na wiatr, który odważył się być ciepły.

Nowina.

Zagrożenie minęło.

Od wystarczająco wielu dni nie zanotowano nowych przypadków i na całym świecie władze i organizacje medyczne stopniowo łagodziły zakazy i ograniczenia. Na lodowiska nie trafiały już zwłoki i nie były układane w niekończących się szeregach, nie odgradzano kordonem sanitarnym kolejnych domów, ludzie poruszali się swobodnie.

To był koniec wojny, która nie miała zwycięzcy. W miastach nie odbywały się triumfalne defilady, nie sypał się deszcz konfetti, wszyscy byli przegrany, a jedyne, co każdemu pozostało, to budowanie od nowa własnej egzystencji.

Ale zagrożenie minęło.

Upłynęły cztery miesiące i zagrożenie minęło.

Nowa pora roku nastąpiła z taką intensywnością jak z opakowania taniej czekolady – tysiące obłoków szybujących nad szczytami.

Nastąpiła wiosna.

I jak każda wiosna we wszystkich czasach niosła ze sobą zdumienie, że życie zdołało narodzić się na nowo jeszcze kolejny raz.

Znalazła go na zboczu góry.

William siedział wpatrzony przed siebie, obejmował wzrokiem równiny, łąki i pole manewrowe, którego nie mogli stąd widzieć, ale które leżało za wzgórzami i drogami oplatającymi krajobraz niczym ozdobny sznurek miękką paczkę i ginącymi gdzieś w dolinach.

Janine przysiadła się do niego.

Po chwili położyli się na chłodnej trawie.

Leżeli obok siebie, dwa egzemplarze tej samej strony w niepowtarzalnej i niemającej końca książce, otoczeni innymi stronami na ziemi i w powietrzu.

Leżeli tak, dopóki słońce nie powędrowało dalej i nie zniknęło za górami.

Dopóki odgłos samochodów nie zaczął przybliżać się coraz bardziej.

Żadne z nich nie musiało nic mówić.
Wiedzieli. Jak wędrowne ptaki.
Pora odlecieć.

Ludzi, którzy wrócili do osady, było niewiele i nikt nie mógł wiedzieć, czy to już wszyscy, czy może jeszcze ktoś przybędzie.

Każde spotkanie było serdeczne i smutne zarazem.auta na ulicach miały pootwierane bagażniki, walizki stały między kałużami rozpuszczonego śniegu, mieszkańcy w różnym wieku wygrzebywali klucze i otwierali drzwi, a potem okiennice.

To wszystko widzieli z samochodu.

Mijali ich, swoich mimowolnych gospodarzy – którzy uciekli i teraz wracali. Po błotnistej zwirowej drodze wyjeżdżali z chrzęstem opon z osady – Leo za kierownicą wypożyczonego samochodu – zostawiali za sobą jej zabudowania; tyrolski pejzaż coraz bardziej się oddalał.

Jechali przez wiele godzin; prowadzili na zmianę i spali na zmianę. W którymś momencie Janine pochyliła się w stronę siedzenia pasażera.

William siedział z przodu, patrzył, jak linia za linią znika pod maską samochodu. Nie spał, ale nie myślał o niczym.

Poczuł głowę Janine tuż obok swojej.

Nic nie powiedział. Ona też milczała. Może nie było już o czym rozmawiać. Siedzieli więc blisko siebie, nic nie mówiąc, i tak mijali kilometr za kilometrem.

– Gdyby oni nigdy nie znaleźli tych tekstów... – odezwała się wreszcie Janine.

Cichym, spokojnym głosem, jakby to był najnaturalniejszy sposób na świecie rozpoczęcia konwersacji.

William pokiwał głową, nie odwracając się do niej.

Już wiedział, co chce mu powiedzieć; to było wciąż to samo pytanie, lecz teraz Janine miała je zadać z innego punktu widzenia.

Domyślał się tego, ponieważ on też nie mógł się od niego uwolnić.

– Gdyby ich nie odczytali – ciągnęła – nigdy nie stworzyliby wirusa i w rezultacie nie wywołaliby tego wszystkiego, to czy wtedy...

William dalej patrzył przed siebie. Widział uciekający do tyłu krajobraz i czuł, jak jego myśli krążą niezmordowanie wokół pytania. Czy tak czy inaczej doszłoby do tego, tylko dlatego że było tak zapisane? Czy też byłoby zapisane coś innego, ponieważ nigdy by do tego nie doszło?

Jeśli w lesie przewraca się drzewo, czy ktoś się tym przejmuje?

Nie powiedział tego głośno.

– Choćbyśmy zadawali sobie to pytanie jeszcze nie wiadomo ile razy – rzekł – i tak nigdy się nie dowiemy.

Janine kiwnęła głową.

William, odwracając się do niej, dodał:

– Myślę, że tak jest o wiele lepiej.

Jechali w milczeniu przez kolejne godziny.

Ciepła i bezpieczna cisza, której nikt nie potrzebował na siłę wypełniać.

Zmierzali na północ pustymi autostradami, mijali po drodze jedną miejscowość za drugą, niektóre były opustoszałe i takie pozostaną, do innych wrócili już mieszkańcy i ostrożnie próbowali na nowo tworzyć codzienność.

Przyszłość się zaczęła.

A co niosła ze sobą, tego nie wiedzieli.

Mimo wszystko przyszłość.

Rozstali się w Amsterdamie.

Bez wielkich ceremonii, pożegnali się jedynie skinieniem głowy.

Przecież będą mogli spotkać się znowu, wiedzieli, jak się znaleźć; jeśli tylko tego zapragną, ale nikt z nich nie był pewien, czy powinni. Przeżyli razem śmierć. I może wystarczy. Kto mógł przewidzieć, czy kiedy zaczną się codzienność i powróci życie, będą jeszcze chcieli mieć coś ze sobą wspólnego?

William też wysiadł z samochodu na znak milczącego pożegnania. Stał teraz za bagażnikiem i patrzył, jak Janine i jej mężczyzna oddalają się ulicą.

Przejdzie, na którym Albert zobaczył ludzi Neijzena.

Ulica, na której jakiś golf uwolnił go od jednego z nich.

Ten obraz przewijał się przed oczami Alberta, ale dla Williama był niewidzialny; on dostrzegał jedynie pustą, pachnącą wiosną ulicę czekającą na to, aby do swoich domów wrócili ci, którzy pozostali przy życiu.

Dopiero kiedy tamtych dwoje zniknęło w drzwiach wejściowych, William wsiadł z powrotem do samochodu.

Leo siedział za kierownicą. Spojrzał na niego, ale się nie odezwał.

Auto stało tuż przy chodniku, spod podwozia po stronie Williama była widoczna kratka studzienki ściekowej. William ze wzrokiem utkwionym w asfalcie wciąż nie zamknął za sobą drzwi.

Odchylił się nieco do tyłu na fotelu, sięgnął ręką pod poję marynarki i wsunął ją

do wewnętrznej kieszeni. Czarny notes.

I zanim zatrzasnął za sobą drzwi, wychylił się jeszcze na zewnątrz, wyciągnął rękę z notesem ku ziemi i wcisnął jego grzbiet między metalowe listwy kratki. Puścił zeszyt i patrzył, jak znika w ciemności.

Bo kto by czytał dziennik.

Jeśli nie ma człowieka, który go pisał, co komu po wiedzy, co on robił w któryś marcowy poniedziałek?

Leo nic nie powiedział.

A William tylko patrzył przed siebie.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zdrzemnę się chwilę? – spytał.

Leo pokręcił głową.

Przekręcił kluczyk.

Jeśli nie zatrzyma się nigdzie po drodze, rano powita ich w Sztokholmie.

Na drzwiach mieszkania przy Kaptensgatan przybito płytę pilśniową, aby zakryć dziury po wybitych szybkach. Stał nieruchomo na klatce schodowej z kluczem w dłoni, zanim zdecydował się podejść i otworzyć zamek.

Krata za drzwiami była otwarta na oścież. Została przepiłowana i nie dało się jej zamknąć. W środku unosił się zapach, który zawsze powstaje, kiedy mieszkanie zostaje puste przez dłuższy czas. Kiedy nikt nie stwarza w nim iluzji porządku i ładu ani złudzenia, że cały świat w zupełnie naturalny sposób pachnie cytryną i nie ma absolutnie nic dziwnego w całym tym chaosie i piekle, jakim właściwie jest życie.

Na podłodze w przedpokoju urosły góry codziennych gazet. Tytuły stawały się coraz większe i większe, zdjęcia coraz czarniejsze, coraz bardziej ponure i złowróżbne w miarę mijania kolejnych dni.

Ostatnia gazeta była ze stycznia.

Potem przestały przychodzić.

Leżały tu teraz niczym rejestr wydarzeń ostatnich miesięcy. Jak oś czasu, ale nie ukryta w kodzie, tylko widoczna czarno na białym. Zapisana po, a nie przed.

A mimo to odległa.

Nic się nie stało.

A wszystko się zmieniło.

Wciąż stał w przedpokoju.

Długo. Nie oddychał. Nie wiedział, co ma zrobić najpierw.

Przyglądał się swojemu mieszkaniu. Swojemu domowi. Swojemu miejscu.

Wreszcie zdjął z siebie cienki płaszcz i rzucił go na krzesło przy drzwiach.

Przeszedł dalej.

Był w domu.

William Sandberg wszedł do łazienki i odkręcił wodę.

KONIEC

Podziękowania

Mówi się, że pisanie książek to praca samotnicza. Nic bardziej mylnego. Tylko osoby z najbliższego kręgu pisarza w końcu zaczynają pragnąć, by tak było.

Wilhelmowi Bohrmanowi dziękuję za to, że mi powiedział, abym napisał tę książkę.

Bettinie Bruun za to, że to wytrzymała.

Skelle, My i *Nevas* po prostu za.

Mamie, tacie i *siostrze* dziękuję, że nigdy nie pytali, kiedy znajdę sobie porządną pracę. Przypuszczam, że właśnie wsiadłem do właściwego pociągu.

Calle Marthinowi za entuzjazm, którego się nie spodziewałem.

Jonasowi i *Agnes* oraz wszystkim innym z *Partners In Stories* za przygodę, jakiej sam nigdy nie byłbym w stanie sobie wyobrazić.

Helenie, Katarinie, Klarze i *Isabelli* oraz wszystkim pozostałym z wydawnictwa za życzliwe wskazanie drogi w obcej krainie.

Matsowi Almegårdowi dziękuję za bożonarodzeniowe pyszności. Teraz, do diabła, kolej na ciebie.

Na koniec kieruję swoje podziękowania do Was, którzy po lekturze zadawaliście mi mądre pytania. *Bettinie*, oczywiście. *Willemu*, zawsze. *Kerstin Almegård*, *Bitgitcie Wännström*, *Jerkowi Malmstenowi*, *Fredrickowi Tallrothowi*.

Bez Was wszystkich nie byłoby to wcale takie zabawne.

Podziękowania należą się także wielu innym, których tu nie wymieniłem.